

42

2002

PAMIĘTNIKI JASNOWIDZĄCEJ

Z WĘDRÓWKI ŻYCIOWEJ
POPRCZEZ WIEKI

POPREDZONE WSTEP
O ISTOCIE JASNOWIDZENIA, NOWEJ ERZE ETC.
I UZUPELNIONE DODATKIEM, W KTORYM PRZYTOCZONO
M. I. SZEREG PRZYKLADÓW NA PRZEJAWIANIE SIĘ
PRAWA KARMI I REINKARNACJI W ŻYCIU
ZNANYCH POWSZECHNIE LUDZI

TOM I



NAKLADEM
WYDAWNICTWA „HEJNAŁ”, WISŁA, ŚLĄSK CIESZYŃSKI
1930



9389

PAMIĘTNIKI JASNOWIDZĄCEJ

*Ja wam mówię — niedaleki
Zbawiciela Objawiciel,
Niedaleki — nam przed wieki
Obiecany Pocieszyciel!*

*Oto idzie już godzina!
Poznan będzie — Niepojęty!
Z Ojca weźmie, weźmie z Syna
I rozleje się Duch święty!—*

*A nie trony — ni korony
Pierwsze ujrzą Cię na niebie —
Lecz niewinnie umęczony,
Ten, o Duchu, ujrzy Ciebie.*

ZYGMUNT KRASIŃSKI.

PAMIĘTNIKI JASNOWIDZĄCEJ


Z WĘDRÓWKI ŻYCIOWEJ
POPRCZEZ WIEKI

POPREDZONE WSTEPREM
O ISTOCIE JASNOWIDZENIA, NOWEJ ERZE ETC.
I UZUPELNIONE DODATKIEM, W KTORYM PRZYTOCZONO
M. I. SZEREG PRZYKŁADÓW NA PRZEJAWIANIE SIĘ
PRAWA KARMY I REINKARNACJI W ŻYCIU
ZNANYCH POWSZECHNIE LUDZI

TOM I



NAKŁADEM
WYDAWNICTWA „HEJNAŁ”, WISŁA, ŚLĄSK CIESZYŃSKI
1930

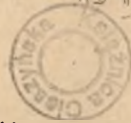
L. 



SL
159.961 : 929 A/Z

~~9389~~

KD II 47/1



Wszelkie prawa zastrzeżone

KD 47

159.961 : 929 A/Z

XXI / 82

AN ERCA

Drukarnia Pawła Mitęgi w Cieszynie

7 75/94
KD 47
8.000.-

Od Wydawnictwa.

„I będą wieści z wichrami wchodziły,
A każda będzie serca ludów pasła.
Nieznajomemi świat poruszą siły
Na nieznajome jakieś, wielkie hasła...”

Juljusz Słowacki.

Sto lat temu wydała zboczona męczeńską krwią Polska przedziwną literaturę wieszczą. Niezrozumiani przez ogół — bo i jakże? wszak do dziś jeszcze nie zdołał ich świat pojąć — poznali nasi królowie ducha w proroczym olśnieniu oślepiające prawdy. Niestety najcenniejsze ich dzieła zaledwie w urywkach przedostały się do szerszych warstw społeczeństwa, niszczone barbarzyńską ręką ciemnoty. Mało ludzi zdaje sobie sprawę, kim byli nasi wieszczowie — mało kto wie, że to byli pierwsi wysłannicy Nowej Ery, pierwsze jaskółki, zwiastujące pogrążonym w uśpieniu braciom, iż zbliża się dzień wielki, dzień Światłości, iż całe legjony jasných duchów, „przez sztandary tłuczonych złote“, otaczają glob ziemski, by stoczyć z potęgami Ciemności „bój wielki przy dział błyskawicy...”

„Cóż to — zapyta — są za bezimieńce,
Którzy na dawnym wstali mogiłniku?
Bój tylko widać i ogniste wieńce,
A zwierzęcego nic nie słychać krzyku!
Nie, to nie ludzie z krwi i ciała być muszą,
Lecz jacyś pewnie upiorni rycerze,
Którzy za duszę walczą tylko duszą,
I ogniem biją niebieskim w pancerze.”

(Słowacki.)

Bój to święty — nie wojna krwawa, nie krzyk zwierzęcy nienawiści, lecz bój w imię Miłości, Chrystusowy bój o dusze. A bronią jedyną — ofiarna miłość i cierpienie. Zrozumieli to nasi wielcy, zrozumieli głębokie, ezoteryczne znaczenie cierpienia i oto — jak modli się Słowacki w epoce, kiedy duch jego przejrzał:

„O krzyż Cię proszę modlitwą gwałtowną,
O krzyż i siłę pod rozdarcień ćwieka!
Całemu światu lampą tak cudowną
Stać się — gdzież większa jasność dla człowieka?
Panie! Nie jest to, Panie, modlitwa nabożna,
Albo prośba rycerza, który o krew woła,
Panie — bo złych inaczej pokonać nie można,
Tylko w śmierci godzinie miłością anioła.”

Nie miejsce tu na roztrząsanie dzieł naszych mesjanistów, nie możemy sobie tu pozwolić na przytoczenie chociażby najbardziej charakterystycznych urywków, świadczących o ich duchowym credo. Chodzi nam tylko o zwrócenie uwagi ogółu na ten tak oczywisty, a jednak tak mało znany fakt, iż wszyscy oni wierzyli w reinkarnację, wszyscy byli w znacznym stopniu przebudzonymi duchami i wszyscy w proroczym widzeniu poznali, iż zbliża się wielki dzień Nowej Ery.

Wiarę w wielokrotne zradzanie się człowieka wyznawał w Polsce otwarcie już ksiądz Stan. Staszic, pisząc w zakończeniu swego dzieła o Rodzie ludzkim, wydanego w r. 1820:

„Nieśmiertelny duch człeka, który złe wyrządzał, który w narodach prawe stosunki fałszował, w drugim życiu, pod inną istnienia postacią, toż zło będzie doświadczać, niewolę też samą. Nie mogąc użyć prawych stosunków szczęścia, będzie cierpiał z fałszywych niedoleń strapienia.“

Później z większą stanowczością głosi naukę o reinkarnacji: Towiański, Mickiewicz, Słowacki, Goszczyński, Krasiński, Cieszkowski, Trentowski i Norwid, a wreszcie i Wyspiański, który w r. 1903 w Rymanowie tak pisze:

„A kiedyś może, kiedyś jeszcze,
Gdy mi się sprzykrzy leżeć,
Rozburzę dom ten, gdzie się mieszczę,
I w słońce pocznę biec.
Gdy mnie ujrzycie, takim lotem,
Ze postać mam już jasną,
To zawołajcie mnie z powrotem
Tą mową moją własną.
Bym ją posłyszał, tam do góry.
Gdy gwiazdy będę mijał —
Podejmę może po raz wtóry
Ten trud co mnie zabijał.“

Przepięknie wyraził swoją wiarę w reinkarnację Krasiński w „Psalmie wiary“:

„Dusza i ciało — to tylko dwa skrzydła,
Które mi czasu i przestrzeni sidła
Duch mój rozcina w postępowym locie.
Gdy się zużyją przez chwil i prób krocie,
Odpadać muszą — lecz on nie umiera,
Choć się to śmiercią nazywa u ludzi:
On zwiedle zrzuca, a świeże przybiera
I, w nie otulon, znów na jaw się budzi,
A to się zowie narodzin godzina.
I duch mój, wzięwszy skrzydła niezmaczone,
Niemi znów leci — lecz już w wyższą stronę!
Tak coraz wyżej ku Panu się wspina,
Ciała i dusze własne poza sobą
Sypie, jak liście żółkłe i strząśnięte,
Wciąga do siebie siły, im odjęte —
On sam wciąż żyje ich zgonów żalobą!“

W innym miejscu pisze on w proroczym widzeniu:

„Nowe czasy się zbliżają!
Już planety osi drgają!“

Jak sen znika już świat stary!
Nowi ludzie — inne wiary —
Z łona wieków już powstają!
Kędy mleczna w niebie droga,
Już tam stanął anioł Boga
I zstępuje tu na ziemię,
By z nas zrzucić śmierci brzemię!
Na pustyni słyszany będzie
I po kuli ziemskiej wszędzie
Jak wód wielkich szum — głos Ducha!
A jak wicher, co wybucha,
Bucha z naszych serc wołanie:
„O, dopełnij się Ty, Panie!”
I ujrzymy postać Ducha!”

I oto nadeszły czasy, wyśnione przez naszych wieszczów. Poprzez pożogę krwawej wojny światowej, poprzez walki wzburzonych żywiołów w przyrodzie, poprzez gwałtowne walki i wstrząsy w duszach ludzkich — wschodzi jutrzienka Nowej Ery. Wzgardzony Duch opomina się o swoje prawa, daje znać o sobie — już nie tylko garstce wybranych, ale szerokim warstwom ogółu. Słyszany jest „po kuli ziemskiej wszędzie, jak wód wielkich szum — głos Ducha”.

Całe rzesze dobrych duchów śpieszą ludzkości z pomocą, niosąc światło Prawdy, ale myśli ich z jakimże trudem przedzierają się przez grubą warstwę zła, opasującego ziemię, przez ciemne chmury aur ludzkich! Niewiele, o jakże niewiele jest tych, którzy potrafią myśli te przyjmować niezmacone, nieprzekrecone przez Moce Ciemności — a już rzadkością wielką są ludzie, którzyby potrafili się świadomie porozumiewać ze światem Ducha, duchy przebudzone.

Do tych ostatnich, do takich wysłanników Nowej Ery należy autorka niniejszej książki.

Jest to osoba o niezwykłych zdolnościach jasnowiedzenia. Dziwna ta istota żyje równocześnie podwójnym życiem — na ziemi i w zaświecie. Można o niej powiedzieć, iż należy do tych, którzy pokonali Śmierć — gdyż tam, gdzie inni dostają się dopiero poprzez bramę śmierci, może ona znaleźć się każdej chwili, zachowując przytem zupełną świadomość w ciele fizycznym. Co więcej, w świecie Ducha porusza się z taką lekkością i swobodą, jakiej pozazdrościć jej może wiele tych, którzy znajdują się w zaświecie, złożywszy ciała swoje w grobie. W niejednym wypadku orientuje się w świecie ducha lepiej, niż na ziemi, zwłaszcza jeżeli chodzi o sprawy materialne. Przynależąc raczej już do sfer Ducha, niż do świata Materji, odczuwa nieraz dotkliwie więzy materji, które bądź co bądź jeszcze na niej ciąży, póki żyje w ciele fizycznym. Nagina się z konieczności do praw materji, ale niejednokrotnie lekceważy je, albo zapomina o nich poprostu. Swych zdolności jasnowiedzenia nie zużytkowuje dla celów materialnych, nie lubi też patrzeć wzrokiem ducha na sprawy materialne, n. p. odszukiwać zagubione lub skradzione przedmioty i t. p. Przed oczyma jej ducha materja poprostu znika; widzi odrazu to, co jest istotą i jądrem każdej sprawy, a czego ma-

terjalny kształt jest tylko znikomym objawem. Duch jej wzbija się w krainę, której mową i kształtami są symbole — i trudno jej nieraz po ziemsku przemówić do ziemskich uszu.

Mimo iż przebywa tak chętnie duchem w zaświecie, mając nieprzerwany kontakt ze światem dobrych duchów, żyje na ziemi życiem takim samym, jak każdy inny człowiek, nie jest bynajmniej przy całej swej niesłychanej wrażliwości jakąś eteryczną, nerwową istotą, jakimi medja częstokroć bywają. Jeżeli odróżnia się czemś od innych śmiertelników przy pierwszym poznaniu, to swoją ogromną szczerością i prostotą, oraz gardzeniem konwenansami. Nic dziwnego — obcując ustawicznie niemal z istotami, które nie znają kłamstwa, nie umie się poprostu dostosować do atmosfery fałszu i nieszczeroci, jaką jest niestety przesiąknięte całe nasze życie na ziemi. Obcując z nią poznaje się dopiero, jak pełnem obłudy jest to ziemskie życie z jego urządzeniami i prawami, jak wypaczonym jest cały nasz sposób myślenia, nasze wierzenia, nasze pojęcia o Bogu. Naginani od dziecka do fałszywych zasad myślenia ztracamy powoli zdrowe pojęcia prawdy; człowiek jednak, jak ona, nie z tego świata, nie potrafi znieść takiego brudu.

Któż jest Agni? „Dziwna istota ni z tego, ni z tamtego świata“, jak o niej powiedziała św. Terenia od Dz. J.*) To duch przebudzony, mający tu na ziemi jeszcze swoje zadanie do spełnienia; to jedna z pierwszych jaskółek Nowej Ery. To śmiały żołnierz Chrystusowy, walczący wraz z całemi rzeszami dobrych duchów o zwycięstwo Prawdy na ziemi. Pośredniczka w przenoszeniu dobrej nowiny z zaświatów dla ludzkości, jedna z tych bardzo nielicznych istot, które mogą skontrolować, skąd płyną dane rewelacje, czy nie kryje się w nich jaki fałsz — boć patrzy ś w i a d o m i e w świat ducha, więc trudno ją oszukać. Stąd niesłychana wartość prawd, podawanych za jej pośrednictwem.

Jak też wygląda u tej dziwnej istoty życie codzienne? — pomyśli pewnie niejeden z Czytelników.

Znamy jej życie codzienne, życie nieraz pełne trosk, już to w związku z wychowaniem jej czworga dzieci, już to trosk o dom, a przede wszystkim o rodzinę, a to rodzinę tak wielką — rodzinę duchową. Niema dnia, by ktoś listownie nie zwracał się do niej z prośbą o udzielenie rady w różnych cierpieniach, w różnych depresjach duchowych.

A tymczasem ona sama na planie fizycznym nie zawsze ma pomoc i nie zawsze może sobie na nią pozwolić — pomoc w tych najzwyczajniejszych domowych czynnościach. To też nieraz przybyli goście, zastając ją przy gospodarskich zajęciach, zwracają jej uwagę: „Czyż nie szkoda Pani drogiego czasu na takie prace?“ O, wiemy to dobrze, iż prawdziwie zadowoloną czuje się na ziemi tylko w chwilach, poświęconych pracy duchowej. Ale trudno, musi się materialnie ograniczać, by móc podołać zadaniu, jakie ma do spełnienia w chwili obecnej.

*) Patrz Dodatek, str. 227.

Nic więc dziwnego, że z powodu braku czasu nieraz o najważniejszych sprawach rozmawia lub dyktuje komuś podczas wykonywania domowych czynności. W ten sposób też powstały w znacznej mierze i te pamiętniki.

Wypada w tem miejscu zaznaczyć, że nie jej pomysł to był, by wydać drukiem te pamiętniki. Nie znosi bowiem rozgłosu i wszelkiego rodzaju reklamy. Kosztowało nas to dosyć trudu i wysiłku, nim jej wytłumaczyliśmy, jak ważnym czynnikiem i drogowskazem mogą się one stać dla niejednego budzącego się wędrowcy ziemskiego, a pozatem jaką przysługę mogą oddać dla rozwoju nauki w dziedzinie zjawisk duchowych.

Może nam ktoś zarzuci, iż zbyt przeceniamy wartość tej tak prosto i bezceremonjalnie napisanej książki. Proszę się jednak uważniej zastanowić choćby nad samym tytułem: „Pamiętniki z wędrówki życiowej poprzez wieki.“ Jest to bodaj jeden z najważniejszych dokumentów historycznych, stwierdzających dobitnie prawo reinkarnacji, to jest wielokrotnego wcielania się. Pamiętniki te są tem ciekawsze, że przypominanie sobie i w pewnej mierze powtórzenie w tem życiu pewnych karmicznych scen z przeszłości, by niejednokrotnie dograć do końca jakąś niedokończoną rolę, przeżywała nie tylko sama autorka, ale równocześnie i inne osoby, nieraz mieszkające na drugim krańcu Polski, a biorące w tych scenach żywy udział.

Być może, że ten i ów po przeczytaniu tej książki zacznie się doszukiwać genezy wygłaszanych w niej przekonań w dziełach tego czy tamtego badacza, poety, czy myśliciela. Niechaj sobie nie zadaje daremnego trudu szperania i porównywania. Prawda jest jedna i z jednego zawsze płynie źródła, dostęp do niej otwarty każdemu, byle go tylko własne uprzedzenia nie wstrzymywały. Toteż w różnych miejscach kuli ziemskiej, w różnych czasach niezależnie od siebie różni ludzie w tej czy innej dziedzinie chwyтали złote promienie Prawdy stosownie do tego, w jakiej mierze byli dla jej przyjęcia dostępnymi. Dlaczegoż ona miałaby tę prawdę czerpać od innych, a nie bezpośrednio z tego źródła, z którego brali i oni?

Dla uniknięcia wszelkich zbytecznych wyjaśnień zaznaczymy tedy w tem miejscu, iż Agni zasadniczo książek niemal wcale nie czytuje. Opiekun jej duchowy nie życzył tego sobie, a to by mając możność bezpośredniego spoglądania prawdzie w twarz, nie musiała się do niej przedzierać poprzez światy pojęć innych ludzi. To był powód, dla którego warunki jej życiowe złożyły się tak, iż nie odebrała wyższego naukowego wykształcenia.

A jednak jakąż ucztę duchową sprawia rozmowa z tą „niewykształconą“ kobietą, rozmowa na jakiegokolwiek tematy, czy to z dziedziny sztuki, muzyki, poezji, czy jakiej gałęzi wiedzy ściślej. O wszystkim, dosłownie o wszystkim, jakiegokolwiek temat się poruszy, wypowiada się ze zdumiewającą znajomością istoty sprawy, z przedziwną trafnością i jasnością sądu. A sąd ten bywa często nieoczekiwany, niezgodny z dotychczasowymi teorjami w danej dzie-

dzinie — lecz jakże przemawiający do przekonania! Zdziwienie ogarnia słuchacza, że ludzie dotąd na to nie wpadli.

Niejeden powie zapewne: „Cały światopogląd Agni — to tylko piękna fantazja poetycka.“ Tak — ciekawe jednak, dlaczego ta fantazja poetycka jest we wszystkich szczegółach tak logicznie przeprowadzona? Dlaczego, o czemkolwiek się Agni wypowiada, jakąkolwiek dziedzinę wiedzy porusza, poglądy jej nigdy nie przeczą jedne drugim, ale uzupełniają się w bardzo logiczną, przepięknie zbudowaną, a olśniewającą swą prostotą całość, dorzucają coraz to nowych szczegółów do tego misternego, a równocześnie zdumiewająco prostego gmachu, zbudowanego na mocnych podstawach czystej nauki Chrystusa!

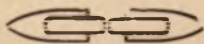
Zapewne niewielu z tych, którym dostanie się w ręce ta książka, zda sobie w całej mierze sprawę z tego, jak ważne zadanie ma spełnić i spełni skromne dzieło niniejsze. Jesteśmy głęboko przekonani, iż tak jak nasi wielcy wieszczowie, zwłaszcza Słowacki, dopiero niedawno zaczęli być lepiej rozumiani i „odkrywani“ — a jakże mało ich jeszcze dotąd społeczeństwo rozumie! — tak i praca Agni, jej dzieła już wydane i te, które jeszcze zostaną wysłane w świat, choć czytane są i rozumiane na razie tylko przez niewielu dojrzałych do takiej strawy duchowej, działać będą niewidzialnie, a nieustannie, sącząc jasne strugi światła wśród mroków ludzkości, pukać cicho, a jednak mocno do serc i dusz ospałych i po wiekach jeszcze płonąć będą jasną pochodnią Prawdy, oświecając znużonym wędrowcom świata drogę ku Bogu — po wiekach jeszcze czytane będą, a rozumiane lepiej, niż dziś je ludzkość potrafi zrozumieć i ocenić.

Niechaj cicho a wytrwale pełnią swoją zbożną służbę, niechaj koją zbolące serca, niechaj leczą rany duchowe, niechaj pomagają ludzkości do zdzierania zasłony z tajemniczych zagadek bytu — niech pomagają jej do uzyskania prawdziwego jasnovidzenia, prawdziwego przebudzenia duchowego w Chrystusie. Niechaj pomagają Duchowi wyzwolić się z pęt Materji — albowiem

„wszystko dla ducha i przez ducha zostało stworzone, a nic dla cielesnego celu nie istnieje!“ (Słow.)

Wisła, w listopadzie 1930.

. © .



PRZEDMOWA.

Część I niniejszej książki, inspirowana mi przez mego Opiekuna duchowego, dotyka tak różnorodnych dziedzin życia i wiedzy duchowej, porusza tyle ważnych tematów, że ze względu na szczupłe ramy książki są to tylko skromne szkice do obszernych prac, które z biegiem czasu będą wysyłane w świat. Rozsnuwając przedemną obrazy, dotyczące Nowej Ery, zalecił mi mój Opiekun, bym raz jeszcze podkreśliła we wstępie olbrzymią doniosłość okresu, jaki ludzkość obecnie przeżywa. Albowiem nastąpiły czasy, które obiecał nam dobry Zbawiciel, mówiąc do uczniów Swoich:

„Mamci wam jeszcze wiele mówić, ale teraz znieść nie możecie.

Lecz gdy przyjdzie on Duch prawdy, wprowadzi was we wszelką prawdę; bo nie sam od siebie mówić będzie, ale cokolwiek usłyszysz, mówić będzie, i przyszłe rzeczy wam opowie.“ (Jan XVI, 12, 13.)

A gdy przyjdzie on Pocieszyciel, którego ja wam pošlę od Ojca, Duch prawdy, który od Ojca pochodzi, On o mnie świadczyć będzie.

Ale i wy świadczyć będziecie; bo ze mną od początku jesteście. (Jan XII, 26, 27.)

Dlaczegoż to nawet uczniowie nie mogli nieraz zrozumieć dobrze swego Mistrza? Bo choć wolna Zła Wola została częściowo ukrócona w owym okresie, wyteżyło piekło wszystkie swoje siły, by nie utracić swego królestwa na ziemi, a więc przedewszystkiem by nie dać ludzkości zrozumieć Chrystusa, który im przyszedł głosić zapomniane prawdy o Bogu i wiecznej Ojczyźnie Ducha. Korzystając z przystępu, jaki im dawały do ludzi — między innymi i do uczniów — niewyrównane jeszcze dawne karmiczne sceny, czyli niespłacone jeszcze dawne grzechy, szły za nimi demoniczne duchy krok w krok, wysilając się, by im ustawicznie przekreślać znaczenie słów Boskiego Nauczyciela. A prawo Karmy i reinkarnacji nie zostało wówczas zniesione, bo musiałyby zostać niemal całkowicie przekreślona wolna wola zarówno na ziemi, jak i w astralu.

Toteż jak przedtem, tak i w ciągu następnych dwóch tysięcy lat nadal się zradzały i jeszcze zradzają się duchy ludzkie, spłacające sobie w dalszym ciągu swoją Karmę. Już i duchy bardzo zatwardziałe w złej woli zagościły i jeszcze goszczą jako ludzie na ziemi; Niskie Moce próbują i po ich pójściu na świat mieć w nich nadal bodaj nieświadome sprawy narzędzia do spełnienia swoich celów.

Uczniowie także już niejednym razem się zradzali w owych dwóch tysiącach lat. Po odejściu Chrystusa odszedł niejednym z nich w za-

światy męczeńską śmiercią, po części wyrównywując w ten sposób w cierpieniach swoją Karmę, po części niewinnie cierpiąc za wiarę w lepsze życie, dane przez Boga. I w następnych żywotach ginęli pomiędzy innymi chrześcijanami za wiarę — ginęli ciałem, by żyć dalej duchem, jeszcze czystszy, jeszcze silniejszy. Kilku ich zginęło na stosach, oczyszczając się duchem w piekle katuszy, jak złoto w ogniu. Niejeden ze spalonych na stosie jak świetlana pochodnia w pamięci ludzkiej przyświecał, przyświeca i będzie przyświecał na drodze żywota.

Obecnie nadeszły te czasy, o których mówił Chrystus. (Patrz Jan XII, 26, 27; XIV, 16, 17, 26; XVI, 12, 13.)

Ten Pocieszyciel, to Duch Prawdy, którego narody będą mogły lepiej zrozumieć przy ponownem ukrócaniu Złej Woli, jakie nastąpiło w obecnych czasach. Ten Pocieszyciel — to wielkie zastępy duchów opiekuńczych, jakie zniżają się ku ziemi w ofiarnej miłości. I te wielkie Prawdy, jakie głosił Syn Boży, a których ludzkość nie zdołała ogarnąć, ni zrozumieć ani podówczas, ani przez następne wieki — staną się dla niej łatwiej dostępne po ukróceniu złej woli tych, którzy im te prawdy usilnie zasłaniali. Pozna ludzkość, że to, co było jej dotychczas podawane jako ostateczna prawda, nie wystarcza jej i nie potrafi dać jej szczęścia. Wielu tych, którzy dotychczas wierzyli, że jedynie duszpasterze mają prawo otwierać ludzkości bramy niebios, nauczać i prowadzić ich do Boga, pozna, że ci duszpasterze są tylko jakby niańkami dla słabego dziecka, którem trzeba się opiekować i prowadzić je za rękę. Ci, którzy jeszcze uznają to za potrzebne, nadal jeszcze pozostaną na ziemi pod opieką swoich duchowych nianieł. Lecz wielu, wielu będzie takich, którzy nie zechcą tracić czasu na dziecięcych zabawach i słuchaniu bajeczek, którzy poznają powagę życia i zaczną odczuwać wartość tego życia, danego im przez Boga; ci z pewnością zaczną bardziej wglądać w swoje wnętrza ducha i tym Bóg przyśle Pocieszyciela.

Jest wiele ludzi na ziemi, którzy starają się zdobyć opinię porządnego człowieka, lecz jakże się wstydzą za takiego nietaktownego głuptasa, któryby się ośmielił psuć zabawę rozmową o Jezusie, o Bogu. I ku tym będzie sobie torował drogę Duch Prawdy. Ci, którzy pragną przedstawić wiarę w Boga i w duchy jako niedorzeczność, będą chcieli w różny sposób ośmieszać tę wiarę, rozgłaszając przez nich samych nieraz wywołane różne brudne lub śmieszne zdarzenia z dziedziny wiedzy duchowej. Mimowoli jednak oddadzą tej wiedzy pewną przysługę, zwracając na nią ludziom uwagę i budząc dla niej coraz większe zainteresowanie. I gdy będą w głębszych, czy płytszych rozmowach roztrzasać rzekomą głupotę ludzką, różne niemądre wierzenia, na każdego będzie skierowane baczące oko ze świata duchów. I choćby się wysilał, by z głębi ducha zadzwic sobie i nie uznać Boga, lub uznać tylko to, co niańki duchowe ludziom w bajeczkach opowiadają, to i tak dozna niejednokrotnie niepokojącego wstrząsu i wyczuje nagle, jak niedostateczne są uznawane przez niego dotąd za słuszne objaśnienia spraw duchowych na ziemi.

A choćby tacy mędrkowie chcieli zagłuszać swoje sumienie rzuca-
niem krytyki na wszystkie strony, to prześcigając się w krytykowa-
niu spraw ducha będą niejako zmuszeni zainteresować się więcej
temi zagadnieniami. I choćby jak pijani zataczali się na tej drodze
tajemniczej wiedzy, to jednak już zaczną się ruszać ze swojej ospa-
łości duchowej i ku nim także przystąpi bliżej Duch Pocieszyciel.

Ile ludzkość zdobędzie w tym okresie dobie-
gającego dwutysiąclecia, to stanie się znów fun-
damentem dla następnych dwóch tysięcy lat. Ciem-
ne Moce, bardziej świadome niż ludzkość sama, jaki poważny okres
czasu przeżywa, rzucają całą siłą także swój rachunek karmiczny.
One to w wielkim stopniu poróżniły narody przez podatnych dla
siebie na ziemi ludzi, wywołując światową wojnę. One nadal nie
dają za przegraną i usiłują się mścić za ukracanie wolnej złej woli.
Chcą narzucić narodom nową wojnę, wojnę gazową, najokrutniejszą
z dotychczasowych, bo gazy trujące pociągają za sobą nie tylko odło-
żenie ciała fizycznego, ale i nieomal zupełne spalenie lub rozszarpa-
nie ciała astralnego ofiary. Cieszą się, że tą obosieczną bronią zrobią
jeszcze większe zamieszanie i wywołają krzyk rozpaczny, że Bóg jest
niemiłosierny, że strasznie karze, a tem samem uniemożliwią dalszy
postęp ducha, zapadłego niegdys w materję.

Ze zgrozą myślimy o ciemnej karcie, jaką w dziejach ludzkości
stanowi ludożerstwo. Z ulgą mówi sobie cywilizowany człowiek:
„Plemiona ludożercze są już bardzo rzadkie i miejmy nadzieję, że
niebawem zupełnie wyginą.“

A cóż mają o nas powiedzieć nasi sąsiedzi na Marsie? Wszak
tam według wieści, przynoszonych nam przez duchy, niema żadnych
wojen. Żyją tam ludzie z mniej lub więcej dobrze rozwiniętym
szóstym i siódmym zmysłem; łatwiej im przeto dojrzeć życie na
niejednej planecie, niż nam o ograniczonych pięciu zmysłach. Boć
tylko wyjątek stanowią u nas ludzie, obdarzeni szóstym zmysłem
i głębszą intuicją duchową; ale i ci nie mogą tak jasno dojrzeć na
Marsie lub na innych planetach życia, jak tamci oglądają je u nas.

Jakież obraz przedstawiamy my, cywilizowani mieszkańcy Ziemi,
którzy tak chętnie się chęlimy wysokim stopniem rozwoju umysłó-
wego, my, uzbrojeni w najróżnorodniejsze pomysły, które mają
świadczyc o naszej wysokiej rozumowej kulturze? Wszak mamy
już telewizję, mamy mówiące filmy, skonstruowaliśmy olbrzymie
latawce, pokonywujące w szybkim tempie ogromne przestrzenie,
a niebawem zamierzamy się wybrać w podróż międzyplanetarną
zapomocą już obmyśliwanych różnych przyrządów, które nas mają
szczęśliwie wyrzucić na księżyc, a może i dalej, byśmy zobaczyli
naszych sąsiadów na innych planetach. Któż nam dorówna?! Wy-

dobyliśmy z głębi ziemi najpotężniejsze siły, spreparowali je dobrze i przygotowali do wytrucia samych siebie.

A nasi sąsiedzi na Marsie przyglądają się nam z pożałowaniem. Przyglądają się kliszom astralnym, w których jest odbite nasze życie i budzimy w nich zgrozę i przeogromny smutek. Toteż sąsiedzi nasi, jeśli nie muszą, unikają, jak mogą, patrzenia na nas, nędznych mieszkańców Ziemi. Gdyby im kto opowiadał o takim życiu, jakim my żyjemy, trudnoby im było uwierzyć w to, gdyby sami tego nie widzieli. Więcej smutku wywołujemy my w nich, niż w nas plemiona ludożerców; daleko gorszy obraz przedstawiamy my dla idealnych ludzi Marsa.

Bo na czymże się nasze życie na Ziemi opiera? Gdzie u nas głębsza wiara w Boga? Gdzie dążenie do takiego życia, by być radością, szlachetną radością nie tylko samemu sobie, ale i innym? Gdzie miłość, o jakiej przypominał nam Syn Boży, nasz dobry Chrystus? Gdzie miłosierdzie?

Mieszkańcy Marsa, choć tyle zgrozy budzi w nich nasz widok, odczuwają dla nas jednak zarazem wielką litość i wielu ich pragnie pomóc braciom z sąsiedniego globu. Przychodzą do nas, dając nam w różny sposób dowody swojej obecności między nami i tajemniczego życia duchowego i budząc w nas myśli, iż istnieje coś więcej, niż może nam dać najwyższa rozumowa kultura, ujarzmiająca jednak ducha w niewoli niewiedzy o swoim wiecznym istnieniu. Przybylsze z Marsa kierują po największej części zjawiskami szlachetnych lewitacyj. Oni to, magnetyzując medjum, zmieniają ziemskie prawo przyciągania i medjum może swobodnie bujać przez krótszą, czy dłuższą chwilę ponad głowami uczestników seansu a, będąc w silnym kontakcie magnetycznym z nimi, może nawet stać się całkiem niewidzialne oczom uczestników seansu, zdematerializować się i znów się zmaterjalizować w dowolnym miejscu.

Duchy z Marsa, dające impuls do myślenia i badania spraw duchowych na naszej Ziemi, są podobne do naszych dawnych tajemniczonych, tylko że ci mają daleko jaśniejsze pojęcie o życiu w Bogu i o Jego twórczości, o Jego miłości dla swych dzieci. A duchy ziemskie, które przebywają obecnie w zaświecie, a zdają sobie już z tego sprawę, jak bardzo materja i niewiedza więzi ducha, witają radośnie swoich przyjaciół z Marsa, by pomagali im wspólnie w budzeniu pozostałych na ziemi.

W Nowej Erze wybrało się i jeszcze się wybiera wiele duchów z Marsa na Ziemię. Opuszczają swoje słoneczne siedziby, gdzie niema nocy, bo sześć słońc poza naszym słońcem oświetla pomiędzy innymi planetami i Marsa.*) Uzbrajają się przeciw wpływom naszej Ziemi, a szczególnie aur ludzkich, naszych potwornych elementów astralnych i larw, jak nurek, spuszcający się na dno morza. Nie przery-

*) Słońca te oświetlają i naszą Ziemię, są jednak niedostrzegalne dla zwykłego oka. Mimo to promienie ich działają na Ziemi i uczeni powoli zaczynają je wykrywać, nadmienając o jakimś nieznanym sobie bliżej promieniowaniu kosmicznym i t. p.

wają swojego życia na swojej planecie, stamtąd są zasilani niejako zdrowem, świeżem powietrzem. Uzbrajają się, by elementy astralne i larwy połamały sobie kły na ich pancerzach magnetycznych. Im w lepszym kontakcie magnetycznym pozostają z jakimś medjum na ziemi, tem silniejszy pancerz mają na sobie. A takie medjum, jak n. p. Schneider, pomimo iż bierze czynny udział w zjawiskach lewitacji, pomagając do niej swoją wolą, nie może dokładnie ujrzeć swego duchowego otoczenia, więc też nie może sobie zdać sprawy, jak powstają jego lewitacje i t. p. zjawiska. Gdzieś w głębi ducha wie, wyczuwa, co i jak się z nim dzieje, kto bierze udział w lewitacji; trudno mu jednak ująć w słowach i przenieść to do pełni takiej świadomości, jaką posiada na ziemi.

Nad mieszkańcami Marsa drżą jeszcze pierwsze dzwony pobudki. Muzyką cudowną, rajska oznajmiono im, iż nadszedł czas Nowej Ery, kiedy oni będą mogli pomagać mieszkańcom Ziemi. Tak, jak niegdyś gwiazda zaświeciła nad Betlehem, tak jasnym blaskiem czarowna luna, pełna dźwięków, tonów muzyki oznajmiła Nową Erę mieszkańcom sąsiedniej nam planety. „Do boju, do boju ze złem!“ — nawoływano precudnym, łagodnym głosem.

Pierwsze legjony już zbliżyły się ku ziemi i już działają. Torując sobie drogę na ziemię, ujarzmiają najprzód w świecie astralnym różne najniebezpieczniejsze duchy-kusicieli, tworząc naokoło nich magnetyczne kręgi, by nie mogły dowolnie zbliżać się i inspirować złe myśli ludzkości. Boć wiele ich było przygotowanych, by popchnąć lud do czynu, do wojny straszniejszej, niż miniona, wojny gazowej i groźnych rewolt. Ciężkie chmury zwisały i jeszcze wiszą nad ludzkością. Niebawem szersze rzesze dobrych duchów przedostaną się bliżej ku wędrowcom świata. Jakaż to błogosławiona dla ziemi chwila! Ofiarna Miłość coraz bardziej się zbliża, ofiarna Miłość w Nowej Erze! Któż zrozumie jej potęgę, kto ujrzy tę pomocną rękę?

Wszakże i ciemne duchy, upierające się jeszcze w złej woli, uwijają się, by ratować bodaj ten dorobek na ziemi, jaki już dotychczas potrafiły sobie zbudować zapomocą biernych, nieświadomych duchów wcielonych i niewcielonych, jak również i przez tych, którzy im świadomie w złem pomagają. Widząc, że zbliża się potężna Moc Dobrej Woli, niosąca Ducha Pocieszyciela, Ducha Prawdy, mająca przypomnieć ludzkości prawdziwe posłannictwo Chrystusa, śpieszą się znów, jak dwa tysiące lat temu, by pomieszać ludzium pojęcia, co to za nowe czasy nastały. Postanowiły obwołać wszystkich kapłanów na ziemi Chrystusami*) i wysilają się do ostateczności, by mogły wyrzucić przez nich taki wpływ na lud, aby ten stał się głuchy i ślepy na wszelkie inne zjawiska a przede wszystkim na głosy z Górnych Sfer duchowych, coraz częściej odzywające się za

*) Patrz „Bezpłatny dodatek do „Głosu Eucharystycznego“ z roku 1930, str. 91, ustęp: „Kapłan, drugi Chrystus“.

pośrednictwem różnych jednostek, a przynoszące mu piękne myśli ze Źródła Żywych Wód. Aby sparalizować wpływ dobrych duchów i podkopać wiarę w to, co one wieszczą ludzkości, wciskają się ciemne duchy, jak mogą, do różnych tak zw. kółek spirytystycznych, zwłaszcza jeśli członkowie ich tylko z ciekawości wywołują duchy, by te im odsłoniły zasłonę z tajemniczego życia w zaświecie. Tym już nie szcędzą urozmaicenia, wywierając na nich nieprzeparty wpływ, by ci odczuwali częstą potrzebę komunikowania się z duchami. Nietylko nie przeszkadza im to, ale jest im to nawet bardzo na rękę, jeśli ich medja w niczem nie zmieniają trybu życia na lepsze — byle tylko dały się jak najwięcej opanować i oszukiwać im i ich mową przez swoje usta oszukiwać innych. Jeśli jednak nie są kogoś pewni, iżby go mogli długo zatrzymać w swej mocy, nakłaniają go do przestrzegania różnych wstrzemięźliwości, głównie w tym celu, by one przyniosły szkodę jego ciału, lub do różnych medytacyj, ćwiczeń, mających jak najbardziej osłabić ich ducha. Zabezpieczają się w ten sposób na wypadek, gdyby ich ofiary zostały im wyrwane, gdyby oswobodziła je dobra moc Ducha Zbawiciela — aby te nieprędko mogły się opamiętać i stać się zdolne do jakiegokolwiek intensywnej pracy duchowej na ziemi dla dobra bliźnich.

Są przezorni, nie z wszystkimi jednakową bronią walczą o swoje królestwo. Tępszych ludzi o ciemnej aurze myślowej zadowolają różnemi błahostkami. Chcąc zdobyć tem łatwiejszy posłuch, przybiegają na seansach imiona różnych świętych, Matki Boskiej, a nawet Chrystusa. Cóż im to szkodzi? Wszak są pewni, iż nikt z zasiadających na ten posiłek duchowy nie ujrzy ich. Ludzie zdumieni słuchają i rosną w pysze, roniąc krokodyle łzy w pokorze. Wszak do nich przemawiał Jezus i Maryja — któż im dorówna? Do ludzi subtelniejszych duchowo, przystępują ostrożniej; przystęp do nich znajdują wtedy, jeśli wśród uczestników mają podatne dla siebie medjum. Starają się przed takimi jednostkami maskować, jak mogą, byle je jak najdłużej utrzymać w błędzie. Zwłaszcza troskliwą opieką otaczają tych, których się obawiają, iż przejrawszy, mogliby się stać dla nich bardzo niebezpieczni, wrywając wielu innych z niewoli duchowej. Takim, przez swoje medja, starają się podawać rzekome prawdy, zbliżone pozornie do tych prawd istotnych, które tamci w duchu przeczuwają i do których tęsknią. I w tym wypadku przybiegają na siebie rolę niebylejakich osobistości: zależnie od poglądów i upodobań danej grupy słuchaczy są bądźto wielkimi zmarłymi królami, bądź Mistrzami hinduskimi i t. p. wielkimi Nauczycielami ludzkości, bądź to znów świętymi i t. d.

Biedni skromni pastuszkowie ujrzeli wielką łunę, jasną Gwiazdę nad Betlehem. W Nowej Erze wszyscy będą mogli — i już mogą — ujrzeć światło Prawdy, odróżnić prawdę od fałszu. Nie trzeba być na to koniecznie prostaczkiem, można być i uczonym, trzeba tylko być w duchu takim dobrym prostaczkiem, szczerym prostaczkiem wobec ogromnej dobroci Boga. Trzeba z prostotą w duchu przystępować do badania zjawisk natury duchowej, które pod najróżnorodniejszymi postaciami i na-

zwami, jako zjawiska: psychiczne, metapsychiczne, spirytystyczne i t. p. — coraz częściej i coraz usilniej pukać zaczynają do sumień ludzkich i wstrząsać gmachem pojęć, przyjętych dotychczas jako ostatni wyraz prawdy. Trochę pokornego zastanowienia się, z jakich źródeł płyną dane zjawiska; wszak fałsz, obłuda nie będą mogły tak sprytnie ukrywać swego oblicza, jak ukrywały je przed rozpoczęciem Nowej Ery.

Nadszedł czas w Duchu i w Prawdzie. Do rozjaśnienia duchowych ciemności, do rozproszenia duchowych wątpliwości będą pomagały niewidzialne Moce i inaczej zacznie ludzkość patrzeć na życie, niż dotychczas. Lecz jak niegdyś wołały Potęgi Ciemności: „ukrzyżuj!“, by zniszczyć dzieło Chrystusa, tak i te natchnienia, te przecucia, to poznawanie prawdy będą usiłowały krzyżować jeszcze. Będą szukać podatnych sobie ludzi na ziemi, przez których bądź to będą głosić, jako przez medja, fałszywe sprawozdania z życia w świecie ducha, bądź to wręcz przeciwnie będą im inspirować, że niema Boga, niema ducha, wszystko jest energją, która z niczego powstała i w nic się kiedyś zamieni.

Już od czasów Chrystusa zaczął się duch ludzki żywiej budzić na ziemi. W Nowej Erze jednak wstrząsy te przybiorą większe i głośniejsze rozmiary. Walki te będą wielkie, ciężkie — rozgrywać się będą przeważnie we wnętrzach duchów ludzkich^{*)}, kiedy jasna świadomość coraz bardziej zacznie otaczać wędrowców świata i zaczną sobie jasno zdawać sprawę, skąd tu przyszli i dokąd mają iść, dlaczego żyją. Ujrzą swego Pocieszyciela. Nieprzyjaciel chciał, by we wiecznem zatraceniu nie dojrzeli nigdy wiecznego dnia życia, życia przez Boga danego. W tym zbliżającym się dniu pięknego życia stanie Pocieszyciel u boku każdego ducha. Zależy to tylko od dobrej woli, od chęci głębszego zrozumienia prawd Bożych, by można prędzej dojrzeć swego Pocieszyciela.

Nim wybije dwa tysiące lat po ukrzyżowaniu Syna Bożego, Boga-Człowieka, może każdy sam rozjaśnić ciemności w swoim duchu; mając u boku swego Pocieszyciela — dobrego Opiekuna — może wyrównywać już w pełni świadomości resztę swojego długu na ziemi, nie potrzebując się już lękać, że stworzy mimowoli nowe zło, wciągnięty w nie przez innych, bo w Nowej Erze została ponownie ukrócona wolna zła wola, tak, że już nie z takim, jak dotychczas, wysiłkiem trzeba się będzie opierać temu złu, by ono nie zwyciężyło. Zło, walcząc z gorączkowym wysiłkiem o swoje królestwo, zacznie występować w jaskrawszym świetle i samo będzie się tem zdradzało, nie potrafiąc się dłużej maskować.

Ciężkie, niezmiernie groźne chwile przygotowało piekło dla ludzkości na okres pod koniec dwutysiąclecia

*) „Zbliża się straszliwa chwila, że ten świat ma być rozjaśniony światłem wiedzy. Kto nie wytrzyma blasku, temu czaszka, błyskawicami rozerwana, rozleci się na kawałki — i będzie na łańcuchu w domu warjatów...“ (Słowacki). Prz. wyd.



ery chrześcijańskiej. Miał nastąpić nowy potop świata, pochylenie się osi ziemskiej, wojna gazowa, mająca wygubić całą niemal ludzkość, oraz opętanie reszty ludzi, pozostałych na ziemi. I w tem została ukrócona Zła Wola tak, że do tych rozmiarów już owe klęski nie dojdą, jak były zakreślone w planie piekieł. W Nowej Erze zostały im te plany przekreślone.

W ostatnich 20 latach podniosło się bardzo dno morskie, na którym osiadła zatopiona wielka część świata, Atlantyda. Wiele wysokich gór Atlantydy znajduje się już tuż pod powierzchnią oceanu, wody zaś opadają jeszcze niżej wgłąb ziemi tak, że przy ostatecznem wylananiu się zatopionego ładu na światło dzienne nie będzie tak wielkiego potopu, jak o tem marzyły piekielne Moce. Z całej zakreślonej w ich planie grozy ujawniać się będą tylko różne kataklizmy, odbywające się w różnych częściach świata, trzęsienia ziemi i chwilowe wylewy wód, jak również wielkie naprężenia polityczne i głośne groźby wojny gazowej.

Japonja i Chiny miały swoją księgę otwartą na najbardziej zapisaną karcie karmicznego wyrównywania długów. Tym chciało piekło najbardziej osłodzić swoje porachunki, pragnęło wyniszczyć ich doszczętnie chorobami, powstaniem, rewolucjami, wojną i trzęsieniem ziemi jeszcze zanim podnoszące się dno morza rzuciłoby w ich stronę swoje wody. Już kilka lat temu nadmieniałam o klęskach, jakie spadną na ten naród, a które się potem niestety aż nadto sprawdziły.

I wszystkich innych narodów długi znali dobrze, znali stworzone u nich potworności złej woli i chcieli im te długi po swojemu osłodzić, by narody zrozpaczone nadmiarem klęsk nie mogły usłyszeć pogodnego nawoływania z ducha do ducha, by zatraciły zupełnie wiarę w Boga.

Lecz w Nowej Erze śpieszą ludzkości z pomocą całe rzesze dobrych duchów z dalekich przestworzy i staczając ciężkie walki z ciemnymi hufcami przekreślają plany piekieł. Od dobrej woli ludzkiej będzie zależało, w jakiej mierze im się to uda, w jakiej mierze będą mogły zażegnać zamierzone kataklizmy. Ludzkość nie zdaje sobie sprawy z tego, jak niezmiernie ważny okres przeżywa; co sobie przed upływem tego dwutysiącletcia zdobędzie, to zaważy ogromnie na dalszej jej przyszłości. Będzie mogła w przyszłości w pełni świadomości rozdzielać na pewne okresy czasu swoje karmiczne długi i łagodzić spadające na nią ciosy Losu; nie będzie musiała żyć w nieświadomości, co spotka ją w najbliższej godzinie, dniu czy roku. Nie tyle obliczanie wpływu gwiazd będzie tu odgrywało główną rolę, jak wewnętrzna świadomość duchowa i wyrównywać będą mogli ludzie swoje długi, przepelnieni radosną wiarą w lepsze jutro, czerpiąc siły stamtąd, gdzie jest jedyne Źródło, z którego splywa na ducha pokój i radość.

A Ziemia, tylekroć krwią zbroczona, przekleństwami oplwana, może zajaśnić piękniejszem ży-

ciem. I będzie jeden pasterz i jedna owczarnia — wszystkie narody będą wierzyć w jednego Boga żywego. Znikną granice na tym świecie, uciszą się trzęsienia ziemi i morza nie będą grozić zagładą ludzkości. Spokojnie, radośnie, w coraz subtelniejszym ciele astralnym, nie płonącym już różnemi zgubnemi chuciami, namiętnościami, może opuszczać duch ludzki ten świat. A wówczas i duchy o subtelnych ciałach astralnych nie będą z rozpaczą i odrazą iść na ten świat, ale pójdą z ochotą wyrównywać ostatnie swoje cienie karmiczne. Tak więc Ziemia, jeden z tych światów, na których usadowiły się w niezliczonym kołowrocie zrodzeń duchy, oddalające się od Boga i ściągające za sobą inne, przejęte litością dla nich, ta ziemia może i ma zajaśnieć w przyszłości przecudnym blaskiem pomiędzy innymi światami, płynącemi w przestworzu...

Życie — czem jest życie prawdziwe? Trudno dziś mieszkańcom ziemi, nędznym niewolnikom własnego upadku zrozumieć, jak niezmiernie pięknem jest prawdziwe życie w Bogu, życie zgodne z Jego wolą, wolne, radosne życie. Jak starzec w słabym, niedołężnym ciele z trudem uprzytamnia sobie swoje lata młodości, lata zdrowia i tężyzny cielesnej i nie potrafi już odtworzyć sobie w całej pełni dawnego stanu uczuć, dawnego rozpędu i radości życia — wie tylko, że to było i tęskno mu za temi chwilami, smutno mu na widok swojego niedołęstwa — tak i ludzkość na ziemi ma już tylko w duchu niejasne wspomnienie jakiegoś lepszego życia, ale już nie potrafi go sobie nawet w marzeniach wyobrazić, ni wczuć się w nie; przeczuwa, że to Szczęście gdzieś jest i jest dostępne duchowi ludzkiemu — marzy o niem i tęskni doń, tylko ugrzęzła w niewoli grubej materji nie może już osłabłemi ze starości oczami dojrzeć.

Lecz czas już najwyższy, by ludzkość zrzuciła pęta zgrzybiałości duchowej, które sobie sama niegdyś nałożyła. Bije godzina ODRODZENIA. Odrodzenie przyniósł jej Zbawiciel, lecz z powodu nadmiaru zgnilizny w duchu nie mogła Go jeszcze wtedy pojąć. Lecz Chrystus potęgą Swjej ofiarnej miłości i niewinnemi Swemi cierpieniami zdjął z niej najgorszą pleśń i przez dwa tysiące lat tchnieniem Wiecznego Żywota ogrzewał wyzięble serca, budził, odmładzał i odradzał.

A teraz przychodzi chwila, iż zsyła nam Pocieszyciela, który znów głośniej puka do bram naszego serca, budzi ducha z wiekowego uśpienia i starczego omdlenia.

Od chwili, gdy dobry Chrystus zdjął z ludzkości tyle nieprawości i przekreślił wiele groźnych planów piekieł, ludzkość jest więcej zobowiązana, by wybawić się ze złego i powrócić do Boga.

W Nowej Erze, kiedy Duch-Pocieszyciel głośniej do ducha przemawia, gdy przychodzi i czeka, aby pójść z Nim, jeszcze większa odpowiedzialność spadnie na każdego, kto będzie wewnątrz swego ducha zamykał na odgłosy, trzęsące jego sumieniem.

Podnieś oczy, Czytelniku kochany, podnieś je ponad materję; podnieś je częściej w górę, spójrz w szerokie przestworza, w błękitną dal niebios lub ciemne sklepienie, zasiane gwiazdami i wołaj, wołaj z głębi ducha:

„Przyjdź, Pocieszycielu, obiecany przez Chrystusa, przyjdź, Ty boska świadomości, rozświeć i odpędź wszystkie wątpliwości co do wiecznych prawd życia. Zjaw się, Zbawicielu i prowadź mię. Zjaw się w moim duchu, jako głos wewnętrzny i daj mi tę świadomość, kto mię prowadzi Niech wola Ojca mego zapanuje wszędzie, niech Jego wola przenika świat cały i niechaj według Jego woli żyją wszyscy ludzie, wszystkie narody! Przyjdź, Duchu Święty! Niech duch mój wyznaje Cię i miłość ku Tobie uświęca czynami i dobrami myślami. Niech zginie wszystko zło, niechaj rozplynie się w blasku Twojej miłości“!

Och, żeby to ludzie wiedzieli, jak prędkoby z nich spadały pęta niewoli ducha, gdyby bodaj raz na dzień przystanęli na chwilę w chaosie ziemskiego życia i krótką, szczerą modlitwą posilili swego ducha, modlitwą-wołaniem w przestworza o siłę. Spłynęłaby ona nań wówczas ze Źródła wiecznej, nieskończonej Miłości Boga i z pewnością pomagałaby mu spełnić niejedyn dobry czyn i szybciej pospłacać swoje stare długi.

Chrystus wznosił swe białe, fluidarne dłonie nad falami wzburzonego morza i łagodnym spojrzeniem i słowem uciszył gwałtowną morską burzę. On uciszy burzę w naszym duchu, On pomoże uciszyć burzę na całym świecie. Wzniescie i wy ramiona w górę, proście, by najczystsze siły z przestworzy spłynęły na was i okąpały waszą duszę. Gdy już uczujecie się trochę posilonymi, wyciągnijcie ramiona przed siebie i posyłajcie w myślach innym pozdrowienia duchowe, życząc im, by się uciszały tak bolesne nieraz burze w ich duchu. Pomagajcie słabszym od siebie, by nie zatoneśli w rozhukanych falach morza życia.

Niechaj Prawda i Miłość zwycięża, a Zło niech znika!

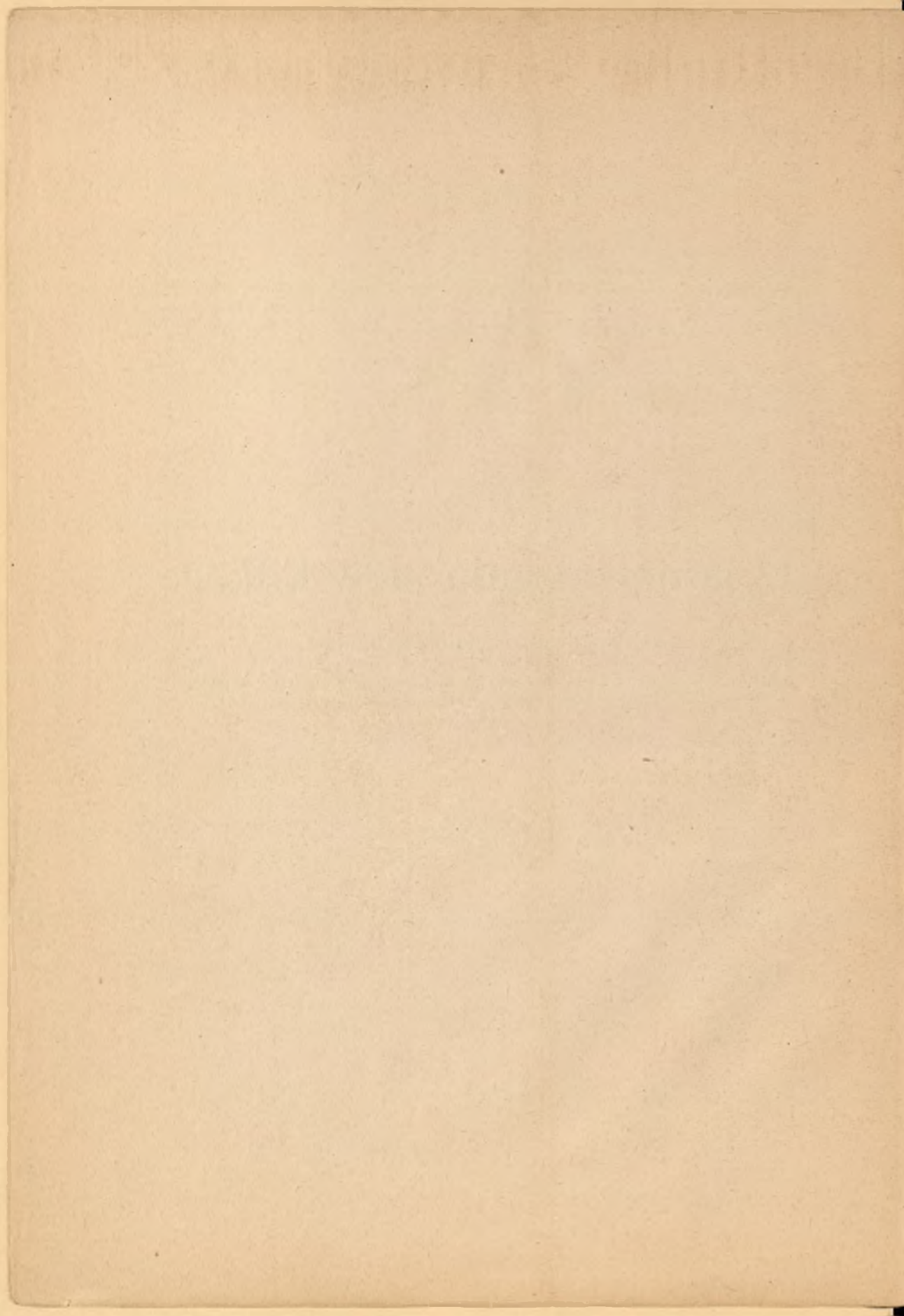
A. P.



CZĘŚĆ I.

O jasnowidzeniu słów kilka.

(Podał duch opiekuńczy Agni.)



Życie i Śmierć.

Śmierć — narodzinami do prawdziwego życia, rodzenie się — umieraniem dla ducha. Pajęczce sieci, nastawiane przez Niskie Moce na wędrowców świata. Zwierciadło Sprawiedliwości. Dla każdego nadejdzie chwila przebudzenia się duchowego.

Gdy ktoś drogi odejdzie wam z tego świata, czyli „umrze“, jakież smutek ogarnia wasze serca! Zdejmuje was lęk, trwoga przed strasznym, nieubłagalnym przeznaczeniem śmierci dla człowieka...

Wszyscy ludzie, możni i biedni, skazani są na śmierć. Już nad kołyską niemowlęcia zawisa nieodwołalny wyrok, wyrok śmierci w oznaczonym czasie.

Lecz to, co wy nazywacie śmiercią, to dla niejednego zowie się — życiem.

Smutno spoglądacie na zastygłe zwłoki: oniemiałe usta, zamknięte powieki. Smutni stoicie nad mogiłą, do której złożone zostały nieraz wszystkie wasze nadzieje i wielka miłość, gorące przywiązanie; oko wasze nie dozwala wam nic więcej dojrzeć, jak trumnę, kryjącą drogic zwłoki, oraz grudki ziemi, spadającej na nią. Macie zazwyczaj wszczepioną wiarę, że ten ktoś duchem oddalił się od ciała, lub wziętym został w nieznaną wam krainę: do nieba, czyśćca, lub piekła. Ale często wcale nie wierzycie, że duch istnieje, żyje; nie wiecie, że on trwa już wieki całe, ciałami swemi wypełnia mogiły i żyje, żyje bez przerwy.

Smutni stoicie nad grobem, a oko wasze widzi, jak ten, którego ciało złożone w grobie, patrzy na was, często nie rozumiejąc waszego żalu i prosi: „Nie płaczcie, nie płaczcie!“ Nieraz tuż od mogiły, jeszcze w waszej obecności jest odprowadzanym przez tych, którzy go w śmierci wyprzedzili, a są z nim związani pasmami rodzinnej przyjaźni, czy sympatji i przybyli, by mu ułatwić zaznajomienie się z jego nowym stanem życia.

Szczęśliwy ten, kto z pełną świadomością duchową odchodzi od swojego ciała i wita to swoje nowe życie w imię Boże — bo wie, że świat ducha, to jego właściwa ojczyzna.

Gdy go przeznaczenie znów zawoła, lub gdy z własnej dobrej woli postanowi pójść na zrodzenie, to wy nie wiecie, jaki to smutek zapanuje pomiędzy temi duchami, żyjącymi według woli Bożej, w których otoczeniu znajduje się ich bliski, mający znów przyjąć według praw odwiecznych, praw starych, małe ciało. I wy tu nie-

raz, wyczekując maleństwa, przygotowujecie dla niego wszystko, co jest potrzebnem do jego przyjścia na świat, do jego życia na ziemi. Lecz do ostatniej chwili nawet nie wiecie, w jakiej postaci zrodzi się to wasze dziecię, tem bardziej zaś nie wiecie, skąd duch ten przybywa i jakie jego przeznaczenie.

A wszystkim tym, którzy mają na celu oczyszczanie się z grzechów na ziemi, którzy mają na celu pełnienie tam według sił i możliwości woli Bożej, — tym ciężko odchodzić z ich właściwej ojczyzny. O, bo ileż tu pokus na ziemi, ileż się tu czai zdrady! Na każdego takiego ducha patrzą nieżyczliwym wzrokiem t. zw. niskie Moce i na każdym kroku chcą mu przeszkadzać w jego posłannictwie, w jego pracy. Nieraz nim jeszcze zupełnie wytworzy się ciało małe w łonie matki, już skierowują w jego stronę swoje strzały, chcąc go zastraszyć i odpędzić od tego ciała. Częstokroć samą matkę popychają do złego, by pozbawiła się nierozwiniętego jeszcze płodu.

Najwięcej ich skupia się w ważnej chwili rodzenia się; lecz i dobre duchy z tem większą siłą czuwają wówczas nad noworodkiem. I nikt z wyczekujących t. zw. rozwiązania, owego ostatecznego momentu w kulminacyjnym punkcie boleści porodowych, nie pomyśli zapewne, jak zacięta walka wre nieraz nad głową tej matki w świecie ducha, jak nie chcą niskie Moce dopuścić dziecięcia na światło dzienne. Siły ich słabną w walce, gdy noworodek wyda głos przez małe usta i otworzy oczy. Wówczas poprzestają już tylko na różnych innych przeszkodach, a najczęściej męczą jeszcze takiego ducha we śnie. Wszak nieraz można widzieć boleśnie skrzywione usteczka niemowlęcia i słyszeć urywany oddech jego, aż piersiątką się gwałtownie poruszają i już, już ma wybuchnąć żalonym płaczem, gdy nagle oddech się uspokaja i dziecię się we śnie przemile uśmiecha. O, to przyjaciele niewidzialni przyszli z pomocą, rozpedzając ciemne zastępy i duch uśmiecha się do nich, co odzwierciedla się w małej twarzyczce dziecka, bo duch zawsze jest złączony z ciałem, póki nie nadejdzie kres ostateczny, t. j. złożenie ciała w zimnej mogile.

Niejednego ducha straszą we śnie obrazy jego własnych przeżyć z poprzednich żywotów, jego własne cienie, które dość często widuje niemowlę w okresie sześciu tygodni po swoim narodzeniu. To też nieraz budzi się z żalonym płaczem. O, lęka się swojego dorobku, boi się życia — wiedząc, że wszystko trzeba będzie odrobić, pozrywać wielkie góry grzechu i wypełnić niemi przepaście, jakie zaczęły się za nim tworzyć z życia do życia. Nikt tego nie uniknie, każdy musi sam wyrównać za sobą ścieżki.

Za niejednym wędrowcem snują się nietylko cienie, ale i dobre sylwetki duchowe, strzegące go na ziemi. Często widzimy na ziemi, na której i myśmy niegdyś żyli, ludzi, przebywających na niej z przerwami przez wieki całe, a którzy wstępują na nią przez mnóstwo zrodzeń z myślą, by nietylko oczyszczać ducha swego, lecz żyć pożytecznie dla bliźnich, według woli Bożej. Takim najciężej jest przejść przez życie w ich ziemskiej wędrówce. Na takiego człowieka raz po raz zastawiają moce piekiel wielką sieć czarnej pajęczyny

swej magicznej sily, do której pragną chwycić lekką muszkę i wssać z niej soki żywotne. A biada tej muszce, która zaplącze się w ich pajęczynę i w bezmyślnem szamotaniu lub strachu jeszcze bardziej się w nią zamota. Wtedy już niebezpieczny myśliwy-pająk wychodzi z ukrycia, idzie sobie swobodnie po swej pajęczynie i oplątuje do reszty nieszczęsną muszkę, by, gdy ona się tego najmniej spodziewa, odebrać jej życie. Niebezpieczne dla nich są te muszki pełne energii, te duchy mocnej wiary, pamiętające o Jezusie, które skrzydłami swemi uderzają o pajęczynę, a chociaż chwilowo pajęczyna próbuje je ujarzmić, one ożywym ruchem odrywają się od niej, rozdzierając wszędy i wzdłuż piekielne sieci i z głośnem brzęczeniem odlatują z siatek piekła, wznecając popłoch między pajakami. Oj, boją się też, boją pająki ich brzęczenia, najsilniejszy pajak chowa się przed nimi w ciemnej kryjówce.

Jeśli muszka szamotaniem się poczyni szkody w pajęczynie, a jednak wyrwać się z niej nie może, niskie moce nie martwią się owemi szkodami i chętnie naprawiają starganą pajęczynę. Gorzej dla nich, jeśli muszka uwolni się z nastawionych pęt, bo wówczas już i innym może zdradzić niebezpieczeństwo, czatujące na nich. Straszny pajak-myśliwy siedzi w ukryciu i swoją sieć, pajęczynę śledzi ponurym wzrokiem — a kiedy muszka do niej wpadnie, wysunie głowę gotowy do skoku i pojmania jej. Jeżeli muszka się z tych pęt uwolni, pamięta już te groźne oczy, te straszne moce piekła i z większą już ostrożnością omija na przyszłość pajęczynę.

Najniebezpieczniejsze dla piekieł są muszki, które z rozmysłem uderzają o ich sieci, rozrywając je za każdym uderzeniem. Te duchy, świadome złego, świadome niebezpieczeństwa, czyhającego tam na każdego, powodowane pragnieniem pójścia z pomocą bliźnim swoim, uderzają w zawiasy piekieł, zdradzając ich tajemnice i ostrzegają przed złem. Lecz kto wierzy w Boga, według Jego woli chce żyć, Jego wiernie miłuje, dla tego są za słabe pajęczyny niskich duchów i te nie potrafią go w nie zaplątać na wieki, jakby sobie tego życzyły, chociażby raz po raz uderzał w bramy piekła — byle w Imię Boże...

* * *

I tak co dzień, co godzinę, co minutę przez wieki całe rodzą się małe dzieci — i też codzień, co godzinę i minutę wypełniają się ciałami ludzkimi mogiły. Przychodzą ludzie, odchodzą, a wszystkie ich czyny, ich myśli odbite są w olbrzymim kalejdoskopie astralnego i mentalnego świata. Wielkie lustro sprawiedliwości chwyta wszystkich na swej kliszy, niczem ziemski aparat fotograficzny, niczem odbicia na ekranie scen z życia.

O każdym noworodku wie Przeznaczenie, chociażby matka wśród ciemnej nocy zawinęła niemowlę i wyniosła na mróz, czy wrzuciła w wodę, lub w inny sposób chciała zgładzić je ze świata, ciesząc się, że jej t. zw. zbrodnia się nie wykryje. Choćby istotnie nie została wykryta przez stróżów prawa ziemskiego, to każdy ruch tej matki, każdy jej krok, jej myśli własne i nasuwane jej zostaną

wiernie odbite w lustrze sprawiedliwości. Każdy ujrzy tam siebie w nagości swych czynów, ujrzy to przy swoim przebudzeniu się duchowym.

I każdy może wyczytać w tym kalejdoskopie swoje przeszłe egzystencje, całe swoje życie, przyczyny dobrego i złego. Lecz najprzód trzeba poznać samego siebie, przebudzić się duchem i odczuć tchnienie Boże w sobie, poznać właściwe swoje jestestwo: że się jest dzieckiem Boga, Boga wielkiej miłości, siły i prawdy — starać się pozostać Mu wiernym i pragnąć żyć w Nim. Zrozumieć, że Bóg nie stworzył duchów z ociężałymi ciałami, wlokących się po ziemi, nie widzących dalej, jak tylko na kilka kroków i to tylko, na co powłoka cielesnego oka pozwala — ale przeciwnie, że stworzył duchy wolne, podobne do Siebie, lekkie, spokojne, w wolnej dobrej woli nieograniczone. A upadek w materję — że sami sobie zawdzięczamy, mylnemu pojęciu wolnej dobrej woli.

Materja — to zguba dla ducha, materja w dodatku ciągle źle używana, zarówno jak i wolna wola źle użyta, zamyka bramę do wolności ducha. Poznać samego siebie — a ze światem materjalnym liczyć się tylko tyle, ile tego wymaga potrzeba dla wyrównania scen karmicznych, dla spłacenia długów, zaciągniętych na łonie materji — i tyle się z nią liczyć, ile jej jest jeszcze potrzeba dla podtrzymania ciała, by w niem zapłacić wszystko do ostatniego szeląga temu światu; lecz pamiętać zawsze, że właściwe życie powstało z ducha i w duchu tylko może istnieć.

Dla człowieka, strudzonego życiem i przygniecione go różnemi dogmatami i nasuniętymi mu wierzeniami, są te proste prawa trudne do pojęcia. A jednak dla każdego nadejdzie ostateczna chwila jego przebudzenia się duchowego — i całe rzesze dobrych duchów życzą wam, pątnicy ziemscy, żeby ta błogosławiona chwila jak najprędzej nadeszła, bo im dłużej żyjecie w nieświadomości na ziemi, tem więcej przedłużacie sobie cierpienia, tem dłużej zamykacie się w niewoli ducha i innym pozwalacie siebie w niej zamykać.



O różnych stopniach i rodzajach jasnowidzenia.

Jasnowidzenie to przebudzenie się ducha — różnorodność tego stanu. Procy, wpatrzeni w klisze astralne Niższych Mocy — i jasnowidze, czerpiący natchnienie z Wyższych Sfer duchowych. Człowiek — jego ciała, to ciężar dla nieśmiertelnej iskry ducha. Własne ciemności, otaczające wiele duchów w zaświecie. Żłudne światło, podawane przez niskie duchy. Oświecony niem „jasnowidz-cudotwórca”. Napój miłosny i jego straszne skutki. Powstawanie wampirów. Nie-normalny rozwój władz duchowych — wielu „wtajemniczonych” hinduskich zabawką w rękach niskich duchów. Niskie duchy przybierają na siebie chętnie wobec początkujących jasnowidzów rolę świętych, a nawet samego Boga. Wynikłe z takich objawień błędne pojmowanie Boga. Żaden prorok przez całe miliony lat nie rozmawiał wprost z Bogiem, jedynie Chrystus rozumiał, widział i słyszał Boga. Wiele z nauk Jego ludzkość dotąd źle pojmuje, bo Moce piekieł usiłują celowo znaczenie Jego słów przekręcać. Widzenia t. zw. świętych, wychowanych w błędnej wierze w Boga, niezawsze sięgają wyżyn Boskiej Prawdy. Niebo astralne. Sąd ostateczny, obrazy kary na grzeszników. Anioły skrzydlate i Matka Boska z Dzieciątkiem, odwiedzający „świętych”. Anna Katarzyna Emmerich, jej przeszłość i wytłumaczenie jej widzeń oraz stygmatów. Przeszkody piętrzone przed duchem, który pragnie spłacić stare długi temu światu. Dobry łotr. Zły łotr.

Jasnowidzenie to przebudzenie się ducha, lecz różne są te przebudzenia. Jeden patrzy wzrokiem ducha z czystą jak kryształ wiarą w olbrzymią, niezmierną kulę-wszechświat. Do tego dopomaga mu słodka miłość do Ojca, zlanie się w myślach z Jego Synem, Duchem, który żył niegdyś na ziemi pod imieniem Jezusa Chrystusa, w postaci pozornie człowieka.

Obok takiego jasnowidza stanąć może drugi, niby przebudzony, z kryształową kulą na dłoni. Ten także widzi, — owszem te mniejsze klisze astralne mogą się w owej kuli odbić. I taki w niejednej chwili nawet lepiej orientuje się na planie fizycznym, niżeli jasnowidz pierwszy, przepełniony czystą jak kryształ wiarą, wpatrzone we wszechświat, w Boga. Ów drugi, z kryształową kulą w ręku, niczem się pozatem nie różni od wielu innych śmiertelników; nie zastanawia się głębiej nad ważnym problemem poznania siebie samego, chętnie bierze też za swoje obznajomienie się z tajemniczą wiedzą i za wskazówki, udzielane innym, zapłatę na ziemi, myśląc o jak najdłuższem życiu i jak najdogodniejszych warunkach bytowania dla siebie, ale tylko na ziemi.

Jasnowidzenie nie jest jednoznaczne z wysokim rozwojem duchowym. Wszak i zbrodniarze we więzieniu często widzą swoje

ofiary, które nie dają im wypoczynku we śnie, raz po raz im się zjawiając.

Na długo jeszcze przed przyjściem Chrystusa na świat w postaci Człowieka żyli już na ziemi różni prorocy. Lecz nie wszyscy jednakowo wysoko sięgali wzrokiem ducha. Niektórzy nawiązywali kontakt z wyższym światem duchowym i z Górnych Sfer czerpali światło prawdy. Inni, wpatrzeni w klisze astralne, wysunięte przez świat niższy, odczytywali z nich przeszłe i obecne zdarzenia, a także i przyszłe wypadki na świecie i zaznajamiali z nimi ludzkość. Gdyby ich oko mogło sięgnąć wyżej, pewnie niejedyn z widzianych obrazów przyszłości przekreśliliby sami w myślach. Duchy piekieł bowiem, stale czujne, by nie zostało zburzonym ich królestwo na ziemi i w ich państwie, badają na swych kliszach skrupulatnie każdy oddech ludzi na ziemi, a także i tych, którzy im śpieszą z pomocą, chcąc ich wyzwolić z nieświadomości i przypomnieć im właściwy cel życia. Stwarzają one też na swych kliszach z własnej swej woli różne obrazy, pragnąc, by się spełniły w przyszłości.

Ludzie, żyjący na ziemi, niełatwo mogli i mogą się zorientować, którzy to prorocy czerpali wiedzę swą z kliszy niższych Mocy, a którzy na skrzydłach wolności ducha wspięli się wzwyż i w imię Boże, dla ostrzeżenia, czy dodania otuchy bliźnim swym na ziemi podawali wskazówki, pochodzące z wyższych sfer duchowych, — którzy to pracowali i pracują na chwałę Bożą, a którzy na chwałę swoją, służąc przytem nieraz ziemskim władcom dla własnego dobrobytu na ziemi.

Ci ostatni prorocy wiele złego zrobili i jeszcze robią na ziemi. Są niejako pośrednikami zła, które ściągają do świadomości człowieka już na planie fizycznym, a hypnotyzując ludzi swemi przepowiedniami, opierającemi się na tem, co wyczytali w owych kliszach, budzą w nich wiarę, że istotnie tak się stanie, a nie inaczej. Im mocniej taki prorok wpatrzonej jest w astralne klisze i im trafniej oznaczy czas różnych wydarzeń na ziemi, tak jak sobie ich nieraz życzą ciemne Moce: wielkich kataklizmów, wojen, powodzi, chorób i t. p., — tem więcej ludzie na ziemi wpatrzeni są w takiego proroka i tem mocniej wierzą w jego przepowiednie. W takim proroku ma piekło swoje dobre narzędzie. Wszak on może swojemi słowami prosto hypnotyzować mieszkańców ziemi, a nawet rzesze nieświadomych duchów; dostrzegając przygotowywane i podsuwane mu przez niższe Moce obrazy i opowiadając o nich, każe niejako wierzyć, że tak, a nie inaczej się stanie — a ludzie swoją wiarą dopomagają tylko do urzeczywistnienia się nieszczęśliwych wypadków. Bo nieraz formalnie ze wstrzymanym oddechem wyczekują tego nieszczęścia, które w istocie mogłoby być daleko mniejszem, gdyby lud nie czekał tak na jego spełnienie. A już i sam taki prorok, zwykle naładowany dynamiczną siłą magnetyzmu, sam przez się zmusza potem myślą ciemne duchy niewidzialne, — które, jeśli trzeba, potrafią się i przed nim ukryć, — do spełnienia wydarzeń przyrzeczonych, a wytwarzanych przez nie same.

A nad temi cudami, nad różnemi kataklizmami, wojnami pracuje sprytnie i z premedytacją wielka maszynerja czarnej magji. Niemasz tak dobrych techników, inżynierów na ziemi, jak oni, te istoty bezcielesne, tak ogromnie z materją związane i zasilane oddechem swej własnej, przez siebie wytworzonej złej woli. Nieraz t. zw. nowicjuszowi na ziemi, duchowi ledwo budzącemu się i szukającemu prawdy, podsuwają one swoje myśli, obrazy przez siebie stwarzane. A ten, dostrzegając je, myśli że już niebiosa mu się otworzyły i sam Bóg do niego przemawia. Umieją tak ślicznie i delikatnie napozór rozsunąć te swoje obrazy i myśli, że ten ktoś jest przekonany, iż jeśli już nie przemawia do niego sam Bóg, to napewno Jego anioły, lub święci z nieba.

Nigdy jednak nie mogą na trwałe ucześcić się nikogo z ludzi, budzących się duchowo na ziemi, rozglądających się za nowem, lepszym życiem, szukających nowych dróg, — jeśli ten ktoś jest już dostatecznie oczyszczony poprzedniemi zrodzeniami i budząc się, nie ma na dnie ducha bagna zarozumiałości i pychy, mącej pojęcie o czystym źródle prawdy i miłości. Jeżeli zrozumienie tej wielkiej prawdy: „Stańcie się dziećmi, albowiem ich jest królestwo niebieskie...” zacznie prześwieślać jego jestestwo, jeżeli z dziecięcą ufnością, wiarą i pokorą myśli on o swoim Ojcu w niebiesiech, o Jego bezgranicznej miłości i sile we wszechświecie, o, to niełatwo potrafią go zająć niskie moce swojemi cudami, ni chwycić go i zamotać w swoje sieci. Coprawda nie zapominają o nim do ostatniej chwili jego życia na ziemi, a nawet i potem jeszcze; mając na swej kłiszy świadectwo jego pracy, jego myśli, poprzysięgają mu nadal zemstę, gdyby zechciał ku innym, jako duch, zbliżyć się we śnie, czy na jawie i wskazywać im tę samą drogę, którą on szedł, by wyzwolić się z ułudy życia, z mocy piekieł.

Najlepszą bronią przeciw złej woli i wszelkim sieciom, nastawianym przez niskie duchy, jest czysta jak kryształ wiara w Boga, dziecięca miłość i pokora. Jeżeli w te cnoty jest ktoś wyposażony, to może zejść aż na dno piekła, a choć pozornie będzie miotany tu i tam w tej brudnej otchłani życia, to jednak duch wychodzi z niego cało, bo jak złota ogień nie spali, tak i piekło nie może zniweczyć tych cnót, nie może zniweczyć tego tchnienia życia, danego każdemu przez Boga.

Człowiek... Ciało, w które przyobleczony jest duch na ziemi, to ciało nie znaczy w oceanie życia nawet tyle, co kropla wody. Jest jakby drobnym pyłkiem, małym ziarnkiem piasku na pustyni. Lecz naokoło tego pyłku, tego ziarnka piasku, znajduje się owal ogromny, bryła czystego złota. Dobrze jest, kiedy pyłek maleje a owal złoty zaczyna lśnić. Żle, jeśli owal złoty maleje i ujarzmiony zostaje w bryle skalistej, porzucony w cieniu, niejako ukryty przed promieniami słońca, w których mógłby zalśnić pełnym blaskiem. Ludzie niemal wszyscy są ciałami do siebie podobni — tak przynajmniej można osądzić, patrząc okiem ludzkim. Lecz u jednych jest ciało małym ziarnkiem piasku na pustyni życia — żyją w owalu boskiego „ja“, boskiego swego ciała, na które bezpośrednio świeci ogromne

Słońce wiecznie świecące i nigdy w swej energii nie słabnące. U innych ciało fizyczne i namiętności z niem związane, tworzące inne ciała, niewidzialne dla oka ludzkiego, przedstawiają bryłę, w której nieraz złoty blask ducha już, już niemal ginie. Lecz zginąć nie może i nie zginie. Ciało widzialne dla oka ludzkiego, ciało fizyczne, nie przedstawia dla ducha jeszcze takiego ciężaru, jak te inne ciała; one to najbardziej ujarzmiają ducha i one sprawiają, że choć odłoży on swoje ciało fizyczne, nie może mieć jeszcze wolnej drogi w szerokie przestworza.

O, tam dopiero, w przestworzach zaczyna odczuwać właściwy ciężar swoich ciał; odczuje je i zrozumie jednak z prawdziwą siłą dopiero wówczas, gdy wmyśli się w swoje życie i przyczyn swego ciężaru ducha zacznie szukać bodaj z małym odruchem pokory. O, bo ta pokora, w której jest tyle ukojenia, zawsze stoi na straży i gdzie duch się zaczyna chwiać w niepewności i narzekać na udręki życia, ona zawsze pieszcotliwymi dłońmi głaszcząc, chłodzi, tuli głowę ducha, rozpaloną gorączką życia.

Nikt nie jest przeznaczonym przez Boga na wieczne zatracenie, na wieczne męki, w które wielu usiłuje się samowolnie wtrącić, używszy źle wolnej woli. O, jak często słychać groźne wołanie z tego świata: „Przeklinam wszystko, dzień swego zrodzenia, świat cały, niebo i gwiazdy, przeklinam całe swoje życie! O, lepiej mi nie żyć na świecie i nic o sobie nie wiedzieć!“

Ma to być poniekąd groźba i skarga przeciw Bogu, że On niesprawiedliwie rządzi światem i ludźmi, że zsyła na jednego cierpień nie do zniesienia, a innym pozwala rozkoszować się szczęściem i opływać w dostatki na ziemi. Czyż człowiek taki nie woła tem samem o wieczne swoje zatracenie? Czyż nie sili się gwałtem, by spaść w jeszcze większą przepaść duchową? Z nienawiścią spoziera na słońce i gwiazdy i pięścią grozi Nieznanemu, pięścią wygraża Bogu.

Ale choćby krzyczał ze wszystkich sił swej złej woli, zapominając, jak ma żyć na ziemi i jakim wogóle ma być życie, — i choćby wszyscy ludzie, tkwiący w złej woli, jednogłośnie zakazali słońcu świecić, to ono z nowym rankiem ukaże im znów swoje wspaniałe oblicze, zaświeci im w oczy cielesne, oświetli ich przekleństwem oplwane ciała. Tak samo nikt nie potrafi zgasić słońca Boskiej Miłości, które jest niby niewidzialne, a jednak wciąż świeci jasnymi promieniami we dnie i w nocy.

Niejeden duch tu w zaświecie wydaje się jakby zupełnie ociemniały. Myśli, że jest ciemno, nie widzi przed sobą nawet tyle, co przy zapadającym zmroku widział cielesnymi oczyma na ziemi. Otacza go nieprzenikniona ciemność, niepewność tego, gdzie się poruszyć, by nie spaść w jaką przepaść.

Któż go wrzucił w tę ciemność? Jakaż to właściwie ciemność go otacza? O, to grube bałwany złych myśli, namiętności otaczają boską iskrę w duchu i nie może przez nią ujrzeć jasnego światła wiekuistego życia. Jest ograniczony temi ciałami od owego

światła. Światło słoneczne, które mu służyło na ziemi, nie ma już dla niego tego znaczenia, jakie miało za jego ziemskiego życia — dla niego i to słońce zgasło wraz ze zgaśnięciem źrenic cielesnych.

Wyobraźcie sobie, że znaleźliście się wśród ciemnej nocy gdzieś w nieznanem wam miejscu. Nie wiecie, w którą stronę macie się zwrócić, nie znacie drogi. Słyszycie syczenie żmiji, to znów wycie drapieżnego zwierzęcia; czujecie jakieś ołowiane chmury, z których chłód groźny, chłód śmierci, zda się, już, już spowija was swoim duszącym całunem.

O, jeszcze bardziej przykry jest stan owego ducha. Latarnią, światelkiem dla niego to szczerą, rzewną modlitwą duchów, śpieszących z pomocą tym istotom, ociemniałym w swoim własnym świetle. Jakąż pociechą byłoby dla was w podobnej sytuacji, gdybyście wśród groźnej nocy ujrzeli naraz zbawcze światelko; z jakąż otuchą patrzylibyście, jak się ono do was zbliża!

Dużo czasu nieraz upłynie, nim taki duch, sam przez się na zatrącenie skazany, potrafi przebić swoje własne ciemności i ujrzy dzień biały.

Jeśli jednak nie jest zadowolony z małego światelka, zbliżającego się doń, jeśli się jeszcze nie upokorzy i nie jest wdzięczny za to małe światelko, jeśli jeszcze woła w buncie: „Światła, światła chcę, wielkie światło mi musi zaświecić, nie taki mały ognek! — to znajdują się inni pocieszyciele, którzy w blasku podobnym do światła księżycowego zbliżają się do niego, niosąc mu swoje złudne miłosierdzie. Tłumaczą mu, że oni prędzej gotowi są wysłuchać prośby nieszczęśliwych, niż Bóg, o którym się jeszcze płacze niejasna myśl u takiego ducha, pogrążonego w ciemnościach. I tak jak na ziemi czasem komuś włos zbieleje w ciągu jednej nocy ze strachu, czy zgryzoty, choć jest jeszcze młodym człowiekiem, tak i ów duch, pogrążony w chmurach, otrzymawszy światło z ich rąk, zmienia się wkrótce bardzo. Dają mu opamiętanie, lecz oświetlają mu życie jednostronnie, a wszelkie krzywdy doznane za sprawą nie czyją inną, jak tylko ich i jego własną, zwalają na inne czynniki, na niesprawiedliwe niewidzialne rządy Boże. I torują mu wolną drogę, lecz taką, która wiedzie tylko pomiędzy nich.

Jeśli taki duch prześlizgnie się na świat i zrodzi się jako człowiek, to i na ziemi może wiele zdziałać przez swoją dużą znajomość tajemniczych sił. Ci, którzy mu utorowali drogę do tej świadomości, służą mu chętnie z myślą już o nowych ofiarach.

Tak n. p. osiedla się człowiek cudotwórca gdzieś na odludziu, w skałach, czy w lesie, dawszy poprzednio ludziom w sąsiedztwie jakiś znak życia. Czasem idzie w ich progi nieść pomoc nieszczęśliwym, to znów oni sami go odwiedzają. W czasie pełni księżyca gotuje wśród zaklęć różne zioła, robi z nich czarodziejskie napoje, by niemi pomagać tym, którzy szukają tej pomocy.

I dajmy na to przychodzi rozżalona i oburzona panna czy kobieta do czarodziejki czy czarodzieja cudotwórcy, skarżąc się, że człowiek, którego ona kocha, nie chce jej, kochając inną. Za garść srebrników otrzymuje napój zaczarowany, a nieraz do magiczne-

go obrządku są potrzebne i krople krwi; umaczawszy w nich pióro lub palec podpisuje niemy rewers cudotwórcy, że za tę przysługę gotowa jeszcze inaczej mu zapłacić, gdyby tego od niej zażądał.

Przy gotowaniu podobnych napojów, przy trzymaniu rąk nad temi płynami przenosi się na nie wiele dynamicznego magnetyzmu owego czarodzieja z jego ciał, prześwietlonych magiczną mocą, a wiele duchów, niosących w ten sposób „ulgę“ ludzkości, chętnie pomaga mu w tej pracy, dodając swoich nieczystych sił do tego.

Po wypiciu takiego napoju, podanego podstępnie w jakiś sposób, wpada dany osobnik w szal namiętności i nie ma spokoju ni w dzień, ni w nocy, pragnąc zbliżenia z tą, która mu podała napój. Te pragnienia potęgują u niego ci, którym na tem zależy, by doszło do bliższego połączenia, aby i oni mogli coś użyć. Wszelako nigdy pod wpływem takiego zaklętego napoju nie występuje miłość prawdziwa i głębsze przywiązanie duchowe. Powstaje tylko szal namiętności, który może spowodować straszne skutki. Niektórzy po wypiciu tego cudownego napoju padają nawet trupem. Magiczna siła i magnetyzm czarodzieja o obrzydliwej aurze działa tak strasznie, że nietylko ciało fizyczne nie może tego wytrzymać, ale pęka i owal ciała astralnego. W takim wypadku nie dojdą oczywiście niskie duchy do upragnionych rozkoszy, których spodziewały się użyć do syta za pośrednictwem owego osobnika oraz kobiety, która mu napój podała, chciwa miłości, której nie zna granic ni odcieni.

Tak jak chorzy na syfilis nie mogą spłodzić zdrowych dzieci i zarodek ich choroby wlecze się aż do trzeciego pokolenia, tak i tu szukanie gwałtem miłości zapomocą cudownego napoju, przyrządzonego przez takie nieczyste osobniki, nie może zrodzić zdrowego uczucia miłości, a tylko jest sianiem zarazy duchowej, która ciągnie się ze zrodzenia na zrodzenie. W ten sposób toruje się tylko piekłu drogę ku sobie, a zadaje gwałt straszny temu, u którego chce się zbudzić uczucie miłości, a raczej namiętności.

Dobrze jeszcze, jeśli to jest człowiek odporny na działanie zła. Taki, o ile pod wpływem tajemniczej trucizny nie ucieka z tego świata od martwego ciała, na które piekło już swoje macki wyciągało zarówno jak i na ducha — to po krótkim użyciu odwraca się z obrzydzeniem od tego rodzaju rozkoszy. Lecz im bardziej ktoś jest skłonny zdać swoją wolę na owe groźne fale namiętności, tem więcej mogą działać przez niego złe duchy. W trakcie tej szalonej miłości gotów zadusić tę, która przytknęła ku jego ustom ten kielich rozkoszy. Duszą ją formalnie przez jego ręce niewidzialne siły.

Tak to tworzą się na ziemi stopniowo wampiry. Zdradliwa infekcja działa, a działa tem silniej, im bardziej kto jej zaczyna ulegać. Człowiek taki w trzecim zrodzeniu po wypiciu owego napoju miłości, podanego przez piekło, idzie już przez życie z instynktami zwierzęcia i to z najokrutniejszymi instynktami zwierzęcia drapieżnego. Z drapieżną rozkoszą gwałci ofiarę, przecinając jej gardło brzytwą i pijąc jej ciepłą jeszcze krew, lub rozrywając jej ciało zębami. Całe masy ponurych duchów pomagają w wynajdywaniu ofiar

dla takich orgij, stanowiących biesiadę dla nich wszystkich, a potem skwapliwie ułatwiają zacieranie śladów zbrodni.

Tak to piekło zdobywa swoich wyznawców. Owi cudotwórcy potrafią nietylko zgotować skuteczny napój miłosny, ale i widzą czasem losy ludzi przybyłych do nich, a biada, jeśli ktoś chce zadzwąć z ich mocy, ich umiejętności, ich wiedzy, a może odmówi jeszcze w dodatku nagrody za fatywę. Takiego śmiałka chwyta czarodziej za rękę, a patrząc nibyto w jej linje, mówi groźnym, podniesionym głosem: „Ha, tu jest napisane, że zginiesz straszną śmiercią!” Albo też za wychodzącym czyni znak magiczny, rzucając mu w drogę te słowa pogroźki. Wówczas to chociażby dany osobnik nie miał przeznaczone zginąć straszną śmiercią, to taki cudotwórca sam stwarza dlań niebezpieczeństwo tych cierpień swoją własną złą wolą.

A to wszakże też niby jasnowidz, mieszkający w pustelni, któremu nie jest nieznaną tajemna wiedza duchowa.

Po tych przychodzą mniej niebezpieczni jasnowidze i cudotwórcy.

„Złóż mi ukłon, uznaj moją moc, a dam ci radość życia, bogactwo i sławę. Uznaj mnie panem nad panami....“

Często ten pokłon wielmożnym mocarzom piekła składają duchy, zaczynające spłacać swoją Karmę, którym wobec nadmiaru zła, popełnionego ongiś przez nich, opadają ręce i oni uczuwają znużenie, a to tem bardziej, im mniej szukają oparcia w wielkim miłosierdziu i potędze Boga i im bardziej brak im cierpliwości. Tacy ludzie już nie są w zaświecie otoczeni gęstymi ciemnościami, lecz niema też jeszcze naokoło nich jasności. Lęk zdejmuje ich na myśl o ogromie czasu, jaki jeszcze w cierpieniach będą musieli przetrwać, zanim dojdą do zupełnej wolności ducha. Ten lęk, ten podmuch piekła zatrzuwa im oddech życia. Niejeden widzi już przyczyny złego i dobrego i odczuwa to, że **niema innego wyjścia z upadku, jak tylko by przez cierpienia dojść do oczyszczenia duchowego**. Im więcej wchłania w siebie zatrutego powietrza, tego podmuchu strachu, wyslanego z piekła, tem bardziej w nieprawdziwym świetle zaczyna widzieć swoje przestępstwa, swoje błędne życie, usprawiedliwiając sam siebie, a innych w myślach oskarżając.

„.....Nie odchodź, nie, nie odwracaj się ode mnie, złóż mi ukłon, upokórz się, a ja cię z twej opresji ducha wybawię, daruję ci bunt twój....“

I z takim duchem zaczyna już piekło postępować z większą ostrożnością. Kiedy się zrodzi, pozwalają mu otwierać drzwi, wiodące do gmachu tajemnej wiedzy. Kiedy już zacznie wyzwalać się z praw przyrody i nauczy się dostatecznie koncentrować uwagę na danym przedmiocie, zaczynają mu podawać myśl uwolnienia się, myśl wolności ducha w swoim własnym zabarwieniu.

— Rób ćwiczenia takie i takie, umartwiaj się, umartwiaj swoje ciało. Zapanuj nad niem — wszak jesteś królem przyrody, masz wiele siły i siłą tą możesz czynić cuda. Wolna wola to potęga, to wszystko!

Jeśli ów osobnik zrodzi się w Indjach, a najchętniej kierują go w tamte strony, podsuwając mu w myślach życzenia, by zrodził się

w tej krainie wyzwolenia duchowego — to zamiast by miał w dalszym ciągu cierpliwie spłacać karmę i iść uczciwie naprzód, — doszedłszy do wieku, w którym najwięcejby jej mógł spłacić i przy tem jeszcze czynić dobrze, siada on w kuczki na ziemię, wyciąga dłoń i trzyma ją nieruchomo, zatrzymując również wszelki bieg myśli, zahypnotyzowując się jedną myślą, że ciało jego musi pozostać żywe i siedzieć nieruchomo na jednym i tem samym miejscu (naturalnie wraz z ujarzmionym w niem duchem, z czego już sobie nie zdaje jasno sprawy), aż do oznaczonego czasu, który sam przez sugestię sobie ustala.

No i robi pierwszy krok na drodze ukazywania cudów swej własnej siły temu światu. Ptak uścielił sobie gniazdko na jego ręce i już młode z wesołym szczebiotem wzbily się w górę za rodzicami, lecąc za swoim przeznaczeniem. Lecz on nawet nie spojrział za odlatującymi ptaszętami; zeszywniały, nieruchomy — no i hardy, bo jest panem sytuacji — dalej siedzi. Dopiął celu. Pokrzepiony podziwem obserwujących go tubylców i podróżnych, czuje głębokie zadowolenie.

I już z takiego manekina-człowieka znów tworzy się pułapka dla wielu podróżnych, szukających obfitych źródeł tajemnej wiedzy. Taki człowiek-manekin nie tyle jeszcze cieszy się z widoku patrzących nań ludzi na ziemi i nie tyle ich podziwem się karmi, co uznaniem tych istot niewidzialnych, nawołujących go do wytrwania, które otaczają go z palmami zwycięstwa, aby mu je złożyć u nóg, gdy wytrwa do oznaczonej chwili. Naprózno bystrzejsi podróżni próbują mu wyperswadować nonsens tego bezruchu — on wpatrzony i zasłuchany w istoty niewidzialne, tak wiele mu obiecujące, nie daje się przekonać nikomu, trwając w zeszywnieniu aż do oznaczonego czasu — po upływie którego niewidzialni wtajemniczeni pociągną go w jego sugestji i w nasuwanych mu obrazach o krok dalej, czyli wyżej na drodze wtajemniczenia.

I tak, jak człowiek ciągnie małpkę na łańcuszku przez miasta i wsie, tresując ją wedle swej woli i każąc jej wprawiać widzów w podziw skokami i tańcami, tak i niskie moce używają podobnego wtajemniczonego jako swego narzędzia. Wielka to dla nich radość, kiedy widzą, że potrafili ujarzmić kogoś do tego stopnia, iż jak bezwolna małpka służy im do zabawy, a ludziom na ziemi sprawia pustą i zgubną sensację.

Lecz taki człowiek-małpka nie wyrządza jeszcze tyle szkody, ile ci, którzy z większą już premedytacją i świadomością — ale źle pojętą — spraw ducha jeżdżą z miasta do miasta i czynią cuda, zadziwiając świat swoją silną, chłodną wolą, wysyłającą nakazy myślowe przez wzrok ich cielesny. Hypnotyzując innych, gwałcąc ich komórki cielesne, łamią wolę tych ludzi i ukazują cuda, jak n. p. zeszywnianie ich ciała, które pod niemym, ale ostrym nakazem myśli hypnotyzera staje się bezwładnem lub sztywnem, a duch bezwolnym, spętany siłą chłodnej woli cudotwórcy. Im dumniej taki cudotwórca występami swojemi wskazuje na swoje „ja“, na swoją siłę duchową — o ile wogóle w ducha wierzy — tem bardziej sku-

piają się naokoło niego niskie duchy. Tym właśnie jest na rękę, jeśli podobny sztukmistrz nawet nie wierzy w ducha, gdyż to pomaga im do lepszego zamaskowywania się przed ludźmi. Ale też gotują mu niespodziankę, gdy odejdzie ze świata. Występują nagle butnie i z szyderstwem tańczą i wywracają koziołki naokoło niego, wydrwiwając go, jak, kiedy i gdzie oszukiwali go i podsuwali swoje własne myśli, kiedy on czynił „cuda“ na ziemi.

Zależnie od tego, jak nisko upadłym w swoich instynktach i namiętnościach jest duch takiego człowieka-cudotwórca, zależnie od tego wywiera on mniej lub więcej zgubny wpływ na swoje otoczenie, nieraz tylko zwykłym swoim spojrzeniem i swoją obecnością.

A ludzie, nieświadomi złego, powodowani zwykłą płytką ciekawością oglądania „cudów“ i chęcią skracania sobie chwil na ziemi, idą oglądać takiego mistrza i niejeden prosi o nauczenie go podobnych cudów. W ten sposób stają się bezwolnymi narzędziami w rękach ciemnych sił, które przynoszą ludziom szkodę, wprowadzając ich w zamęt myślowy, a to do tego stopnia, do jakiego tylko uda im się wpłynąć na danego osobnika.

Tak to różnych cudotwórców i jasnowidzów można spotkać zarówno między najdzikszymi plemionami ludzkimi, jak i wśród ludów cywilizowanych.

Będę kolejno wskazywał w dalszym ciągu na różne kategorie jasnowidzenia, czyli różne stopnie duchowych zdolności.

Jasnowidzący, t. zw. święci, których po największej części tylko ludzie uświęcili, w widzeniach swych niezawsze oglądali obrazy z niebiańskich wyżyn ducha, gdzie istnieje tylko bezsprzeczna prawda.

Znacie świat astralny widzialny i znacie swoje ciało — lecz już nawet nie w tym stopniu, byście mogli przejrzeć przez cielesną powłokę wszystko, co się kryje w tem ciele. Atoli poza tem ciałem są ciała inne, także wasze, których wy przeważnie nie widzicie. Nie możecie spojrzeć w głąb łona ziemi, nie znacie sił, jakie utrzymują ją w ustawicznym ruchu, płynącą bezszelestnie po wyznaczonym jej torze; nie znacie ciał ziemi, nie widzicie swoich myśli, które zarówno jak i wszystkie wasze czyny są jasno, wyraźnie odbite w tych innych ciałach ziemi, a nawet i poza nią, tam gdzie jest odbitka wszystkich światów i wszelkiego życia na nich.

Pobożnych t. zw. wierzących ludzi jest dosyć dużo na ziemi. Jeśli ktoś zacznie się budzić duchowo i zarysowywuje się przed nim i naokoło niego świat ducha, a nawet już zaczyna rozróżniać jakieś cienie, jakby postacie, już słyszy, jak mówią, lecz nie zna jeszcze dokładnie tego świata duchowego i nie ma czystej, jak kryształ, wiary w Boga, nie ma dostatecznej bystrości i świadomości Jego siły, Jego miłości już z poprzednich swoich istnień na ziemi, czy w zaświecie, — to chętnie, bardzo chętnie zbliżają się doń różne duchy i gotowe są odgrywać przed nim rolę świętych, lub nawet

samego Boga. Jeśli tego trzeba dla utrwalenia wiary owego budzącego się duchowo w ich czystość, świętość, a przede wszystkim w prawdziwość tego, co mówią, potrafią się one przystroić w sztuczne ognie świetlanej jasności, które jak rakiety strzelają naokoło nich, stanowiąc dla patrzącego niezbity dowód, że to są dobre duchy, skoro je otacza taka niebiańska jasność.

Jeśli znajdą u takiego medjum jasnowidzącego dobre podłoże dla swej komedji, a przede wszystkim dostateczną ilość pychy, zakreślają plany pracy na szeroką skalę. Zaczynają wmawiać w owo medjum, że przychodzą doń anioły i święci z nieba, ba, że samego Boga ogląda twarzą w twarz i rozmawia z Nim. Bóg go wybrał jako Swego posłańca, on jedyny na świecie jest bez zmazy, on jeden jest tego godzien. Doprowadziwszy swą ofiarę do tego stopnia pychy, zaczynają w nią z kolei wmawiać, iż jest Synem Bożym — Chrystusem — wreszcie samym Bogiem*).

Już przed przyjściem Jezusa na świat niejednen człowiek na ziemi otrzymywał w ten sposób wskazówki niby od samego Boga i głosił Jego prawdy. Im więcej słuchaczy na ziemi mieli ci aktorzy duchowi, odgrywający komedję przed takim prorokiem, tem lepiej mogli wyposażyć zarówno siebie, jak i tego w dalsze siły do otumaniania i wprowadzania w błąd ludzi na ziemi. Tchnienie wiary słuchaczy pomagało nawet do robienia widzialnych cudów przez ręce proroka, czy wtajemniczonego tak, że nieraz wielkie masy ludzi były jak zahypnotyzowane przez tę niewidzialną dla nich grupkę podstępnych aktorów z zaświata, otaczając wielką czcią i kładąc nieraz wprost na równi z Bogiem tego, którego Bóg sobie wybrał jako posłańnika na ziemi.

To też nic dziwnego, że Bóg, objawiony przez podobnych proroków-jasnowidzów, występuje jako istota sroga, mściwa, chciwa krwi.

Zależnie od tego, w jakim otoczeniu, w jakich stronach na ziemi ów prorok głosił i głosi rzekomą prawdę Bożą, zależnie od tego występują w jego obrazach różne błędy i straszne nieraz sprzeczności z tem, co jest naprawdę Boskiem.

Bóg jest jeden i ten sam od wieków na wieki i nigdy, chcąc by Go poznano i zrozumiano, nie przybiera postaci brutalnej wobec choćby najgorszych brutalni. Jasność nie ma cieni — jasność rozbija ciemności.

*) Przep. wyd.:

Na dowód, że nie jest to twierdzenie gołosłowne, przytoczymy jako jaskrawy przykład komedję, jaką się udało niskim duchom zagrać z Kazimierzem Olendzkim w Ameryce. Jest to jedno z takich ciemnych medjów, które pozwoliło wmówić w siebie, że jest jedynym posłańcem Bożym, godnym głosić Jego słowo, a potem już, że jest samym Chrystusem, „tym samym, który był ukrzyżowany (!)“. Odsyłam Czytelników do Dodatku: „Kazimierz Olendzki — wyjątki z jego broszur“. Trudno wprost uwierzyć, że człowiek ten znalazł swoich naiwnych wyznawców, a jednakże tak jest i oni to dostarczyli mu środków materialnych na to, by wydał i porozysłał po świecie swoje broszury, pełne przeróżnych bredni.

Wszyscy bogowie, przedstawiający się budzącej się ludzkości w postaci mścicieli krwią zbryzganych — bo już nią są zbryzgani, jeśli jedną lub drugą stronę nawołują do walki, a to walki złem ze złem — są wysłannikami piekieł, mniej lub więcej szkodliwymi dla zbawienia ludzkiej duszy, pracującymi przeciwko jej wyzwoleniu się z pęt złej woli.

Żaden prorok przez całe miliony lat, ni Adam z Ewą w raju, o których mówi bajka, podawana z ust do ust jako prawda, nie rozmawiał wprost z Bogiem, żaden Go nie widział w jakiegokolwiek postaci człowieka, ni słyszał Jego słowa. Jedynie Chrystus, Duch czysty i bez winy, Jego czystym tchnieniem stworzony, rozumiał, widział i słyszał Boga — a Marja, Matka Jego, wczuwała się tylko w Niego wiarą pokornego dziecka, będąc także już wolną od grzechów tego świata. Boga nigdy nikt nie widział, Boga nigdy nikt nie słyszał, by przemawiał jako człowiek. Boga można wyczuć, zrozumieć, zależnie od stopnia swego rozwoju duchowego. Owszem można ujrzeć, ale tylko Jego dzieła, do których zresztą i my się sami zaliczamy, stworzeni Jego tchnieniem jako duchy. Czy duchy te są w ciała obleczone, czy już wolne od ciał, są, były i pozostaną stworzeniami bożemi.

Człowiek dlatego, że nie może sobie wyobrazić ogromu wielkiej potęgi boskości i że swoim cielesnem okiem widzi tylko rzeczy cielesne, przedstawia sobie Boga w swej wyobraźni znów tylko jako postać ludzką, po ludzku myślącą. Długo trwała ludzkość w swem zaślepieniu, w pętach własnej Karmy, w swoich własnych siłach. I wówczas to Duch przez Boga wysłany, Duch czysty, pragnąc wybawić ludzi z zamętu błędnych myśli i błędnego życia na ziemi, a wiedząc, jak trudno już im dojrzeć i zrozumieć, co dla ducha i z ducha było stworzonem, a co z ciała i dla ciała, przyoblekł chwilowo na siebie tę postać Człowieka, bo inaczej znów trudno byłoby zbłąkanym duchom dojrzeć Boskiego Ducha i zrozumieć Jego myśli.

Błędnem jest mniemanie, że ten Chrystus znów przyjdzie na ziemię, jako człowiek, by nowemi cierpieniami, nowemi katuszami, zadanemi Mu przez ludzi, wybawić ich z niedoli cierpień. Grzesznem jest takie twierdzenie i takie wierzenie, że on jeszcze raz przyjdzie w tym celu na świat w postaci ludzkiej.

Chociaż wszystkie moce piekieł chciały w niwecz obrócić posłannictwo Świętego Ducha i do dziś jeszcze cieszą się, iż udało im się zarówno w świecie duchów, jak i u ludzi przekręcić wiele pojęć o życiu i wiele z tego, co Chrystus nauczał, to jednak Prawda Boska zwycięży — i zwycięża w miarę tego, jak chętnie i z jaką wiarą otwiera kto swoje serce, swego ducha dla tej prawdy. Każdy może Boga zrozumieć, boć zarodek boskości ma w sobie.

Piękne, kwitnące drzewo Wiecznego Żywota ogołociła błędna, zła Wola z kwiatów i liści, które zmroził chłód życia na ziemi — i z pięknych duchów, stworzonych przez Boga, zostały mniej lub więcej sterczące w mroźnym chłodzie nagie kikuty. I pokryła się ziemia białym całunem, życie na niej przybrało wszelkie pozory

śmierci. Nagie konary, pozbawione piękności, pozbawione soków prawdziwego życia, śpią — a wichry tak chętnie połamałyby już napozór zeschłe konary. Zniweczyć, co stworzone przez Boga i zacząć życie nowe, bez długiej wieczności, z ciągłą zmianą, życie według Woli innej, własnej, w wyodrębnieniu od Woli pierwotnej, od wolnej Dobrej Woli! Lecz w korzeniu krążą soki i konary pozornie martwe są niemi wciąż dostatecznie zasilane, by znów po pewnym czasie mogły wydać nowe, piękne życie.

Mały ten obrazek symboliczny nie oddaje dostatecznie właściwej treści porównania. Czemże jest bowiem korzeń drzewa, uspiętego w zimie, wobec tego wielkiego korzenia Boskiej Miłości, który wciąż zsyła na wszystkie strony soki życia i niweczy prądy śmierci! Niedostateczne to porównanie, bo na ziemi ostre mrozy mogą zniweczyć i korzenie i wówczas drzewo już się z wiosną nie może ocknąć do życia. Ale ten mróz, choć zwarzy korzenie, nie zdoła jeszcze zniszczyć w przyrodzie tych atomów, tych sił żywotnych, które pobudzały soki w zmarzniętym drzewie i korzeniu do krążenia — i z niemi to można poniekąd porównać Rosę Boskiego Życia, spływającą ustawicznie na ziemię i niweczającą zgubny wpływ śmierci.

Smutna to prawda, jaką to manną — rzekomo z nieba — karmi całe pokolenia ludzkie świat ducha, wiedzący o tem, że mało kto z ludzi dojrzy świat duchowy i zrozumie jego życie. Wszak zapomnienie dalekiej przeszłości i nieznamomość przyszłości odgrywa pierwszorzędną rolę w tej nieświadomości spraw duchowych, a zbudzić się tak trudno bez właściwej pokory i zdania się na wolę Bożą.

A chociażby kto przez cały jeden, drugi i więcej jeszcze żywotów czynił dobrze, poświęcając się w największej mierze opiece nad bliźnimi, lecz przy tem mylnie pojmował prawa boskie i przyjmował za ostateczne prawdy martwą literę, jakiej go nauczono na ziemi — zwłaszcza jeśli chodzi o te prawdy najwyższe, świadectwa o Bogu, o Chrystusie, które są pod wielu względami mylnie ludziom podawane — to chociażby się zamknął i w murach klasztoru i od rana do wieczora na klęczkach odmawiał pacierze — trzeba jednak być jeszcze bardzo ostrożnym, gdy w autosugestywnej ekstazie, wywołanej miłością do Boga, budzi się jego wzrok duchowy i on widzi, jak mówi, świat inny, poza tym grzesznym światem.

Bo dokądże może się wzbić w tej wyuczonej z pisma modlitwie i znajomości Boga duch jego? Nie znacie w całości potęgi sił ziemi, po której kroczy wasza noga. Bardzo słabo czasem dostrzegacie, a najczęściej tylko we śnie, różne obrazy na kliszy astralnej, których nawet nie rozumiecie i nie troszczycie się o to, by je zrozumieć. Nieraz w tym śnie przeżywacie wiele; lecz rano po przebudzeniu się w cielesnej swej powłoce machnicie na to ręką, a nawet wstydzicie się przyznać, jeśli przykładacie jaką wagę do owych tajemniczycych przeżyć. Bo któżby o tem mówił? Przecież to tylko sen!

Nieraz się zdarza, że człowiek stroniący od świata, zamknięty w murach klasztoru, uczęszczający pilnie do kościoła, by słuchać Słowa Bożego, podawanego przez usta kaznodziei — zaczyna się budzić. Bo jakże może być inaczej? Im mniej się myśli o wygo-

dach ciała, im więcej umartwia się — rozsądnie, czy głupio — swoje ciało, tem wolniejszym staje się duch. Lecz, gdy jego duch może się już rozejrzeć, widzi nasamprzód tylko to, co sam może pojąć i co mu przedstawia jego wiara, wyrosła na podłożu zapatrywań wielu ludzi i duchów niewcielonych. A teraz przychodzi natchnienie.

O, bo czyż mało tych wiernych, modlących się w sposób wyuczony, z przygrywką tylko budzącego się lepszego ich „ja“? Czyż mało ich w zaświecie? Wszak wierzyli, że Bóg Ojciec siedzi na jakimś tronie w niebiesiach, a naokoło Niego wielu świętych, pobożnych wiernych. Budzący się duch przedewszystkiem szuka tego Boga na tronie niebieskim.

Wiecie — wszak i wasi uczeni zimnym rozumem już zbadali, — że wszystkie widziane na ziemi obrazy odbijają się na siatkówce oka. Jeden drugiemu ustępuje kolejno miejsca na tym ekranie życia. Te, które już ustąpiły, trudno uczonemu dojrzeć przez szkiełka i uchwycić na delikatne płyty fotograficzne. Słyszeliście już zapewne o tem, że zbrodniarz wraz ze swem morderczem narzędziem zostaje odfotografowany w siatkówce gasnącego oka swej ofiary. Oko dalszych obrazów już uchwycić nie zdoła, bo przerwane w niem zostają te funkcje niewidzialne, przyjmujące dalsze klisze.

A tu pobożny klęczy całemi godzinami i dniami, ujmując sobie nocnego wypoczynku. Dla wyobrażenia sobie choć w przybliżeniu wiecznego światła życia, wiecznej jasności, pali świece na ołtarzach, przed obrazami Chrystusa, lub różnych świętych — tych szczęśliwych istot, którym dane jest przebywać w wiecznej jasności. Przychodzi chwila, iż duch jego zaczyna się budzić. Obrazy, chwywane przez soczewki oka, o ile często, bardzo często się powtarzają jedne i te same, mają już tę swoją myślową siłę, że przed budzącym się duchem realizują się niejako. W tym wypadku zjawiają się przed pobożnym obrazy ołtarzy rzęsiście oświetlonych i mniej lub więcej unoszą go od ciała, przenosząc go w myślach tam, gdzie tak pragnie się znaleźć — do nieba. Słyszy i głosy z tego nieba, bo i jakże może być inaczej? Duch żyje, a przez to łączy się już świadomie i ze światem duchów. Widzi ołtarze, widzi cudowne obrazy świętych. Ach, cud boski! Święci na tych obrazach żyją, mówią, uśmiechają się i ronią rzewne łzy. O! wszak i Chrystus na krzyżu, taki wielki, jak żywy, zdejmuje rękę z krzyża i woła go do Siebie!

Takie widzenia i rozmowy ze świętymi to tylko odzwierciedlenie myśli, poprzednio już stworzonych w wyobraźni danej osoby przed przebudzeniem się. Wszak celem jej jedynym było dostać się do nieba, gdzie świecą wieczne światła, śpiewać i wychwalać Boga po wieczne czasy. I w miarę poddawania się tej swej boskiej kołysance doznaje taki człowiek budzący się w klasztorze coraz to więcej wzruszenia w świecie ducha.

O, bo iluż to ludzi odeszło w zaświaty z tem samym pragnieniem i z taką, jak on, znajomością życia, śmierci i prawd boskich? Gdzież oni są? Jeżeli rozmyślnie nie grzeszyli i starali się dobrze czynić według swych sił, to wielu ich jest rzeczywiście w niebie, lecz w tem niebie swoim własnem, wymarzonem, ograniczonem. Ileż tam

ołtarzy i światła wiecznego, podtrzymywanego myślą tych, których spotkało to szczęście, że Bóg ich przyjął do nieba! Tam w swej nieświadomości czekają tylko na „sąd ostateczny“, na którym ludzi, grzeszących na ziemi, spotka kara w piekielnej otchłani wiecznych udręk, boleści, a dobrzy pomnożą ich rzędy i wtedy dopiero radość i wesele będzie prawdziwe i większe światło światła zapłonie.

Jeżeli zaczynają z pewną niecierpliwością wyczekiwać sądu ostatecznego dla polepszenia swego bytu i tem większej radości, to i tam do tych ich niebiańskich wyżyn, które nawet nie sięgają na inną planetę, znajdując się tylko w astralnym świetle, przenoszą się ci, co mają im jeszcze coś do powiedzenia. I nietrudno im zaciągnąć postronek hardości, wiszący tym „zbawionym“ na szyi, każąc im chwalić, chwalić Boga bez ustanku, a w chwale tej myślą domagać się ukarania niewiernych. Sami zaś wysuwają zdala swoją kliszę, na której widnieje obraz wiecznego cierpienia — nie ten prawdziwy obraz cierpień karnicznych, stwarzanych przez nich dla ludzkości, i przez samą ludzkość dla siebie, ale taki, jak artysta malarz maluje w swej fantazji — obraz piekła z ognistemi językami, w których się smażą i pieką grzesznicy.

Wszak na ziemi są już filmy mówiące i będzie jeszcze więcej podobnych cudów. I oni mają również swoje filmy, dające złudzenie rzeczywistości. A im bardziej tamci są zachwyceni takim wytłumaczeniem, ukazywanem im przez Boga, tem bardziej ci ich zasilają swojemi „prawdami“.

Kiedy taki pobożny człowiek, który się zaczyna budzić duchowo, dostanie się w swych widzeniach ekstatycznych pomiędzy takich „zbawionych“ w ich niebie, a to dzięki drzemiącej na dnie jego duszy hardości, takiej samej jak u nich, w połączeniu z nieświadomością spraw boskich, nic dziwnego, że płynąc w ich fali myśli i myśli im narzuconych, opowiada potem na ziemi z przekonaniem i wiarą, co mu Bóg objawił, jak tam wierni weselą się i chwala Boga, a jakie to męki czekają tam grzesznych ludzi. Już z całą stanowczością twierdzi, że widział tych grzeszników, męczących się w czyśćcu, czy w piekle. W istocie zaś widział tylko ten ruchomy, mówiący, jęczący film, wytworzony sprytnie przez duchowych inżynierów czarnej magji. Twierdzi już, że Bóg mu ukazał te cuda. Jeśli znajdą się łatwowierni, przyjmujący za dobrą monetę jego opowiadania o tych nadprzyrodzonych, boskich sprawach, to już niewiele potrzeba, by go uznano za świętego, nawet jeszcze za żyjącego na ziemi.

Czyż przez to uświęcenie zmaleje hardość i głupota owego człowieka, budzącego się duchowo?

O, do takiego już w rękawiczkach zbliżają się sprytnie duchy, wchodząc z nim w układ, który on nieświadomie przyjmuje. Widzą człowieka, uznanego na ziemi za świętego i widzą także jego karniczne sceny, widzą księgę jego życia otwartą i szukają w niej, ile stronic tam jeszcze zapisanych na ich korzyść. Lecz i dobre duchy z tem większą siłą wysyłają mu wiele, wiele jasnych, rozsądnych myśli, pragnąc zatrzeć jego jestestwem, przywieść go do opamiętania, by przestał schodzić na dalsze manowce złudzeń i pokuszenia.

Pokorę, przedewszystkiem pokorę budzą w duchu, w którym uśpione są prawdy boskie. Jeśli takiego uświęconego człowieka przeniknie skrucha, jest uratowany, dobre duchy śpieszą mu natychmiast z dalszą pomocą. Jeżeli jednak dalej zaślepiony w pysze patrzy w słodkiej hardości na swoje otoczenie, to już owe prawdziwie jasne rzesze duchów, zbliżające się doń, choć niedostrzegalne jeszcze dla takiego początkującego jasnowidza, zastępywane bywają przez inne, „prawdziwe anioły“ — „prawdziwe“, bo w takie każe się ludziom wierzyć, nie wiedząc, że i w tem jest ukryty błąd, który daje dobrą sposobność niskim duchom do popełniania wielu nadużyć i grzesznego igrania z wyobraźnią ludzką.

O tak, zjawiają się prawdziwe „anioły“ skrzydlate. To duchy, mające na celu dalsze otumanianie nie tylko niedoszłego świętego na ziemi, lecz także i tych, którzy pragną doznać jakiegokolwiek błogosławieństwa przez te uświęcone ręce. I teraz taki człowiek uświęcony, a nie doszły do prawdziwej jasności, zadaje wielu duchom dużo pracy swoją osobą. Filuterne duchy, nie zastanawiające się głębiej nad tem, co czynią, chętnie przybierają na siebie rolę aniołów i małych aniołków, fruujących naokoło świętego w czasie jego snu. Wszak on się z tego tak cieszy, śle im ucałowania, cały aż drży z radości. Dlaczegożby mu mieli tej przyjemności odmówić? Lecz te jeszcze nie sprawiają tyle szkody. Gorzej, jeśli już sprytniejsze duchy przyoblekają się w szaty aniołów. Ich skrzydła niczem się zresztą nie różnią pod względem swej siły żywotnej od papierowych skrzydeł tych domorosłych aniołów, występujących co roku na różnych scenach, gdzie ma być odtworzonym i przypomnianem zrodzenie się Chrystusa i Jego posłannictwo. Nieraz nie brak tam też i Marji, która w sztucznym oświetleniu taka piękna, bo jeśli trzeba, to i wymalowana, naszminkowana — z Dzieciątkiem Jezus — najczęściej martwą lalką wielkości nowonarodzonego dziecka. Marja podnosi tę martwą rączkę, którą dziecię śle zadowolonej publiczności swoje boskie błogosławieństwo.

I któżby karał taką osobę za występywanie w roli Marji na scenie? Przecież to tak potrzebne ludzkości dla utrwalenia jej w chrześcijańskim sposobie myślenia i dla przypominania sobie Boga na ziemi...

Lecz jeśli takie przedstawienie odgrywa się w świetle ducha przed wzrokiem budzącego się duchowo człowieka, ma to już inne znaczenie i poważniejsze pociąga za sobą skutki.

A ileż to już było, a może jeszcze będzie ludzi, twierdzących, że Marja z Dzieciątkiem Jezus na ręce przychodziła do nich, no i to Dzieciątko Jezus bawiło się wyłącznie z jedną istotą, skracając sobie chwile wiecznego życia doglądaniem bydelka — a kiedy Marja uznała, że tem się dostatecznie już przysłużyło światu, znów przychodziła po swoje Dzieciątko*).

*) Przep. wydawcy:

Do tego rodzaju jasnowidzów należała Anna Katarzyna Emmerich. Córka ubogich, pobożnych wieśniaków miała już w dzieciństwie swem przeróżne widzenia, których bohaterami byli rzekomi święci, a nawet Matka Boska i P. Jezus.

Szczęściem jeszcze jest dla takiego budzącego się „świętego“, któremu świat duchowy narzuca manekiny mówiące, mające przedstawiać Jezuska, czy Marję, szczęściem jest dlań, jeśli ponad wszystko w duchu jego góruje miłość do samego Boga i nie ugrzęźnie w tem swoim szczęściu. Jeżeli ta myśl o Bogu drży w jego duchu i dalej go budzi, a on jej swoją głupią pychę nie chłodzi, nie odsuwa z wnętrza swego ducha, to z pewnością wśród nasuwanych mu obrazów i przeżyć w zaświecie przedostaną się do niego i prądy świeższego powietrza, rozwiewające złudzenia, iż poznał rzekomo już prawdziwe życie duchowe, a wpatrując się dalej w świat ducha stopniowo odnajdzie już tam te tajemnice, które tak chętnie ukryłyby przed nim niższe moce.

Katarzyna Emmerich.

Katarzyna Emmerich patrzyła w to niebo, w które wielu innych już spojrzęło, czy to we śnie, czy odłączywszy się od ciała, — w to niebo, będące wierną odbitką ludzkiego myślenia, ludzkich modłów i wiary wielu ludzi. Chwilami zdawało jej się, a nawet była pewną, że patrzy na to niebo i widzi tam wszystkie obrządki, wykonywane nawet w jeszcze większą precyzją, niż je wykonywują księża na ziemi. Bo też istotnie księża duchowi w takim niebie astralnym żyją w tych samych złudzeniach, co za życia na ziemi — i tak, jak tu na ziemi wysuwa się coraz to nowy dogmat i przybywa coraz to nowy „święty“ tego pokroju, tak i tam z większą jeszcze siłą, z większą jeszcze szybkością myślenia stwarzają duchy coraz to dalej idące ulepszenia, zgodne z ich sposobem myślenia — to też w tem cudowniejszych obrazach odbija się wśród nich odbłask wpojonej im religji. A duchy żyją, są czynne, działają w obrębie tych myśli. Nie sama myśl tylko stwarza obrazy niebiańskie — duchy swoim jestestwem dodają im życia; same według potrzeby, jaką odczuwają, odgrywają po mnóstwo razy pewne role tak, jak je odgrywają aktorzy na scenie.

To też na wiele scen w niebie patrzyła Anna Katarzyna Emmerich, jak widz patrzy na estradę. Wszak i widz jest nieraz przejęty różnemi rolami, odgrywanemi przez aktorów i nieraz nie może się powstrzymać od łez; zapomina, że to tylko gra, a przedstawienie działa na niego hipnotyzująco, przykuwając jego myśli, jego uczucia

Oto wyjątek z dzieła o niej („Męka Pana naszego“ podług rozmyślań Anny Katarzyny Emmerich, zmarłej 1824 r. — przekład z franc., nakł. Orgelbranda, Warszawa 1894):

„Anioł Stróż pokazywał się jej w postaci dziecięcej. Dobry też nasz Pasterz wspierał tę małą owieczkę, ukazując jej się sam w postaci maleńkiego pastuszka. Od dzieciństwa swego nauczoną była historii świętej w widzeniach rozmaitego rodzaju. Matka Boża, królowa nieba, przychodziła do niej na łąkę, jako niewiasta nieporównanej piękności, słodczy i majestatu, a zapewniając ją o swojej ku niej miłości i obronie, przyprowadza jej Boskie swoje Dziecię, jakby dla podzielenia z nią jej zabawek. Toż samo Święci dla niej czynili, i przychodząc odbierali od niej z czułością wieńce, które ona dla nich na dzień ich uroczystości spletała...”

do obrazów życia, które się przed nim rozgrywają. Ci aktorzy w zaświecie mają swoich reżyserów, mniej lub więcej dobrze myślących, którzy urządzaniem i powtarzaniem podobnych widowisk chcą zbawić zatracenców, nie wmyślają się jednak głębiej, czy ta gra istotnie może przynieść ostateczne opamiętanie, czy może tylko przeciwnie dla niejednego będzie hamulcem w dalszym jego rozwoju duchowym, powstrzymując go od wolnego wzlotu w górę, w przestworza wszechświata.

Anna Katarzyna patrzyła na takie cudowne dzieje z życia Chrystusa, a przedewszystkiem, co utrzymywało ją samą w jej wierze i co innym do wierzenia podawała, oglądała w „niebie“ główne obrządki, wykonywane na ziemi na chwałę Bożą. Tam odbywały się one znacznie okazalej, a różne dogmaty znajdowały uzasadnienie w wielu barwnych obrazach, tętniących pozornie bujnym życiem.

Lecz dla niej także wybiła godzina, by ujrzała starą przeszłość. I wówczas przy patrzeniu na obrazy z tej przeszłości pojawiły się na jej ciele krwawe stygmaty. Boleść jej była wielka — już nie tyle cielesna, co duchowa. Nie ujrzała zupełnie jasno przyczyn tej boleści, lecz wyraźnie odczuwała je w duchu. O, bo ona ongiś godzinami z zapalem uświadamiała ludzi, ani tchu nie mogąc złapać: „Tak, tak, on zawiśnie pomiędzy łotrami, to zasłużona kara.“ A jednak nie starała się przedtem poznać tego Jezusa, pójść i posłuchać przez chwilę, jak nauczał. Osądzała Go zupełnie na ślepo, tak jak dziś jeszcze często jeden drugiego na ziemi sądzi, nawet bez właściwej przyczyny karmicznej, któraby miała prawo wszczepiać w jego serce niechęć ku posądzanej przez niego jednostce. Sądzi, bo inni sądzą także, a zło w jego duchu nie da mu spokoju; wyrzuca przez usta oślizgłe wyzwiska i zmyślane zarzuty, no bo w tem znajduje ukojenie dla swej złej woli i „pożyteczną“ pracę.

Tak i ona ani spojrzała w Boską twarz Chrystusa, ani posłuchała słów Jego — a jednak nie przyznawała Mu w duszy nic dobrego, bo zła jej wola nie chciała się ugiąć, zasilana huraganami złych myśli i uczuć, wysyłanych przez innych, pogrążonych w złej woli. A kiedy już zapadły ciemności i ziemia zaczęła się trząść, to ona, jak wielu innych, znalazła się w niebezpieczeństwie życia. Zawisała na urwistej skale, kurczowo trzymając się łamiących się gałęzi. Wówczas to lęk przed śmiercią i przed czemś nieznanem otworzył jej oczy; wewnątrz jej ducha przeszły nagle błyskawice — nie te, które burza zapala w przyrodzie, lecz błyskawice z nieba, rozświetlające ciemności duchowe. Wielu w czasie tego groźnego trzęsienia ziemi, w blasku błyskawic, które trzęsły ich sumieniami i raz po raz zapalały gasnącą iskrę bóstwa w nich, ujrzało, że nie Ten jest winnym, którego ukrzyżowali, lecz oni to są winnymi, oni spowici w grzechu ciemnej nocy. Kto z nich z całej siły ducha krzyknął w rozpacz: „Boże, ratuj; Boże, pomóż!“, ten w tej chwili sam się wykrył z królestwa piekła złych myśli. W następnych zrodzeniach i bytowaniach w zaświecie spłacał już swoje stare długi, zaciągnięte jeszcze przed ukrzyżowaniem Chrystusa. Przed zupełnem przebudzeniem się powtarzają się raz jeszcze obrazy i porachunki z wszyst-

kich poprzednich żywotów już tylko jako streszczenie przeżytych scen, jako reasumowanie na ziemi dobrego i złego. I ona w swoim niezupełnem jeszcze przebudzeniu się duchowem nie miała jeszcze jasnej świadomości swych przeszłych żyć, wyczuwała jednak, a chwilami widziała męki Chrystusa, a ponieważ także wyczuwała i wiedziała to, że i ona przyczyniła się niegdyś do Jego cierpień, odczuwała sama również boleści krzyżowania. Lecz wśród tych cierpień przeszywała jej ducha raz po raz błyskawica pełnej świadomości, że ona należy już duchem do Boga, że już wpisała się do tej wielkiej księgi żywota wiecznego, która obejmuje życie duchów, pełniących wolę Bożą, że już wpisała się do niej podczas tych smutnych chwil. I to napełniało ją wielką radością, a wiedząc w duchu, że w cierpieniach tylko duch jej może się oczyścić, prosiła o te cierpienia, prosiła, by mogła zaznać tych mąk, które Chrystus niewinny, czysty, przyjął dobrowolnie na siebie i których Mu ona niegdyś życzyła w swem zaślepieniu duchowem.

I nie mogli zrozumieć ludzie, otaczający ją na ziemi, którzy patrzyli na jej krwawe stygmaty, na jej gorączką spieczone usta, na jej ciało, drżące w boleści — nie mogli tego zrozumieć, że ona nie chce przyjąć ich uznania i uważania ją za świętą, broniąc się przed tem, jak przed jakim pokuszeniem i wołając do otaczających ją, że jest grzeszną, że dużo zawiniła i że bynajmniej nie zasługuje na to, by ją mianowano świętą, czyli już niejako czystą, wyzwoloną i całkowicie złączoną z Bogiem. W swojej świadomości ludzkiej nie mogła tych swoich przewinień i tej serdecznej boleści określić i wytłumaczyć tym, co na nią patrzyli, jak na cud z nieba. I wzięli to tylko za najwyższy stopień pokory wobec Jezusa, który tak ciężko doświadcza i smaga ludzi, by wypróbować ich wiarę i miłość do Niego.

Już przed nią żyli na ziemi i żyją także obecnie*) ludzie, obdarczeni podobnemi stygmatami w dowód niby łaski Jezusa; zapewne wielu takich też jeszcze się zrodzi, boć wiele było tych ludzi, którzy wołali: „Ukrzyżuj!“ i w różny sposób przyczyniali się do ukrzyżowania. Przy przebudzeniu się duchowem rozumieją jeszcze lepiej dobrego Jezusa, niż im na to pozwoliły ciemne siły podczas Jego ukrzyżowania, gdy błyskawice niebieskie przeszywały ich dusze. Przy tem mocnem przebudzeniu się zakwili w każdym małe dzieciątko, tchnieniem Boga stworzone, ta iskra bóstwa, kiedy on się zacznie świadomie łączyć ze światłem boskiej Miłości i przepalać swoje ciała grzeszne, kiedy z tego powodu zacznie cierpieć, boć spadną nań własne cierpienia, a wśród tych cierpień rodzić się będzie dziecię małe, temi ciałami grzesznymi otoczone. To dzieciątko małe przystępne będzie dla tej pokory, która jest kluczem do wrót królestwa niebieskiego.

* Patrz: Dodatek: 2. Franciszek z Asyżu. — 3. Teresa Neumann i święta Teresa. — 4. Sztuczki Antychrysta. — 5. Stygmaty Heleny Ajello. — 6. Dobry i zły Jotr (Przyp. wydawcy).

„Nie wejdziecie do królestwa niebieskiego, póki nie staniecie się jako dzieci małe, póki z dziecięcą pokorą i miłością nie spojrzycie na swego Ojca...”

Trudno porównać to dzieciątko pełne niewinności, przejawiające się w głębi oczyszczanego z win ducha, z temi różnemi dzieciątkami, niemowlętami lub nieco starszemi dziećmi, mającemi za sobą długą przeszłość swego własnego życia i idącemi w nowe życie ziemskie z nowemi nadziejami trwania w niem jak najdłużej, a których duch nie powziął jeszcze tego mocnego postanowienia, by iść prostą, równą drogą do Boga i oczyszczać się z win. Lecz i te dzieci często tak niewinnie patrzą przed siebie i wiele, wiele może w ich życiu zawazyć czyjś dobry wpływ.

Kiedy Chrystus żył na ziemi, przyszły doń małe dzieci, które także Go chciały ujrzeć, a rodzice wzbraniłi im tego, myśląc sobie: „Pocóż takie głupiutkie istotki będą zatrzymywać Chrystusa w Jego pracy, w Jego nauczaniu?” — I spoczęły Jego oczy na główkach i twarzyczkach dziecięcych, a dziaćki przejęte odruchowo rozbiegły się bez słowa, by wyszukać jak najpiękniejsze kwiatuszki i zerwać je dla Niego z łona ziemi, składając Mu tem dowód miłości, a zarazem święte przyrzeczenie i ślub w duszy dziecięcej, że nie zapomną o Nim.

Dziecię, budzące się w duchu dorosłego człowieka, uginającego się i drżącego pod krzyżem swoich boleści, czy to ze stygmatami na ciele, czy innemi ranami na ciele i duszy, jest jeszcze bardziej bliskie prawdziwego raj, niż te ziemskie dzieci, jeszcze niby niewinnie na świat patrzące, z ciemną przeszłością za sobą, która znów pragnie ożyć i żyć. Wybawienie ze złego, upamiętanie się i ocknięcie z błędnego życia tkwi w samym człowieku, na dnie jego ducha i duszy i od człowieka samego to zależy, jak się pośpieszy z oczyszczaniem się z grzechów, od niego samego zależy, jak prędko wróci do swej własnej, radosnej ojczyzny ducha.

Człowiek, u którego pokażą się stygmaty na ciele, o ile z pokorą uchyła głowę i chętnie przyjmuje te cierpienia, kierując wzrok swój w ekstatycznej, wzruszającej miłości ku Bogu, ma już przed sobą bardziej otwartą drogę do następnego życia, w którym z pewnością zapragnie dać świadectwo prawdzie. Ta lepsza ścieżka utworowana jest w sferze jego lepszego myślenia. Lecz często rzucają mu niskie moce pod nogi wszystko zło, jakie tylko jeszcze zdołają gdzie wymieść z jego przeszłości, by nie mógł przejść przez nie, przez te gromady różnego brudu, a przynajmniej by go osłabić i zniechęcić do szlachetnej pracy ducha, tłukąc w jego sumienie brudnemi pałkami i krzycząc ogłuszająco: „Co, ty, ty zamierzasz głosić prawdy Boże, mając tyle brudów za sobą?” I choć ich brudne gromadki stają się coraz to mniejsze i nie mają już co zmiatać mu pod nogi, rozbiegają się pomiędzy ludzi, o których się obawiają, by nie ulegli lepszemu wpływowi, a czerpiąc siły także z własnego zła tychże, sugerują im najpotworniejsze myśli, jakich zawsze mają podostatkiem, by wzbudzić w nich niewiarę do owego wędrowca tego świata, by tylko nie

przykładali wagi do jego dobrych słów, a tem samem by i oni nie zaczęli się przechylać na dobrą stronę.

Tak to niejedyn duch, pełen dobrych chęci, zradza się, przechodzi przez szereg wcieleń, ale póki oni mogą mu zmiatać te różne przeszkody i brudy, póty on grzęźnie w nich, skoro tylko trochę załamie się w nim ufność i wiara w Boga i zawieje mu z hypnotyczną siłą wiatr mylnych pojęć o Bogu na ziemi, wstrzymując go w dalszej drodze. Powtarza więc swoją wędrówkę, przechodzi przez różne cierpienia własne i narzucone mu, ale nigdy i nic nie potrafi zgasić w jego duchu tego postanowienia, które powziął w dobrej woli — postanowienia powrotu do Niego, do Ojca swego. Duch taki gotów rzucać się raz po raz w otchłań piekielną pełen ufności, że Bóg mu poda swoje dłonie, Bóg mu ześle pomoc, by nie zginął tam na wieki. Rzuca się w otchłań piekielną złej woli z myślą zostawienia tam i zniweczenia wszystkiego, co na nim ciąży, by spaliło się w otchłani cierpień, bo wie, że duch Boży w nim nie zginie i już jako czyste złoto, bez twardej rudy i skorupy uniesie się stamtąd, by złączyć się ze światłem wiekuistej miłości.

Każdemu, kto w któremkolwiek bądź zrodzeniu złożył, czy składa z głębi ducha ślub wierności Bogu, śpieszą z pomocą rzesze aniołów, czyli dobrych duchów, bo on przez złożenie tego ślubu daje im do tego prawo. Czuwają nad nim, gdy z życia do życia oczyszcza się jeszcze na ziemi i podtrzymują go, kiedy upada pod ciężarem własnych win i nieraz się jeszcze rani.

„Zaprawdę mówię tobie: dziś ze mną będziesz w raju“*) — powiedział Chrystus do jednego z łotrów, gdy ten, ociekając krwią, patrzył nań z ufnością i prosił, by wspomniał o nim, kiedy odejdzie z tego piekła ziemskiego. Nie przed każdym jednak, kto w cierpieniach odchodzi z tego świata i woła: Panie, otwórz mi bramę niebios, bo cierpię“ — nie przed każdym ta brama niebios otwiera się tak, jak się otworzyła przed łotrem, wiszącym na krzyżu. O, bo ten człowiek, zwany łotrem, już od dłuższego czasu obiecał Bogu, że do niego powróci. To też przez szereg żywotów wycierpiał już wiele, smagany przez swoje własne winy i przez niskie moce, które wciąż usiłowały załamywać jego wiarę w Boga i przedstawiać świat i życie w nieprawdziwym świetle, wywracając mu jego poglądy na życie i mącąc świadomość tego, co sobie przedsięwziął. Wreszcie zrodził się po raz ostatni, by spłacić resztę długu temu światu, a było to w tym czasie, gdy Chrystus żył na ziemi. Wówczas to na ostatek niskie moce najbardziej sobie na nim użyły, nie wiedząc jednak, że tu już będzie położony ostateczny kres ich znęcaniu się nad biedną ofiarą. W chwilach, kiedy duch tego człowieka, nazwanego później przez sąd i lud łotrem, odłączał się od ciała, by pobujać trochę w przestworzach, tracąc z niem na chwilę częściowo związek, zabierały mu niskie duchy jego ciało i naprzemian się w niem zmieniając popełniały niejedną zbrodnię w krótkim przeciągu czasu tak, że biedny „łotr“, przychodząc ze swej swobodnej wędrówki w zaświecie,

*) Ewang. św. Łukasza XXIII. 43 (Przyp. wyd.).

zastawał już krwią zbroczone ręce i huragan skarg i prześladowania za zbrodnie rzekomo przez niego popełnione. Osłabi duchem, trwoga go ogarnęła, lękał się spojrzeć w błękitną dal i łatwiej było im już popełniać przez jego ciało dalsze złe czyny. Kiedy on zdjęty trwogą, ścierpły ze zgrozy, stanął w bezruchu, zapominając władać swemi członkami, rzucali się znów na jego ciało, jak dzikie hjeny i popełniali jego rękami nowe przestępstwa, a przez usta jego wygadywali, co im się podobało, by ostatecznie wrzucić go z ciałem do więzienia i wydać na dalsze cierpienia i straszną śmierć ciała. Temu Chrystus powiedział: „Jeszcze dziś będziesz ze mną w raju“, bo grzechy i brudy stwarzali inni pod imieniem nieszczęśliwego.

Łotr drugi, wijący się na krzyżu nie tyle z boleści, ile ze złości i urągający do ostatniego tchu dobremu Chrystusowi, dopuszczał się złych czynów z własnej woli, prześcigając jeszcze sugestje piekła. To też zaczęli się go w końcu bać niektórzy mocarze ciemnych sił, że on ich jeszcze mógłby wziąć pod wpływ swej woli i dopomogli organom sprawiedliwości na ziemi do schwytania go i ukarania, zadając mu przytem na własną rękę wiele cierpień z właściwą im premedytacją.

I on w owej chwili, gdy zawisł na krzyżu obok Chrystusa, miał sposobność do nawrócenia się, chociaż zaraz nie otworzyłyby mu się bramy niebios. Lecz on raz po raz wyrzucał najokropniejsze przekleństwa na wszystko, na niebo i ziemię tak, że nieszczęśliwy skazał się sam z własnej woli na dalsze cierpienia, nie chcąc w nich żadnej pomocy od Boga dla swego wyzwolenia.

A jednak i ten łotr nie może pójść na wieczne zatracenie, bo zło nie jest wiecznie trwałe i nawet najzatwardziały duch musi się opamiętać; zmuszą go do tego jego własne, przez niego samego stworzone cierpienia*).



*) Patrz Dodatek: 6. Dobry i zły łotr. (Przyp. wyd.)

Jasnowidzenie Agni. Jej przeszłość z czasów Chrystusa.

Wzrok duchowy Agni rozświetlony został spojrzeniem Chrystusa przed dwoma tysiącami lat. — Tancerka Surya. Uczeń Nazarejczyka przynosi jej wieść o swym Mistrzu. Spotkanie z Chrystusem — spojrzenie Chrystusa wywołuje nagłe ocknięcie się uspiętego jej lepszego „ja”. Ta krótka chwila boskiego cudu staje się jej gwiazdą przewodnią na dalsze żywoty. — Różnorodność Życia we wszechświecie. Zapadanie wielu duchów w materję, a ofiarna miłość innych, śpieszących im z pomocą. Pastuszkowie, śpiewający zbląkanym braciom pieśń o Wiecznej Ojczyźnie. Surya i jej odwieczny towarzysz to też taka para pastuszków — posłów z Krainy Prawdy. — Powrót Suryi do domu po spotkaniu się z Nazarejczykiem. Skatowana przez ojca porzuca na zawsze progi rodzinne i odgad nie ma gdzie głowy skłonić. Prześladowania, jakie ją spotykają ze strony Niskich Mocy. Niespełnione zadanie zbudzenia Łazarza. Odwieczny przyjaciel Suryi; jego stan duchowy za czasów Chrystusa i w życiu obecnym. Cierpienia Suryi po ukrzyżowaniu Chrystusa. Jej śmierć samobójcza. Głuchoniemy przyjaciel u jej zwłok — jego rola w obecnym życiu. Kuzyn i ciotka Suryi. Jaki wpływ na stan duchowy t. zw. zmarłego wywierają myśli o nim obecnym przy jego zwłokach. Scena z kwiatami — przykład, jak drobne nawet zdarzenia znajdują odzwierciedlenie w następnych żywotach. Młody Rzymianin i kuzyn; ich niechęć wzajemna z owych czasów odbija się echem w życiu obecnym. — Duch Opiekuńczy Agni wyjaśnia, dlaczego wyręcza ją w opisie przeszłości z owych czasów. Walka, jaką staczają z nią ustawicznie słudzy piekiel, by uniemożliwić jej podnoszenie kamienia na grobie Prawdy. Żyją jeszcze inni na ziemi, a także zrodzi się jeszcze wielu z dawnych uczniów Chrystusa i Jego wiernych. Uczeń Chrystusa, znalazłszy papyrus z ostatnią spowiedzią Suryi, pojął naraz krzywdę, jaką jej wyrządzano. Spotkanie się jego z nią w obecnym życiu.

Dwa tysiące lat niedługo dobiegnie od chwili, kiedy On przyszedł dać świadectwo Prawdzie. A chociaż niskie moce starały się i starają jeszcze zmącić wielu ludziom pojęcie tej prawdy, to jednak ona zostanie jedna i ta sama, wiecznietrwała. I każdy ma do niej przystęp, trzeba tylko dobrej woli i pokory dziecięcej, a Bóg każdemu zsyła i będzie zsyłał pomoc, pokrzepienie duchowe, by mógł zrozumieć tę prawdę.

Bóg budził z uspięcia swoje dzieci i Chrystus z Jego woli budził je i nadal budzi, czuwając we dnie i w nocy nad nieszczęśliwymi, nad każdym ich dobrym odruchem i zsyłając im pomoc.

Pamiętając cuda, czynione przez Niego, pamiętając te czasy, kiedy żył na ziemi, podam tu kilka obrazków z Jego życia i Jego działalności, oraz z życia tych, którzy wówczas doszli bodaj do chwilowego przebudzenia się duchowego, rozświetlenia jaźni, zrozumienia praw życia wiecznego. Szło to już z nimi z życia do życia, ze

zrodzenia na zrodzenie, rozświetlając i rozszerzając coraz bardziej ich świadomość duchową. Jako opiekun duchowy Agni, jeden z wielu jej opiekunów, podam te prawdy, widziane i słyszane przeze mnie. Wiele z tych, o których tu opowiem, widzi i ona także w obecnym swym życiu, lecz przed ogromem boskiej Miłości, która jej była objawioną, którą poznała i widzi, cofa się niejako przy podawanej jej przez nas myśli, że ma mówić, co widzi, by dać świadectwo prawdzie, jak powinien uczynić dla dobra swych bliźnich każdy, kto miłuje Boga.

Niewiele żyje obecnie na ziemi tych, przez których możnaby podać te głębokie tajemnice, te głębokie prawdy. Jej brak odwagi mówić o tem wszystkim. Znając świat ten i jego niewdzięczność, zasuwają duch jej twarz swą w woal smutku, bojąc się, że jest niegodną mówić o Najwyższym Duchu, jakiego kiedykolwiek gościła ziemia w postaci człowieka. I pewnieby z temi wielkimi tajemnicami w duchu odeszła z tego świata, nie opowiadając o nich. To, co dotąd w obecnym życiu dała ludzkości, działalność jej obecnego życia — to tylko mały rąbek tej działalności, jaką ma przeznaczoną. Może poruszać najróżnorodniejsze sprawy, by zaznajomić bliźnich i ukazać im we właściwym świetle — wszystkim tym, którzy szukają w tajemnej wiedzy cudów, ukojenia, rozrywki — świat duchowy i współpracę jego w Dobrej Woli z ludźmi, a także by, wskazując na działanie Złej Woli, uchronić niejednego przed niebezpiecznym igraniem z nieznanymi mu siłami i by też niejednemu dodać otuchy do życia, wskazując mu na opiekę Wyższych Sił i miłosierdzie Boże. I gdyby chciała opisywać w książkach wszystko, co w tym zakresie widziała i widzi, spotykając się z tysiącami rzeszami ludzi i obserwując współpracę dobrych duchów pomiędzy nimi, zarówno jak i groźne pokuszenia złych Mocy, zajęłoby to wszystek jej czas, jaki ma przeznaczony żyć na ziemi. Lecz większem jeszcze dobrodziejstwem będzie, jeśli czytelnicy poznają jej żywoty poprzednie, a to przynajmniej niektóre, oraz związek ich z życiem obecnym, zarówno jak i pozostające z sobą w przyczynowym związku charakterystyczne obrazy z żywotów wielu innych osób, odgrywających ważną rolę w scenach karmicznych i w scenach przebudzenia się duchowego.

W ten sposób niejednen będzie miał jaśniejszy pogląd na tajemniczą wiedzę duchową i na ten niepojęty dla wielu stan jasnowidzenia, w jaki niektórzy zapadają w transie, wywołanym przez nakaz woli drugiej, woli innego osobnika, nakazującego mu patrzeć.

Różne, różne są stany jasnowidzenia, czyli przebudzania się duchowego.

Jasnowidzenie Agni nie jest wywołane naciskiem czyjejkolwiek woli — jej oczy rozświetlone zostały spojrzeniem Chrystusa na nią przed niespełną dwoma tysiącami lat. Tem światłem dobrotliwych oczu Chrystusa zasilona idzie z życia do życia, upadając czasami na zmiotanych jej skrupulatnie pod nogi gromadach różnych nieprawości i błędnych, niedobrych myśli, które sama stwarzała niegdys bądź to w nieświadomości złego, gdy dobra świadomość jej prawdziwego życia została uspioną, bądź to ze swej własnej złej woli.

We wszystkich swych wędrówkach ziemskich, które odbywała w przeciągu ostatnich dwóch tysięcy lat, przechodziła przez te góry nieprawości, padając niejednokrotnie ze zmęczenia i raniąc się boleśnie. I w tem życiu przechodziła jeszcze przez te brudy, pozmiatane jej na drogę — brudy dawne, jej własne i nagromadzone w złej woli przez innych — a chociaż potykała się, nie upadała już i nie raniła się już sama, lecz inni ją raniłi.

Jeszcze i na długo przed żywotem jej za czasów Chrystusa, bo już sześć tysięcy lat wstecz były u niej odruchy dobrej woli. Walczyła już wówczas nieraz przeciw czarnej magji. Sama wie wiele z tych wszystkich żywotów swoich na ziemi — i z tych czasów także, gdzie już pamięć ludzka nie sięga i po których to nie zostały żadne ślady w postaci różnych znaków i hieroglifów, wtłoczonych w papyruse, czy wyrzytych na kamieniach.

Trochę ciężkie to dla niej zadanie, by pisać o tych sprawach, o różnych swoich żywotach na ziemi, bo musiałaby w różnem świetle siebie samą ukazywać, chcąc mówić prawdę. Toteż z posmutniałą twarzą wysłała prośbę w przestworza, by została bodaj w połowie wyręczoną, niechaj przez usta jej poda kto inny sprawy tak, jak się miały w istocie, by ona swoją wolą nie stawiała przypadkiem jakiejś ściany dla przemilczenia lub nieściśłego podania pewnych faktów.

Wróć do czasów, kiedy Chrystus żył na ziemi. Nie będę podawał nazwisk, ni imion osób, które wówczas żyły i które Agni poznała w tym czasie, a w obecnej wędrówce znów spotkała, spotyka i jeszcze będzie spotykać. Lecz każdy szczerze szukający prawdy, jeśli zapragnie poznać bliżej te osoby, to o ile poznanie ich będzie mu istotnie potrzebnem dla jego rozwoju duchowego, będzie mógł dowiedzieć się od Agni, pod jakimi nazwiskami żyli oni i żyją obecnie na ziemi.

O dobrym Jezusie nieraz jeszcze będziemy mówić, by umożliwić lepiej ludzkości poznanie Jego bezgranicznej dobroci.

...I wybiła godzina w przeznaczeniu Chrystusa, kiedy zaczął nieść ulgę biednej ludzkości, ulgę w postaci uchwytnej już dla cielesnych oczu ludzkich. W każdym poszczególnym wypadku, gdy położył ręce na chorego, by przywrócić mu zdrowie cielesne lub duchowe, gdy budził kogo ze snu śmierci, do którego ciało jego zostało ułożone, zawsze, zawsze miał każdy sposobność ujrzeć nietylko Człowieka, dobrze czyniącego, ale i głębokość Jego ducha, ogrom Jego miłości dla ludzi, miłości niezmierzonej, przejawiającej się nietylko w danym momencie niesienia im pomocy, ale nigdy nie ustającej, trwającej od wieków na wieki.

Nie będę wspominał tych wszystkich, którzy skorzystali z tej pięknej sposobności, by rozbudzić w sobie dobrą wolę i by złożyć przyrzeczenie, przypieczętowane ślubem, skropione serdeczną, czystą łzą: „Do Ciebie, Boże, wróć!“ Wszak obrazy, przedstawione tu, powiedzą wam wiele.

...Już było dużo wyleczonych i już uczniowie, przejęci wiarą w Boga, mając wiele dowodów Jego bezgranicznej miłości, w chwilach, kiedy Chrystus trwał w skupieniu i modlitwie, rozchodzili się, by mówić ludziom o Jego dobrych czynach i nawoływać ich do opamiętywania się i zaniechania grzesznego życia. Jedni słuchali Jezusa, inni lekceważyli Jego nauki, a służąc złotemu cielcowi, mieli oczy zwrócone na pieniądź i używali związanych z nim rozkoszy i dobrobytu na ziemi. Ludzie bawili się bezmyślnie, albo i z premedytacją, w wyszukanej grze ziemskiego życia.

I ona była w gronie takich ludzi, ze słodką tajemnicą w duchu, że nie zostanie pomiędzy nimi. Drgnienie w duchu, które raz po raz stawało się silniejszym, przypominało jej, że życie takie, jakim rozkoszują się ludzie — ale też i męczą się wzajemnie — nie jest prawdziwym życiem. Lecz czujna straż niewidzialnych mocy nasuwała jej coraz to nowe rozkosze, by tylko usnąć w niej odruch dobrej woli, pragnienie powrotu do Boga. Była dzieckiem bogatej rodziny żydowskiej, która bogactwa swoje gromadziła łakomie w skrzynkach i pieczołowicie je przechowywała, a w biednych chałatach wlokła się po ulicach z gorączkową chęcią zdobycia coraz to nowych ilości pieniędzy. W takim otoczeniu żyła ona, młoda żydówka niezwyklej piękności. Wkrótce zaczęła się bardzo od nich wyodrębnić, pragnąc ubierać się ładnie i bogato. Patrzyli na nią z niechęcią, a bojąc się, że roztrwaniałaby im pieniądze, wskazali jej drzwi. Wkrótce dostała się do bogatego żydowskiego towarzystwa, które nie szczędziło jej drogich pereł ni szat, bo inaczej znów zapatrywało się na pieniądze, niż jej rodzina. Lecz ona nie przykładła już zbytnej wagi do tych pereł. Rodzina, widząc drogie perełki na jej szyi, starała się zdobyć znów jej względy, by w celach zysku zbliżyć się do jej znajomych. Po krótkim ponownym pobycie w progach domu rodzinnego, ujęta przez matkę miłemi słówkami i głaskaniem po głowie, włożyła najdroższe perełki do jej skrytki, którą ta skwapliwie zaniósła w miejsce takie, by się ich tam nikt nawet z najbliższych członków rodziny nie domyślił.

I znów Surya — bo takim zdrobniałem imieniem ją podówczas wołano — poszła z domu, machnąwszy ręką z rezygnacją na swoje otoczenie. Wróciła do swego towarzystwa, a tam w rytmicznych ruchach tańca, lekko, niemal unosząc się od ziemi, wprawiała otoczenie w podziw. Taniec wprowadzał ją w oszołomienie. W szybkim jego tempie nie widziała nawet wszystkich chciwych oczu, ślizgających się po jej ciele.

Lecz nieraz, wymykając się z rozbawionego grona, stawała samotnie, zadumana, opierając głowę o rozłożystą palmę i rozmyślając nad życiem swoim i innych. To, że jest piękną, słyszała niejednokrotnie, lecz to jej nie dawało pełnego zadowolenia. Z pośród wszystkich, którzy ją kochali, kochała tylko jednego, młodego Rzymianina, który żył już z nią na ziemi we wielu zrodzeniach przed Chrystusem. Zdawało się jej, że kocha go całą siłą swego ducha — a jednak wśród gorących jego pocałunków nieraz niemal aż zapłakała, takie dziwne

niezadowolenie ją ogarnęło; czuła, że miłość jej jest tak wielka, tak potężna, a jednak wszystko to jej nie wystarcza. Samotność przynosiła jej ulgę.

Już wówczas dochodziły ją wieści o Jezusie. Piękny Nazarejczyk się zbliża... Jakaż to dziwna, tajemnicza postać! Podobno bardzo piękny, głos ma miły, łagodny i silny, jak dzwon, najsilniej dzwoniący i najpiękniejsze echo wydający; żadnym ślubem nie jest związany, wolny i dla wszystkich dobry. Gardzi kobietami; choćby przyszła doń najbogatsza i najpiękniejsza kobieta z zamiarem wabienia Go swemi wdziękami, odsuwa ją od siebie, a zwraca się do jakiegoś nędzarza, przywracając mu zdrowie i siły. Bierze na ręce dzieci, drgające konwulsyjnie w ataku padaczki, z potwornie wykrzywionymi ustami, i przytula ku Swej skroni wykrzywioną twarz dziecka; drgawki znikają, dziecię się błogo, radośnie uśmiecha i wraca zdrowe, szczęśliwe w objęcia rodziców.

„Odsuwa ładne kobiety — zahuczało jej w duszy — kobiety, pragnące miłości pięknego mężczyzny“....

Lecz dalsze myśli urywały się jej zwykle, bo już zbliżał się ten, któremu była wierną i biorąc ją pieszczotliwie za rękę, zapraszał do milej wspólnej przechadzki.

Jednego dnia wśród pewnej większej zabawy, którą Surya uwieńczyła swojemi tańcami, zjawił się niespodziewanie na sali jeden z uczniów Jezusa. Wszedł cicho, z rękami skrzyżowanymi na piersiach i zwrócił się do obecnych, żeby zapomnieli na chwilę o swej hucznej zabawie, a posłuchali słów jego o Jezusie, który czyni cuda i wszystkich miłuje, a głosi wielkie prawdy o Bogu, Ojcu Swoim. Powstała wrzawa, którą niektórzy próbowali uciszać, a inni zagłuszali ich bezmyślnym śmiechem. Wielu nawet oczu nie oderwało od tańczącej.

I uczeń Chrystusa spojrział na nią, zatrzymując ją blaskiem swych łagodnych źrenic w tańcu. Nie zauważyła go przedtem, jak wszedł i już chwilę rozmawiał; wszak w tańcu nie przejmowała się wiele, czy kto na nią patrzy i co myśli, żyła w swojej fali rytmicznych ruchów tańca. Pod wpływem spojrzenia ucznia podniosła wzrok na niego, a uwagę jej przykuła błyskawiczna myśl, że on jest zupełnie inny od całego towarzystwa; taki miły i skromny w tej chwili.

— Przychodzę w imieniu Jezusa — rzekł do niej.

Serce jej zabiło gwałtownie w piersiach. Pomyślała:

— Dobra droga do poznania tego tajemniczego człowieka. Ten jego uczeń zapozna mnie z nim, zaprowadzi mnie do niego.

Lecz już zjawiła się druga myśl, ostra, szydercza:

— Nie lubi ładnych kobiet, odsuwa je ze wzgardą od siebie.

Tymczasem uczeń zaczął mówić o miłości Jezusa. Lecz ona, miotana sprzecznymi uczuciami, przerwała mu:

— Mówisz o miłości? Chrystus nie kocha kobiet, a mówisz, że wszystkich miłuje.

Więc uczeń znów objaśniał jej pojęcie miłości. Lecz towarzystwo, zaniepokojone rozmową ucznia Chrystusowego z ich ulubienicą,

bojąc się o nią, by nie poszła z nim, dawało jej w różny sposób do zrozumienia, by zatańczyła. Nacisk, jaki na nią wywierali, oszłomił ją. Odezwała się jeszcze do ucznia:

— Twój pan i nauczyciel nie zna miłości. Ja, ja go nauczę miłości, nauczę go miłować kobiety!

I już zaczęła tańczyć.

Uczeń patrzył na nią z przerażeniem i smutkiem. Wszakże kiedy spojrzenia ich się spotkały, zatrzymując ją w tańcu, odczuł radosny odruch w duchu: „Ona za mną pojdzie, pójdzie do Jezusa!“ Z rękami nadal na piersiach skrzyżowanymi cofał się ku drzwiom i nie odwracając swej twarzy od tańczącej, szeptał:

— O kwiecie piękny, wonny, zatruty tchnieniem ziemskiego życia, bacz, byś nie przepadł na wieki!

Smutny wrócił do reszty uczni, gdzie dzielili się nawzajem swymi wrażeniami, opowiadając sobie o wynikach swej wędrówki pomiędzy ludźmi.

...I przyszła....

Nie mogła się dostać w pobliże Jezusa — usiadła w swej bogatej sukni na piaskach. Z dala dolatywał do jej uszu Jego głos, lecz nie widziała Jego twarzy, nie widziała Jego postaci; wiele ludzi stało i siedziało naokoło Niego, zasłaniając Go sobą. Będąc przyzwyczajoną, że wszędzie robiła wrażenie swoją osobą, uczyła się dotkniętą tem, że niewiele tu na nią zwracano uwagi i starała się odejść niepostrzeżenie. Lecz głos Chrystusa brzmiał jej w duszy. Postanowiła, że musi się dostać blisko Niego. Tak, każe czynić dobrze, pomagać biednym, ocierać ich łzy, nasycać głodniałych i t. d. Powróciła do swej rodziny i ukradkiem zabrała drogie perły, darowane matce, biorąc jeszcze w dodatku i perły, stanowiące własność matki, a których ta nigdy nie nosiła na swej szyi, chowając je tylko w ukryciu z obawy, by nie zostały jej skradzione, a także by łatwiej udawać biedną w celu dalszego wzbogacania się.

Mając tak skarby przygotowane, przemyśliwała nad tem, jak to zrobić, by móc się spotkać sam na sam z Jezusem. Pewien pokątny pisarz i notariusz, pożyczający także pieniądze na wysoki procent, obiecał jej za dużem wynagrodzeniem, zgóry już oznaczonem, uczynić wszystko, by doszło do upragnionego spotkania. Przypuszczał, że to jej spotkanie nie ma na celu słuchania nauk Chrystusa, tylko że jako kobieta ma inne zamiary.

A kiedy nadszedł wieczór, uczniowie zasiadali do posiłku. Chleb, wino i owoce, to był ich pokarm za cały dzień. Tamci oboje wiedzieli już, gdzie Chrystus tegoż dnia ma zagościć z uczniami.

— Dostarczę im wina — mówił ów doradca na ucho pięknej żydówce — dosypię do niego usypiającego proszku dla uczni, a potem możesz sobie z Nim sama porozmawiać bez świadków, bo posną twardo.

I ubrała się odświętnie, włożyła drogie perły i kamienie, a cenne pierścienie ozdobiły wszystkie palce obu rąk z wyjątkiem kciuków. Na alabastrowem ramieniu wił się złoty wąż z djamentowemi oczy-

ma, oraz z koroną z opali na głowie; wąż ten sięgał swoim ogonem aż do łokcia, głowę mając umiejętnie ułożoną na zaokrągleniu ramienia. W rękę trzymała skrzyneczkę z dwoma sznurami pereł: jeden z nich skradziony matce, drugi jej własny, подарowany przez wielbicieli.

Pomocnik jej przyniósł wieść, że uczniowie już śpią; oprowadził ją wśród nich, by się naocznie przekonała, że tak jest. Istotnie spali twardo. Wówczas on udał, że się oddala, nie chcąc napozór być świadkiem jej zbliżenia się do Chrystusa. W rzeczywistości jednak ukrył się w pobliżu i stamtąd ją śledził. (I z tym spotkała się w obecnym życiu.)

A ona poszła w to miejsce, gdzie według jego wskazówek miał się znajdować Chrystus. Ujrzała Go i cała zadrżała dziwnym, błogim dreszczem. W pełni blasku księżyc stał cicho, z wyciągniętymi lekko przed siebie dłońmi, jakby wszystkich, wszystkich wołał ku Sobie, modląc się. Twarz Jego jaśniała nadziemską jasnością.

— Oddam Mu te skarby w skrzyneczce, niech ma dla biednych — jeśli tylko zechce ze mną mówić!

I już zbliżała się ku Niemu. Lecz za każdym krokiem doznawała niepojętych dreszczy i wzruszenia, jakich przedtem nie знаła. Wiedziała, że księżyc świeci w całej pełni i że nie jest gorąco — a jej się wydawało, że żar słoneczny zlewa się na jej ciało — żar dziwny, niesamowity. Oddech jej stawał się ciężkim i za każdym krokiem czuła, jakby jej ołowiane kule na nogach ciążyły. Przystanąła.

Wtem usłyszała cichą modlitwę Chrystusa. Cicho wymawiane słowa brzmiały coraz silniej w miarę, jak się od Niego oddalały. A jaki dziwny był dźwięk tych słów!... Myśli jedna za drugą szły, płynęły i miała wrażenie, że płyną na wszystkie krańce świata, że przenikają głębie wód, twarde skały, wysokie góry, że przechodzą przez wnętrza serc wszystkich ludzi i płyną, płyną gdzieś w nieskończoność...

W tem zadumaniu i zasłuchaniu się w myśli Jezusa zapomniała o swej kokieterji. Szatę miała tylko lekko zarzuconą na ciele, by mogła się z niej szybko uwolnić, a na cześć pięknego Nazarejczyka bez świadków przed Nim nago zatańczyć. Lecz te myśli już ją opuściły, gdy w zdumieniu i zachwyceniu słuchała słów Jego modlitwy. Została jeszcze myśl: „Oddam mu perły dla biednych.“ Zrobiła zdecydowany ruch w Jego stronę, otwierając skrzyneczkę z perlami. Lecz On wyciągnął dłoń w jej stronę, jakby ją chciał zatrzymać tak, że przystanąła. Dzieliła ich niewielka przestrzeń. Wyczuła, że On patrzy na nią... Dziwne było to spojrzenie. Ona nie śmiała podnieść ku Niemu oczu. Perły, jakby się zamieniły w żyjątka, wgrzyzające się w jej ciało, sprawiały jej boleść. Wąż ze złota jakby oślizgły wpijał się w jej ramię, a odwijając się od ręki, otoczył jej piersi i biodra, wyrastając w olbrzymiego, prawdziwego gada. Raził chłodem, to znów żar piekielny sypał się z jego ciała. Palce jej były jak skute w kajdanach. Czuła, że w tym stanie ani kroku dalej postąpić nie może, by zbliżyć się do Jezusa. Położyła skrzynkę na ziemi i zaczęła zrzucić z siebie drogie kamienie, złotego węża i pierścienie. Ode-

tchnęła i już zdołała uczynić jeden krok naprzód, ku Chrystusowi; spadł wielki ciężar z jej ducha i ciała. Lecz jeszcze ciążyła jej i paliła ją jej szata — i znów nie mogła dalej postąpić, jakby odzież skrępowwała jej nogi i piersi.

Wówczas Chrystus uczynił krok ku niej i stanął przy niej, kładąc rękę na jej ramię. Błyskawicznie spadło z jej ciała wszystko okrycie. Ujrzała się nagusienką. Lecz jak przedtem pragnęła zatańczyć przed Nim nago, tak nagle zawstydzila się swej nagości. Ujrzała skierowane lubieżnie na swoje ciało wszystkie oczy, które kiedykolwiek pożądliwie na nie patrzyły czy to w ostatnim życiu, czy w którymkolwiek poprzednim zrodzeniu na ziemi. Wszystkie bowiem żywoty dotychczasowe, kiedy tylko przebywała na ziemi w postaci kobiety, przesunęły się momentalnie przed wzrokiem jej duszy. Ujrzała te niskie rozkosze ciała, ujrzała, jak niskie one były. Bo tam, gdzie myślała, że nikt jej nie widzi, gdy spoczywała w objęciach ukochanego, otaczały ją duchy chciwe rozkoszy, wrywające poprostu magnetyczne fluidy z obojga podczas ciepłego uścisku ciała. Ujrzała też i astralne fantomy, wampiry i larwy, stworzone podczas tych rozkoszy. Poznała, jak nieczyste są te rozkosze cielesne, jeśli się w nich żyje bez świadomości tego, co się z nich wówczas tworzy. Nie wiedziała przedtem, jak przykro jej kiedyś będzie przypominać je sobie, i to w obecności Jezusa.

Stanęła nagle, jak przed Sędzią, który każe jej sądzić siebie samą, gdy ujrzała nagie swoje ciało i naga prawdę. Z łękiem i rozpaczą, zawstydzona podniosła ku Niemu oczy, jakby chciała prosić o litość.

— Zlituj się sama nad sobą — usłyszała Jego myśl — i ręka Jego przesunęła się z ramienia jej na głowę. Zniknęło jej własne ciało z przed oczu, za to ujrzała siebie jako ducha w przepięknej szacie duchowej. I Jezusa ujrzała wzrokiem duchowym.

O, jakże piękną i czystą była w tej chwili! Miłościwe oczy Chrystusa spotkały się z jej spojrzeniem; czuła, jak w nich tonie i jakby rozplywa się, zatracając poczucie odrębności istnienia i doznając niewymownej niebiańskiej rozkoszy.

A Chrystus zapytał:

— Czy podoba ci się ta szata? Czy miłem ci jest uczucie tej lekkości duchowej?

Radosne westchnienie było odpowiedzią.

Wtedy rzekł Chrystus:

— Szatę, jaką widzisz na sobie i lekkość, jaką odczuwasz, miałaś, nim poznałaś ten świat i nim zaczęłaś żyć na nim. Czyń dobrze, a znów je odzyskasz.

Króciuchna była chwila zlania się z Synem Bożym w miłości. Radosnem spojrzeniem ducha ślubowała Mu wierność na wieki. Kiedy położył jej rękę na ramię, mówiąc: „Idź i czyń dobrze, a znów odzyskasz taką szatę i taką lekkość duchową“, zaczęło się już zarysowywać na niej ciało, materjalizując się z powrotem. Za moment było już zupełnie zmaterjalizowane, a na niem znalazła się znów szata, ułożona tak, jak leżała, zanim Chrystus wyciągnął rękę w stronę Suryi. Tylko perły były porzucone na ziemi.

Surya spojrziała na nie bezradnie — i znów powróciła jej myśl: „Oddam Mu perły, jeśli tylko zechce ze mną mówić“. Zgarnęła te skarby ziemskie do skrzynek i podała Mu je, mówiąc Mu tylko myślą: „Weź to dla Swoich biednych“.

Lecz Chrystus nie spojrział już na nią, modląc się znów.

A człowiek patrzący z ukrycia, żądny widzenia sceny spotkania się pięknej żydówki z Nazarejczykiem, nie widział tak jasno dobrego Ducha i nie dojrzał wyraźnie całej sceny przemienienia — ale i on został przeszyty błyskawicą chwilowej świadomości, błyskawicą spojrzenia wszystko-widzącego Jezusa, która mu przywróciła chwilowe opamiętanie się. Wyszedł z ukrycia, klękając tuż u stóp Jezusa, chcąc Jego błogostawieństwa na drogę życia. Opuścił głowę, czekając, aż dłoń Chrystusa na niej spocznie — lecz oczy jego już zaczęły się ślizgać po zbieranych przez piękną dziewczynę na ziemi skarbach. „Kogo też Chrystus niemi obdarzy?“ — myślał, nie wczuwając się już w to, czy On dotknął jego głowy, czy nie.

Chrystus modlił się dalej, a ona bezradnie przystanąła ze skarbami w rękach, nie wiedząc, czy je zostawić, czy nie. Pomyślała:

— On nie chce tych pereł widocznie dlatego, że ukradłam je matce, która z pewnością będzie mię przeklinać, gdy spostrzeże ich brak. A te drugie perły i złote pierścionki także dziwną drogą zostały nabyte...

I wracała powoli, rozmyślając nad tem, co przeżyła, smutna, bardzo smutna, że jeszcze pewnie długo będzie mieć na sobie podobne ciała, jak obecnie, nim w nich oczyści się zupełnie, by mogła otrzymać tę precudowną, jasną, czystą szatę ducha, w której bez wszelkiego wstydu może pójść do Boga i żyć w bliskości Jezusa..

* * *

W poprzednich życiach całe tysiąclecia żyła z małemi tylko wyjątkami w ciele kobiety, i to zawsze niemal kobiety pięknej. W chęci ratowania innych, lecz zatraciwszy już częściowo pamięć o prawach boskich, zdradzała się na świat, a chociaż po każdym odejściu w zaświaty odczuwała wolność duchową, jakiej na ziemi rzadko kiedy zaznała, to jednak w życiu ziemskim, w świadomości ludzkiej raz po raz zatraciała lepszą świadomość duchową i prawdziwą wolność życia, podobnie jak zresztą wielu wędrowców na kuli ziemskiej. A długi się mnożyły, bo słudzy Złej Woli skrzętnie zapisywali każdy czyn, każdą myśl nasuniętą jej przez Niskie Moce duchowe, a przez nią wykonane. Mnożyły się czyny złe, lecz zawsze jeszcze brały przewagę myśli i czyny dobre, których już także wiele miała za sobą. Toteż nie mogli jej zabronić przystępu do Jezusa — chociaż z dorobkiem takich pojęć i myśli o miłości, jakie ją wówczas otaczały; nie mogli przeszkodzić jej duchowi, by przejrzał na światło prawdy.

Ta krótka chwila boskiego cudu, dokonanego przez Jezusa, garść jasnych promieni, sypiących się na nią przy spojrzeniu Ducha Czystego — była chrztem opamiętania dla jej ducha i jak gwiazda przewodnia świeciły jej te promienie czystej Boskiej Miłości z życia

do życia. Chociaż chmury karmiczne — sztucznie stwarzane i prawdziwe — dość ciasno ją nieraz otoczyły, albo przynajmniej usiłowały otoczyć, choć nieraz potknęła się w swej wędrówce ziemskiej, to jednak zawsze przed posmutniałemi jej oczyma zabłysły te jasne promienie, rozświetlając jej drogę życia.

Z miłości dla bliźnich rodzić się, z miłości dla bliźnich cierpieć — to co innego, jak zradzać się dlatego, by zakosztować rozkoszy tego świata, choćby za cenę cierpień innych ludzi, idąc może po ich trupach ku własnej światowej sławie.

Życie... czem jest życie?

Dziś trudno wam pojąć na ziemi, jak pięknem jest życie prawdziwe, życie ducha w miłości ku Bogu. Bo póki duch wasz obleczony jest w ciało, póki przyciągany jest ku ziemi różnemi myślami i więzami tego świata, to choć wzbije się trochę wzwyż ponad to wszystko, czując jednak tętno życia ziemskiego i tkwiąc jeszcze w świadomości ludzkiej, nie może odczuć tego prawdziwego piękna życia duchowego. Im bardziej wyzwoli się ktoś od kajdan tego świata, im mniej łączności odczuwa z tem, co w nim jest niskiego, nie zgadzającego się z wolą Bożą, tem bardziej zbliża się do zrozumienia prawdziwego życia duchowego. W całej pełni pojąć je może jedynie duch, który nie wyczuwa już na sobie nawet najsubtelniejszej materji swego astralnego ciała.

Jakże różnorodnem jest życie! Ileż to światów i ileż na nich życia! Ileż to tych skrzących światełek na firmamencie niebieskim i nikt z waszych przemożnych uczonych, bogatych w pomysłowość i znajomość sił przyrody, nie potrafi wam w myślach zestawić i na planie fizycznym urzeczywistnić odpowiedniego przyrządu, tak olbrzymiego teleskopu, żebyście mogli przezeń obserwować dokładnie życie na tych skrzących, małych dla waszego oka światełkach, rozrzuconych w przestworzu i pogodnie świecących przez wszystkie czasy. Małe światełka — wielkie, bardzo wielkie światy, a także i mniejsze planety, zataczające właściwe sobie kręgi i toczące się naprzód, wciąż naprzód, razem z waszą planetą! A we wszystkim ruch, życie, we wszystkim duch Boży!

Najniższe nawet, wygasłe już planety, — i te podtrzymuje moc Boża, chociaż w niespokojnych drgawkach chcą się wyłamać z pod praw im wyznaczonych, wysunąć się z wytkniętego sobie toru wśród innych planet i rozbić się na atomy. Nie one, ziemie, mają tę świadomość i nie one woli Boskiej się opierają, lecz ci, co na nich żyją czy to w ciałach, czy bez ciał. Są to nieszczęśliwe, zbłąkane duchy ze spaczoną wolą, którym trzeba wiele pomocy, by rozjaśnić świadomość ich duchową dobrego i złego. Odrywając się przez mnogie tysiąclecia od woli Bożej doszły do tego stopnia upadku duchowego, że obecnie lękają się jeden drugiego, pragnąc ukryć przed sobą nawzajem swój upadek i bojąc się nawet cieni własnych swoich ciał. A jednak i ich Bóg wyratuje — i im zsyła pomoc. Nieszczęsne te

istoty same siebie nieraz przeklinają, przyczyniając się swojemi ponuremi myślami do wytrącenia z normalnego toru, a nawet do rozbicia globów, na których żyją; lecz przed całkowitem zniszczeniem chroni te planety dobra wola Ojca, by one ciężarem swoim nie spadły na inne planety jako ogromne, ciężkie meteoryty i nie wyrzuciły ich z ich torów w wiecznej przestrzeni, sprawiając tem ich mieszkańcom wiele boleści i trwogi.

I wasza ziemia nie płynie spokojnie po wyznaczonym jej torze — waha się i drga...

Bo duchy, żyjące na niej, czy to obleczone w ciała, czy pozbawione ciał, buntując się przeciw woli Bożej, wytrącają ją z normalnej jej drogi, same nieraz dobrowolnie skazując swój glob na zagładę.

Ileż to razy słyszymy z waszej ziemi groźne przekleństwa: „Żeby się ziemia zapadła, żeby wszystko djabli wzięli!“ Czyż pod temi słowy: „żeby wszystko djabli wzięli!“ nie ukrywa się myśl zła, żeby się na zawsze oderwać od Boga? Nie wszyscy zdają sobie w równej mierze sprawę z całego znaczenia i z całej złej siły słów, które wysylają w przestworza na własną zgubę; jeden wymawia te słowa z większą, inny z mniejszą mocą goryczy, albo wogóle wcale się nie zastanawiając nad tem, jakie myśli z nich płyną.

Lecz Miłość w cudownej swej grze przenika wszystkie duchy i wszystkich ludzi, a nawet wszystkie istoty, nie przez Boga stworzone. Bo duch jest przez Boga stworzony, dusza zaś, centrum sił człowieka, to już własny twór ducha, powstały dzięki wolnej jego woli. Schodząc ze stopnia na stopień z wyżyn świadomości duchowej w niziny nieświadomości, stwarzał duch ludzki w swej chęci życia i pracy różne twory, już nie na obraz Boży, lecz na podobieństwo swoje własne, zbliżone do niego — owoce życia planetarnego twórczości własnej.

Przejęte ofiarną miłością, widząc powolny upadek swych braci, schodzących w świat materji, śpieszyły inne duchy ochoczo ze śpiewem z wolnej swej ojczyzny, by pomóc bliźnim, którym w źrenicach ich cielesnych oczu gasło wieczne światło głębszej świadomości duchowej.

Pastuszek na skrzypkach gra, a po całym pasmie zielonych gór się rozgląda. Piękna jest jego ojczyzna, której od krańca do krańca jeszcze nie zna. Widzi te piękne góry, lasy, widzi czystą zorzę wschodzącego słońca i jasny, niezadymiony błękit nieba.

„Piękna jest moja ojczyzna, której ludy obce nie znają, a może nią pogardzają!“

Bólem ściska się serce pastuszka; zabiera pod pachę kawałek chleba i skrzypki swoje i idzie, idzie poza granice, śpiewając pieśń o swojej ojczyźnie milej. Kawałkiem chleba suchego chce żyć, by tylko wygrać wszystką radość przez dźwięczne tony skrzypiec o kraju, o którym wciąż jeszcze marzy i który umiłował niewinnem, młodzieńczem swoim sercem. Nie idzie z dumą w świat, z dumą niezdrową, by sam był chwalonym za wydobywanie tych miłych

dźwięków pieśni, lecz wszystko, wszystko robi dla swej drogiej ojczyzny.

Ale czy taki pastuszek po latach wraca do swego kraju rodzinnego tak pogodny duchem, jak niegdyś, gdy pełen młodzieńczego zapału wyruszał w świat głosić jego piękność i chwałę? Na obczyźnie spotyka się z ludźmi o różnych naleciałościach, którzy wyśmiewają jego dziecinne pieśni i lżyć mu każą miłość jego dziecinną, albo go znienawidzą.

Nie zobrazowuje to porównanie jeszcze dostatecznie duchów, idących w świat zdradzania, by podać w mowie i pieśni świadectwo wiecznej swojej i innych ojczyzny duchowej. Jacyż wracają z tej ziemi? Oj, nieraz smutni, bardzo smutni, ze starganemi strunami w duchu i w duszy. Szli wolni, szczęśliwi w miasto rozpusty. Któż ich za to sądzić będzie, jeśli nie ze swej woli się potknęli i struny w duszy zerwali? Inne ręce wyciągną się w stronę zerwanych strun ducha, pomogą je naprawić i same zaczną na nich grać zapomniane tony. Pieśń ich, odbijająca się w takim duchu, budzi go z ciężkiego snu życia ziemskiego.

Przeszło połowa ludzi i duchów na ziemi, to tacy pastuszkowie — dobre duchy, które zrodziły się na świat z myślą, by żyć dla innych i wskazać im drogę do Boga. Zrodzili się, odeszli, znów się zdradzają, a wielu z nich czuwa tylko duchem, nie idąc już ciałem w progi ludzkie. Wielu z nich z mniej, lub więcej starganemi strunami w duchu idą, podobni do nędzarzy, niewiele różniący się od innych postaci ludzkich, płynących po oceanie życia — nędzarze z bogatą świadomością ducha, z wolnym wstępem w wielkie, jasne przestworza.

Świadomość ta niestety jest częstokroć uspioną na ziemi — wystarczy jednak czasem małe słówko, małe jakieś pozornie zdarzenie, czy spotkanie, by wstrząsnąć jestestwem takiego człowieka i obudzić w nim nagle lepsze „ja“, otwierając mu bogate pole jego świadomości.

Któż zna, któż zdoła ocenić miłość dwojga ludzi, spływających w jedno w wyższych dążeniach i myślach? Któż przypomnieć sobie zdoła tę wielką potęgę, która dwa duchy zlewa z sobą w wielkiej miłości do Boga?

...I zdradzali się w różnych stronach świata, czyniąc ofiarę z wielkiej miłości, jaka ich łączyła, kładąc ją na ołtarzu ludzkości jako płomień wieczny, w którym spalać się miało wiele czarnych myśli, stworzonych przez innych, a obiecując sobie spotkać się znowu po ziemskiej wędrówce życia.

Za czasów Chrystusa, żyjąc niedaleko siebie na ziemi, spotkali się znów. Lecz nie było już podówczas owej błogiej harmonji między nimi, w jakiej szli ongiś na świat. Bo w poprzednich zrodzeniach na ziemi Karma wciągała ich w swoje tryby i stawiała ściany między nimi, wplątując ich w różne sceny karmiczne, wiążąc ich niemi z innymi duchami tak, że nie mogli już po odejściu w zaświaty i po-

nownem tam spotkaniu się żyć ze sobą tak swobodnie i w takiej błogiej jedności, jak dawniej.

Coraz bardziej rozdzielała ich Karma, a z nią zmiana poglądów na życie — lecz niskie moce nie potrafiły jeszcze do osiateczności przepalić łączących ich pasm miłości, w których niegdyś spływali w jedno z sobą nawzajem i z Bogiem. Nadszarpane były mocno struny ich dusz, a on wychylał podsuwany mu kielich rozkoszy ziemskich za kielichem dla znieczulenia bólu.

Jego oczy patrzyły na nią, pochłoniętą tańcem, gdy zbliżył się do niej uczeń Chrystusa i mówić zaczął o Nim, o Mistrzu swoim, którego królestwo nie jest z tego świata. Ona miała już wówczas pomyłone pojęcia o miłości, lecz jeszcze nie były zerwane ostatnie struny w jej duszy. I Chrystus łaski pełnem spojrzeniem połączył w całość jej struny, rozjaśnił jej ducha, by mogła ujrzeć przeszłość i przyszłość i prawdziwą wartość życia. A on nie przyszedł... na starganych strunach jego ducha grali inni.

Ona, miłując Boga, była wierną i jemu, swojemu przyjacielowi ziemskiego życia; wierność ta jednak była wcieśniona w ramy, odpowiadające ludzkiemu pojęciu. A On, Duch Czysty, nauczył ją miłości, zbudził w niej prawdziwe pojęcie miłości. Ale i ta w ciasnej atmosferze ludzkich myśli i zwyczajnego biegu życia znów przybierała inne myślowe kształty.

Chodziła odtąd często pomiędzy uczni bez pereł i drogiego stroju. Nie miała gdzie skłonić głowy.

Zaraz po swem spotkaniu z Jezusem, kiedy to duch jej przebudził się po raz pierwszy po wiekowem uśpieniu, sama się nie spostrzegła, kiedy stanęła przed domkiem swej żydowskiej rodziny.

W domu było na nią wielkie oburzenie. Gdy matka bowiem zauważyła zniknięcie pereł, domyśliła się, że Surya je potajemnie wyniosła. Pobiegła jej szukać w jej bogatym towarzystwie, lecz tam dowiedziała się, że ona wyszła, mówiąc iż idzie poznać Nazarejczyka. Matka, drżąc z oburzenia i strachu, że straciła już nazawsze nie tylko perły, darowane jej przez córkę, ale i drugi sznur jej własnych pereł, postanowiła zemścić się na córce i na Tym, za którym poszła. Wróciwszy do domu, wyprzątnęła skrzętnie całą walizę z wielbłądziej skóry, chowając w tajemnicy przed rodziną wszystkie skarby i z próżną poszła ponownie na skargę, że wszystek ich dorobek został im przez Suryę skradziony. Lecz ten, któremu przedstawiła swoją skargę zadumał się głęboko nad tem, jak potężny wpływ musi wywierać ów Nazarejczyk Swoją nauką Swojami czynami, że tyle ludu porywa za Sobą, a ten lud Go kocha. Gdy tak w zamyśleniu słuchał skarg matki Suryi, oko jego zaczęło przebijać ciemności, twarz stała się pogodną, błogie ciepło zaczęło otaczać jego ducha, a on zaczął także miłować Nazarejczyka, zapominając o skargach, mu przedkładanych. Przysłuchiwała się skargom matki Suryi młoda dziewczyna, zazdrosna jej rywalka w tańcu, oraz odwieczny przyjaciel Suryi, młody Rzymianin, a także pewien celnik. Ten, przysłuchając się skwapliwie skardze, osnuwał już plan oskarżenia przeciw Nazarejczykowi, by podburzać innych w mieście przeciw Niemu. A Rzy-

mianin słuchał słów matki swej ukochanej Suryi z dziwnym lękiem, nie obchodziła go nic strata jej skarbów, lecz w zamyśleniu pragnął dojrzeć prawdziwą przyczynę, dla której ona się od niego oddała i zastanawiał się, jak postąpić, by Suryę naprowadzić na inne myśli, aby powróciła do niego — do dawnego trybu życia.

Gdy po powrocie matki ujrzano w domu zbliżającą się Suryę, wyszedł jej ojciec na powitanie i zaczął ją okładać batem, splecionym z ciernistych prętów, zadając jej wiele ran. Skrzynka z perłami wypadła jej z rąk — wszak niosła je z powrotem matce; oni widzieli skrzynkę, ale sądzili, że jest już próżna. Toteż stary ojciec, żyd, bił ją zawzięcie, zabraniając jej wszelkiego wstępu w progi rodzinne. Uspokoily go dopiero rozsypane perły; zebrał je szybko z ziemi i znikł w domu, zamykając przed nią drzwi.

I powróciła do Jezusa w starganej szacie, z krwawymi bliznami na ciele. Była głodną, a usta jej pragnęły wody, lecz jak potępieniec unikała domów ludzkich, gdzieby mogła otrzymać kubek wody. Zaczęła się bać ludzi. Świeże było jeszcze w jej pamięci wspomnienie błogiego uczucia czystości duchowej, jakiego na chwilę doznała w obecności Chrystusa; ogarnęła ją tęsknota za tą piękną, czystą szatą ducha i za tem boskiem pokrzepieniem, płynącym z oczu Chrystusa. Lecz naokoło Niego było ludzi wiele — a nogi wypowiadały jej służbę. Upadła na piasku, wsłuchając się w Jego słowa. O, jak pragnęła, by ręka Jego spoczęła na jej głowie, przynosząc jej taką boską ulgę, jak w owym pamiętnym dniu, kiedy to poczuła się na chwilę wolną duchem zrzuciwszy z siebie ciężar ciała, ubrania, złota i pereł.

Lecz naokoło niej stanęła mała grupka ludzi, którzy mówili głośno do innych, stojących w pobliżu: „I my przystępujemy do grona Jego uczniów, i my będziemy robić cuda!“ Stanęli naokoło niej i drwili sobie z jej ran. Wszak były to narzędzia Zła, wysłane przez moce Złej Woli, by wstrzymywać Jezusa w Jego postannictwie swojemi zapytaniami, obiecując Mu wiernie służyć.

Zatęskniła gorąco za tem, by ukryć twarz swoją zboląłą w Jego szacie, aby móc na chwilę nie widzieć nikogo, zapomnieć o ziemskim życiu, o swej boleści. A kiedy ich spojrzenia wpijały się w jej rany, sącząc w nie jad żmijowy i znów z sadystyczną rozkoszą przeszywały jej członki, podniosła nagle głowę, wyciągnęła ręce w stronę Jezusa, gdzie przypuszczała, że On stoi i każe do ludu i zawołała:

— Nazarejczyku ukochany, zagój moje rany na ciele i na duchu!

W tejsze chwili znikł z ciała jej piasek, oblepiający zakrwawione członki i już na całej powierzchni ciała nie było żadnej rany. Wstała, zdrowa na ciele, posilona na duchu. Ze smutkiem opuściła jednak powieki na oczy, bo przeszłość w jaskrawych obrazach przesunęła się przed nią po piaskach, jak fata morgana na pustyni w rozgrzanem powietrzu, ujawniona działaniem promieni słonecznych. Doznała drugiego cudu — i jakżeż nie miała Mu wierzyć? Składała Mu po-

nownie ślub wierności wśród piekła życia na ziemi. Pragnienie, by czynić dobrze, odzywało się z coraz większą potęgą w jej duchu.

Odstąpili od niej faryzeusze — lecz nie mogli jej darować, że na nikogo z nich nie spojrzęła jej oko i nie pozwoliła się podnieść z piasków, nie przyjmując od nich pomocy, jak również ani słowem nie odpowiadając na ich drwiny i uśmieszki. Baczne oko zaczęło ją pilnie śledzić, baczne oko Złej Woli, która całą siłą broniła się przed zwycięstwem Woli Dobrej. Niebawem wszyscy, dotychczas jej bliscy, krewni i znajomi, dowiedzieli się, że porzuciła dawniejsze życie i słuca nauk Chrystusa. Została wyklętą przez swoją rodzinę; z ubolewaniem mówiono też o niej wśród jej wielbicieli. A ten, który przeszedł wspólnie z nią wiele żywotów, mając już stargane w duchu struny, na których mogłoby znaleźć oddźwięk pojęcie prawdziwego, boskiego życia, najbardziej odczuwał stratę jej, najmocniej odczuwał nieobecność tej, którą kochał. Myśli jego dolatywały ją, gdy siedziała w pobliżu uczni ludzi, słuchających nauk Chrystusa.

„Czyń dobrze“ — odzywało się często w jej duchu. Lecz ledwo sobie zaczęła uświadamiać, co ma czynić, by się to zgadzało z wolą Bożą, już Niskie Moce narzucały na nią oka sieci, tworzące krąg naokoło niej i ograniczające bystrość jej myślenia, a nasuwały jej obraz, stworzony przez siebie, który napozór też nie odchyłał się od woli Bożej.

I ujrzała swego towarzysza, w kręgu narzuconych jej właśnie myśli: „Idź, przyprowadź go, niech on także posłucha słów Mistrza.“

Pod wpływem tej sugestji nagle, wśród kazań Chrystusa, nie zdając sobie jasno sprawy, co czyni, pobiegła szukać zbłąkanego towarzysza, by przyprowadzić go do Jezusa. A gdy znalazła się w jego bliskości, to on, dostatecznie już pokrzepiony myślami, sugerowanymi mu przez złe duchy, które przy tem wszystkim napełniały go żarem namiętnej miłości do niej i pragnieniem przebywania w jej bliskości, zaczął ze łzami w oczach prosić ją, by się opamiętała i wróciła do porządnego życia, gdyż takie włóczęgostwo i nędza nic dobrego jej nie przyniesie. Całował jej przytem stopy i ręce i raz po raz zaklinał się, że bez niej żyć nie może, że zginie, że targnie się na życie i t. d. A w jej duszy wciąż brzmiało: „Czyń dobrze“ — i już znak zapytania, jak wąż zawisł nad jej sercem: „Czyż byłoby to dobrym czynem, gdybyś go opuściła, a on pozbawiłby się życia?“ i t. d.

Zmagania były straszne — lecz zawsze po takim zmaganiu się wracała do Jezusa. Po dwa i trzy dni nie oglądały jej oczy cudów, czynionych przez Niego, a duch jej nie mógł zrozumieć Jego słów łagodnych, zagłuszany burzliwym krzykiem rozpacz i łzami swego przyjaciela na ziemi i przez istoty niewidzialne, które sprytnie mąciły jej myśli. Te to zawsze starały się, by któryś z tych faryzeuszy, przybierających na siebie nieszczerze rolę uczniów Chrystusa, przyczołgał się gdzieś za nią i ujrzał ją w namiętnych uściskach jej przyjaciela. Wracął cichaczem do grona uczniów Mistrza, by im oznajmić, że ta, która tak bezczelnie śmiało siada u stóp Chrystusa, tonie w bezgranicznej zmysłowej rozkoszy w uściskach przyjaciela.

To też gdy ona po trzydniowej nieobecności śpieszyła pomiędzy uczniów ze szczerem, niewinnem pragnieniem, by dowiedzieć się, co uczył i działał dobry Jezus w czasie jej nieobecności, to ze smutkiem spostrzegła, że nikt nie śpieszy z upragnioną odpowiedzią, a ducha jej zaczęły zmrażać chłodne myśli: „Odejdź, bezwstydną komedjantko!“ Czła się wówczas dziwnie osamotniona, czła się biedną sierotą. Lecz myśl o Nim, o Jezusie, pokrzepiała ją.

„O, wszak On wszystko widział i wiedział, a jednak obiecał mi, że mogę wrócić do Boga, wszak dał mi dowód Swej miłości, Swej wyższości nad wszystkim złem, dowód inny, niż mógłby mi dać ktokolwiek na ziemi!“

„Czyn dobrze“ — odzywało się w jej duszy — „spłacaj spokojnie dług stary, w pokornych cierpieniach oczyszczaj swą szatę ducha“... Zapragnęła wprost od Jezusa w myślach przyjmować wskazówki, co ma czynić; prosić zaczęła w duszy: „Niech Jego oko mi to powie, niech Jego myśl się we mnie ozwie zawsze, gdy tego będzie trzeba!“

I przyszedł czas, kiedy Łazarz zamykał oczy, jak mówią na ziemi, na wieki. Siostry jego, widząc cuda, jakie czynił Jezus, pragnęły, by On uzdrowił im brata i jedna z sióstr przyszła do Niego z prośbą, by to zrobił. Surya była tak zasłuchana w słowa Chrystusa, że nie spostrzegła nawet, jak niedaleko niej stanęła siostra Łazarza, prosząc Chrystusa o pomoc. „Czyn dobrze“ — odezwało się znów w jej duszy.

— Ty dobry Jezu! — pomyślała — uczyn mnie godną być Twoją posłanniczką, wskaż mi, co mam czynić, by się to zgadzało z wolą Bożą. Tak chętnie szłabym ludziom z pomocą. O, gdybym tak mogła wyręczyć Cię i uzdrowić Łazarza, abyś Ty nie musiał opuszczać tych zastępów ludzi i byś mógł pouczać ich dalej.

Tymczasem Chrystus dawał już siostrze Łazarza uspokajającą odpowiedź, że przyjdzie. Odeszła.

Niedługo odczła Surya myśl, płynącą od Jezusa:

— Wstań; idź i zbudź Łazarza w imieniu Mojem, z myślą o Bogu.

Wstała natychmias i ręce skrzyżowała na piersiach, pochylając przed Chrystusem głowę na znak, że rozumie i wolę Jego spełni. Lecz ledwo uczyniła pięć kroków, zaczęła się załamywać jej wiara, że potrafi zbudzić Łazarza. Powiał bowiem ku niej chłodny prąd myśli; odniosła wrażenie, że przedziera się on gdzieś z daleka, a nawet także idzie od ucni. Wyczuła, jak niektórzy z nich sądzą, że Chrystus odprawia ją wzrokiem od siebie za jej śmiałość, że siada tak blisko Jego stóp. Bo przecież sami uczniowie nie obstępowali Chrystusa, jak się któremu podobało, lecz im który lepiej rozumiał Go, tem bliżej ustępywali mu inni miejsca, by ci, którzy lepiej rozumieją Jego słowa, mogli je opowiadać następnie tym, którzy stoją dalej i nie słyszą wszystkiego tak dobrze. Tymczasem ona obierała sobie sama miejsce, a jeśli tylko mogła, siadała u stóp Jego.

Otoczona dziwnymi myślami, coraz bardziej traciła wiarę, że potrafi wykonać zlecenie Chrystusa, którego się tak chętnie podjęła. Odwróciła się, patrząc smutnie na Jezusa i poprosiła go nieśmiało w myślach:

— Panie, poślij ze mną którego z uczni, by dano mi wiarę, że przychodzę z Twego polecenia.

Wówczas Chrystus skinieniem ręki dał znak jednemu z uczniów, by poszedł z nią. Odeszli cicho, w zamyśleniu, nic do siebie nie mówiąc. Ona nie odzywała się do niego z obawy, by on, uczeń, nie obraził się, że ona śmie do niego przemawiać. Im dalej szli, tem ciszej starała się stąpać za nim, by mu nie przerywać myśli; gdy zbliżali się do miasta, szła już o pięć kroków w tyle, a tuż u bram miasta niepostrzeżenie naraz zawróciła, myśląc:

— Pocóż miałabym z nim iść do Łazarza? Wszak on może lepiej wykonać, co polecił Chrystus. Mogłabym mu tylko przeszkadzać w zbudzeniu Łazarza. Wszak on częściej jest świadkiem cudów, czynionych przez Jezusa i wie, jak trzeba położyć ręce na martwe ciało, by ono znów powstało do życia.

A jednak w chwili, gdy Chrystus dał jej zlecenie, by poszła zbudzić Łazarza do życia, nie widziała w tem nic niemożliwego i chciała to sama uczynić. Dopiero u wejścia do miasta straciła wiarę w swoją siłę, gdyż różne myśli nasuwali jej po drodze ci, których nie dostrzegano jej oko. Bo niewidzialne cienie szły w ślad za nimi, by zmącić obojgu myśli. Uczeń ów, który Surya towarzyszył, nie zauważył był przedtem dokładnie, co Chrystus do niej mówił spojrzeniem, bo owionęła go wówczas fala niechęci do niej, to też nie wiedział, jakim zadaniem ją Chrystus obdarzył. Domyślał się trochę, lecz nie miał pewności, bo trudno mu było pojąć, żeby ta dziewczyna, kochająca, jak myślał, swego przyjaciela bardziej, niż Jezusa i oddająca się do bezprzytomności cielesnej rozkoszy, mogła spełnić coś tak wzniosłego, jak zbudzenie Łazarza do życia. A Cienie duchowe już się o to postarały, by go w tem zdaniu utrwalić.

Tymczasem Surya, przeświadczona, że on tak samo pojął myśl Chrystusa, jak ona i wie dobrze, co jej Chrystus polecił, znikła nagle cicho u bram miasta. Opuściły ją też wówczas cienie ciemnych myśli, odetchnęła. Pomyślała, że pewnie tak będzie dobrze, bo jego nie będzie drażniła jej obecność, a miała wiarę, że on sam może wykonać to, co jej było polecane. I poszła znów szukać swego przyjaciela, by go znów usilnie prosić, aby poszedł do Jezusa.

Uczeń zaś, który jej towarzyszył, po przyjsciu do miasta nie mógł sobie uświadomić, co i jak tam miało być wykonane. Zawrócił tedy ze spuszczoną głową, nie zbliżając się nawet ku swemu Mistrzowi i usiadł wśród uczni.

Surya wróciła za 2 dni, będąc przekonaną, że ten, co towarzyszył jej do miasta, wykonał zlecenie Jezusa. Chrystus znów pouczał lud, a ona chciała usiąść u nóg Jego. Wówczas On zapytał:

— Cóрко, czyś spełniła, co ci poleciłem?

Ona, będąc przekonaną, że wszystko w porządku, skinęła głową na znak potwierdzenia, myśląc: „Wszak to wszystko jedno, czy ja, czy ten uczeń zbudził Łazarza.“

A On nie odpowiedział ani słowa. Po krótkiej chwili poszedł do miasta, a za Nim szli Jego uczniowie i wielu innych. Poszła i ona.

Jakież było jej zdziwienie, kiedy ujrzała, jak krewni Łazarza witają Go z płaczem, a jedna z siostr z żalem narzeka:

— Gdybyś Ty tu był, Panie, nie stałoby się to, a teraz już zapóźno, bo trup się rozkłada!

Wówczas zrozumiała Surya, że nie zostało wykonanem, co jej Chrystus polecił i gorzko zapłakała. W nieutulonym żalu, trapiiona wyrzutem sumienia, że Go nie usłuchała, chciała ukryć głowę w Jego szacie i wyczekiwała, że ręka Jego spocznie na jej głowie, kojąc jej ból. Lecz nie pogłaskał jej — i smutną pozostała w duchu na dłuższy czas.

A Chrystus zbudził Łazarza, każąc mu wstać i chodzić, by dał świadectwo Prawdzie, że moc Boża jest wielką i wielkiem Jego miłosierdzie.*)

W owem życiu od chwili poznania Chrystusa już do końca rwała pęta dawnej przeszłości, prześladowana i głośno przeklinana przez żydostwo, ale także i nierozumiana przez wiernych. Bo myśl o przyjacielu nie dała jej pozostać długo przy Chrystusie i słuchała spokojnie Jego nauk, lecz pędziła ją po przyjaciela, by ratować go. Istotnie parę razy przyszedł posłuchać nauki Chrystusa, lecz nie rozumiał jej, gdyż wszystkie struny w jego duchu były już stargane, a on szedł tam raczej w tym celu tylko, by przekonać się, czy jakaś ziemską miłość nie ciągnie jego ukochanej do stóp Nazarejczyka. Uspokoił go widok Jezusa, stojącego boso na piaskach i, jak mu się zdawało, nie zwracającego uwagi na płeć piękną.

Pewnego razu, kiedy Chrystus wybierał się ze swoimi uczniami w dalszą drogę, a on widział, jak zrywa się w dali tajfun, wznosząc słupy piasku i miotając niemi na wszystkie strony, zdjęło go współczucie, że Mistrz chce iść przez ten huragan boso i, jak mu się zdawało, niedostatecznie odziany, i zwrócił się do Suryi ze słowami: „Biedny człeczyna“. Zdjął z siebie płaszcz i wyciągnął rękę z nim do Mistrza, aby ten miał się w co otulić przeciw nadchodzącej burzy. Lecz ni wzrok ni ręka Chrystusa nie zwróciła się w stronę płaszcza. Urażony opuścił płaszcz na ziemię. Nie schylił się już po niego i odszedł, ciągnąc Suryę wprost przemocą za sobą, by nie szła w to niebezpieczeństwo. Dziwne uczucia nim miotały. Chwilami był obrażony, że wzgardzono jego pomocą, to znów dreszcz wstrząsał nim na myśl o nieznanym, niepojętym dla niego Człowieku, o Jego niewzruszonym wzroku, spokojnie wpatrzonym w dal i Jego dźwięcznym, pogodnym głose. Te dziwne dreszcze, te chwile zamyślenia, dopomogły duchowi jego do zrzucenia najgrubszej szaty, w jaką już był otulony. Jednakowoż niewiele postąpił naprzód w tem życiu za czasów Chrystusa, gdyż jeszcze w dniu ukrzyżowania, gdy torował drogę orszakowi, wiodącemu Jezusa na śmierć, koń jego potratował kilka osób, wybiegających mu w zamęcie w drogę, łamiąc im kości. Lecz bardzo mu była niemiła praca utrzymywania porządku w owym

*) Patrz dodatek: 7. Zbudzenie Łazarza.

dniu. Widząc Chrystusa zbiczowanego, znów powtórzył: „Biedny człeczyna“. A jednak znów odczuł, że z tego niepojętego Człowieka bije jakaś niezmierna siła i bał się już spojrzeć na Niego.

Człowiek ten żyje obecnie na ziemi. Przez cały szereg zrodzeń strząsał już z siebie powoli te różne naleciałości i brudy duchowe, a jednak jeszcze w tem życiu nie miał zupełnej wiary w Boga, aż nagle przy spotkaniu się z Suryą, czyli obecną Agni P., ożyła w nim błyskawicznie stara przeszłość i z pobladłemi ustami, drżąc na całym ciełe, zaraz przy pierwszym spotkaniu prosił o przebaczenie. Jeszcze na kilka godzin przed przybyciem do niej dyskutował głośno w pewnym gronie zwolenników wiedzy duchowej, że nie jest bynajmniej historycznie dowiedzionym fakt, jakoby Chrystus żył istotnie na ziemi, może to być tylko postać legendarna. Interesował się już wiedzą duchową, ale tylko jej zewnętrznymi pozorami, nie wnikając w ducha sprawy. I oto po blisko dwóch tysiącach lat nastąpiło ostateczne przebudzenie się, przebudzenie w pełnej mierze jego wiary w Boga, w posłaniecstwo Jezusa i we wieczne życie ducha. Przez blisko dwa tysiące lat duchy piekieł strzegły pilnie, by nie mógł przebudzić się duchowo na ziemi. Lecz ponieważ pasma miłości jego ku Suryi zostały nawiązane nie na ziemi, więc nie potrafiły ich złe duchy rozwiązać na ziemi. Te pasma miłości wiekowej małżonki, siostrzanego ducha, przetrwały wszystkie udręki i nie zostały spalone w ogniu namiętności, w ogniu piekła.

W życiu obecnym zbudziła się raz jeszcze stara przeszłość z ogromem nadludzkiej tęsknoty ich wzajemnej za sobą, lecz czuwało nad nimi wiele świadomych duchów, by spotkanie ich nie zostało znieświęconem przez Moce piekieł i by spełniło się to, co było przeznaczonem. Na przeznaczenie to złożyły się jego pragnienia spotkania się z nią, ponawiane przy każdym zrodzeniu się i jej miłość i chęć ratowania go, a kierowały niem Wyższe Moce, by przy spotkaniu się z nią przebudził się duch jego i ujrział Prawdę. Niskie Moce chciały ją w tej miłości ku niemu ponownie krzyżować. Lecz czuwały nad nimi dobre duchy, by miłość ich wykrystalizowała się w miłość czystą, siostrzaną i braterską.

* * *

Straszna była tęsknota Suryi, kiedy Chrystus odszedł ze świata, a ziemia cała wydawała jej się bezmierną pustynią. Raz po raz widział duch jej swoją przeszłość, swoje długi na ziemi. Często wspinała się najniebezpieczniejszymi drogami na górę, na której Chrystus został ukrzyżowany; nie chciała bowiem iść zwyczajną drogą, tamtędy, gdzie kroczyła Jego noga, by nie znieświęcać śladów stóp Jego. Często na kamieniach i cierniach zostawały krwawe ślady nóg jej, a pasma jej włosów powiewały na kolcach krzaków, przez które musiała się przedzierać. Przypominała się jej cierniowa korona na głowie Chrystusa. „Ja cierpię za swoje winy, ale On cierpiał dla nas, cierpiał za nas!“

Patrzono na nią, jak na warjatkę. Nie szukała już swego przyjaciela. Często zadźwięczały jej w duchu słowa: „Czyni dobrze, pełnij wolę Bożą!“ Szła więc pomiędzy lud żydowski i przypominała im nauki Chrystusa, Jego dobre czyny, wołając, że został niewinnie ukrzyżowany. Widząc jej rozwiany włos, poranione ciało i odzież, opadającą z niej w strzępach, zamykano przed nią drzwi, a na jarmarkach obrzucała ją dziatwa kamieniami. Pewnego dnia, zraniona mocno na ciełe i duchu, krzyknęła do gawiedzi żydowskiej w chwili upadku duchowego:

— Nie mam już serca dla nikogo! Zgiń, plemię jaszczurcze! Boże, nie patrz na nich, odwróć od nich swoje oblicze!

Odeszła stamtąd i zaczęła się wspinać na ową górę, na której Jezus został ukrzyżowany. Miała tam ukryty pod kamieniem papyrus, na którym już od kilku dni spisywała swoje myśli. Był to rodzaj spowiedzi, czy testamentu. Opisywała tam stan swój duchowy i zwracała się do uczeni, którzy również mieli ją za opętaną, przypominała im miłosierdzie Boże i wielką wyrozumiałość Chrystusa dla cierpiących. Zaznaczyła, że nie może żyć bez Chrystusa na ziemi, więc odejdzie za Nim w zaświaty.

Dokończyła ostatnie rzędkie swego testamentu słowami: „Na tej górze odbiorę sobie życie.“ Zwinęła papyrus, przywiązała doń sznurerek, zakończony szmatką, włożyła wszystko do małej jamki pod skałą, a otwór przywaliła kamieniem, zostawiając jednak na powierzchni szmateczkę, którą wiatr wolno powiewał. Stała na skale, a tymczasem pod górą zgromadziło się wiele dziatwy, która wspinała się za nią i wykrzykiwała jak na warjatkę. Surya zamierzała już skoczyć ze skały, lecz zawałała się jeszcze, bo usłyszała, jak dobre duchy wołają do niej:

— Nie odchodź z tego świata z przekleństwem na ustach!

Wtem tętent konia przerwał jej tok myśli, płynących od dobrych duchów i usłyszała głos swego odwiecznego przyjaciela:

— Nie masz już serca dla nikogo?

Z ironicznym uśmiechem wskazywał przytem na siebie i kończył:

— Więc skocz z góry, dlaczego się jeszcze wahasz?

Słowa te podziały na nią tak, że zapomniała o przestrozach dobrych duchów i jakby pędzona przez hjeny pobiegła ze strasznym bólem w duszy na drugą górę. Rzuciła okiem na zachodzące słońce i nachyliła się nad przepaścią, by skoczyć. Jeszcze raz zatrzymała ją myśl: „Stój, nie skacz z góry!“ Nie mogła się już jednak zorjentować, co to ją wstrzymuje.

— Czyżby mi było żal tego życia? — pomyślała. O, nie, nie mam tu już nic na świecie.

Skoczyła z góry. Spadając, złamała sobie rękę i rozbiła skroń o skałę, a w kilka minut duch jej odłączył się od ciała.

I ujrzała nagle naokoło siebie cały krąg duchów, milczących i smutnych. Ciężar ich smutku powiększył jeszcze brzemie jej własnego smutku, toteż chciała wy dostać się z pomiędzy nich, mówiąc:

— Idę do Jezusa.

Lecz dobre duchy odpowiedziały jej chórem:

— Niema Go tu!

To „niema Go“ — było potężną strzałą, przeszywającą ducha jej aż do głębi. Wszystkie boleści, jakie dotąd przeżyła, wszystkie wiekowe udręki nie mogły się równać z ogromem tej boleści. Zaczęła sobie usilnie przypominać tego Jezusa i Jego słowa: „Ojciec mój w niebiesiech...“, więc zapytała myślą:

— Gdzie On jest?

— Jest u Boga — brzmiała odpowiedź.

Surya poczuła, że ona właściwie tak samo kocha tego Boga, jak Jezusa.

— I ja chcę pójść do Niego — odezwała się.

Lecz dokoła panowała głucha cisza — nikt nie dał odpowiedzi przyzwalającej.

Ogarnął ją lęk, co teraz uczyni. Odeszła z tego świata i gdzież znajdzie Jezusa swego kochanego?

Wtem uczuła się przeniesiona na tę górę, gdzie spoczywał przynięciony papyrus z jej testamentem. Postawiono ją w pobliżu miejsca, gdzie stał krzyż Chrystusa i usłyszała ponownie słowa, które ostrzegały ją dobre duchy, gdy chciała skoczyć ze skały: „Nie odchodź z tego świata z przekleństwem na ustach!“ Równocześnie przypomniła sobie Zbawiciela, spoglądającego miłosiernem okiem na zastępy bluźniących Mu ludzi, wołających: „Ukrzyżuj!“ I usłyszała słowa Chrystusowe: „Panie, oświeć ich, bo nie wiedzą, co czynią!“ — a w tejsze chwili żywo stanęły jej w pamięci własne jej słowa: „Zgiń, plemię jaszczurcze!“ Ujrzała, jak wielu z tych, co krzyczeli przeciw Jezusowi, było w tej chwili opętanych przez niskie duchy, choć sami nie wiedzieli, że są opętawani, że działają pod wpływem cudzej złej woli i że złe myśli, jakie się rodzą nibyto w ich głowie, są im narzucane z zewnątrz. Widziała straszne potwory elementarnych myśli, widziała całą tę otchłań piekielną w życiu ludzkości, będącą dorobkiem i ciężarem zarówno ludzi w ciałach, jak i duchów bez ciał, żyjących sprzecznie z wolą Bożą.

Zdjęta trwogą przeniosła się z błyskawiczną szybkością ku swym zwłokom. Naokoło nich zaczęła się już zbierać grupka dziatwy i dorosłych. Niebawem usłyszała wymianę zdań na temat przyczyn jej samobójstwa. Jedni twierdzili, że uczyniła to z powodu swego przyjaciele, inni że chciała pójść za Jezusem.

I stało się, że nikt nie chciał się zająć jej zwłokami, gdyż przez żydów była wyklętą, a chrześcijanie nie uważali jej za swoją, bo nie była ochrzczoneą z wody. Rodzina nie zgłaszała się po nią, wierni też nie przychodzili. Przyszedł tylko jeden głuchoniemy, którego ona przyprowadziła była przedtem do Jezusa, by błagał Go o wyleczenie. Lecz kiedy Chrystus zaczął mówić, twarz głuchoniemego rozpromieniła się radością, bo on wszystkie Jego słowa, Jego myśli słyszał i rozumiał w duchu — i zapomniał o swojej niedoli, zapomniał, że jest głuchoniemym i że miał prosić o wyleczenie. Był w obecności Jezusa szczęśliwym i nie odczuwał pragnienia wymiany myśli zapomocą mowy. Smutny po odejściu Jezusa nie znalazł pociechy ni zrozumienia u wiernych, bo ci nie zwracali na niego wiele uwagi,

myśląc: „Gdybyś był godnym boskiej miłości, byłbyś został uzdrowiony“ Więc i on, jak sierota, błąkał się z miejsca na miejsce. Był głęboko wdzięczny Suryi, że dzięki niej poznał Jezusa, lecz i z nią widywał się bardzo rzadko po odejściu Chrystusa ze świata. Ostatnimi dniami szukał jej i właśnie teraz znalazł jej zwłoki po upadku jej z góry. Ukląkł na ziemi i całował jej skrwawione stopy, a spoglądając nieśmiało na martwą jej twarz, myślał sobie: „Poszła za Jezusem, teraz jest już pewnie szczęśliwa!“

Tymczasem nadjechał na koniu także jej towarzysz ziemski, młody Rzymianin. Przeszył wzrokiem zazdrosnym i nienawistnym głuchoniemego i narzucił płaszcz na zwłoki ukochanej, by ten nie spoglądał na nie, a zresztą on sam nie mógł znieść widoku jej ciała, zbroczonego krwią.

Ten głuchoniemy spotkał się z nią również w obecnym życiu i nadal nie zabiera głosu w sprawach ducha pomimo, iż żyje bardzo blisko niej, bo idzie razem z nią przez życie. Lecz w duchu jego płonie jasnym światłem myśl o Bogu i pragnienie, by żyć według woli Bożej.

Późnym wieczorem zbliżyła się jej ciotka i kuzyn ku zwłokom; kuzyn z urzędu, by stwierdził, czy prawdziwe są pogłoski, że trup jej leży pod górą i by w danym razie zbadał tegoż przyczyny. Po suchym spisaniu pobieżnego protokołu na miejscu zakrył znów zwłoki płaszczem i oddalił się, zaciskając zęby z gniewu na myśl o wstydzie, jakiego narobiła rodzinie. Przypuszczał, że główną przyczyną jej śmierci był młody Rzymianin i na niego rzucił podejrzenie. Wysłano straż, by czuwała przy trupie.

Tymczasem ciotka Suryi, nachyliwszy się nad zgasłą twarzą siostrzenicy, którą bardzo kochała, zaczęła wśród łez wspominać półgłosem jej lata dziecięce, lata niewinnych zabaw. Duch Suryi, jakby zahypnotyzowany temi myślami, został przeniesiony w te czasy, o których mówiła ciotka. Zapomniała o wszystkim przeżytej niedoli, zdawało jej się, iż znów jest małym dzieckiem, pieszczonem przez bogatą ciotkę, u której była na wychowaniu. Bawi się pod dużą palmą w ogrodzie, a naokoło niej biegają dwie białe owieczki, chowane wyłącznie dla jej przyjemności.

I tę ciotkę, zarówno jak i kuzyna spotkała w obecnym życiu. Oboje pozostali żydami aż do obecnego życia, w którym dopiero dawny kuzyn przechrzcił się na parę lat przed spotkaniem z Agni — dawną Suryą. Ciotka Suryi jest w tym życiu jego matką. Spotkał się też ze swym dawnym nieprzyjacielem, odwiecznym towarzyszem Suryi, który dzięki jego oskarżeniu dostał się był również po śmierci Suryi do więzienia, a potem z kolei dzięki fałszywym zeznaniom tamtego, został i on uwięziony.

Gdy kuzyna wypuszczono z więzienia, poszedł zaraz na grób Suryi i złożył tam kwiaty, prosząc ją o przebaczenie, gdyż podczas kiedy był uwięziony, zaczęło już przebłyskiwać w jego duchu światło. Zaczął się zastanawiać nad tą jeszcze dla niego tajemniczą postacią Jezusa. Było to chwilowe rozjaśnienie jego ducha, bo

dawne przewinienia nie pozwoliły mu trwać długo w tym stanie świadomości.

Gdy w obecnym życiu spotkał się z Agni, powtórzyła się scena z kwiatami, zaraz bowiem pierwszego dnia, kiedy ją poznał, posłał jej przez posłańca kwiaty z dopiskiem: „Schodziłem całe miasto, byłem u wszystkich ogrodników i przesyłam róże, jakie tylko mogłem jeszcze znaleźć.“ W kwiatkach tych było niejako przypomnienie i ożycie dawnej przeszłości.

Obaj nieprzyjaciele z owych czasów, kuzyn i młody Rzymianin, zeszli się w tem życiu, a pracowali nawet w jednym stowarzyszeniu nad rozwiązaniami zagadnień tajemniczych sił w człowieku i przyrodzie, zagadki uzdolnień medaljnych i t. p. Cienie z fali dawnych oskarżeń także przyplęły — i obaj chociaż nie burzliwie i w nie-nawiści, to jednak w nieporozumieniu się rozeszli.

Przez całych dziesięć miesięcy wysuwała się przed duchem Agni w obecnym życiu przeszłość przeżyta i życie Chrystusa na ziemi. Wiele łez spłynęło po jej twarzy przez tych 10 miesięcy. Wchodzili jej w tym okresie w drogę ci, co żyli za czasów Chrystusa i pozostawali z nią w ściślejszej lub dalszej łączności i ci, co Karmą lub sympatją byli z nią przez szereg zrodzeń związani. Patrząc na te wszystkie obrazy przeszłości, tak pełne życia, żyjąc duchem w tej dawnej rzeczywistości, jeszcze raz przeżywała wszystkie wstrząsy z owych czasów. Toteż nie potrafiłaby pisać o tem, co przeżyła ongiś, a zwłaszcza za czasów Chrystusa, bez ogromnego bólu i łez i bez wielkiej ekstazy, w której nie mogłaby skreślić ni wymówić ani słowa, bo duch jej wówczas odlatywałby od ciała. Musiałem uciec się do lekkiego znieczulenia jej, połączonego z połowicznym uspieniem, bym mógł opowiedzieć przez nią owe sceny. A trzeba było powiedzieć trochę o jej przeszłości, aby współcześni mogli zrozumieć, dlaczego wolno nam przez jej usta odkrywać tajemnice Wiekuistego Życia i woli Boga.

Wszystko z przeszłości odbija się jeszcze echem w obecnym jej życiu na ziemi — i ponownie zmagali się i zmagają słudzy piekiel, by zamknąć jej usta. Chcą, by zgasły jej oczy, aby nie zdradzała, jak nędznem jest życie, sprzeczne z wolą Bożą i jak marnem jest to, co oni stworzyli na ziemi i w zaświecie.

Przędą coraz to nową pajęczynę, by móc w niej spętać jej skrzydła duchowe, o ile w nią wpadnie. Już nieraz w młodszym wieku, po 20-tym roku życia, wpadła w ich pajęczynę, lecz znów wyrwała się z niej, zostawiając im za to tylko porwane strzępy ich sieci. Lecz że już pajęczyny ich dotknęła, znajdowali podatnych sobie ludzi, przez których usiłowali wskazywać na zło, z jakim się zbratała, by przez ich opowiadania utrudnić jej spełnienie celu jej życia, by uniemożliwić jej zadanie, z jakim przyszła na świat pełna dobrej woli, pragnąc w łączności z nami podnieść kamień na grobie Prawdy.

Lecz tych, co spojrzeli w dobrotliwe oczy Chrystusa i przepelnieni miłością do Niego złożyli Mu ślub wierności, jest więcej na

ziemi. Po części splanają jeszcze swoją Karmę (jak i ona ją splaniała i jeszcze będzie splanać), aż wybije godzina ich pracy na ziemi, kiedy to ślub, dany Bogu, świecący im jak gwiazda przewodnia z życia do życia, obudzi ich ducha do czynu i prawdziwego życia na ziemi.

Wielu też jeszcze się zrodzi z tych dawnych uczniów Jezusa i Jego wiernych, by objaśnić to, co jest ludzkości niezrozumiałem i by prowadzić ją ku świetlanym wyżynom ducha.

Wszak i ten, który miał iść z nią razem zbudzić Łazarza — i on spotkał się z nią w obecnem życiu i chętnie podaje nam pomocną rękę w wypełnianiu woli Boga na ziemi, zostawiając za sobą wiele pogasłych cieni, któremi go niskie moce otaczały, by nie dać mu możności zdradzania prawdy.

Kiedy ciało Suryi zostało pogrzebanem, podążył on wolnym krokiem ze smutkiem w duszy na górę, na której Chrystus został ukrzyżowany. Ugiął się pod ciężarem dręczących go myśli.

Zadumany zaszedł powoli na górę, smutno rozglądając się po niej, patrząc w głębokie przepaście i szczeliny, wytworzone przez trzęsienie ziemi po ukrzyżowaniu Jezusa. Wtem ujrzał szmateczkę, poruszaną wiatrem niby ptaszek, trzepocący skrzydełkami po kamieniach. Pochylił się, odsunął kamień, usiadł na nim, a wydobywszy papyrus, zaczął czytać ową spowiedź i skargę Suryi. Z dokumentu tego zrozumiał dopiero to, czego nie mógł zrozumieć dotychczas. Ujrzał naraz ogrom jej miłości do Jezusa, ujrzał wiele rzeczy, na które był dotychczas ślepy. Przypomniał sobie też wzgardę, jaką oni ją otaczali, kamienując ją nią prosto, jak się kamieniuje nieszczęśliwych grzeszników. I nagle stało się, iż nie mógł dostrzec u niej żadnego innego grzechu, jak tylko namiętną miłość do towarzysza życia, która zamieniała się w bezgraniczną miłość do Jezusa.

Naraz wszystkie te kamienie pogardy zaczęły jakby bić wprost w jego piersi i zdało mu się, że mu rozbijają serce na atomy. Podniósł ręce do góry i zawołał wielkim głosem:

— Suryo, możesz mi darować?

Wtedy duch jej zbliżył się i złożył pocałunek na jego czole.

A Bóg błogosławił tej miłości, bo boski spokój otoczył ich w tej chwili. I zapisaniem zostało w gwiazdach:

— Miłość, która was połączyła, nie dla was jest, lecz dla innych.

I w tem życiu, gdy fala przeszłości przyplłynęła i ożył obraz tamtej sceny wraz z dawną siłą uczuć, zostały im znów powtórzone słowa powyższe, przyczem uświadomili sobie jasno cel swego spotkania tu na ziemi i wspólnej pracy, jaka ich czeka.

Bały się niskie moce spotkania się tej garstki ludzi, która może sobie uprzytomnić, dlaczego tu właśnie żyje na świecie, bały się, by nie ożyły u nich wspomnienia, uczucia i myśli z dalekiej przeszłości i by nie przypomnieli sobie jasnej postaci Syna Bożego na ziemi. Toteż wiele przeszkód czyniono, by utrudniać ich spotkanie, a gdy ono jednak nastąpiło, mącić im jeszcze myśli, by sobie celu swojego nie uświadomili.

Nowa Era.

Nastała pora, że ludzkość łatwiej może zrozumieć Chrystusa: każdy może myśli Jego pojąć we własnym duchu. Niskie Mocy postarały się o to, by w niejasnym świetle stanęła w świętych księgach postać Chrystusa. Bóg-Ojciec, ni Chrystus, nie skazuje nikogo na wieczne zatracenie. Nie karze On, tylko broni swoje dzieci przed zgubą. Ponure obrazy upadku człowieka na dno zwierzęcości. W zamroczeniu swem nie może dojrzeć ludzkość swojego Zbawcy. Nie usuwają tego stanu religje urzędowe, dając ciasne pojęcie o Bogu. **Zaświeciła Gwiazda Betleemska wśród nocy upadku człowieka; teraz zbliża się brzask dnia świadomości duchowej. Przyjdzie Zbawiciel, lecz nie w postaci człowieka — On ma się zrodzić w sercach ludzkich.** Z promieniami Wiecznego Słońca idzie ku ziemi wiele jasnych duchów. Wzmógłony napór także ze strony duchów piekieł — lecz już wyczerpuje się ich energia i pomysły. Niszczycielskie plany piekieł: trujące gazy. Chcąc odwieść ludzi od prawdziwego poznania, podsuwa im piekło zabawkę poznania siebie i dziwów przyrody. Niskie duchy chciałyby zniweczyć na ziemi to życie, jakie obecnie istnieje, oraz niewygodne dla nich prawo Karmy, przez nie same stworzone, a pozostawiające jeszcze najbardziej upadłemu duchowi wolną drogę powrotu do Ojca. Badacze materjaliści wobec zjawisk duchowych. Podobni są do niektórych dawnych wtajemniczonych, którzy tłukli się w klatkach swojej ciasnoty myślenia. Chrystus szedł z pomocą tamtym i dziś droga do Niego otwarta każdemu, tylko trzeba szczerej pokory. Duszpasterze, wpatrzni w martwą literę. Różne sposoby odwodzenia szukających od prawdziwej drogi. Poznanie praw reinkarnacji i Karmy, poznanie woli Boga i Jego nieskończonej Miłości i zdawanie się na Jego wolę może każdego wybawić z niebezpiecznej otchłani udręki życia na ziemi. Środki poznania Prawdy znajdują się w każdym — to tchnienie Boga, płomień sumienia. W chwilach rozterki duchowej zdać się spokojnie na wolę Bożą — a światło niewątpliwie zabłyśnie. Symboliczna mowa duszy Przyrody, która budzi swego króla człowieka i chce mu pomóc do uzyskania lekkości ducha i ciała. Życie to ciężka szkoła, w której każdy sam sobie może być nauczycielem. Nastął okres ukrócenia Złej Woli.

Wiele z tajemnic bytu człowieka i życia ducha może być jeszcze ludzkości odsłonięte. Wieczność jest bezmierna, bezbrzeżna. Każdy kto szuka z wiarą w Boga, z miłością i pokorą w duchu, znajdzie swoją właściwą drogę życia, swój cel w wieczności, swoją radość, swoją pełnię bytu w zlanii się z Wszecmocnym.

Planety, gwiazdy cicho płyną nad naszymi głowami i pod stopami w wytkniętym swoim kierunku. Czyż wy nie mielibyście wytkniętej swej drogi w przestworzu?

Ziemia jest w stosunku do innych planet młodym jeszcze globem. A jednak jak biednym światłem świeci w przestworzach, jak nędznym jest na niej życie człowieka! Ileż na niej przelewu krwi, a duchy ludzi są jak otwarte kraterzy, buchające ogniem zgubnej niena-

wiści. Stwarzają groźne elementale, otaczają się ponuremi cieniami, kłębiącemi się naokoło nich w postaci gęstych chmur tak, że trudno im dojrzeć coś więcej, niż im na to pozwala cielesne oko.

O ziemio, ziemio nędzna, wraz z wielu nędznymi swoimi obywatelami — czekasz ponownego zrodzenia się Chrystusa? Bo odbiegły cię już duchy świetlane, które na zawsze porzuciły swoje ciała, duchy bez skazy, jak Marja i Piotr i inne! O, już na twem łonie krew Jego przelaną nie będzie! Chrystus w ciele ludzkim już się nie zrodzi! Żyje wiecznie, jako Duch — i nadchodzi pora, byście Go jako Ducha w duchu pojęli i zrozumieli.

Myśli Jego, dawno do ludzkości wyrzeczone i zawsze jedne i te same możecie w niezmienionej postaci usłyszeć we własnym duchu i duszy; czasem zabrzmiały przez usta tych, którzy budzą się duchowo w promieniach Jego Miłości, zasileni ze Źródła Żywej Wiary.

...Zapieczętowali władcy piekiel kamień na grobie Chrystusa. Myśleli, że dostatecznie też zapieczętowali kamień na grobie, w którym Prawdę chcieli zagrzebać, mieszając uczniom często wspomnienia o Chrystusie, aby je mylnie zapisali w księgach, przeznaczonych dla następnych pokoleń. Również przy przepisywaniu i tłumaczeniu na inne języki zmieniali jeszcze niejedno według swej woli, oddziaływując umiejętnie na tych, którzy tych poprawek dokonywali z ich natchnienia.

Wielu prawdziwie miłujących Jezusa nie zostało wpisanych w żadne księgi od początku do dni obecnych, bo tamci nie dopuścili, by poznano światło, płonące w głębi ich duszy, ich gorące życzenia służenia Bogu. Zostali pominięci, nie wspomniano o ich obecności przy Chrystusie. Takich pominiętych zjawi się jeszcze wielu — i przyniosą dla ludzi chrzest Prawdy.

Chrystus czynił cuda niestrudzenie, w każdej godzinie, w każdej chwili. Wiele tych cudów puszczono na ziemi w niepamięć, boć wiele też i nie zostało zrozumiane. Lecz przyjdzie czas, że wszystkie one zostaną odkryte i wytłumaczone — i wówczas to niejedyn ujrzy tego dobrego Chrystusa w innym świetle, w innej postaci, niż wyobrażał Go sobie według pozostawionych po Nim świadectw o Jego życiu i czynach.

Nietylko Chrystus został postawiony w niejasnym świetle w Piśmie św. i w nauce o Nim, ale i Bóg, Ojciec Jego, również przedstawiany jest wierzącym w Niego w dziwnie niejasny sposób, w jakiejś gmatwaninie pojęć. Raz mówi się, że Bóg i Chrystus jest do brotliwy, od wieków na wieki jeden i ten sam, pełen miłości, najlepszy Ojciec swoich dzieci. Lecz w innym miejscu można się dowiedzieć, że Chrystus przy sądzie ostatecznym wrzuci jednych w ogień piekielnych mąk, a innych zbawi, otwierając im bramy królestwa Swego — i że Bóg karze ludzi za grzechy.

Kto ma już serce szczerze, spragnione pięknej, wielkiej miłości, jakżeby się czuł źle, bardzo źle, gdyby miał wierzyć we wszystko, czego uczono go o Najczystszych Duchu w przestworzach.

Gdyby istniało na ziemi to prawo, jak tego pragną Moce piekieł, że nikomu nie wolno pomyśleć inaczej, ni wierzyć w co innego, jak tylko w to, co mówią uczeni w Piśmie, to naprawdę nastaloby już na ziemi to wieczne zatracenie, o którym się słyszy. Ale i przez ciemniejsze sfery czarnych myśli przenika tchnienie wolności ducha, tchnienie boskiej wolności. A chociaż Zło zjawia się w groźnej postaci, w masce wiecznego napozór trwania, to jednak jest to puch marny, który Bóg może rozwiać jednym Swem tchnieniem.

Lecz w tym puchu marnym żyją Jego dzieci, obdarzone wolną wolą, które niegdyś, posiadając większą świadomość, niż obecnie, wyprosiły sobie wolność działania. Nadużywając potem swej wolnej woli, zaczęły zaniedbywać łączenia się zawsze i wszędzie w pełni świadomości z najczystszym Źródłem siły Boskiej i zapadały w senne życie, zatracając rzeczywistość bytu, a zachęczone tem, że mogą dalej żyć i tworzyć, kierując się własną tylko wolą, staczały się powoli coraz niżej w przepaść.

Lecz Bóg powoli ludzkości i duchom, żyjącym według własnej swej woli odbiera częściowo wolną wolę. Nie karze, tylko broni swoje dzieci przed zgubą, w którą dobrowolnie się staczają drogą Karmy, coraz to bardziej jej nie rozumiejąc i zapominając o tajemnicach życia, przez nich samych stworzonego i o jego prawach. A oni w udręce i twardej znoju życia nie mogą już pojąć ni zrozumieć ogromu dobroci i miłości Boga. Tak mało dziś wiedzą o swem wiekuistym życiu, o swej prawdziwej ojczyźnie duchowej, gdzie tętni życie prawdziwe, zgođne z wolą Bożą, że niektórzy ociemnieli zupełnie, czują w sobie tylko instynkt zwierzęcy i powtarzają butnie, a jednak z jakąś dla nich samych niepojętą goryczą w duszy, iż człowiek niczem się nie różni od zwierzęcia i tak samo, jak każde zwierzę, musi prędzej czy później zakończyć życie, gdyż podlega tym samym prawom, co ono. I nawet we śnie nie zamajaczy się tym ludziom, że i zwierzęta mają duszę. Duch, dusza, świat nadzmysłowy dla nich nie istnieją. Bezmyślnie patrzą na tak cudne nieraz symbole z życia przyrody, mające im przypomnieć coś wyższego, wznioślejszego, niż zwierzęcy instynkt, ściskający ich duchy, niby zimny, żelazny pancerz, przez który przebija tylko tchnienie namiętności, chęci użycia, użycia jak najwięcej, bo życie krótkie.

Idą takie zwierzęta-ludzie przez życie, zwierzęta wykształcone, z których zimna wiedza, zdjęła resztę uczucia, resztę dziecinnej wiary w Boga. Po odejściu w zaświaty, znów wracają po pewnym czasie do życia, jeszcze bardziej stępieni. Już i wiedza ich nie pociąga, ni kultura ziemską. Została jeszcze chęć użycia — a to użycie ma jeszcze więcej cech zwierzęcości, niż w życiu poprzednim. Taki duch stępiony, choćby go bat karmiczny smagał do tego stopnia, że ciało jego zaczęłoby się jeszcze za życia rozkładać dzięki nadużywaniu dzikiej rozkoszy, to już nawet tyle miłosierdzia nie ma w duszy, żeby innych nie zarażał swojemi wrzodami, przynajmniej temi, które może dostrzec jego oko, bo o innych nie myśli wcale. Cierpiąc za swe własne winy, niewiele się nad tem zastanawia, że sam jest sprawcą tych cierpień i chcąc sobie przynieść ulgę swego rodzaju, przeklina siebie samego i cały świat, patrząc z zazdrością na każdego zdrow-

szego od siebie człowieka. Jak często gorzej już, niż zwierzę, gwałci drugą istotę o zdrowszem ciele, już nawet nie z chęci użycia, bo i ona zamiera w strupieszaleń ciele — ale dlatego, że nienawidzi zdrowia u innych ludzi. W tem dziele pomagają mu dostatecznie ciemne Moce, których on staje się jawnym zwolennikiem przez swoje czyny na ziemi. A jednak nie uwierzy, gdyby go ktoś ostrzegł, w jakim niebezpieczeństwie się duch jego znajduje. Niema ducha, niema Boga, jest psie życie — gorzej, życie człowieka nawet psiego nie warte!

O, ileż to smutnych, ponurych obrazów — nie z niezdrowej fantazji wysnutych, dla zbałamucenia prawdziwych poglądów na życie, ale tu, tu, z waszego świata wziętych! Moznaby zestawić milionowe rzesze różnie cierpiących i rozsunąć różne obrazy z ich jednego życia. I dla wszystkich ma być tylko jedno zrodzenie, a w niem aż tyle bólu i niezrozumiałych przeżyć? Skądże tyle nieprawości, niesprawiedliwości dla jednych, a skądże się wzięło lepsze życie, pogodniejsze sumienie dla drugich?

Ślepotą rażone duchy nie mogą ujrzyć prawdziwej, boskiej jasności, swego dnia życia. Noc nieświadomości ich otacza, a życie ich to tylko sen w złej woli. Bo życie bez Boga, życie wbrew Jego woli, nie może być życiem prawdziwym, tylko zamroczeniem, snem mniej lub więcej ciężkim. Toteż Bóg w ich śnie życiowym występuje w niejasnym świetle, bo przez chmury swej nieświadomości, przez sen, dławiący Boski oddech w nich, nie mogą dojrzyć swojego Zbawcy.

Rano, kiedy słońce pierwszemi swojemi promieniami rozrywa nocne cienie, nim jeszcze jasną twarz swoją ukaże, rozbrzmiewają dzwony na wieżach kościoła, budząc wierzących do życia, budząc ich ze snu do świata rzeczywistości. Lecz nawet najsilniejszy, największy dzwon tego świata, zawieszony w największej świątyni i przypominający głosem swym człowiekowi, że pokłon ma złożyć Bogu, wznieść się duchem do Niego, nie ma tej mocy, by wśród zamroczenia, które trwa dalej i podczas dnia życia ziemskiego, zbudził nieszczęsnych przez pacierze i wyuczone modlitwy, by zaczęli wolniej oddychać w pełni zrozumienia prawd Bożych. Jest to tylko kołysanka dla ducha, który wrócił do pokrzepionego nocnym wypoczynkiem ciała, zasilająca go do dalszego życia, niczem lub niewiele różniącego się od życia w dniach poprzednich, życia w nieświadomości duchowej.

Na tyle poznania Boga i zrozumienia życia pozwala prawo, przez Boga niby dane wędrowcom świata. Przeklętym ten, kto więcej żąda, przeklętym, ktoby nagle rozłożył ręce w przestworza i zawołał:

— Boże, Ojczy mój, Tyś jest dobry, Ty jesteś miłością, słońcem życia bez cieni. Twój kościół to wszechświat cały, Twój ołtarz to serce moje. A my wszyscy, mali i wielcy, wszyscyśmy dziećmi Twojemi, wszystkich jednakowo miłujesz, tylko myśmy zapomnieli, jak miłować Cię mamy i kim Ty dla nas jesteś!

O, biada śmiałkowi, któryby zwierzył się swemu duszpasterzowi:

— Bracie drogi, te ramy, które wy zakreślacie, nie wystarczają mi, to co mówiłeś mi o Bogu, Jezusie i miłych, dobrych istotach na

ziemi, miłujących Go, jest dla mnie niewystarczającym. Odnajduję we własnym duchu drogę do Zbawiciela i zaczynam inaczej rozumieć Boga, niżli jest i był mi dotychczas przedstawiany na ziemi.

O, taki duszpasterz nieraz sam nie wie, jak ciemne duchy zbliżają się do niego, przypominając mu skrycie, co to ma powiedzieć, zasilając go myślami, przepelnionemi jadem — i już wie, jaką naukę ma dać temu śmiałkowi, co szuka Boga i jak go ukarać:

— Jestem sługą Boga, a Bóg nikomu innemu nie dał prawa dawać świadectwa o Sobie, zaznajamiać z Jego prawami i głosić Jego słowo, jak tylko Swemu namiestnikowi, swemu zastępcy na ziemi, którego my jesteśmy wiernymi sługami. Masz wierzyć, że on jest nieomylnym i najlepiej zna Boga. Jeżeli zechcesz się wysunąć z pod naszej opieki i nie będziesz wierzył w to, czego uczymy o Bogu, natchnieni przez Niego samego, zostaniesz wyklęty!

I straszna klątwa spada potajemnie, albo i przy pełnym kościele na takiego śmiałka, który ośmiela się uświadomić sobie i innym nieść wieść radosną, że zaczyna poznawać lepszego, piękniejszego Boga, niż mu Go przedstawiali uczeni w Piśmie i rozumieć, czem jest prawdziwe, przez Niego dane życie.

Nie Bóg strąca ludzi w ogień wieczny, lecz ciemne duchy i owładnięci przez nie nieświadomi spraw Boskich niektórzy duszpasterze, którzy w świętem niby oburzeniu wysłaliby chętnie wszystkich budzących się w ogień wieczny. Smutne to, bardzo smutne, bo ponure te myśli, otoczone blaskiem życzeń wiecznego zatracenia strzelają iskrami nienawiści aż do nieba. Toteż nie dziwcie się, że wiele duchów, żyjących we wszechświecie w spokoju i radości i rozkoszujących się twórczością Boską i swoją własną, zgodną z wolą Bożą, widzą te ognie waszego zatracenia się i śpieszą wam z pomocą, budzą, ostrzegają, gdzie tylko dobra wola otwiera im bramy dusz na ziemi.

Zaświeciła gwiazda nad Betleem, oblała cały świat jasną luną — i wiele złej woli spaliła, wiele złych zamierzeń skreśliła. A teraz przychodzi czas, kiedy słońce zacznie promieniami swojemi igrać na śpiących twarzach ludzi i budzić ich ze snu do życia. Oddech wasz, to wielka tajemnica waszego życia. Kiedy śpicie, nie zdajecie sobie sprawy ze swego oddechu, nie czuwacie się weń. Kiedy się zbudzicie, to znów w pogoni za pracą, wśród różnych trosk i radości ziemskich zapominacie o swoim oddechu, o sobie, o swoim głębszym „ja”. Nie mogliście dojrzeć wielkiego blasku **Słońca Boskiej Miłości, które życie daje i życie podtrzymuje.** Okienek mieliście wiele, lecz mniej lub więcej zaciągnięte były mgłami i pajęczynami — kirem waszego smutku. Za zasłoną duch wasz stał i stoi. Lecz słońce zacznie igrać wam po twarzy i kryć się będą nocne potwory. Nie dajcie zapaść nocy, by one znów z ukryć nie wylazły i nie straszły was, ni niepokoily. **Zbliża się brzask dnia świadomości duchowej. Przyjdzie Zbawiciel wasz, lecz nie w postaci człowieka, jako ponownie narodzone Dzieciątko Jezus. On ma się zrodzić w was, w was ma się począć świadomość Boskiej Miłości, świadomość prawdziwego Życia i powrót do niego.**

Zaświeciła wam Gwiazda Betleemska — miała was wieść wśród nocy w jasny brzask poranka. Słońce Miłości zawsze wysyłało swoje

promienie i przenikało całą kulę ziemską wraz z duchami, żyjącymi na niej, a teraz zbliża się do ziemi z większą jeszcze siłą — **i znów będzie spalana, ukrócana zła wola** w najgrubszych swych zarysach, a pokój spływać będzie i spływa na ludzi dobrej woli.

Z temi promieniami Wiecznego Słońca idzie ku wam wiele jasnych duchów.

Lecz i w nizinach świata duchowego płoną sztuczne ognie i wszystkie ciemne duchy zwoływane są na wspólną naradę. Lecz dziś już tego nie wiedzą, co wiedziały przed zrodzeniem się Chrystusa. Dostatecznie pomieszały innym pojęcia o Bogu i duchu, lecz i same wpadły we własne sieci, i same zatraciły wiele świadomości duchowej; zapomniały i nie wiedzą już dziś, jaką bronią walczyć, by obronić się przed światłem Boskiej Miłości, która może odkryć nagość złej woli.

Już wyczerpuje się ich energja i ich pomysły. Trujące gazy, wyrabiane z ich natchnienia przez ludzi, przeważnie w największej tajemnicy przed tymi, którzyby im mogli tego zabronić tu na ziemi, nie przynoszą im zadowolenia. O, bo widzą, że narody jeszcze nie chcą, wahają się sięgnąć po ten wonny kwiatek pomysłu piekła, stworzony niby dla ich zwycięstwa i sławy. O, zgładzić, zgładzić ludzkie pokolenie, zgładzić wszystkich ludzi i stworzyć nowych, według swej woli, dać im inne ciała, inne warunki bytowania na ziemi. Wszak o nieszczęście nietrudno wśród walczących, trujące gazy mogą wybuchnąć przypadkiem na wszystkich krańcach świata, gdy tylko dostateczna ich ilość będzie zgotowana. Lecz brak im tej dostatecznej ilości i boją się, że ta ostatnia wojna, jaką przygotowują, wojna gazowa, i tak nie zniszczyłaby całej ludzkości, a ci, coby pozostali, z obrzydzeniem odwróciliby się od Mocy piekieł i ostatnim tchem ratowaliby się ucieczką do Boga; a im nie udałoby się zniszczyć na ziemi Jego tchnienia.

„Nie taki groźny djabeł, jak go malują“ — słychać często na ziemi. O tak, demoniczne duchy potrafią się nawet zamieniać chwilowo w anioły pod wpływem swego życzenia, by nie zostały poznane. Bo nie do każdego mogą iść z gotowym projektem swej pracy i pchnąć go zaraz do działania. Boją się bardzo każdego ducha, ulatującego z tego świata w krainy czystszej życia w zgodzie z wolą Bożą. Tuć jest ich królestwo, moc i sława.

Lecz trzeba pamiętać, że i tych nieszczęsnych Bóg miłuje — i oni nie mają innego wyjścia, jak powrót do Boga. Więc i tak zwanego najgorszego człowieka na ziemi nie trzeba już uważać za skazanego na wieczne zatracenie. Trzeba jednak chronić się przed przebywaniem w jego pobliżu i będąc jeszcze sam słabym, nie można zabierać się do podnoszenia człowieka, pijanego złą wolą, tarzającego się w błocie swych czynów, by samemu nie upaść razem z nim i nie zbrudzić się w tem samym błocie. Trzeba spokojnie odejść od kusicieli tego świata, a szczerem westchnieniem: „Dziej się z nim wola Boża“ można mu więcej pomóc, niż usiłowaniem wyrwania go prze-mocą ze złego.

W nowej erze, gdy pozwolicie zrodzić się Chrystusowi w was, prędzej będą mogły być rozświetlone ciemności waszego ducha i bę-

dziecie mogli zrozumieć drogę swego życia w promieniach Dobrej Woli. Tylko trzeba chcieć, usilnie chcieć zmienić dotychczasowy tryb życia. Unikać niebezpiecznych zaułków poznania siebie i życia przez szkło mikroskopowe, badania li tylko swoich komórek cielesnych, badania sił przyrody różnymi przyrządami, a robienia tego wszystkiego tylko w tym celu, by wiedzieć dużo, nie zaś, by postąpić duchowo dalej. Nie przystawać na tych granicach, do których doszedł rozum ludzki ze wszystkimi swojemi pomocniczymi środkami, a które mają być ostatecznym kresem rozjaśnienia umysłu, kresem, poza którym już nic nie może istnieć i który wystarcza do zbadania wszystkiego, z czego się składa człowiek i jak powstało życie.

Lecz najbardziej udoskonalona nowoczesna technika, budująca już nawet człowieka z różnych sprężyn i innych skomplikowanych części metalowych, nie może przynieść i nie przyniesie zadowolenia ludzkości. Wszak już wysilały się głowy uczonych nad stworzeniem też człowieka z zarodka ludzkiego ciała, któryby sztucznie doprowadzono do rozwoju. Lecz nie mogli w to ciało tchnąć ducha, a ono tylko w ich romantycznej wyobraźni rosło, żyło, no i czyniło cuda, cuda takie, jakie oni czynią, a może jeszcze większe, niż oni, bo cuda ich własnej wyobraźni.

O, chciałyby niskie Moce zniweczyć to życie, jakie jeszcze dotychczas istnieje na ziemi, chciałyby też zmienić prawa karmiczne. Chociaż prawa Karmy są nieraz bardzo bolesne, te prawa, które zresztą z własnej woli mieszkańcy ziemi niegdyś stworzyli, to jednak zawsze jeszcze w niej i z niej otwartą jest droga do wolności ducha, do zlania się z wolą Najwyższego, z wolą Boga, jedyne Ducha, Stwórcy wszystkich duchów we wszechświecie, zarówno żyjących na ziemi, jak i poza jej obrębem. Lecz duchy, do tej pory jeszcze świadomie źle czyniące, wciąż sprzeciwiające się woli Najwyższego, a znające dokładnie prawa karmiczne, boć same je stworzyły, nie mają ochoty poddać się same tym prawom, gdy bije dla nich godzina cierpień, właśnie w myśl owych praw sprawiedliwości karmicznej. Gdy czują, że zbliża się kres ich samowoli, bo w Nowej Erze wolna wola zła zostanie ograniczona, ograniczona zostanie możność dalszej siejby złej, a trzeba będzie zbierać gorzkie owoce dotychczasowej swej twórczości — nie chce im się przyjąć tego ostatecznego wyroku, który zresztą sami na siebie i innych ongiś wydali, prosząc Boga:

— Dobrze, będziemy tworzyć, a jeśli zbłądzimy i będziemy grzeszyć, zostaw nam jeszcze wolną drogę do Ciebie, póki nie zapłacimy ostatniego szelązka, póki zła dobrem nie wyrównamy.

Ten wyrok wraz z wielu jeszcze podobnemi myślami został rzuconym w przestworza nie przez dziewięć zbuntowanych aniołów, spadających z nieba, ale przez milionowe rzesze duchów, pragnących tworzyć, kierując się własną tylko wolą, którą sobie powoli same stwarzały.

Toteż Chrystus przypominał jeszcze tym, którzy słuchali Jego nauk, prawo, które ich obowiązuje: „Nie wynijdziesz stamtąd, póki byś nie oddał do ostatniego pieniązka“^{*)}. Przyjściem Swem na świat,

^{*)} Ewang. Łuk. XII 59, Mateusza V 26. (Przyp. Wyd.)

Swoją nauką i czynami poprzekreślał wiele nowych planów wysnuwanych z własnej woli przez duchy, bardzo już upadłe, a zdążające do zupełnego zniszczenia tego świata i wszystkich istot, żyjących na nim. Owo przekreślanie planów piekieł odbyło się głównie od momentu, gdy zatrzęsła się ziemia po ukrzyżowaniu Chrystusa, do chwili zmartwychwstania. Ciało Jego, złożone w grobie, znikło z oczu ludzkich, ale Duch, jak żył przed przyjściem do tego ciała, tak żył i działał i po jego odłożeniu.

Już wówczas nie podobał się władcom t. zw. piekieł wyrok tkwiący w ich rękach, że wszystko złe musi się wyrównać dobrem i wrócić do Boga. Bo im więcej zła kto natworzył, tem więcej cierpień go czeka i tem dłuższa przed nim wędrówka z życia do życia, wędrówka, w której cierpieniami trzeba spłacać długі zaciągnięte, długі wobec samego siebie i wobec prawa twórczości Boskiej.

Mija lat dwa tysiące, a wiele jeszcze duchów z pośród tych, które przeciwstawiały się woli Bożej zarówno dawniej, jak i w czasie, kiedy Chrystus żył na ziemi, żyje jeszcze obecnie na ziemi i trwa dalej w upartym buncie przeciw Bogu. I oto wysuwają coraz to nowe niszczycielskie plany, dosięgając ostatecznego kresu w groźnych swych pomysłach, dając ludzkości trujące gazy i promienie śmierci oraz wiele innych swych wonnych kwiatków myśli, a z drugiej strony ofiarowując człowiekowi jako dorobek najwyższej kultury zabawkę poznania samego siebie i dziwów przyrody. „Masz wagę, masz miarę, masz mikroskopowe szkieleka, badaj cuda swego życia.“

Oj, pilnie oni śledzą takich badaczy, co zabierają się do zbadania życia, nie uzbrojeni w skromność ni w głęboką wiarę w Boga i snują swoje teorie, poprzez które nauczyli się patrzeć na świat, a potem chętnie opowiadają ogółowi o wynikach swych badań nad zagadką życia i wy tłumaczeniem tajemniczej maszynerji ciała ludzkiego, do którego nawet myślą nie chcą przyłączyć ducha, bo trudno im dotrzeć do jego poznania i jego zrozumienia. Wszak tyle sił w przyrodzie — elektryczność i t. p. — łatwo złożyć z tych wszystkich znanych składników potężną siłę ducha ludzkiego, którego zresztą ci uczeni nie uznają jako coś rzeczywistego, uważając go raczej za jakieś pojęcie abstrakcyjne, jakiś twór, sklejonny wyłącznie tylko w myślach.

Lecz ta maszyna ludzka zaczyna wyprawiać jakieś nieznanne cuda, wymykające się z pod dotychczasowych teoryj, a nawet obracające je w niwecz. Coś się w tem ciele rozpręża. Ciało staje się bezwładnem lub sztywnem, a obok tego ciała powstaje życie nowe, nieznanne im.

Duch zaczyna działać, wylamuje się z granic ciasnych pojęć, jakie ludzkość ma o nim i daje jej inne oznaki życia niż te, jakie dotąd mogła otrzymywać. Wylamuje się z umiejętnie sklejonnych form wiary w naukę o życiu, o jego powstaniu i samem zjawianiem się swoim wskazuje na nowe tory, po których nieraz kroczy, żyje i działa poza obrębem swego ciała, druzgocąc dotychczasowe ciasne dogmaty myślenia. Zaczyna się przyoblekać obok zesztyniałego

ciała medjum w subtelniejsze szaty cielesne, materjalizując się i dając o sobie znaki, że działa i żyje poza obrębem tego grubo-materjalnego ciała, które uczeni dotychczas uważali za niezbędne do przejawiania się życia. To życie i to formowanie się nieznanego im ciała mogą jeszcze uczeni dojrzeć i jeszcze próbują to podciągnąć jakoś pod swoje materjalistyczne teorie. Ale jeśli duch ten zacznie działać poza materją, tego już nie rozumieją, bo ducha dostrzec nie mogą — i jeśli wierzą, że istnieją djabły i anioły, to tylko niejasno, jak we śnie, przypuszczają, że duch może żyć i poza materją, lecz przypuszczeniami swemi niechętnie dzielą się z innymi, po największej części wstydząc się tej wiary, boć nie wypada uczonemu mówić o nierealnych zjawiskach, nie mających, jak sądzą, wyraźnej podstawy dla rozumnego człowieka. Gdy duch ten, czy to do djabłów, czy do aniołów zbliżony, płata sobie figle z nich, dając znaki życia, na jakie się zdobędzie zależnie od stopnia swej inteligencji i wolności ducha, zbywają to wzruszeniem ramion, a tam, gdzie nie mogą zaprzeczyć się, czy zatuszować dziwnych zjawisk, powiedzą krótko:

— No, coś, coś jest, jakaś siła niezbadana, którą zbadać jest niepodobieństwem.

Pozwolą już tę siłę nazwać, jak kto zechce, elektrycznością, magnetyzmem, jakąkolwiek siłą przyrody — byle tylko nie duchem, dającym o sobie znaki życia i świadczącym, że to życie tętni w całej pełni poza obrębem tego świata, poza granicami, dostępnymi ich ciasnemu myśleniu.

Obecni badacze tajemniczych zjawisk są bardzo podobni do niektórych dawniejszych wtajemniczonych, kapłanów i mędrców, żyjących w świątyniach na pustyniach i wysokich górach Tybetu. Ci wiedzy swej strzegli jak oka w głowie, do dzisiejszych badaczy są jednak z tego podobni, że także poświęcali niejedno swoje życie na zbadanie różnych tajemniczych sił przyrody i sami starali się wywoływać systematycznie te nadnormalne zjawiska w sobie. „My bogami, w nas siła!“ cieszyli się, „możemy siłą naszej woli robić cuda“. A cuda te nie były ograniczone do takich marnych rozmiarów, jak te, które wywołują, czy obserwują dzisiejsi badacze zjawisk nadprzyrodzonych. Nie wszyscy zresztą czynili je z własnej tylko woli, dla dogodzenia jedynie swej próżności.

A wtajemniczonych było wiele, bardzo wiele. Chrystus, przyjąwszy ciało pozornie podobne do ciała ludzkiego, zjawił się pomiędzy tymi wtajemniczonymi, którzy jak ptaki, zrywające pęta niewoli ducha przez ostateczne już wyrównywanie scen karmicznych i rozwijające skrzydła do lotu w wolne przestworza, tłukli się jednak jeszcze w klatkach swojej ciasnoty myślenia, widząc poza nią upragnioną wolność duchową, a nie mogąc znaleźć do niej drogi wyjścia. Boć przecież nieprzyjaciele Boga czuwają do ostatniej chwili nad każdym, kto pragnie pożegnać się z nimi na zawsze.

Bardzo mało wie o tem obecne pokolenie, a także i przedtem mało wiedziano, gdzie Chrystus bywał i co czynił od lat dziecięcych aż do tych czasów, kiedy zaczęli się uczniowie skupiać koło Niego! Z tego ostatniego okresu już coś z Jego działalności na ziemi zostało

zapisane przez uczniów. Lecz nie wszystko można przypisywać temu pełnemu miłości Boskiemu Duchowi, co można o Nim wyczytać w Piśmie św., bo wiele rzeczy, znajdujących się tam, powstało tylko w wyobraźni ludzkiej, a podsunęte zostało nieznacznie i niewinnie napozór przez piekło, które rozmyślnie mąciło myśli piszącym o Nim, by w nieodpowiednim świetle przedstawić tego jasnego Ducha pokoleniom, pozbawionym jasności widzenia i zacieśnić tem jeszcze ich horyzont myśli.

W nowej erze wiele uwolnionych ptaków będzie się zlatywało niby z ciepłych słonecznych krajów, woniejących rozkwitłymi kwiatami, do świata ciasnego myślenia ludzkiego. To duchy, niosące ludziom wieści o lepszym życiu. Lecz i piekło w ostatnich drgawkach swej nienawiści i goryczy będzie chciało ukazywać coraz to nowe swoje cuda, by tylko odwrócić uwagę ludzi od zwiastunów prawdziwego życia, aby ich nie usłyszeli, nie dojrzeli i nie zrozumieli.

Któż wyprowadzi dzisiejszych badaczy tajemniczych zjawisk duchowych z zamkniętej klatki ich myślenia? Bo niestety w tejże klatce, u wyjścia jej, gdzie wolniejsze ptaki mogłyby się wydobyć, siedzą stulone inne ptaki, oparte o drzewiczki. To sowy, jeden z symbolów czarnej magji. A drzwi klatki spowite są najczęściej siecią pajęczyny, na której siedzi duży pająk z białym krzyżem na grzbiecie. Któż się odważy zerwać pajęczynę i przelecieć ponad białym krzyżem na grzbiecie czarnego pająka?

A jednak ten Chrystus tak blisko i niema dla Niego żadnych przeszkód, żadna brama piekła nie może być tak mocną, by zabroniła Jemu przystępu tam, gdzie jest wzywany pokornie na pomoc. Gdyby ci uczeni i ci, którzy w hardości swej dążą do uzyskania tego zaszczytnego miana uczonych, gdyby zawsze przed przystąpieniem do badania tajemniczych zjawisk przyrody i zjawisk duchowych zamiast otaczać się kadzidłem wonnego papierosa i pokrzepiać duchowo pustemi frazesami na temat życia, skłonili pokornie głowy przed majestatem Boskim i swoim własnym, zapomnianym przez nich i rozpoczętym dziełem swoje w szczerą myśl o Bogu, w Jego imię, z pewnością łatwiej zrozumieliby życie duchowe i większą radość, większe zadowolenie mieliby z wyniku swej pracy, a wielkie korzyści duchowe mogliby przynieść i innym, szukającym właściwej drogi wyjścia z labiryntu życia i chaosu myślenia, wdzięczność zaś tych, którymby pomogli znaleźć tę drogę wyjścia, jeszcze bardziej pomagałaby im do uzyskania pełni radości duchowej.

Biedni, nieszczęśliwi są ci, którzy powodowani boską miłością do bliźnich, chcą się przysłużyć im na ziemi, obierając sobie za cel wzniosłą rolę prowadzenia ich i głoszenia Słowa Bożego, a są wpatrzeni w martwą literę — bo niejedna jest martwa, niema w niej tchnienia Boskiego życia — i taką strawą karmią zgłodniałe pokolenia, spragnione Słowa Bożego, zmęczone cierpieniami, których ci nawet nie mogą im dostatecznie wytłumaczyć, nie znając ich powstania, nie znając okresu ich trwania, dając tylko małe okruszyny tego, co mogłoby zaspokoić wielki głód i smutek ducha. I tak często ślepy ślepego prowadzi.

Któż zobrazuje tę wielką nędzę życia ludzkiego na ziemi i tę wielką nędzę tych ludzi, gdy staną się już duchami?

Jak bolesnem spojrzeć na tyle duchów, po części uśpionych w nieświadomości swych czynów i myśli i słyszeć raz po raz przedzierające się westchnienia ich: „Jest źle, gdyby Chrystus się zrodził, byłoby pewnie lepiej.“ Ma przyjść ten zbawczy promyk w ich ciemnej nocy życia znów jako Dzieciątko małe, by zostać później dla ich wybawienia krwią zbryzgane. Inni znów w gorączkowym, nerwowem natężeniu wyczekują na koniec świata. Tak, bo echo z piekła, niby wieść radosna, łagodna leje się strumieniem w spragnione usta tych, którzy wyczekują końca świata, a wraz z nim swego wyzwolenia, nie myśląc o tem, skąd przyszły im owe myśli i czy z nich płyną jakie korzyści dla ich spokoju duchowego. Sądzą, że Chrystus Pan zstąpi ze swoim orszakiem niebiańskim z niebios na ziemię i zabierze ich ze sobą, a tych, co nie wierzą i nie wiedzą, że nadchodzi koniec świata, zostawi na ziemi, gdzie zginą wraz ze wszystkim, co na niej żyje, bo Chrystus zburzy całą ziemię, zamieniając ją w proch i zgłiszczą. Poznawszy, jak sądzą, tę jedyną prawdę, to jedyne wyjście ze świata cierpień i śmierci i pomni tego, że Chrystus weźmie ze sobą tylko dobrych, co ostatnie nie jest już sugestją piekła, ale powstało w ich odruchu dobrej woli, starają się żyć pomiędzy sobą w miłości, pomagając sobie nawzajem w miarę swych słabych jeszcze sił duchowych. Za wszystkimi innymi, którzy nie wierzą tak, jak oni, chociażby nawet także szukali dobrej drogi wyjścia z chaosu nieświadomości i cierpień na ziemi, to jednak gotowi za nimi machnąć ręką, jako za przeznaczonymi na wieczne zatracenie, a niejednokrotnie unikają nawet rozmowy z nimi w przesadnej obawie, że przez tych inaczej wierzących szatan ku nim przemawia.

Tak to żyje na ziemi wielu, wielu ludzi w pewnych zgrupowaniach — kółkach, kołach, stowarzyszeniach, sektach, hołdujących przeróżnym poglądom na życie, a zataczających szerokie kręgi swego myślenia. Do wielu tych kół — do jednych śmiało, do innych nieśmiało przemawia szatan:

— No, już znaleźliście właściwą drogę, czegoż wam jeszcze potrzeba do szczęścia? Żyćcie sobie w radości i chwale, no i czekajcie na spełnienie tego, w co wierzycie.

Im bardziej kto oddala się od prawdziwej drogi, na którą nas postawił Bóg i którą wskazywał Chrystus, tem łatwiej ulega podszeptom złych duchów. A te już potrafią szukających prowadzić zaułkami swoich torów myślenia, byle tylko ominąć prawdziwą drogę życia, na której tamci z zupełną rezygnacją musieliby powiedzieć sobie z głębi duszy: „Nie moja wola, Panie, ale Twoja niech się dzieje.“ Tem samem wyzbywaliby się swojego zdobywanego mozolnie od wieków, choć jeszcze niezupełnie zdobytego prawa: „Moja wola niech się dzieje“, które uzyskali nie drogą wiary we Wszechmocnego, lecz drogą gorącego pragnienia wszechwładzy i wszechmocy własnej skupionej woli. Zdobyte od wieków prawa, które wytworzyły niebezpieczne wrzody w organizmie ludzkości, te

prawa, wiodące za sobą nie życie, lecz groźne „memento mori“, zaczęłyby się łamać i spalać przez zdanie się na wolę Bożą.

Nieszczęśni zaślepieni zwolennicy piekła sami już nie widzą i nie wiedzą, jak daleko odeszli od Boga i nadal ufają w swoją siłę. Człowiek, któremu organizm powoli wypowiada służbę, starzejąc się przypomina sobie już tylko niejasno, bo odczuć tego już nie może, swoje lata dziecięce, swoje lata młode, w których biegł z wiatrem w zawody i czuł lekkość w zdrowym ciele, lekkość i radość z życia. Przyzwyczajają się do swego ociężałego ciała, a niejeden, chociaż trądem cielesnym dotknięty, jeszcze lęka się o to ciało, jeszcze boi się śmierci. A ileż to niebezpiecznych wrzodów złego myślenia, zatruwających życie ducha, ileż ich jest w duszach ludzkich i dalej się rozrasta! Piekło zaś pracuje nad tem usilnie, by nie dopuścić do poznania Boga, Lekarza wszystkich cierpień, to Źródło Czystej Wody, mogące orzeźwić wyschłe z pragnienia usta i napoić spragnionego ducha. A często, jeśli ktoś z podobnych nieszczęśliwców powie: „Dziej się wola Twoja, Boże“, jest w tem powiedzeniu nie pokorne zrezygnowanie z własnej woli, ale strach i żal, bo człowiek ten wierzy, że Bóg zsyła cierpienia, Bóg karze i nie mogąc już znaleźć żadnej ucieczki od nędzy życia, powie sobie: „Dziej się Twoja wola“, bynajmniej nie przekreślając tem jeszcze na dalsze życia swojej woli. Jeśli ktoś chciałby zapytać takiego człowieka, napozór nawróconego już do Boga, czy nie żał mu życia, czy nie boi się śmierci, to powie: „Wola Boska; przynajmniej jak umrę, skończy się wszystko! Nie będę już żył, czuł, cierpiał.“ A odwracając twarz od patrzących nań z litością, zaciska zęby z bólu i goryczy, a z piersi wydobywa się westchnienie: „Och, gdybym tak mógł!“ A przy tem „gdybym“ snują się różne myśli, ani trochę nie zbliżone do słów, wypowiedzianych dopiero co niby to w zdaniu się na wolę Bożą. Ten konający w swoim własnym piekle cierpień, w którym i duch jest mocno ujarzmiony, chciałby w goryczy rzucić się w jeszcze większą, jeszcze zaciętszą walkę z Tym, co taki mocny.

I któż pocieszy takiego nieszczęsnego, co żywił się trującymi grzybami, które dla tych, co ich jeszcze nie skosztowali i nie poznali ich zgubnej siły, przedstawiały się jako zdrowy pokarm — i była w nich ukryta napozór zdrowa doktryna życiowa?

Gdyby ludzkość w pokorze spłacała karmiczne swoje długi, gdyby dążyła do uzyskania zdrowej świadomości życia, gdyby nowych długów w nienawiści nie tworzyła, z pewnością szybciej zbliżałaby się do swego wyzwolenia z cierpień i śmierci. Rozmyślne zamilczanie spraw, tak ważnych, jak n. p. prawa Karmy, ściśle związanych z życiem człowieka na ziemi, lub lekkomyślne pomijanie ich, sprowadza dalsze groźne następstwa i niweczenie dobrej woli człowieka i ducha. Śmiałem operowaniem niezdrową własną wolą i wpływającymi z niej czynami i myślowymi potworami każdy stawia sam sobie ścianę, przez którą nie można dojrzeć prawdziwego życia. **Poznanie praw reinkarnacji i karmy, poznanie woli Boga i Jego nieskończonej miłości i zdawanie się na Jego wolę może każdego wybawić z niebezpiecznej otchłani udręki życia na ziemi. Z poznaniem wielkiej**

Miłości Boskiej i życiem w niej kończą się wiekowe cierpienia, kończy się wiekowe oddalanie się od Boga. Poznanie tych praw, poznanie miłości Bożej, miłości bez skazy, bez cieni, jest poznaniem samego siebie i ułatwianiem szybkiego oczyszczenia się ducha. Lecz jeśli w poznaniu tem rozum z sercem nie pójdzie w parze, to sam rozum, samo chłodne badanie, ożywione tylko ciekawością, znów po pewnym czasie może doprowadzić do znieruchomienia ducha w dobrem i ten może się stać podobnym do człowieka, stworzonego sztucznie z metali i przejawiającego pod wpływem woli innych, za naciśnięciem guzika na jego sprężyny, machinalne życie. Maszyna bezduszna, ożywiana najwyższymi zwierzęcymi instynktami i uczuciami niskiego rodzaju; bezduszna maszyna, bo czyż ten człowiek, nieprzyznający się do swego Stworzyciela, do Boga Ojca, nie staje się umarłym, wygasłym słońcem, taką piłką, takim narzędziem, którem bawią się inni?

A niestety, wielu z tych, którzy się obrali i obierają na nauczycieli ludzkości, za ich duszpasterzy, tak mało znają głębię życia duchowego. Jeśli zaś niektórzy już poznali ją, boją się ubrać swoje myśli w głos i zwierzyć się z nich przed nieświadomymi sprawcy, bo lękają się Mocy piekieł, która sprytną rolę odegraćby mogła i chciałaby odegrać w życiu człowieka, gdy uświadamiać sobie będzie te prawa i prawdy duchowe. Zapominają jednak, że siła Boska potężniejszą jest nad moce piekieł i że jeśli jej dali przystęp do swej duszy przez gorącą wiarę, to pewnie i w zaułkach ciemnego myślenia, narzucanego im przez szatana, zwyciężyliby sami, a także i innych zabłąkanych mogliby przyprowadzić na dobrą drogę. Wszak każdy szczerze myślący i pragnący żyć dobrze rozeznałby podszepty piekła, jego dzieło, jego wolę od woli Bożej i prawdziwego, pięknego życia,

Jak poznać Prawdę, jak odróżnić, co jest prawdą, a co złudą? Owo kryterjum rozpoznawcze, owe środki poznania znajdują się w każdym; każdy może uczuć w głębi duszy, czy idzie dobrą drogą, czy też błędzi. Tchnienie Boga, z którego powstały duchy, z którego powstało życie, jest jeszcze w każdym człowieku, nawet i w tym, co stał się niby bezduszną maszyną. Czem jest wasze t. zw. sumienie? Czy nieraz nie słyszycie w sobie dwóch głosów? Gdy zdenerwowanie, złość popycha was do jakiegoś czynu, czyż nie odczuwacie w sobie jeszcze jakiegoś wahania? Czyż sumienie już wam nic nie ma do powiedzenia? Zaiste źle, bardzo źle jest już z tym duchem, w którym sumienie zasypia, a wraz z tem przytępia się każdy odruch dobrej woli i lepszej myśli. Lecz płomień sumienia tego tchnienia Bożego nigdy nie zgaśnie, jest to światło wieczne. W waszej mocy leży, by powiększać gasnący już niby płomyczek w was, by rozdmuchać, dać zapłonąć temu Boskiemu płomieniowi miłości, który spali ciemności waszej niewiedzy duchowej, otaczające was i wskaże wam nowe życie.

Kto nie możesz zbadać dalekiej swej przeszłości, różnych wcielań swoich na ziemi i związanych z tem myśli i czynów, kto nie możesz

dojrzeć tego, a miałbyś się gubić w domysłach i stwarzać znów myślami coś nowego, niepożądanego, nie myśl o swojej przeszłości, zdaj ją spokojnie na wolę Bożą, a wszystkie cierpienia — i te, które przeżywasz i te, które jeszcze nadejdą — przyjmij cierpliwie, nie narzekaj, że za dużo cierpień spada na ciebie i to niewinnie. Często, bardzo często powtarzaj sobie, a szczególnie w ważnych chwilach życia, gdy nawiedzi cię rozterka duchowa, gdy jakiś dziwny ciężar spada na twego ducha, a ty nie możesz zdać sobie sprawy, jakie tego przyczyny i nie masz pewności, czy czynisz dobrze — powtarzaj sobie wtedy naprawdę pokornie i z miłością: „Dziej się Twoja wola, Panie!“ Zabłyśną ci wówczas wśród tej niepewności radosne, decydujące myśli, wlewające otuchę do zmęczonego ducha i one to nadadzą zdrowy kierunek twemu myśleniu i czynom.

Choćby się nie obudziła w całej pełni świadomość twego ducha, świadomość życia przeszłego i życia w wieczności, to jednak trochę tylko zastanowienia, a w przyrodzie masz ukrytych tyle tajemnic, które wciąż przemawiają do ciebie. Jest to symboliczna mowa przyrody, a możesz ją zrozumieć uczuciem swego ducha, jeśli tylko nastroisz go na tony spokojniejsze i przystępniejsze dla pojęcia tej mowy. Wszystko, co żyje w przyrodzie, wszystko przemawia do ciebie. Gdy wiosną idziesz polem, łąką, gajem, lasem, czy górą, każdy budzący się kwiatunek i śpiewający ptaszek, zarówno jak kamień napozór martwy, porzucony u drogi, może cię nastroić do myślenia o życiu, o świecie. Tu skowronek mały niepostrzeżenie wzlatuje opodal ciebie w górę i śpiewając, niknie w błękitnej dali. Gdybyś zwolnił kroku, lub przystanął na chwilę i spojrzął w górę, za skowronkiem, trzepocącym skrzydełkami, gdybyś wsłuchał się w jego śpiew, czyż mimowoli radość, przebijająca się w tych dźwiękach, nie wlałaby bodaj odrobinę wesela do twej duszy, czyż nie nastroiłaby cię tak, że i tobie przyszyłaby ochota także sobie zaśpiewać? A wiedz, gdybyś na skrzydłach pieśni skowronka podążył jasną myślą bodaj na chwilę do Ojca swego, do Boga, jakąż otuchą napełniłoby się twoje serce. Gdybyś się tak zasilił duchowo, pewnie łatwiej byłoby ci tegoż dnia znieść różne niemiłe niespodzianki, o ileby cię takie czekały, a nawet i ból ciała. Duch twój rósłby na siłach, czerpiąc je z pieśni, z modlitwy na łonie przyrody, budzącej się do nowego życia.

A wiosna najbardziej do człowieka przemawia. Tak jasno daje mu do zrozumienia, że jak na zimę ziemia okryła się białym całunem i wszystko pod jej tchnieniem wydawało się martwym, kostniałym, tak i wy odkładacie wasze ciała, dotknięte całunem śmierci. Ziemia, pozornie pogrążona w martwym śnie, nie pokrzepia człowieka wonnem kwieciem i świeżą zielenią — ale wszystko to jest, nie znikło; ta woń i siła żywotna ulotniła się tylko ponad warstwę chłodnego powietrza, jak ptaszęta, ulatujące do ciepłych krajów. Podobnież i duch wasz zabiera z sobą ciepło życia i unosi się z niem nad martwą powłokę cielesną. W zimie wytłacza wam mróz na szybach i na powierzchni wody, jako świadectwo życia w martwej napozór

przyrodzie, przeróżne fantastyczne kształty roślin, dając tem świadectwo prawdzie, że chociaż w przyrodzie zwiędły liście, kwiaty i wszystko spowił mróz śmiertelnym uściskiem, to jednak ów mróz nie potrafił zniszczyć życia. Dusza przyrody, zasilana i pobudzana do życia życiodajną energją cieplną słoneczną, rozdzieliła się: subtelna, wonna, leciuchna jej część ulotniła się wysoko ponad ziemię, gdzie promienie słoneczne utrzymują ją w przeznaczonym dla niej pasie obrębu ziemi. Energja cięższa, dla oka także niewidzialna, pozostała nisko ponad ziemią, utrzymując ostatnie ślady życia na niej. Ta nieraz tak cudna roślinność, ścieląca się na oknach waszych przybytków i na powierzchni wód, powinna wam także wiele powiedzieć. Wszak nieraz oko wasze spocznie na zamarzniętych szybach i patrzy.

A kiedy tylko ziemia zostanie zwolniona z uścisków mrozu, zaraz przenika ją do głębi ta dusza przyrody, owa magnetyczna siła jej vegetacji i na korzonkach także kładzie się jako energja życiowa, pobudzając je do ożywienia zamarych w nich niejako soków żywotnych. Słońce toruje drogę temu drugiemu, subtelnemu ciału przyrody, a nocą, z wieczora i z rana te niewidzialne dla oka molekuly i gwiazdeczki, owe zarodki barwnego życia przyrody, spadają w kropkach rosy na ziemię.

Tam, gdzie znają niewinną tajemnicę utrzymywania kwiecica przy życiu i rozkwicie w sztucznej cieplarni, tam przez szyby szklane słońce daje życie zamkniętej w cieplarni szlachetnej duszy przyrody, a zwykła woda, spadająca natryskiem w kropelkach na rośliny, jest dla nich niby rosą, w której kropelkach ukryte są wszystkie zarodki życia, łączące się potem z zarodkami życia w roślinie.

Czyż człowiek nie może się domyśleć, że i on kiedyś zbudzi się ze snu śmierci, że nastanie i dla niego ponowne zrodzenie i życie zawione naokoło niego i w nim z nową energją?

„Śpi snem wiecznym“ — tak myśli sobie niejeden, patrząc na zimną mogiłę — a tu we śnie umarły do niego przemawia, zachowując nieraz zupełnie wszystkie cechy swego charakteru, swego sposobu myślenia, wszystkie swoje zapatrywania na życie takie, jakie miał za życia na ziemi. Cóż to znaczy? Oto duch ów, uwolniony od powłoki cielesnej żyje dalej innem, subtelniejszym życiem i zjawia się wam niby bujna roślinność, rzucona przez mróz na wasze okna.

Czyż nie warto pomyśleć, skąd się biorą te sny o umarłych? Czy to tylko wytwór waszej fantazji, czy też przemawia do was rzeczywistość? Albo może są to ożyłe wspomnienia słyszanych dawniej słów nieboszczyka, który żył kiedyś na ziemi? Jeśli nie, to jakie są właściwe przyczyny? Wszak i sny mogłyby niejednego przywieść do opamiętania i istotnie zdążają nieraz do tego, bo wytwarzają je świadome istoty duchowe. Któż to was tak często ostrzeża we śnie przez symboliczną mowę obrazów, a nawet w mowie ludzkiej? Czyż ostrzeżenia te powstały tylko w waszej fantazji? A jeśli tak, to czyż nie warto zastanowić się nad źródłem tej fantazji, skąd ona płynie, dokąd odpływa i jaki jest jej cel?

O, gdyby duchy wasze po odłożeniu zimnego, skostniałego ciała mogły się wznieść i poza astralny świat waszego ziemskiego życia

i myślenia, unieść się jak woń przeczysta poza obręb minionego życia do jasnych, słonecznych promieni miłości Boga i lśnić tam w przedudnej kolorystyce uczuć ducha i żyć, żyć bez przerwy, póki, jeśli takie prawo jeszcze na was ciąży, nie trzeba będzie pójść na ponowne zrodzenie i zacząć nowe życie w cielesnej powłoce. O, dlaczegoż do tego nie dążycie, by duchy wasze na ponowne zrodzenie sływały z woli Bożej niby rosa, ogrzana za dnia promieniami słońca, aby przez tę rosę — eter życia dla waszego ciała astralnego i fizycznego — sływała przecudna woń jestestwa, danego wam przez Boga!

A gdy świadomość wasza tak się rozwinie, to nie potrzebujecie się obawiać uścisku mroźnej śmierci, ale możecie podtrzymywać swoje życie i uszlachetniać je sobie, jak rozumny ogrodnik utrzymuje kwiaty w cieplarni. Życie wasze ulegałoby przemianie w waszej pełnej świadomości duchowej i lśniłoby wśród chłodem i mrozem spowitych innych bratnich roślin w przyrodzie.

Tak to na wszystkich krańcach świata potęga duszy Przyrody budzi swego króla, człowieka i chce mu pomóc do uzyskania lekkości ducha i ciała, by nie potykał się o kamienie, niebacznie sobie przedtem rzucone w drogę i by się o nie nie ranił na dalszej drodze życia — kamienie karmiczne, nieraz spadające niby piołun na serce i przygniatające ducha. Póki człowiek kroczy po łonie ziemi, pogrążony w nieświadomości, nie chcąc się uczyć życia, wdzięczności od ptasząt, wzbijających się w górę po śnie nocnym, śpiewających radośnie, dziękczynnie, póki się nie zacznie uczyć od pszczołek, składających miód, od mrówek, także pilnie pracujących, a mających doskonałe odczucie zbliżającej się burzy, czy niepogody i ukrywających się na ten czas w misternych swoich siedzibach, gdzie spokojnie mogą przetrwać nawałności, — póki nie zacznie się uczyć od najmniejszego stworzonka na świecie i od słońca jasno świecącego, z tych wyżyn, gdzie go nie mogła włożyć ludzka ręka, — póki nie zastanowi się nad kolejnym następstwem dnia i nocy i nie zacznie realizować zmiany uczuć dnia i nocy, dotąd będzie się żywił lichą namiastką życia i zatruwany będzie przez eter śmierci — a życie nietylko nie przyniesie mu większych korzyści, ale przeciwnie, wielkie cierpienia.

Życie to szkoła, w której trzeba się uczyć — lecz uczyć dla korzyści ducha. A życie na ziemi to szkoła ciężka, w której w każdym rogu stoi bat, to szkoła, w której brak miłości w takiej pełni, by można się uczyć w spokoju. A jednak uczyć się trzeba i wśród chaosu i zgiełku świata, a trzeba uciekać od jadu życia, uciekać ze szkół, które są przesycone oparami trującego eteru śmierci. Każdy sam sobie może być nauczycielem, tylko trochę dobrej woli poznania życia w sobie i trochę szczerego życzenia spojrzenia Prawdzie w twarz — pokory dziecięcej niewinnej i ciepła życia, miłości. Potem moglibyście ujrzeć cud życia, pełnię radości, oddech wasz byłby wolny i tworzyłby dobro. Znikłyby straszidła ciemnej nocy i uściski strachu przed zimną śmiercią, znikły ból i lzy — huragan Złej Mocy rozbijałby się o skały i nie sącyłby się tak śmiało przez wasze dusze.

Na to wszystko wskazywał jasno, chociaż nieraz w symbolicznej mowie, Chrystus, Zbawiciel ludzkich dusz — i otwierał bramy nie-

bios dla wszystkich ludzi dobrej woli, wskazując na wieczne życie w pełni radości niebiańskich rozkoszy, wiecznego harmonijnego rytmu życia. Podał ludzkości więcej, niż ktokolwiek przedtem mógł jej dać na świecie, podał wszystkim pokoleniom, które żyły po Nim — a w przeważnej mierze są tem samem pokoleniem, które żyło za czasów Jego pobytu na ziemi — podał im to, czego nikt więcej z żyjących na ziemi nie może im dać. Bo tylko w czystym, jasnym płomieniu może się Zło spalać, a On w czystym, jasnym Swoim Duchu spalał wiele zła ludzkiego ducha i zła tego świata, przepalając ciemności ponurych cieni nocnych, rozświecła świadomość duchową, zapalał gasnące promienie w duchach wielu ludzi wcielonych i pozabawionych ciał, ożywiał słowem i czynem Swoim zamierające w nich życie.

Chciały niskie Moce spowić klątwą światło jasne, lecz nie zdołały według swej woli ujarzmić na zawsze nieszczęsną ludzkość na ziemi — i nieraz już przelękły się, kiedy jasne dzwony z górnych światów duchowych zaczęły zwiastować Nową Erę.

Idzie Chrystus na świat w duchu i prawdzie. Był On z nim złączony i po odłożeniu swego widzialnego ciała na ziemi, ale w nowej erze zabłyśnie z większą jeszcze mocą, by bardziej ukrócić swawolę niskich duchów.

Toteż niejeden człowiek dobrej woli, pragnący poznać Prawdę i miłujący Go, chociażby cienie przeszłości przeszkadzały mu rozejrzeć się w niej świadomie szeroko, daleko, to jednak odczuje mocno ten powiew czystego tchnienia Prawdy i będzie mógł pomóc innym prostować ścieżki myślenia na drogę do lepszego życia.

A Chrystus w myślach ludzkich, w wyobraźni i w rzeczywistości szlachetnym odczuciu wielkiego majestatu Boskiej Miłości stanie w innym świetle w ludzkiej świadomości, niżeli został postawionym w świadectwie, podanem przez ludzi, którym mimo dobrej ich woli potrafiły narzucić Niskie Moce swoje myśli i poglądy, by nie dać ludzkości poznać Boskiej Prawdy, by nie dać jej odzyskać świadomości prawdziwego życia.

A ten dobry Chrystus będzie radością ludzkości, stanie się prawdziwą drogą do wieczności, do pięknego życia w Bogu. W Nowej Erze będzie i już jest zsyłana pomoc wszystkim, którzy pragną doznać tej Miłości Boskiej, którzy chcą poznać tę prawdziwą drogę do Niego. A chociaż Zła Wola także nie śpi i będzie także wyęczała wszystkie swoje siły, starając się imitacją pięknych słów i sugestywną siłą myśli, czy to podczas snu, czy na jawie zatrzymać tych szukających prawdziwej drogi, to jednak zatrzymać nie może — i nie zatrzyma takiego wędrowca, w którego duszy góruje prawdziwie dobra wola i szczerze pragnienie, by iść za Nim. Bo głos nieszczęśliwego ducha, który kazał Chrystusowi złożyć sobie ukłon, ten głos w każdym duchu i człowieku będzie milknąć, tracąc siłę popychania go do Złego i jeżeli ktoś da dostęp do duszy swej tym skromnym, a jednak tak wielkim przymiotom, jakimi są miłość, pokora i wiara, to o ten

pancerz lśniący palić się będą niskie siły i załamywać się będą rogi szatana, kruszyć się będą jego chmurne skrzydła.

Ci, co będą twierdzić, że mimo swych modłów, prósb, a nawet ofiar, składanych w celu prześlągnięcia Boga, nie doznają Jego mocy, Jego miłosierdzia — u tych z pewnością przeważa jeszcze zło. Jeżeli nie zdobędą się na cierpliwość i siłę do wydobywania się z niego, to mogą im przyjść z namiastką Boskiej Miłości ci, którzy zawsze potrafią sobie znaleźć dostęp do narzekających, że ich Bóg karze, że są niewinni, nic złego nie robią, a Bóg ich srogo doświadcza. Ale gdy kto zechce zrozumieć życie, gdy w biedzie swej, w utrapieniach upokorzy się, to chociażby i szatan zastępował mu drogę, naprzemian to cicho w twarz mu się śmiejąc, to znów szepcząc słowa otuchy — chociażby mu mówił, że prowadzi go w imię Boże, i że jest jego dobrym aniołem stróżem, to ten ktoś, chcący poznać samego siebie i zbliżyć się ku Bogu, z pewnością odczuje w duchu, czy prawdziwy przyjaciel chrześcijanin podpira i wzmacnia go myślami w drodze, czy tylko krąży naokoło niego pokusiciel.

Duchy nieszczęśliwe, ciemne, twierdzące rozmyślnie, że przychodzą w imię Boże, będą mieć odjęte prawa przez samych siebie stworzone, robienia źle. Przekreślone zostało w szerokich niezmiernych przestworzach ich prawo, a wszyscy twierdzący, że przychodzą w imię Boże, w istocie zaś zamierzający dalej czynić źle, będą zmuszeni i już są zmuszeni czynić dobrze. Niema już takiego prawa w przestworzach, ni na ziemi, żeby ktoś w imię Boga mógł czynić źle — bo tem samem, że powołuje się na Boga, zmusza siebie samego do rychłego spłacania starych długów i czynienia dobrze.

Nastał okres ukrócenia wolnej woli. Ukróconą została podczas zrodzenia się Chrystusa; Chrystus zwyciężył zło, które dawniej gorszem było, niż jest dzisiaj. Obecnie powtórnie ukróconą została wolna wola, szerzej otwierają się podwoje do Nieba. Ciężkie też będą nadchodzić chwile dla mieszkańców tego świata — ciężkie dla tych, którzy nie chcą zawrócić z dotychczasowej błędnej drogi życia. Lecz te straszne utrapienia będą dla nich dobrodziejstwem i dzięki nim szybciej będą mogli uwolnić się od złego, jeżeli tylko zechcą.

A miłość ofiarna śpieszy cierpiącym z pomocą. Toteż są i będą ciężary przewinień dusz zaślepionych brane na własne barki przez silniejszych ich braci na ziemi i w zaświecie — a to w takiej mierze, w jakiej je w dobrej woli ten i ów uniesie.

Losy żywotów ludzkich się rozstrzygają. Wielu wędrowców tego świata z dobrą wolą w duchu w odłączeniu podczas snu zaciągnęło się i zaciągać się jeszcze będzie w ochotnicze rzesze wojsk bożych, a kiedy zbudzą się, nie będą sobie zdawać sprawy, co przeżyli. Nie będzie to pogwałceniem ich woli; tyle będzie się brać z ich ducha, ile będą zdolni wykonać. Czasem jak zajdzie potrzeba, to niejeden i na fizycznym planie przy wyrównywaniu swej własnej Karmy, mając trochę wolniejsze barki i jeszcze dość siły, poniesie ciężary innych.

Biada zaślepionym i gnuśnym! Nie jest to pogrożka, rzucona na ten świat, tak pełen nieszczęścia, lecz niech to „biada“ będzie ostrzeżeniem; niech to „biada“ nie będzie huraganem, wyrrywającym przybytki ludzkie, niech to „biada“ nie niszczy przybytku ludzkiego ducha, ale niech to wołanie: „Biada, biada!“ będzie ostrzeżeniem, powstrzymującym ludzkość na błędnej drodze życia.

Chrystus zdradza się, żyje w Duchu i w Prawdzie. Nie na jednym krańcu świata zdradza się jako dziecię w widzialnej postaci ludzkiej, ale wszędzie, wszędzie z większą niż dotychczas siłą świat ten otacza. Wszędzie jest, Jego mocne ręce cały glob obejmują, Jego dobrotliwe oczy patrzą w głąb wszystkich dusz. — Kto przytuli się już, już ku sercu błogosławionego Ognia Miłości Bożej? Kto spojrzy Jasności w twarz?

Tak — Chrystus puka do twego serca, wędrowcze, i woła łagodnie, woła: „Do Ojca wróć, boś pełen ran, a On uzdrowi cię!“

Wracajcie chociażby wśród nocy, Bóg poprowadzi Was. Nie czekajcie cudów Bożych — dał wam ich dość i dość ich daje. Któż z Was je oceni, kto zrozumie? Stwórzcie cud sami w sobie, jest to w waszej mocy: Miłujcie się, oceńcie życie, przez Boga wam dane, a śmierć straci dla Was swój przykry urok, zniknie strach, boleść, udręka ducha. Na łonie Boga, na piersiach Chrystusa — prawdziwy nektar życia. Czy niewiele długów macie, czy ciężkie przewinienia — wszystkich Bóg przyjmie, na wszystkich czeka. Czyńcie cuda, cuda dobrej woli, a zrobicie cud najpiękniejszy, jaki kiedykolwiek ludzkość stworzyć potrafiła. Nie będzie się pod waszemi nogami ziemia trzęsła, nie będą wybuchać wulkany, nie będzie katastrof w powietrzu, na morzu, ni lądzie, nie będzie głodu, niesnasek, nie będzie też i pustej zabawy — zaczniecie wolniej oddychać. A jeżeliby się jeszcze ziemia zatrzęsła i jeżeliby jeszcze boleść Was smagnęła, to wiedźcie, że to wyrównywanie i że większych nieszczęść już nie będzie.

Naprzód, ku Bogu, ku Słońcu do życia. Hen daleko od śmierci i upadku Ducha! Wyżej, wyżej, ku Bogu bliżej!

On nasz Pan, On Ojciec nas wszystkich! On wszystkim miłuje i wszystkim pomaga!

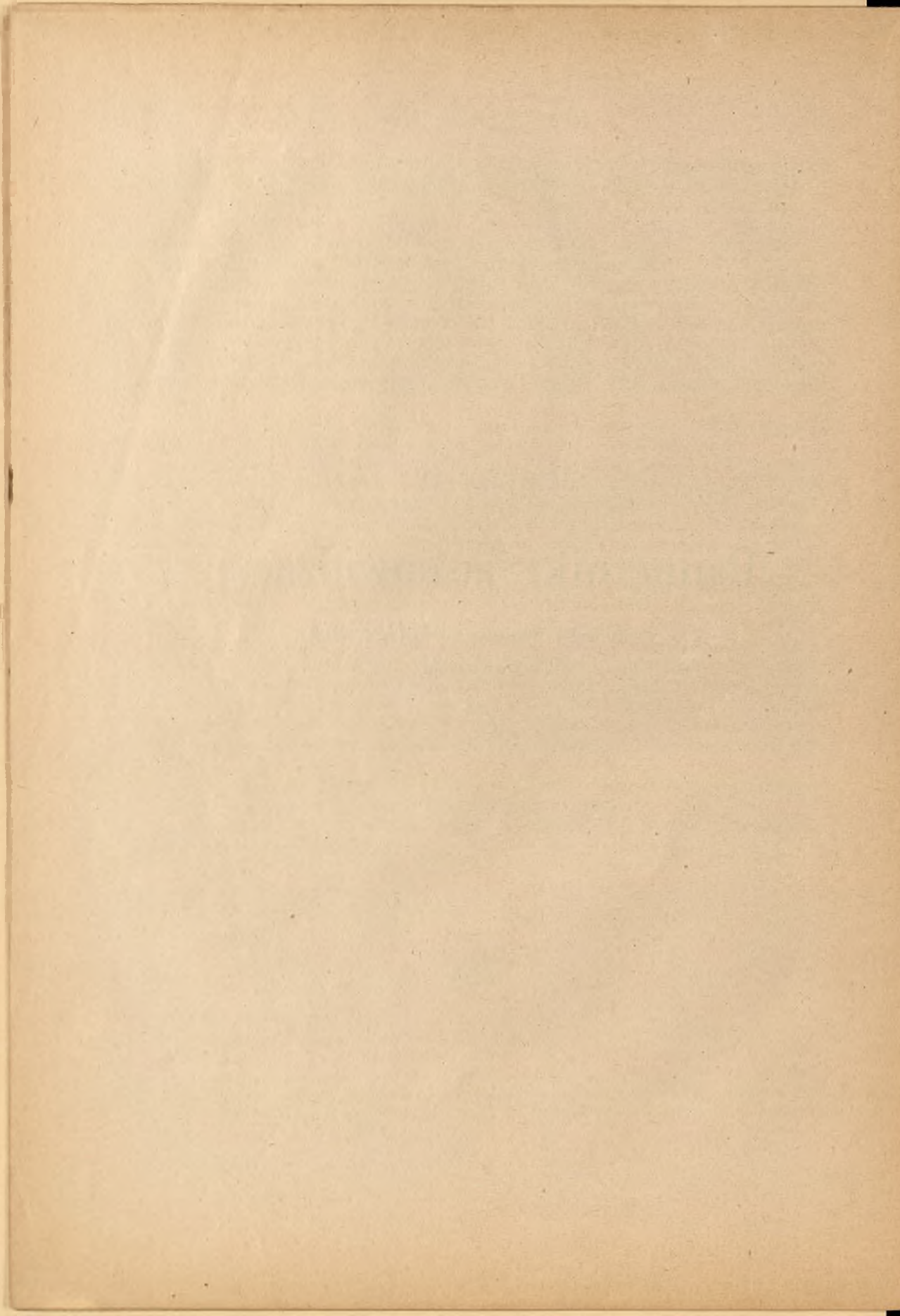


CZĘŚĆ II.

Pamiętniki jasnowidzącej

z wędrówki życiowej poprzez wieki.

(W urywkach.)



Moje przebudzenie duchowe w życiu obecnem.

Kilka uwag wstępnych o moich zdolnościach jasnowiedzenia. Widzenia duchów i widzenia na odległość w latach dzieciństwa. Letarg. Moja wędrówka z opiekunem duchowym w czasie letargu. Przesunięcie się przed memi oczyma całej mej przeszłości. Tęsknota za lepszym światem po zbudzeniu się z letargu. Wejście w grono spirytystów i nawiązanie świadomego kontaktu z duchem opiekuńczym. Moja miłość do niego. Boska chwila spłynięcia dwojga duchów w ekstazie miłości, w dziękczynnem uwielbieniu dla Boga. Atak niskich duchów na moje ciało w czasie, gdy ja w odłączeniu przebywałam z moim opiekunem w górnych krainach. Tylko miłością należy walczyć ze złem.

Ze zdolnościami jasnowiedzenia, jakie posiadam, przysłam już na ten świat. Aby widzieć, nie potrzebuję wpadać bynajmniej w trans, czy sen magnetyczny, nie potrzebuję się posługiwać żadnymi środkami pomocniczymi, jak kulą kryształową, zwierciadłem lub t. p. Nie zamykając nawet oczu fizycznych, zachowując świadomość ziemską, mogę często równocześnie patrzeć wzrokiem ducha, rozmawiać z duchami i t. d. Ważne nieraz zagadnienia rozpatruję wśród zwyczajnych zajęć gospodarskich, co nawet czasami było mi z Górnych sfer zalecane, bo usypiało poniekąd czujność niskich Mocy, rzucających mi ustawicznie kamienie pod nogi w mojej pracy i przeszkadzających mi na wszelkie sposoby, gdy mam jakąś ważniejszą misję do spełnienia. Nasyłają mi wówczas na planie fizycznym ludzi, żeby mi przeszkadzali, działają na moje otoczenie (zwłaszcza dzieci), na ludzi czy zwierzęta w pobliżu mnie, by wszczęły hałas i t. p., a w gwałtowniejszy jeszcze sposób usiłują mi przeszkadzać w astralu, atakując mnie i wymyślając okropnie. Im większy atak z niskich sfer, tem więcej dobrych duchów zjawia się przy mnie i rozprasza zło. Gdy niskie duchy widzą mnie wśród zajęć codziennych, domowych, czujność ich słabnie i mogę wtedy w większym spokoju pracować nad jakimiś ważnymi zagadnieniami, a dobre duchy mają mniej pracy z odpędzaniem nieszczęsnych istot.

Więcej niż niepokój na planie fizycznym przeszkadza mi niepokój duchowy w mojem otoczeniu. Nieodpowiednią aurę osób, znajdujących się w pobliżu mnie, lub będących ze mną w ściślejszej łączności, bez względu na to, gdzie się w danej chwili znajdują, ich smutek, gniew, brak ufności w Boga, przyziemne myśli i t. p. wyczuwam jako mniejszy lub większy ciężar, przytłaczający mnie i przeszkadzający w wolnem poruszaniu się w świecie ducha.

Oczywiście łatwiej mi pracować duchowo, gdy mam ciszę i spokój także i na planie fizycznym. Dla łatwiejszego wejścia w kontakt z osobą, sprawą lub t. p., na którą mam spojrzeć wzrokiem ducha, kładę najczęściej dłoń na oczy. Przyzwyczajenie to pomaga mi poniekać w izolowaniu się od otoczenia i w skoncentrowaniu uwagi na tem, o co mi w danej chwili chodzi. Przysłaniam oczy także i z tego względu, że razi mnie wówczas wszelki blask światła, czy to dziennego, czy sztucznego. Gdy ktoś prosi mię, bym spojrzała na jakąś osobę, czy to żyjącą na ziemi, czy przebywającą w zaświecie, dobrze jest, gdy znam jej imię; wymówienie tego imienia, czy to na głos, czy tylko w myślach, ułatwia mi „odszukanie“ tej osoby i zjawienie się jej przed mym wzrokiem ducha. Gdy mam przejrzeć czyjeś ciało i jego stan zdrowia, określić rodzaj choroby i t. p., pomaga mi w tym wypadku ujęcie za rękę tej osoby, przez co łatwiej łącząc się z nią magnetycznie, przezieram nawskroś jej ciało fizyczne i astralne; dolegliwości jej odczuwam wówczas w odpowiednich organach własnego ciała, choć nie z taką siłą oczywiście, jak ona. Osobiste zjawienie się u mnie tej osoby, choć pożądane, nie jest jednak konieczne, wystarczy mi wziąć do ręki fotografię jej, list, lub t. p. przedmiot, będący z nią w łączności, a nawet tylko wymówić jej imię.

Gdy patrzę na jakieś wypadki, czy to obecnie się gdzieś rozgrywające, czy w przeszłości, wrażenia towarzyszące im udzielają mi się tak, że n. p. przykrość sprawia mi rozpatrywanie jakiegoś trzęsienia ziemi, rozbicia okrętu, czy innej katastrofy, a już przede wszystkim jakiejś zbrodni.

Trudnoby mi było w paru słowach ująć, na czem polega moje jasnowiedzenie, w jaki sposób widzę, jak się porozumiewam ze światem ducha, kiedy i jak się te zdolności u mnie ujawniły i jak się rozwijały. Na dalszych kartach tej książki znajdzie czytelnik powoli odpowiedź na wszystko, opartą na wielu przykładach. Pamiętnik mój nie rości sobie bynajmniej pretensji do oddania wszystkich ważniejszych momentów mego życia. Podaję tylko najcharakterystyczniejsze rzeczy, mogące mieć wartość dla tych, którzy się interesują sprawą jasnowiedzenia, a służyć też dla ostrzeżenia niejednemu, który się mylnie na te sprawy zapatruje.

Już w latach dziecięcych przesuwano się przed wzrokiem mym wiele dziwnych obrazów: całe krainy, domy, różne zwierzęta, często bardzo dziwaczne i straszne, ludzie, których nigdy przedtem w tem życiu nie widziałam i t. p. Nieraz kładąc się spać czułam, jak ogromny elementał położył na mnie łapę. O, jakże się bałam, jak pragnęłam, by tego nie widzieć! „Nie bój się“, uspokajała mnie matka, widząc, iż drzę w łóżku. „Nie bój się — nie bój się — nie bój się...“ dźwięczało mi łagodnie w uszach, kojąc mój strach i kołyszając do snu. Zdawało mi się, że to jeszcze jakby echo słów matki, a to dobre duchy podtrzymywały w dalszym ciągu tę myśl: „Nie bój się...“, uciszając moją trwogę dziecięcą.

Widząc obrazy nieraz dalekich przestrzeni, które się zjawiały przed memi oczyma, dziwiłam się niezmiernie, jak się to wszystko

może pomieścić w czterech ścianach małego pokoju. Nie wiedziałam jeszcze wówczas (gdyż świadomość z poprzednich bytowań była jeszcze w czasach dzieciństwa u mnie uśpiona), że dla oka duchowego ściany materialne nie przedstawiają żadnej przeszkody w patrzeniu. A kiedy uprzytomniłam sobie, że ja właściwie tych murów w takich momentach wcale nie widzę, pobiegłam szybko kilka kroków przed siebie, gdzie powinna się znajdować ściana, wyciągnęłam rękę i rzeczywiście pod ręką ściana zaczęła się zarysowywać; równocześnie jednakże widziane poprzednio obrazy traciły na wyrazistości i powoli znikwały. Gdy obrazy poczęły się przesuwac ponownie — podobnie jak w kinie, tylko że więcej żywe i że mogłam je oglądać ze wszystkich stron — zaciekawiona poprzednią obserwacją, zachowując już oczy cielesne otwarte, patrzyłam usilnie w ścianę, doznając przy znikaniu jej dziwnego wrażenia.

— Przecież ona znika bez szelestu, ani słyhać, jak się gdzieś rozsypuje. A więc ściana nie jest twardą, mocną, że tak łatwo znika? — myślałam.

Znikały również i otaczające mnie meble, to też, chcąc zbadać namacalnie znikanie materji w mej dłoni, chwyciłam ręką w tym celu znikające mi właśnie z przed oczu krzesło, zaledwie go jednakże dotknęłam, błyskawicznie znów stało się całem i twardem.

Zwierzyłam się rodzeństwu, co widziałam — i wysmiano mnie, nazywając mnie głupią. Nie pozostało mi więc nic innego, jak zamknąć się w sobie i więcej już nikomu o tem nie wspominać. Pozostałam sama ze swoim światem ducha. I często tak stałam wpatrzona nawet podczas zimy w prześliczne zielone łąki, gaje i lasy, wsłuchana w śpiew ptasząt — nie słysząc nieraz, jak rodzeństwo głośno mnie woła. Dopiero gdy ktoś podszedł do mnie i głośno tuż przy mnie krzyknął, ocknęłam się. Nie mogłam jednak zaraz zorjentować się, czego właściwie ode mnie chciano i co mam zrobić, choć mi nieraz dwa i trzy razy powtarzano polecenie matki, czy kogoś innego. Nic dziwnego, że rodzeństwo się na mnie oburzało i nie lubiło mnie coraz więcej; nazywało mnie głupią, krzyczało na mnie i obdarzało mnie coraz większą niechęcią — a mnie było smutno.

Niedaleko naszego domu stał krzyż, do którego wykradałam się zwykle wieczorem, gdyż tutaj nikt mnie nie wysmiewał i nikt mi nie przeszkadzał. Tutaj miałam najlepsze widzenia. Często przychodziły mi bardzo bolesne myśli, że żydzi ukrzyżowali Chrystusa; miałam żal do nich, wprost obawiałam się ich. Często widziałam także obrazy treści religijnej, widziałam białe istoty duchowe, słyszałam ich pieśni i ich rozmowę.

Do domu biegłam zwykle trochę zaniepokojona, czy nie zauważono mojej może zbyt długiej nieobecności.

Wszystkie te moje widzenia z lat dziecięcych uważałam za coś w rodzaju snu, sądziłam, że to samo przeżywają inni, tylko mi nie opowiadają, podobnie jak i ja nie opowiadam nikomu o swoich wizjach. To też później, słysząc o rozmowie duchów z ludźmi, o widzeniu świata astralnego i t. p., nie mogłam się zorjentować, że

tamto właśnie było już owem widzeniem duchów z zaświata i widzeniem na odległość.

W młodych latach chodziłam też chętnie do pobliskiego klasztoru z myślą, że później tam już zupełnie zostanę i tam będę miała możliwość prawdziwie pożytecznej pracy dla bliźnich. Wyobrażałam sobie, że zakonnice i księża to anioły, a sam klasztor to raj dla duszy, bo tam niema zepsucia, niema błahych spraw ziemskich, tam tylko czyste, piękne życie. Lecz zobaczyłam coś wręcz przeciwnego. Przed niewinnymi oczami dziecka stanęła naga ohyda życia. Wstrząsnęło to mną tak gwałtownie, że zapragnęłam nie żyć. W tem zniechęceniu do życia wpadłam w omdlenie, które przeciągnęło się w stan, podobny do letargu.

Straciłam na krótką chwilę świadomość. W niespełna 5 minut ocknąłam się, lecz jakież było moje zdziwienie, gdy zauważyłam w mieszkaniu popłoch, bieganie i cucenie zimną wodą jakiejś dziewczyny, leżącej na łóżku; ku memu zdumieniu rozpoznałam w niej siebie samą. Widziałam wyraźnie to leżące z zamkniętymi powiekami moje ciało, a równocześnie dobrze zdawałam sobie sprawę z tego, że nie śnię, lecz stoję w pewnem oddaleniu od łóżka, stopami wcale nie dotykając podłogi, a głową sięgając niemal sufitu. Dziwił mnie ten stan, w jakim się znajdowałam, a szczególnie to zaniepokojenie rodzeństwa.

Nie czułam najmniejszego ciężaru ciała. Stan mój zaczął mi się wydawać normalnym, zdziwienie zupełnie ustępowało. Nie wiem, czy moja własna myśl, żeby oddalić się z tego miejsca, pociągnęła mnie w stronę drzwi — dość, że niebawem zupełnie lekko przesunęłam się przez ścianę i posuwałam się ponad ogrodem w stronę pól. Było mi bardzo dobrze, swobodnie i spokojnie zaczął mnie otaczać; straciłam z przed oczu obraz swojego ciała, leżącego w pokoju, a całą uwagę moją pochłonęła obserwacja mego dziwnego, spokojnego unoszenia się. Płynęłam właśnie w stronę niewielkiej wierzby, przyciągana widocznie jej siłą magnetyczną. Płynąc tak nad nią zauważyłam, że na wierzchołku niemal każdego z drzew, nad któremi przepłynęłam, zostały jakieś małe, mleczno białe, okrągławe strzępki. Miałam wrażenie, jakby jakaś szata na mnie się rwała. Zaledwie jednakże minęłam wierzbinę, zauważyłam, że wszystkie owe strzępki odłączyły się lekko od drzew, skupiając się znów około mnie. Czułam, że jestem znów cała. Była to widocznie magnetyczna teleplazma mego fluidarnego ciała.

Po chwili zauważyłam koło siebie przesliczną postać o rysach człowieka; ujrzałam ją z profilu, płynęła tuż obok mnie. Cała postać była jakby zawoalowana białym, lekko przezroczystym tiulem. Zanim się spostrzegłam, biały ten, pogodny duch przytulił mnie prawą ręką lekko do siebie, czyniąc to widocznie dlatego, bym mogła z nim płynąć bez jakiegokolwiek obawy, że natknę się znów jeszcze na jaką przeszkodę.

Płynęliśmy w górę. Świat ten, powoli znikał mi całkiem z oczu, a tymczasem ten dobry duch zaczął mi mówić o wiecznym życiu, o miłości Boga, o Jego nieskończonej dobroci. W związku z przyczyną, która wywołała moje omdlenie, pocieszał mię, iż Bóg jest wszędzie i że mogę się do Niego modlić na każdym miejscu, a najlepiej właśnie na łonie cichej przyrody; pouczał mnie, jak mam żyć na ziemi i objaśniał, że na drodze mego ziemskiego życia jest rozsianych jeszcze wiele cierni, a to rozsianych nie tyle z mojej własnej winy, ile przez złe siły, prześladowające mnie z własnej swej złej woli za moją wiarę i objawianie otoczeniu, iż niema śmierci, bo ona jest tylko przejściem z życia do życia i za wiele jeszcze innych spraw — za głoszenie prawd, niezgodnych czy to z dogmatami religji, czy też teorjami, lub twierdzeniami wiedzy oficjalnej. Mówił, że będę jeszcze musiała przejść wielkie prześladowania i niezrozumienie przez tych, wśród których wypadnie mi przebywać.

Wiele z tego, co mi wówczas powiedział, sprawdziło się co do joty, a reszta się pewnie sprawdzi w dalszem mem życiu. Powiedział mi także, że mnie nie opuści nigdy. I istotnie, minęło od tego czasu już przeszło 20 lat, a ja zawsze mogłam i mogę go widzieć i rozmawiać z nim, kiedy tylko tego zapragnę; zawsze też pociesza mię i udziela mi potrzebnych wskazówek i rad, które mnie jeszcze nigdy w ciągu już przeszło 20 lat nie zawiodły.

Podczas tej wędrówki w zaświecie między innemi opłynęłam z nim także cały nasz glob ziemski. Ku swemu zdumieniu zauważyłam, że ciągną się za mną ledwo dostrzegalne, magnetyczne nitki, ożywione magnetyzmem moim i przyrody, a kiedy trochę zaciekawiona zaczęłam obserwować te tajemnicze nici, powiedział mi mój Opiekun:

— Łączę cię ze wszystkimi krajami, nad którymi płynie, gdyż łączność ta będzie ci potrzebna w przyszłości. Po tych niciach magnetycznych będziesz się mogła dowolnie przenosić do tych krajów i obserwować nie tylko to, co w danej chwili będzie się tam działo, ale przede wszystkim będzie ci się odsłaniała przeszłość, w której czytać będziesz mogła dzieje i losy ludzkości w danych miejscowościach.

Między innemi płynęliśmy i ponad Syberją. Widziałam śniegi i jakieś lodowce i pomyślałam, że tam widocznie musi też być zimno, lecz nie czułam żadnego chłodu; w atmosferze tylko unosił się dziwny smutek, czy martwota.

Tymczasem opiekun mój zniżył się ze mną ku ziemi, trzymając nade mną dłoń. Odniosłam wrażenie, jakby nogi me aż do kolan ugrzęzły w śniegu i — o dziwo — uczułam lekki chłód, a równocześnie zaczęła mnie ogarniać jakaś tęsknota i przygnębienie. Lecz wówczas opiekun mój przytulił mię do siebie prawą ręką, by po króciuchnej chwili znów zostawić mnie samej sobie. Postawił mnie na jakiejś urwistej ścianie lodowej, a sam się trochę oddalił. Usłyszałam wyraźnie wycie jakichś zwierząt, po którym zawsze jakieś dziwne, chłodne, fale przeszły przeze mnie.

Niebawem zobaczyłam w pobliżu siebie białego niedźwiedzia. Jeszcze dziś na samo wspomnienie odczuwam znów to chłodne jego spojrzenie. Niedźwiedź stał nieruchomo i patrzył na mnie. Zwróciłam się myślą do mego opiekuna, lecz ten nie zbliżał się, powiedział tylko:

— Podejdz do tego zwierzęcia, połóż mu rękę na czoło i pogłaskaj je.

Lecz ja ani nie drgnęłam; jakieś niesamowite uczucie, jakiś lęk nie pozwolił mi wykonać polecenia.

— Nie bój się, idź, nie stanie ci się nic złego — powtórzył.

Po tych słowach zbliżyłam się do tego białego zwierzęcia, przyczem zauważyłam, że w miarę, jak się zbliżałam, oczy niedźwiedzia zaczęły się zmieniać, stając się jakieś zmęczone; gdy stanęłam przy nim, przymknął je zupełnie. Za ledwo położyłam rękę na jego czole, usłyszałam smutne, przeraźliwe tony, wydobywające się jakby gdzieś z jego wnętrza. Gdy go głaskałam po głowie, muzyka stawała się łagodniejsza, aż wkońcu przypominała żalosne skomlenie psa. Skomlenie to pochodziło z wnętrza jego zwierzęcej duszy; wydobywało się może dlatego, że ja myślałam wówczas o jego duszy, ujarzmionej wśród tych lodowców. Moje współczucie dusza zwierzęcia odczuła i faliste dźwięki pomruku zamieniły się w żalosne skomlenie. Wyczułam także, że ta dusza zwierzęca pragnie się do mnie jakby przytulić w żalostnej skardze...

Tymczasem opiekun mój poszybował już ze mną w inne strony.

Dłuższą chwilę unosiliśmy się nad Japonją i Chinami, gdzie wskazywał mi między innymi na owe podziemne żyły i szczeliny, które powodują wstrząsy skorupy ziemskiej. Wskazywał mi na wiele innych jeszcze miejsc, gdzie są napozór już wygasłe, lecz ponownie do wybuchu gotujące się wulkany.

Wiele jeszcze przeżyłam, ujrzałam i usłyszałam w ciągu tej wędrówki w zaświecie podczas owego letargu, trwającego niespełna dwie doby. Przeżycia te były niejako przygotowaniem do dalszej, właściwej już pracy mej w zupełnej świadomości duchowej. Niepodobniestwem jest opisywać tu, choćby tylko pokrótce, dzieje owej wędrówki. Wróć do tego jeszcze w ciągu książki. Podkreślę tylko jeden moment:

Im dłużej trwało omdlenie mego ciała na ziemi, tem bardziej oddalałam się z opiekuńczym swym duchem od ziemi tak, że na chwilę straciłam ją z ócz zupełnie, a nawet i myśl, że żyję na niej. Przeszłość, długa przeszłość, miliony lat trwająca, błyskawicznie zaczęła się przede mną przesuwać tak, że niepodobna było mi zrozumieć tego wszystkiego dokładnie. A jednak w duchu czułam, że obrazy te nie są mi nieznanne, że są związane ze mną i z wielu innymi ludźmi, o których w owej chwili czułam, że są mi jakoś bliskimi, lub przynajmniej że mają ze mną jakąś styczność. Nie mogłam sobie tak błyskawicznie przypomnieć wszystkich okoliczności i wszystkich

osób, żyjących już podówczas na ziemi, lub mających się dopiero zrodzić, a które miałam spotkać dopiero w przyszłości.

Widziałam też kolejno wiele obrazów z życia Chrystusa na ziemi, widziałam uczniów i apostołów, widziałam cuda, czynione przez Chrystusa. Potem przesunęły się jeszcze obrazy żywotów mych późniejszych, po tych smutnych chwilach ukrzyżowania Pana.

Po przebudzeniu się z letargu zaczęły mi się obrazy zacierać, a że nie miałam nikogo na ziemi, z kimbym mogła porozmawiać o tem tajemniczem przeżyciu w czasie omdlenia, zaczęło mi się to powoli przedstawiać, jako żywy sen.

W późniejszym życiu mojem jednak spotykałam i spotykam jeszcze osoby, które ongiś ujrzałam w owych obrazach w czasie letargu. To, co wówczas w mgnieniu oka przesunęło się przed mym wzrokiem, jak w kalejdoskopie, zaczęło ożywać przede mną powtórnie i dochodzić już do mej zwyczajnej świadomości ziemskiej. Nie stało się to odrazu. W ciągu 20 kilku lat, które mię dzielą od owej chwili, w miarę spotykania danych osób, kolejno, budziły się we mnie wspomnienia z dalekiej przeszłości, mianowicie chwil, które mię z owymi osobami łączyły. Fale z przeszłości przyplływały ponownie, tym razem z wielką siłą dawnych uczuć. Co ciekawsze wszystkie te sceny powtórzyły się w tem życiu jeszcze raz niejako „w skróceniu“, niejednokrotnie powtórzyły się niemal te same sytuacje. Uczucia i wzruszenia, które ongiś im towarzyszyły, jeszcze raz wstrząsnęły duszą, jako ostatnie echo z przeszłości, ostatnia rozgrywka karmiczna; były nieraz bardzo bolesne, to znów nabierałam z nich nowych sił do życia. W niektórych wypadkach powtórzenie się tych scen z przeszłości miało na celu utrwalenie danych osób i innych, którzy na to patrzyli, lub o tem później słyszeli, we wierze w wielką Moc i Miłość Ojca.

Choć po obudzeniu się z letargu zatarły mi się powoli wspomnienia z wędrówki mej w zaświecie, jednakowoż trudno było zapomnieć o tej ogromnej lekkości ducha i o tej dziwnej wolności i poczuciu szerokiej przestrzeni we wszechświecie i tego brakowało mi bardzo na ziemi. Skrystalizował się w duszy jakiś żal, że muszę tu być człowiekiem; to też chętnie szłam w pola i szukałam miejsc takich, gdzieby nie przychodzili ludzie, abym choć na chwilę mogła się oderwać myślą od ziemi, wpatrzeć się w obłoczki i choć trochę płynąć w myślach razem z niemi w błękitną dal. Gdy myślałam o życiu człowieka na świecie, z głębi duszy wydobywał się wstyd, że i ja nim jestem. „Żaden człowiek nie jest bez wady — rozumowałam. Umiera, odchodzi ze świata, a jeszcze w ostatniej chwili może kogoś ukrzywdzić słowem lub myślą“. Gdy pogrążona w takiej zadumie, usłyszałam nagle zbliżające się kroki, czuwałam wówczas gwałtowne szarpnięcie w duchu i wcale się nawet nie oglądałam, myśląc: „Człowiek, człowiek idzie, człowiek z wadami, jak wszyscy, duch wlokący się po ziemi!“ I jakbym chciała uciec sama przed sobą, przed swoim człowieczeństwem, biegłam, przyspieszałam kroku,

szybciej biegłam naprzód, byle tam, gdzie niema ludzi, byle móc bodaj na chwilę zatonać w myślach, a zapomnieć, że jestem człowiekiem!

Lecz chwile wolne, w których mogłam choć na krótko wymknąć się trochę w pola, były bardzo rzadkie od czasu, gdy matka moja wyszła powtórnie za mąż. To też szybko zapadały w niepamięć błogie wspomnienia przeżyć, doznanych w zaświecie, gdyż od wczesnego ranka do nocy nieraz byłam w ruchu, zaprzątnięta materjalnymi sprawami i pracami.

Lecz świat przyciągał mnie jeszcze mniej, niż przedtem.

Doszło do mych uszu w tym czasie, że niedaleko nas schodzą się rozmaici ludzie na pogawędki z duchami. Dziwną i niejasną wydała mi się cała ta sprawa, chwilami wprost niewiarygodną. Mimowoli zaczęłam być rzucaną na te fale myśli ludzkich, w których to w szyderczy sposób drwiono sobie na temat rozmowy duchów z ludźmi, mówiąc niestworzone, nieprawdopodobne rzeczy — że to wszystko jest udawaniem i oszukiwaniem łatwowiernych. Niektórych z tych spirytystów znałam, spotykając ich tu i ówdzie; trudno mi też było uwierzyć, żeby ci ludzie mieli istotnie oszukiwać bliźnich.

Tęsknota za czemś nieznanem, zmieszana z ciekawością, spowodowała mnie w ich progi. Weszłam z zamiarem wypożyczenia sobie książki, którą mi przedtem obiecano za wyrządzoną jednemu z nich małą przysługę. Zastałam ich siedzących naokoło stołu, wpatrzonych przed siebie z dziwną powagą.

I wówczas to nawiązałam już bardziej świadomy kontakt ze światem ducha. Już na pierwszym posiedzeniu w gronie spirytystów zaczęły ożywać wspomnienia z letargu. Nie zwierzałam się nikomu z tych moich przeżyć duchowych, będąc przeświadczona, że i oni mieli niejedno takie przeżycie, że moje jest pewnie mało znaczące, a może niejasne, i opowiadać o tem wyglądałoby na jakieś przechwalanie się. Myślałam, że widzieć duchy to jeszcze co innego, niż ja widziałam — że one się tak zjawiają, by je każdy zobaczył, a wszelkie inne zjawianie się trzeba jeszcze zaliczyć do kategorii snów czy marzeń.

Pewnego razu zauważyłam tylko, że ze zdumieniem spojrział na mnie jeden ze spirytystów, bardzo miły, pogodny brat, młody jeszcze, o długiej brodzie, kiedy mu powiedziałam, że podczas posiedzenia, gdy już zmrok zaczął zapadać, z jego palców i długiej ciemnoblonde brody i wąsów sypały się iskry. Patrzył na mnie ze zdumieniem, a wzrok jego pytał: „Naprawdę, widziałas te iskry?”

Ujrzałam je raz jeszcze, znów o zmroku, tak że z ciekawości podsunęłam dłoń ku końcom jego palców, chcąc zbadać, czy te iskry grzeją. Lecz nie odniosłam wrażenia, jakiego się spodziewałam: zamiast ciepła uczułam łagodny chłód, niby lekki wiaterek, wiejący z jego palców.

Słyszałam też kiedyś po posiedzeniu, że duchy malują, piszą i w różny sposób dają znaki o sobie. Nie śmiałam się jakoś wypytywać, jaką drogą to czynią. Kiedy wkrótce potem znalazłam się sama w domu, pomyślałam, czyby mój duch opiekuńczy nie mógł mi coś

napisać. Nie wiedziałam o tem, że dla łatwiejszego skomunikowania się z nim drogą pisma medjalnego trzeba wziąć ołówek do ręki i lekko przytrzymać go na papierze, by mógł ovladnąć mą ręką i przesyłać na nią myśli po fali magnetycznej z mózgu. Zamiast ołówka wzięłam pióro, a nie mogąc doczekać się listu od opiekuna, zaczęłam, jak mi się zdawało, sama od siebie kreślić na papierze jakieś znaki, a potem swoje imię. Ręka zaczęła mi przytem coraz bardziej drżeć, ja zaś drugą ręką zaczęłam badać puls w drżącej dłoni i wmyślać się w ten dziwny stan lekkości, chwiania głową i drżenia ręki. Tłumaczyłam sobie, że swoim usilnem myśleniem o duchach rozstrajam sobie nerwy, stąd owo drzenie i chwianie ręki i głowy, które już zaczynają nie słuchać rozkazów woli.

Lecz w tejże chwili ręka moja zaczęła pisać. Myśli snuły się tak szybko, że pióro z trudem chwytalo je na papier. Wiedziałam zawsze naprzód, jakie są dwie, trzy pierwsze myśli, które mają być napisane; lecz kiedy już zostały napisane, a płynęły nowe, zatracalam zupełnie pamięć poprzednich. Pisałam tak długo, aż pióro samo zostało odłożone, nieomal wypadło z ręki.

Chwileczkę byłam jakby napół przytomna, lecz wnet przyszłam do siebie i już w zupełnej świadomości mogłam przeczytać, co było napisane. Były to piękne, łagodne, myśli, nawołujące do ufności i wiary w Boga.

Mimo to za chwilę zaczął mnie ogarniać niepokój. Nasuwały mi się myśli: „Źle robisz, źle. Nie dasz spokoju duchom, wołasz je do siebie i teraz zawsze już będą naokoło ciebie.“ A za nimi przyszły inne nedorzeczne myśli: „Duchy będą odtąd przy tobie wszędzie; kiedy się będziesz rozbierać do kąpieli, kiedy będziesz w nocy spać w koszuli, one będą na ciebie patrzyły!“ Za temi myślami zaczął mnie ogarniać wstyd i obawa, że tak się stanie istotnie, bo dla duchów niemasz ściany i nic nie pomoże zamknięcie drzwi.

Zrozpaczona wyszłam szybko z domu z zamiarem pójścia do krewnych, aby w rozmowie z nimi o zwykłych sprawach zapomnieć o tem, co uczyniłam. Niebawem jednak zawróciłam, nie mając ochoty do jakiegokolwiek rozmowy. I znów przyszła mi nieprzeparta chętka wziąć papier i pisać dalej. Pomyślałam sobie: „Wezmę ołówek, bo jakby mi ręka tak bardzo drżała, to mogłabym jeszcze porobić na obrusie plamy z atramentu.“

Ręka z ołówkiem posuwała się znacznie szybciej po papierze, niż poprzednio z piórem. Ten drugi przejaw rozprószył moje obawy, bo duch ten, jakby wiedział, jakie myśli zostały mi nasunięte, napisał, że przyjdzie wówczas, kiedy go zawołam; gdy będę przechodziła jakieś ważniejsze chwile w życiu, lub gdy mi będzie smutno, wtedy przyjdzie mnie pocieszyć.

I tak został nawiązany trwały kontakt mój z Opiekunem, którego coraz lepiej zaczęłam widzieć, a nawet wyczuwać, kiedy się zbliża i kiedy już jest przy mnie.

Były to dla mnie zawsze najpiękniejsze chwile w życiu, bo zawsze dużo dobrego powiedział mi lub napisał i często zabierał mnie

na krótką wędrówkę w zaświaty. Przyłgnęłam ku niemu ogromnie, tak, że kilka razy zwrócił mi uwagę:

— Nie, nie patrz na mnie z takim uwielbieniem i nie myśl tylko o mnie, gdy myślisz o świecie ducha, bobyś powoli zapomniała o dobrym Jezusie i Bogu. Im należy się największa miłość, Im należy się uwielbienie. Wiedz, że sprawisz mi tem radość wielką, jeżeli więcej będziesz myślała o Nich.

Pewnego razu zjawił mi się w myślach na króciuchną chwilę, mówiąc:

— Przyjdę po ciebie o 11-tej godzinie w nocy. Idź spokojnie spać, nie jest to bynajmniej potrzebne, byś czuwała, aż przyjdę.

Zasypiając, cieszyłam się już w myślach na miłą wędrówkę w zaświecie. I znów z rzewnem uczuciem myślałam o Opiekunie, zapominając się pomodlić, pomyśleć całą siłą duszy o Nim, o Jezusie. „Opiekun, opiekun...” — wspomnienie o nim napełniało mnie błogiem drżeniem w duchu — „Opiekun przyjdzie po mnie!”

Zasnęłam. I przyszedł. Wyciągnął ręce, jak to czynił zwykle, jakby tym ruchem wołał mnie do siebie, a myślami odłączał od ciała. Miły, dobry, patrzył na mnie z odcieniem smutku. Było to dla mnie wielką zagadką, dlaczego tak patrzy. Szybko odłączyłam się od ciała i już myślałam, że popłyniemy. Lecz on odezwał się:

— Dlaczego nie pomodliłaś się? Dlaczego bodaj w myślach nie poprosiłaś dobrego Ojca, by wolno mi było przyjść po ciebie? Chciałbym, by zawsze Jego wola się działa i byś ty też według Jego woli żyła. Chodź — powiedział, tuląc mnie ku sobie — poprosimy naszego Ojca wspólnie, by pozwoił nam na tę wędrówkę w naszej ojczyźnie.

Wiedziałam, że tu głównie chodzi o mnie, bo przecież dobry mój duch opiekuńczy ma możność poruszania się wolnego wszędzie.

I tak często, pomimo że zdawało mi się, iż dostatecznie miłuję Boga, przypominał mi, że jeszcze większą miłością do Niego ma duch mój zapalać. Wtedy zaczęłam lepiej rozumieć życie duchowe, wtedy będę mogła zasilać się dostatecznie w zaświecie do różnych walk z niskimi mocami i znajdę wówczas dość siły, by móc już świadomie pomagać razem z nimi wielu duchom w zaświecie, odłączywszy się od ciała.

Pewnego razu, a było to już znacznie później, kiedy żyłam już w pierwszym małżeństwie, znów oznajmił mi dobry mój duch opiekuńczy, że po mnie przyjdzie. A wówczas to często, bardzo często przebywałam z nim. Ni stąd, ni zowąd przyszła mi przed zaśnięciem myśl, że dobrze byłoby, gdybym przy odłączeniu nie straciła zupełnie świadomości takiej trochę ludzkiej. Pragnęłam jednak zarazem ukryć te myśli przed opiekunem, żeby do niego nie doleciały. Nie zaznawszy na ziemi prawdziwej miłości, tego wielkiego przywiązania dwojga dusz, myślałam, że tę dziwną, romantyczną miłość tylko w książkach można spotkać i że ja takiej nigdy już nie poznam. Ogarnęła mnie jakaś tęsknota, by własnymi rękami dotknąć twarzy opiekuna, pogłaskać jego ramiona i ucałować go, bym przytem jednak nie utraciła świadomości ludzkiej, aby mi pozost-

stało potem to rozkoszne, miłe uczucie kochania obok tego uwielbienia duchowego, jakie mam dla niego.

I stało się. Przy odłączaniu od ciała szły za mną jakby wszystkie uczucia ludzkie, a te mi tylko przykrość sprawiały. Ciało moje nie znikало mi z przed ocz przy odłączaniu, jak zwykle się działo. Odczułam szarpnięcie wstydu, skrępowania i zmieszania. Jakże stanę rozebrana przy opiece? Tłumaczyłam sobie jednak, że przecież to ducha dotyczyć nie może i już trochę przemocą odrywać się zaczęłam od ciała, wstydząc się za niezręczność, gdyż zawisłam astralnym ciałem u nóg cielesnych i musiałam aż cztery razy zrobić niem krąg koło nich, by się od nich uwolnić.

Księżyc świecił pełnym blaskiem. Opiekun był za oknem w oświetleniu księżyca. Wyraźnie ujrzałam szyby w oknie — i znów nowa troska: jakże się przez te szyby przedostanę? Niemiłe uczucie, że muszę przechodzić przez nie, jakby przez jakieś ostrze, wstrzymywało mnie. W dodatku zauważyłam, że niejako ta sama bielizna, jaką miałam na ciele, zawisła na mnie i że ja jestem jakaś dziwnie inna, niż kiedyindziej po odłączeniu się. Uczyniłam niecierpliwy ruch, by zesunąć koszulę ku stopom, gdyż tak samo, jak na ciele fizycznym, gdzie we śnie zgarnęła się aż na biodro, tak samo podgięta była i na ciele astralnym. Już nie wiem, czy udało mi się zesunąć ją i zakryć obnażone ciało.

Lecz w tejże chwili opiekun wyciągnął obie ręce w moją stronę i czułam, jak pod wpływem siły, płynącej z tych rąk, obróciłam się tyłem do okna i nawet nie zauważyłam, jak zaczęłam się przesuwac przez szyby okienne. W czasie przesuwania się przez to szkło odniosłam jakieś ostre, nieprzyjemne wrażenie, lecz bólu nie odczuwałam żadnego. I już znalazłam się znów obrócona twarzą do opiekuna, tuż przy nim. Myśli, wysnute przeze mnie w dziwnej tajemnicy tuż przed zaśnięciem, zniewalały mnie jakoś, by wyciągnąć ręce ku opiekunowi i uczynić to, o czem byłam marzyła. Zauważyłam, że opiekun o tych wszystkich myślach wie i że sam niejako pomagał mi celowo do spełnienia mojego życzenia, bym nie utraciła w zupełności ludzkiego czucia. Stał przede mną dziwnie poważny, patrząc na mnie z miłością i ogromnym spokojem. Nieśmiało wyciągnęłam dłoń do niego. W oczach jego wyczytałam wyraźnie myśl: „Uczyn to, czego sobie życzyłaś“.

Dotknęłam jego czoła i zdumienie moje nie miało granic — odniosłam zupełnie takie samo wrażenie, jakbym dotykała czoła ludzkiego. Zdjęta ciekawością położyłam obie ręce na jego ramiona, potem posunęłam je w stronę serca, chcąc wyczuć tegoż drgnienia pod swoją dłonią. I to odczułam, tylko że to serce jakoś inaczej biło, niż u człowieka, cichy dźwięk jego zataczał szerokie kręgi; miałam wrażenie, że ten ruch serca, to drżenie dźwięku odczuję, usłyszę także i poza obrębem ciała opiekuna, gdy zacznę rękami szukać naokoło niego.

Potem przysła myśl o ucałowaniu opiekuna. Jakiś niewymowny niepokój, dziwnie jednak miły, zadrzał w całym moim jestestwie i ogarnęło mnie onieśmielenie; nie mogłam podnieść oczu na niego.

Podobnie jak człowiek na ziemi zawstydzony spuszcza oczy, tak i ja czułam, że nie mogę podnieść głowy i spojrzeć na te wyraźnie zarysowane usta. Patrzyłam na jego śliczne, długie, białe palce, otoczone jasną smugą światła — i nagle błyskawicznie przyłgnęłam ustami do jego ręki.

Lecz w tym momencie on chwycił w obie dłonie moją głowę i tkliwie spojrział na mnie, potem usta jego dotknęły mego czoła. Wyraźnie odczułam to pocałowanie. Powiedział przytem:

— Bóg z tobą po wieczne czasy...

I już zaczęło się zmieniać drzenie w mej duszy, zaczął znikać ludzki sposób odczuwania. Opiekun przytulił mnie do swego boku i popłynął ze mną wolno w przestworza. Jakoś nie wymienialiśmy ze sobą żadnych myśli, zapanowała naokoło nas poważna, głęboka cisza. W tej ciszy wyczuwałam jednak wyraźnie tem większe zbliżenie się jego do mnie i tem większe zrozumienie się nasze wzajemne.

Wreszcie stanęliśmy w przestworzach. W jego duchu zadźwięczała subtelna myśl:

— Módlmy się.

Popłynęły myśli modlitwy, a popłynęły tak, jak jeszcze nigdy dotychczas, gdy nieraz modlił się ze mną przy ziemi. Obecnie przepełniało mnie uczucie jeszcze subtelniejsze, jeszcze rzewniejsze, niż dawniej. Czułam w duchu radość, czułam jedną falę dziękczynienia i ogromnej miłości ku Bogu. Była to modlitwa już nie wyjawiana myślami, ale jakiś poryw ogromny, jakaś olbrzymia pełnia uczuć radosnych, boskich i oddania się Bogu, takiego zupełnego zdania się na wolę Ojca. Olbrzymie, prześliczne światy, płynące majestatycznie bez jakiegokolwiek szelestu ni zgrzytu, obrażającego majestat wielkiej twórczości boskiej, podnosiły jeszcze powagę chwili.

Spojrzałam na swego dobrego opiekuna. Trudno mi było odgadnąć, czy modli się jeszcze, czy już tylko patrzy przed siebie w radosnem uniesieniu. Nabożne drzenie kołysało jego ducha. Patrzyłam chwilę na niego, jak śliczny, promienny był w tej modlitwie, w tej rozmowie z Bogiem. Wyczuwałam, że niemal cały jest pochłonięty myślą o mnie, że za mnie się modli. I ja również, choć zgoła i tę przytomność ducha traciłam, jakąś duch jeszcze w tych sferach posiada i jakoś rozplýwać się zaczęłam w modlitwie, to jednak zawiślam całą swą uwagę na tej wielką jasnością otoczonej jego postaci, o ile to postacią jeszcze można nazwać.

A on był w tej boskiej ekstazie prześliczny, odczuwałam ogromną rozkosz i radość, patrząc na niego. Czerpałam niejako z niego siłę, choć nie chciałam mu jej zabierać. Wyczuwałam ten ogrom wielkiej miłości, w którym zaczęłam zlewać się z nim razem. Słałam mu w myślach na tę miłą twarz ucałowania, mówiąc sobie w duszy:

— Przez niego Ciebie, Boże, całuję, Ciebie miłuję i Tobie się oddaję.

Byłam dziwnie szczęśliwą, bo i ja miałam na sobie tak, jakby świąteczne, czyste ubranie astralne. Jednak opiekun mój był daleko piękniejszy ode mnie i otoczony żywszą, pogodną, świetlistą aurą.

I ta niejako pociągała mnie bliżej i bliżej ku niemu. Zatonąć w tym blasku dobrego ducha!

A opiekun już wyciągał do mnie dłonie. Jego światło samo przyciągało mnie ku sobie. I zatracając zaczęłam lekkie jeszcze podobieństwo do ciała ludzkiego. Zauważyłam, że tak jak w modlitwie nieraz myśli jego i moje zlewały się razem, wymawiane jakby jednymi ustami, tak teraz ciała nasze zaczęły się zlewać razem ze sobą. Zaczęłam się bacznie przyglądać, co się to ze mną dzieje. Zdumiona zauważyłam, że na chwilę znika moje ciało, rozlewając się niejako w jego ciele astralnym. Doznałam przytem wrażenia ogromnego spokoju i pewności, że u niego, czy w nim ani włos z głowy spaść mi nie może. Ogarnęło mnie uczucie niezmiernej błogości, jakiejś niewypowiedzianej pełni szczęścia i całkowitego zadowolenia. Czulałam, że tworzę niemal jedno z opiekunem — jedynie jeszcze głowa niezupełnie złączyła się z jego ciałem.

Nagle wśród tego dziwnie słodkiego ukojenia odezwała się w duszy mej z wielką siłą jakaś ogromna tęsknota. Tęsknota ta zaczęła mnie odłączać po części od fluidarnego ciała mego opiekuna. Z głębi mego ducha popłynęło w przestworza tęskne wołanie:

— Jezu, mój najdroższy, kochany Jezu, Synu Boga, do Ciebie jedynie należy duch mój w całości, ku Tobie chcę iść, na Twojem świętem łonie spocząć!

Duch mój drżał niezmiernem uniesieniem miłości i uwielbienia dla Chrystusa, które z całą potęgą odezwało się w chwili radosnego zlania się z dobrym mym opiekunem. Tonąc w nim, spływając z nim w jedno w uczuciu wielkiej, czystej miłości, zapragnęłam z tem większą siłą utonąć w Tym, który jest źródłem wszelkiej Miłości.

I opiekun przechodził ogrom wzruszenia. Zadźwięczała myśl olbrzymia: „Ku Niemu, z Nim i w Nim razem po wszystkie czasy!“ To myśl opiekuna mego, która echem odbijać się zaczęła o wszystkie planety, a te dźwiękami swojemi starały się jakby powtarzać ją jeszcze głośniej, niż ona wyszła z jego ducha. Zatonęliśmy na chwilę w tych dźwiękach, śląc prośby ku Bogu, by wysłuchał nasze wołanie, powtarzane echem planet.

Jeszcze chwilę rozglądaliśmy się w olbrzymim przestworzu, lecz wnet zaczęliśmy się zniżać powoli ku ziemi. Pomimo, iż tak posiloną zostałam w krainie ducha, zabrakło mi jednak sił do powrotu do życia ziemskiego — i tak, jak rozpieszczone dziecko czepia się sukni matki, nie chcąc jej na chwilę puścić od siebie, tak i ja nagle tuż przy swoim ciele chwyciłam się swego ducha ochronnego, chcąc jeszcze bodaj chwileczkę pozostać w jego bliskości, poza ciałem.

Wtem zauważyłam, że dobry opiekun drgnął, patrząc w stronę mego ciała. Ujrzałam, iż jest w niem jakiś obcy duch i porusza mojemu palcami rąk i nóg, próbując niemi zawładnąć zupełnie. Niskie moce podczas mojej nieobecności przyłączyły do mojego ciała ducha, który długi czas w zaświecie nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest duchem, ale myślał stale, że jest jeszcze człowiekiem. Gdy zaczęli się z niego wyśmiewać, że wciąż pracuje i zdaje mu się, iż żyje jeszcze na ziemi, przywiodło go to do opamiętania, ale ubolewał ogromnie

nad tem, że ciało jego zostało pogrzebanem i tęsknił za niem, lamentując w jednym ciągu beznadziejnie. Temu to powiedzieli, że mu przynoszą radosną nowinę, iż znów otrzyma ciało, a ciało to jest już gotowem — i przyłączyli go do mego ciała.

Nie zauważyłam go natychmiast, będąc jeszcze pochłonięta swemi przeżyciami w świecie ducha, tylko coś mnie od tego ciała odepchnęło — to aura ducha, goszczącego w niem. Pozatem naokoło nie było widać nikogo. Tamten pomrukiwał sobie przez moje usta i dotykał rękami nosa, uszu, jakby się chciał przekonać, czy już rzeczywiście ma ciało na sobie. Uczułam niepokój i troskę, coś w rodzaju poczucia odpowiedzialności za to ciało; zapragnęłam czemprędzej oddalić zeń owego ducha i samej wrócić do niego, lecz nie wiedziałam, jak to zrobić.

Tymczasem opiekun zniżył się już do mego ciała i położył ręce nad żołądkiem i sercem. Ujrzałam wyraźnie, jak swoim magnetyzmem wstrzymuje prąd magnetyczny ducha, goszczącego w niem, by nie przesaczył się aż do serca i żołądka. Gdy zrobił tam ze swego magnetyzmu ognisko płonące, odczułam i ja to swoje serce, a w niem oznaki życia — jego bicie. Nikł niepokój, radość zaczęła mnie ogarniać, że już wyczuwam coraz dokładniej tętno serca. Trudno było mi w zupełności zawładnąć głową. Tamten duch w mem ciele, bezradny, sam nie wiedział, co się z nim dzieje. Odciągany magnetycznie przez opiekuna, był ogromnie ociążały. Zwładnęłam ciałem, lecz głowę było mi ciężko podnieść, a niemniej ciężkie były i nogi; w głowie tłoczyły się zmieszane myśli przemocą na język i usta. Uczepione były na magnetycznym języku, podającym je na język i usta. Wstrzymywanie ich zaczęło mi sprawiać nieznośny ból głowy. Z każdą chwilą ból się stopniował. Opiekun w pierwszej chwili próbował odmagnetyzować je z mej głowy, widząc, jak się przed nimi bronie i wstydzę ich; lecz potem zaczął mnie zachęcać wzrokiem, bym je przepuściła przez usta, że w ten sposób głowa się od nich uwolni, a przez moją magnetyczną siłę dźwięku zostaną pozbawione swej brutalnej szorstkości i groźnego dźwięku, otaczającego je. Czułam, że gdybym je miała przepuścić przez usta z taką siłą, z jaką szły, to byłoby to chyba straszliwe wycie.

Mąż mój, jak zawsze, choć to już było dawno po północy, bawił się jeszcze w wesołym towarzystwie. Spojrzałam na śpiące dzieci, zatkałam chusteczką usta i przepuściłam przez nie ten ogromny ciężar. Sama przedtem nie znałam właściwego brzmienia tych myśli, wyczuwałam tylko ich szorstkość i zgrozę. Trudno mi powtórzyć, jakie one były; siłą woli wstrzymywałam je, by nie były zbyt głośne. A kiedy przepłynęły, czułam się bardzo nieszczęśliwa i zmęczona i zdawało mi się, że dostaję prawdziwego zawrotu głowy, czyli zawrotu własnych myśli. Moje usta i całe ciało wydało mi się tak zbrukane, jakbym je miała oplwane. Trudno było mi zrozumieć, jak się to mogło stać, kiedy duch mój przeżywał takie wzniosłe chwile. Zaczęła mnie ogarniać dziwna słabość; niepewne uczucia, domysły, co też to oni mogli robić z tem mojem ciałem, zaczęło mnie napełniać taką goryczą do świata niskich duchów, że sama się nie spostrze-

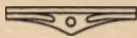
głam, jak pod wpływem tego przykrego uczucia, jakie mi pozostało w ustach po wymówieniu tamtych myśli, oraz na wspomnienie, że może wyprawiali z mojem ciałem obrzydliwe rzeczy, plunęłam z rozgoryczeniem przed siebie, zapominając w tej chwili, że opiekun jest jeszcze przy mnie i na mnie patrzy i nie myśląc, jakim smutkiem go mój postępek nappełni.

Ledwo plunęłam, zaroilo się naokoło mnie od ciemnych duchów, jakby z pod ziemi wyrosły, a wszystkie, ile ich było, plunęły w moją stronę, chcąc mnie tem niejako wyzwąć do walki.

Tymczasem opiekun rozglądał się dookoła, jakby czegoś wzrokiem szukał i myślą wołał w przestworza. W tej chwili zjawilo się niemal tyle dobrych duchów, ile złych było koło mnie. I nagle u wszystkich ujrzałam jedno i to samo: smutek nad tem, że się zapomniała i plunęła w myślach, w stronę niskich duchów. Zaczęłam mieć strach przed groźnie otaczającemi mnie niskimi duchami i uczułam żal do samej siebie, że pozbawiłam dobre duchy zapewne miłych chwil przebywania w czystej, pięknej ojczyźnie, ściągając je do nizin duchowych dla mojej obrony. Bo czułam, że teraz nie mogę się bronić przed tamtymi tak, jak nieraz obroniłam się sama przed niemi, o ile już zaczęły walczyć otwarcie, dając mi znać, że są przy mnie. Podnosiłam wówczas dłonie w ich stronę, mówiąc: „W imię Boże, oddalcie się!“ — a mówiłam to zawsze bez wszelkiego cienia nienawiści. Wszelako teraz nie mogłam użyć tych myśli, gdyż miałam wrażenie, jakoby to gniewne plunięcie w ich stronę znieświęciło moje usta, i znieświęciło ten piękny kontakt z czystym światem duchów.

Zaczęłam nucić pieśń do Boga. Nieszczęsne ciemne siły rozprószyły się. Wówczas jeden z tych przybyłych dobrych duchów zawiądnął mojem ciałem i zaczął głośno śpiewać przez moje usta pieśń, jaką właśnie inni jego towarzysze śpiewali. Trwało to małą chwilkę, a kiedy odszedł, odczułam wielką lekkość w całym ciele i zdało mi się, że jestem jakby oczyszczona tym śpiewem.

Potem już ujrzałam jasno, co zamierzały niskie duchy zrobić z mojem ciałem w czasie mej wędrówki w zaświecie i ile z tego zdołały wykonać. Pomimo najpotworniejszych zamiarów wampiryzacji nie mogły przystąpić ku memu ciału, udało im się tylko częściowo przyłączyć do niego innego ducha i nie on to bynajmniej stworzył te straszne myśli w mej głowie, lecz one przyczepiły je tam wprzód, nim przyłączyły tego ducha do ciała. Liczyły na to, że jeśli jeszcze prędko nie powrócę, to on niem dobrze zawładnie, a one mu te myśli podsuną, by zaryczał przez moje usta, wtedy zaś już łatwiej któryś z nich przyłączy się do tego ciała, odpychając poprzednika i nie puści mnie tam, póki nie narobi w niem spustoszenia, nie podrapie go własnemi memi rękami i nie porani.



Pierwsze etapy mej pracy na polu jasnowidzenia i prześladowania za nią.

Zapadanie w stan omdlenia w początkach świadomego patrzenia wzrokiem duchowym. Przykrości, wynikające dla mnie z gwałtownego budzenia mnie z tego stanu. Prześladowania ze strony ojczyma. Wstręt do błota. Pierwsze owdzielenie ciała mem przez mego ducha opiekuńczego. Objawy, towarzyszące początkowo memu patrzeniu w świat duchowy: ziewanie i „wydłużanie głowy”; obręcz świetlista naokoło głowy. Opiekun wyjaśnia mi, że to nie są istotne warunki, ni objawy jasnowidzenia. Zarzuty, jakie na mnie spadły w gronie spirytystów z ust ich medjów. Niskie duchy skwapliwie zwiły oszczercze myśli o mnie w magiczny kłębek, by wykorzystać je w parę lat później. Ostrzegawcze widzenie cierniowej korony. Ponowna krzywda, zadana mi przez braci spirytystów. Duch opiekuńczy znów zaleca mi nie dochodzić swych krzywd.

Nadmieniłam na początku, że przy patrzeniu wzrokiem ducha nie wpadam w trans, nie tracę przytomności i t. d. Początkowo jednak, kiedy zaczęłam patrzeć świadomie w świat myśli, ducha i światy astralne, czułam przy zamknięciu powiek, jakby całe moje ciało wpadało w dziwny stan omdlenia, nie tracąc jednak przytomności umysłu i świadomości tego, że siedzę, lub leżę, no i patrzę. Im dłuższe były chwile patrzenia wzrokiem ducha, tem bardziej odczuwałam znużenie po otworzeniu cielesnych powiek, a kiedy spojrzalam do lustra, twarz była pobladła, a oczy wyglądały zupełnie, jak u człowieka, budzącego się z omdlenia. Przytomności umysłu na planie fizycznym nie miałam wówczas zupełnie jasnej. Gdy ktoś n. p. rozmawiał wówczas obok mnie, nie zdawałam sobie sprawy, o czym to właśnie mówią i pytałam nieraz, jakby nagle zbudzona ze snu: „Co, co, co...? Czego chcecie?” Pierwsze pytanie „co?” powtórzyłam szybko czasem 5 i 6 razy; druga myśl: „Czego chcecie?” popłynęła już bez sennego zająknienia.

Trochę gorzej przedstawiała się sprawa, jeżeli w chwili takiego przebudzenia nikt nie patrzył na mnie. Spojrzenie innych bowiem szybciej przywodziło mię do opamiętania na planie fizycznym.

Wiele przykrości dla mnie pociągało to za sobą, jeśli w niezajomości sprawy brano stan mój duchowy za zwyczajne omdlenie i gwałtownie nacierano mi mokrym ręcznikiem ręce, czoło i skroń, obawiając się zwłaszcza oznak słabego bicia serca. Wyrwanie mnie w ten sposób z przeżyć w świecie ducha było dla mnie katuszą nie do wypowiedzenia, gdy jeszcze w dodatku wilywy strachu obecnych

chwyciły mnie jakby za gardło, nie dając mi swobodnie odetchnąć i zupełnie przyłączyć się do ciała. Wówczas to raz po raz opadała mi głowa, a ja zapadałam w ponowne omdlenie, lecz wówczas już rzadko kiedy mogłam się odłączyć od ciała spokojnie, a nawet nie widziałam jasno wzrokiem ducha, co się koło mnie dzieje. Widziałam tylko niewyraźnie mnóstwo błyszczących oczu, skierowanych na mnie, oraz różne szare i ciemne, niewyraźnie zarysowane postacie, podtrzymujące usilnie ten przykry stan lęku i niemocy, a w duchu wyczuwałam, że dlatego robią ten tumult naokoło mnie, bym nie mogła wzbić się w świat czystszej myśli, w świat prawdy. Na kogo tylko mogli wpłynąć, napawali go strachem, sugerując mu: „Prędko, prędko, trząść nią, polewać wodą, wszak widzicie, jaka jest blada!“ Po takiej walce, czyli jak tu na ziemi sądzono, po takiej pomocy, udzielonej mi przez bliźnich, czułam się rzeczywiście potem tak osłabiona, że trudno mi było utrzymać się na nogach jeszcze w kilka godzin po takim omdleniu. Zdawało mi się, jakbym miała żyły pod kolanami poprzecinane, nogi uginały się pode mną, a w głowie czułam zawrót.

Czasami, kładąc się wieczór na odpoczynek, zaczęłam zapadać w ten dziwny stan. Niejednokrotnie matka, zauważywszy, że twarz zaczynam sobie zakrywać — bo nie chciałam, by ktoś zauważył zmiany na niej — usiadła na skraju łóżka i zaczęła mi opowiadać różne rzeczy, aby tylko wyrwać mnie ze stanu zamyślenia, a kiedy już nie mogłam powstrzymać zamykających się powiek, piórkiem lub t. p. lechtała mnie pod nosem, żebym tylko nie zasnęła w takim jakimś smutnym nastroju. Nie mogłam jej tłumaczyć, co to przeżywam w takich chwilach, bo wszelkie moje najmniejsze zwierzenia z tej dziedziny wywoływały lęk na twarzach moich bliskich; sądzili bowiem, że zaczynam tracić zdrowe zmysły, mówiąc od rzeczy. Zakrywałam twarz także dlatego, że niekiedy, patrząc na straszne cierpienia duchów w zaświecie, sama się nie spodziałam, jak po mej cielesnej twarzy zaczęły płynąć łzy, a płynęły nieraz tak obficie, że aż poduszka zmokła.

Matka, widząc na uśpionej mej twarzy łzy, myślała najczęściej, że powodem ich jest ból, utajony za dnia, a pochodzący zapewne stąd, że ojczym mój nie cierpiał mnie. Nie mógł poprostu patrzeć na mnie; gdy wypadło mi jeść z nim przy stole, zauważyłam, że patrzy wszędzie indziej, tylko nie na mnie. Nie znosił nawet, bym cicho przeszła koło niego. A on, być może nieświadomie, był najlepszym narzędziem tych, co chcieli mnie zamęczyć na ziemi. Wymyślał dla mnie nieraz niepotrzebnie najcięższe roboty i wbrew woli reszty rodziny zmuszał mnie do tej pracy tak, że nie orjentujący się w naszych sprawach znajomi zapytywali braci, którzy wówczas powoli wchodzili na własne stanowiska: „Czyż już nic lepszego nie macie dla swojej siostry?“ A ja jakoś cicho i posłusznie wszystko to znosiłam, nie mówiąc nikomu o swej wewnętrznej walce i cierpieniach.

Pamiętam, że dziwnie nie lubiłam błota. Gdy po przebudzeniu się z milej wędrówki w zaświecie, gdzie otoczona miłością dobrych duchów śpiewałam wraz z nimi hymn radosny, musiałam bezpo-

średnio potem wyjść na miasto, a na ulicy było błoto — to czarne błoto węglowego zagłębienia — ogarniał mię jakiś dziwny wstyd, ogromny wstyd, że muszę się wlec po ziemi, brudnej, brzydkiej ziemi, której widok był mi tem bardziej niemiły po owej lekkości duchowej, doznanej w zaświecie.

Miałam około 18 lat, gdy duch mój ochronny na jednym z posiedzeń spirytystycznych zawładnął po raz pierwszy ciałem mojem i sam przemówił przez moje usta. Nie pamiętam, co mówił, wiem tylko, że kilka osób opowiadało mi ze wzruszeniem, że bardzo miło i rozsądnie przemawiał do zgromadzonych.

Nim dobry opiekun zawładnął mną całkowicie, odczułam dosyć mocno brak tchu w piersiach i lekkie dławienie w gardle. Ogromnym wysiłkiem woli wstrzymywałam się od gwałtownego ziewania. Nagle poczułam w głowie dziwną pustkę, słyszałam tylko jakieś dźwięki i lekki szmer. Na chwilę zdjął mię lęk: czy ja odzyskam jeszcze pamięć? Zapadałam jakby w niebyt. Wtem czoła mojego uczepiła się myśl gwałtowna, jak strzała: „Wyjdz stąd natychmiast, bo zwarzujesz!” Myśl ta usiłowała wzniecić niepokój w mej duszy. Lecz w tejże samej chwili wyczułam myśli opiekuna: „Zostań, nie lękaj się, zanurz się niby w spokojny sen.” I zmęczona zmaganiem się z ową dziwną duchową, a nawet fizyczną sennaścią — gdyż jakiś bezwład ogarniał moje członki — zaczęłam zapadać w sen.

Podobno cały przebieg zjawiska był spokojny, nie trzęsłam się, jak w febrze, nie zjawily się bynajmniej żadne skurcze mięśni, jak to bywa u wielu medjów. Opiekun mówił przez moje usta łagodnym, doniosłym głosem przeszło kwadrans. Stałam przy tem, to jest ciało moje stało w pozycji dość wyprężonej, duch mój zaś znajdował się obok, nie odzyskawszy zupełnej świadomości, ani też nie zdając sobie jasno sprawy, gdzie się znajduje. Myśli opiekuna, przyobleczone w dźwięki mego głosu, falistemi kręgami toczyły się nad gronem słuchaczy. Nie wiedziałam, jak one brzmiały w słowach, ale uczuciem zrozumiałam siłę i tkliwość myśli.

Gdy opiekun mówił przez moje usta ostatnie słowa: „Z Bogiem!”, usłyszałam je już zupełnie wyraźnie i miałam wrażenie, że to „z Bogiem!” mówię już ja sama. Dopiero kiedy otworzyłam oczy, doznałam dziwnego uczucia; zmieszały mnie spojrzenia, skierowane na mnie, a nie mogłam sobie prawie wcale już przypomnieć, czy opiekun mówił co przez moje usta, czy też w czasie mego uśpienia padła tylko ta jedna myśl: „z Bogiem!” Powoli, minuta za minutą powracała zupełna świadomość stanu, w jakim się znajdowałam podczas i po odłączeniu się od ciała, lecz gdyby mi kazano powtórzyć bodaj kilka słów z tego, co mówił opiekun, nie potrafiłabym tego.

Przez długi czas w początkach mej pracy, kiedy tylko chciałam spojrzeć w świat duchowy, już na samą myśl o tem ogarniało mnie momentalnie ziewanie tak, że aż słyszałam, jak mi szczęki trzeszczą w stawach; a niskie duchy sugerowały mi, że mi kości zaskoczą w stawach za siebie i będę musiała przechodzić operację, albo szczęki

już w tem położeniu zostaną i zginę śmiercią głodową. Podsuwano mi te myśli tak zręcznie i tak je dostosowując do dźwięku i właściwego uczucia moich myśli, że zdawało mi się, że to ja sama je stwarzam. Podczas ziewania miałam wrażenie, że moja głowa się wydłuża tak, że nawet widziałam tę swoją drugą głowę i szyję nad głową cielesną i śmiałam się sama ze siebie, że jeżeli chcę się rozejrzeć w świecie ducha, musi mi urosć druga głowa, bo tą się nie da patrzeć.

Lecz to nie zostało na zawsze. Z czasem przestało się pojawiać ziewanie i nie widziałam już tej drugiej głowy, ani nie myślałam o owem wydłużaniu głowy.

Byłam sama ciekawą, w jaki to sposób widzę, kiedy jestem zupełnie złączona z ciałem i mam zamknięte powieki. Myślałam początkowo, że dosyć szeroki pas półkolisty, znajdujący się nad moją głową astralną, że on to oświecła mi świat ducha. Był to pas z takich samych iskier magnetycznych, jakie widziałam ulatniające się z palców spokojnego duchowo spirytysty. Znajdowały się wśród nich iskry złociste i biało-srebrzyste, pozostające w ustawicznym ruchu, jakby się wzajemnie w tym grubym splocie goniły, dotykały się nawzajem, a przytem dźwięczały. Im ruchliwsze były iskierki, tem wyraźniejsze ich dźwięki.

Gdy patrzyłam na jedną półkulę ziemi, a potem miałam spojrzeć na jakąś miejscowość, znajdującą się na drugiej półkuli, to jakoś odruchowo obróciłam się wraz z ciałem fizycznym i ową głową astralną, by się obejrzeć za siebie, będąc poniekąd pewną, że tyłem głowy nie mogłabym widzieć.

Po jakimś czasie wytworzył mi się już naokoło całej głowy warokcz magnetycznych promieni w postaci zwartego pierścienia. I znów uśmiechałam się sama do siebie, że teraz już wcale nie potrzebuję się obracać, że mogę siedzieć sobie nieruchomo, a oglądać cały świat.

Opiekun może widział, że mi to sprawia taką niewinną zabawę — obserwowanie samej siebie i rozumowanie na ten temat. Lecz kiedy niektórzy prosili mnie usilnie, bym im powiedziała, jak ja to właściwie widzę i co się wówczas ze mną dzieje, chciałam im powiedzieć moje zapatrywanie, ale czułam sama, że to może nie jest jeszcze istotą jasnowidzenia i jego koniecznym warunkiem. Położyłam sobie więc rękę na oczy, pytając opiekuna, czy mam im powiedzieć tak, jak ja to myślę, czy może się mylę.

— Istotnie, mylisz się — rzekł do mnie — ty tą astralną głową nie widzisz. Lecz lepiej byłoby, gdybyś przy zupełnem przebudzeniu się duchowem sama dokładnie to poznała, co wywołuje t. zw. stan jasnowidzenia i jakie są jego przyczyny, oraz byś nauczyła się odróżniać stopnie jasnowidzenia. Dlatego raczej nie opowiadaj im o magnetycznym splocie, a najlepiej wogóle nie wdawaj się z nimi w dyskusję na temat jasnowidzenia. Powiedz im, że sama tego jeszcze nie wiesz, a nie chcesz informować kogoś mylnie; dopiero gdy to sama wystudjujesz, czyli uprzytomnisz sobie na jawie, będą mogli się o tem i oni dowiedzieć. Bo gdybyś im zaczęła mówić o świetlistym kręgu tych jasnych magnetycznych promieni nad swoją głową, w pierwszej chwili przyjęliby to z powagą i zdumieniem, myśląc, że nic innego

tylko ten jasny pierścień to to samo, co aureola nad głowami świętych. Ochłonawszy jednak ze zdumienia, zaczęłyby rozumować na swój sposób: „Ale jakże ona może być świętą, będąc mężatką i matką dzieci, w dodatku nie trzymając się przepisów Kościoła?” Naturalnie, że uczepliłyby się tego niskie duchy i zaczęłyby wydrwiwać przed nimi całą sprawę jasnowidzenia i łączności ze światem duchowym. I pomimo podanych im dowodów jasnowidzenia łatwo zaparliby się wszystkiego, albo też przypisywałyby to tajemnicze działanie mocy diabła.

Słyszałam nieraz na posiedzeniu, że jasnowidzowie widzą wierzchem głowy, to znów, że mózgiem, lub że oczami drugimi, astralnymi, które znajdują się w tem samym miejscu, co i cielesne; inni znów twierdzili, że tylko jednym wielkim okiem, położonem pomiędzy dwoma oczyma cielesnymi, czołem i nosem, że tem to okiem oglądają świat duchów, aurę ludzi i t. d. Jeszcze inni twierdzili, że jasnowidzowie widzą pępkiem, końcami palców, lub całą głowę. Ja nie przyznawałam się, jak widzę, gdyż dokładnie też nie wiedziałam, jak to opisać. Nawet i z tem nie zdradzałam się pomiędzy nimi, że coś widzę wzrokiem ducha, bo jeśli kiedy przedarło się przez moje usta coś, co wiedziałam sama o świecie ducha, to zauważyłam, że ich medja, które niby miały jasne widzenia w transie, a szczególnie jedno z nich, wielką czcią przez nich otoczone, marszczyło brwi, uśmiechając się z niedowierzaniem i dając do zrozumienia, że to nie jest prawda, co mówię i pewnie chcę w oczach ich urósć na jakąś wielkość. Zamilkłam tedy, nie mówiąc już nic o swoich widzeniach i rozmowie z duchami.

Niestety nie ochroniło mnie to przed przykrościami, jakie ciemne duchy umyśliły zadać mi za pośrednictwem tych medjów. Przez usta ich oczerniły mnie w straszliwy sposób, określając zupełnie fałszywie pobudki, jakie mnie wiodą w progi spirytystów. Między innymi spotkał mnie zarzut, że chodzi mi głównie o to, by znaleźć sobie wśród nich dobrą partję. Zabolalo mnie to bardzo, gdyż naprawdę nigdy podobna myśl w mej głowie nie powstała, wogóle daleka byłam wówczas od jakichkolwiek marzeń o miłości ziemskiej, tęskniąc do innego, lepszego życia w czystych przestworzach zaświatów, tak że nawet snu tego rodzaju nie potrafiły mi niskie siły stworzyć. Tak się cieszyłam, że już swój cel odnalazłam i będę żyć i pracować w gronie spirytystów na polu wiedzy duchowej — a tu takie ohydne oszczerstwa spotykają mnie z ust ich medjów!

Po tym seansie jedno z medjów, kobieta w średnim wieku, wzięła sobie za zadanie ukarać mnie jeszcze sama od siebie i zwymyślała mnie wobec wszystkich, którzy się tam znajdowali, a niejedni z nich widzieli mię może po raz pierwszy w obecnem życiu:

— Znam twoją rodzinę, lubi się dobrze bawić, dobrze papać, dobrze się mieć. Bracia twoi znani są z tego, że gorliwie uczęszczają na różne zabawy i używają życia! Jabłko od jabłoni daleko nie padnie. Widzisz, u nas ukryć nic nie można; tu nie żaden teatr, nie będziesz odgrywała między nami roli, jaka ci się spodoba!

Początkowo, gdy duch przemawiał przez medjum, nie rozumiałam, do kogo się odnoszą owe słowa, a jednak było mi niemiło słuchać ich, bo z nich płynął jakiś chłód i dziwnie oszczercze tchnienie. Dopiero gdy medjum samo od siebie zabrało głos w tej sprawie, zrozumiałam, że te myśli odnosily się do mnie. Najprzód ogarnęło mnie zdumienie, sądziłam przez chwilę, że ta kobieta jest nadal jeszcze owładnięta przez złego ducha i wpadła tylko w inny stan, mówiąc już z otwartymi oczyma. Po chwili zorjentowałam się, że ona to mówi sama od siebie. Zaczął mnie zdejmować naprzemian wstyd, żal, a nawet oburzenie. Wobec tak strasznego oszczerstwa omal nie poszłam do lekarza po świadectwo mej cielesnej czystości. Męczyłam się tą myślą przez trzy dni, ale wciąż płynęła mi myśl uspokajająca:

— Zapomnij o tem, zapomnij i daruj im, bo nie wiedzą, co czynią; będąc pod wpływem nieszczęsnych duchów, wysilają się, by jak najbardziej zniechęcić cię do pracy duchowej i ubezwładnić na przyszłość.

Uczestnicy owego seansu przy spotkaniu z innymi spirytystami z bliższych i dalszych miejsc, gdzie odbywały się posiedzenia, opowiadali jedni drugim, co to im duchy mówiły przez medjum. Wielu, nie znając mnie nawet wcale, uwierzyło w te oskarżenia i wdzięczni byli dobrym duchom, że tak nad nimi czuwają, ostrzegając ich na czas przed nieodpowiednimi osobnikami. Naturalnie tem zamknięto mi drogę na dalsze posiedzenia. Byłam wówczas pewnie jeszcze słabą duchowo, bo czułam się bardzo obrażona. Wkrótce doszły mi już słuchy, iż oszczerstwa te opowiadają jako rzecz pewną i zaczęłam się obawiać, że gdy to dojdzie do uszu mych braci, to ci wystąpią na drodze prawnej w obronie mego honoru, bo nie uwierzą i nie zrozumieją, co mówi mój duch ochronny, że trzeba im darować. Ale były chwile, kiedy myślałam: „A może i lepiej będzie, gdy ich zaskarzy który z braci, przynajmniej mogłabym dać inne świadectwo prawdzie, niż je o mnie dały te złe duchy.“

Owa kobieta-medjum, która się dała użyć za narzędzie niskim duchom w oczernianiu mnie, stała się w kilka lat później tak butną i dumną, tak nieznośną dla swego otoczenia, że wszyscy unikali jej obecności, a mąż jej, człowiek pogodny i rozsądny, a daleko więcej znający głębię tajników ducha, niżeli jego zarozumiała żona, opuścił ją wkońcu. Wyjechał potajemnie do Ameryki, nie dając całej lata znaku życia.

A jednak temu medjum uwierzono, uwierzono podanym przez nie rewelacjom, oskarżającym mnie.

Cały zasób ponurych myśli o mnie, wytworzonych przez niskie duchy, a rozgłaszanych przez usta podatnych im ludzi na ziemi, związały niskie duchy w mały kłębek, w którym tworzyły z tych myśli różne obrazy i magiczne zaklęcia, przechowując to pomiędzy sobą jako wielki skarb, mnożąc je i potęgując. Przyszedeł cios zamążpójścia. Rozwijać ten kłębek czarnych myśli zaczęto dopiero po mojem rozejściu się z mężem. Zapragnęłam powrócić do tych, w których gronie nawiązałam jawny kontakt ze swoim opiekunem przez pismo medialne. Zapomniałam im już wyrządzone mi dawne krzywdy i często

modliłam się szczerze za nich. Było to już także po tych latach, w których miałam przeznaczone leczyć chorych, pocieszać strapionych. Dobry opiekun ostrzegał mnie przed powrotem do nich i nowymi cierpieniami, jakie mi mieli zadać — niestety nie rozumiałam tego dobrze.

Wydawało mi się, że oni wszyscy daleko mię już wyprzedzili w postępie duchowym i znajomości spraw duchowych, bo mają do dyspozycji różne księgi z dziedziny wiedzy duchowej, zarówno własne, jak i tłumaczone z różnych innych języków. A ja dotąd nie miałam żadnej biblioteczki u siebie i rzadko ujrzałam też podobną książkę. Tak jak w domu nie cierpiano takich książek, a nawet kilka pożyczonych matka mi spaliła, w dobrej zresztą myśli, bym nie zwarzowała — tak samo mąż mój pierwszy nie chciał nawet słuchać o świecie ducha, gdyż, jak mówił, wcale nie wierzy w Boga, ani w duchy. Lecz opiekun powiedział mi:

— Co chcesz wiedzieć? Za czym tęsknisz? Wszystkie księgi, wszystkie myśli, jakie są w nich uchwycone, możesz dojrzeć wzrokiem ducha i w krótkiej chwili pojąć całą treść książki.

I nagle ujrzałam swoją głowę, a na niej pół korony ciernistej, włożonej na czoło i skronie, kolcami do głowy. Potem ujrzałam trzy postacie, przypominające mi dokładnie żyjących na ziemi trzech braci spirytystów, niejako głównych przewodniczących licznych już kółek spirytystycznych. Ci trzej trzymali drugie pół korony, uplecionej również z cierni, których kolce, obdarte z kory, były niesamowicie wydłużone i niebezpiecznie ostre, jak stalowe igły. Nie rozumiałam jeszcze, co ten symbol oznacza. Oni, trzymając tę pół korony, zbliżyli się do mnie i nałożyli mi ją na głowę, jako uzupełnienie tamtej korony, wtłaczając ją mocno z tyłu głowy i na skronie. Ujrzałam, jak krew zaczęła szybko spływać, tworząc małe strumyki. Patrząc na ten obraz, odczułam dziwny ból; z duszy wyrwało mi się smutnie pytanie: „Dlaczego, dlaczego?“ Czułam wyraźnie w duchu, że nigdy o tych trzech osobach nie pomyślałam nic złego i nie wyczuwałam w sobie cienia niechęci do nich, przeciwnie bardzo ich lubiłam za ich pracę nad szerzeniem oświaty duchowej wśród bliźnich, oświaty zaczerpniętej po największej części z książek, które pilnie czytali, robiąc później odczyty na te tematy.

Z nikąd nie dostałam odpowiedzi na swoje pytanie. Wkrótce potem wyjechałam w ich strony, nosząc się z zamiarem pozostania już w ich pobliżu i pracowania razem z nimi. Opiekun w dalszym ciągu przychodził do mnie i mówił mi wiele dobrych rzeczy, nie dotykając już spraw mego powrotu pomiędzy tych, ku którym rwała się dusza moja. Wiedziałam od niego, że owszem mam jeszcze do spełnienia zadanie w tamtych stronach, więc nie broni mi tam wracać.

Lecz niestety wkrótce po moim przyjeździe złe duchy, które przedtem przyczaiły się trochę, zaczęły odwijać klębek strasznych myśli i wysnuwać z nich różne obrazy niby starej przeszłości, o której ja już zapomniałam. (Rościły sobie prawo do zadawania mi cierpień także i dlatego, że dobre duchy przedwcześnie zerwały moje pęta małżeńskie, które miały trwać siedem lat, a tymczasem uwolniona zo-

stałam już po upływie czterech lat pożycia z mężem.) W niewinnem pragnieniu uściśnięcia dłoni pilnym pracownikom we winnicy Pańskiej, śpieszyłam do nich zaraz po przyjeździe. Niestety domek główny, w którym mieszkali odczyty i posiedzenia, był bardzo oddalony od mieszkania mej matki, do której powróciłam z dwojgiem dzieci. Zaczął zapadać zmrok, kiedy mury domku zarysowały się przede mną. Przyspieszyłam kroku, biegnąc już, by nie przyjść może za późno; obawiałam się, że mogłabym nie zastać nikogo. Przejęta rzewnem pragnieniem zbliżenia się do nich w celu współpracy, nie myślałam ani na chwilę o tem, że w oddali biegną za mną złe duchy i nie przyszło mi nawet na myśl popatrzeć wzrokiem ducha, jak oni mnie przyjmą; daleka od jakichkolwiek złych przypuszczeń nie wiedziałam, że ich obstały już złe myśli. Trochę tylko dolatywało mnie niesamowite uczucie, że to nie wypada, bym ja, sama kobieta, na schyłku wieczoru przychodziła do domu, który leży tak daleko i powrotna droga mogłaby wypaść w nocy. Uspokajałam się myślą, że oni przecież, jako ludzie wyższego pokroju, nie będą tak zwracać uwagi na pozory, jak inni ludzie.

Tak zamysłona niemal trąciłam w biegu ich dwóch głównych przewodników, dwóch z owej trójki, którą widziałam, jak mi nakładali cierniową koronę, o czem jednak w owej chwili zapomniałam zupełnie. Zmieszałam się do reszty i dziwnie jakoś wypadły moje słowa powitania. Na pytanie ich, gdzie biegnę, powiedziałam:

— Miałam nadzieję, że was tam jeszcze zastanę. Czybyście nie mogli powrócić na chwilę? Porozmawialibyśmy trochę.

Czułam, że patrzę na nich z wielką serdecznością, lecz nagle coś mnie zmroziło. Oni jakoś bacznie mi się przyglądali, a jeden z nich odezwał się chłodno:

— Co? mamy wracać? Cóż mybyśmy tam mieli robić w nocy? Nasze prace są już na dziś skończone.

Więc wróciłam się razem z nimi, lecz wkrótce pożegnaliśmy się, gdyż oni mieszkali w innej stronie, niż ja. Pożegnali się chłodnem podaniem ręki. Szłam sama, dziwnie smutna, a co chwilę słyszałam wyraźnie śmiech duchów. Był ciepły, lecz mało jasny wieczór. Znużona długą drogą z domu matki do domku spirytystów, odbytą bezpośrednio po półdniowej podróży koleją, usiadłam na skropionej rosą trawie, chcąc rozejrzeć się wzrokiem ducha naokoło siebie. Zobaczyłam, jak złe duchy cieszą się, tańcząc i podskakując niedaleko mnie i wykrzykują:

— Wspaniale, bardzo dobrze nam się udało, więcej nam narazie nie trzeba!

Nie wiedziałam, jakie mają dalsze zamiary. Lecz wkrótce potem obiegła szersze warstwy braci i siostr spirytystów brzydka plotka, że chciałam skusić dwóch braci, by pozostali ze mną przez noc w owym domku, gdzie odbywają się główne posiedzenia, lecz że dostałam należytej odprawę.

To wszystko bardzo boleśnie na mnie podziałało. Wiedziałam, że przy sprycie niskich duchów znów trudno mi myśleć o obronie, zwłaszcza że nikt właściwie nie wiedział, jaka jest głębsza przyczyna

mojego rozejścia się z mężem, tak jak też nikt nie wiedział o moim stałym kontakcie z dobrym opiekunem. Kiedy życzliwi ludzie doradzali mi, żebym położyła kres tym oszczerstwom, oddając do sądu tych, co te plotki puszczały w świat, powiedział opiekun:

— Nie, te sprawy pójdą na sąd wyższy, bo oni nie działają tu w pełni świadomości, są tylko narzędziami niskich mocy. Przyjdzie czas, kiedy oni ockną się i zobaczą, czy to na ziemi, czy w zaświecie, co czynili, a to, co kto tworzy w złej woli, nie ominie go przy spłaceniu Karmy, która przyjdzie i bez wymierzania sprawiedliwości przez sąd ziemski.



Ni świat ni kościół nie mogły mi dać ukojenia.

Szukając zapomnienia krzywd, doznanych ze strony spirytystów, dałam się na krótko wciągnąć w wir zabaw, lecz wnet się do nich zraziłam. Kościół nie mógł mi dać upragnionego ukojenia. Błędne kazania w kościele. Wspomnienia z lekcji religii w dzieciństwie. Przykre wspomnienia pierwszych spowiedzi. Pragnąc mnie rozerwać, dobre duchy wyświebliły mi przepiękne obrazy. Niefortunny odpust. Drugi nieudany odpust. Moje nabożeństwo do Matki Bożej.

Lecz wróćmy do owych czasów, gdy po raz pierwszy padły na mnie oskarżenia w gronie spirytystów. Oczywiście przestałam ucęszczać na ich zebrania. Choć idąc za radą dobrego opiekuna starałam się im krzywdę darować, to jednak rana, zadana w tak wyrefinowany sposób, sprawiała dalej ból, a nawet jątrzyć się zaczęła przy dalszych nieżyczliwych myślach, jakie mi niskie moce wysyłały przez wierzących w te ich różne rewelacje. Gromadziły się chmury, zaczęłam mieć żal do świata duchów. Coraz bardziej traciłam zainteresowanie do tajemniczej wiedzy duchowej, a w związku z tem zaczął się przytępiać poniekąd wzrok i słuch duchowy. Z drugiej strony zaś namawiano mnie, a szczególnie krewni: „Chodź się zabawić, ucęszczaj na wieczorki!”

Podwoje do świata zabaw otworzyły mi się po raz pierwszy przy przyjęciu roli druchny na weselu — i już trudno było mi się wyrwać z tego błędnego koła zabaw.

Z początku patrzyłam na tańczące pary, jak na warjatów — żal mi ich było, że się tak męczą. Muzyka wydała mi się za głośna, raziła mój słuch tak, że przy każdym silniejszym akordzie wstrząsałam się nerwowo. Lecz i mnie wciągnięto jakoś w taniec, a zrobili to rodzeni bracia, na życzenie matki, która niepokoiła się moim dziwnym stanem duchowym, mojem częstem zamyśleniem się i mówiła:

— Dziewczyno, jesteś młoda, zdrowa, nie jesteś kaleką, a zawsze czegoś tak patrzysz przed siebie w zamyśleniu, jakbyś widziała przed sobą otwarty grób!

Zrazu — a liczyłam już wówczas lat 19 — czułam ogromny wstyd, graniczący niemal ze strachem, gdy miałam swemu danserowi położyć rękę na ramię; lecz wnet zaczęły mnie porywać tony muzyki, znikąca nieśmiałość, a taniec dawał dziwne zapomnienie doznanych krzywd.

Zostałam na blisko rok porwana w wir zabaw. Pokus czyhało tam na mnie bez liku, by ściągnąć mnie w świat rozkoszy zmysło-

wych — lecz to właśnie mnie do tych zabaw zraziło. Czułam wprost wstręt do wszelkiego flirtu i wszelkich płytkich rozmów na temat miłości — toteż wkrótce odsunęłam się od zabaw.

Trudno mi było szukać w kościele ulgi i zapomnienia doznanych krzywd; wszak jeszcze pamiętałam wstrząs, jaki przeżyłam w klasztorze, a ksiądz, który był jego sprawcą, odprawiał nabożeństwa w pobliskim kościele. Jeszcze i z innej przyczyny czułam się źle w kościele: wchodziłam tam zdrowa, a w kilka minut już ogarniała mię słabość w całym ciele i często wychodziłam ostatkiem sił, bliska zemdlenia. Gdy słuchałam tłumaczenia tekstu Pisma św., nieraz zdało mi się w czasie kazania, jakby mię ktoś brutalnie chwycił za serce; czułam bowiem wyraźnie, że sprawa miała się inaczej, niż to ksiądz przedstawia i lęk mnie ogarniał, że tyle ludzi w kościele przyjmuje za dobrą monetę te rzekome prawdy, głoszone z ambony. A jeśli tylko przymknęłam w skupieniu powieki podczas kazania, to już najwyraźniej ujrzałam te sceny tak, jak się odbyły w rzeczywistości. I nieraz w myślach stanęłam na kazalnicy i mówiłam ludziom, co widziałam. Czułam się bardzo źle w kościele, bo wiedziałam, że mi nie wolno zabrać głosu w obronie prawdy, a monotonne pieśni religijne pozbawiały mnie reszty sił.

Błada i spocona niepewnym krokiem wychodziłam z kościoła, z żalem i oburzeniem w duszy. A jednak nie wypadało mi pójść wprost do domu, by ojczym nie spojrzął na mnie niechętnym wzrokiem, dlaczego nie jestem w kościele. Udawałam się więc na cmentarz, tuż za murami kościoła, a tam, usiadłszy przy którejś mogile, przychodziłam powoli do sił i do równowagi duchowej, patrząc w błękit nieba, lub wsłuchując się w szum brzoź płaczących i tyle, tyle mówiłam do przestworzy, tak bardzo przepraszałam w duchu Boga, Chrystusa za niezrozumienie Jego miłości i Jego nauk na ziemi...

Często jeszcze podczas kazania postanawiałam, że zaraz po kazaniu pójde do księdza i zapytam go o to i owo z jego kazania, a powiem mu, jakie jest moje przekonanie w tej sprawie i jak ja niejedno inaczej rozumiem, niż on to przedstawia. Lecz odbierało mi ochotę do wszelkich dyskusyj pewne wspomnienie z lat dziecińczych. Mianowicie gdy miałam lat 9 i przechodziłyśmy na lekcji religii historję Adama i Ewy, uczono nas, że anioł Boży, wypędzając pierwszych rodziców z raju, powiedział im: „Idźcie precz z raju, jesteście przekłęci, nikt was nie przyjmie pod swój dach!“ Zwróciłam się wówczas do księdza z zapytaniem, skąd się wzięli ci inni ludzie na świecie, którzy nie mieli dać gościny wygnańcom z raju, kiedy Adam i Ewa byli pierwszymi ludźmi? Ksiądz poczerwieniał, nie odpowiadając w pierwszej chwili ani słowa, przeszedł parę razy po klasie z rękami założonemi w tył, a potem zagroził, że mię ukarze, jeśli się będę z czemś niepotrzebnie wyrywać.

Wogóle choć bardzo chętnie uczyłam się religii i miałam z niej zawsze bardzo dobre stopnie w szkole, to jednak niemiłe były dla mnie chwile wygłaszania zadanej lekcji; trzeba było mówić tak, jak się nauczyłam, a w duszy czułam niejednokrotnie, że to nie jest prawda.

Najprzykrzejsze wspomnienia zostawiły po sobie chwile spowiedzi. Pamiętam, że przy pierwszej spowiedzi powiedziałam dwa grzechy: jeden — że brałam imię Boskie nadaremnie, bo jak to dzieci, czy zrobiła się plama na zeszytcie, czy potknęłam się o kamień przy zabawie, westchnęłam: „mój Boże!“ Drugi grzech, to kradzież. Mianowicie ukradkiem brałam matce kostki cukru i zbierałam niemi śmietankę z mleka, a kiedy matka raz mnie przy tem zajęciu przyłapała, nazwała mnie złodziejką. To zasmuciło mnie, a kiedy ksiądz, robiąc z nami rachunek sumienia, kazał nam przypomnieć sobie, czy która czego nie ukradła, przyszedł mi na myśl ów cukier. Pamiętam, że dostałam burę przy konfesjonale i ksiądz nalegał na mnie, bym mu powiedziała resztę grzechów, a ja sobie żadnych innych nie mogłam przypomnieć.

Nadchodziła druga spowiedź. Zauważyłam, że dziewczęta piszą sobie swoje grzechy na papierze i uczą się ich napamięć. Poprosiłam jedną, drugą i trzecią, aby mi pokazały swoje grzechy w celu odpisania ich, bo niestety przybył mi do drugiej spowiedzi tylko trzeci grzech, znieświęcenie dnia świątecznego. Prałam mianowicie w niedzielę płatek płótna, na którym uczyłyśmy się szycia i nieco haftu — i znów usłyszałam głos matki: „Nie wiesz, że jest niedziela i że to grzech?“ A cukier i kożuszek z mleka znów mnie skusił. Imię Boskie coprawda już rzadziej nadaremnie wymawiałam, ale jeszcze mi się tu i ówdzie niebaczenie prześlizgnęło przez usta. Odpisując grzechy w czasie pauzy z pośpiechem, nie patrzyłam nawet, jakie grzechy odpisuję, postanawiając sobie nauczyć się ich później napamięć. Łamałam sobie tylko głowę bardzo nad grzechem cudzołóstwa, lecz i ten sobie zapisałam. Tłumaczyłyśmy sobie, że to widocznie znaczy, jeśli się zaśnie nie w swoim łóżku; musi to być grzech, kiedy w domu za to krzyczą. A u nas zdarzało się to dość często, że chłopcy znużeni bieganiami i zabawą zasypiali nie na swoim posłaniu i budząc ich potem mówiono im ze zdenerwowaniem: „Dlaczego nie położysz się na swoim miejscu, tylko idziesz do cudzego łóżka?“

Po przyjeździe ze szkoły schowałam „grzechy“ na szafie pod wazą, myśląc sobie, że jeszcze mam czas nauczyć się ich. Lecz czas szybko uciekł i trzeba już było iść do spowiedzi, a ja zapomniałam nauczyć się grzechów. Będąc już w szkole zauważyłam, że nie mam przy sobie kartki z grzechami. Za kwadrans miały dzieci ustawiać się w pary i wyruszyć do kościoła, odległego o pół godziny drogi. Do domu ze szkoły miałam blisko 3 kwadransy drogi. Pomyślałam sobie: „Wykradnę się bez zapowiedzenia, gdzie idę, pobiegnę po grzechy i dogonię naszą klasę, choćby już przy kościele, a po drodze jeszcze będę się uczyła grzechów.“ Biegłam jak strzała, w zadyszaniu oddychając ustami. Gdy wpadłam do pokoju i spojrzałam przelotnie do lustra, przelęknęłam się własnego widoku: cała twarz i szyja czerwona, jakby z niej krew miała trysnąć; bo też całą drogę ze szkoły do domu przebiegłam w kwadrans. Złapałam kurczowo „grzechy“ do ręki, nie dając matce dokładnej odpowiedzi, co się to stało i znów wypadłam z mieszkania.

Lecz już daleko nie dobiegłam. Upadłam formalnie na miedzy.

W głowie mi szumiało, serce czułam jakby mi podeszło do gardła i zaczęłam wymiotować; przy tem wszystkim jeszcze dręczył mnie niepokój, że swojej klasy nie dopędzę. I nie dopędziłam istotnie, gdyż nogi odmówiły mi posłuszeństwa i z trudem powróciłam do domu.

Wszystkie następne spowiedzi do jakiegoś 13 go roku życia były dla mnie bardzo niemiłe i już dla zadowolenia księdza zmyśliłam jeden i drugi grzech, lecz po spowiedzi byłam jeszcze bardziej niezadowolona, niż przed spowiedzią. Później niemiłe to uczucie jakoś się zatarło i spełniałam praktyki kościelne bardzo gorliwie, marząc nawet o wstąpieniu do klasztoru. Aż przyszedł wstrząs duchowy, o którym już wspomniałam, a który mię ostatecznie zraził do Kościoła.

Toteż gdy później zraniona zostałam przez spirytystów, nie mogło mi dać ukojenia uczęszczanie do kościoła. Nie dały mi go również zabawy; owszem pozostał po nich tylko niesmak na myśl, że mogłam tak dalece zapomnieć o głębi świata duchowego i rzucić się w wir ziemskiego życia. Zaczęły mię prześladować myśli:

— Teraz już się niczem nie usprawiedliwię przed nieprawdziwymi zarzutami, jakie na mnie spadły, bo ci, którzy uwierzyli przedtem owym potwornym rewelacjom, upewnią się w tem, widząc mnie nieraz w rozbawionem towarzystwie.

Było to pewnej niedzieli; smutnie zamyśliłam się nad wszystkim, co dotąd przeżyłam w obecnem życiu. Zaczęła mnie otaczać dziwna beznadziejność. Nagle, aby otrząść się z tych smutnych myśli, powiedziałam sobie:

— Pójdę do kina.

I już wstałam, by ubrać się do wyjścia. Lecz w pobliżu progu ręka mi zadrżała; wróciłam, a ręka ma skreśliła kilka słów na papierze:

— Nie chodź do kina, módl się ze mną.

Lecz nie mogłam wyraźnie myślą uchwycić modlitwy, więc opiekun moją ręką napisał mi ją na papierze, a przy niej wiele serdecznych, miłych słów dla mnie. Upadłam na kolana, płacząc rzewnie i wołając na głos:

— Panie, daruj mi, Panie, posil mnie, Chryste, Ty sam mnie prowadź!

Były to już moje myśli, które zbudziły się po przeczytaniu modlitwy. Odczułam, jak lekko podniesioną zostałam do góry i ujrzałam swojego dobrego opiekuna już daleko wyraźniej, niż przed rokiem, a to tak jak wówczas, gdy trzymał mnie podczas letargicznego snu, unosząc się ze mną w przestworza. Dobry opiekun tulił głowę moją ku sobie.

Wtem ujrzałam mnóstwo dobrych duchów, zbliżających się ze śpiewem. W pokoju zrobiło się już zupełnie szaro, był wieczór. Patrząc jeszcze przez łyż na nich, ujrzałam jasno-złocisty, ruchliwy punkt w rogu pokoju, jakby na drzwiach szafy, otoczony fioletowem kółkiem. Jasny punkt z fioletowym owalem zataczał coraz szersze kręgi i sam też rozszerzał się.

Ogromnie miłe było mi to światło; otoczona dobrimi duchami uczułam dopiero naprawdę, że to jest święto. Jakiś dziwny ciężar spadał z mego ducha. Nie czułam się już opuszczoną, zrozumiałam lepiej miłość Bożą — a moje cierpienia, a nawet myśli o moich potknięciach się z ostatniego roku dziwnie jakoś malały i gdzieś znikwały.

Tymczasem już cały róg pokoju był zalany jasno fioletowem światłem. Jak w kinie na ekranie dla zobrazowania deszczu, przelatywały przez prąd tego światła smugi, aż w króciuchnej chwili z tych smug utworzyła się precudna palma i zjawił się krajobraz Nazaretu. Drżałam, myśląc, że może ujrzę jeszcze coś więcej, może coś z życia Chrystusa. Lecz prześliczna palma wraz z krajobrazem zaczęła przesuwając się od prawej strony ku lewej, a ja patrząc na to otwartymi oczyma obracałam głowę za obrazem, który nikł mi gdzieś w suficie. Ledwo odwróciłam głowę do dawnego położenia, patrząc na miejsce, gdzie powstał ten obraz, ujrzałam tworzący się błyskawicznie inny krajobraz.

Trzydzieści sześć precudnych krajobrazów z ich piękną roślinnością przesunęło się w ten sposób po ścianie. Odprowadzając wzrokiem obraz za obrazem, mówiłam sobie przy każdym: „No, ładniejszego nad ten już chyba nie ujrzę“. A jednak każdy następny był jeszcze piękniejszy. Byłam tak ucieszona i pokrzepiona temi pięknymi obrazami, że chwilami dosyć głośno przejawiałam swój radosny zachwyty. Wszak nie brak było na obrazach przepięknych śpiewających ptaków i prześlicznych, wonnych kwiatów!

Gdy wyczułam, że obraz, na który patrzę, jest już tego wieczoru ostatni, nie mogąc jeszcze ochłonąć z radości zapomniałam, że mam za tę radość podziękować przedewszystkiem Bogu, bo przecież mi to ukazywały dobre duchy, pragnące żyć według Jego woli i zniżające się na świat w Jego imię. Zerwałam się z krzesła i zmieszana ukloniłam się tak po ludzku, mówiąc dobrym duchom:

— Dziękuję, bardzo dziękuję!

A one odezwały się:

— No cóż, ładniejsze były te obrazy, niż w kinie?

Przypomniałam sobie wówczas, że właśnie przed przybyciem dobrych duchów chciałam pójść do kina. Naturalnie, że w duchu musiałam przyznać, iż żadne kino na ziemi nie mogłoby wyświetlić na ekranie obrazów, tchnących takim życiem i tak wiernie odtwarzających rzeczywistość.

Dobre duszki zaczęły się oddalać ze śpiewem, a opiekun przytulił mnie ku sobie, mówiąc: „Pomódlmy się!“

Rodzina moja wiedziała, że ja rzadko kiedy uczęszczam do kościoła. Sąsiadka nasza, która mnie bardzo lubiła, zwróciła mi uwagę, że jednak byłoby dobrze, gdybym wzamian za te opuszczone nabożeństwa niedzielne poszła na odpust do odległej miejscowości; dobrze jest wierzyć, że Bóg jest wszędzie i modlić się do Niego można na każdym miejscu, a nie tylko w kościele — ale jeśli ją naprawdę lubię,

to już zrobię to dla niej i pójdę na ów odpust, pieszo w jedną stronę, w drugą zaś pociągiem. Procesje pątników miały się zgromadzić w kościele, położonym w górach, o 5 godzin drogi od naszego miejsca zamieszkania. Sąsiadka prosiła mnie, bym jej przywiozła stamtąd jaką pamiątkę.

Dałam się nakłonić i poszłam piechotą na ów odpust. Byłam tak zmęczona, że ledwo dowlokłam się do kościoła, zwłaszcza, że uległam namowie, by pościć całą drogę. Wszystko, co zabrałam z sobą do jedzenia, miałam jeszcze nietknięte. Trudno było zdobyć gdzie nocleg, wszędzie w miasteczku było przepełnienie. Postanowiłam zanocować w kościele, jak wielu innych. Byłam głodna i znużona, a jednak ze samego już zmęczenia nie mogłam jeść. Nie było też i miejsca w kościele, żeby sobie można jako tako usiąść w ławce. Powietrze było okropnie ciężkie, duszący zapach świec i różne wyziewy formalnie mnie dławily, tak, że płomienie świec wydawały się moim znużonym i strapionym oczom niby błędne ogniki na bagniskach. Nie byłam w stanie się modlić; przykro mi było patrzeć na obraz Ukrzyżowanego, na którym w blasku migocących świec i w kłębach ich dymu zmieniała się twarz Chrystusa, przybierając chwilami wyraz wprost niemiły. Nad ranem jednak — a było to w lecie — nie mogłam się obronić przed chwilową drzemką.

Miałam dziwny sen w kościele: Kościół przedstawił mi się, jak wielka stajnia, pełna jakichś dziwnych zwierząt. Przyglądając się usilnie kształtom tych zwierząt poznałam, że to właściwie elementale znajdujących się tam różnych ludzi. Wszędzie było tyle tych ślepi! Nagle ujrzałam ducha, stojącego przede mną z nogami rozkroczonymi; podparł się rękami pod boki i parskał mi śmiechem w twarz, zapytując:

— Jak się masz, jak się masz, jak się masz, pokorna owieczko?

Lecz w tejże chwili usłyszałam miły głos, tchnący ciepłem miłości:

— Wyjdź, wyjdź na powietrze, wyjdź prędko, nim cię osaczą, wyjdź odetchnąć w ciszy!

Chętnie podążyłam duchem za tą myślą, lecz głos ten, wołający do mnie, zwrócił mi uwagę:

— To nie wystarczy, i ciało twe musi także wyjść na powietrze.

A mnie tak trudno było zawładnąć ciałem! Kiedy wreszcie otworzyłam oczy, zobaczyłam, że pieniądze, jakie wzięłam na nocleg i powrotną drogę, oraz na zakupienie przyrzeczonych pamiątek, zostały mi skradzione, zarówno jak i paczka z żywnością. Zaniepokojona szukałam przez chwilę na ziemi koło nóg otaczających mnie ciasno uczestników odpustu, lecz wysiłki me były daremne. Nie wypadało też w kościele pomyśleć o jakimś skrupulatniejszym poszukiwaniu za skradzionymi rzeczami i zbadaniu sąsiadów, zresztą i tak nie uczyniłabym tego. Niechęć i żal, że mnie coś podobnego w kościele spotkało, skłoniły mnie do tem szybszego wyjścia ze świątyni.

Odetchnęłam za bramą kościoła. Zaczynało dzień. Cisza panowała dokoła, rozlegały się w niej tylko miarowe kroki posterunko-

wego. Postanowiłam nie uczestniczyć w dalszych obrządkach odpustu, tylko wracać zaraz do domu. Ze strachem jednak uświadomiłam sobie, że mam prawdopodobnie pięty odarte i pełne pęcherzy, a głowa bolała mnie tak, iż za każdym krokiem czułam, jakby mnie bito po niej młotkami. Zdecydowałam, iż pójdę boso. Kiedy zdjęłam trzewiki, posterunkowy zbliżył się do mnie i zapytał, skąd jestem i dokąd idę. Powiedziałam mu, że wyszłam z kościoła, bo boli mnie głowa i nogi i chcę zobaczyć, czy nie mam zdartego naskórka. Zaczekał, aż zdjęłam pończochy i poświęcił mi latarką na stopy. Istotnie, na obu piętach miałam pęcherze. Przychodziło mi na myśl powiedzieć mu, co mi się przytrafiło w kościele, ale przypuszczałam, że i tak niktby się nie przyznał do tego czynu, a całe dochodzenie opóźniłoby tylko mój powrót do domu, więc wołałam milczeć. Miałam bowiem za sąsiadów w kościele siedzących i leżących dokoła na ziemi górali w mocno cuchnącem ubraniu, od których czuć było wódką i których zachowanie nie świadczyło bynajmniej o jakiejś subtelności duchowej.

Ciężką miałam drogę powrotną. Nieprzyzwyczajona chodzić bosą nogą po twardej ziemi, zaczęłam wnet uczuwać za każdym stąpieniem dotkliwy ból. Zabłądziłam też w pierwszym lesie, jaki napotkałam w powrotnej drodze. Usiadłam wówczas na pniu i już niemal z płaczem zaczęłam wołać opiekuńczego ducha, by wyprowadził mnie z lasu.

Zaczęłam narzekać, dlaczego opiekun nie powiedział mi, żebym nie szła na ten odpust, wszak mógł mi to poprostu zakazać. Czułam bowiem dobrze sama, że właściwie nic nie skorzystałam z tej wczorajszej podróży pomiędzy pątnikami, bo nogi mnie już wówczas bolały i nie mogłam skupić myśli na modlitwie. Powolny śpiew wędrujących z różnych stron pątników dziwnie szarpał nie tylko moim słuchem, ale także szarpał moimi szybko biegnącymi myślami. Znałam niektóre pieśni na pamięć i szybko przesuwały mi się w myślach ich słowa i cała ich treść, a mieszanie się do tego głosów powolnego śpiewu wędrowców dziwnie mnie męczyło. Miałam pełne uszy i pełną głowę tego śpiewu, a i teraz, pomimo iż wiedziałam, że w lesie panuje cisza i tylko budzące się ptaszki odzywają się tu i ówdzie, to wydawało mi się, że głowa mi formalnie pęka od śpiewów, jakich się nasłuchiwałam wczoraj, idąc na odpust i potem przy kościele. Przez te dźwięki nie mogły się nawet myśli opiekuna wyraźnie do mnie przedostać. Wreszcie jednak ujrzałam go i usłyszałam.

Przypomniał mi, że poprzedniego dnia na moje zapytanie, czy mam iść na ten odpust, dał mi taką odpowiedź: „Masz wolną wolę. Jeżeli czujesz potrzebę pójścia tam i myślisz, że ci to przyniesie zadowolenie duchowe, to idź, lecz wiesz, że Bóg jest wszędzie i zna wszystkie tajniki dusz ludzkich, wszystkie ich myśli, a jeśli chcesz oczyszczać ducha swego na ziemi, to możesz z dobrej woli spełniać dobre uczynki.“ Zawahałam się wówczas, ale potem pomyślałam: „Jest lato, więc jeśli tylko będzie ładnie, to już dla samej przechadzki pójdę.“ Opiekun już się temu nie sprzeciwiał, a teraz tłumaczył mi:

— Nigdy nie powiem: „Tobie nie wolno robić tego i tego“, ale zważaj na to, jak ja mówię do ciebie. Wolna wola to najpiękniejszy dar Boży i nie będę nigdy gwałcił twej wolnej woli, jeśli czegoś nie zrozumiesz sama; gwałcą wolną wolę innych tylko niskie duchy, pragnąc odciągnąć ludzi, czy duchy, od Woli Bożej i zmuszając ich sugestywną siłą do różnych czynów. Duchy, miłujące Boga i wierne Mu, nigdy nie zmuszają nikogo do jakichkolwiek rzeczy, nigdy nie gwałcą niczyjej wolnej woli. Chodź, wyprowadzę cię z lasu. Otrzyj oczy, już nie płacz, bo patrz, jak tamten duch zdala śmieje się z twoich łez.

I istotnie ujrzałam brzydkiego ducha, tego samego, który zjawił mi się w kościele, zapytując: „Jak się masz, pokorna owieczko?“ A opiekun mówił dalej:

— Byłem blisko przy tobie w kościele, a nawet i przedtem, kiedy pytałaś w trzech miejscach o nocleg. Lecz tyś nie słyszała mnie, bo słowa moje przygłuszała fala dźwięku tych różnych pieśni, która utkwiała w twojej aurze, a potem jeszcze chaos myśli, w jakie wpadłaś wśród szukających noclegu. Chciałem cię prędzej wyprowadzić z kościoła, zanim zostałaś okradzioną, ale oczy twoje, wpatrzone w świecę, widziały koła świetliste po całym kościele i przez te koła nie mogłaś dostrzec mnie; a gdy sen znużył cię i zamknął ci powieki, to jeden z niskich duchów zaraz zabrał się do pracy, podczas kiedy ty byłaś wpatrzone w różne elementale i larwy.

Pomyślałam sobie:

— Co też to za duch i dlaczego rości sobie takie prawo do mnie? Opiekun wytłumaczył mi:

— To jest nowy przyjaciel niskiego świata, którego dopiero co uświadomili, że mogłabyś być dla nich niebezpieczną na ziemi przez swoje rozglądanie się pomiędzy nimi. Nie miałaś też bynajmniej żadnych nadzwyczajnych cieni karmicznych do wyrównania w tych dniach, abyś miała tyle wycierpieć.

Te ostatnie jego myśli dodały mi otuchy, bo błakając się przedtem zgłodniała i zmęczona po lesie, przypuszczałam, że splacam chyba jakiś stary dług z przeszłości i myślałam ze strachem, jakie to cierpienia czekają mnie jeszcze tego dnia. Już śmielszym krokiem wyszłam z lasu. Niedaleko ujrzałam wiejski domek. Postanowiłam pójść tam i poprosić o trochę mleka, aby się niem pokrzepić na czekającą mnie jeszcze długą drogę. Wstrzymywała mnie tylko myśl, że jest jeszcze bardzo wczesnie, a przytem nie wiedziałam, coby im dać wzamian za to mleko. Wtem usłyszałam głos opiekuna:

— Nie wstępuj do tego domku, bądź uważna całą drogę, aż do powrotu do domu, bo ten, którego widziałaś w kościele i w lesie, zamierza cię wytrwale śledzić i skorzystać z lada sposobności, żeby cię dziś jeszcze bardziej zmartwić. W tym domku mieszka robotnik kolejowy, a niedobry przewodnik szybko złączyłby się z jego myślami i gdybyś mu powiedziała, że nie znasz drogi, ofiarowałyby się odprowadzić cię i znówby było trzeba stoczyć niepotrzebnie walkę.

Przyśpieszyłam kroku i minęłam domek, nie oglądając się nawet na niego. Pomyślałam sobie: „Oj, niema to, jak być duchem, a to

jeszcze takim, jak mój opiekun — bo ten ciemny wlecze się po ziemi, jak ciemna chmura, jakby się nogami opierał o ziemię — ale duch ochronny płynie sobie leciuchno, a mnie tak nogi bolą i jestem w dodatku głodna!”

Miałam dłuższą równą drogę przed sobą. Szłam obok niej wąską miedzą po miękkiej trawie, śpiewając sobie cicho pieśni, których już dawniej nauczył mnie opiekun. Ochota do spania zupełnie mi odeszła, nawet i zmęczenie mijało, tylko nogi mnie coraz więcej bolały. W dali chyżo jechał pociąg. Przypomniałam sobie z żalem, że nie mam pieniędzy, a gdyby nie to, doszłabym do stacji i pojechałabym pociągiem do domu. Gdy pomyślałam, że czeka mnie jeszcze blisko 4 godziny drogi pieszo, a kto wie, czy i nie dłużej wobec zmęczenia, jakie paraliżowało moje kroki, a także wobec tego, że nie znałam dokładnie drogi, to omal się nie rozplakałam. Z trudem doszłam jednak jakoś do domu. Pamiętając o ostrzeżeniu opiekuna, że cień niedobrego ducha jeszcze się za mną powlecze, nie wstąpiłam do żadnej chaty, ni domku po drodze, by napić się bodaj wody.

Po tym niefortunnym odpuszcie jeszcze mniej ciągnęło mnie do kościoła, niż dotąd. Długo jeszcze potem nachodziły mnie sny, związane z owym odpustem. Najmniej z 10 razy powtarzał mi się jeden i ten sam sen; po przebudzeniu się wiedziałam jasno, kto ten sen stwarza.

Jeszcze raz potem byłam na odpuszcie w niezbyt oddalonej ładnej wiosce, ale szłam już sama, nie w procesji. Już w kościele dolatywały mnie groźne pomruki, zwiastuny burzy. Gdy wchodziłam do kościoła, zbierały się już chmury, ale miałam nadzieję, że wiatr, jaki się zrywał, rozpedzi je. Gdy wyszłam z kościoła, spadło troszkę deszczu w grubych, rzadkich kropkach — i znów pocieszałam się, że chmury odplyną i rozprószą się. Pomyślałam:

— Pójdę, wszak w ostatecznym razie mogę znaleźć gdzieś schronienie pod dachem.

Ledwo minęłam ostatnie domy wioski, zaczęły znów spadać grube krople deszczu. Zasłaniałam się początkowo przed niemi parasolką, która służyła raczej do ochrony przed promieniami słońca, niż przed deszczem. Nie upłynęło pięć minut, gdy zerwał się silny wiatr, a deszcz zaczął lać, jak z cebra. Wiatr wyrzucił mi parasolkę na zewnątrz i za krótką chwilę byłam zupełnie przemoczona, mając na sobie cienką letnią sukienkę. Niepodobna było biec wobec piorunów, przesywających ziemię z głośnym grzmotem, a najbliższe domy były o jaki kwadrans drogi przede mną. Wracać? — pomyślałam — i tak już jestem zupełnie mokra. Chłód wzmagął się, dreszcze przechodziły mnie całą nawskroś, a choć burza wkrótce ustała i słońce zaświeciło, to dreszcze nie ustawały. Po przyjsciu do domu miałam ubranie już napół przeschnięte na sobie. Przez kilka dni czułam się bardzo osłabiona. Dodam jeszcze, że prasolka i buciki zniszczyły mi się zupełnie.

Odtąd już więcej nie poszłam na żadne odpusty. Wieczorem bowiem tegoż dnia, kiedy leżałam niemal w gorączce, przesunęły mi

się różne obrazy z dawniejszej, a także i niezbyt odległej przeszłości, kiedy i w jakim celu były ustanawiane na ziemi te różne odpusty.

Pomimo, że przestawała chodzić do kościoła, lgnęłam ogromnie w serdecznej wierze do Boga Ojca, Jezusa i Marji. Nie znałam jeszcze wówczas, a ściślej mówiąc nie przypominałam sobie jeszcze w duchu tajników duszy Marji, ale kochałam Ją bardzo, jako Matkę Chrystusową. Przez całe lato niemal w każdą sobotę stroiłam w świeżą zieleń wielki posążek Marji w domu, chodząc i na oddalone miejsca ścinać zielone gałęzie dzikich róż, by potem wtykać je w wazoniki naokoło posążku, przymocowując zamiast dzikich róż do zielonych gałęzi sztuczne pełne róże. Jeśli zaś miałam jakie ładne kwiaty pod ręką, to i żywych kwiatów przy Niej nie brakło.

Dopiero kiedy ujrzałam w astralu dużo podobnych posążków i niezliczone mnóstwo obrazów Marji oraz duchy dawno zmarłych ludzi, przekonanych, że już są w niebie, a wciąż trwających na jednych i tych samych modlitwach i nie posuwających się w świadomości ducha ani o krok dalej, zasłoniłam posążek Marji i już więcej w myślach modliłam się do Niej, najchętniej w cichy wieczór, patrząc w gwiazdy i przedstawiając sobie w duchu jedynie Jej duchową siłę wielkiej miłości, sięgającej bez wszelkich ograniczeń wszędzie, w całe przestworza.



Moje pierwsze małżeństwo.

Smutne przeczucia zbliżającej się ciężkiej Karmy. Proroczy sen. Przymusowe zamążpójście. Opiekun pociesza mnie, że małżeństwo moje zostanie po pewnym czasie rozwiązane. Przed światem ukrywam istotny stan rzeczy. Zapatrywania mego męża na sprawy duchowe i na życie. Karma, jaka mnie z nim związała. Pokrzepienie w modlitwie. Aura w domu zaczyna się stawać nieznośną; szukam winy po swojej stronie. Daremna ofiara w celu nakłonienia męża do lepszego życia. Dlaczego nie zmuszałam go siłą sugestji do zmiany na lepsze. Brak miłości na ziemi wynagradzała mi tkliwa miłość i opieka dobrych duchów.

Zbliżał się czas, kiedy miałam wyrównać stary, bardzo stary dług, odkładany z życia do życia — czas mego zamążpójścia.

Minęło mi już 21 lat a ja nie znałam innej miłości, jak miłość czystą, bratnią. A kiedy zbliżała się karma — choć nikt mi nie odkrywał starej przeszłości, nikt mnie nie uprzedził, iż ona niebawem upomni się o swoje prawa — nachodzić mię począł dziwny smutek. Nieraz zapatrzyłam się w gwiazdy z ściśniętem czegoś sercem, cicho wychodziłam nocą z mieszkania do ogrodu, padałam twarzą na zroszoną trawę i rzewnie płakałam, myśląc:

— Ach, jakbym ja chciała odejść w czystości ciała z tego świata, jakbym się cieszyła, gdyby mi danem było odejść w zaświaty jeszcze jako panna!

A naokoło mnie była głucha cisza. W dali migotały gwiazdy — a moją boleść, moją tęsknotę koila jedynie modlitwa.

Dobry opiekun nie odstaniał mi, co na mnie czeka, co to muszę przeżyć; sama też nie widziałam tego. Duch ochronny powiedział mi tylko tyle:

— Niebawem skończysz pierwsze życie i wstąpisz w życie drugie — to przetrwasz w pierwszym swoim małżeństwie, potem zostaną ci do przebycia jeszcze dwa żywoty. Przed obecnem zrodzeniem podjąłś się bowiem w pełni świadomości ducha przeżyć aż cztery żywoty w jednym wcieleniu. Najcięższem będzie drugie życie, ale wierz, że my nie opuścimy ciebie. Nie będziemy mogli odsunąć od ciebie zła, które prawem karmy będzie sobie szukało ujścia jak na planie fizycznym, tak i na duchowym. Lecz będziemy cię bronić, by niskie moce przy spłacaniu karmy nie załamały twej siły duchowej, to jest twej dobrej woli i nie oziębły w twym duchu zapалу do pracy, jaka cię czeka w przyszłości. A że niskie Moce zaostrzać będą twoje cierpienia, to już rzecz poniekąd nieunikniona, bo wiedzą one lepiej,

niż ty sama zdołasz to sobie uświadomić, jakie są twoje dalsze cele w tem życiu i jakie cię czekają zadania. Wśród tych zaostżeń, czynionych przez nich, będziemy cię chronić i posilać.

W noc, poprzedzającą dzień, w którym wpadłam w ręce swego męża, miałam następujący sen:

Siedziałam na urwistej skale, nie przeczuwając, że jestem nad przepaścią. Na kolanach miałam dużo złocieni, z których kończyłam wieniec i układałam go sobie na głowę. Wtem usłyszałam kroki. Nadchodził jakiś mężczyzna, wywijając sobie czarną laską i pogwiżdżając jakąś uliczną piosenkę o miłości. Szybko zdjęłam wianek z głowy, ukrywając go pomiędzy kwieciami na kolanach i postanowiłam nawet się nie obejrzeć, gdy ów mężczyzna będzie koło mnie przechodził, a potem znów wianuszek włożyć na głowę. Lecz kroki zatrzymały się tuż przy mnie. Nie obejrzałam się, a mężczyzna ów zaczął nucić na głos piosenkę, w której wyśpiewywał mi, że będę jego żoną. Czułam, jak cierpnę i marszczę brwi; zaczęłam się trochę rozglądać, gdzie i jak uciec brutalnemu śmiałkowi, który już czarną laską zaczął grzebać pomiędzy kwiatami, a nabrawszy na jej rękojeść wianek spleciony, kręcił nim na lasce, śpiewając dalej pieśń o miłości. Wianuszek rozluźnił się; obiema rękami chciałam go chwycić, lecz on ze śmiechem rzucił go za siebie i stanął tak blisko przy mnie, że nie miałam nigdzie drogi do ucieczki, a przede mną była przepaść dość szeroka, tak że niemożliwem było ludzkim wysiłkiem przeskoczyć na drugą stronę. I już uczułam, jak jego ręce dotknęły mego ciała. Zerwałam się z okrutnym jakimś strachem i z nadludzkim wysiłkiem skoczyłam na drugą stronę przepaści. Lecz nie dostałam się na drugi jej brzeg, dosięgłam go tylko rękami i chwyciłam się go kurczowo, tracąc wszelkie oparcie pod nogami. Gdy szamotałam się, usiłując się wydostać na brzeg, zjawił się przede mną dziwny anioł ze skrzypcami w rękach. Miał szerokie, długie skrzydła, na nich t. zw. oka pawich piór, a całe jego ciało było tatuowane w różne prążki, kółka i znaki. Zaczął mocno grać na skrzypkach, wyśmiewając się ze mnie w tonach tej muzyki. Im bardziej zmagalam się, by wydostać się na brzeg, tem bardziej wrzaskliwie i skrzeczaco grał, śmiejąc się przytem. Powoli cofał się wtył, grając coraz ciszej. Na miejscu jego zjawił się ów osobnik, który mi przedtem wyśpiewywał, że będę jego żoną. Tańczył szybko w prawo, w lewo, jakby nie miał zdrowych zmysłów, wywijał przytem kapeluszem nad głowę, wciąż gając głęboko dym papierosa, a wypuszczając go już nie w obłoczkach, ale w obfitych kłębach przez nos i usta. Koło niego nie widziałam nikogo, tylko słyszałam jakieś dziwne głosy, jakieś wrzaski: „Hu-ha, wesele!” I już ujrzałam, jak prowadzi mnie pod rękę, wciąż jeszcze przy mnie dziwnie podskakując, jak pajac. Stanął ze mną przed drzwiami, nad któremi widniała tablica, obita zielonemi gałęziami sosnowemi, a na niej było wyryte: „Szczęść Boże młodej parze.“ Literę dla uwidocznienia ich na desce były natarte sadzami, a obwód liter znaczony z obu stron czerwoną kreską.

Nazajutrz po tym śnie wyjechałam do żonatego brata, który lubił zabawy i wesołe towarzystwo. Rodzina moja bowiem, niezadowolona,

że uciekam od zabaw i tak się jakoś często zamyślam, postanowiła, że trzeba mnie wyciągnąć trochę w świat, ufając, że to wpłynie dodatnio na zmianę mego usposobienia. Był jeszcze i inny powód wysłania mnie z domu — matka chciała, bym zeszła z oczu ojczymowi, który mnie nienawidził. I fatum, jakie mnie w tamte strony pędziło, sprawiło, iż tam zostałam zgwałcona przez człowieka, który mi to wiele wieków temu poprzysiął, a którego to właśnie widziałam we śnie w przeddzień wyjazdu.

Rodzina moja chciała go skarżyć, ale gdy poprosił o moją rękę, nakłoniła mnie, a raczej wprost niemal zmusiła, bym za niego wyszła. Potulne dziewczę, przywykłe do uległości, nie umiałam się oprzeć woli rady rodzinnej, choć włosy rwałam na głowie z rozpacz.

Jeszcze w dniu ślubu drżałam ze strachu i mdlałam z przerażenia. Jakże iść z tym człowiekiem przez życie, kiedy taki dziwny strach miałam przed nim i ani śladu nie znajdowałam w sobie tego wzniosłego, świętego uczucia, którem Bóg łączy dwoje ludzi na wspólną wędrówkę życia. Stara przeszłość była zasunięta, nie wiedziałam, kto on jest — a też i nie pytałam o to wcale przestworzy, będąc tak bardzo przygnębioną. Jeszcze w ostatniej chwili zdawało mi się, że coś mi od tego małżeństwa wyratuje. Wówczas błysnął w jego ręce rewolwer z groźbą: „Jeżeli ze mną do ołtarza nie pójdzie, to ją zastrzelę, a potem siebie!“ (To, oraz fakt, że mnie zgwałcił, posłużyło później jako podstawa do unieważnienia tego małżeństwa przez najwyższe władze sądowe).

Bezwolną i niemal z nóg opadającą ubrano mnie do ślubu i wsadzono do powozu, który szybko powiózł nas do kościoła. Nie mogłam z początku powtórzyć ani słowa za księdzem. Energiczne ściśnięcie dłoni mej przez pana młodego tak, że niemal krzyknęłam z bólu, przywiodło mnie do opamiętania — i wyrzekłam te słowa: „Zgadzam się na wszystko.“

Po ślubie czułam już mniejszy ciężar w duchu, niż przed ślubem. Jednak nie potrafiłam roześmiać się bodaj trochę wśród gości, bawiących się w ogrodzie na mojem weselu. Muzyka wydawała mi się marszem żałobnym. Uciekłam do pokoju. Tam brat przyrodni zaczął mi śpiewać. Złożyłam ręce, prosząc go: „Nie śpiewaj mi, nie śpiewaj, zostaw mnie samą...“ Obrząził się, że mu każe wyjść i już jakaś dziwna fala myśli przeleciała dość głośno pomiędzy zebranymi gośćmi weselnymi. Niektórzy patrzyli na mnie wprost z niechęcią. Bo czegoż ja jeszcze mogę chcieć? Przecież on ma kamienicę i kocha mnie tak bardzo, że żyć beze mnie nie chce. — — —

I niemal rok cały drżałam zawsze jakimś wewnętrznym lękiem, kiedy on nachylał się nad moją twarz, chcąc mnie pocałować. Nie doznałam bynajmniej jakiegoś uczucia większego zbliżenia się ku niemu. Często, często płakałam w jego nieobecności. A kiedy oczy miałam od łez zaczerwienione i on zapytywał, dlaczego płakałam, wymawiałam się bolem głowy, myjąc szybko twarz chłodną wodą. Nie chciałam zdradzać prawdy, by nie pogarszać sytuacji, bo mogłby zapalać nienawiścią do mnie. Mój dobry Opiekun pocieszał mię, że

przez całe życie z nim nie pójdę, że się to skończy, tylko mam być dla niego dobrą, nie łącząc się z jego fluidami. Dobre duchy już pomogą mi, by po rozejściu się z nim nie zostało najmniejszego uczucia, wspomnienia, ni wrażenia po tem, co przeżyłam z nim jako żona i by obraz jego nie prześladował mnie nawet we śnie. Op. nie odsłaniał mi jednak przeszłości, a ja, przypuszczając, że ma może jakieś ważne przyczyny i bojąc się, bym nie ujrzała jakich obrazów karmicznych przykrych, nad moje siły, nie pytałam go też wcale o to.

Mąż całymi dniami bawił poza domem, przychodząc do domu tylko na krótko, a wieczorem rzadko kiedy można go było zastać. Bawił się do nocy i tylko dwa razy doznałam jakiegoś łagodniejszego uczucia w jego bliskości, jakby to nie on wyciągał ręce do objęcia. Było to w chwilach, kiedy zbliżały się na zrodzenie duchy naszych późniejszych dwojga dzieci. On dziwnie mało się temi dziećmi interesował, a ja też nie domagałam się od niego opieki nad niemi.

Przez jakiś czas po mojem zamążpojęciu nie widziałam jasno świata duchowego, po odłączeniu się jednak od ciała szybko zapomniałam w krainie duchów, że na ziemi jestem mężatką, jak wogóle zapomniałam o wszystkich przykrościach przeżytych za dnia. Byłam tam wolna i radowałam się z życia. To też nie śpieszyło mi się z powrotem do tego ciała i nieraz zdarzyło się, że ów pierwszy mąż mój nastraszył się, widząc, że moje ciało jest zupełnie nieruchome, bezwładne, a kochał mnie zapewne na swój sposób. Pewnego razu, gdy przyłączyłam się do ciała po całonocnej wędrówce w zaświatach, był już biały dzień. On trzymał mnie na rękach, mając łokcie oparte na stole. Otworzywszy oczy, nie mogłam się zorjentować, gdzie jestem i dlaczego on płacze, a on obawiał się, że już więcej nie dam znaku życia. Matka moja zresztą uprzedziła go jeszcze przed ślubem o tem, że wpadam w omdlenie, gdy mam jakiś żal w duszy, lub jakieś zmartwienie; nazywała to „miękką naturą“ i powiedziała mu, że nie należy się tem wcale niepokoić, po pewnym czasie zbudzę się bowiem zawsze sama.

Gdy ja chciałam mu wytłumaczyć choć w przybliżeniu, co się ze mną dzieje w czasie takiego zemdlenia, napróżno wysilałam się, mówiąc mu o świecie ducha w słowach przystępnych dla niego. Na wszystko odpowiadał mi: „Nie pleć, jesteś niemądre dziecko, ale wolę, że kochasz się w jakimś tam duchu, niżelibyś mi się miała zakochać w jakim innym człowieku.

Przechodziłam początkowo bardzo ciężkie chwile, kiedy do niego przyszli koledzy, przyczem naturalnie wódeczka na stole była niedozowna, a papierosy wypalano za papierosami. Nastawił gramofon, śpiewali różne pieśni, opowiadali rozmaite anekdoty na temat miłości, a kiedy oni się najwięcej śmiali ze swoich dowcipów, to mnie zakręciły się łzy w oczach. Wychodziłam ukradkiem, biegłam kawał za dom, zaczęłam oddychać głęboko, wyciągając ręce ku gwiazdom i przez chwilę nawet nie byłam zdolna myśleć. Nie potrafiłam się też pomodlić, westchnęłam tylko: „Boże!“, a dalsze myśli utonęły we łzach. Kilka minut, spędzonych na łonie przyrody, znów mnie posiliło.

Staralam się usilnie o to, by nikt z otaczających mnie nie poznał, że ja właściwie nie kocham tego męża. Bałam się, że potem mógłby któryś z tych ludzi spojrzeć na mnie śmielszym okiem i oplątywać mnie swojemi myślami. Toteż przelękałam się bardzo pewnego dnia, kiedy jeden z poważniejszych gości powiedział mi w czasie nieobecności męża:

— Pani swego męża nie kocha.

Zdobyłam się na siłę i odrzekłam:

— Myli się pan, ja go bardzo kocham.

Lecz on dalej twierdził, że jest więcej, niż pewny, że ja jestem bardzo nieszczęśliwa; widział mnie już kilkakrotnie, jak stałam w pobliskim lasku z załamaniem nad głową rękami i płakałam, a on już zaraz po naszym ślubie był bardzo ciekawy, jakie też to będzie nasze małżeństwo, bo słyszał, że wyszłam zamaż z przymusu i dlatego mnie śledził. Zaczął mnie żałować, lecz ja znów starałam się go przekonać, że bardzo kocham męża, a jeżeli kiedykolwiek płakałam, to tylko z tęsknoty za domem.

Zmieszał się na chwilkę, a potem rzekł trochę nerwowo:

— Ten człowiek jest niegodzien miłości pani!

Lecz ja poprosiłam, żeby przyszedł, gdy mąż będzie w domu i jeśli mu się coś u mego męża nie podoba, to niech mówi o tem tylko w jego obecności.

Poszedł, a ja tego dnia długo płakałam; tak mnie coś kusiło zwierzyć się komuś na ziemi, uzalić się przed kimś. Wszak w trzy miesiące po ślubie zgłosiła się do mnie pewna dziewczyna, mówiąc mi, że on obiecał jej małżeństwo; nie wiedziała nawet, że jest żoną i wzięła mnie za jego siostrę, a ja podtrzymałam ją w tem złudzeniu, by jej nie robić przykrości. Cieszyłam się, że ten wypadek może przyspieszy rozwiązanie naszego małżeństwa. Prosiłam więc męża, by zlitował się nad tą dziewczyną i zajął się nią, a nawet by żył z nią, bo ona jest biedną, a mnie jego pomocy wcale nie potrzeba, dam sobie radę w życiu, choćbym do śmierci miała pozostać sama. Zdrętwiałam ze zgrozy, gdy zaczął wymyślać na tę dziewczynę, grożąc, że ją zastrzeli. Było mi jej ogromnie żal i starałam się bez wiedzy męża, jak mogłam, łagodzić jej ból i powetować jej krzywdę.

A ileż jeszcze było takich ofiar, które się nie zgłosiły, tylko tu i ówdzie doszły mi słuchy o nich od innych! Były to sprawy nie tylko z jego czasów kawalerskich — po ślubie pozostał taki sam, jak dawniej. Dla mnie było tak poniekąd i dobrze, bo często miałam całkiem wolne trzy dni i więcej, kiedy, zabrawszy pensję, poszedł się bawić, wyjeżdżając nieraz daleko. Nigdy nie robiłam mu na tem tle zarzutów z jakimkolwiek cieniem zazdrości, starałam się tylko łagodną perswazją nakłonić go, by nie czynił źle.

Przez jego usta nigdy za cały czas pożycia ze mną, a pewnie i przedtem, nie popłynęły szczerze słowa modlitwy. Jak twierdził, nie wierzył w Boga, tem mniej w duchy i obcowanie z niemi. Najgrubsze przekleństwa sypały się często przez jego usta, jeżeli mu coś poszło nie po myśli w jego pracy zawodowej lub jeżeli podczas zabawy obraził ktoś jego dumę, posuniętą do skrajnego zarozumiałstwa.

Często po przyjściu do domu, nim ułożył się na spoczynek, przeklinał jeszcze.

Wyczuwałam dokładnie, że te przekleństwa jakoś dziwnie mnie omijały. Kiedy go zapytałam pewnego razu: „Dlaczego ty tyle przeklinasz i tak często?” — odrzekł mi: „Nie zważaj na to; ja kłamię i będę kłął, ale nie na ciebie! Jeżeli ty miałabyś z tego powodu cierpieć, to też będę kłął, ale na siebie.”

Powiedziałam mu, że myśli mają swoją siłę i próbowałam w przystępny, jak mi się zdawało, dla niego sposób uświadomić go trochę, by nie stwarzał sam dla siebie tyle złego. Rzekł mi na to:

— Jesteś niemądre dziecko. Mówiłem ci już tyle razy, że w Boga nie wierzę — a chociażbyś mi go tu sprowadziła z nieba, to jeszcze i wtedy powiedziałbym mu, że weń nie wierzę.

— Zwracałam mu uwagę:

— Oszczędzaj swego zdrowia, człowiecze! Przypuśćmy, że cię nie obchodzi i nie wzrusza wiara innych w Boga — ale nadmierne używanie życia może się dla ciebie samego smutnie skończyć. Wyczerpiesz wszystkie siły przedwcześnie i na starsze lata będziesz jeszcze bardziej niezadowolony z życia, niż obecnie.

Lecz on i na to miał swój argument:

— Co tam, póki człowiek młody, a czuje jakie życie w sobie, to powinien używać tego życia. Używać, używać, póki się da! Dobra wódka, wino, kobiety, a dużo pieniędzy do tego — o, toby się przydało!“

I kiwał przytem z zadowolenia głową, a czarne, jak noc, oczy ze zrośniętymi brwiami patrzyły przed siebie z dziwnie sadystycznym wyrazem.

Podczas tego małżeństwa poznałam także naprawdę wielkie miłosierdzie Boga i pomoc dobrych duchów. Brutalna lubieżność męża jakoś mnie omijała; skierowywał się z nią pewnie ku równym sobie, a ja nie czyniłam mu naturalnie z tego powodu zarzutów. Dobry Opiekun mój tak jakoś potrafił w łagodnych, dobrotliwych słowach wpłynąć na mnie, że nawet spojrzeć ponuro nie mogłam na tego człowieka. A kiedy wśród ciężkiej walki duchowej tak się jednak niekiedy stało, natychmiast zwracał mi uwagę mój duch ochronny, że o ile nie mam dość siły, by patrzeć na niego życzliwie, spokojnie i z dobrą myślą, to raczej niech spojrzę w inną stronę, bylem zachowała spokój, choćby on przechodził w obojętność.

Wszelako byłam wobec tego wszystkiego jakoś dość silną. Wydawało mi się, że patrzę na człowieka całkiem obcego, z którym nic a nic mnie nie wiązało, tylko jedynie moja karma. Nawet dwoje dzieci, powstałych z tego małżeństwa, nie widziałam, żeby miały jakąś bliższą z nim łączność. On także nie troszczył się wiele o nie, bo już dobry los tak ułożył, że wystarczało mi na moje skromne życie bez jakiegokolwiek niemal pomocy z jego strony.

Co mię związało z tym człowiekiem? Karma, stara karma, długo odkładana. O, jak przykro spłacać stare długi już w takich warunkach życia, gdzie tak trudno żyć dłuższy czas w tak ciężkiej aurze, jaką miał on. Lecz cóż robić? spłacić było trzeba.

W jednym z dawnych żywotów był on naczelnikiem, czy hersztem dosyć wielkiej gromady ludzi, o których nie umiem nic bliższego powiedzieć, wiem tylko, że gdy patrzyłam na owe obrazy z zamierzchłej przeszłości, nasunęło mi się podobieństwo tych ludzi z cyganami. Był to jakiś szczep, zdaje się rozbójniczy, dosyć bogaty w złoto i dostatki.

I stało się, że połowę tego szczepu wraz z naczelnikiem schwytano. Przy moim boku był wówczas na ziemi człowiek, mający w tym kraju wielkie znaczenie. Był to mój — że tak powiem — wieczny mąż, z którym przeżyłam wiele żywotów na ziemi. Uważano go za bardzo sprawiedliwego, ale ja widziałam, iż niejeden jego czyn był zbyt surowym; starałam się tę surowość łagodzić i istotnie dzięki memu wpływowi niejeden podsądny uniknął kary, a przynajmniej uzyskał zmniejszenie jej wymiaru. Tym razem połowa wspomnianej bandy miała być wywieszana za różne przestępstwa, napady, rabunki, a ich naczelnik miał być uwięziony na czas nieograniczony i we więzieniu męczony. Naczelnik ten nie był mi nieznany, już przedtem spotkaliśmy się raz oko w oko. Chciał mię zgwałcić i już ryczał z uciechy — a jednak dziwnym zrządzeniem opatrności nic mi się nie stało; uwaga jego została skierowana na co innego i ja z tej opresji wyszłam cała. W czasie sądu nad członkami owej bandy, którzy na drugi dzień mieli być powywieszani, zjawił się on — nie wiem, za czyją inicjatywą i w jakim celu: czy prosić o łaskę dla siebie, czy tych nieszczęsnych, czy wiodło go co innego? Tego nie ujrzałam, gdy tak przesuwaly się przed memi oczyma obrazy przeszłości. Dość, że znów spotkał się ze mną; może wiedział, że wpływem swoim mogłabym zmienić sytuację? Błagał mię wzrokiem i pięknymi słowy: „Bogini, aniele, ratuj nas!“

Miałam szczerą chęć spełnić jego prośbę, lecz coś przeszkodziło temu. I na drugi dzień zostali jego podwładni powieszani w pobliskim małym gaiku. Wyrok opiewał: Wywieszać ich, a potem spalić gaj wraz z nimi. Wisieć mieli 24 godziny. Lecz jeszcze gaj nie został podpalony, gdy znów czyjaś ręka zwolniła naczelnika i już tak dobrze wskazała mu drogę, że chwycił mię tuż przy domu, w którym mieszkałam. Wyszłam właśnie pomodlić się wieczorem, lecz tak byłam przejęta zapadłym wyrokiem, że strwożona patrzyłam tylko bezradnie w gwiazdy, nie mogąc się nawet modlić. Pstrą chustą zatkano mi usta. Zemdlalam; otworzyłam oczy, gdy zrywano ze mnie ubranie. Leżałam na łące, niedaleko rzeki, pół godziny drogi od domu. Herszt bandytów, choć ledwo uciekł z więzienia, potrafit zdobyć nóż: długi, błyszczący sztylet połyskiwał mu w dłoni.

Otworzyłam oczy — on śmiał się dość głośno, patrząc roziskrzonym wzrokiem na mnie; wygrażał mi, że zrobi ze mną co zechce, potem wypruje kiszki i porozwiesza je wszystkie po kawałku na tych drzewach, gdzie jego ludzie zostali powieszani (zapewne nie wiedział, że oni mają być spaleni).

Byłam napół naga. On nachylił się nademną, odkładając na chwilę sztylet; położył go tuż przy moim boku. Nie wiem, skąd przyszła myśl ratunku — czy powstała we mnie samej, czy podsunął mi

ją kto inny. Nie wiem też do dziś, co miałam wówczas czynić, czy miałam się dać zabić, czy nie? — dość, że postanowiłam wyrwać mu się za wszelką cenę. Suknia, zgarnięta w nieładzie po moich bokach, posłużyła mi do ukrycia broni. Podniósłszy jedną rękę, objęłam go za szyję i powiedziałam, co było w połowie prawdą, a w połowie kłamstwem: że bardzo mi żal tych biednych, ale nie moja w tem wina; mimo najlepszych chęci nie mogłam użyć swego wpływu. Śmierci się jednak nie lękam, a gwałtu też nie musi używać, poddaję się dobrowolnie.

To ostatnie było kłamstwem. I jeszcze usta jego nie dotknęły mej twarzy, kiedy zręcznie drugą ręką zdołałam podsunąć sztylet pod fałdy sukni i niby chcąc się poprawić w niewygodnej pozycji na ziemi, nagle ugodziłam go z całej siły sztyletem w serce. Krew jego mnie obryzgała.

Straszliwe charczenie konającego ogromnie na mnie podziało. Obraz sztyletu, wbitego w jego ciało, tak mnie przeraził, że klęcząc nad drgającym w agonji ciałem zaczęłam wołać z rozpaczą, iż stokroć lepiej, żeby raczej on mnie był zgwałcił, niżli ja miałam go pozbawiać życia.

W owem życiu nie doznałam już uspokojenia. Nie prześladował mnie herszt bandy, nie widziałam powieszonych, ale śmiertelny charkot słyszałam często we śnie. Zło popełnione wyrównać było trzeba i odkładałam to z życia do życia. Pamiętam, że już wówczas przy pierwszym spotkaniu poprzysiągł, że będę jego, że choćbym się pod ziemię ukryła, on mnie znajdzie. Wiem, że nie zdradziłam przed nikim tej jego klątwy, bojąc się, by z tego, co się już stało, nie wyrosło coś jeszcze gorszego.

A jednak klątwa ta w połączeniu z karmą, którą sobie niebacznie stworzyłam, wciągnięta niejako w to zło przez niego — ta klątwa wisiała nade mną przez tyle, tyle żywotów — by wreszcie dopaść mnie w życiu obecnem i by jak grom z jasnego nieba zamącić me ciche życie duchowe.

Gdy przeżyłam z nim 3 lata, wydawało mi się, że żyję z nim już lat 30. Długa, długa była ta dziwna niewola ducha, niewola w kajdanach karmy. A kiedy po trzech latach małżeństwa wyjechałam z dziećmi na czas krótki do swej matki, choć stało się to za jego zgodą i grzecznie pożegnał się z nami, zastałam po powrocie mieszkanie w nieprawdopodobnym stanie. Sąsiedzi opowiadali mi, co się tam działo za mojej nieobecności. Gramofon warczał co nocy — zabawa, pijatyka w „dobranem“ gronie, do którego należała i służąca. Zawsze bowiem niemal przyplątała się taka służąca, co żyła z nim w dobrej komitywie i której fotografie oglądał już przed przyjęciem do służby. Jeśli było kiedy inaczej, nie zagrzała u mnie długo miejsca taka osoba i ja zostawałam sama ze wszystkimi troskami domowymi.

Gdy on bawił się w kasynie, a często i w najpodrzedniejszej restauracji, ja po ukończeniu swych zajęć domowych, spojrzawszy na cicho śpiące dzieci, zamykałam mieszkanie o 10-tej lub 11-tej w nocy i biegłam w pola, gdzie niedaleko domu roztaczał się długi, ale nędzny las na nierównym podłożu ziemi. Co parę kroków doły, wyrwy; piasek zaścielał korzenie drzew, maleńko było zieleni. Upa-

dałam na kolana w wyrwach, opierając łokcie na poszarpanych, wyschłych korzeniach i modliłam się. W modlitwie duch mój pokrzepiał się; wydawało mi się wówczas, że niema złego w świecie. Dobrze jest, dobrze z woli Twej, o Panie!

Pewnego razu zdjęła mnie ogromna jakaś tęsknota za Chrystusem; zaczęłam błagać, bym mogła Go ujrzeć, a choćby tylko Jego stopę! Pragnęłam złożyć na niej pocałunek w miłości i wielkiem oddaniu duchowem. Naokoło mnie były dość skąpo ogałęzione wysokie sosny, tak, że przez nie mogłam dobrze widzieć pewną przestrzeń, zasianą gwiazdami. Patrzyłam otwartymi oczyma cielesnymi. I nagle błysnęło światło, jakby tysiąc małych latarek elektrycznych zaczęło prześwieślać nawet konary drzew. O, już rozlało się naokoło mnie po ziemi. Patrzyłam bez tchu, myśląc, że w tej jasności ujrzę stopę Chrystusa. Lecz nie ujrzałam — tylko jasność, jasność niemal oslepiająca wzrok cielesny rozlewała się naokoło mnie. Wydawało mi się, że i ja nie mam ciała na sobie, bo ono jakoś prześwietlone znikało z przed wzroku cielesnego. Całe to zjawisko trwało króciuchną chwilę i wnet jasność zniknęła.

„Nie ujrzałam stopy dobrego Jezusa“ pomyślałam, „jestem jeszcze grzeszną, bardzo grzeszną“.

I znów gorąco modliłam się do Boga o siły, bym mogła oczyścić się z grzechów na ziemi. Wracałam bardzo pokrzepiona na duchu.

Pewnego razu czułam się dziwnie osłabiona. Niskich duchów coraz to więcej otaczać zaczęło człowieka, który zwał się mym mężem, a wszyscy jacyś dawni, starzy jego znajomi. Wyjeżdżał już z domu na dwa lub trzy dni. Nie wiedziałam, co odpowiadać, gdy w jego nieobecności przychodziły zapytania, dlaczego nie zjawia się do pracy i to bez uprzedniego zawiadomienia. I zaczęto mi zwracać uwagę, że za dużo pozwalam swemu mężowi. On po takich hulankach wracał bez grosza, zmęczony, niewyspany, w dodatku zły, że go wzywają do pracy. — Wszystko to wpłynęło na mnie tak, że powiedziałam jawnie to, co dotychczas tałam w duszy — mianowicie, że się rozejdziemy.

Rozgniewał się i zaczął mi robić wyrzuty, czyż mi tak źle z nim? Wszakże pozwala mi na różne bzdurstwa, wierzenie w duchy, w Boga i częste zapisywanie jakichś tam rozmów z duchami. Oświadczył kategorycznie, że na rozwód nigdy nie pozwoli.

Był wieczór dżdżysty, ciemny, błotnisty. Było mi czegoś już bardzo ciasno w tej atmosferze w domu. Szybko otuliłam się w płaszcz i rozżalona, niespokojna chodziłam tam i napowrót w bliskości domu po błotnistej miedzy. Nogi grzęzły mi w błocie; czułam, że mam przemoczone trzewiki. Nic nie potrafiłam już wydobyć z duszy, jak tylko bolesną skargę: „Boże, Boże, Boże!“

Powróciłam za niecałą godzinę, a mąż mój już chrapał głośno. O, jak dziwnem wydało mi się to jego chrapanie — takie czegoś straszne, przeraźliwe, napełniające ponurem echem każdy kąt mieszkania. Usnął zupełnie ubrany, w zabłoconych trzewikach. Usiadłam, prosząc swego ducha opiekuńczego, by mię zasilił i wytłumaczył mi, dlaczego jest już tak źle, że i spokojna aura, która mnie w mieszka-

niu otaczała, znika. A dobry Opiekun jakoś dziwnie tajemniczo powiedział mi: „Tyś winna!”

Ogarnęła mnie straszliwa rozpacz. Co ja takiego musiałam uczynić, że jestem skazana żyć z tym człowiekiem! Nie mogłam też dojść do ładu z myślami, co mogłam zawinić wobec niego i w tem życiu? Przecież pomimo swej łączności z duchami starałam się spełniać sumiennie obowiązki żony. Przestrzegałam tego, by jadło było zawsze na czas gotowe, smaczne i zdrowo przyrządzone, by mieszkanie było czyste i t. d. i nigdy nie robiłam mu zarzutów z powodu jego częstej nieobecności w domu.

Uklęłam cicho przy jego łożu, zaczęłam zdejmować mu trzewiki i ubranie, myśląc:

— Pewnie w tem popełniam błąd, że gdy przyjdzie pijany i sam się rozebrać nie może, ja poprzestaję tylko na tem, że parę razy powiem mu spokojnie: „Rozbierz się, idź spać, wypocznij”, podając mu kolację już po trzy i cztery razy odgrzewaną, którą zresztą rzadko kiedy spożywał. Widocznie — mówiłam sobie — mam go rozebrać, gdy jest pijany i zebrać wszystkie siły fizyczne, by zaprowadzić go do łóżka.

Uklęłam tedy przy łóżku i zaczęłam się modlić, prosząc w myślach, by mi wszystko darował, co kiedykolwiek uczyniłam mu złego. Całowałam mu cichuteńko nogi, myśląc: „Moja myśl we śniego doleci” — bo gdyby całowanie zbudziło go, mógłby to zrozumieć inaczej. A nie mając jeszcze wytłumaczonej przeszłości, myślałam: „A może mam także iść po niego do restauracji, gdy niema go późnym wieczorem?”

Nie pytałam opiekuńczego ducha, czy się nie mylę, gdyż nie chciałam go trudzić takimi grubemi sprawami. Zawsze już odruchowo, bez specjalnego przymuszania się odzywałam się do tego człowieka, z którym mię los połączył, tonem uprzejmym, wołając go zdrobniałem imieniem. Wtenczas zaś szeptem powiedziałam mu wiele, wiele łagodnych słów i czułych imion. Ciężki odór wódki, tytoniu, cygar rozchodził się od niego po całym mieszkaniu. Dawniej odczuwałam to bardzo przykro, gdy musiałam być blisko niego. Już ciężką karą było dla mnie spać przez chwilę w jego aurze, gdzie odór wódki i tytoniu palił mnie, dławił, męczył, przyprawiając o zawrót głowy. Lecz tego wieczoru myślałam: „I tego wstrętu muszę się pozbyć. Jestem przecież w roli żony. Wszak inne żony także cierpią na ziemi, jeżeli mężowie ich piją, a one nie mają w tem żadnego upodobania.”

Mąż zaczął się budzić, pomrukiwać i już zaczęły przez usta jego przedzierać się przekleństwa. Odruchowo ustami swemi zamknęłam mu usta, myśląc:

— Och, żebyś miała siłę zamknąć te usta dla przekleństw na zawsze!

Zbudził się całkowicie. Zdumiony usiadł na łożu i chwilę patrzył na mnie. I znów zesunęłam się na małe krzeselko obok łóżka; nie mogąc mówić mu wszystkiego tak, jak czułam, próbowałam przemówić do niego jakoś przystępnie, by zawrócił jeszcze ze złej drogi.

— Nie masz dobrej żony — mówiłam mu, — widzę to dobrze! Wszak przysłowie mówi: „Gdzie mąż, tam ma być i żona, a gdzie żona, tam i mąż“. Lecz tobie trudno wierzyć w to, w co ja wierzę — więc nie będę ci wspominała o stanach mej duszy, o tem, co mnie boli, nie będę przypominała ci i nagabywała, byś bodaj wymówił spokojnie: „Boże!“ Ale wszędzie, gdzie ty pójdziesz, pójdę i ja z tobą, gdy w wolnej chwili, po odbyciu pracy swej obowiązkowej zechcesz się pobawić.

Zaczął się zastanawiać i mówi:

— Gdziebyś ty chciała iść za mną?

— No do kasyna, bo dalej trudno mi odejść od dzieci. Gdy będzie godzina 9 ta, 10 ta, to pójdę po ciebie, posiedzimy razem kwadrans, a choćby godzinę i razem wrócimy do domu.

On znów siedział chwilę cicho. Potem powiedział:

— A gdybym tak wprost z pracy przyszedł do domu?

a ja dodałam:

— A potem razem poszlibyśmy na przechadzkę...

— Dobrze — rzekł — jutro już przyjdę do domu.

O, jak się tem ucieszyłam! Wierzyłam, chciałam wierzyć, że dotrzyma słowa, że pewnie znalazłam dobry sposób do zawrócenia go ze złej drogi.

Następnego dnia, gdy tylko wyszedł do pracy, zaczęłam gorączkowo przygotowywać mieszkanie, jak na jakie miłe przyjęcie. Choć żał mi było zrywać kwiaty, to jednak zerwałam rosnące w pobliżu kwiaty polne, stawiając je na stole.

Na obiad mąż się nie stawiał, posyłając mi tylko przez kolegę wiadomość, że na obiad nie przyjdzie, gdyż wcale nie ma apetytu. Zmartwiło mnie to i już wątpliwości zaczęły się wkradać, czy on chociaż wieczór wróci? Lecz wiedząc, że każda myśl ma swoją siłę, nie chciałam osłabiać swej wiary w to, że on przyjdzie, myśląc sobie: „Przyjdzie, przyjdzie, napewno przyjdzie“. Ubrałam dzieci odświętnie i gdy ujrzałam, że już wracają z pracy inni, wychodzący o tej samej porze co on, stanęły dzieci w pogotowiu z bukietami w rączkach i jeszcze raz powtarzały krótkie wierszyki dla ojca, w których witały jego powrót do lepszego życia i wyrażały radość z jego obecności w domu.

Lecz wszyscy już przeszli; minął kwadrans — jego nie było. Powiedziałam im, żeby się grzecznie bawiły, a ja sama pójdę na przeciw tatusia; tylko niech nie zapomną wierszyków, gdy z nim wrócę. I poszłam. Nie wiem, czy za dnia zwierzył się komu, że ja z nim chcę także iść, czy po niego przychodzić. Bo jakichś dwóch jego kolegów, których spotkałam, powiedziało mi:

— Pani pewnie naprzeciw męża? Poszedł do kasyna“.

Było mi smutno, lecz nie powiedziałam ani słowa, udałam, że idę na przechadzkę. Lecz nie chodziłam zwykle na przechadzkę w tamtą stronę. Poszłam jeszcze kilka kroków i wróciłam, tłumacząc dzieciom, że tatuś głodny poszedł na kolację.

Zapadł wieczór. Ułożywszy dzieci do snu, przystanęłam jeszcze trochę, spoglądając na bukiet na stole i jakoś nie mogłam zebrać myśli.

Minęła 9-ta; na horyzoncie ukazały się gwiazdy. Wysłałam cicho z mieszkania, dzieci już spały. Dziewczyna do posług poszła już była do swych rodziców, gdyż na noc chodziła do domu. Zamknęłam drzwi i rzuciłam okiem raz jeszcze przez okno na dzieci — spały zdrowo, spokojnie. Spojrzałam w stronę, gdzie najczęściej chodziłam pokrzepiać się duchem; tak chętnie poszłabym tam! Lecz przyrzeczenie pociągnęło mnie w stronę kasyna. Wyczułam jednak, że go tam niema, że pewnie będzie w pobliskiej restauracji urzędniczej, też kasynem zwanej, posiadającej osobną salę dla gości robotników. Poszłam tam. Blaszane rolety były spuszczone, ale z wnętrza dochodził śmiech i głosy rozmawiających. Kluczem od mieszkania, trzymanym w ręce, pociągnęłam po roletcie. Gwar przy oknie trochę przycichł, lecz nikt się nie odezwał z wewnątrz, a za chwilę gwar się ponowił. Bawili się przy zamkniętych drzwiach.

Spojrzałam w gwiazdy i pomyślałam:

— Powrócę do domu, do spokojnej ciszy. Dzieci śpią, będę pisać — bodaj list do matki, którą od czasu do czasu pocieszałam, że mi się dobrze powodzi, nie zwierając się jej ze swojemi udrami. Wiedziałam, że powiedziałyby mi: „Wszystkiemu winna ta twoja wiara w duchy!“

Lecz znów błysła myśl inna:

— Powiedziałam, że pójdę, więc dotrzymam słowa, choć on nie dotrzymał i nie przyszedł. Ale dłużej nie będę, jak kwadrans.

I znów posunęłam silnie kluczem raz i drugi po roletcie — tym razem już na drzwiach.

Odezwał się głos właścicielki: „Kto tam?“

Nie mogłam jakoś zaraz wydobyć przez usta tego nazwiska, które włożyła na mnie karma przez zamążpójście. Ale przemogłam się i wymieniłam energicznie nazwisko mężowskie.

Chwila namysłu za drzwiami, potem odpowiedź: „Tu niema pani męża“.

— Jest — odpowiedziałam doniosłym głosem. — Wiem na pewno, że jest, proszę otworzyć! Proszę mnie też przyjąć jako gościa.

Drzwi otworzyły się. Weszłam. Zaduch był okropny. Brudna podłoga, nierówno stojące stoły i krzesła, niczem nie przykryte, oblane wódką i piwem. Oddział dla robotników. Miałam wrażenie, że mężowi ktoś z robotników płaci piwo i wódkę. Przed nim na stole leżał kawałek kiełbasy, porządnie obielonej z wierzchu pleśnią, bułka, niedopite piwo i opróżniony kieliszek. Błyskawicznie pomyślałam o czysto przyrządzonej dla niego kolacji w domu.

— Pocięłaś tu przysła? — powiedział do mnie przyciszonym głosem — wszak już chciałem iść do domu.

— To dobrze, pójdziemy razem.

Lecz już trochę śmielsi zbliżyli się ku nam, a witając mnie podaniem ręki, udawali zadowolenie z mego przybycia.

A mąż zapytywał: „Co będziesz piła?“

Wzdrygnęłam się — co ja tam miałam pić? Ale pomyślałam: „Kwadrans wytrzymam“. Spojrzałam na zegar, postanawiając punk-

tualnie za 15 minut opuścić ten lokal, bez względu na to, czy on ze mną pójdzie, czy nie.

Mąż zbliżył się do bufetu, gdzie niebawem zjawiała się kelnerka i kazał dla mnie podać wino. Równocześnie doleciały mnie słowa kelnerki, zwrócone do męża ze śmiałym spojrzeniem: „Ty czarny wilku!”

Podawała mi wino, zachwalając, że dobre, wspaniałe. Lecz już też ktoś kazał podać wódeczkę; trzymając ją przedemną na tacy, zapraszano do wypicia. I tak się stało, nie wiem dlaczego, że wzięłam kieliszek i wypięłam. Strasznie paliło mię w gardle, lecz udałam, że nic mi nie jest.

Mąż z podziwem spojrzał na mnie, pytając z powątpiewaniem: „Smakowało ci?”

— Owszem, dlaczego nie? Jak tobie smakuje, to i mnie może smakować.

To było zachętą, że znów podano mi wódkę. Mąż stanął w mojej obronie: „Żona wódki nie pije, może wino jej nie zaszkodzi”. I podał mi wino.

Wypięłam 3 kieliszki wódki i pół szklanki wina. Zaczął mnie ogarniać dziwny chaos w myślach i rozżalenie na siebie samą, że niczem nie mogę męża zawrócić z drogi; widocznie jestem za słabą duchem, więc pocóż wszelkie wysiłki? A może on sam zrezygnuje, widząc, że ja razem z nim piję i proponuję powrót do domu?

Oczy moje zwracały się na zegar. Brakowało jeszcze 3 minuty do kwadransa. Zapytałam:

— Miałaś zamiar iść do domu — więc pójdiesz? Bo mnie czegoś głowa rozboleła.

I tak też było rzeczywiście.

— Pójdę — powiedział z pewną ukrytą niechęcią, patrząc przytem dziwnym wzrokiem w stronę bufetu na kelnerkę, jakby się chciał z nią porozumieć.

Wyszliśmy. Gwiazdy świeciły, jak przedtem, błyszczały dalej na sklepieniu niebios, a nawet więcej ich było widać, niż przed kwadranssem. Doznałam bardzo dziwnego, wzruszającego uczucia, jakby mię coś pomiędzy te gwiazdy porwać chciało. Zajęczałam niemal w duchu, porównywując atmosferę pod gołym niebem — i w karczmie, pełnej dwuznaczników, wódki i pustej zabawy, przesyconej tu i ówdzie przekleństwem, wylatującym z ust bądź to z przyzwyczajenia, bądź w silnej, zawziętej złości. Przypomniałam sobie dzieci, zostawione bez opieki — lecz wiedziałam, że pewnie w mej nieobecności czuwa nad nimi kto inny. Pomyślałam, jakieby to straszne było nieszczęście dla tych dzieci i dla mnie, gdybym tak razem z mężem przesiadywała co dzień w restauracji i zasilala się wódką.

Ból głowy stawał się coraz ostrzejszy, w żołądku paliło. Nie uszłam wiele od wspomnianej restauracji, gdy jęły mnie gwałtowne wymioty. Wszystko, wszystko, co wypięłam, zostało z organizmu wyrzucone. Wyczułam też, jak jeden z opiekuńczych duchów mnie magnetyzuje, by oczyścić mój magnetyzm, zanieczyszczony przez

zetknięcie się z tem otoczeniem i przez picie wódki. I znów spojrzalam w gwiazdy, szepcząc cichuteńko: „Nie opuszczajcie mnie, dobre duchy!”

A on, biorąc mię pod rękę, mówił:

— Nie było ci tego trzeba, będziesz jutro napewno chora.

Zbliżyliśmy się do domu. Lampa świeciła jasno, jak przedtem, a dzieci dalej spały. Znów wzruszenie mię ogarnęło i przepraszałam w myślach te dzieci, iż przez chwilę występowałam w roli pijaczki.

Kiedy przyszedliśmy do domu, było widać, że mąż jakoś nie może sobie znaleźć miejsca, tak mu trudno było rozebrać się. Wyczuwałam dokładnie, iż chętnie powróciłby nazad do brudnej restauracji. Zaczęłam go nakłaniać, żeby rozebrał się spokojnie i poszedł spać — że jeżeli on pójdzie pić, to ja także. Ale mówiłam to tylko na postrach, czułam, że nigdybym już tam za nim nie poszła. Zwracałam mu uwagę, że pomizerniał, wychudł za te trzy dni przebywania już całkowicie poza domem; wszakże sam mówił, że przepił wszystkie pieniądze, więc pocóż tam pójdzie?

— Na dług pić — mówiłam — lub aby ci płacił kto z robotników, to, zważ, — może jest i wstyd już dla twojej rodziny. Masz porządných, rozumnych, inteligentnych braci, którzy boleją nad twojem postępowaniem, jak mi już o tem mówili.

Leż niczem nie można go było przekonać. Za upomnienie posypały się i w ich stronę przekleństwa z jego ust. Było mi przykro, że poruszyłam tę sprawę i że przeklina ich za to, że mu życzyli jak najlepiej. Pomimo, iż nie wierzyli w obcowanie z duchami i ja także nie starałam się ich przekonywać, wiedząc, że rozmowa o tem nudziłaby ich, nie wyczuwałam od nich niezyczliwych myśli. Jego rodzona siostra, choć bardzo przywiązana do dogmatów kościoła katolickiego, jednak nie miała mi bynajmniej za złe mojej wiary w duchy i lubiła mię. Widząc jego rozpustne życie, wołała doń rozpaczliwie:

— Człowiecze, nie bądź zwierzęciem! Żyj po chrześcijańsku, jak twoja żona, a będzie to ulgą dla nas wszystkich!

Lecz jakoś nikt i nic na niego wpłynąć nie mogło. Od młodych lat czynił zmartwienia swej rodzinie, a w małżeństwie i mnie.

Kilkakrotnie spotkałam się z zapytaniem, dlaczego nie starałam się siłą sugestji, czy hypnozy wpłynąć na tego człowieka, by zmusić go do zmiany na lepsze w jego trybie życia i całym sposobie myślenia. Nigdy tego nie czyniłam i nie będę czyniła w stosunku do kogokolwiek. Byłoby to pogwałceniem wolnej woli i nie przyniosłoby prawdziwej korzyści danej osobie. Choćbym kogoś hypnotyczną siłą zmusiła, by stał się niby zupełnie innym, lepszym człowiekiem, to czyny jego, pozornie dobre, nie miałyby prawdziwej wartości dla jego rozwoju duchowego, a cnoty w ten sposób narzucone nie byłyby zdołbyczą stałą. Odruch ku Bogu, ku lepszemu życiu musi wyjść koniecznie z wolnej woli, a jeśli tego niema, to daremne wszelkie zmuszanie i czynienie jak goś manekina.

Naogół jeszcze dosyć szczęśliwie przetrwałam te lata karmiczne w swoim pierwszym małżeństwie. O, bo nigdy nie przychodziło do

mnie tyle dobrych duchów, jak w owych czasach; śpiewały mi, dodając mi otuchy i siły. A kiedy później wstąpiłam w drugi związek małżeński, wypływający już z obopólnej dobrej woli i wzajemnej miłości, po jakimś czasie zapytałam swego opiekuna ze zdumieniem, dlaczego teraz nie przychodzi do mnie tyle dobrych duchów. Uśmiechnął się trochę tajemniczo i odrzekł:

— Wszak teraz masz dobrego przyjaciela na ziemi i nie trzeba już przychodzić cię pocieszać, ocierać łzy z twej strapionej twarzy.

Zadumałam się wówczas, pytając sama siebie, czy może nie było lepiej dla mego ducha wówczas, gdy byłam opuszczona na ziemi, ale za to otoczona tak tkliwą opieką czystych duchów, które mię wprost pieściły i tuliły, jak małe dziecko, gdy mi było źle na świecie. Lecz duch ochronny powiedział mi:

— Nie martw się, że oni teraz nie przychodzą do ciebie; miłość jest niezniszczalna, pamiętają dobrze o tobie. Tobie teraz trzeba dobrej opieki na ziemi, bo bez niej trudnoby ci było spełnić to, co masz przeznaczone spełnić jeszcze w tem życiu.



Wojna światowa.

Wybuch wojny światowej. Chorągwie zwycięstwa, a jęki rannych i konających. Moje wędrówki po polach bitew w odłączeniu od ciała. Potworne sceny w świecie astralnym, wampiry. Bohaterzy walki — nędzarze duchowi. Moje widzenia śmierci przy rozmowie z osobami, idącymi na front. Jak uratowałam dwukrotnie życie żołnierzowi w odłączeniu od ciała. W jaki sposób nauczono mnie rozpoznawać i leczyć choroby: Opiekun mój przyprowadza mi ducha-lekarza. Codzienne lekcje z lekarzem w ciągu trzech miesięcy; poznanie organizmu ludzkiego, jego chorób, oraz sposobów ich leczenia. Łącząc się magnetycznie z chorymi, przejmowałam na siebie poniekąd ich cierpienia, a nawet ich aurę i ich sposób myślenia. Udzielanie mi się cierpień konania. Symboliczne widzenie na temat czasu trwania wojny. Zjawiska, towarzyszące menstruacji. Atak niskich duchów i zsymbolizowany przez nie obraz wojny i jej sprawców. Pomoc dobrych duchów. Opiekun objaśnia mi, dlaczego w okresie menstruacji nie powinnam się łączyć z chorymi, ni wdawać się w walkę z niskimi duchami. Duch-lekarz „ceruje” mi nadszarpniętą powłokę magnetyczną.

Praca moja na szerszą skalę zaczęła się już za czasów mego pierwszego małżeństwa, po upływie trzech lat pożycia z tym człowiekiem, gdy wybuchła wojna światowa. Miałam już wówczas dwoje dzieci.

Mieszkaliśmy pod zaborem austriackim. Bolałam bardzo na myśl o przelewie krwi i tych wszystkich strasznych cierpieniach, które ludzkość sobie nawzajem niepotrzebnie zadaje.

Pewnego dnia zauważyłam, że wszystkie domy przyozdobiono chorągwiami.

— To nasi zwyciężyli — mówili w wielkim rozradowaniu ludzie, opowiadając sobie wzajemnie o wielkich sukcesach austriackiej armji i o pogromieniu wroga. A mnie przytłaczał ogromny smutek. Wszędzie widziałam groźne, okropne myśli, elementale, zwisające jako złowrogie chmury nad głowami ludzkiemi. Cierpiałam wiele.

Wieczorem, kiedy już dzieci zasnęły, podeszłam do okna i spojrziałam w gwiazdy, chcąc jak zwykle pomodlić się. Nie mogłam. Jesienny wiatr uderzał raz po raz wywieszoną na dachu chorągwią „zwycięstwa” o szybę, przerywając mi myśli. Wybiegłam z domu w pola, gdzie często modliłam się, lecz i tam nie mogłam się skupić. Coraz większy ciężar przytłaczał mnie. Padłam na kolana i ze złożonymi rękami zawołałam: „Boże! tu powiewają chorągwie zwycięstwa, a ja widzę i słyszę tych jęczących na polu bitwy...”

I rzeczywiście, we dnie i w nocy słyszałam te jęki i rozdzierające krzyki rannych i walczących jeszcze... i miałam wrażenie, jakobym

była wśród samego zamętu walki. Często nawet wśród pracy zupełnie wyraźnie dolatywały mnie wrzaski „hurra“..., to znów jakieś inne krzyki, w obcych językach. Widocznie walczący dodawali sobie niemi odwagi. A kiedy boleśnie tem strwożona przystanąłam, dołączał się do tego jeszcze i zapach ciepłej krwi.

Nie myśleć, nie myśleć, nic nie słyszę, nic nie widzę i nic nie wyczuwam — wmawiałam sobie, lecz sugestia ta nic nie pomagała. Szybko wracałam do domu i wypijski szklankę zimnej wody i natarłszy sobie wodą dobrze skronie, starałam się zająć jakąś pracą, lecz to niewiele pomagało w zacieraniu tych obrazów i w zagłuszaniu tych jęków i krzyków.

Dość często w ciągu wojny zabląkałam się w odłączeniu od ciała na pole bitwy, gdzie już w najdrobniejszych szczegółach słyszałam i widziałam wszystko, co się w danym miejscu działo. Nie chcę już przypominać sobie, a tem samem do pewnego stopnia i ponownie przeżywać tych strasznych scen, bo już dla zwykłego oka przykry to obraz — mordowanie się ludzi na ziemi, lecz jeszcze potworniejsze sceny dzieją się podczas tego w świecie astralnym z jego elementalami i różnemi wampirami, czatującemi z podobnemi do nich duchami na swoje ofiary. Jak kruk krąży koło trupa i nawet nie czeka, aż duch zupełnie się odłączy od ciała, lecz już oczy mu wykłuwa, tak te o różnorodnych postaciach wampiry, hjeny, rzucają się na nieszczęsne ofiary wojny. Wszak znane są różne wypadki zwyrodnień, że niektórzy ludzie największą rozkosz odczuwają, gdy mordują potajemnie jakiegoś człowieka i, dopuszczając się różnych orgij na jego ciele, piją jego ciepłą krew, a często i zjadają jego ciało. Duchy takich zwyrodniałych ludzi po odejściu od swych własnych ciał jeszcze z większą żądzą garną się w takie miejsca, gdzie przelewa się krew, by nasycić się dowolnie jej oparami. W braku ofiar w ludziach gromadzą się koło rzeźni i wyczekują na prowadzone na rzeź bydłota. I nierzadko się zdarza, że zwierzę takie ujrzy te krwiożercze wampiry, a wtedy skupia wszystkie siły, by tylko wyrwać się z rąk oprawcy; gdy mu się to uda, pędzi naoslep przed siebie. A ludzie dziwią się, dlaczego to tak spokojne całą drogę zwierzę nagle się zrywa i nie chce iść. To owe wampiry, wyczekujące na ucztę, napawają je takim strachem.

I pomyśleć teraz, jak na polu bitwy, tem miejscu największych biesiad i uczt wyżej wspomnianych istot, odłączają się od ciała ci, którym kula nieprzyjacielska uniemożliwiła dalsze bytowanie tu na ziemi w łączności ze swem ciałem; pamiętać należy, że po tak zw. śmierci, a nawet dosyć często już i w trakcie powolnego umierania, które przewleka się i na całe godziny, budzi się świadomość astralna.

A więc ciało leży już martwe, duch już nie cierpi — mówi się ogólnie. A tymczasem często jeszcze większa udręka czeka takiego ducha, skoro tylko po ostygnięciu ciała fizycznego wszystek jego magnetyzm, a więc i z krwi, skupi się w jego astralnym ciele.

I im kto „mężniej“ walczył i bił „nieprzyjaciół“, nie dbając wcale na ich błagalne wołanie: „Mam żonę, mam dzieci, nie zabijaj!“ — tem mniej mają przystępu do niego w razie jego śmierci na polu

walki dobre istoty duchowe, by go móc stamtąd odprowadzić. I ten „zwycięzca“, cieszący się na odznaczenie lub szybki awans — długo jeszcze i po sprzątnięciu jego ciała pokutuje na tem polu bitwy, przeżywając śmierć wszystkich tych, których pozbawił życia, lub którzy padli z jego rozkazu. Jeżeli ziemia, na której krew przelewano, zostanie zoraną i już zacznie plon wydawać, to ducha takiego to nowe życie przyrody niejako odpędza od siebie, i ten zawisa w świecie astralnym, a tam dalej cierpi. Tu na ziemi zwycięzcy takiemu stawiają pomnik sławy, wypisując na nim wszystkie jego „chwalebne czyny“. On tymczasem przeklina w cierpieniach swe haniebne czyny.

Dość często też widziałam i wojowników innego rodzaju, którzy z narażeniem własnego życia zasłaniali innych lub starali się zmylić drogi... byle tylko było mniej przelania krwi. Takim rycerzom dodawały zwykle otuchy i odwagi w ich poczynaniach dobre istoty duchowe i prowadziły ich drogą najmniejszego przelewu krwi do zwycięstwa. I tak smutno było patrzeć i na tę walkę, a duchy te wcale nie cieszyły się ze swego zwycięstwa; modliły się za pokonanych, rozdzielając również pomiędzy siebie Karmę, stworzoną gwałtownem odbieraniem ciał, by ci, których użyli do zatamowania groźnej fali zniszczenia, nie cierpieli tyle, ileby cierpieć mieli za użycie broni przeciw bliźniemu. Lecz naogół dobre istoty duchowe oddalały się od pola bitwy i działały tylko zdala, za nieszczęsnych się modląc.

* * *

Groza wojny w całej swej nagości prześladowała mnie wszędzie. Gdy byłam n. p. gdzieś w towarzystwie lub jechałam pociągiem, to nieraz mimowoli nawet przed zwykłym okiem przesuwwały się przykre obrazy. Oto rozmawiał ze mną ktoś ze znajomych, chwilowo będący na urlopie, lub też, gdy jechałam pociągiem, siedział sobie naprzeciwko mnie zdrowy, uśmiechnięty człowiek, a tymczasem twarz jego zmieniała się. Widziałam jak krew ścieka po jego skroni, a on pada nieżywy.

W takich wypadkach zdejmowała mię taka zgroza, że zaciskałam kurczowo ręce, by powstrzymać okrzyk przerażenia. Widzenie to trwało krótką chwilę, zaledwo kilka sekund... a tymczasem ten nieboszczyk siedział sobie spokojnie i palił papierosa, nie domyślając się wcale, jakie miałam widzenie. W niedługi czas potem dowiadywałam się zwykle, że ten ktoś poległ „na polu chwały“. A takich wypadków było mnóstwo.

* * *

Pamiętam jeszcze, jak tuż przed ukończeniem wojny światowej, przyszła do mnie pani W., której jedynak był na włoskim froncie. Znając mnie od lat dziecinnych i wiedząc o moich zdolnościach jasnowidzenia, przyszła stroskana do mnie z zamiarem dowiedzenia się ode mnie czegoś o swoim synu, od którego już dłuższy czas nie otrzymała żadnej wiadomości.

Popatrzyłam za nim i zobaczyłam go w pierwszej linii bojowej w toku walki. W stanie podgorączkowym właśnie co schronił się do głębszej szczeliny skalnej. Wyczuwałam i wiedziałam jasno, że w to miejsce, w którym on się w danej chwili znajdował, spadnie niebawem granat. Odłączyłam się więc pośpiesznie od ciała i duchem śpieszyłam mu z pomocą. Szrapnele, granaty i inne pociski przelatywały przez moje ciało astralne, wywołując za każdym razem dziwne szarpnięcia w niem i niezliczone mnóstwo silniejszych i słabszych trząśnień. Miałam wrażenie, że w mojem ciele astralnym są jakieś podłoża, łączące się z trząskami pocisków armatnich.

Były to przykre chwile, lecz znów nie takie, bym w nich zapomniała, że syn pani W. jest w niebezpieczeństwie. Już byłam blisko niego. Wyciągnęłam swoje dłonie w jego stronę wołając: „wyjdź, wyjdź stąd, uciekaj“! Myśl moja zatrzęsła nim. Odczuł moje wołanie. — Wyjdź, wyjdź stamtąd — zawołałam raz i drugi. — W oczach jego zaczął się malować gorączkowy lęk. Wyszedł na czworakach i w tej pozycji włókł się po ziemi kilkanaście metrów. Zaledwie oddalił się parę kroków, padł granat w szczelinę, w której poprzednio siedział. Obejrzał się. Ciałem jego wstrząsnął skurcz. Po twarzy spłynęły mu łzy wzruszenia; dziękował Bogu za ocalenie. Jego wzruszenie i mnie się udzieliło tak, że gdy się do ciała przyłączyłam, miałam również łzy w oczach.

Tymczasem matka jego, drżąc cała tuliła mnie do siebie, zapytując, czy syn jej żyje.

— Tak, żyje — odpowiedziałam — właśnie teraz odciągnęłam go z miejsca, w które padł pocisk armatni. Opowie pani o tem, gdy powróci do domu, a powróci niedługo.

W kilka dni później znów przyszła do mnie, zapytując ponownie, gdzie się w danej chwili jej syn znajduje.

Popatrzyłam. Jechał właśnie pociągiem. Drzemał przy oknie. Opowiedziałam matce, że jedzie do domu na urlop. Rozmawiałyśmy chwilkę, ale nagle odczułam niepokój tak, jakbym gdzieś miała pobiec i ostrzedz kogoś przed niebezpieczeństwem. Nie potrafiłam już dalej rozmawiać. Chciałam ztrząść z siebie ten niepokój, ale jednak położyłam rękę na oczy i dojrzałam powód owego niepokoju: Oto pierwszy wagon za lokomotywą płonął, a płomienie rozszerzały się. Pociąg dalej jechał.

I znów znalazłam się w wagonie przy śpiącym synu i budziłam go ze snu, by prędko wyszedł do ostatniego wagonu. I wyszedł. Za chwilę pociąg stanął, ale już też i ten wagon płonął, w którym on poprzednio spał.

Gdy następnego dnia wrócił do domu, już późnym wieczorem, przyszedł razem z matką do mnie i jeszcze raz opowiadał słowo w słowo o swoich przeżyciach, o których już poprzednio jego matce opowiadałam.

Jak nauczono mnie rozpoznawać i leczyć choroby?

Znękana okropnymi obrazami niedoli ludzkiej, jakie przewijały się niemal nieustannie przed memi oczyma, wołałam nieraz i prosiłam Boga, by wskazał mi, co mam czynić, żeby nieść pomoc tym nieszczęśliwym na polach bitew. Aż pewnego dnia wśród wieczornej modlitwy odczułam lekkie drgnienie w prawem ramieniu. Spojrzałam; to mój opiekun. Był smutny, lecz pogodny, ręką wskazywał na gwiazdy i mówił: „Ucisz się, siostró droga, wiedz, że Bóg wszystko widzi. Widzi i ten ogrom nieszczęścia, który sobie ludzie sami swą własną wolą stworzyli. — Owszem, możesz pomagać bliźnim na ziemi, lecz nie możesz iść tam, na pole walki. Pomoc możesz nieść, nie opuszczając swoich dzieci. Módl się spokojnie, ja z tobą będę się modlił — modlił twemi ustami. Duch twój niech zleje się ze mną w modlitwie, a ten ciężki smutek, przytłaczający cię, spadnie z ciebie. Idź w spokoju, a ja tobie przyślę dobrego doradcę, drugiego przyjaciela duchowego, który nauczy cię pomagać ludziom.“

Kiedy ułożyłam się do snu, zjawił się ponownie mój duch opiekun, lecz już w towarzystwie drugiego ducha, również bardzo miłego. Lekkim podniesieniem ręki pożegnał mnie mój Opiekun i oddalił się. A ten drugi, zbliżywszy się do mnie, położył dłoń swoją na mem prawem ramieniu i tak się odezwał:

„W ostatniem mojem życiu byłem lekarzem we Francji i moim celem jest pomagać nadal ludziom, tem bardziej, że teraz więcej wiem, niżeli wiedziałem za życia na ziemi. Byś jednak nie zapomniała mych wskazówek, po co właściwie przyprowadzono mnie do ciebie, to wstań, weź ołówek do ręki i skreślij sobie moje myśli na papierze, gdyż przeżycia w sferze snu w ciągu nocy mogłyby ci je zatrzeć.“

Wstałam, gdyż ręka ma już lekko zadrżała i samorzutnie chwyciwszy za ołówek, zaczęła pisać te słowa: „Każdego dnia, o ile możności o jednej porze, wieczorem między 9-tą a 10-tą, usiądź sobie w pokoju, nie rób światła, a jeżeliby się w sąsiednim pokoju jeszcze świeciło, to zasłoń w drzwiach i dziurkę od klucza, dobrze zasłoń także okna, usiądź sobie w wygodnem krześle, skup trochę myśli i powiedz sobie szczerze: — „W imię Boże, jestem gotową słuchać wskazówek i rad, jak pomagać bliźnim na ziemi“ — potem ja przyjdę i zaczniemy nasze lekcje. Gdybyś przypadkowo była czemś zajęta i zapomniała o naszych lekcjach, to będę pukał naokoło ciebie. Usłyszysz koło siebie suche stuknięcia lub pukania w szafy czy inne meble, byś sobie uprzytomniła, że czas nauki nadchodzi.“

Drugiego dnia, zajęta wieczorem zwykłemi domowemi sprawami, pomyślałam sobie — „Wszak dopiero dziewiąta, czas mam jeszcze do dziesiątej, zaczęń choćby i o ½10.“ Lecz równocześnie dwa energiczne stuknięcia dały mi do zrozumienia, że ten drugi przyjaciel duchowy (lekarz) już przyszedł. Poczytałam więc zaraz według wskazówek, co było trzeba i usiadłam cicho na krześle.

W pokoju było zupełnie ciemno. Może cztery do pięciu razy głęboko odetchnęłam, a oto na przeciwległej ścianie zaczął wirować

mały, jasny punkt, z początku koloru ciemno fioletowego; w miarę zwiększania się przybierał barwę złocistą, z której tryskało światło jasno srebrzyste. Punkt ten ciągle był w ruchu i dość szybko się rozszerzał, zalewając swem światłem całą ścianę, na której w międzyczasie zawisła jakby mleczno-białego koloru zasłona, wielkości ekranu w teatrze świetlnym. Światło to jednak było wyrazistsze, niż na ekranie i dziwnie łagodnie działające.

Na zjawisko to patrzyłam zupełnie otwartemi oczyma cielesnymi. Niebawem zjawiła się na tem śnieżno białem tle wyraźna postać ducha lekarza. W ręce trzymał coś w rodzaju laseczki. Z miłym uśmiechem na twarzy spojrział na mnie pogodnym wzrokiem, mówiąc jakby pół żartem: „A więc zaczynamy lekcje. Uważaj dobrze, bo wszystko będziesz musiała powtórzyć, co ci pokażę i co ci powiem. Nauczę cię jeszcze więcej, lecz w pierw nauczysz się rozpoznawania chorób.“

Po tych słowach wyciągnął rękę z laseczką w stronę oświetlonego ekranu, na którym pojawił się równocześnie pełen życia organizm ludzki. Widziałam to ciało na wylot, wydało mi się, że patrzę na nie równocześnie ze wszystkich stron.

— To jest zdrowy organizm ludzki — powiedział lekarz. Po chwili obraz ten znikł, a obok zaczęły się pojawiać obrazy inne, przedstawiające już chore ciała.

W ciągu jednego wieczoru zapełniał się ekran obrazami tylko jednej części ciała w jego różnych stanach chorobowych, przyczem przy danej części zjawiał się raz po raz cały organizm ludzki, bym dobrze mogła obserwować, w jaki sposób np. zakażenie krwi w ręce rozszerza się na cały organizm i atakuje serce. Były organizmy odporniejsze i słabsze, prędszej ulegające infekcji chorób zakaźnych lub zatruciu krwi.

Oprócz chorej części ciała i przejawiania się danej choroby w całym organizmie widziałam, jak różne bakcyle i zarazki wciąż wirują wewnątrz i zewnątrz organizmu. Widziałam również, jak zdrowy magnetyzm ciała walczy z temi różnokształtnymi zarazkami. Były bakcyle już jako żyjątka, które dostrzec można, choć z trudem, przez mikroskop, ale widziałam i inne, będące dopiero w zarodkach, jakby w maleńkim owalu jaja. To jajko, znikomy punkt, było przezroczyste, jednak napełnione mniej lub więcej mętną kropelką fluidu — teleplazmy zwierzęcej. W samym środku znajdował się mały ciemny punkt, który w sprzyjającej dla siebie temperaturze zaczynał się rozwijać. Gdy zarodek taki dostał się do jamy ustnej lub płuc, to ten ciemny punkt zaczął silniej wirować, osłona jajowata rozpryskiwała się i małe żyjątko-bakcyl zaczynało swoją niszczycielską robotę.

Widziałam także, z czego i w jaki sposób powstają znów inne bakcyle, pozerające np. zgubne bakcyle tuberkuliczne w ciele ludzkim i pomagające organizmowi do wyleczenia się. Bardzo dużo tych leczniczych bakcyli widziałam w prawdziwym pszczelnym miodzie, koziem mleku itp.

Dziwnie przykro i nieprzyjemnie mi było, gdy pewnego wieczoru ukazały się na ekranie chore męskie i żeńskie organy rozrodcze i rozpatrywać było trzeba choroby weneryczne. Ujęła mnie jednakże pogodna twarz lekarza, który spokojnie wskazywał na chore miejsca i pouczał mnie o przyczynach powstawania i sposobach leczenia tych chorób. Po skończonych na ten temat wykładach, lekarz założył ręce na piersiach, stał chwilę nieruchomo i z wyraźnym smutkiem na twarzy tak się odezwał:

„Jednak chorych takich będę od ciebie oddalał. Są to bowiem choroby bardzo groźne i zaraz ci pokażę ich działanie na resztę organizmu. Bądź silną i patrz uważnie, bo wśród wielu zgłaszających się do ciebie w przyszłości o poradę będą znajdować się i tacy, z którymi nie chciałbym, byś łączyła się magnetycznie przy przeglądaniu ich chorych ciał. Dziś spróbuję połączyć cię z takim chorem ciałem, byś w przyszłości natychmiast odczuła promieniowanie takiego chorego osobnika, gdy przy tobie stanie i byś niepotrzebnie nie łączyła się z jego zabójczymi fluidami.

Po magnetycznym połączeniu się z wytworzonym przez lekarza chorem ciałem byłam bardzo znużona i czułam się niedobrze. W ustach miałam smak pieprzu a w oczy piekło mnie, jakbym długo z bliska patrzyła na płonący ogień. Zresztą całe ciało lekko świedziało. Kiedy obrazy ze ściany zniknęły, lekarz położył dłonie swe na moją głowę i modląc się, robił magnetyczne pociągnięcia od głowy aż do stóp, strząsając niejako z palców chore fluidy. Podczas tego całe ciało przechodziły lekkie dreszcze, ziewałam bezustannie, aż w szcękach trzeszczało. Lecz po zmagnetyzowaniu mnie czułam się jak po orzeźwiającej kąpieli.

Z chwilą oddalenia się lekarza gasło także światło na ścianie. Tuż przed zupełnym zagaśnięciem światła widoczne były na ścianie jakby lśniące nici, pozawieszane na choince. Po skończonym wykładzie, kiedy już na ścianie przesunęła się dostateczna ilość obrazów, odzwierciedlających wszystkie możliwe stany chorobowe danej części ciała i to w różnych stadiach jej rozwoju, lekarz spojrzał na mnie, gdy już miał odchodzić, a na ścianie zjawily się ponownie obrazy, lecz teraz już wszystkie równocześnie. Powtarzałam wówczas w myślach lekarzowi cały wykład.

Dobry ten lekarz uczył mnie także sposobów łączenia się magnetycznego z chorymi. Wskazał mi zwykle na jakiegoś rzeczywiście chorego i połączył mnie z nim magnetycznie, a ja natychmiast wyczuwałam na sobie, gdzie tego chorego boli i t. p. Następnie zapytywał mnie lekarz, na jaką chorobę dany osobnik cierpi i jakąbym mu radę podała, by mu przynieść ulgę, względnie wyleczyć go.

Pewnego razu zmagnetyzował mnie z jaskającym się i z uśmiechem na ustach powiedział: „Powtórz mi teraz głośno“. W pierwszej chwili zmieszalam się, bo zawsze rozmawiałam z nim jedynie myślą i słów tych nie powtórzyłam. — „Zaśpiewaj jakąś pieśń ludową, którą znasz“ — zachęcał dalej lekarz. Próbowałam zaśpiewać, lecz czułam, że mi się gorąco zrobiło, krew napłynęła do twarzy, zawstydziałam się sama przed sobą, gdyż zaczęłam się jękać. Widząc moje

zakłopotanie, a poniekąd i rozpacz, lekarz zrobił ręką ruch nad moją głową i zaraz wróciła mi dawna swoboda, tylko trochę byłam oniesmielona, gdyż nie mogłam zrozumieć, dlaczego to zaczęłam się poprzednio jękać. Dziwnem mi także było, dlaczego kazał mi zaśpiewać taką sobie zwykłą piosenkę ludową. Przecież zwykle mówił mi tylko o wzniosłych sprawach i o Bogu.

— Tak, siostró droga, — odpowiedział spokojnie lekarz — ten chory rzadko pomyśli o Bogu i taka też jego aura. Pamiętaj, że łącząc się z chorym magnetycznie, nie będziesz połączona tylko z jego chorem ciałem, ale cała niejako przeniesiesz się w uczuciu i odczuciu do jego ciała astralnego i do jego pola myśli. Będziesz pozornie chwileczkę niejako jego częścią, co ułatwi ci bardzo poznać charakter danego osobnika, a jeżeli zajdzie potrzeba, ujrzysz i całe jego przyszłe życie. Złączona z jego aurą będziesz mogła widzieć poprzez nią również i daleką jego przeszłość“.

A kiedy zmagnetyzował mnie znów z innym, bardziej spokojnym i zrównoważonym osobnikiem, to widziałam różne sceny z jego życia. Widziałam n. p. jak złamał sobie nogę 10 lat temu wstecz. Patrząc na niego w tym momencie niemal krzyknęłam; miałam wrażenie, że to moja noga się łamie. Uczucie tego bólu było dziwne; niby w nodze, a jednak poza nią. Mimowoli chwyciłam rękami nogę w tem miejscu, patrząc trochę przełęknięta na lekarza, lecz ten szybkim ruchem dał mi znak, bym zdjęła ręce z nogi.

— Uważaj — mówił lekarz — byś przy takich lub podobnych widzeniach nigdy nie sięgała ręką na dane miejsce na swoim ciele, bo wówczas odczuwać będziesz w danej części ciała u siebie rzeczywisty ból“.)

Kiedy podczas przeglądania czyjegoś życia doszłam do chwili jego śmierci, to przez krótszą, czy dłuższą chwilę, nigdy jednak nie dłużej nad jedną minutę, przeżywałam jego konanie. Powtarzały się i takie szczegóły, jak patrzenie na zegar i wyczekiwanie wybicia pewnej godziny, jakby wybawienia. Chory odchodzić mógł od ciała (umierać) pół godziny, godzinę całą lub dłużej, a mnie się to udziało, jak już to zaznaczyłam, w ciągu najwyżej jednej minuty. I zwykle na tem kończył już lekarz swój wykład, gdyż po takim niemojem konaniu czułam się bardzo zmęczoną i smutną. Wówczas też lekarz zwykle robił nade mną odpowiednie pasy magnetyczne, a za każdym pociągnięciem miałam wrażenie, że ze sufitu, względnie przez sufit, spadają na mnie kropelki wonnej rosy i odczuwałam woń to łącznego, świeżego siana, to znów róży, bratków, czy innych pachnących kwiatów.

A jeżeli miałam patrzeć za danym osobnikiem jeszcze i na inne jego poprzednie żywoty na ziemi, to znów na drugi wieczór przeżywałam jedno z jego żyć wstecz i znów konanie, grób.

*) Niestety, gdy później przychodzili do mnie chorzy po radę, a ja odczułam zaraz ich bóle w odpowiednich organach u siebie, trudno mi było wstrzymać się, bym nie dotknęła ręką danej okolicy ciała, wskazując tej osobie: „Tu boli, nieprawdaż?“ To wyczerpywało mnie w dużym stopniu, a można było tego uniknąć, gdybym nie zapomniała o radach lekarza.

Pewnego wieczoru miałam przeglądać życie człowieka, który nagle umarł na udar serca. Gdy dochodziłam do tego momentu, wcale nie spodziewając się, co ujrzę, zauważyłam, że lekarz daje mi szybko jakiś znak. Miałam wrażenie, że powiedział mi: „Uważaj“. Ja jednakże nie zrozumiałam jego skinienia i nawet jeszcze intensywniej popatrzyłam na danego osobnika. Lecz nagle zrobiło mi się bardzo niedobrze. Odniosłam wrażenie, że ktoś w brutalny sposób żelazną ręką gniecie moje serce. Żyły zaczęły się dziwnie kurczyć, ręce zacisnęły się w kulak, zęby również się zacięły i czułam, że nie potrafię myśleć. W prawdziwej trwodze spojrzałam na lekarza, lecz ten wzrokiem szybko mnie uspokoił, a nawet uśmiechnął się, bym się tylko nie obawiała. Równocześnie uchwycił moje ręce, chuchnął mi na czoło i zaraz czułam, że mam głowę wolną i swobodnie nią mogę poruszać. Następnie jednym pociągnięciem uwolnił resztę mego ciała od dziwnego skurczu.

Mijał dzień za dniem a nauczyciel mój, lekarz, nigdy nie spóźniał się na wykłady wieczorne, a nawet dosyć często, gdy byłam czemś zajęta, stukaniem przypominał, że godzina naszej lekcji nadeszła. Wykłady te, jak już to zaznaczyłam, odbywały się codziennie od godz. 9—10 wieczorem przez przeciąg 3 miesięcy.

Lecz nietylko wieczorem przesuwaly się obrazy przed moim wzrokiem, ale i podczas dnia; a chociaż one nie były związane wyłącznie z chorobami ludzkiemi, to jednak wiele mi mówiły. Wszak było to w pierwszym roku wojny...

Szczególnie interesowały mnie obrazy symboliczne.

Podczas rozmowy z kilku osobami, interesującami się zagadnieniami życia duchowego, zapytał ktoś, jak długo potrwa wojna. Nie lubiłam tego tematu, to też nie patrzyłam zaraz za tą myślą, ani też nie zapytywałam niewidzialnych dla nich przyjaciół, co oni o tem wiedzą i mogą powiedzieć. Równocześnie wyczuwałam niespokojne myśli obecnych, z których jedni byli zdania, że wojna potrwać może miesiąc, a inni myśleli, że trzy, a już najwyżej jeden rok.

Myśli te skierowane były widocznie w mą stronę, bym powiedziała, co o tem myślę. Nie miałam ochoty patrzeć na tę smutną sprawę, lecz zaledwie przymknęłam oczy, już zaczęły się wysuwać obrazy.

Ujrzałam ogromnych rozmiarów beczkę, której zamknięcie stanowiły 2 głowy herbu orła austriackiego. Do rozdziawionych paszcz tych dwóch orłów wpadali bezustannie żołnierze z całym rynsztunkiem, zjeżdżający się niemal ze wszystkich stron świata. Widziałam ich pełno jadących w pociągach, idących przez różne mosty, lub ledwo wlokących się po różnych drogach; a wszyscy kierowali się ku tym paszczom.

Beczka ta była bez dna, a z boku miała kilka otworów. Spojrzałam do niej. Żołnierze wpadający do paszcz dwugłowego orła nabijali się wzajemnie na bagnety. Od dołu beczki pękały granaty, a po-

urywane nogi, głowy i kawałki ciała, zmieszane z krwią i ziemią, spadały jednym z jej otworów. Drugim otworem beczki wychodziły kaleki, a innym wychodzili wprawdzie niezranieni, lecz jakby obłąkani, uciekający od niej ze strachem.

Na beczce tej były cztery obręcze, oraz piąta pęknięta. Na obręczach tych były wypisane lata: na pierwszej 1914, na drugiej 1915, na trzeciej 1916, na czwartej 1917, a u dołu 1918. Ta ostatnia miała pełno jakichś dziwnych śrub. Nie mogłam już dostrzec, czy obręcz ta jest śrubami temi do beczki przymocowana, czy też składa się z kawałków. Z jednej strony śruby te zaczęły się rozluźniać.

Gdy obecnym powiedziałam, że wojna ta trwać będzie do 1918 roku, wszyscy prawie chórem odpowiedzieli: „To jest niemożliwe! Na tak dobrze zorganizowane wojsko i na tak świetną technikę, to niemożliwe, żeby wojna mogła tak długo trwać!“ Powiedzeniem tem niejako zasunęli obraz całej tej ogromnej beczki wraz ze straszonymi dziejami wewnątrz niej. Za chwilę zwrócili się ponownie do mnie z prośbą, bym popatrzyła, co ujrzę dalej, lecz już nie miałam ochoty do dalszego patrzenia. Dopiero za kilka dni widziałam dalszy ciąg poprzedniego obrazu. A było to w bardzo dziwnej chwili.

Byłam sama w pokoju, było to jeszcze przed przyjściem lekarza na wykład. Czułam się niedobrze i położyłam się do łóżka, myśląc, że i stąd będę mogła patrzeć i słuchać lekarza, bo kiedy pewnego wieczoru zastał mnie osłabioną, sam radził ułożyć się i niemal trzy razy upominał, bym nogi trzymała ciepło i dobrze je otuliła. Sądziłam więc, że i tym razem nie zaszkodzi, jeżeli mnie zastanie w łóżku. Ale to było jeszcze przed 9-tą. Myślałam o tem wielkiem nieszczęściu, jakie ludzkość na siebie ściągnęła przez niewłaściwe życie przez niestosowanie się do przykazań Jezusa. Widocznie myśli moje nie podobały się niektórym istotom duchowym, gdyż zjawiała się ich dość liczna gromada i zaczęła śpiewać różne wojenne piosenki, n. p. „Jak to na wojence ładnie, kiedy ułan z konia spadnie, koledzy go nie żałują, jeszcze końmi go stratują“ i t. p.

Wiedziałam już od mego Opiekuna, że na takie zaczepki najlepiej nie zwracać uwagi, a raczej modlić się, by się oddalili. Trudno jednakże było mi zastosować się do tej rady w pewnych dniach w miesiącu — a to podczas menstruacji. Wówczas to zbliżali się z całym impetem, a duch mój z trudem zdobywał się na spokój w ciele, gdyż ciało astralne było wówczas mocno rozszerzone i co pewną chwilę drżało jak w febrze. Magnetyzm wirował w niem, że tak powiem, gorączkowo, by organizm mógł wyrzucić z siebie magnetyzm zużyty.

Wielka jajowata powłoka naokoło astralnego ciała była jakby spękana, wskutek czego łatwo przedzierały się różne magnetyczne wpływy, które normalnie nie tak łatwo się przedostawały, a przypuszczenie lub nieprzypuszczenie ich do mego ciała uzależnione było od mej woli. Jeżeli w którym miejscu jajowata ta powłoka się rozluźniła, to magnetyzm z ogromną siłą ulatniał się przez tę lukę, a kiedy niejako w drodze napotkał łóżko, stół, krzesło, czy drzwi, to

drzwi same się otwierały, krzesło poruszało się z miejsca, w stole pękało, jakby kto batami po nim uderzał i t. p.

Najgorszem jest to, że magnetyzm ten (mowa o okresie menstruacji) jest jakby magnezem względem niższej sfery duchowej. Gdybym się była zastosowała do rad Opiekuna, nie byłabym nieraz od nich tyle cierpiała. Lecz wówczas przychodziła jakaś dziwna słabość i zapomnienie, jak się mam zachować. Naturalnie przyczyniali się też do tego tamci i z daleka z ukrycia działali, by osłabić moją wolę.

Nie powinnam była odzywać się i do tych, co te piosenki wojenne śpiewali, a ja tymczasem zaraz w myślach im odpowiedziałam, zapominając o tem, że w ten sposób przez wymianę myśli wchodzę z nimi w bezpośredni kontakt.

— Tak, cieszyć się z tego nieszczęścia — mówiłam do nich — a wiem i widzę, że nie omijacie ani jednej chwili i dodajecie tym nieszczęsnym niezdrowej ochoty do walki. Czyż nie pomyśleliście o tem, że wszystko trzeba będzie spłacić i że prawo karmy, wisi zarówno nad nami żyjącymi na ziemi jak i nad tymi w zaświecie, którzy jeszcze z nią są związani? Ono stale wisi i zgłasza się o swoje prawa. Zapomnieliście o cierpieniach cielesnych, ale kiedy przyjdzie i dla was czas pójścia na zrodzenie, to czyż nie pomyśleliście, jak wam to będzie źle cierpieć w ciele, jak każda bodaj najmniejsza rana na ciele boli?“

W odpowiedzi na moje myśli wykrzywiali swoje twarze i znów zaczęli śpiewać jakąś piosenkę uliczną, której słowa skierowane były pod moim adresem. Równocześnie zbliżyła się inna gromada duchów, wlokących za sobą swoje symbole wojny. W tejsze chwili cały pokój jakby się rozszerzył, umeblowanie gdzieś zniknęło, a oni zaczęli ustawiać karuzelę, a na niej tanki, ciężkie armaty i inne śmiercionośne zdobycze najnowszej techniki. Koło maszyn tych uwijali się oczywiście żołnierze i oficerowie — a karuzela toczyła się wkoło. I tak, jak przedsiębiorca co pewien czas zatrzymuje karuzelę, by wybierać nowe datki za przejechanie się kilka razy wkoło, i znów nowi amatorzy tego rodzaju rozrywki wsiadają na konie — tak i oni, tylko, że karuzela nie zwalniała, ale po ukazaniu się nowego napisu — Anglja czy Francja — przyśpieszała swego biegu, a raz po raz wylatywały z niej skrzwawione ręce, nogi i inne części ciała.

Ogarnął mnie niepokój, gdyż nie pamiętałam, żeby takie duchy tak długo mogły być w mej obecności, a nikt z dobrych przyjaciół by się nie zjawił. Pomyślałam, jak wyzbyć się tej całej hordy. Już chciałam podnieść ręce z myślą, że ich oddalam, lecz wirująca karuzela dziwnie mnie do siebie przykuwała. W dalszym ciągu zobaczyłam na jej wierzchu we fraku i cylindrze eleganckiego człowieka-ducha, który przyczyniał się do tego, aby karuzela kręciła się w jak najszybszem tempie. Pomyślałam: „Czyż to sam djabeł, ukryty w smokingu — a może on tu jako wcielenie na ziemi daje rozkazy do wojny?“

Lecz, zaledwie go zaczęłam obserwować, gdy spostrzegłam zbliżające się dobre duchy. Mój Opiekun dawał mi znaki, żeby już ani

jedną myślą nie łączyć się z tamtymi, że są to duchy daleko niebezpieczniejsze, niżeli to sobie przedstawiam, że przybrały trochę łagodniejszą formę, by mnie łatwiej odciągnąć od ciała, a następnie stoczyć ze mną walkę już w sferach duchowych. Równocześnie wszyscy, przybyli mi na pomoc, podnieśli ręce w ich stronę i zanucili piękną, pełną siły pieśń. I tak, jak się tu na ziemi mówi: „Nieprzyjaciół został pokonany i uciekł w popłochu, nie mając czasu nawet pozabierać swoich manatków — tak i tamci w ogromnym popłochu pouciekali, padając na ziemię i tratując się wzajemnie.

Tak jak człowiek obawia się syczenia jadowitego węża, tak oni ogromnie obawiali się jasnych magnetycznych promieni, które przepalały ich nieczyste ciała i oświeślały całą ich nagość, którą oni w promieniach tych destrygali i tej właśnie strasznej własnej nagości się obawiali.

Podczas wysyłania magnetycznych promieni za uciekającymi odłączyłam się od ciała i chciałam także magnetyzować, lecz Opiekun mój błyskawicznie złapał mnie za ręce i tak jak dziecko przyprowadził do ciała z powrotem, mówiąc:

„Nie odchodź od niego, nie. Jeżeli w dni takie (podczas menstruacji) nie polecamy ci magnetyzować chorych, to nie jest również dla ciebie dobrem odłączać się od ciała i magnetyzować jako wolny duch, bo czuwać ci wówczas trzeba nad swoim ciałem bardziej, niż w którekolwiek inne dni. Nie odpowiadaj wtedy na żadne myśli takim lub podobnym nieszczęsnym duchom. — Wszak nawet najlepsze myśli, wysyłane wówczas z twego ducha, nie mogą uczynić tyle, ileby uczyniły w innym czasie, bo kiedy oni przyjdą na odległość 4 m do twego ciała, to osłabiają ogromnie twoje fluidy, paraliżują normalne krążenie krwi, rzucając sprytnie raz po raz jakieś groźne myśli, a równocześnie hypnotyzują cię zdala skrycie, by mogli cię odciągnąć jak najdalej od twego ciała, a następnie osłabić ducha i uszkodzić ciało. — Dobre myśli nie giną, one mają swoją właściwą siłę, ale, jeżeli nie są wysyłane jako ogniste strzały, otoczone magnetyzmem twego astralnego ciała, który pali ich i pozostawia im myśl w ich aurze, to oni nie obawiają się tak tych myśli, gdyż wiedzą, że magnetyzm twój astralny i cielesny nie jest w dni te dla nich tak niebezpieczny“.

Po odejściu nieproszonych gości dobrzy przyjaciele zaśpiewali jeszcze jedną pieśń, a chociaż jej nigdy przedtem nie słyszałam, śpiewałam razem z nimi, bo każdą myśl, która miała zadźwięczeć, wiedziałam już bezpośrednio przedtem. Pod koniec pieśni oddalili się ze śpiewem na ustach, a ja zostałam na chwilę sama z moim Opiekunem, który rozmawiał ze mną, a równocześnie robił pociągnięcia magnetyczne rękami, jakby mnie głaskał po głowie.

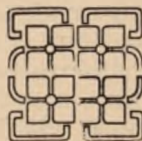
Tymczasem nadszedł duch-lekarz i tak, jakby wiedział o wszystkim, powiedział: „Dziś nie będziesz patrzeć na chore ciała, nie będzie lekcji“ — ale widziałam, jak baczne jego oko śledziło moje astralne ciało, którego pięty i fluidy końców palców były mocno nadzarpane, jak u podartych pończoch. Zaczął mnie magnetyzować i niebawem „zacerował“ mi je w jasne, małe krataczki, mówiąc:

„Oj, tylekroć zwracałem i zwracam ci uwagę, trzymaj nogi ciepło! Prawda, że już usłuchasz mnie? Pamiętaj o tem! To są niepotrzebne cierpienia. Po co masz odczuwać podczas przemiany materji w krwi, podczas wypędzania zużytego magnetyzmu z ciała, taką ociążałość w nogach i ból w krzyżach? A potem jeszcze poco ci te zupełnie niepotrzebne walki? Słuchaj twego Opiekuna, a będziesz zdrowa na ziemi i wesoła na duchu, bo jeżeli masz leczyć ciała bliźnich w przyszłości, to i twoje musi być silnem i zdrowem; jakże odczujesz dolegliwości innych, jeżeli sama będziesz cierpiącą? Jakże im dasz zdrowych fluidów ze swego ciała, jeżeli w niem będą luki?

Po sprawieniu mi takiej „buri“ posypało się na mnie mnóstwo słodkich myśli, jakiemi tylko bardzo kochająca matka czy ojciec przemawiać mogą do swego maleńkiego dziecka. I tak pieszczotliwie i dobrotliwie przemawiają oni często do mnie, chociaż już od tego czasu wiele lat upłynęło i postarzałam się.

Bezpośrednio po tej wymianie myśli lekarz zaczął łapać ręką magnetyzm przyrody, mówiąc: „Najczystsze siły przyrody tu do mej dłoni“! — i już koło jego ręki kłębiły się molekuly, w magnetycznem oświetleniu, które tworzyły duże jajo wielkości baloników, jakie dzieci często puszczają w powietrze. Jedną ręką trzymał balonik, a drugą przerwał po chwili dalszy przyływ tych sił. W baloniku tym widziałam maleńkie zarodki, jasne punkciki, a w nich już gotowe kontury przyszłych roślinek: macierzanki i innych. Po chwili lekarz zbliżył się z tym balonikiem do rozluźnionej powłoki jajowatej mego astralnego ciała i tam, gdzie była rozluźniona, snuł z tych molekul przez palce nici, jak pajak i „cerował“, nietylko rozluźnioną powłokę jaja, ale szczególnie stopy.

A kiedy zażartowałam, że ceruje mi nogi jak pończochy, on pożartował także. Lecz nigdy nie widziałam dobrych duchów, śmiejących się rubasznie ani zbyt głośno, jak to ma miejsce u nieszczęsnych, tak zw. złych duchów. O, jak wiele się mieści w łagodnym, nieraz ledwo dostrzegalnym uśmiechu! Jak miłe są żarty dobrych duchów, chociażby nawet przybrane w słowa ludzkie, a w nich ani jedna myśl nie leci na darmo i nie stwarza pustej radości, ni pustej zabawy.



Przygotowywanie mnie do przyszłej pracy i walk ze złem.

Kilkudniowy wypoczynek po skończeniu trzymiesięcznego kursu wykładów. Narada w Górze co do mojej przyszłej pracy dla dobra bliźnich. Pytania, postawione mi przez dobre duchy. Widzenie tych wszystkich, którym miałam w przyszłości iść z pomocą. Dwanaście jasnych duchów przychodzi mi zasilić do spełnienia podjętych zadań. Przeszkody w przyłączeniu się do ciała, nasunięte przez niskie duchy. Niszczenie zła. Potworny elementał. Atak ciemnych hufców. Zniszczenie elementala smoka. Rozpacz niewolników piekła po stracie cennego okazu z powierzonego ich opiece zwierzyńca. Czeka ją ich kara ścięcia głowy astralnej. Opiekun odsłania mi rąbek dawnej przeszłości: przypomina mi moje walki z czarną magią od sześciu tysięcy lat. Tłumaczy, dlaczego w obecnym życiu żyłam tak długo niejako poza nawiasem właściwego swego życia duchowego. Przypomina, iż związek mój małżeński rychło zostanie unieważniony. Zapowiada spotkanie się z przyjacielem, z którym mam pójść odtąd razem drogą życia, a także spotkanie z mym „odwiecznym małżonkiem”. Przygotowuje mnie i zasila do czekających mnie w przyszłości coraz cięższych walk ze złem.

A gdy już minęły trzy miesiące i wykłady o rozpoznawaniu i leczeniu chorób się zakończyły, nastąpiła kilkudniowa przerwa. Pewnego wieczoru siedziałam, jak zwykle w domu, a na stole przede mną był przygotowany zeszyt do zapisywania myśli, inspirowanych mi przez Opiekuna. Były tam wieści o różnych światach i gwiazdach świecących nad nami i o ich naturze — przeplatane zawsze wzniosłymi myślami o nieskończonej Miłości i Dobroci Boga. Było tam także wiele rad i wskazówek, jak tu żyć na ziemi, i wiele dobrych myśli, pokrzepiających w ciężkich dniach udręki.

Tego wieczoru jednakże Opiekun mój nie skreślił ani jednej myśli przez moją rękę. Wyczułam wyraźnie, że tam w Górze porozumiewają się i naradzają co do mej pracy w przyszłości, obliczając ją widocznie na moje duchowe siły. I plan był gotowy. Życzenie moje miało się spełnić, miałam zacząć pomagać nieszczęśliwym na ziemi drogą leczenia ich chorych ciał. Pocieszać miałam również strapionych, którzy nie wiedzieli, gdzie w zamęcie wojny obracają się ich ukochani, od których nie mieli już dłuższy czas żadnej wiadomości. Zadaniem mojem miało być szukanie takich zaginionych, a jednak dosyć często jeszcze żyjących na ziemi i podawanie o nich wiadomości tym, którzy o to prosili, nie mogąc się doczekać żadnej pewnej informacji ze strony kancelaryj wojskowych.

Pocieszać było trzeba i tych, którym już rzeczywiście odeszli w zaświaty ich żywicieli, ziemscy opiekunowie lub krewni.

Pomimo, iż prosiłam o to Niebo, bym mogła być pożyteczną na ziemi, jednak po tej ważnej chwili decyzji w Górze, wysłano do mnie jeszcze zapytanie, czy się przed tem trudnem zadaniem nie cofnę; bym dobrze jeszcze zbadła sama siebie i w wolnej, dobrej woli złożyła ślubowanie oraz Boga prosiła o pomoc.

I dali mi do namysłu trzy dni, w ciągu których w nocy, a nawet i w dzień wśród zwykłej domowej pracy przesuwały się przed moim wzrokiem obrazy, związane z zadaniem, jakie chciałam wziąć na siebie; bo pomoc miałam nieść w każdej chwili i wszędzie, gdzie tego zajdzie potrzeba, nie omijając także tych, których wojna wykołosała i na złe tory życia rzuciła: różnych włóczęgów, otoczonych aurą drażniących zwierząt i innych nieszczęsnych, którzy ledwo wlekli swoje nędzne ciało na ziemi, smagane głodem i chłodem, a resztę energii życia z ich ciał wyssało robactwo, jakiego nie brak było podczas wojny. Wszędzie tyle nieczystych myśli ducha, wszędzie tyle nieczystości na ciełe...

Nie mogłam zrozumieć w pierwszej chwili, dlaczego dają mi do namysłu aż trzy dni; przecież sama o to prosiłam, bym mogła iść z pomocą bliźnim i sama zdecydowałam się, że pracować będę całą energją ducha, na ile tylko mi pozwoli i wytrwa w pracy moje ciało.

Nietylko w myśli płynęło zapytanie w moją stronę, ale myśl ta otworzyła pierwszą kartę wspomnianego już zeszytu i uwidoczniła się na papierze. Usiadłam na łóżku, patrząc z powagą i zdumieniem na szeleszczące kartki na stole, bo nim myśl (owo zapytanie) zapisaną została przez niewidzialną rękę, zeszyt poruszył się na stole; grzbietem oparł się na nim, okładki równomiernie się podniosły do góry, a wszystkie kartki rozłożyły się jak wachlarz w ten sposób, że wszystkie oddalone były od siebie w równych odstępach. Następnie zeszyt opadł bezwładnie na stół. Po chwili znów jedna okładka się otworzyła, za nią zatrzepotała pierwsza kartka, a na drugą potoczył się leżący na stole ołówek, tutaj przybrał pozycję pionową i oparłszy się zaostrozonym końcem na czystej stronicy, zaczął drugim swym końcem zataczać szybkie i drżące kręgi, podobnie, jak się to dzieje przy puszczanym przez dzieci tak zw. „bąku“. Po kilkakrotnem obróceniu się ołówek pochylił się, nie tak jednakże, jak zwykle był trzymany przez moją owładniętą rękę w czasie przenoszenia inspirowanych mi myśli na papier, tak, że pismo było więcej stojące i większe od pisma medialnego i zaczynało się temi mniej więcej słowami:

„Bóg z tobą po wieczne czasy“... a potem zapytania:

Czy chcesz pomagać bliźnim?

Czy nie ugniesz się pod ciężarem pracy?

Czy nie przelęknieś się nawału złości, która jak z widzialnego, tak i z niewidzialnego świata nastawiać będzie na ciebie sieci i rzucać ci w drogę ciernie?

Czy nie ulęknieś się, gdy wydadzą na ciebie wyrok śmierci?“

Oto mniej więcej w streszczeniu pytania, jakie skreślone zostały niewidzialną ręką na papierze. Siedziałam cicho na łóżku i patrzyłam na ołówek poruszający się po papierze i na tych, którzy także w niemem skupieniu patrzyli na zeszyt i na mnie.

Wszystkie myśli napisane w zeszycie przechodziły niejako przeze mnie; słyszałam i rozumiałam je dokładnie, tak, że wydawało mi się, że jest to zupełnie zbyteczny wysiłek ze strony duchów pisać je jeszcze na papierze.

A kiedy oddalili się wszyscy przyjaciele niewidzialni, jakiś nie wytłumaczony smutek owładnął mną i tak, jak ołówek bezwładnie opadł po napisaniu owych myśli, tak i moja głowa bezwładnie opadła na poduszki. Przymknęłam powieki i ze słowami: „Dziej się wola Twoja, Boże“ — prawie że momentalnie zasnęłam, o ile to snem można nazwać, bo równocześnie zaczęły mi się żywo przesuwać przed wzrokiem duchowym różne obrazy, związane z moim przyszłym zadaniem. Widziałam różnych ludzi zbliżających się do mnie — najpierw pojedynczo, później po kilka osób a nawet i całe grupki. Widziałam bogatych, biednych, nędzarzy, zdążających w kierunku mego mieszkania, a nawet auta lub furmanki z chorymi. Widziałam tam siebie samą, jak rozmawiałam z nimi i udzielałam rad i pomocy...

Wszak był to pierwszy rok wojny światowej, a ja mieszkałam tuż na granicy, gdzie wrzała walka i szerzyło się spustoszenie, głód, nędza i choroby. Prawie wszyscy z nich, sami o tem nie wiedząc, kierowani byli do mnie przez niewidzialnych przyjaciół...

Wiele, wiele obrazów przesunęło się w ciągu tych trzech dni. Drugiego dnia, czytając już niemal po raz dziesiąty przytoczone powyżej pytania, nie wiedziałam, czy ja także odpowiedź na nie napisać mam na papierze. Wieczorem jednakże zupełnie odruchowo na drugiej stronie napisałam: „Tak, chcę pomagać, a w tem dopomóż mi Bóg.“

W trzecim dniu byłam już bardzo zmęczona patrzeniem się na te obrazy i chwilami coś w rodzaju lęku zaczynało niepokić mego ducha, lecz w pewnej chwili doznałam nagle wrażenia, jakoby się ściany rozstały i jakiś orzeźwiający prąd powietrza popłynął ku mnie, a potem tak jak światło słońca smugami przez otwarte okno wpada do pokoju, tak i do mego pokoju w dżdżysty i chłodny jesienny wieczór wpadać zaczęły dziwne słoneczne promienie, jakby ktoś poprzez nie sypał drobne płateczki złotego proszku. Jeden snop tych promieni oświetlał stół, na którym leżał zeszyt, o którym wyżej wspomniałam, druga skromniejsza smuga padała na moje łóżko, a złoty pyłek jak małe iskierki unosił się ze smugi po całym pokoju i jakby dźwięczał i śpiewał jak ptaszki.

Tą jasną smugą przesunęło się nie mniej jak 12 duchów, a każdy z nich w jej oświetleniu stawał się odmienniejszym, niżeli poza nią. Poza tą smugą przybierali znów białą, fluidarną postać o podobieństwie człowieka. Podobieństwo to znika zwykle, im dalej od ziemi unosi się dana istota duchowa tak, że wyczuwa się wówczas tylko

ducha jako takiego i już wcale nie doszukuje się na nim kształtów, lecz wyczuwa się inny „kształt“ ducha z wibracyj uczuć i siły myśli.

Wprost bałam się patrzeć na te jasne, czyste postacie i za każdym razem aż kurczowo chwytalam się krawędzi łóżka. O, jakże ożywczo zawirowało w całej atmosferze i to dość szeroko naokoło mnie za każdym razem, kiedy przesunęła się przez tę złocistą smugę jedna z tych postaci.

I zniknęła smuga świetlna, ani wiedziałam kiedy i jak, gdyż patrzyłam za oddalającymi się i słuchałam ich cudnego śpiewu. Wśród tego pomyślałam o naszym śpiewie tu na ziemi i ze zdumieniem uczyniłam spostrzeżenie, że nawet najpiękniejszy głos ludzki w porównaniu z tym śpiewem zbliżony był raczej niestety do rzechotu żab.

Tam nie było trzeba wydechu, a tem samem i przerywania głosu... lecz w dźwiękach kolorystycznych wysyłano swoje myśli, z których samorzutnie tworzyły się kwiaty, splatały wieńce, to znów strzelały w pięknych literach i niknęły hen daleko tak, że się miało wrażenie, że nie spoczną, póki nie spadną u stóp Najwyższego.

Pomału, ani się nie spostrzegłam, jak odłączyłam się od ciała. Cicho, nieśmiało stanął mój duch obok tego grona; wszak był tam i mój opiekun, który nigdy nie zatrzymywał mnie w odłączaniu się, kiedy duchem ku niemu dążyłam...

Jeden z grona stanął blisko mnie i zachęcał mnie, bym razem z nim śpiewała. O, jaką radość odczułam, gdy i z moich myśli, wysyłanych podczas śpiewu, zaczęły się tworzyć kwiaty. Tak lekko, dobrze i radośnie było w mym duchu, że i ja mogę w odłączeniu pięknie zaśpiewać Bogu na chwałę...

Lecz minęła ta piękna, nigdy nie zapomniana chwila. Tamci zaczęli się oddalać, a mnie było trzeba wracać do ciała. Na myśl o tem odczułam dziwny lęk i smutek, jakby mnie kładziono za życia do zimnego grobu. Uważne oko Opiekuna patrzyło na mnie niemal prosząco, bym otrząsnęła się z tego smutku i ochotnie wróciła do ciała, gdyż niższy świat ducha, przeciwdziałający woli Boga i mszczący się na tych, co idą za Chrystusem, ujrzy moją niechęć do powrotu i stawiać będzie przeszkody, by mi trudno było ovladnąć swem ciałem. Lecz ja sobie pomyślałam, że jeszcze choć chwileczkę tak sobie lekko i swobodnie duchem popłynę, a potem wrócę. Opiekun jednak ze mną nie popłynął; pewnie miał jeszcze inne zadanie.

A ja powinnam była wrócić bezzwłocznie do ciała, tem bardziej, iż miałam już świadomość tego, że im lepiej mi było w zaświecie w odłączeniu i im większej tam doznałam radości i posilenia, tem większe figle płatała mi niższa sfera duchowa, by zastraszyć mnie przy przyłączaniu się do ciała, a tem samem, by zatrzeć mi w świadomości zwykłej te subtelne i piękne przeżycia w zaświecie.

Pobujałam sobie trochę, lecz wracając, nie znalazłam ciała; ono było na tem samem miejscu, lecz niskie duchy narzuciły na nie jakąś dziwną magiczną chustę. W sferze snu natomiast nasunęły mi sugestywnie na poczekaniu stworzony przez nie sen, że ja wyjechałam do swej matki i że tam jest moje ciało. W ten sposób udało

im się, że przeniosłam się istotnie do domu mej matki, lecz ciała tam oczywiście nie znalazłam.

I jeszcze bardziej zacieśnili myśli hypnotyczne, stwarzając sen, że pociągiem jadę jako człowiek, ale nie mogę dojechać do domu. Wreszcie już tak mnie myślami swemi omotali, że zaczęłam sobie usilnie przypominać, gdzie ja to właściwie mieszkam; do tego dołączył się brak biletu na dalszą jazdę i niewiedza, w którym kierunku mam jechać; i już przybrali na siebie postać ponurych kolejarzy, którzy mnie niby wyprowadzali z pociągu jako jadącą bez biletu.

Właśnie chcieli mnie strącić ze schodów, gdy wtem zjawił się mój duch opiekuńczy. Wszystko zniknęło: pociąg, kolejarze i ciężkie myśli; nie mieli tylko czasu zwinąć magicznej chusty. Opiekun stanął ze mną przy mojem ciełe, bym się dobrze mogła przyjrzeć całej sprawie; następnie podniósł swe ręce, z których zaczęły się sypać małe świetlne płatki, podobne do znanego nam już pyłku złocistego. Pod działaniem tych płatków ta ciemna chusta spaliła się. Spalanie to jednakże przypominało spalanie się gęsiego pióra na planie fizycznym. Opiekun robił najpierw magnetyczne kręgi nad tą chustą, a gdy już ta zupełnie się zwęgliła i resztki znalazły się pod jego dłońmi, zwinął to wszystko i odrzucił daleko za aurę ciała. Miałam wrażenie, że szczątki te spadły jako ciężkie, lodowate bryły pomiędzy rozproszone w sferze snu świadome czarnej magji duchy. Opiekun powiedział do mnie: „Lepiej wszystko spalić, zniszczyć do szczętnie, lecz brak mi na to czasu; bo ty powinnaś się już przyłączyć do ciała, gdyż tętno serca już jest słabe. Odtąd, kiedy zaczniesz pracować w zakresie już ci naznaczonym i będziesz odłączać się także od ciała, to zawsze ktoś czuwać będzie przy niem i odpędzać nieproszonych gości od niego, by nie robili już jemu szkody, i byś łatwiej mogła się przyłączyć. A jeżeli zawsze na czas powrócisz do ciała, mniej będziesz miała niemiłych niespodzianek.“

Po przyłączeniu się do ciała czułam, jakbym miała wszystkie członki z ołowiu. Ujrzałam jeszcze nad sobą ręce ochronnego mego ducha, robiącego nade mną magnetyczne pociągnięcia od wierzchu głowy wzdłuż ciała. Zatrzymał następnie obie dłonie nad mem czołem, kładąc wielkie palce obu rąk na krzyż na sobie, a pozostałe rozkładając wachlarzowato, niby skrzydła ptaka, leciuchno drżące. Patrząc na te, niczem już nieskalane, białe ręce, miałam wrażenie, jakby gołąb biały trzepotał skrzydłami nad moją głową. Piersi, zdjęte dziwną martwością, wydały pierwszy oddech od chwili przyłączenia się do ciała, zrzucając zarazem poniekąd w tym oddechu obcy ciężar z ciała. Rozprysnęła się dusząca aura.

Opiekun nie czynił mi już żadnych zarzutów, dlaczego zaraz nie powróciłam do ciała, lecz wyczuwałam to sama dokładnie, że i takie małe nieposłuszeństwo mści się, wywołując cierpienia, a dając otuchę do niecnej pracy niskim siłom. Podał mi tylko myśli, bym obmyła całe ciało czystą wodą, koncentrując przytem uwagę na słowach: „Jestem w mocy Bożej — zdrowa, silna i spokojna.“

Uczyniłam tak — a wtedy Opiekun o władnął memi rękami i zadrżały tak, jak poprzednio jego palce. Obie moje ręce uniosły się,

jak piórko, wgórze, rozłożyły się tak, jakbym miała coś brać z przestworzy — i wnet w ożywczem tempie przez me ciało astralne popłynęły myśli, wydobywane następnie z siłą i ochotą i tam niejako materjalizowane przez moje usta: „Dobroć Boża niech zwycięża, a zło niech zniknie!“

Przy myślach: „a zło niech zniknie“ przeleciał przez ducha mego nowy prąd dziwnie energiczny. Pewność, że to zło zniknąć musi, udzieliła się jakby i rękom; uprzednio spokojnie wzniesione wgórze, opuściły się energicznie wdół do pozycji poziomej, jakby ruchem tym rozpraszały zło. Przy słowach: „— niech zniknie“ uczułam przedziwną ciężar na rękach, szczególnie w dłoniach i palcach i taką bezwładność, jakbym włożyła ręce do gęstego błota i po wyjęciu stamtąd nie mogła poruszać palcami, gdyż oblepiła je jakaś dziwna masa.

Lecz wówczas Opiekun stanął blisko mnie, tak blisko, że wydało mi się, iż on i ja, to jedno ciało, on i ja, to jeden duch, ale duch wyższy ode mnie. I ręce moje zaczęły szybko po siedemkroć powtarzać ten sam ruch, wspierany myślą, wypowiedaną z mocną wiarą i pogodną energją przez usta: „Zło niech zniknie, niech się rozpada!“

Potem znów podniosły się moje ręce wgórze i popłynęły nowe myśli: „O Panie, Ojczy nasz miłosierny, Ojczy pełen miłości! Niech Twoja miłość zagości na całym świecie i niechaj jak promień jasny zapadnie do każdej ciemnej duszy. Niech zapali w niej Twoje tchnienie, niech przebudzi swoim ciepłem uśpione dziecię Twoje!“

Podczas gdy tak nawpół głośno wypowiadałam owe myśli, czułam przyływ przeogromnej miłości, czułam wówczas, że nie byłabym zdolną spojrzeć z niechęcią choćby na najobrzydliwszego ducha w świecie. Wzruszenie, podobne do ekstazy, wstrząsało jak dreszcz całem ciałem fizycznym i wprawiało w drżenie całe jestestwo duchowe. I trzymając tak jeszcze ręce w górze w przeogromnem wyczuciu boskiej potęgi, nagle odniosłam wrażenie, że podłoga rusza się pod moimi stopami i coś jakby lekko unosi mię w górę. Spojrzałam zdumiona na swoje nogi: tylko końce dużych palców dotykały podłogi. Całe ciało od kostek było bardzo lekkie, tak, że go wogóle nie czułam; jedynie w stopach, od kostek nóg do palców, wyczuwałam dziwny skurcz, co mi przypominało, że mam jeszcze ciało. Ujrzałam Opiekuna — już nie był tak bardzo ze mną złączony, stał w pewnem odosobnieniu ode mnie i również trzymał ręce miłościwie do całego kosmosu rozłożone. Był już niejako sobą, ja również sobą — a jednak w jednej myśli trwaliśmy złączeni.

Leciuchno opuściły się ręce ochronnego ducha, a moje jeszcze jakby zamarły w ruchu, zawisły, trzymane przez niewidzialną siłę nad głową. Miałam jednak wrażenie, iż ręce te również chciałyby się rozłożyć, jakby do objęcia całego przestworza, do objęcia tego wielkiego, przepotężnego, dobrotliwego Stwórcy, a równocześnie ponieważ jakby w pragnieniu nabrania od Niego jak najwięcej siły dla nieszczęśliwych na ziemi.

Tymczasem ręce Opiekuna, lekko spuszczone, wykonały taki ruch, jakby chciał oddalić czy powstrzymać coś bardzo niemiłego. Nie ujrzałam jeszcze, co to chce wstrzymać, dlaczego czyni taki ruch

— lecz w duchu mym nagle wzbudziło się przeświadczenie, iż trzeba się mieć na baczności. Aż tu nagle z bezmiernej dali, z jakiejś bezdennej, strasznej otchłani, wysunęło się ogromne zwierzę-potwór, groźniejsze od najdzikszych przedpotopowych zwierząt, jak to dziś jeszcze niejednokrotnie możemy podziwiać w muzeach — bo niczem są one jeszcze wobec duszy tych zwierząt, ich ciał astralnych, które są 4 razy, a nieraz i 12 razy większe od ciał widzialnych.

Takie to zwierzę — smok straszliwy, o jakim czyta się tylko w bajce, ziejący ogniem, wyrósł przede mną jakby z bezdennej otchłani. Wszystkie 9 paszcz zwróconych było do mnie. Nie odczuwałam wcale strachu, raczej zdumienie. Sunął się, jak olbrzymi bałwan; nikogo poza nim, nikogo naokoło niego, on sam tylko. Przedziwny potwór stanął w bezruchu. Czułam, że i ja stoję jakoś mocno na nogach w znaczeniu cielesnem, a i pod względem duchowym posilona patrzę spokojnie na tę dziwną istotę.

Potwór zastygł w bezruchu. Zamknęły się paszcze. Każda głowa miała tylko jedno oko, na czole. Stanął bezpośrednio przed moją aurą fluidarną astralnego ciała. Zauważyłam wielki, biały krąg magnetyczny, który uczynił Opiekun dokoła mnie. Straszny potwór znajdował się poza tym kręgiem. Wtem zaświszczało coś w powietrzu, jak złowieszczy wicher. Miałam wrażenie, że wszystko pod wpływem jego straszliwej siły trzeszczy i łamie się — i błyskawicznie przedarła się do mej świadomości myśl, choć zresztą szybko zniknęła: iż huragan ten w niezmiernej swej potędze może mnie porwać i roztrząść na atomy.

Lecz już doleciała mnie myśl od ducha ochronnego: „Walka. Wyzwało się niejako w bój ciemne moce. Bóg silniejszym nad nie, trwaj tylko w silnej wierze, że Bóg ci w tej walce pomoże. Będziemy niszczyć zło, którego tak wiele!... Lecz ty nie zatrzymuj przy sobie trwoźnych myśli, że tak wiele zła. Przeciwnie, kiedy mowa o złem na świecie, lepiej zawsze pomyśleć: „Niema złego — tylko dobro istnieje.“ W walce ze złem ani na chwilę nie przerywaj myśli o Bogu.

A gdy ciebie otoczą i śmiercią ci będą chcieli grozić, śmiercią cielesną i astralną i zawleczeniem ducha nad przepaście, to ty w tej walce zawsze broń się jedynie szczerem, pełnem wiary słowem: „W imię Boże oddalcie się, w imię Boże niech zniknie zło, w imię Boże nie macie prawa zbliżać się do mnie! Niech się zawsze Jego święta wola dzieje!“

I już trochę trudno było mi uchwycić dalsze myśli Opiekuna, bo otoczył mnie straszliwym kręgiem huragan, z którego dochodziły mnie groźne odgłosy. Straszliwe przekleństwa miotane były pod adresem moim i ducha ochronnego. Nigdy na ziemi, przynajmniej w obecnem życiu, nie słyszałam tak okrutnych przekleństw i wyzwisk, jakie z tego huraganu mnie dolatywały. I tak, jak wicher toczy kurzem na drodze, sypiąc go przechodniowi bezlitośnie w oczy, iż ten zaledwie na parę kroków od siebie może coś zobaczyć, tak i ja przez chwilę miałam wrażenie, iż nic już dalej nie widzę poza tą straszliwą aurą. Był taki tumult, taka wrzawa, że nawet trudno mi było dostrzec jakiego ducha. Błyskawicznie przesuwały się i przelatywały potwory niemożliwych kształtów.

Wreszcie dostrzegłam mego opiekuna, a przy nim wiele jasnych duchów. Tak jak na ziemi rysują anioły z trąbkami u ust, zwołujące umarłych i żywych na sąd ostateczny, tak duchy owe trzymały przy ustach dłonie, ułożone nakształt trąbki, śpiewając pieśni, tchnące potęgą i dziwną jakąś mocą. Były to krótkie zwrotki, jedne i te same, powtarzane po kilkakroć, a za każdym powtórzeniem owiewane coraz większą siłą. I za każdym powtórzeniem zwrotki cichł straszliwy hałas i przekleństwa, cichły najobrzydliwsze wyzwiska.

Ileć w czasie walki usiłowano na mnie natrzeć, odsuwałam to myślą pełną wiary w Boga, stosując się do wskazówek Opiekuna. I już zaczął się zupełnie gdzieś oddalać, zapadać straszliwy huk i grzmoty. Został tylko w bezruchu smok, na tem samym miejscu, co przedtem. Jedyne z ócz rozlewał się jakiś gęstszy, straszliwy płomień i oczy te kręciły się tak niespokojnie, jakby chciały wyskoczyć ze swoich oczodołów.

Podziękowałam dobrem duchom za opiekę i powiedziałam sama do siebie: „Gdyby tak jeszcze dłuższą chwilę miał trwać ten okrutny hałas i przekleństwa, a nie dostrzegłabym żadnego dobrego ducha, tobym chyba zwarjowała.“ Lecz pomimo, iż powiedziałam to tylko sama do siebie — ledwo tę myśl dokończyłam, już odezwał się mój opiekun:

„A gdzież wiara, dziecino? Przecież ty tak bardzo wierzysz w Ojca i miłujesz Go. Cóż złego może ci się stać, gdy jesteś pod Jego opieką? Wszakże silniejszą jesteś, niż myślisz — tylko nie przebudziłaś się jeszcze w zupełności i nie znasz też, jakie w tobie drzemią siły. Nie dopuszczaj do siebie żadnych myśli zwątpienia, które są tobie sprytnie narzucane w walce! Wiedz, że i to ostatnie powiedzenie: „Gdyby ta walka trwała dłużej, tobym pewnie zwarjowała“ — i ono nie jest twojem, choć je za takie uważasz. Te myśli zostawili ci niejako na pożegnanie tamci, mówiąc w nich: „Do widzenia jeszcze!“ Zostawili je tak niepostrzeżenie dla ciebie, no i z najsubtelniejszym tchnieniem, na jakie się tylko zdobyć mogli ci przywódcy złego, by one złączyły się z niższą sferą twoich uczuć, z uczuciami zwątpień twego ducha — a przechodząc przez twoją głowę, by zostały niejako ożywione twojem tchnieniem. Jeśli dojdzie do następnej walki, chcą temi myślami zaważyć i pomnożyć myśli twojej własnej obawy i zachwiać niemi w ten sposób silną wiarę w tobie, że Bóg i dobre duchy zawsze cię obronią, jeśli walczyć będziesz w imię Boże, w imię prawd ducha.“

W czasie wysyłania tych myśli zaczął smok oczami dziwnie przewracać, jak człowiek, który dostaje spazmów. Ale też już zbliżał się ku niemu opiekun. Miałam wrażenie, że w spojrzeniu tego olbrzyma przejawia się lęk.

„A teraz do pracy“ — powiedział do mnie opiekun. — „W tym strasznym olbrzymie jest dusza, zaklęta w czarne misterjum złości, nienawiści do wszystkiego, co łączy się z Bogiem. Stąd też powstało to potworne ciało. Dusza, odrębna od duszy człowieka, — istnienie tej duszy znów od człowieka, czy ducha zależy. Niby nie mielibyśmy prawa niszczyć tego olbrzymiego ciała, bo myśmy go nie stworzyli,

nie jest naszym własnym tworem. Ja już odrobiłem zło, które ongiś stworzyłem na ziemi, długi moje na ziemi wyrównane, a jeżeli jeszcze coś byłoby do spłacenia, to już nie na tym świecie i wolno mi to wyrównać w walce ze złem. Jestem twoim duchem ochronnym, a ty nie masz jeszcze wszystkich długów na ziemi spłaconych. Chociaż nie jest ich tak wiele, jednak w każdym razie są ze złem związane. Nie jest już tak niebezpiecznym to zło, które ma do ciebie prawo, nie jest już ciężką twoją karma i mogłabyś przejść przez życie ze złożonymi na piersiach rękami, wpatrzona za dnia w kwiaty na przechadzkach, a nocą w gwiazdy, bez trosk materialnych, a to mianowicie od tej pory, kiedy bierzesz na siebie to dosyć wielkie zadanie. Lecz długi, które wyrównywałaś dotychczas na ziemi, są jeszcze niejako zbyt świeżymi, jeszcze nie mogą ci darować tego, że je spłaciłaś, ci nieszczęśliwi, którzy ciebie przed chwilą otoczyli. I dlatego, że jeszcze w tym życiu miałaś i masz do czynienia ze złem, łącząc się z tobą, by niszczyć zło. W tym wypadku niszczyć będziemy zło w obrębie tej duszy, zamkniętej w ciało elementarnego smoka. Przez zniszczenie tego cielska uwolni się tę duszę z więzienia i odbierze się groźne narzędzie z ich rąk, którym często posługują się do opętywania ludzi na ziemi. Włoką taki elementar lub gnają przed sobą, gdy ludzie śpią w nocy i duchy ich błakają się w sferze snu; atakują, gdzie tylko zauważą, że ktoś tego smoka dostrzeża, chociażby nawet niewyraźnie. I człowiek taki we śnie lęka się, drży i często budzi się z krzykiem, że mu się śniło coś strasznego.

Opiekun mój stał przy ogrodzeniu magnetycznym, za którym znajdował się smok; ten wciągał już oczy głęboko do oczodołów. O. mówił dalej:

„Dzieci, duchy zaledwo jako tako budzące się na ziemi, czytając w bajkach o smokach i innych potworach, aż drżące przytem z przestachu i ciekawości, otaczają się podatną aurą myśli i we śnie przy tej aurze łatwy przystęp mają do nich ci nieszczęśliwi. Szybko ze swoich sprytnych myśli zestawiają obrazy, niby sen — i już smok, czy wilk, tygrys goni dziecko, prześladowuje, już paszczę na nie otwiera; a widząc, że duch dziecka w lęku trzęsie magnetycznie i swoją powłoką cielesną, powtarzają podobny sen, ewentualnie też z pewnemi zmianami, przez kilka dni, a nieraz w przerwach i w ciągu kilku tygodni, by dziecko w strachu wydało z siebie jak najwięcej magnetycznych sił, by rozluźniło węzły ciała astralnego, łączące je z ciałem widzialnym i by w podatnej dla siebie chwili łatwiej mogli przerwać pasma, łączące ducha z ciałem. Umieszcza wówczas w tem ciele jednego ze swoich wiernych, a czasem tylko ducha takiego sobie przygodnego gapia, cieszącego się z nieczystej igraszki, nierozumiejącego jednak właściwego celu złego. Jeżeli im się uda opanować ciałem dziecka, czy już dorosłego człowieka i mówić przez jego usta różne brednie, jest to dla nich wielkiem zwycięstwem. I tak jak zamożna rodzina zwołuje na chrzest nowonarodzonego dziecka krewnych i znajomych, by uczcić tę chwilę, tak i oni sprawiają gody wszystkim, kto dopomagał w przyłączeniu tego ducha do ciała. Gody weselne... Ich gody weselne poznasz także.

Teraz czas nam już zabrać się do nieszczęsnego elementala, zanim nie zauważą jego nieobecności, bo powróciliby po niego i przeszkodzili nam w pracy. Za chwilę opowiem ci więcej na powyższy temat. Co czynić masz teraz, wiesz, świadomość ta jest w tobie. O, już teraz wiesz dobrze...

I nagle stało mi się jasnym, co mam czynić dla uwolnienia owej duszy ze strasznej, elementarnej powłoki, umiejętnie zbudowanej przez nieszczęsne, złe duchy w celu wysyłania obfitych magicznych, jadowitych płomieni.

Szybko raz po raz zaczęły latać ręce niemal jak machina, a każdemu ruchowi towarzyszyła myśl aż na głos wymawiana: „Zniszczone wszystko zło, zniszczone!“ To samo czynił opiekun. Elemental zaczął się rzucać w konwulsyjnych drganiach. Myśl potężna: „Zniszczone zło, zniszczone, zniszczone!“ z taką siłą przechodziła przeze mnie i wydobywała się z mych ust, że przymknęłam drzwi, aby głos mój nie był słyszany na zewnątrz, gdyż gdyby nadszedł ktoś niepowołany, pomyślałby zapewne, że zwarzowałam.

Blisko przez 12 minut w jednym ciągu trzeba było niszczyć ciało tego elementala. Rozlatywał się na kawałki. Nie było czasu myśleć, że cierpi, nie było też czasu spocząć, by on nie nabrał siły do gwałtowniejszego rzucania się. Została już wreszcie tylko niekształtna masa: w środku jej płomień, po bokach błyskały i poskakiwały złowrogie ogniki. Nad temi właśnie ognikami goniły moje ręce, jak w febrze, nad nimi posuwały się także i ręce opiekuńczego ducha. Niknął ogień nieczysty, więc już chciałam spocząć, zwłaszcza, że zaczęłam odczuwać już w rękach ból. Lecz opiekun spojrzeniem zachęcił mnie, bym jeszcze wytrwała — boć i tę niekształtną masę trzeba jeszcze magnetycznie spalić. Spalenie jej pochłonęło więcej czasu, niż doprowadzenie elementala do owego stanu; lecz nie było to już takie gwałtowne i wyczerpujące. Wkońcu została już tylko mała resztką wraz z tlejącym w niej ogniem.

— A teraz — powiedział opiekun — postarajmy się wynieść myślą tę ostatnią pozostałość za obręb magnetycznego kręgu.

I tak się stało.

Spojrzałam na swe ręce: bolały i w stawach łokciowych porobiły się wielkie guzy od szybkiego wstrząsania rękami i wskutek mocnego przepływania przez nie magnetyzmu dla niszczenia zła.

Wtem znów rozległ się jakiś poszum i powiał chłód. Nie było już słyhać niesamowitych wrzasków, tylko ujrzałam duchy, wlokące się za sobą „gęsiego“, trochę przyczajone, nieśmiałe, jakby wzrokiem czegoś szukały. Domyśliłam się, że szukają owego pozostawionego elementala. Może zrozumiały, co się stało, bo wydały przeraźliwy krzyk: „u-aaa!“ Były to duchy tak czarne, jak murzyni; jak murzyni miały też w sobie coś niewolniczego, będąc niewolnikami duchów niby wiele wiedzających i wiele mogących.

Ich przeraźliwy okrzyk: „u-aaa!“ odbił się trzykrotnem echem. Echo to wiele mi powiedziało. Było w niem zmieszane wszystko: strach przede mną i mym opiekunem, choć zresztą miałam wrażenie, że go nie dostrzegają, a widzą tylko mnie. Był tam również

i strach przed powrotem, bunt, gniew i rozpacz nad utratą potężnej części mienia władcy strachu.

— Tak — powiedział opiekun — czy wiesz o tem, że to był t. zw. piękny okaz w ich magicznym zwierzyńcu? O, drogi, wspaniały okaz, oddany pieczy tych oto oddalających się niewolników. Wszak przysięgli według swego rytuału przysięgi, że zawsze będą czuwać, by elemental powracał cało do magicznego ogrodzenia. Wolno im było mniej lub więcej kłuć go sztucznymi myślowemi magicznemi dzidami w celu rozjuszenia go do złości w danej walce, jaka im przypadła w udziale. W razie niedopatrzenia sprawy mieli wszyscy zapłacić to życiem, mianowicie miałyby być im ucięte głowy.

Tych myśli naprawdę słuchałam w zdumieniu: Duchy mają być pozbawione głów? Chyba astralnych — a potem będą wolnemi i to byłoby dla nich lepiej? Lecz szybko zaczęłam sobie uświadamiać, jak się ta sprawa w istocie przedstawia a, zapewne żebym nie miała wątpliwości, że tak jest rzeczywiście, potwierdził mi to jeszcze opiekun:

— Tak, ścinanie głowy astralnej jest niemniej bolesne, jak ścinanie głowy cielesnej. Kiedy zetnie się głowę człowiekowi na ziemi, cierpi on bardzo. (Operacja ta jest jeszcze znacznie boleśniejszą, jeśli odbywa się z magiczną premedytacją.) Ciało po pewnym czasie ucichnie w śmiertelnych drgawkach, lecz głowa — ten organ, w którym koncentruje się tyle uczucia, głowa, przez którą pracuje astralne ciało, przez którą w większej mierze pracuje także duch, ta głowa cielesna nie tak prędko umiera, jak cała reszta ciała. Bolesć astralnego ciała przy ucięciu głowy jest okrutna, szczególnie jeżeli ta głowa odpada na szafocie. To też straszliwa bolesć, zgroza, strach drga w odciętej głowie i maluje się przeraźliwym wyrazem na twarzy cielesnej. Wszak nieraz za pół godziny i godzinę można dostrzec w odciętej głowie zastygający dopiero i nieco łagodniejący okrutny wyraz twarzy.

Lecz w takich wypadkach głowa astralna po krótszym lub dłuższym czasie przyrasta ku reszcie ciała, goi się, choć na jej szyi astralnej pozostanie na długo blizna, którą dobry jasnowidz zupełnie dobrze może dojrzeć, jeśli taki ktoś, kto oddał głowę na szafot, zrodzi się na świat ponownie.

Zupełnie inaczej przedstawia się ścinanie głowy astralnej. Ci „władcy ciemności“, mający niby jakie takie prawo karania owych niewolników za niedopatrzenie — gdyż ci wszakże dobrowolnie zgłosili się na ich usługi — ucinają im głowy astralne i nabijają każdą na magiczną tykę, którą wtłoczą im w ręce. Oznaczają im pewną przestrzeń, a to o ile możności niedaleko bram „raju“ ich potęgi, gdzie muszą chodzić, nosząc niejako na postrach dla innych swoje głowy na tyce. Kończy się dla nich wszelkie wchłanianie pożywienia dla astralnego ciała, kończy się wolniejszy ruch ducha i wszelka związana z tem praca, która ich czasem nawet uszczęśliwiała. Schną astralne ciała, aż z nich widnieją już tylko szkielety astralne — lecz jeszcze ruchome. Wówczas kończy się ich więzienie; przynoszą im pożywienie i magiczną operacją przyłączają głowy. Ale czasami trudno im docucić się umartwionego astralnego ciała, bo nawet już

i duch niejako wymyka się z pod ich woli dzięki cierpieniom, które wywołały coś niepożądanego dla sędziów, a mianowicie melancholję, tęsknotę za lepszą opieką, za większą sprawiedliwością, za ulgą w bólu. Zostaną im wówczas na pamiątkę tylko trupy astralne. Wiedzą oni, co to znaczy; chowają je skrzętnie o ile możliwości w magicznym ukryciu, pod zaklęciami, bo ledwie duch od tych trupich ciał odleci, to wszystko pożywienie, jakie potrafili wpuścić do konającego ciała, wylatuje z niego mnóstwem okropnych bakcyli. Nie są to takie bakcyle, jakie lekarze na ziemi badają przez mikroskopy — są znacznie niebezpieczniejsze dla nich. Toteż szybko zaklinają to ciało astralne i grzebią w swojej ziemi, by zaraza się nie rozchodziła. Jakaż to zaraza? By inni, słabsi w wierze w ciemnych wtajemniczonych, w ich potęgę, nie zauważyli, że duch odleciał od tych ciał, że już nie jest w niewoli — i że to, co ich ciemni władcy ukazują, jest tylko lichą namiastką siły, istniejącej poza obrębem ich woli. Dlatego szybko, ceremonjalnie a tajemniczo, sami swoi grzebią takie ofiary, a władcy wmawiają w swych podwładnych, że dają już duchom w ten sposób odpocznienie na tyle a tyle lat, czy wieków.

Królestwo ciemnych mocy, królestwo czarnej magji...

Ty znasz także te niby wielkie tajemnice czarnej magji — znasz je z innej strony, niż oni. Od przeszło 6 tysięcy lat nie łączysz się z nimi, a chociaż tu i ówdzie jeszcze byłaś w ich świątyniach, przyglądałaś się ich ceremonjom i trochę szlachetniejszej mistyce, — dosypywałaś zioła pachnące do ognia, płonącego w ich świątyniach, by przez ten aromat ziół łatwiej przedostać się ku nim mogli wielcy mędracy wtajemniczeni, którzy ciała swoje już byli odłożyli, a którzy już ich pragnęli ostrzec przed nadużywaniem praktyk magicznych.

Wszakże już inna strona twego ducha daleko silniej zaczęła się w tobie odzywać, niż dumna cząstka twego „ja“, ta zrozumiwała ze świadomości tworzenia i tajemnic wiedzy duchowej. Już ta druga strona, lepsza, nie dała się nagiąć do ich różnych magicznych obrządków, zaklinań i wywoływania niesamowitych zjawisk, polegających na materjalizacji i dematerjalizacji. Na wadze twego ducha lekko przeważać zaczęła szala dobra, szala prostoty dziecka Bożego, zdającego się na wolę Ojca. Widziałaś tę niby wielką potęgę tych wtajemniczonych w t. zw. czarnej magji. Widziałaś ich częste kłótnie i niezgodę w pracy, ich częste wyroki śmierci, podobne do wyroku śmierci, czekającego na tych, których widziałaś przed chwilą, jak w przestachu krzyczeli „u—aa!“ A żeś pomiędzy nimi czasami bywała i w szlachetniejszych zjawiskach im pomagała, nie zdradzając zbytnio przed nimi, co tał się w twym duchu — co też dobrze wiedzieli ci, którzy chętnie powracającym ku Bogu szli i idą zawsze z pomocą i ci znów swoją siłą strzegli twojej tajemnicy — nie zorientowali się tamci, kim jesteś pomiędzy nimi.

I oto w ciągu tych 6 tysięcy lat życia na ziemi i w zaświecie poznałaś już dokładnie ich pracę, ich straszne podstępny duchowe, ich ciągłą walkę o zdobywanie ludzi i odciąganie ich od Boga. Widziałaś cierpienia ludzi, poznałaś przyczyny tych cierpień.

I oto przed 26 laty znów zrodziłaś się na ten świat — dosyć bogata duchem zrodziłaś się w nędzne warunki życia. O, na to biedne twoje życie ziemskie nie składała się tylko karma. Była tu inna ważna przyczyna: by duch twój był dobrze ukryty. Boć i całe szerokie pole twoich myśli, cała twoja świadomość o okrutnym złem na ziemi została odsuniętą od ciebie i żyłaś niejako poza nawiasem właściwego twego życia duchowego. Mała jasnowidząca szłaś przez życie z czapką niewidką, niewidzalna dla najstraszniejszych twych nieprzyjaciół.

Sama sobie tak życzyłaś, byś jak najdłużej na ziemi nie wiedziała o czarnej magji. Życzenie to wysłałaś była ongiś w przestworza, rozpatrzywszy dobrze poprzednie swoje żywoty na ziemi i uświadomiwszy sobie, iż nieraz zbrakło ci sił i cierpliwości, by walczyć z nimi. A oni korzystając, iż opuściłaś ręce, w których trzymałaś miecz, miecz miłości i silnej woli, sprytnie osaczali cię najdelikatniejszymi sposobami.

Chciałaś mieć spokój od walk z czarną magją, póki w grubszych zarysach nie splądziesz swojej karmy. Lecz ta już się niebawem skończy. Główna twoja karma, to związek małżeński, w którym pozornie trwasz jeszcze. Siedem ciężkich lat miałaś przeżyć z tym człowiekiem — lecz, że oczy swoje w smutnych chwilach zawsze ku nam skierowywałaś i że rad naszych słuchałaś, prędeż odrobiłaś sobie karmę i zostaniesz od niego uwolnioną. Ów węzeł małżeński, związany przez tych, którzy nie znają, lub nie uznają prawa karmy i głoszą przy ślubie: „Co Bóg złączy, niech człowiek nie rozłącza“, a nie wiedzą, co właśnie związane jest w miłości przez Boga, a co z innej przyczyny, przez prawo karmy, dla splącenia tylko jakichś długów, zaciągniętych w innych żywotach — ten związek zostanie całkiem rozwiązany i przez najwyższe władze sądowe ziemskie uznany za nieważny.

Będziesz wolną, wolną od tego człowieka, wolną od karmy z nim. Wolność prędeż przyjdzie, bo już za rok, lecz nim tych 7 lat upłynie, które miałabyś była z nim przeżyć, jeszcze spotykać się z nim będziesz przy rozwiązywaniu tego węzła i jeszcze będą próbowały niskie moce duchowe ująć cię łagodnymi słowami przez jego usta, byś z nim pozostała i poszła nadal razem z nim drogą życia.

Lecz wówczas stanie już na twej drodze opiekun ziemski, również wiele wiedzący z tajników ducha i duszy, choć pozornie będzie dla tych spraw jak głuchoniemy, niewiele o tem wiedzący. Przez całe jego ziemskie życie nie będziemy rozbudzać tej jego świadomości i silnych medialnych zdolności, zamknięte przed nim zostaną głębokie tajniki ducha i duszy, by nie słyszał i nie widział tych ciężkich, a niby niemych walk, pochodzących ze świata, w który patrzy i do którego przenosi się twój duch, — by nie widział tych walk, tak często skierowanych przeciw tobie, a wydobywających u podatnych dla tamtych wrogich ci mocy osób z bliższego i dalszego twego otoczenia najpodlejsze siły myślowe, któremi ciebie tak bardzo ranią. Bo siłą ducha nie jesteście sobie równi; on zaczęłaby walczyć z nimi

i mogłoby się stać, że w zapale mógłby wśród walki popełnić jakie błędy i z miłości do ciebie stworzyłby karmę dla siebie.

Ten zostanie przy tobie pomimo, iż nie jest to napisane w księdze przeznaczenia, że mielibyście zawrzeć związek małżeński. Lecz ponieważ inny, który miał zostać twoim mężem, idzie nie temi drogami życia, jakimi powinien, a to pod wpływem tych Mocy, które nie życzą sobie spotkania jego z tobą, więc na wasze wspólne życie możecie pójść razem przez życie. Gdyby się tak nie stało, to on i tak byłby dla ciebie zawsze takim wiernym, szczerym twoim przyjacielem w sprawach ducha i życzliwym dla całego grona, jakie się skupi naokoło ciebie do ściślejszej pracy w dziedzinie wiedzy duchowej. Czeka cię jeszcze wiele cierpień i dlatego nic złego się nie stanie, jeśli ów przyjaciel poda tobie rękę na wspólną wędrówkę życia. Ten, który jest, że tak powiem, twoim właściwym małżonkiem i miał się już w krótkim czasie z tobą spotkać, by pomagać ci do spełnienia zadań, jakie cię czekają, błędzi jeszcze po nieswoich ścieżkach życia, a ty nie możesz czekać na niego i zwlekać z wypełnieniem tego, co jest dla ciebie zakreślone na planie astralnym. Wszakże i tak spotkacie się jeszcze, lecz miłość wasza, datująca się od czasów dalekiej przeszłości i przepojona tchnieniem tęsknoty, jeszcze w obecnym życiu zamieni się w miłość spokojną, braterską.

Lecz zanim on tobie się zjawi, wejdą ci jeszcze w drogę inni, bo jeszcze masz spotkać się z nimi i masz coś do wyrównania z nimi na ziemi. Niektórzy będą podstępem przysłani przez niewidzialnych twych nieprzyjaciół, których, być może, nie dojrzy za nimi oko twoje. I przyjdą w imieniu Boga, z najwznioślejszemi słowami na ustach, śpiewać będą w uniesieniu hymn miłości i ślubować ci będą, iż oddają się całkiem pod twoją opiekę i prosić będą, byśmy przez ciebie ich prowadzili. Nie dziś czas na to, by odkrywać ci te wielkie tajniki, te wielkie burze nadchodzące i to złudne słońce jasno świecące i promieniami swemi zabijające, rozpraszające spokój ducha na długie, długie czasy. My z tobą będziemy, a ty bądź z nami — a z nami wszystkimi Bóg, Ojciec łaskawy.

Wiedz, iż to, co niedawno przeżyłaś, będzie się częściej powtarzać. Walka się rozpoczęła. Będą walczyć różną bronią i to już w niedalekiej przyszłości; będą się często zasilać wzajemnem uroczystem ślubowaniem, że za każdym zdradzeniem ich tajemnicy wymierzą ci cios straszny, za wszelkie sprzeciwianie się ich woli teraz, kiedy uważają się już za bliskich zwycięstwa, gdyż rozpętała się światowa zawierucha. Przy przeciwstawianiu się jawnem ich woli będą wymyślać najgorsze katusze, jakie tylko mogą wymyśleć na żyjących tu na ziemi, uznających wyższe prawa, uznających lepsze życie, przez Boga dane. Pewnie nie będzie ani dnia ani nocy, żeby cię nie strzegli, żeby nie pilnowali twoich myśli i czynów.

Lecz i my z tobą będziemy. Sąd ziemski nie ma do ciebie prawa, choćby cię chciano karać za śmiałe głoszenie prawdy w czasach, gdy nic niby nie wolno mówić przeciw temu złu, jakie rozpętało się na ziemi, przeciw okrutnej walce i męczeniu ludzi, z nawet zwierząt.

Będziemy także czuwać, by nie dochodziły nawet do twej świadomości największe intrygi niskich mocy, czepiające się tak skwapliwie drobnych wad, czepiające się twej karmy, wyolbrzymiające małe cierpienia, jakie ci przypadają w udziale, do rozmiaru wielkich, ciężkich cierpień. Będziemy te fale wstrzymywać, byś o nich nawet nie wiedziała, bo trudnoby ci było wykonywać twoje zadanie, pomagać bliźnim na ziemi; zajęta byłabyś wówczas poniekąd sama sobą i walką z nimi za ich niecne względem ciebie intrygi. Ciosy z ich strony będą czasem nagle spadać, lecz my tobie pójdziemy z pomocą, byś mogła się szybciej uspokoić; będziesz też zapominać zresztą na ból własny, widząc tyle bólu na ziemi, tylu ludzi, obarczonych cierpieniami.

Sprytnie i podstępnie urządza się piekło z tymi, którzy nie chcą im iść na usługi, a co gorsza dla nich, jeszcze zdradzają ich tajemnice. Czasami oni przygłuszają nasze myśli, ku tobie wysyłane. Lecz o tem nie myśl z najmniejszą trwogą, a przeciwnie postaw w swej aurze obok myśli, którą w tej chwili wypowiedziałem, inną, silną myśl: że nie zagłuszają naszych myśli! Będzie ci ona pomocną w czasie ogłuszającej wrzawy z ich strony; stawiaj też wówczas obok niej jeszcze wiele innych takich samych, lub podobnych myśli: „Nie zagłuszycie, nie zwyciężycie! Nic, nic nie słyszę, co dolatuje z waszej strony!“ A przytem zawsze niechaj z ducha twego ulata myśl: „Boże, niech się dzieje Twoja święta wola!“

Mniej walk miałabyś na ziemi, gdybyś nie zdradzała ich tajemnic. Lecz to właśnie jest twojem ważnem zadaniem: podawać ludziom do wiadomości, jakie niebezpieczeństwo płynie dla nich ze strony tamtych. Wiedz jednak, że choć to jest praca najcięższa, mimo to jest ona najszlachetniejszą pracą ducha. Sama też przed obecnem zrodzeniem życzyłaś sobie tak pracować na ziemi, a z naszej strony tylko dlatego były skreślone te zapytania, skierowane do ciebie, byś teraz, gdy godzina twoja wybija, uświadomiła sobie na jawie, co czynić masz na ziemi i żebyś już w zupełnej świadomości celów tej pracy złączyła się z nami świadomem ślubowaniem, a w ten sposób, by tu na ziemi wyrosła niejako drabina od ciebie ku nam poprzez wszystkie sfery jak na ziemi, tak i w zaświecie, sfery duchów i ludzi uśpionych, nieświadomych i świadomie źle czyniących.

Ta drabina na silnej woli oparta wychodzi z ziemi i unosi się hen poza nią, zatapiając się niejako w jestestwie miłości; po niej to duch twój przy odłączeniu się od ciała, czy patrzeniu wzrokiem ducha w zaświaty może się szybko przesunąć do właściwej swej ojczyzny — ojczyzny wielkiej.

Życzenie twoje, byś nic nie miała do czynienia z krajaniem ciał zabitych zwierząt, to życzenie tak trudne dotychczas do spełnienia ci na ziemi wobec tego, iż ten t. zw. mąż twój stanowczo żądał, byś mu podawała mięsne potrawy — będziesz mogła lepiej spełniać w przyszłości. A jeśli i ty oprzesz się wszelkim namowom, byś spożywała ciała zabitych zwierząt, tak czy inaczej przyprawione, nie będą ciebie boleć ręce przy niszczeniu podobnych elementali, jak ów smok, którego zniszczyliśmy niedawno.“

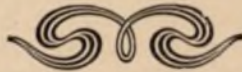
I już żegnał się ze mną mój Opiekun. Odchodząc mówił mi zwykle: „Bóg z tobą“; choć się oddalił i tak jednak mogłam go niemal zawsze jeszcze dostrzec i na każde moje zapytanie, skierowane w jego stronę, płynęła błyskawicznie od niego odpowiedź, a ja już czułam się blisko niego. Tym razem powiedział mi dobry Opiekun: „Niech cię Bóg posili!“

Wiedziałam już, co to znaczy: zawsze mię temi słowy żegnał, ilekroć jakaś burza nadchodziła.

I rzeczywiście za chwilę dały się słyszeć kroki. Było pół do drugiej w nocy. To mąż mój, który rzadko kiedy wcześniej powracał do domu, przyszedł chwiejnym krokiem, a z nim wsunęło się do mieszkania kilka duchów, wywracając koziółki i mącąc mi spokój ducha. Dwa razy usiłował kapelusz zawiesić na wieszaku, a zawsze jakby go jakoś wieszak odpychał od siebie. Za trzecim razem udało mu się, ale też już zaczęły sypać się przekleństwa.

Gdy był podchmielony, rzadko, bardzo rzadko przestąpił próg pokoju, gdzie ja przebywałam i nieraz aż do rana przesiedział na krześle w kuchni, nie odpowiadając na wszelkie namowy moje, czy służącej, by się rozebrał i spoczął trochę. Tak też było i tej nocy. I jak zawsze niemal w takim wypadku, gdy tak siedział pijany w kuchni, przysiadły u nóg jego trzy duchy, zupełnie podobne do Chińczyków. Przykucnęły na sposób wschodni z nogami skrzyżowanymi, trącąc się nawzajem i wywracając koziółki z zadowolenia, które bywało zwykle tem większe, im mocniej on był pijanym. A on, drzemiąc na krześle, marzył raz jeszcze w sferze snu o tem, co przeżył na jawie z dodaniem jeszcze pewnych obrazów przez tych, co popychali go do takiego trybu życia i użycia.

Dobry Opiekun pożegnał mię był słowami: „Niech cię Bóg zasili! Wiedział on, jak bardzo potrzeba mi tego posilenia, gdy mąż po hulance przyjdzie z taką zanieczyszczoną aurą i całą swoją kompanją duchową w moje pobliże. Choć pozostał w kuchni do rana, a ja spałam w pokoju, to jednak sceny, które przeżywał w marzeniach sennych, a które ja też wyraźnie widziałam, myśli, jakimi się otoczył, niemądre figle, jakie wyprawiała jego „straż przyboczna“, — wszystko to było ciężkiem utrapieniem dla mego ducha, jak gdyby mię ktoś chciał nurzać w błocie.



Widzenie przyszłej pracy i prześladowań.

Opiekun daje mi ściślejsze wskazówki w sprawie zaczynającej się mej pracy na ziemi. Ostrzega przed kusicielami i wyjaśnia, skąd wynikną w takich wypadkach moje ewentualne omyłki w widzeniu. Niebezpieczeństwa loterii. Widzenie rzesz ludzi, którzy mieli się u mnie zjawiać po radę, widzenie przyszłych prześladowań.

Już rok tylko dzielił mię od chwili, w której miałam zostać zwolniona od męża, to jest gdy miały w przeznaczeniu zostać rozwiązane węzły karmiczne współżycia z nim. Bo jeśli chodzi o sam fakt unieważnienia małżeństwa wobec praw ziemskich, przyszło ono w 3 lata później, t. j. w czasie, do którego miałabym z nim żyć jako żona, gdybym sobie prędzej nie była wyrównała z nim karmy. Dla mnie ważniejsze jednak były i są nietyłe prawa ludzkie na ziemi, co wyższe prawa przeznaczenia.

Ostatni rok życia pod jednym dachem z człowiekiem, narzucenym mi przez los na męża, był już bardzo, bardzo ciężki, gdyż praca moja zataczać zaczęła coraz większe kręgi.

Kiedy już wiedziałam, że będzie mi dane pomagać innym na ziemi, nie mogłam się zrazu jeszcze zorjentować, jak się to stanie? Czy przez jakie ogłoszenie, czy też sama mam zacząć mówić o sobie i swoim przeznaczeniu? Jedno i drugie było mi dziwnie niemiłe i niepożądane. Wszak nie garnęłam się do ludzi, nie odczuwając z ich strony bynajmniej jakiegoś większego zasilenia duchowego dla siebie, a szczególnie w okolicy, gdzie przebywałam, gdyż był to czas wojenny — walki już się rozpoczęły i każdy drżał przed jutrem, koncentrując wszystkie myśli dokoła tego, jak zdobyć środki spożywcze dla ciała.

Zapytałam opiekuna, kiedy rozpocznie się moja praca?

— Ona już się rozpoczęła — odrzekł mój dobry opiekun. — Początkowo będzie przychodzić mniej nieszczęśliwych ludzi chorych, smutnych i głodnych. Będą jednak przychodzić i duchy z zaświatów, potrzebujące pomocy, będziesz je pokrzepiać swojemi myślami, będziesz je uczyć modlić się, a potem śpiewać z nimi. Wszakże wiedz, iż nie pójdzie ci to tak gładko, będzie to pewnie przeplatane walkami, bo inni — nieprzyjaciele światła i dobra — niechętnie na twą pracę patrzący, będą chcieli cię osłabić, byś się zniechęciła do pracy.

Nigdy zaś nie daj się nakłonić, gdy ci będzie ktoś proponował na ziemi, byś poszła z nim pracować niby na polu wiedzy duchowej i występowała przed publicznością na scenie, pozwalając drukować o sobie wielkie afisze. Zawsze ilekroć ktoś z takich kusicieli zbliży się do ciebie, choćby uderzał w bardzo ideową strunę, zakreślając pracę w pozornie skromniejszych, idealniejszych warunkach, namawiając cię na objazdy po miastach i wsiach, — nie daj się porwać łagodnymi jego słowy, ale cichusieńko spojrzysz w naszą stronę, a my tobie powiemy, co masz czynić. Bo wielu będzie się zgłaszać do ciebie, a poznawszy cię w krótkiej rozmowie, że daleka jesteś od gonienia za rozkoszami życia, będą cię chcieli ująć pozorną swoją skromnością, zasłaniając się ideą i to nawet w imię Chrystusa i będą wpraszać się do współpracy z tobą, bo i oni pragną wraz z tobą czynić na ziemi dobrze innym.

Tych, którym będziesz miała istotnie pomóc, przyślemy tobie bez wszelkiego ogłaszania. Lecz i tamci — nieprzyjaciele światła — również chętnie przyślą ci swoich, także niby smutnych, udręczonych. Uważaj wówczas, to będzie praca najtrudniejsza. Bo ty, nie mając już w swym duchu fałszu, podstępu i zdrady, mogłabyś ulec ich hypnotycznemu wpływowi, myśląc, że to ludzie dobrzy. — I będzie to dla nas ciężka praca, kiedy tacy będą cię otaczać. Bo z chwilą, gdy tacy zjawią się u ciebie pomiędzy potrzebującymi naprawdę pomocy, będzie miała przez ich aurę dostęp niższa sfera ducha; zacznie stwarzać myśli na wzór naszych i będzie ci je wysyłać z pozornie równą serdecznością, jak my to czynimy, wmawiając w ciebie, że to są myśli od nas idące. I nietylko myśli — niskie duchy będą stwarzać i złudne fałszywe obrazy, któremi cię zechcą w błąd wprowadzać. Lecz pociesz się, że za te wszystkie podstępny z ich strony i utrudnienia w pracy, za wynikłe stąd ewentualne omyłki — odpowiedzialność nie spadnie na ciebie, duch twój nie zrobi sobie tem karmy, gdyż w twej duszy jest szczerze życzenie pracować uczciwie dla dobra ludzkości i nie duch twój kłamstwo rodzi, tylko one.

Strzeż się także ulec jakiegokolwiek namowie — choćby ten proszący najserdeczniej lży ronił — byś miała rozpatrywać różne sprawy, stojące w sprzeczności ze słowami: „Najprzód królestwo Boskie, a reszta będzie wam przydana“, lub z innymi słowami Jezusa Chrystusa. Bo będą i tacy, którzy cię będą prosić, byś spojrziała, jakie numera mogą wyjść na loterji, do jakich numerów ma dany osobnik szczęście. Choćby ci obiecał, że i połowę z tego da na dobre cele, to nie daj się skusić, gdyż tem już wciągałaby ciebie niższa sfera duchowa w pokuszenie. Tembardziej nie życzyłbym sobie, już dla twego spokoju ducha, widzieć kiedykolwiek na twej dłoni pieniędzy, wygranych przez ciebie na loterji, choćby ci we śnie i na jawie złotymi kreskami pisali szczęśliwe liczby zwodziciele duchowi, naturalnie starannie przez swoją t. zw. czarno-magiczną moc ukryci. Bo pieniądz taki jest przeklęty. Jedni stawiają na loterję, odrywając sobie nieraz od ust, w nadziei, że polepszą sobie tem nędzne położenie materialne — i już naprzód wyliczają, co to wszystko kupią sobie za wygrane pieniądze. A kiedy nie wygrają, wielu z nich,

będąc nieczystego serca, przeklina loterję, przeklina i tych, którzy pewnie wygrali. Pieniądzy takich nie chciałbym widzieć na twej dłoni. Lepiej już dla ciebie ze wszystkimi cierpiącymi cierpieć nędzę, choć na nią nie zasługujesz karmicznie, niż żyć w dobrobycie za takie pieniądze. Również odpędzaj od siebie myśli, jakie ci często nasuwać będą inni, że przy swoich duchowych zdolnościach powinnaś żyć przynajmniej całkiem dostatnio.

Trudno mi w słowach skreślić tobie twoje zadanie na najbliższe lata, chociażby tylko w głównych zarysach. Lepiej mi przemawiać ku tobie w tych ważnych sprawach przez symboliczną mowę. Ufam, że duch twój mię zrozumie.

I znów następnego dnia, kiedy dzieci cicho spały i byłam sama w domu, przyszedł mój duch ochronny. Ujrzałam z początku mniej, a potem coraz więcej ludzi, idących do mnie — niemal całe procesje. Liczba ich szła w tysiące. Szli ludzie z szczerą ufnością do mnie i z wiarą w Boga, że On im przeze mnie poradzi, pomoże. Szli też i tacy, przed jakimi przestrzegał mnie opiekun; szli razem z tamtymi, szczerze myślącymi. Szli pieszo, jechali w powozach — a byli też i chorzy, wiezieni do mnie o pomoc. Były i wykwintne auta, oficerowie i arystokracja. Byli i agenci tajnej policji, byli także lekarze, żywo gestykułujący — i co trochę słychać było wykrzykniki: „Błaga, oszustwo, warjactwo!“ Lecz szli i tacy lekarze, którzy z uszanowaniem skłonili przede mną głowę.

To wszystko zostało jakoś dziwnie zeseregowane w trzy rzędy. W pierwszym rządzie stali i siedzieli ci najbiedniejsi, z ufnością na mnie patrzący — chorzy, głodni, stroskani. Drugi rząd stanowiło bogatsze włościanstwo oraz klasa urzędnicza; i ci również chcieli zasięgnąć rady, pomocy. Trzeci rząd, to już była klasa, żyjąca sobie trochę beztrudnie na ziemi pod względem materialnym, a jednak także mająca swoje zmartwienia. Byli to siedzący w autach, również zwróceni do mnie. Zrozumiałam, że tyle ludzi spotkam w swoim zadaniu!

Zdumienie i zmieszanie przyprawiło mię o lekki zawrót głowy. Otworzyłam oczy, chcąc przerwać widzenie — lecz musiałam je znów szybko przykryć, gdyż i przy otwartych oczach obrazy snuły się dalej, tylko że nie widziałam ich już tak jasno i wyraźnie, jak przy zamkniętych powiekach.

I już ujrzałam siebie pomiędzy tą wielotysięczną rzeszą; rozmawiałam z nimi, udzielając im rad, zarówno w pierwszym, jak też w drugim i trzecim rządzie. Bogatsze włościanki za udzieloną im pomoc i wskazówki wypukiwały z drewnianych fasek świeże masło, jaja i niemal ze wszystkiego potrosze, czem chatą ich była w czasie wojennym bogata. Wszystko to jakoś stawiane było na ziemię, a ja nie zwracałam na to uwagi, nie ważąc masła, nie licząc jaj i innych rzeczy.

A potem rząd trzeci. Kładzione były na ziemi mniejsze lub większe kwoty pieniężne, podobnie jak też i w drugim rządzie.

Następnie widziałam siebie, biorącą te wszystkie bogactwa doczesne, chleb pszenny i inne środki żywności i rozdającą to pomiędzy

biednych, stojących w pierwszym rzędzie. Dla siebie zostawiałam tyle tylko, ile było potrzebne dla koniecznego posiłku ciała i na co mi już nie starczyło czasu, by iść to gdzieś kupić dla siebie — gdyż wówczas już wiele czasu trzeba było zmarnować na czekanie, gdy chciało się otrzymać na swoją kartkę kawałek chleba.

Co mam czynić, jak radzić i pomagać przybyłym w każdym poszczególnym wypadku, tego świadomość zjawiała się w trakcie udzielania owych rad, czy pomocy.

Widziałam także i księży katolickich z kropielniczką w jednej ręce, a krzyżem w drugiej, wołających na ludzi, zdążających do mnie: „Zawróćcie, to sprawa szatańska, to parszywa owca! Bo jeżeli nie zawróćcie, nie otrzymacie rozgrzeszenia ode mnie!”

Lecz ci z pośród idących, którzy naprawdę przychodzili z szczerem sercem i dobrą myślą, nie oglądali się za siebie, tylko z podziękowaniem odchodzili ode mnie. Ze dwa razy gwałtownie przedarł się pomiędzy nimi, kropiąc święconą wodą całe mieszkanie i wyganiając, jak mówił, diabła ode mnie i był niemało poirytowany, gdy go zapytałam, czy mu już brakło święconej wody, że chętnie mogę mu dostarczyć z pobliskiego kubła świeżej wody, gdyż mojem zdaniem Bóg swoim słowem „stań się” poświęcił każdy kąteczek na całej ziemi, więc i wodę — a jeżeli jest jeszcze co nieczystego, to tylko sami zanieczyściliśmy; jeżeli on jednak myśli, że tam u mnie tyle duchowych nieczystości, to niech święci i niech to zniknie, nie mam nic przeciw temu. Widziałam, jak zaczerwieniony na twarzy i aż drżący ze złości, która miała być niby świętem oburzeniem, wołał często z ambony, by lud nie odwiedzał mnie, że to szataństwo! Bo jakżebym mogła ja, bez lekarskiego wykształcenia, określać choroby, podawać dobre rady do ich usunięcia i t. d.; jakże ja mogłabym widzieć dobre duchy, które przecież tylko święci w klasztorach, czy pustelniach mogą widzieć. I w szkole mówiono dzieciom, żeby ostrzegali swoich rodziców, aby ani słowa ze mną nie zamieniali. I zawsze, kiedykolwiek zjawił mi się symbolicznie ksiądz w czarnej sutannie, zaraz też usłyszałam pogróżki, zesilone przez niską sferę duchową, w których unosił się jak wiatrem miotany zesymbolizowany duch żyda w potrójnym chałacie, trzymając w jednej ręce rozbite dwie tablice Mojżeszowe, w drugiej woreczek z pieniędzmi. Śpiewał jakoś dziwnie drwiąco: „Ludzie, ludzie, Mesjasz się rodzi, Mesjasz się rodzi!...”, tańcząc przytem, jak szalony, a wiatr rozrzucał i rozkładał poły jego chałatów, jak czarne skrzydła.

Trudno mi było za tę króciuchną chwilkę objąć w myślach tak szerokie pole pracy i taki ogrom prześladowania. Powiedziałam tylko: „Dziej się wola Boża.”

Opiekun rzekł mi jeszcze:

— Masz tylko rzut głównej swej pracy i prześladowania. Wiele jeszcze nie ukazałem tobie, to przyjdzie stopniowo, w miarę jak będziesz spełniać swoje zadanie.

Za wszelką pomoc, udzieloną tym, którzy w mniejszych grupkach w początkach twojej pracy będą się zgłaszać do ciebie, nie masz brać żadnego wynagrodzenia przez całe trzy miesiące, a szczególnie

wynagrodzenia w postaci pieniędzy. A i to, co nagromadziłaś sobie na te 3 miesiące w obawie, byście w zawierusze wojennej nie zginęli z głodu, gdyby dowóz wszelkiej żywności dla ludności cywilnej tu nad granicą został wstrzymany — i tem masz się podzielić z innymi zgłodniałymi, nieszczęśliwymi, którzy wejdą ci w drogę. Ciebie zawierucha wojenna nie dotknie tak dalece, nie potrzebujesz się obawiać, że zginiesz nędznie z głodu wraz z dziećmi. Nad tobą czuwa moc wyższa. Nie obawiaj się o jutro, zdaj to na wolę Bożą.



Moi pierwsi pacjenci.

I stało się, że następnego dnia, gdy wyszłam na przechadzkę, kroki moje zostały zwrócone do niedaleko mieszkającej znajomej. Niewiele troszczyła się ona wprawdzie o głębsze sprawy duchowe, wierzyła jednak w Moc Wyższą, w Boga i opiekę duchów, jako aniołów stróżów. Zastałam ją zapłakaną, klęczącą u łóżka trojga małych dzieci. Mąż był w wojsku i nie miała o nim żadnej wiadomości, a dzieci od wczoraj w strasznej gorączce, jak mi oznajmiła na wstępie. Najmłodsze było konające.

W pierwszej chwili smutek ścisnął mi serce i lzy współczucia gwałtem napływały mi do oczu. Lecz nagle błysnęła myśl: „Ty im pomożesz.“ I silne, orzeźwiające uczucie pewności i wiary, że pomogę, rozproszyło smutek i zatrzymało tok łez. Usadowiłam ją na krzesło, pogłaskałam dłońmi po głowie i czole, mówiąc z całą pewnością:

— Nie smuć się, do wieczora będą dziatki zdrowe. Wiem także, gdzie twój mąż się znajduje: jest w niewoli rosyjskiej.

Ona, wiedząc o mnie już dłuższy czas, że mam kontakt ze światem duchów, na moje pełne żywości słowa z ulgą odetchnęła. Siedziała cicho, usta jej szeptały jakąś modlitwę, podczas gdy ja robiłam magnetyczne pociągnięcia nad rozpalonemi ciałami dzieci. Najmłodszemu toczyła się piana z ust, oczy miał już w ślup obrócone. Magnetyzując się z nim, czułam, że trochę słabnę i zbiera mi się gwałtownie na wymioty.

— Mleka i soli — usłyszałam wyraźnie przyjazny głos duchowy. — Sześć stołowych łyżek mleka i pół łyżki soli kuchennej zmieszaj razem. Wskazującym palcem lewej ręki potrzyj trochę zacięte zęby z myślą, by one się rozchyliły i wlewaj mleko ze solą do ust. Zrób 3 pociągnięcia, by mleko dobrze do żołądka doszło, połóż dłoń jedną na żołądek, jedną na serce i pomyśl, by serce stało się silniejszym, by krew spokojnie przez nie krążyła, a żołądek by wyrzucił z siebie soki zamierające i by został pobudzony do ruchu.

Nie upłynęło 6 minut i stało się: chłopczyk zwymiotował i żywszemi ruchami ciała dawał oznaki, że jest mu lepiej.

Drugim dwojga dzieciom dałam się napić zmagnetyzowanej wody. Zmagnetyzowałam też wodę w miednicy, polecając matce, by dobrze w niej zmoczonym i wykręconym ręcznikiem wytarła im ciało do wieczora 3 razy. Odchodząc, powiedziałam:

— Wszelkie niebezpieczeństwo minęło, nie obawiaj się, możesz już tej nocy spać spokojnie.

Na drugi dzień o 9-tej przed południem zapukałam do mojej znajomej.

— Proszę — ozwał się trochę zmieszany głos. Zobaczyła mnie bowiem już przez okno. Wchodząc widziałam, jak usilnie łapie biegające dzieci, chcąc je ułożyć do łóżka, myśląc, że może zrobię jej zarzut, dlaczego ich w łóżku nie trzyma. Najmłodszy śmiejąc się ukrył się za drzwiami; to ten, który wczoraj był konający. Ona zaczęła się uskarżać:

— Gdy poszłaś wczoraj, no to jeszcze leżały jak mało przytomne. Zaczęłam je wycierać raz po raz trzy razy tą wodą — i za godzinę już biegały po kuchni i wołały „jeść!“ Bałam się dać im jeść, kiedy gorączka przed twojem przybyciem wynosiła przeszło 40°. Ale zaczęły płakać, szukać po garnkach, więc dałam im jeść. Spały wszystkie dobrze całą noc, ja także ani się nie spostrzegłam, kiedy już było rano; wstałam orzeźwiona i posilona.

Sąsiadki, które przedtem odwiedzały moją znajomą i widziały ciężko chore dzieci, widząc taką szybką zmianę pytały w zdumieniu, co się stało, że już biegają i śpiewają po podwórzu. A ona nie tała, rozpowiadając szeroko co zaszło.

Miało to taki skutek, że za 3 dni zaczęli się zgłaszać do mnie ludzie, naprzód mieszkający w pobliżu. Nie upłynęło wiele czasu i zaczęli przychodzić już i z dalszych okolic.



Wyleczenie kobiety, której miano odjąć rękę.

Pomagający przejmuje częściowo Karmę z tego, komu pomaga.

Co nocy po kilka godzin byłam odłączoną od ciała, unosiłam się hen poza ziemią wraz z innymi duchami, do sfer duchowych. Nad ranem, kiedy już miałam powrócić do ciała i przyłączyć się doń, widziałam zwykle tych, którzy tegoż dnia mieli się u mnie zjawić po jakąś poradę, lub pomoc. Widziałam i tych, którzy także pragnęli przyjść, lecz przeszkadzały im w wykonaniu tego zamiaru różne siły, narzucając im potworne myśli, żeby się nie zgłaszali do mnie, bo ich zahypnotyzuję i t. d. Widziałam, jak ulegają niepojętej jakiejś trwodze, a jednak resztką sił bronią się przed działaniem tamtej hypnotycznej mocy, obiecując sobie, że przyjdą później, tylko zasięgną jeszcze od innych informacji o mnie i mojem leczeniu.

Wiedziałam więc już zrana, z jakimi dolegliwościami zamierzają ludzie przyjść do mnie tego dnia. I istotnie tak zwykle było: wszystkie twarze, widziane nad ranem, zjawiały się u mnie w ciągu dnia. Czasami widziałam naokoło nich w symbolicznych obrazach ich myśli i wskazówki dla nich.

Jednego dnia nad ranem ujrzałam młodą kobietę, która ciężko oddychała z bólu i gorączkowym ruchem nerwowo przekładała rękę, nie mogąc dla niej znaleźć wygodnej pozycji. Do ręki jej wpił się niesamowity potwór, a ręka aż poza napiętek była cała obrzmiała i czarna. Myślała o lekarzu, lecz jakże do niego pójdzie, kiedy nie ma pieniędzy? Mąż na froncie, nie daje znaku życia, a dziecko niemowlę w kołysce. Jakże od niego odejdzie, lub komuż je zanieśnie na ten czas, gdy sama pójdzie do lekarza? A z dzieckiem trudno jej iść, bo i jakże je nieść, władając tylko jedną ręką?

Następnie ujrzałam przelotnie inny obraz, jak jakaś kobieta schyla się nad jej dzieckiem, a potem znów zjawiała mi się postać kobiety z chorą ręką, już u lekarza. Poczciwy starsuszek, doktor medycyny, poważnie kiwał głową nad zatruciem krwi w ręce. Słyszałam, jak wypytywał się, czem zraniła rękę? I podczas gdy mu kobieta opowiadała, zobaczyłam i ja przyczynę zranienia ręki ze wszystkimi szczegółami. Lecz poza widzialnymi przyczynami były także i niewidzialne.

— Nie mogłam otworzyć zasuwę żelaznej od komórki, zdarłam sobie naskórek szeroko na dłoni; krwi niewiele ciekło...

— Zasuwa była rdzą pokryta, czy nie tak? — zapytał lekarz.

— Ach, rdza się z niej aż sypała! — odpowiedziała kobieta.

— Ha, trudno — rzekł lekarz — pójdziecie do szpitala i trzeba odjąć rękę. Lecz musicie iść zaraz, bo z każdą godziną krew dalej się psuje i później trzebaby było odjąć rękę aż po ramię, a za dwa dni możeby już nikt wam nie uratował życia.

Ujrzałam zrozpaczoną twarz kobiety, ujrzałam też straszego potwora, który ssał jej pręgę życia z ręki i zatruiwał ją swoim magnetyzmem. Widziałam także ją przy drzwiach komórki, jak mocowała się z rdzawą, mocno zaciśniętą zasuwą — i złe jej powiedzenie, kiedy nie mogła otworzyć, stojąc boso na szronem okrytej ziemi. Z myślami „Żeby to djabli wzięli!“ spadł elementał jak rozdęta, wielka żaba na jej rękę, wtem nastąpiło także równocześnie silne zadrażnienie dłoni. Widziałam też, kto rzucił tę potworną żabę, widziałam, że to porachunek z przeszłości, z dawniejszych żywotów na ziemi, gdzie ona stała się przyczyną utraty ręki u kogoś przez uderzenie w nią jakąś żelazną sztabą. I ujrzałam ją następnie jadącą w pociągu; łzy spływały jej obficie po twarzy i zęby szeptały ze strachu, że musi mieć odjętą rękę.

Tym samym pociągiem zdażyły dwie kobiety do mnie, jedna z dzieckiem na ręku, druga trzymająca chłopca skrofalicznego z mocno zaropiałymi oczami i bolączkami na głowie i na kolanach. Kobieta z chorą ręką trzęsła się na całym ciele ze strachu i jęczała:

— Jezu, Jezu, o Matko Najświętsza, o Boże, cóż ja pocznę, moja ręka!

Ujrzałam brzydkiego ducha, wieszającego się na gzymsie okna i sugerującego jej:

— Cóż ci po życiu bez ręki? Skocz pod koła pociągu!

I znów:

— Wskocz z pociągu! Mąż ciebie nie zechce, jeśli powróci, a ty będziesz bez ręki. A co zrobisz z dzieckiem, mając tylko jedną rękę?

Kobieta przy tej sugestji — a wydawało jej się, że to ona sama tak myśli, że to są jej myśli — zaczęła na głos płakać. Dwie kobiety, jadące do mnie, spojrzały w jej stronę. Chustą była zawinięta, więc nie wiedziały, co jest z jej ręką. Widział to jednak jeden ze sympatycznych duchów, patrzący na nią i na złego ducha. Wyciągnął dłoń i potrzyzymał ją nad kobietami, a potem zrobił pas magnetyczny naokoło kobiety narzekającej — i zaraz zawiązała się rozmowa.

— A cóż wam się to stało? Czy wam kogo zabili na wojnie?

— O nie, odrzekła kobieta, ale mam jechać do szpitala, by mi odjęto rękę!

I bezradnie wyciągnęła rękę z pod chusty, ukazując ją kobietom. Miała ją zabandażowaną i zajodynowaną, bandaż jednak przy rozpaczliwych ruchach jej ręki odwinął się i było widać czarne, nabrzmiałe palce.

I znikło widzenie...

Ledwo ubrałam się i zjadłam śniadanie, w trzy kwadransie od owego widzenia weszły wszystkie trzy kobiety do mojego mieszka-

nia. I już wiedziałam, jaką radę mam dać tym dwom kobietom, co mają czynić ze swojemi dziećmi, żeby tak nie cierpiały i wróciły do zdrowia.

Siedziały jeszcze, kiedy kobieta z zatruciem krwi w ręce przystąpiła do mnie. Nie zamykając ocz, ujrzałam dziwnego potwora; nie był już rozłożony na palcach ręki, lecz zwisał wbity jedną łapą pod pachą chorej ręki. Grzbiet miał dziwnie skurczony i nie był już tak rozdęty. Przypomniałam sobie także nagle, że kobieta na rozkaz lekarza jechała do szpitala i że z drogi zawróciła do mnie. I stałam kilka sekund bezradna, przypominając sobie, co duchowy lekarz mi kiedyś powiedział: iż ludzi, których leczyć będzie lekarz, którzy będą mieć przepisane przez niego lekarstwa, tych nie będę brać pod swoją opiekę, póki nie otrzymam od niego wyraźnych wskazówek. Tłumaczył mi, że wówczas najłatwiej mogłaby podziałać niska siła; gdyby na chorego przyszyły cierpienia, wówczas mógłby użyć n. p. wszystkich lekarstw naraz, a potem usiłowanoby zwalić winę na mnie, że pod wpływem mojej rady zachorował na dobre, albo nawet umarł. Powiedział mi, że w takich wypadkach tylko wyjątkowo będzie mogła kogoś leczyć, chociażby jeszcze pozostawał pod opieką lekarza. A tu widziałam nie tylko to, że lekarz się zajął już tą kobietą — widziałam też potwora wpitego pod pachą, a przedtem widziałam i przyczynę zatrucia krwi w ręce.

Szybko zawróciłam do pokoju, zostawiając kobietę z wyciągniętą w moją stronę czarną ręką.

— Zaczekajcie — powiedziałam tylko, przymykając za sobą drzwi. Usiadłam przy stole, wzięłam ołówek do ręki, myśląc o lekarzu, by mi napisał moją ręką, co mam czynić. Lecz ręka ani drgnęła. Za niecałą minutę usłyszałam wyraźnie słowa:

— Módl się, bo ciężki jest los tej kobiety; módl się, byś mogła jej ulżyć i odwrócić niebezpieczeństwo odjęcia jej ręki.

Uklękałam, lecz jakoś modlić się nie mogłam, nie mogłam zgarnać myśli, by prosić o ulgę dla tej kobiety. Ktoś jakby rozpraszał mi myśli.

Nagle ujrzałam brzydkiego ducha, wykrzywiającego twarz i wyluwającego z ust jakieś dziwne strzępki, to kawałeczków skrzepłej krwi, to znów kości. Tak odruchowo odwróciłam od niego wzrok, że aż i ciałem, klęcząc, obróciłam się w inną stronę. Nie wiedziałam, czego ten duch chce, ale pamiętając, że mam się modlić, a wiedząc poniekąd, że to zło złączone jest z tą kobietą, zaczęłam się już modlić. Jeszcze mi się myśli plątały, chaotycznie płynęła moja modlitwa; choć czułam, że jest szczerą, że płynie z głębi ducha, to jednak ponad głową ktoś myśli mieszał. Prosiłam:

— Boże, w Twojej mocy wszystko, Tyś dobry! Ja chcę czynić dobrze. Jeżeli taka Twoja święta wola, dopomożesz mi Panie! Niech dobry lekarz też dopomaga, daj mu siłę, by razem ze mną mógł odpedzić niebezpieczeństwo odjęcia ręki!

Były to moje myśli, a jednak ponad głową ujrzałam je przekrecone, a po nich jeszcze inne dodane:

— Niech dobry lekarz odpędzi babę z jej ręką!

Nie widziałam, kto w ten sposób przekreślił myśli, lecz wiedziałam dobrze, że to ci, którzyby także nawet i wszelkie rady, podane chorym, w ich głowach przekreśli. Dlatego też lekarz polecał mi, by rady dla chorych (jak kto ma się zachowywać podczas choroby i czego używać), nie tylko ustnie im powiedzieć, ale także napisać to na papierze i choremu dać tę kartkę, by niskie siły nie mogły mu pomieszać i przekreślić usłyszanych ode mnie poleceń.

I ujrzałam jak lekarz przystąpił do mnie bliżej, potem drugi i trzeci duch i Opiekun. Zaczęli się modlić. Utworzyli nade mną krąg; ich myśli unosiły się w górę, nad nimi były jeszcze inne duchy i powtarzając te myśli, dodawały im siły. I już ujrzałam, jak owe myśli szybkim strumieniem, niby fontanna, strzelają wwyż, a echo ich odbija się w mej duszy. Zaczęłam się modlić temi samymi myślami i niemal podniosło mię to z klęczek z ziemi. Modlitwa krótka, jasna — potem oddalili się. Został tylko lekarz. Zapytałam go, czy mam już pójść do tej kobiety.

— Tak, będziemy razem magnetyzować jej rękę. Uważaj na myśli, które ci będę podawał.

Nie miałam żadnych ziół, ani maści w domu, gdyż lekarz nie kazał mi gromadzić takowych. Leczyłam ludzi i z najcięższych chorób po największej części zwykłymi środkami przyrodniczymi.

Miałam tylko jedno pudełko borowej maści, które już przedtem było w domu, nim zaczęłam leczyć ludzi. Chcąc już chwycić za klamkę i wyjść do kobiety, pomyślałam:

— Kobieta pewnie na mnie spojrzy ze zdumieniem, gdy będę robiła magnetyczne pociągnięcia na jej rękę; może jej kto nasugeruje, że czaruję — i zostawi mi tu jeszcze w domu jakieś niejasne myśli.

— No — rzekł lekarz — abyś już była spokojną, to weź to pudełko borowej maści, nasmaruj sobie nią końce palców i możesz zrobić kilka pociągnięć wprost na jej rękę, by miała złudzenie, że to maść jej pomaga.

I tak się też stało. Trudno mi tylko było utrzymać rękę w zupełnym spokoju, bez drgnienia, co trochę zwracało uwagę kobiety; bo kiedykolwiek lekarz magnetyzował razem ze mną, drżały mi ręce i płynął wówczas znacznie silniejszy łagodny, chłodny prąd z moich rąk na chorego.

Magnetyzując kobietę, odczułam wyraźnie każdą myśl lekarza, wysyłałą z siłą nakazu:

— Wszystka nieczysta krew, zanieczyszczona już od ręki, tu się musi zgarnąć! W tem miejscu do 24 godzin utworzy się ujście: rozłoży się tu niejako powierzchnia komórek w rękę i przepuści krew nieczystą.

Nie powtarzałam na głos tych myśli, ale łączyłam się z niemi swoją wolą i widziałam, jak pod wpływem tych myśli i pociągnięć już następuje zmiana w rękę. Będąc z kobietą zmagnetyzowana, czułam przy przystąpieniu do niej ból pod pachą i ścierpięcie dłoni; teraz ręka moja stawała się wolną, a twarz kobiety zdradzała, że i ona odczuwa zmianę, że cierpienia znikają. Brzydki potwór, roz-

dęta żaba odpadła podczas modlitwy. Zrobiłam tych kilka pociągnięć od ramienia wzdłuż ręki ku kciukowi, myśląc przytem:

— Tędy musi wyjść nieczysta krew!

Kobieta pytała z niepokojem w głosie:

— Nie muszę już iść do lekarza? Proszę pani, nie odejmą mi ręki?

— Nie — odrzekłam i sama zdumiałam się tą pewnością w głosie. Ale też i mocno wierzyłam, że tak będzie. Było mi już jasnym, że na czwarty dzień tylko pomarszczona skóra na ręce będzie jeszcze świadczyła, że było z nią źle.

Kiedy ją już zmagnetyzowałam, poszłam do pokoju, zapytując lekarza, czy skreśli mi dla niej jeszcze jaką radę, czy to już wystarczy?

— To jużby wystarczyło, gdyby kobieta miała większą wiarę. Ale cóż, nie możesz jej opowiadać teraz, jakie są istotne przyczyny tego zatrucia krwi w ręce, nie możesz jej mówić o żadnym elemencie, ni o przekleństwie dawnych przez nią wyrządzonych krzywd, boby ciebie nie zrozumiała, a może przekreśliłoby jej to w głowie, wmawiając w nią, że wierzysz w djabelstwa. A gdybyś jej nagle otworzyła niejako oczy i ujrzałyby złe duchy i elementale, zwarjowałyby. Wszak przyjdzie czas, kiedy i ona się przebudzi i zrozumie, co teraz czynisz dla niej.

I skreślił na papierze rady dla kobiety:

— Gotować pół litra rumianku pod pokrywką przez dwie minuty, dodać do tego garść dobrze rozgniecionego jałowcu i gotować jeszcze jedną minutę razem. Wlać to do wąskiej, głębszej miski i zanurzyć do tego rękę w tak gorącym wywarze, jaki tylko może wytrzymać. Kąpać tak rękę przez siedem minut, dolewając do tego co pewien czas gorącej wody tak, żeby ciepłota wciąż była jednaka. Następnie wyłożyć do nakrochmalonego płótna wygotowany jałowiec i rumianek i zawinąć tem dłoń.

I przestał pisać, mówiąc już tylko do mnie:

— Wszak wiesz, jakie własności mają te rośliny; skupiają się w nich dobre siły przyrody i przy odpowiedniem zastosowaniu ich mogą działać wiele dobrego dla organizmu. Magnetyzm będzie działał oprócz tego w dalszym ciągu, aż wypłynie zła krew i zagoi się mała ranka, przepuszczająca tę krew.

Wstałam, trzymając karteczkę w ręce, aby ją oddać kobiecie. Gdy już ujęłam za klamkę, powiedział jeszcze:

— Powiedz jej, by nie szła do lekarza i w sobotę, to jest na czwarty dzień znów tu przyszła. Po wypłynięciu tej nieczystej krwi niech znów kąpie rękę trzy razy na dzień, ale już w odwarze o miłej ciepłocie, przyrządzonym z rumianku z dodatkiem soku cytryny.

— Dobrze — rzekłam i wracając do stołu powiedziałam sama do siebie: — Ja już jej to wolę napisać, aby nie zapomniała.

A kiedy już wstałam od stołu, usłyszałam niepokojące myśli, jak zgrzyt:

— Rumianek, jałowiec, cytryna — ha, ha, ha, a gdzież baba ma na to pieniądze? A cytrynę gdzie kupi? Gdzie teraz dostanie cytrynę?

Przystanąłam trochę zniechęcona, wiedząc, że znów zakradł się niski duch i podsłuchał rozmowę myślową. Udałam jednak, że tego nie słyszę i już z myślą przeciwdziałania tym zakusom poszłam do kuchni. Wręczyłam kobiecie karteczkę, powtarzając jeszcze raz dobitnie, co ma robić, a także odliczyłam jej pieniądze, za ile ma kupić rumianku, jałowcu i cytryny i dodałam, że jeśli nie dostanie cytryny, niech się tem nie niepokoje, wystarczy kąpać rękę tylko w jałowcu i rumianku.

Kobieta poszła, mówiąc jeszcze przy drzwiach:

— Spadł ze mnie strach. Głowa już mnie nie boli, a rękę to tak jakbym już miała zdrową. Tylko czuję jeszcze jakby jakiś ciężar w dłoni, a kiedy mnie pani smarowała rękę, to mi było tak zimno w plecy, jakby mi je kto wodą zlewał i w żołądku i głowie mi się zakręciło, jakbym siedziała na karuzeli, ale potem mi się zrobiło zaraz cieplutko i tak jakoś wesoło!

Kiedy wychodziła z pokoju, przeciąg otworzył okna na oścież; chciałam przytrzymać drzwi, żeby przeszkodzić trzaśnięciu, nie udało mi się to jednak i trzasnęły, przymykając mi wszystkie cztery palce. Zabolalo tak, że nie mogłam nimi przez chwilę ruszać. Kobieta zauważyła, co mi się stało; zwróciła się do mnie trochę wylękła:

— A temu wszystkiemu ja jestem winna!

— Ależ nie, to przeciąg, nic się nie stało.

I ukryłam przed nią rękę. Uderzenie było tak mocne, że zsiniały mi paznokcie i nie mogłam zamknąć dłoni. Usiadłam na krześle, podpierając głowę, wiedziałam, że w tem jeszcze była jakaś inna przyczyna, a nie tylko przeciąg. I ujrzałam lekarza, jak uśmiechając się ujął te moje zgniecione palce i dmuchał na nie, mówiąc trochę filuternie:

— Nie boli, nie boli, nic się nie stało.

A w dali zauważyłam ducha, uciekającego przez pola w stronę brudnego, małego stawu; za nim ciągnęły się jeszcze, jak chmury, myśli:

— Łapy ci połamię, odechce ci się wyciągać je do ludzi!

Wstałam, wstrząsnęłam ręką, mówiąc sobie także:

— Nic niema, nic nie boli!

Lekarz troszeczkę nieśmiało spojrział na mnie i rzekł:

— Tłumaczyłem ci już, że w podobnych wypadkach bierze się na siebie mniej lub więcej tej karmy, tego ciężaru, który zdejmuje się z cierpiących.

I przystąpił do mnie, poklepał mnie po ramieniu, mówiąc:

— Ale ty jesteś dosyć silną, coś uniesiemy, prawda? A najsilniejszym — Bóg, Ojciec nasz; gdy On z nami, a my z nim, to wiele ulżyć możemy innym.

Na czwarty dzień było znów u mnie o kilka osób więcej, niż zwykle. Stali, siedzieli, było mi już trochę ciasno przejść pomiędzy nimi. Przyszła i kobieta z chorą ręką. Nie miała jej już wcale zawiniętej i widocznie ujrzała pomiędzy przybyłymi jakichś znajomych, bo witając się z nimi, śmiała się tak, aż jej było widać wszystkie jej ładne zęby. Pomyślałam zaraz: „No, pewnie już ręka zdrowa.“

Kobiety dawały jej do zrozumienia, żeby usiadła w rzędzie i nie mówiła tak głośno, bo może mi przeszkadza. Ona odezwała się:

— Ja właściwie nie wiem, czy jeszcze mam prosić tę panią o radę, bo już mi nic nie brakuje. Miałam przyjść w sobotę, więc jestem.

I dalej ciągnęła swoje opowiadanie:

— Wycierpiałach ja, wycierpiała, jak Chrystus na krzyżu! Lekarz powiedział: „Urznąć rękę“. No, ale ręka zdrowa, chwała Bogu.

I pokazywała ją. Weszłam właśnie pomiędzy nie, więc spojrzrzałam jej na rękę. Mówi:

— Od wczoraj już wszystko nią robię. Wyciekło mi z ręki mnóstwo takiej czarnej krwi i jakiejś ropy i zaraz potem już mogłam zamknąć dłoń. Jeszcze tylko ten wielki palec mam trochę ścierpnięty.

Weszłam do pokoju, pytam lekarza, czy już wszystko z nią załatwione.

— Zabandażuj jej rękę — brzmiała odpowiedź — zmagnetyzuj, watę, natartą lekko tą borową maścią, przyłóż w miejsce, gdzie krew wyciekła i powiedz jej, niech czysto trzyma tę małą rankę, niech ma rękę zawiniętą wciąż przez cztery dni i dopiero po czterech dniach może uważać ją za zupełnie zdrową.

Kobieta po zawinięciu jej ręki położyła pewną niedużą kwotę pieniędzy na stole, przepraszając mnie, że to tak mało, ale gdy mąż powróci z wojny, to mi osobiście podziękuje i więcej mi wówczas da. Wzięłam pieniądze do ręki i chciałam je wetknąć jej z powrotem, mówiąc, że już mi nic nie jest winna, a jeśli będzie mogła coś dobrego zrobić, niech zrobi dla drugich. Lecz kobieta energicznym ruchem ręki dała do zrozumienia, że pieniędzy z powrotem nie przyjmie. I ja uczułam lekkie zaciśnięcie palców, w których trzymałam pieniądze i zdałam sobie sprawę, że nie ja, tylko kto inny włada w tej chwili moją ręką i odkłada pieniądze znów w to samo miejsce.



Wyleczenie rodziny, chorej na zastarzały świerzb.

Pomiędzy chorymi była też kobieta chora na świerzb, która w domu zostawiła siedmioro dzieci. Najmniejsze z nich ośmiomiesięczne, najbardziej płakało i spać po nocach nie dawało. Kobieta niewyspana, zmęczona, zataczała się po kuchni. Szybko zrobiłam jej miejsce, by mogła usiąść. Ledwo przy niej stanęłam, uczułam, że mię całe ciało zaczyna swędzieć. Nim się zorientowałam, że to pochodzi od niej, zaczęła lekko trzeć ręce i przecierać także twarz, oczy. Odczułam natychmiast gwałtowniejsze swędzenie. Zaraz zrozumiałam, że to pochodzi od tej chorej i że wszelkiem bezmyślnem tarcieniem na swoim ciele jeszcze wcieram w naskórek zarazki świerzbu z tej kobiety, a nawet i z jej dzieci. Chcąc co prędzej załatwić z nią, odezwałam się:

— Wszyscy, co przyszli wcześniej, zaczekają cierpliwie, a ja najprzód wam poradzę, bo wam to małe w domu płacze i wszystkie dzieci macie chore, a wy również chorzy i zmęczeni.

Nie znałam jej przedtem, widziałam ją pierwszy raz, lecz wiedziałam, co ją do mnie prowadzi i ile ma dzieci.

Poszłam do pokoju, by napisać rady dla chorej kobiety i dzieci. Sama byłam trochę ciekawa, co lekarz doradzi, gdyż świerzb już był stary i na ciele już gęsto pojawiły się strupy, a dzieci miejscami były podrapane do krwi.

A lekarz pisał moją ręką:

— Najprzód wykąpać najmniejsze dziecko w bardzo ciepłej wodzie, do której trzeba wrzucić 3 kawałki zwykłej sody do prania wielkości naparstka. W jednym garnuszku mieć ugotowane pół litra wody ze stołową łyżką soku z cytryny, a w drugim dwie garście rumianku. Po kąpieli zawinąć dziecko we flanelę, nie wycierając, a za pół minuty zwilżyć całe ciało z wyjątkiem oczu szmatką, maczaną w wodzie z cytryną i znów nie wycierać dziecka (zmocone trzymać nagie o ile możności przy ciepłym piecu). Za minutę zmoczyć drugą szmateczkę w odwarze rumianku i znów lekko namoczyć całe ciało dziecka, szczególnie tam, gdzie jest świerzb. Potem już zawinąć, nakarmić i ułożyć do snu.

Następnie kąpać dzieci coraz starsze po kolei we większej ilości wody, lecz zamiast trzech naparstków sody wsypać jej trzy garście, a do wody z cytryną, używanej poprzednio, wygnięść jeszcze sok z jednej całej cytryny i dodać małą łyżeczkę gliceryny. Po wykąpa-

niu się również osuszać ciało przy gorącym piecu i zmoczyć wodą z cytryną i gliceryną, a następnie odwarem z rumianku, do którego doleje się trochę słodkiego przegotowanego mleka. — Na ostatku miała się kąpać matka.

Zapytałam lekarza, kiedy oni będą zdrowi.

— Do dziewięciu dni — brzmiała odpowiedź — ósmego dnia może tu przyjść.

Oddałam kobiecie karteczkę, tłumacząc jej jeszcze ustnie, co ma czynić i powtórzyłam jej słowa lekarza, że za 9 dni będą zdrowi. Zdumiona powiedziała:

— Matko święta! Gdyby to tak była prawda! Dziecko ma osiem miesięcy, a ja już na całym brzuchu, miałam świerzb, przed jego narodzeniem się. Tak strasznie się męczy, a tamte dzieci też. Ani tu w dzień spokoju, ani spania w nocy! Dostałam taką czarną maść od doktora, ale tak strasznie paliło, gdy się nią posmarowałam, że już nie odważyłam się smarować dzieci.

Przy tych jej słowach nagle usłyszałam, jak lekarz mówi:

— I przy tem leczeniu będzie paliło i bolało, ale trzeba wytrwać, a świerzb zniknie.

Powtórzyłam to kobiecie i ona obiecała, że już wytrzyma, by tylko mogli wrócić do zdrowia, bo już jej „idzie na zwarzowanie”.

Przed odejściem kobiecina rozwiązała mały węzełek, chcąc mi płacić. Kiedy wychodziła z domu, biorąc ostatni grosz, zamierzała zań kupić bochenek chleba i litr nafty, lecz potem zdecydowała się pójść do mnie i oddać mi pieniądze ze udzieloną radę, o ile ją przyjmę. I to ujrzałam, to też powiedziałam jej:

— Zostawcie sobie na chleb i naftę, bo nie macie czem świecić wieczorami, a dzieci chore.

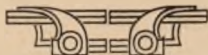
Kobiecie wypadły pieniądze z ręki, patrzyła na mnie w osłupieniu. Lecz już inne wtłaczały jej pieniądze z powrotem do ręki. Dodałam jej jeszcze tę kwotę, którą zostawiła mi poprzednio kobieta z chorą ręką.

Ósmego dnia przyszła, jak jej poleciłam. Całując mnie po rękach i prosząc o przebaczenie, mówiła:

— Oj, klenach też to, klenach, na czem świat stoi! Bo też to szczypało, paliło — a dzieci także wrzeszczały! Ale w pięć minut po kąpieli i wysmarowaniu już ani nie swędziało, ani nie bolało — i takeśmy się znów wszyscy modlili za zdrowie pani.

I ukazała mi rzeczywiście już gładkie ręce.

Zaleciłam jej już tylko wytrzeć na noc ciało sobie i dzieciom rumiankiem z mlekiem, a potem robić normalne kąpiele w czystej wodzie.



Pułapki nastawiane na mnie.

Dobre duchy ostrzegają oficera.

Tegoż dnia, kiedy ta kobieta była u mnie po raz pierwszy, nie zgłosił się żaden biedny o zapomogę. Na drugi dzień wstałam pod nawalem dziwnych myśli, że chyba nic złego się nie stanie, jeśli raz za pewien czas zatrzymam pieniądze dla siebie. I nagle zaczęły mi się nasuwać natrętnie myśli: „Tego nie mam, to i to trzeba kupić“ i t. d.

Wstałam, otworzyłam szufladę, przeliczając pieniądze. Zdumiałam się — była tam pokaźna sumka. Nie wiedziałam tego wieczorem, ile dają do szuflady, bo wogóle nie przykładałam wagi do pieniędzy i nie lubiłam ich liczyć. Pokazało się, że za kwotę, która mi z wczoraj została, ktoś biedny mógłby sobie kupić całą furę węgla, a może jeszcze i obuwie.

Skądś wzięła się myśl: „Kup sobie ładne trzewiki“. Odpychałam tę myśl: „Mam przecież dobre trzewiki, chociaż skromne! Może właśnie dziś ktoś przyjdzie, co bardziej będzie potrzebował“.

I już chciałam zamknąć szufladę z pieniędzmi, kiedy ujrzałam przez okno nadjeżdżające auto i conajmniej siedem kobiet, zdążających z przeciwnej strony także do mnie. I znów obrzydliwa myśl: „Jeśli dziś nie zgłosi się nikt biedny, to wartoby mi było pójść do miasta z wczorajszymi pieniędzmi i temi, które jeszcze dziś dostanę.“

Lecz już tak przelęknąłam się tej myśli, że z powrotem uciekłam do łóżka, zakrywając się aż na głowę — i ze smutkiem przypomniałam sobie, że jeszcze się nie modliłam, a już przeliczałam pieniądze. Zaczęłam się modlić gorąco, by odpędzić te niedobre myśli — i dopiero wtedy ujrzałam, jak całą noc wysilały się ciemne duchy, by złapać mnie w te myślowe sieci. Czułam, jakby moje dłonie były zbrukane i odruchowo wciąż je ocierałam o prześcieradło, modląc się. Lecz już dawano mi do zrozumienia, że na mnie czekają ludzie.

Wysłałam do nich. Trzy nieznajome wyciągnęły do mnie rękę na powitanie i odrazu chciały mi wsunąć pieniądze, prosząc o radę. Było mi smutno jeszcze po tem, co przeżyłam, ale w tym odruchu wyczułam dokładnie, jak niska siła nie daje za przegraną i jak atakuje mnie w dalszym ciągu w sposób, w jaki miała nadzieję ściągnąć do upadku moją duszę. Odmówiłam przytecia pieniędzy, lecz także odmówiłam im udzielenia jakiegokolwiek rady, widząc, że przy-

szły z nieczystymi sprawami, mianowicie bym poradziła im, gdzie mają schować beczkę spirytusu, 9 worków cukru i inne rzeczy, by komisja na to nie wpadła. Odeszły niezadowolone, patrząc na mnie chmurnym wzrokiem.

I tak się złożyło, że i cztery inne przyszły do mnie z brudnymi sprawami. Ledwo tamte trzy odeszły, weszła za mną do pokoju jedna z kobiet, mówiąc:

— Zapłacę pani dobrze, mam dom murowany, a także starą chałupę i cztery morgi gruntu przy niej. Podaruję pani tę chałupę wraz z polem — ale niech pani tak zrobi, żeby z mojego męża odpały kawałki mięsa.

Nie odpowiedziałam nic, tylko wzięłam ją lekko za ramię, wyprowadzając za drzwi i aż do drugich drzwi wejściowych na dwór. Kobieta może myślała, że jej chcę poradzić na dworze, więc wyszła posłusznie. Tam dopiero odezwałam się:

— Idźcie i nawet na ten dom się nie oglądajcie, a nigdy więcej z czemś podobnem progu mego nie przekraczajcie! Pamiętajcie o tem, że Chrystus nie kazał tak czynić, a ja chcę żyć według woli Bożej.

Jakoś nie chciało mi się wracać do mieszkania, chętnie poszłabym w pola. Zauważyłam, jak w pewnem oddaleniu od domu przechadzał się jakiś wyższy oficer, widocznie czekał, aż oddalą się te kobiety; nie chciał może razem z niemi czekać na swoją kolej.

Pozostałe trzy przyszły ze sprawami sądowemi i wszystkie trzy właśnie ponosiły winę, a jeszcze chciały, żeby tak zrobić, aby bydło zdychało ich przeciwnikom i aby kości połamali.

Aż ręce złożyłam, stojąc tak pomiędzy niemi.

— Odejdźcie — rzekłam — nie zakłócajcie mi spokoju! Jesteście winnemi, wy jesteście przyczyną krzywd innych i jeszcze dalej chcecie ich krzywdzić?

I nagle stanęła przedemną jasno cała sprawa długoletniego sądu i wszystkie krzywdy, zadane przez nie. Szybko jednej, drugiej i trzeciej powiedziałam, w czem zawiniły, oraz dałam im rady, jak mogą naprawić krzywdy. Zmieszane przyznały, że to prawda, co widzę, ale trudno, one darować nie mogą, niech się dzieje, co chce.

Poszły. Za chwilę przyszedł oficer z papierosem w ustach. Zwróciłam mu uwagę, żeby natychmiast rzucił papieros w piec, lub za drzwi, gdyż nie znoszę wszelkiego rodzaju tytoniu i przeszkadza mi w spokojnem patrzeniu wzrokiem ducha. Usłuchał. Byłam jeszcze trochę niespokojna po tem, co przeżyłam zrana i z temi kobietami. On zapytał:

— Czy pani może mi powiedzieć, poco tu przyszedłem?

— Nie wiem — odparłam krótko, — przeżyłam coś przykrego, nie jestem zupełnie spokojną. Proszę poczekać minutę, zaraz przyjdę i rozpatrzę.

Poszłam pomodlić się i już w trakcie modlitwy ujrzałam życie tego oficera; ujrzałam naraz tego tyle, że przyszedłszy z powrotem nie wiedziałam, od czego mam zacząć. Lecz odezwał się sam:

— Słyszałem o pani nadzwyczajne rzeczy i przyszedłem także po radę do pani, więc jeśli pani już może, niech mi pani z łaski swej odpowie na moje zapytania, skreśliłem je sobie już przed przybyciem tu.

Powiedział pierwsze pytanie: wymienił imię panienki i zapytał, czy mogą mu coś powiedzieć o tej istocie, nie mówiąc, że to jest jego narzeczona.

Odrzekłam mu, że resztę zapytań nie potrzebuje czytać, gdyż wiem, o co chodzi. Powiedziałam mu, jak wygląda jego narzeczona, skąd przyjechała, jak się poznali. Lecz on chwilami przerywał mi. Kiedy mu powiedziałam, że narzeczoną swą krótko zna, rzekł:

— To prawda.

— Przyjechała z głębi Rosji, gdzie bawiła dwa lata.

Pokręcił głową, mówiąc:

— Nie wiem, prawdopodobnie pani się myli, bo tego wcale mi nie mówiła jej babcia.

Opisałam mu, jak ta babcia wygląda i gdzie według jej opowiadania spędziła wnuczka te dwa lata.

— A ja tymczasem widzę tę panienkę z butelkami w rękach, obsługującą gości i bawiącą się wesoło. Widzę także jej ciało i widzę, że nie jest zdrową; przechodziła taką a taką chorobę i są jeszcze ślady po tem.

Było mi przykro mówić o tem, lecz jeden z dobrych duchów wprost trzymał mnie za ramiona, każąc mi to wszystko powiedzieć. Gdy wymieniłam rodzaj choroby, oficer zerwał się na równe nogi, zaczął nerwowo chodzić po pokoju, wreszcie stanął przede mną, mówiąc:

— Dużo prawdy mi pani powiedziała, ale niektóre rzeczy są tak straszne i nieprawdopodobne, szczególnie co do tej choroby, że pani sobie może nawet nie zdaje sprawy, jak ciężko pani obraziła moją narzeczoną, którą niebawem mam poślubić. Niech mi pani wierzy, gdyby to zrobił kto inny, to zabiłbym go na miejscu! Niech pani popatrzy dobrze, przecież to jest dziecko takie czyste, młode, bo niepełna osiemnastoletnie. Ona nawet jeszcze mi się nie pozwoliła pocałować — prędej nie, aż po ślubie.

Przykrą mi była cała ta scena, lecz dobry duch kazał mi mówić dalej:

— Po powrocie ode mnie niech pan powie swojemu przyjacielowi, lekarzowi, żeby zbadał ją osobiście, a to dlatego, że gdyby pan nie uwierzył mi i ożenił się, a dowiedział się smutnej prawdy po ślubie, zastrzeliliby pan nie tylko ją, lecz i siebie, a pan ma żyć jeszcze, mając matkę i rodzeństwo, którym ma być jeszcze podporą w życiu, a przytem sam należy pan do budzących się duchów.

Oficer wypadł z mieszkania, nie żegnając się wcale. Zamknęłam za nim drzwi i niemal jęknęłam:

— Boże, jakie ciężkie zadanie!

Za pięć dni przyszedł ten sam oficer, bardzo zmieniony, dziwnie złamany i zaczął mówić pokornym głosem, kryjąc twarz w dłoń:

— Pani miała rację... Nie chciała się dać zbadać mojemu przyjacielowi. Została zbadana przemocą, a przyciśnięta do ściany wyznała wszystko. Więc prawdą jest, pani uratowała mi życie! Jakże się pani odwdzięczę? I czy ma pani jakie lekarstwo, bym zapomniał o tym przykrym epizodzie mego życia, bo mi to sen odbiera i staję się taki jakiś niesamowity. Nie wiem, nie wiem, czy o niej kiedy zapomnę, ja ją tak kochałem!

W tejże chwili odczułam przy sobie opiekuńczego ducha i powtórzyłam podane przez niego myśli: Nie ma wypuszczać ze swej opieki tej nieszczęśliwej, gdyż nie tyle winna tu ona, ile babka chciwa pieniędzy, która popchnęła ją na tę drogę, chcąc ją wydać potem zamąż za bogatszego człowieka i mieć się przy nich dobrze. Dziewczyna wówczas nawet 15 lat nie miała, kiedy ją babka na tę drogę popchnęła, a zarazem nauczyła ją, jak się ma maskować przed ludźmi, jak się ma zachowywać w towarzystwie, by udawać bardzo porządną. Duch opiekuńczy polecił oficerowi, by ją dał do lecznicy i dopomógł jej, aby później sama mogła uczciwie pracować na siebie; pieniędzy, które chciał mi dać w nagrodę za radę, niechaj także użyje na ten cel.



Bogaty fabrykant w przebraniu chce wypróbować moje jasnowidzenie.

I tak z dnia na dzień przychodziły do mnie zastępy ludzi.

Pewnego dnia wieczorem po modlitwie zostałam przeniesiona duchem do pewnego hotelu, gdzie siedziało sześciu panów, którzy żywo gestykulując rozmawiali na temat jasnowidzenia. Były to same t. zw. „grube ryby“. Czterej z nich byli przekonani, że jasnowidzenie istnieje i że trzeba się poważnie zastanowić nad takimi sprawami, dwaj inni upierali się, że to błaga, oszustwo i twierdzili, że wcale nie wierzą w to, jakobym mogła coś widzieć poprzez mury, a tem bardziej widzieć coś z życia jakiejś osoby, której wcale nie znam. Zrobili wreszcie zakład. Jeden z tych dwóch niewierzących rzekł:

— Dobrze, pójdę tam i jeśli będzie wiedziała, kto jestem, tylko kto jestem, jeśli się przekonam, że widzi, płacę beczkę wina i dwieście koron.

Widziałam wyraźnie wszystkich sześciu. Zaraz potem zasnąłam; odeszłam w zaświaty z moimi dobrymi przyjaciółmi.

Następnego dnia jeden z tych sześciu panów, ten, który się podjął tego zadania, zapukał do mych drzwi. Był to majątny fabrykant, lecz tego dnia przebrał się. Miał na sobie połatanе ubranie robotnika, ręce brudne. Ledwo wszedł, zaczął mówić błagalnym głosem:

— Szanowna pani, słyszałem, że pani taka miłosierna dla biednych ludzi. I ja jestem biedny. Co mi pani poradzi? Jak mam sobie ułożyć życie? A może mi pani na początek pomoże, bo jestem bez pracy.

Wiedziałam już, kto to jest; powiedziałam mu:

— No, rzeczywiście, pan wygląda na bardzo biednego człowieka, bo ubranie, które pan ma na sobie, nie jest pańskie, ale za to bielizna już jest pana własnością, chociaż koszulę przykrył pan brudnym półkoszulkiem.

Nie rozgniewałam się, lecz raczej rozśmieszyła mnie cała ta komedja.

W tejże chwili ujrzałam swojego Opiekuna, jak uśmiechał się, kładąc palec na usta na znak, bym jeszcze milczała. Poprosiłam gościa, by usiadł i powiedziałam, że za chwilę wrócę. W kilka sekund

pouczył mnie duch ochronny, co mu mam powiedzieć; między innymi polecił, by owe 200 koron dał na biednych.

Wróciwszy mówię:

— Jak się panu chciało tak brudzić te ręce!

Prosił mię jeszcze, bym mu powiedziała, jak to zrobił.

Opisałam mu tedy, że widzę, jak wziął kawał węgla do ręki, pocierał nim ręce, a służąca lała mu na nie zimną wodę. Temi brudnymi rękami nacierał sobie potem szyję i twarz. Twarz wytarł następnie jako tako ręcznikiem, szyję już mniej, a ręce zostawił, aż oschły z tym brudem i dopiero później trochę wytarł.

Fabrykant zawołał:

— Dostyc już, dostyc, więcej do przekonania mnie nie trzeba.

Nadmieniłam mu także o tej beczce wina i dwustu koronach, mówiąc to, co polecił mi duch ochronny.

— Dwieście koron możecie dać dla biednych dzieci skrofulicznych i anemicznych, ale beczkę wina, jeśli już tak koniecznie chcecie, wypijcie sobie sami, ja z wami pić nie będę.

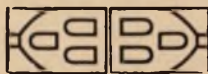
Lecz fabrykant odezwał się:

— Droga pani, ja dam jeszcze drugich dwieście koron i więcej dla biednych, ale wino pani z nami wypije? Muszę przebłagać panią za to, że nazwałem ją oszustką!

I prędko oddalił się.

W niedzielę nadjechało auto z nim i jego trzema kolegami; chcieli mnie zabrać, by dotrzymać danego słowa. Wiedziałam o tem już wcześniej; Opiekun polecił mi ubrać się i wyjść z domu na całe pół dnia na przechadzkę w pola, lub do kogoś znajomego, lecz nie mówić nikomu, gdzie idę, powiedzieć tylko, by powiadomiono panów, którzy się zgłoszą do mnie, żebym z nimi pojechała, niechaj na mnie nadaremnie nie czekają, bo nigdzie nie pojedę i wina z nimi pić nie będę — i niech się nie wazą przyjeżdżać z winem do mnie w nadzieji, że tam urządzą jakąś bibę.

Wkrótce po mojem odejściu nadjechało auto. Choć im powiedziano, że mnie w domu niema i powtórzono moje polecenie, mimo to czekali na mój powrót całe cztery godziny. Wkońcu, widząc, że się to na nic nie przyda, odjechali, zostawiając mi list z prośbą o przyjęcie ich w innych ważnych sprawach oraz z obietnicą, że pieniądze, które mieli użyć na wino, obrócą także na dobry cel.



Kobieta w pozornej ciąży.

Dlaczego niektórych chorych nie pozwolono mi brać pod opiekę.

I znów zjawiała się nowa chora. Była uśmiechnięta, szczęśliwa ze swej choroby — myślała bowiem, że jest w ciąży, a dolegliwości, jakie odczuwa, są z tem związane. I rzeczywiście wyglądała, jak w ósmym miesiącu ciąży. Widziałam jej spieczone wargi, gorączkowe oczy i drżące ręce. Mówiła uśmiechnięta z rozradowaną twarzą:

— Ja pani długo męczyć nie chcę, proszę mi tylko powiedzieć, czy dzieciątko będzie zdrowe i czy szczęśliwie przetrwam poród.

Zmrużyłam lekko powieki i zdumiałam się, nie mogąc koło niej dojrzeć astralnego ciała dziecka. Chciałam bowiem najprzód tylko tak sama dla siebie spojrzeć, jaki też to duch idzie na świat, że tak miłościwie jest wyczekiwany. Pomyślałam, że dlatego nie widzę astralnego ciała dziecka, że kobieta usiadła naprzeciwko okna, przez które właśnie słońce jasno świeciło. Usadowiłam ją w miejscu, gdzie nie padały na nią promienie słońca i znów patrzę — i znów nic nie widzę.

Zaniepokojona tem nieco, pomyślałam:

— Może było trochę płytkiej ciekawości w tem mojem pragnieniu, by się dowiedzieć, jaki to duch się zrodzi i spotkała mnie taka mała kara, że zaraz nie mogę dostrzec astralnego ciała, ni ducha. No — powiedziałam sobie — spojrzę do macicy na położenie dziecka, a powiem kobiecie to, co sobie życzę wiedzieć.

Patrzę, lecz żaden prąd magnetyczny w macicy i naokoło niej nie świeci tak, jak mniej lub więcej świeci ciało dziecka. Przysunęłam się z krzesłem bliżej ku kobiecie, chwyciłam ją za rękę, drugą położyłam sobie na oczy i tak usilnie zaczęłam patrzeć, że aż mi się głowa trochę zatrzęsała, żyły zabolowały mnie w tyle szyi i gorąco zrobiło mi się w czole, a po całym ciele przeszła słabość. Lecz znów nie dojrzałam dziecka.

Strwożyłam się bardzo, że musiało się stać ze mną coś niedobrego, kiedy nie mogę dojrzeć dziecka i szepnęłam cicho w myślach:

— Boże, co się to dzieje?

I dziwnie zmieszana jeszcze mocniej przycisnęłam dłoń na oczy, jakby mi te oczy cielesne przeszkadzały — tak, aż odczułam w nich lzy. Nie mogąc jednak mimo to dojrzeć dziecka, puściłam rękę kobiety i myślą zaczęłam przywoływać ducha lekarza, by mi wytłu-

maczył, co się to właściwie stało, że nie mogę ujrzyć dzieciny. Kobiecie nie przyznałam się, co się w mojej duszy rozgrywa, powiedziałam jej tylko:

— Zaczekajcie troszeczkę, bo chciałabym dobrze zobaczyć, a przeszkadza mi to, że chwilę przedtem patrzyłam przez okno, a słońce świeciło mi wprost w oczy.

W innych wypadkach mogło to być prawdą, lecz w tym właśnie nie.

Ale już ujrzałam lekarza, a ten powiedział:

— Wiedziałem, że ona tu przyjdzie, lecz nie mogłem przybyć momentalnie, gdyż właśnie miałem ważne zadanie. Ta kobieta nie jest w ciąży i nie będziesz jej radzić, co ma czynić, aby pozbyła się tego, co ma w macicy. Ona święcie wierzy, że jest w ciąży. Jest już po trzydziestce, a nie miała jeszcze dzieci, więc myśli, że to są oznaki ciąży, tem bardziej, że przy powierzchownem badaniu utrwalił ją w tem przekonaniu lekarz, u którego była przed przeszło czterema miesiącami. Patrz tylko spokojnie, lecz nie bierz jej za rękę, byś zbyt nie magnetyzowała się z jej nieczystościami.

Nie był to rak, lecz splot mnóstwa żyłek i żył, napełnionych krwią, przerośnięty i otoczony dookoła kawałkami krwi i różnemi włóknami, tworzącemi niby skórę. Było to coś w rodzaju polipa, wielkości garnka litrowego, umocowane jakby pępownią w macicy, a poruszające się wolno w wielkiej masie wody, niby płodowej. Gdy przyjrzałam się temu bliżej, ujrzałam ledwo dostrzegalny astralny owal. W tem wszystkim siedziała małpka, to jest astralny elementał małpki. We wodzie zaś pływały inne elementale różnych kształtów, jak rybki i raki i różne bakcyle, sprzyjające rozwojowi choroby tak zw. raka, które niejako magnetycznie pożerał ów polip z krwi, żył i włókien.

— Dosyć — powiedział lekarz, — nie patrz już dłużej w to miejsce. Wewnątrz macicy już zaczyna się stan zapalny. Powiedz jej, niech idzie do lekarza, że tam coś w macicy jest niedobrze i że ona musi zostać jakiś czas pod jego opieką, by nie dostała zapalenia macicy lub zatrucia krwi.

Powtórzyłam to kobiecie, a ta wylękła zerwała się na równe nogi.

— Co to jest zapalenie macicy, nie wiem, ale zatrucie krwi, to słyszałam, że jest coś bardzo złego. A to dlatego mnie tak po bokach kłuje i już spać nie mogę!

I już się zabierając do wyjścia, pytała:

— A pani na to lekarstwa nie ma?

— Dostaniecie od lekarza — odrzekłam krótko.

— A czy dziecko zdrowe? Proszę pani, niech mi pani tylko to powie!

— Zdajcie wszystko na wolę Bożą — uspokajałam ją. Było mi nieprzyjemnie, że nie mogę jej powiedzieć prawdy, bo potem powie, że też nic nie widziała, czy będzie mieć dziecko. Lecz lekarz już, już wprost odciągał mnie od tej kobiety.

Kiedy odeszła, odezwał się do mnie:

— Kobieta ta jest ciężką karmą obarczona. W poprzednim życiu była akuszerką i wiele płodów zniszczyła, bogacąc się na tem i ciesząc się, że nikt nie dowiedział się o jej niecznej robocie. Teraz s płaca swoją karmę. Obecnie cieszy się jeszcze, że będzie miała dziecko — i to będzie całą jej męką przez całe jej to obecne życie, że nie doczeka się dziecka, którego tak pragnie ona zarówno, jak i jej mąż. Ten pewnie ją przez to znienawidzi i rozejdzie się z nią, bo on będzie poniekąd tem głównym narzędziem wyrównania sceny karmicznej. Nienawiść jego będzie miała źródło już gdzieindziej, w innej krzywdzie, którą mu ona ongiś wyrządziła.

Widzisz tamte duchy? — dodał, wskazując mi. — To duchy świadomie źle czyniące i znające karmę różnych ludzi. Wiedzą one dobrze, że ona nie jest w ciąży, lecz podtrzymują te jej myśli, dodając do nich obrazy, wytworzone przez siebie; przybierają na siebie we śnie postać maleńkiego, ładnego dziecka, uśmiechającego się do niej, to znów trochę większego, niby już starszego, wołającego: „mamo, mamo“. A ona tak się cieszy temi snami.

Ujrzałam, jak we wielkim koszu leżały u niej całe stopy dziecięcej garderoby. Skwapliwie przygotowywała bowiem z najlepszego jedwabnego płóciénka i drogich koronek bieliznę dla niemowlęcia. Mały pokoik u siebie nazwała już pokoikiem dziecięcym, przygotowała tam zawczasu bogaty wózeczek, nowe łóżeczko, a wysoka, biała, elegancka kołyska, cała spowita w koronki, stała już przy jej łóżku, w którym zamierzała odbyć poród. Rodzinę powiadomiła o radosnej wieści i nienarodzone jeszcze dziecko miało już i chrzestnych rodziców, zawczasu obranych. Sprytne duchy, oglądając te bogactwa i wszystkie przygotowania na przyjście dziecka, robiły pocieszne miny. Mąż kobiety miał też już gotowy bogaty prezent dla żony, kostjum, suknię i pierścień z djamentem, które chciał jej wręczyć, jak tylko dziecko się narodzi.

...I poszła do lekarza. Ten skrupulatnie zaczął ją badać, aż krople potu wystąpiły mu na czoło. Był to ten sam, który jej poprzednio powiedział był, że jest od czterech miesięcy w ciąży. Zmieszany pytał ją raz i drugi:

— Więc to ja, ja, pani wówczas powiedziałem, że pani jest w ciąży, tak?

— No tak, pan przecież pamięta, zem tu była i pan mi mówił, że to już czwarty miesiąc ciąży.

— Ach tak — odrzekł lekarz, — lecz ja nie miałem wówczas czasu na dokładne zbadanie pani, a teraz widzę, że tu coś jest nie w porządku. Pani musi pójść do szpitala.

Kobieta zaczęła błagać, żeby nie dawać jej do szpitala; ona już mu dobrze zapłaci, niech ją tylko w domu leczy. Fala karmy zaczęła na nią uderzać. Lękała się, sama nie wiedząc jeszcze, dlaczego; zaczęła się bać niby szpitala. Otrzymała lekarstwo, które kazał jej zażywać, polecając jej, że skoro tylko uczuje dolegliwości, coś w rodzaju bólów porodowych, to zaraz ma po niego przysłać.

I tak się stało. Przyszły bóle podobne do porodowych i z macicy wyszło wszystko. Ujrzała to swoje dziecię w kuble: niekształtną

masę żył i kawałków krwi i jakichś błon. W rozpacz i strachu zaczęła narzekać na lekarza, że on jej struł lekarstwem dziecię. Nie chciała mu nawet wcale zapłacić za leczenie.

Wówczas znów przypomniał mi dobry lekarz duchowy, jak to mię ostrzegał przed udzielaniem jakichkolwiek rad tej kobiecie. Wytłumaczył mi, że te same zarzuty, jakie robiła tamtemu lekarzowi, spotkałyby mnie, ale narobiłyby więcej hałasu, bo o to już postarałyby się niskie duchy.



Pomoc najbiedniejszym.

Smutne obrazki nędzy z czasów wojennych, z której korzystały niskie duchy, by popychać ludzi do upadku.

Było mi bardzo przykro, kiedy za porady chciano mi płacić. Wiedziałam, że przez 3 miesiące nic nie mam brać, a po trzech miesiącach mam tem, co otrzymam, dzielić się z innymi, o ile możności nie odkładając z dnia na dzień rozdania tego, co otrzymam w darze. Trudno mi było jednak tego dopilnować, bo ani spostrzegłam, kiedy ktoś jakąś drobną kwotę pieniężną położył niepostrzeżenie na kredens, na piec kuchenny, na okienice, nawet do wazonika na kwiaty. Kilka razy, kiedy spostrzegłam po odejściu przybyłych takie małe gromadki, pozbierałam je i szybko biegłam za nimi, a kiedy nie chcieli tego przyjąć zpowrotem, a niepodobna było rzucić tego na ziemię, wracałam smutna, bardzo smutna z pieniędzmi w ręce i popłakałam sobie po powrocie. Czułam, że ludzie robią mi poniekąd krzywdę, dając mi pieniądze, których Opiekun nie pozwolił mi brać.

Wówczas przyszedł zawsze dobry Opiekun, owładnął moją ręką i uczynił dwie lub trzy małe gromadki z tych pieniędzy. Czasem wieczór już zapadł, a moja ręka owładnięta rozdzielala pieniądze. — Następnie brałam do koszyczka jajka, przynoszone mi w darze, początkowo jeszcze w małej ilości, trochę masła i dzban mleka i szłam.

Powiedziano mi: „idź“. Zawierając za sobą drzwi, wiedziałam już, w którą stronę mam się zwrócić, nie wiedząc jeszcze, do kogo i jak daleko. Jeśli przyszłam na skrzyżowanie dróg, przystanęłam na moment i ktoś jakby ujął mnie za ramiona i obrócił na tę ścieżkę, po której trzeba było iść. Nieraz ciemno było zupełnie, a ja prędko niemal biegłam po drodze, aż stanęłam u drzwi, a wtedy dopiero ujrzałam nagle wyraźnie, komu mam oddać to, co niosę.

Tak n. p. pewnego wieczoru, stanąwszy przed ubogim domkiem, ujrzałam naraz następujący smutny obraz: W jednym łóżku na gołej słomie bez prześcieradła, na nędznych poduszkach leżała staruszka i jej córka, a w środku dziecko tej córki. Córka niezamężna, bo biedny robotnik tuż przed ślubem powołany został do wojska. Matka otrzymywała zapomogę po synu, a biedna młoda matka wcale o jakkolwiek pomoc dla siebie prosić nie mogła. Staruszka z głodu i zmartwienia ledwo nogami włókła, a od kilku dni zaniemogła zupełnie. Rozchorowało się również i dziecko, bo brak było dla niego

pożywienia — i młoda matka nie mogła iść do pracy, gdyż trudno jej było odejść od dziecka i staruszki ciężko chorych. Już przedtem sprzedała była chuścinę i pierzynę, aby tylko uratować się od głodowej śmierci i tegoż dnia, kiedy ja stanęłam za drzwiami, zdjęła z siebie ostatnią koszulinę za pół kwarty mleka.

Leżały tak obie z dzieckiem w jednym łóżku, a młodej matce przesuwaly się straszliwe gorączkowe myśli, by poderżnąć gardło babce, dziecku, a potem sobie i tak zakończyć nędzny żywot. Nóż wyostrzony przedtem na kamiennym schodku przed drzwiami wsunięty był pod głową nieszczęsnej istoty.

Wszystko to przesunęło mi się przed oczyma.

Zapukałam. Przez chwilę nikt się nie odzywał. Młoda matka szeroko otworzyła oczy, patrząc w ciemnej izbie z jakimś lękiem i trochę dziko przed siebie. Staruszka coś zastękała. Miałam wrażenie, że jedna i druga nie wiedziały, iż stukałam do drzwi. Młoda matka w zmieszaniu zaczęła odmawiać modlitwę za dusze zmarłych; myśl o ostrym nożu wciąż przesywała tę modlitwę — i tak modliła się niejako za zmarłą swoją matkę, siebie, dziecko, bo zamierzała już skutecznie to, do czego przygotowała się za dnia.

Zapukałam silniej po raz drugi. Modlitwa się urwała, a ja ujrzałam teraz wyraźnie straszego ducha, ukrywającego się za beczką kapusty, stojącą w rogu izby — kapusty, stanowiącej jedyny ich posiłek dla ciała. A myśli tego czarnego ducha, jak wielkie myszy gonily się po podłodze i garnęły się jak ku wielkiej ponęcie do wezglowia na ostrze noża, myśli bardzo urągające miłości Bożej.

— Otwórzcie! — zawołałam.

— Kto tam? — zapytał niepewny głos.

— Swój — powiedziałam, choć mnie nie znali. — Niosę wam mleko.

Drewniana zasuwą odsunęła się. Maleńka, nierówna sionka i już byłam w izbie. Przy niedużem oknie stół. Kobieta daremnie szukała za świeczką, czy lampką. Tymczasem ułożyłam wszystko na stole, kładąc obok pudełko zapalek i świeczkę. Powiedziałam:

— Zapalki i świeczkę przyniosłam także, macie tu na stole. Nie traćcie nadziei w Boga, bo nie będzie tak źle, jak myślicie, z głodu nie poginiecie. Gdy babcia i dziecko będą zdrowsze, pójdziecie do pracy. Ja może jeszcze przyjdę, nie wiem.

I już wychodząc i zamykając drzwi za sobą, słyszałam, jak kobieta obraca w ręce pudełko zapalek; nim zaświeciła, już byłam za drzwiami. Podążyłam szybko do domu. Usłyszałam jeszcze skrzypnięcie drzwi; ktoś wybiegł za mną. Nie wołał — i ja też nie przystanęłam. Szłam szybko, bo przypominałam sobie, że jeszcze dwie podobne gromadki są w domu przygotowane i nie wiedziałam, czy blisko, czy daleko mi z niemi wypadnie iść.

Idąc z powrotem, choć było już ciemno i chłodno, czułam się tak lekko i dobrze, że chwilami ani się spostrzegłam, jak poskoczyłam sobie na drodze, jak dziecko. Pomyślałam przytem: Gdyby mię tak kto zobaczył za dnia podskakującą i przyklaskującą w dłonie, wzięłby mnie pewnie za warjatkę." Przyszłam do domu i znów

szybko napakowałam do koszyczka, nie biorąc już mleka, ale trochę pieniędzy, których nawet nie liczyłam.

I znów pukanie do drzwi. Za drzwiami w także nędznej izbie siedmioro dzieci i matka — już wdowa. Jeszcze nie otrzymała t. zw. wojennej zapomogi, sprawa jej gdzieś utknęła. Nie wiedziała o tem, że już jest wdową, każdego dnia wyczekiwała zapomogi i listu od męża. W sklepie bez pieniędzy dać jej już nie chcieli, gdyż nie było nadziei, iż potrafi pokryć dług; boć i przedtem, kiedy mąż jeszcze pracował w kopalni, trudno było biednej kobiecie za lichy zarobek robotnika nasycić i ubrać wszystkie dzieci. Nie miano miłosierdzia nad biedną kobietą, pewnie też ciężko karmą obarconą.

Nim zastukałam do drzwi, ujrzałam jakąś truciznę, zdaje się siarkę w wodzie. Patrząc na ten garczek obity, nie mogłam dobrze skonstatować rodzaju trucizny, gdyż przez patrzenie niejako magnetyzowałam się z nią i czułam jej palący odór. I znów nieszczęsne duchy w robocie — znów sugestja z ich strony: „Otruj dzieci i siebie i skończy się męczarnia — bo któż ci pomoże?”

Otruć już miała poprzedniego dnia, już się była skłoniła ku owym podszeptom; lecz jeszcze, jeszcze poszła prosić pobliską żydówkę o kawałek chleba.

— Niech mi pani sprzeda trochę chleba i soli, zrobię dzieciom na wodzie polewkę chlebową.

Żydówka zapytała: „Macie pieniądze?”

Kobieta wzruszyła ramionami, że nie, ale dodała: „Mam nadzieję w Bogu, że szybko nadejdą pieniądze, to pani zapłacę dawny dług i to, co teraz wezmę”.

Na to żydówka:

— To przyjdźcie po chleb, jak wam Bóg da pieniądze, wtedy i ja wam dam chleb.

Więc nie mając już żadnej nadziei ratunku, znów postanowiła wieczorem, że otruje dzieci, tylko rozmyślała, czy trucizna jest dosyć silna, by się długo nie męczyły, aby ona nie musiała na to patrzeć.

I znów szybko opróżniłam kosz, biegnąc do trzeciego miejsca — lecz to już nie było daleko. Mieli tam stare, nędzne, podarowane żarna, a też nie było chleba. I jako trzecia gromadka zostało mi odstawione może 7 kg żyta przyniesionego za dnia w woreczku oraz koszyczek ziemniaków. I to zaniósłam na wskazane miejsce. Tam przy odejściu powiedziano oprócz „Bóg zapłać” także i to:

— Skoro tylko będziemy mogli, zaraz pani oddamy.

— Nie wiem, zdaje się, że nie potrzebujecie mi nic oddawać. Jeśli już chcecie, to oddajcie znów innym potrzebującym, gdy będziecie mogli.

Nieco później miałam już ułatwioną pracę, bo biedni sami zgłaszali się do mnie i nieraz zabrakło tego, co lepiej wyposażeni za dnia przynieśli; wówczas dawałam im ze swoich zapasów. Toteż nie upłynęło trzy miesiące, a nie miałam już żadnych zasobów prócz tylko jeszcze trochę ziemniaków w piwnicy, tyle, że ledwo dla jednej osoby starczyłoby do nowych ziemniaków.

A biedni zgłaszali się dalej. Biedne kobiety po dwie, trzy i cztery naraz wchodziły, prosząc zaraz na wstępie o coś ciepłego do zjedzenia, bo mróz już był silny. Okna w dzień i w nocy trzęsły się od huku strzałów armatnich. Wielu ludzi w pobliskiej, a nawet i dalszej okolicy spało całkiem w ubraniu i obuwiu, myśląc, że każdej chwili może powstać alarm, iż trzeba uciekać, że t. zw. nieprzyjaciel już za piętami. Kiedy odgłosy huku armat się zbliżały, żydzi zamykali sklepy i uciekali. Musiałam wówczas wielu pocieszać, by się nie obawiali, bo nieprzyjaciel tam nie dotrze. Króciuchne chwile wytchnienia miałam po odłączeniu się od ciała. Wciąż walka ze złem i wciąż praca! Kiedy huk armat nie ucichł nawet przez święta, ustanowione na pamiątkę narodzenia Chrystusa, zrobiło mi się tak smutno, że naprawdę świat cały wydał mi się w jednej chwili wielkiem cmentarzyskiem pokoju ducha.



Zasadzki wśród pracy w celu odbierania mi spokoju ducha.

Wśród pracy podstępnie wkradały się usilne pokuszenia. Już zaraz na wstępie zdarzyło się tak, że dobry lekarz, który uczył mnie znajomości organizmu ludzkiego, oraz magnetyzowania i leczenia, musiał na krótki czas przerwać współpracę ze mną, mając w zaświecie jedno z ważniejszych zadań do spełnienia. Przyszedł inny lekarz w towarzystwie znanych mi dobrych duchów, które zaraz dawały mi do zrozumienia, że on będzie ze mną tylko krótki czas, a potem wróci ten sam, który mnie uczył leczenia i razem ze mną będzie pomagał ludzkości. Ochronny mój duch powiadomił mnie, że gdybym w czemkolwiek zauważyła, że on się szybko nie orjentuje, albo gdybym sama w duchu uczuła jakąś niepewność co do wskazówek, podawanych mi przez niego, to mam się zwrócić do opiekuna, on sprawę wyjaśni i on sam przyjdzie i przez moje ręce będzie wraz ze mną magnetyzował, gdy zajdzie tego potrzeba.

Pewnego dnia przyszła do mnie młoda pani z prośbą, bym ratowała jej znajomego młodego człowieka, syna pewnego urzędnika. Spojrzałam. Tuberkuloza w wysokim stopniu tak, że nie mógł o własnych siłach przejść już po pokoju. W tej chwili, kiedy ona przyszła, ojciec chorego wraz z dwoma lekarzami badali jego puls i obserwowali stan choroby, co wszystko powiedziałam tej pani. Powiedziałam jej także, iż lekarze orzekli, że dni młodego człowieka są policzone, oraz dodałam, że ja również widzę, że tak będzie, on musi ze świata odejść. Pani oddaliła się ze smutkiem.

Trzeciego dnia zakomunikował mi ojciec chorego, że rzeczywiście tak było, jak mówiłam tej pani. Nie rozumiejąc dobrze spraw duchowych, prosił mnie

— Niech pani tam przyśle dobrego ducha, by mi uratował syna, on taki dobry, spokojny!...

Za kilka dni znów przybiegła młoda pani, zaczynając rozmowę, że obilo się jej o uszy, iż już kilku ciężko chorych zostało przeze mnie wyleczonych. Ale ja jeszcze raz jej powtórzyłam, że jego już wyleczyć się nie da, wędrówka jego życia ma się skończyć. Przy moich nogach drzemał ładny, biały pies, przysłany mi w podarunku. Czy pani wciąż zwracały się na tego psa; tu i ówdzie podczas rozmowy pogłaskałam go po grzbiecie.

Nagle pani wyraziła życzenie, czybym jej tego psa nie podarowała. Wzdrygnęłam się; wyczułam myśl, że chce skórę z niego przyłożyć na piersi chorego, a tłuszcz z jego wnętrzości przysposobić do picia, jako lekarstwo dla chorego. Wzbrańalam się, mówiąc, że wiem, co ona chce z nim uczynić. Słowa tej pani popłynęły, jak potok. Ujęła mię za rękę, prosząc:

— Niech pani zrobi tę ofiarę ze swego ulubieńca, niech pani pozwoli na tę próbę. Wszak wiem, że pani jest na tyle szlachetną, iż więcej ceni życie człowieka, niż zwierzęcia.

Jej słowa mnie ujęły, choć wcale nie czułam zupełnego spokoju ducha. „Tak, życie człowieka jest cenniejsze, niż zwierzęcia“ — zaczęło silniej odzywać się we mnie. Jednak spojrzałam na lekarza. Ten nie posyłał żadnej myśli, tylko patrzył na mnie i na panią. Pomyślałam: Pewnie nie może dobrze złączyć się myślą ze mną wobec żywo gestykulującej pani, wywierającej dziwny wpływ na mnie.

Uległam prośbie tej pani, ale smutno mi jakoś było w duszy. Tłumaczyłam się jej, że nie mam łańcuszka dla tego psa, a on dobrowolnie z nią nie pójdzie. Żal mi go było, bo wiedziałam, jak on szybko rozprasza różne elementarne siły, walące się do mieszkania wraz z ludźmi. Był takim małym stróżem mojej aury. Lecz ta pani, jakby już miała wszystko zgóry obmyślane, wyjęła z torebki długi, cienki łańcuszek i założyła go psu na szyję.

Czułam, że z każdą chwilą więcej ulegam jej wpływowi i jest mi coraz smutniej. Ktoś jakby zsyłał mi na usprawiedliwienie tego czynu takie myśli: „Życie człowieka cenniejsze jest od życia zwierzęcia“. Spojrzałam na lekarza, pytając, czy mam pobiegnać za tą panią odebrać jej pieska? Lecz znów nie mogłam porozumieć się z nim. Skądś uporczywie wchodziła myśl, niby jako odpowiedź od niego: „Życie człowieka cenniejsze jest od życia zwierzęcia“.

Bałam się spojrzeć w stronę opiekuna; czułam, że coś stało się niewłaściwego. Smutno mi było, że pewnie mojem niezdecydowaniem zasmuciłam opiekuna. Tymczasem pani z moim białym psem zupełnie zniknęła już pomiędzy domami. A mnie zaczęły uświadamiać się ponownie myśli te pierwsze, jakie zjawily się przy przegladaniu chorego: „Niedługo zakończy wędrówkę życia, nic nie potrafi zatrzymać go na ziemi, takie jest przeznaczenie wyższe. Ma być wolnym, wyrównał swoje długi, niewiele już jego karmy na ten żywot. Może spocząć w zaświecie, a w następnych życiach będzie odrabiał sobie resztę.“

— Pies, pies, mój biedny pies — zaczęło się coraz boleśniej odzywać w mej duszy.

W takim niepokoju płynęły godziny, zapadł wieczór. Myślałam sobie: „Oj, żeby im ten pies uciekł. Nie dałabym go już, nie dała dla takiego celu, kiedy i tak to już nic nie pomoże!“

Naraz wyraźnie usłyszałam huk strzału, jakby tuż przed domem i żaloszny skowyt psa. Nogi pede mną zadrzały; usiadłam na krześle, zakrywając twarz rękami. Wiedziałam to na pewno, że strzelają psa, by zdjąć z niego skórę. Zasłoniłam twarz rękami z usilnem ży-

czeniu, bym nie widziała tego przykrego obrazu. I nie ujrzałam, tylko odniosłam wrażenie, jakby pies, skowycząc, trzymał moje cztery palce prawej dłoni w swoim pyszczku; odczuwałam nawet pewną boleść, jakby za bardzo ścisnął zębami, skomlać przytem. Czułam wilgoć śliny na palcach i zapach krwi, upływającej z ciała psa.

Wybiegłam w pola. Nade mną świeciły cicho gwiazdy, ale ja czułam, że modlić się nie mogę; byłam smutna, niezadowolona z samej siebie.

Nagle ujrzałam, jak coś ku mnie sunie: to mój biedny pies. W pierwszej chwili myślałam, że zmaterializowany. Lecz nie; złe strzelili, kula wybiła mu oko. On zerwał się, popędził do domu — o może wyczuł mnie przy domu i pędził wprost ku mnie. Chciałam pogłaskać go po głowie, lecz on złapał w zęby moje cztery palce i począł mi je niemal kąsać z bólu. Chwyciłam go na ręce. Biedny, biały pies krwią zbryzgany, z wybitem okiem przedstawiał smutny obraz. Nie mogłam powstrzymać się od łez, padały mu na głowę, gdy mu ją bandażowałam i magnetyzowałam.

Rana zagoiła się wkrótce — za jakieś trzy tygodnie. Lecz tego dnia długo, długo do nocy pies skomlał żałośnie i trząsał się jak w febrze. Obrzydliwe elementale, jak szakale, zbliżały się za odorem krwi, która jeszcze w drobnych kroplach osiadła w oczodole. A duchy niskie trzymały się za ręce i robiąc krąg, śpiewały i wywracały koziołki. Tańczyły niedaleko mnie i psa.

Wreszcie ujrzałam opiekuna i jeszcze dwa duchy w jego towarzystwie, a tuż ponad sferą snu ducha lekarza, z którym trudno było mi się porozumieć, co czynić z psem. Kiedy przechodzili obok mnie, wzięli go niejako z sobą. Wszyscy milcząco przystanęli blisko w mojej aurze. Lekarz lekko skłonił się przede mną, trzymając rękę na piersi, jak to czynią Hindusi na znak pożegnania. Wyczułam, że on żegna się ze mną, bo ci przybyli może dali mu do zrozumienia, że jest za mało silnym do współpracy ze mną, do zadania, jakie mam spełniać na ziemi.

Wkrótce potem zjawił się dawny lekarz, ten, który uczył mnie poprzednio; patrząc ze współczuciem na mnie i na psa, uspokajał mię, że on już będzie odtąd ze mną przez cały czas mego głównego zadania.



Poszukiwacze skarbów, opętywani przez niskie duchy.

I tak dalej codzien przychodzili do mnie różni ludzie. Opiekun zaznaczał mi, że moja praca, moje czyny mają mnie cieszyć i nie jest to ode mnie wymagane, bym pracowała nad siły, jeśli jestem zmęczona.

Niezawsze zwracałam się z zapytaniem do swych dobrych przyjaciół duchowych, co mam czynić w danym wypadku, jakiej udzielić rady; co, jak mi się zdawało, mogę sama załatwić, załatwiałam według swego przekonania, nie chcąc tych dobrych istot wciąż zapytaniami przykuwać do ziemi. Lecz przez to czasem popełniałam błędy, bo mi wyraźnie zapowiedzieli przecież, że zawsze mogę się do nich zwrócić, jeśli się tylko odezwała chociażby maleńka wątpliwość w mym duchu, czy czynię dobrze. A mnie się nieraz wydawało, że niejedyn jest godzien, aby aż dobre duchy zapytywać o najzwyczajniejsze sprawy, co do których pragnął odpowiedzi.

Miałam czynić dobrze i czyniłam to dziwnie odruchowo, jakoś tak ze szczerego serca, nie zastanawiając się nieraz, czy ten ktoś rzeczywiście potrzebuje pomocy takiej, jaką ja mu daję.

Pewnego razu przyszedł do mnie mężczyzna z głową mocno już siwiejącą, w porządnie skrojonem ubraniu, w wysokich, błyszczących butach. Stary krawiec. Ludzie, którzy przychodzili do mnie tego dnia o pomoc i poradę, już się rozeszli; została po nich mała kwota pieniędzy i trochę żywności.

Krawiec odezwał się łagodnie napozór, choć w tej łagodności zgrzytała nieznacznie jakaś dziwna nuta:

— Droga pani! Ludzie bardzo panią chwalą, że pani jest nadzwyczaj dobra i ofiarna. I ja do pani śpieszę z wielką prośbą: Pani zna się na sprawach duchowych, a więc prosiłbym bardzo, by pani pomogła nam doprowadzić do końca naszą sprawę, mianowicie przyspieszyła urzeczywistnienie obietnicy, danej nam ze sfer duchowych. Przed 11 tygodniami kupiłem tę oto książkę...

Przy tych słowach wyjął drżącą ręką niewielką książeczkę, którą mi podawał; uczułam przy tem natychmiast ostry prąd w ręce i bardzo, bardzo niemiły chłód po całym ciele. Szybko położyłam książeczkę na stół; wiedziałam już, że zawiera ona jakieś tajemnicze modlitwy i zaklęcia. Nagle znikło mi wszystko z przed oczu, już i krawca nie mogłam dostrzec, wszędzie tylko widniała liczba: „100

tysięcy dukatów w złocie“, wymawiana przytem różnemi głosami. Mówię:

— Ach, to książka, na którą wam ktoś obiecał sto tysięcy dukatów w złocie, tak?

Krawiec przymrużył oczy, patrząc na mnie jakoś dziwnie i odrzekł:

— Tak, sto tysięcy dukatów złotych mamy wkrótce otrzymać. I zaczął prędko mówić dalej:

Już od ośmiu tygodni chodzi nas dwunastu na skrzyżowanie dróg od godziny 12 do 1-szej. Mieliśmy otrzymać pieniądze do 30 dni, a już mija 8 tygodni i pieniędzy niema! Być może dlatego sprawa się przedłużyła, że jeden z nas zachorował i stracił wiarę, iż Lucyfer nam przyniesie te pieniądze.

Gdy padło z ust jego słowo „Lucyfer“, zrobiło mi się przykro, bardzo przykro. Powiedziałam do krawca:

— Oj, człowiecze, idziecie złą drogą! Nacóż wam potrzeba stu tys. dukatów w złocie, jeśli macie wiarę w duchy? Bo Lucyfer to chyba też duch — a więc i w Boga wierzycie? Dlaczegoż tedy nie czynicie, jak powiedział Chrystus: „Najprzód królestwo Boskie, a reszta będzie wam przydana.“

— Naturalnie, że w Boga wierzę! — odrzekł krawiec. — Przecie codzień modlimy się na skrzyżowaniu dróg do Boga i zaklinamy Lucyfera, żeby przyniósł nam te pieniądze, których tak potrzebujemy, a przyniósł bez szkody bliźnich, bez ognia, któryby mógł spalić majątek sąsiada. Ma spokojnie oddać pieniądze i znów spokojnie zniknąć.

Mówił to z taką wiarą i zapalem, że odechciało mi się z nim debatować. Rzekłam mu tylko jeszcze:

— Jesteście, Bogu dzięki, dosyć zdrowi i macie kawałek chleba w ręce, znacie krawiectwo, to lepiej byłoby, gdybyście spokojnie pracowali na kawałek chleba, a resztę zdali na wolę Bożą.

Na to odezwał się krawiec trochę podnieconym głosem:

— Tak, dobrze się pani mówi: pracować na kawałek chleba! Już mię po kościach drze, a zresztą nie chce mi się siedzieć przy maszynie, już się dość napracowałem całe życie!

Ujęłam go lekko za puls i zaraz prędko puściłam jego rękę. Wiedziałam już, co mu brakuje.

— Tak, macie reumatyzm, ale jeszcze nie w wysokim stopniu. Przed 8 tygodniami byliście zdrowsi, ale to opuszczanie ciepłego łóżka o 11 godzinie i chodzenie za sąsiadami, by na 12-tą zebrał się na skrzyżowaniu dróg — a następnie wystawianie tam na wietrze i chłodzie — to jest przyczyna, dla której słaby wasz reumatyzm spotęgował się, zwłaszcza żeście już nie pierwszej młodości.

— To też dlatego tu przyszedłem — ozwał się łagodnie — aby pani przyspieszyła sprawę; mam nadzieję, że Lucyfer panią prędszej usłucha.

— Człowiecze, nie męczcie mnie! Cóż ja mam z Lucyferem wspólnego?!

— No, no — uśmiechnął się chytrze — pani go pewnie lepiej zna, niż my i lepiej się rozumiecie! Ale ja tem bynajmniej nie chcę pani obrażać — ja tylko proszę o pomoc.

— W tem wam pomoc nie mogę.

— A więc wypada mi, moja pani, zginąć z głodu!

Spuścił głowę, ręce opadły mu bezwładnie, a w oczach zaskrzyżyły łzy. Zaczęły mu się wolno staczać po twarzy, a on dużemi, siwemi oczami spojrzął na mnie, jak mi się wydawało, niewinnie, mówiąc:

— Wierzyłem, że te pieniądze otrzymamy do miesiąca, zrobiłem na to konto dług i poprawiłem dom, bo mi ciekło do izby. Pożyczyłem też pieniądze, by zapłacić stary dług wierzycielowi, który mi już sądem groził. A właśnie pożyczyłem od dwóch sąsiadów, co też chodzą na skrzyżowanie dróg. Ale co gorsza, niema z czego żyć w domu. Nic nie pracuję, bo i jakże człowiek może pracować, gdy wciąż a wciąż przemyśliwa nad tem, kiedy nareszcie dostanie te pieniądze. A w domu bieda zaczyna już mocno dokuczać.

Wzięłam pozostawioną przez innych kwotę pieniędzy i dałam krawcowi. Wzięłam także pozostawioną przez nich żywność, związałam w pokaźny węzełek i oddałam krawcowi ze słowami:

— Gdy to zjecie, a jeszcze nie będziecie mieć pracy, to przyjdźcie, a będę wam dawała, ile będę mogła, póki nie zaczniecie pracować.

Krawiec odszedł. Popatrzyłam za nim i ujrzałam wiele nieładnych duchów, goniących za nim i naokoło niego i wciąż mu coś szepczących do ucha. Zraził mnie ten obraz i już nie starałam się usłyszeć, co one mu szepczą, wiedząc, że pewnie nic dobrego. Spojrzawszy na stół, zobaczyłam książkę. Wzdrygnęłam się, myśląc: „Szkoda, że jej nie zabrał.“ Gdy ją wzięłam do ręki, ten sam skurcz i niemiłe uczucie, co i poprzednio. Szybko wrzuciłam ją do szuflady z myślą, że oddam ją krawcowi, gdy przyjdzie, lub spalę. Nie pytałam też dobrych duchów, czy dobrze zrobiłam, zapraszając go, by przyszedł ponownie; myślałam, że zapewne się już tak złożyło, iż przyszedł na ostatku i że widocznie trzeba mu było dać pozostawioną kwotę i żywność.

Za cztery dni krawiec przyszedł znów. I tym razem nie było nikogo i właśnie zasiadłam do stołu, by spożyć skromny posiłek. W tej chwili wstałam, zapraszając krawca do jedzenia. Lecz ten skrzywił się i spojrzął przez ramię na jedzenie. Było mi w jego obecności bardzo źle, jeszcze gorzej, niż poprzedniego razu, gdy się u mnie zjawiał. Szybko wzięłam znów pieniądze, pozostawione przez poprzednich gości, a była to kwota tym razem mniejsza, niż wtedy.

Lecz on cofnął się o krok, gdym wyciągnęła doń rękę z pieniędzmi i zasyczał przez zęby:

— I pani myśli, że ja się zadowolę tą jałmużną? Pewnie już pani przyniesiono 100 tysięcy w złocie! I pani myśli, że ja tyli świat będę chodził co jakiś czas po taką jałmużnę? Czy pani sądzi, że ja i ci inni zgodzą się na to?

Zdjęło mnie oburzenie na tego człowieka. Szybko otworzyłam szufladę, wyjęłam książeczkę i dałam mu ją, mówiąc:

— Tu macie i więcej mi nie przychodźcie!

Lecz krawiec już podniósł głos:

— Ha, teraz, teraz cóż mi po książeczce, kiedy pani już ma pieniądze?!

Lecz ja tymczasem już się całkiem uspokoiłam i żal mi się zrobiło zbalamuconego człowieka. Rzekłam mu:

— Otrząśnijcie się z tego! Możecie jeszcze zwarzjować z tych waszych zakłęb i wiary w 100 tys. dukatów, które Lucyfer ma przynosić.

Krawiec szybko zawrócił ku drzwiom. Na progu zawołał jeszcze z jakąś groźbą w głosie: „Do widzenia!”

I znów upłynęły trzy dni. W nocy z trzeciego dnia na czwarty spałam twardo, jak gdybym była przez kogoś zahypnotyzowana. Nagle budzi mnie dziwny jęk za oknem. Zbudziłam się. Czuję się tak dziwnie pozbawioną zdolności myślenia, że nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie się znajduję i co się stało. Lecz narzekanie stało się coraz głośniejsze. Rozespana i oszołomiona zatoczyłam się do drzwi. Byłam tak słaba, że oparłam się o nie, bo nogi uginały się pode mną.

— Kto tam? — pytam, nie myśląc o tem, by spojrzeć duchem i przekonać się sama.

— Litościwa pani — ozwał się jęczący głos za drzwiami — o moja noga, moja noga! Wóz przejechał mi nogę!

A w tejsze chwili ozwały się i inne dwa głosy:

— Niech pani prędko otworzy!

Nagle odczułam jakąś dziwną niechęć do otwierania drzwi, a równocześnie zdawałam sobie sprawę, że senność, jakaś hypnotyczna senność mąci mi zmysły. Powiedziałam:

— To szukajcie prędko furmanki i jedźcie do lekarza.

Lecz w duszy odezwało się szarpnięcie:

— O jakaś ty niemłosierna!

I prędko otworzyłam drzwi. Lecz już w tejsze samej chwili stało mi się jasnym, że niema za drzwiami nikogo skaleczonego. Nie szukałam też za nim wzrokiem, choć jeszcze nie wiedziałam, co to wszystko ma znaczyć.

Wszedł barczysty, porządnie ubrany gospodarz, za nim człowiek wychudzony i spoglądający na mnie z jakimś lękiem. Trzeci stał za drzwiami. Barczysty mężczyzna ozwał się grubiańsko:

— Pieniądze albo życie! Oddać nasze pieniądze!

W rękawie jego zabłysnął nóż.

Nie odrzekłam ani słowa. Było mi jasne, że są to ci ludzie, którzy chodzą szukać skarbów na rozstajne drogi. Bez ceremonij zaczął szukać po mieszkaniu, ale dziwnie prędko przestał i znów stanął naprzeciw mnie z błyszczącym nożem w ręce.

Lecz w tejsze chwili moja prawa ręka uniosła się leciuchno, jak piórko, w stronę drzwi, dając wskazującym palcem niejako niemy nakaz opuszczenia mieszkania. I jakby pod naciskiem jakiejś niewidzialnej siły skierowali się drewnianym krokiem do drzwi.

Odeszli. Zasunęłam drzwi, a oparłszy głowę na nich przymknęłam powieki. To duch opiekuńczy zawładnął moją ręką i myślą dał rozkaz: „Oddalcie się!”

Przez chwilę trwała pozorna cisza za drzwiami. Ujrzałam wiele ciemnych duchów, jak zmuszały przybyłych po pieniądze, żeby się zemścili. Niedaleko domu leżały w dole dawno tam porzucane kamienie, pozostałe z budowy domku, w którym mieszkałam. Przybyli, popychani i wzmacniani hypnotyczną siłą, podnosili ciężkie kamienie i kierowali się z niemi do drzwi. Przy drzwiach stały niskie duchy, nawołujące, by uderzyli w nie kamieniami, rozbili i przemocą wtargnęli do mieszkania. Lecz znów na rogu domu zjawiała się ręka Opiekuna, a jego myśl: „Połóż kamień i idź spokojnie do domu” spowodowała, że nie doszli do drzwi — ale też spokojnie kamieni nie położyli, uderzając niemi o róg domu.

Odchodzącym zastąpiły drogę niskie duchy:

— Nie odchodźcie, czyż wam nie żal stu tysięcy w złocie? Ona ukryła je przed wami.

Zawrócili, biorąc po raz drugi kamienie do ręki. Ale dalej, jak za róg domu, nie mogli uczynić kroku.

Następnego dnia jeden z przybyłych do mnie urzędników, a był już przedtem u mnie parę razy, zapytał:

— Co pani chce robić z temi kamieniami, które leżą na rogu domu, a niektóre i na drodze?

Opowiedziałam mu nocne zajście. Nie mógł uspokoić swego wzburzenia i zawołał:

— I pani to myśli darować? To przecie straszny napad nocny! Niech mi pani pozwoli zająć się tą sprawą, aby wszyscy zostali przykładnie ukarani.

Lecz mnie ogarnął niepokój. Pomyślałam błyskawicznie:

— To duchy niskie zagrały taką niecną grę, robiąc nieprzyjaciół z ludzi całkiem mi tu nieznanym. A Chrystus przecież powiedział: „Miłuj i nieprzyjaciół swoich.“ Czyż to będzie słuszne, by oni stanęli przed sądem i by zostali ukarani, sami nie wiedząc o tem w całej rozciągłości, w jaką sieć wpadli?

Więc prosiłam go, by na razie nic nie czynił, póki ja mu nie powiem.

— A wiem już, wiem — rzekł urzędnik — pewnie pani im daruje. Bo i jakże inaczej, musiałbym pani nie znać! Ładnie to z pani strony, ale czyż wolno pani tak szafować życiem, które jest tak bardzo potrzebne dla innych? O, gdyby nie pani, kto wie, czy chodziłbym dziś jeszcze po świecie? Przecież rana na nodze tak długo była bezskutecznie leczona, a gangrena wywołana w niej ostatnio przez ukąszenie psa czyżby mi dała długo żyć na ziemi? Już chwytaly mnie dreszcze i kłuło koło serca, bolała głowa i brzuch; wiem dobrze, co to znaczyło! Było to już zatrucie krwi! A pani mnie wyratowała, należy się pani moja wdzięczność póki mego życia. A czy mało jest takich, co pani im w różnych wypadkach już pomogła? Nie, choćby pani ich do sądu nie podała, to ja się nimi sam zajmę! I tak pani

dotąd nie wzięła ode mnie żadnej nagrody za wyleczenie mnie, zawsze mi mówiąc: „Później, później, teraz nie potrzebuję.“

— Dobrze — powiedziałam — o ile pan chce wyrównać dług wdzięczności względem mnie tu na ziemi, to owszem, będę miała prośbę do pana. Niech pan już się zajmie tymi ludźmi — lecz nie w ten sposób, by ich podać do ukarania, ale by wyprowadzić ich z tej matni. Nie zaszkodzi, jeśli pan ich trochę postraszy. Może pan im powiedzieć, że za takie rzeczy, jakich oni się dopuścili względem mnie, obalamuceni przez tę książkę, spotkałaby ich wielka kara, ale że ja nie chcę zadośćuczynienia dla siebie; że zadośćuczynieniem mi będzie, jeśli wszyscy powrócą do normalnego trybu życia i już nigdy nawet przez usta nie przejdzie im imię szatana.

— Nie wiem, nie wiem, proszę pani, czy to potrafię, bo na samą myśl, co oni pani chcieli uczynić, już mię złość bierze.

— A więc — odrzekłam — póki pan będzie do nich odczuwał złość, a nie litość jako nad opętanymi, to lepiej niech pan wcale o nich nie myśli. Niech pan się pocieszy tą myślą, że nade mną czuwają inni, może mocniejsi w dobrem od pana. To dobre duchy, co do których mam niezłomną wiarę, że ochronią mnie zawsze, kiedy tego zajdzie potrzeba.

Odchodząc już, zapytał ów urzędnik:

— Więc proszę mi powiedzieć, gdzie mieszkają, gdzie mam szukać tych ludzi. O ile oburzenie moje minie, spróbuję spełnić życzenie pani, ale niech mi też pani wówczas przesyła myśli, gdy będę pomiędzy nimi, abym wiedział, jak mam z nimi mówić, żeby się otrząśli z tego opętania.

Wkrótce zjawił się znów u mnie. Kiwając z uśmiechem głową, opowiadał mi, że był już tam trzy razy, ale naprawdę podziwiał, do jakiego stopnia posunięte jest ich szaleństwo. Powiedzieli mu, że ze mną niema rady, widocznie mnie broni sam szatan, a z nich sobie zakpił. Bo już jedna kobieta miała widzenie na skrzyżowaniu dróg i to dwa razy, że Najświętsza Paniienka przysłała i powiedziała jej: „Już niedługo, niedługo, a mój Syn, który jest teraz w niebie moim Mężem, przyjdzie i rozkaże Lucyferowi, aby wam dał pieniądze.“ „.....A myśmy poszli do niej i sprawa przepadła, zamiast nam pomóc, abyśmy otrzymali pieniądze, ona je w ziemię zakopała, a on jej jeszcze broni! Przecież nas jakby za drzwi wyrzucił z jej mieszkania, nawet słowa wymówić nie mogliśmy.“

I urzędnik zapytał:

— Jak pani sądzi, czy tacy ludzie opamiętają się jeszcze, czy już zostaną w tych pętach myślowych na zawsze?

— Nie myślmij już o nich — odrzekłam — ja to zdaję wszystko na wolę Wyższą; wszak Bóg wszystko widzi i wie! — O tem oczywiście mowy być nie może, żeby tam zjawiła się Matka Boska, a jeszcze mówiła takie głupstwa, bo jest to za bardzo piękny i czysty duch, żeby miał zjawiać się takim ludziom o takiej idei, co o niczem innym nie myślą, jak o tych stu tysiącach dukatów. A również napewno i sam król piekieł nie był w łączności z nimi, tylko takie zwykłe złe duchy, kuszące ludzi na ziemi.

— Z ich tajemniczego opowiadania wynika, że kiedyś będą kopać koło pani domu i szukać tych pieniędzy; bo djabeł znów panią oszuka i pani zapomni, gdzie je schowała. — I urzędnik dodał jeszcze: — Jaka pani jest szczęśliwa ze swoją prostą wiarą: „Niech się dzieje wola Boża!“ — i ze swoim nieprzywiązywaniem się zbyt do świata i do materji. Chciałbym bardzo dojść do tego stopnia, ale gdzież tam, kiedy to się stanie! Gdy odwiedzę panią, czuję się innym człowiekiem i wszystko wydaje mi się takie proste, takie zrozumiałe! Kiedy jednak znajdę się wśród swoich kolegów, a jeszcze w dodatku — pora teraz chłodna — wypiję kieliszek, dwa — to niech pani daruje, ale gdy pomyślę wówczas o pani, to mi się to wszystko wydaje takie cudaczne i niewiarygodne, że nie mam siły bronić pani, jeśli ktoś zacznie przede mną wyśmiewać jej wiarę w duchy. Gdy potem wytrzeźwieję i przypomina mi się, iż przede mną bezkarnie panią wyśmiewano, wymyślam sobie od niegodziwców i nie mogę odzyskać spokoju, póki znów pani nie odwiedzę. No i przepraszam, przepraszam stokrotnie!... — kończył, całując mię po rękach.

I odszedł. Tego dnia wieczorem po ukończeniu zwyczajnej mej pracy nad ratowaniem ludzi ujrzałam, jak wszyscy trzej napastnicy: krawiec, gospodarz i wychudły czeladnik rozprawiają o zasłynych wypadkach, przygryzając gniewnie wargi, to znów chwilami tłukąc pięściami o stół w ostrej dyskusji. Utrwalali się wzajemnie we wierze, podsuwanej im przez niskie duchy, że zakopałam pieniądze w piwnicy.

— Zabić, zabić ją — sugerowano im — zabić ją i dzieci i zabrać pieniądze!

— Nie, teraz nie można — bronili się tamci własną intuicją — terazby władze zaraz wiedziały, kto to uczynił, a ten urzędnik, co tu przychodzi, chociaż jest niby dla nas życzliwy, jednak stoi po jej stronie i kto wie, czy nie przychodzi tu tylko w celu śledzenia nas. Cóżby nam przyszło z tych pieniędzy, gdyby nam je odebrano, dano na cele wojenne, a nas wsadzono do więzienia?

Lecz już przerwały mi lepsze duchy to widzenie. Mnóstwo drobnych niebieskich niezapominajek posypało się naokoło mnie tak, że zasunęły mi przykry obraz zupełnie.

Odłączyłam się duchem od ciała i zaczęłam się unosić na huśtawce dziwnie splecionej z niezapominajek nakształt łódki, którą przytrzymały i lekko rytmicznie poruszały cztery dobre duchy. Szybko przesunęły się ze mną przez sferę snu, szybując w górę, w szerokie przestworza, a śpiewały przytem tak mile i dobrotliwie, że zapomniałam o tem dziwnem piekle na ziemi. Wróciłam do dalszej pracy wzmocniona i odświeżona na duchu.

Życzenie sto lat życia na ziemi.

Często zwracali się do mnie ludzie ze słowami:

— Dziękuję pani, niech pani Pan Bóg da sto lat życia na ziemi!

— Z Bogiem, z Bogiem — odpowiadałam, myśląc sobie w duchu: „O ludzie, czegoż wy mi życzyście? Sto lat żyć tu, na tym świe-

cie?“ Pomyślałam, jaki okropny jest stan duchowy ludzi, żyjących obecnie na ziemi, mordujących się wzajemnie na wojnie bez widzialnej przyczyny, zadających sobie nawzajem męki, a wiedziałam, że i po wojnie nie zapanuje pomiędzy ludźmi pogodne życie i niewielu znajdzie się takich, którzy zechcą w miłości wyrównywać swoje świadome i nieświadome grzechy. Toteż zdawało mi się, że ludzie krzywdzą mnie życzeniem mi długich lat na ziemi — i gdy się to częściej powtarzało, zaczęłam prosić: „Och, nie życcie mi tu żyć sto lat na świecie, nie życcie!“

— Tak, tak, niech pani tu żyje sto lat, jeśli już nie dla siebie, to dla innych!

Czułam, że w tej odpowiedzi może nieświadomie powtórzyli ludzie myśli dobrych duchów, a zarazem moje własne życzenie z czasów jeszcze przed zrodzeniem: „Żyć tam choćby jeszcze sto lat dla innych, a potem odpocząć za to dłuższy czas w prawdziwej ojczyźnie ducha, gdzie króluje dobry Ojciec-Bóg!“



Widmo głodu.

Kobiety z zaboru rosyjskiego, przemycające się przez granicę dla zdobycia trochę żywności. Dobre duchy posilają mnie astralnie ożywczei molekułami przyrody. Oszuści, nadużywający mojej dobroci. Pokrzepienie w świecie ducha i atak przy przyłączaniu się do ciała.

Wojna srożyła się coraz bardziej. Pewnego dnia zdarzyło się, że nie miałam w domu żadnych zapasów żywności, prócz małego bochenka chleba na stole i trochę soli w solniczce. Nie miałam pieniędzy, by coś kupić i ugotować, a zresztą i nie myślałam wcale o obiedzie.

Wtem przyszły cztery kobieciny, prosząc usilnie, żebym dała im napić się gorącej herbaty. Otworzyłam odruchowo jedną szufladę po drugiej, żeby przekonać się już może po raz trzeci, że są puste. Rozkroiłam bochenek chleba wątpliwej wartości spożywczej, wzięłam połowę, oblałam przegotowaną wodą, posoliłam i zaprosiłam je do jedzenia.

Jadły chciwie. Były to kobiety z rosyjskiej strony, przepłynęły przez Wisłę. Pięć ich wybrało się w drogę... Łzy płynęły im po twarzy, gdy wystraszonym szeptem coś między sobą opowiadały. Zrozumiałam; pięć ich wyruszyło z domu, lecz jedna utonęła w nurtach Wisły — dostała w zimnej wodzie kurczu, a lód był popękany i zranił ją w brzuch.

Zostawiłam je w dobrze ogrzanej mieszkanie, poleciwszy im wysuszyć przy piecu przemoczone i zmarzniete suknie. Niewesoło było w ich aurze; przerażenie, smutek i utajona złość kłębiły się naokoło nich. Poszłam do sklepu wziąć trochę żywności na kredyt; lecz choć nie miałam nigdzie długów po sklepach, tak się jakoś złożyło, że nie mogłam dostać żywności, tegoż dnia nie było właściciela sklepu, a bez jego pozwolenia nie wolno było wydać nic bez pieniędzy.

Znów otoczyła mnie nieprzyjemna aura. Czułam, jakby gdzieś z kąta sklepu ktoś się śmiał. Wyszłam szybko i zaraz usłyszałam za sobą głosy niskich duchów:

— Nie żryj, nie żryj, kiedy nie masz pieniędzy! Zgiń, zgiń, zgiń wraz z dziećmi!

— O nie, nie zginę — powiedziałam — żyć będę wiecznie. A jeśli inni głodują, to i ja mogę trochę pogłodować; lecz wiem, że nie zginę.

I znów posypały się wymyślenia: „cholero“ i t. p. tak, że nie podobna wymieniać tych strasznych wyzwisk.

— Wynoś się, wynoś się, czego tu jeszcze chcesz na świecie? Dlaczego oni sobie ciebie nie wezmą?! Idź sobie z nimi, idź, my ciebie tu nie chcemy, będziemy cię prześladować na każdym kroku!

Wróciłam do domu. Kobiety już trochę poweselały, jakaś otucha malowała im się na twarzy, bo wychodząc pocieszyłam je, że może przyniosę im coś do zjedzenia; ale opuściły prędko głowy, widząc, że nic nie niosę. O, już więcej podobnych nieszczęśliwych znalazło u mnie przytułek, ogrzanie i posiłek; pewnie od nich o mnie wiedziały, więc myślały, że i one także z węzełkiem w ręce ode mnie powrócą, tymczasem nie było nic nad ten bochenek chleba i trochę soli.

Opowiadały, jak w zmarzniętych sukniach biegły ku najbliższemu domowi przy granicy, gdzie dym uchodził z komina, z myślą, by się prędko ogrzać; o jedzeniu już nie myślały, tylko o tem, by ogrzać skostniałe członki. Lecz odpędzano je od wrót i od drzwi miotłami, przeklinając i krzycząc:

— Wy moskalki, wasi mężowie naszych mordują, czego tu jeszcze chcecie?!

I jedna dodała przyciszonym głosem ze łzą w oku:

— Albo ja choć wiem, gdzie jest mój mąż? Zabrali mi go z domu, zabrali mi krowę i wszystko, co im wpadło pod rękę, a co sądzili, że im się przyda.

Druga odezwała się też ze smutkiem:

— I ja nie wiem nic o moim mężu, nic mi nie pisze. Codzień nowa nadzieja: a może dostanę kartkę? Przyjdzie wieczór i nic z mojej nadziei, a tu dzieci głodne i nie wiadomo, gdzie udać się o zapomogę!

Kiedy w silnem cieple za dwie godziny jako tako suknie ich przeszły, kobiety poodwijaly z siebie koce i prześcieradła, które im dałam poprzednio do zawinięcia, ubrały się, a ja zachęcałam je, by jednak poszły prosić dalej, bo ja im nic dać nie mogę. Na wszelki wypadek, gdyby nigdzie nic nie dostały, rozdzieliłam im drugą połowę chleba, odkrajawszy tylko małe kromeczki dla dzieci. Przy krajanju tych skromnych kromek ścisnęło mi się serce, pomyślałam:

— Boże, gdybym nie miała wiary w Ciebie, gdybym nie wiedziała o twojem wielkiem miłosierdziu, jak straszną byłaby ta myśl: ginąć z głodu! Już nic dla mnie, ale patrzeć na męczarnię dzieci!...

Nie były jednak zgłodniałe; ten jeden dzień przeszedł dosyć szczęśliwie. Dwa puste pudełka po kakao wyplukałam z resztek wodą, zagotowałam ją, wyjęłam z nietkniętej dotychczas małej rurczki pastylkę sacharyny i osłodziłam tem kakao. I dzieci spokojnie zasnęły z kromeczką kukurydzianego chleba w ręce, którym chciały zaspokoić odzywający się w nich głód i prosiły oń jeszcze, leżąc już w łóżku.

Zbierając twarde okruszyny naokoło nich i wysuwając im cicho z ręki chleb, czy raczej jego namiastkę, ujrzałam nagle mnó-

stwo dzieci, płaczących i proszących bodaj o taki chleb. Wstrząsnęłam się, jakby mróz ściał wszystko ciepłe powietrze w mieszkaniu.

Wtem zapachniał mi aromat świeżego, czystego chleba i różnych ciast. Przypomniało mi się, że już trzeci dzień nie miałam nic w ustach. Uśmiechnęłam się, że nawet głodu nie czuję. Położyłam się na łóżku, myśląc, że wczesnym rankiem coś przyniosę dla dzieci; lecz i ta myśl szybko zniknęła, sen zmrużył mi powieki. I znów silna woń świeżo upieczonego chleba, zmieszana z wonią ciasta. A tu wysunęła się do mnie ręka z pełnym półmiskiem czerwonych trześni i soczystych gruszek i jabłek. Pomyślałam:

— Ach, śni mi się, śni!... Mówią: głodnemu chleb na myśli — więc chociaż głodu za dnia nie czułam, to on we śnie próbuje mię przesładować, bym i ja zaczęła myśleć o chlebie.

Woń była tak silną, że przerwało mi to zasypianie. Otworzyłam oczy, lecz mimo to znajdowały się nadal przede mną owoce z silną, przyjemną wonią. Zrozumiałam, że dobre duchy wytwarzają z ożywczych molekuł w przyrodzie te, dla innych zapewne, niewidzialne owoce, by pokrzepić mi magnetyzm w astralnym ciele, by on tym aromatem posilił słabnące moje ciało fizyczne.

— Dziękuję, dziękuję — rzekłam — za dużo mnie chcecie nasycić!

— Nie dziękuj — odezwał się miły głos — oddychaj przez chwilę głęboko z myślą, że tym aromatem nagradzasz w ciele fizycznym i astralnym to, czego nie otrzymałaś przez zwykłe jedzenie.

A kiedy już nawdychałam się dowoli, powiedziałam:

— A teraz może byłoby dobrze, gdyby i dzieci się pokrzepiły.

— Pokrzepić ciała astralne i fizyczne dzieci tak, jak twoje, to sprawa trochę trudniejsza. Innem jest ich ciało, zarówno astralne jak i fizyczne, niż ciało twoje — i nie z takim zrozumieniem duchowem patrzyłyby one na to posilanie. Mogłoby to wywołać odwrotny skutek; zamiast miałyby wchłaniać to przez ciało astralne, a tą drogą posilać umiejętnie i ciało fizyczne, zbudziłyby się u nich ludzkie łaknienie i spożywając te czereśnie, bodaj we śnie, nie posiliłyby się jednak w całości. Mogłyby się zbudzić w nocy i wołać z płaczem:

— Trześni, mamusko, trześni!

A gdybyś powiedziała „niema“!, wołałyby: To ciasta, chleba, gruszek, jabłek!“ i męczyłyby ciebie i siebie. Gdybyś im wmówiła, że dasz im rano, a teraz niech śpią spokojnie — to choćby zasnęły, po przebudzeniu domagałyby się spełnienia obietnicy, a nie otrzymawszy tego traciłyby ufność do ciebie. Z twego zaś wymawiania się śmiałyby się ci, którzy czepiają się każdej, bodaj trochę podatnej dla nich myśli, czy niesnaski.

Z tobą jest co innego, ty obeszłabyś się już na ziemi bez chleba, pieczonego w piecu, bez pokarmów, gotowanych na ogniu, jak i wogóle bez wszelkiego pożywienia, prócz wody; co więcej, zdrowszą byłabyś z pożywienia takiego, jakim teraz nasyciłaś oba swoje ciała, astralne i fizyczne, niż z pokarmów, sporządzanych na ziemi. Jest jednak pewna przeszkoda, z powodu której trudno byłoby ci po-

prześćać tylko na takim odżywianiu. Magnetyzmem swoim przenikasz niemal wszystkie ciała ludzkie, na które tylko skieruje się trochę twoja uwaga, a nawet i ciała tych, na których nie zwracasz uwagi, o ile staniesz w ich pobliżu na drodze, w sklepie, czy w pociągu. Niewidzialny twój magnetyzm przenika je nawskroś, niby promienie Roentgena, a ty tem samem ściągasz na siebie z ich aury, z ich fluidów ich właściwości, chęci, żądze, a więc i głód, o ile są głodni; jeśli mają na coś apetyt, udziela się to i tobie, a choć podporządkowuje się to twojej woli, to jednak niemniej przeszkadzałoby przy bezpośredniem zasilaniu twego ciała astralnego i fizycznego. Owszem, mogłoby się to odbywać nawet i w tych warunkach, ale z większym wysiłkiem z naszej strony, a równocześnie i z twojej strony z większem skupieniem uwagi na podawane ci przez nas pokarmy.

Lecz to nie ma większego znaczenia dla ciebie wśród zadań, jakie na siebie wzięłaś na świecie. Niema ci braknąć na ziemi chleba, ni innych koniecznych pokarmów dla ciała. Tego, że dajesz innym wszystko, co otrzymujesz, i to nawet, co już niejako prawem życia ziemskiego masz zostawiać dla siebie i dla dzieci, nie będzie ci nikt z nas zapisywał w księdze życia jako grzech. Nie będziemy cię też chwalić, że to czyn ładny, bo nie dla pochwał masz robić dobrze. Choć wiedz, że nieraz niskie siły rozmyślnie podsuną ci istotę, mającą daleko więcej żywności, niż na 3 miesiące, aby jeszcze coś wyciągnęła od ciebie — i ty dajesz wszystko, do ostatka. Nie masz zakorzenionego w duchu kłamstwa, więc trudno ci dostrzec ten podstęp, maskowany wielką dobrocią, patrzącą z ocz, skierowanymi ku tobie, zalewających się może nieraz łzami i użalających się na sroga nędzę. A sami nieraz nie odkrywamy ci szybko tej złej strony; wszak już dosyć złego widzisz na świecie, niezależnie od twojej woli i żal nam wprowadzać cię w stan smutku i niepokoju.

I naraz ujrzałam kobiecie, która przybyła do mnie przed trzema dniami i już zaraz na wstępie, choć nie zwróciłam jej hynajmniej uwagi, jakobym nie wierzyła jej słowom, zaczęła się przysięgać, że „tako bida, tako bida, do ust niema co włożyć, a tyle dzieci!“ Pozbierałam wówczas, co gdzie się jeszcze dało, a ona gorączkowo związała końce napelnionej płachty, włożyła na plecy i aż uginając się pod ciężarem, wyszła prędko, nie mogąc już wykrztusić „z Bogiem“, gdyż węzeł dławił jej gardło. Poprawiała to już za drzwiami: a tak dziwnie szybko zgarniała, co jej dałam, jakby się obawiała, że jej to jeszcze odbiorę. Nocą przeniosła to do zupełnie suchej, zbitej z desek, ciemnej komory, sprytnie zrobionej w celu ukrycia żywności. Odgarnięte od drzwi szkło, z różnych rozbitych butelek i garnków, znów przygarnęła, żeby nadać temu pozory szopy, zapchanej czemś całkiem niepotrzebnem.

Już nie tyle było mi żal, że dałam jej wszystko, co jeszcze posiadałam, a czem mogłam przecie bodaj trochę nakarmić innych biednych, ile było mi wstyd na myśl, iż ta kobieta może się teraz śmiać ze mnie i mówić przed innymi, że wcale nie jest możliwem widzieć coś wzrokiem duchowym, że to wszystko blaga, bo nie umiałam doj-

rzeń, ile ona ma nagromadzonych zapasów. Widziałam też uśmiech na jej twarzy, kiedy wychodziła ze spiżarni i jej myśli: „Ale to głupie cielę! Takich więcej, a wojna nicby mi nie zrobiła... Niechby się głupcy bili choćby i 10 lat, jabym sobie dobrze żyła!”

Lecz już zasunął mi Opiekun łagodnym skinieniem ręki ten przykry widok. Odłączyłam się od ciała i z jakąś, rzec można, aż chciwą radością, zaczęłam patrzeć na inny obraz, dający mi znów chwilę zapomnienia o życiu na ziemi. Znalazłam się w niczem nie zamąconej ciszy. Odczuwałam w sobie i naokoło siebie lekkość, czarowną lekkość, niby w rzeźkiej kąpieli, która dziwnie rozszerza płuca, pozwalając na wolne oddychanie. Ale wnet stanął przy mnie duch opiekuńczy i całując mię w czoło, rzekł:

— Wróc do ciała swego, wróc, bo znów przygotowują się do ataku. Widzieli cię zdala, choć tyś ich nie widziała. To ci dawni wtajemniczeni, ale wtajemniczeni w swoją własną siłę, czyniący wszystko z własnej swej woli, a patrzący zazdrośnie na wszystkich tych, którzy bez ich przygotowań, z ominięciem ich wtajemniczeń, uwalniają się od ciała i, zostawiwszy je na ziemi, potrafią bez niego swobodnie unosić się w przestworza. Z niechęcią patrzą na twoje swobodne ruchy, na twoje śmiałe oddalanie się od ciała, a niechęć ich łączy się z niechęcią duchów, jawnie przeciwstawiających się woli Bożej. Wysłali oni już twój astralny w postaci wilka na twoje ciało. Wróc już, wróc, by nie otoczyła cię atmosfera lęku, który wyrzucą z ogromną dynamiczną siłą przez jego zawycie w pobliżu ciebie.

Żał mi się zrobiło, że trzeba już wracać.

— Nie żałuj, nie smuć się, bo tem osłabiasz siebie i utracasz energję, którą właśnie powinnaś skupić, by stanąć spokojnie przeciw złej sile wyjącego elementala.

Wróciłam, lecz w momencie przyłączenia się do ciała, rzucił się na mnie straszny wilk z otwartą paszczą, z wyszczerzonymi zębami, wyjąc przeraźliwie. Wycie to było tak potężne, że jednak napiło mnie lękiem; a gdy już przyłączyłam się do ciała, co nie trwało dłużej nad trzy sekundy, to pod wrażeniem prędkiego odsunięcia się od elementala, zesunęłam się z łóżka na ziemię. Otworzyłam oczy; jeszcze huczało mi w głowie od wycia, a ja zawstydzona, ujrzałam się na ziemi. Tak się jakoś czułam upokorzona tym upadkiem z łóżka, że nie chciałam nic, nic widzieć, wiedząc, że pewnie śmieją się ze mnie ci, których to było sprawką. Wyszłam szybko w pola, zaśpiewałam, a modląc się, przepraszałam dobre duchy za wszelkie trudy dla mnie poniesione i za moją niechęć do życia na ziemi. A kiedy już spokojnie przymknęłam oczy, układając się ponownie do snu, ujrzałam, że chcieli tym wilkiem nastraszyć mnie w chwili przyłączenia się, bym gwałtownie odsunęła się od ciała, i by ktoś z nich bodaj na chwilę ośwładnął mną i mógł chociaż trochę kląć przez moje usta.

Nowe zasady.

Minęło kilka dosyć spokojnych dni. Nie brak mi już było chleba ni innej koniecznej żywności dla nas, a i innym też mogłam znów dawać. Znów ułożyłam się do snu, by wypocząć. Była cisza. Chciałam odłączyć się od ciała, lecz jakoś nie mogłam dostać się dalej, jak do sfery snu; nastawiane było w drodze mnóstwo belek i moje ciało astralne nasycone było jakimś dziwnym ciężarem. Zamiast unosić się nad belkami, musiałam się po nich wspinać, co mnie nużyło, więc pragnęłam się zbudzić. Widziałam mnóstwo ócz, skierowanych na mnie, a wszystkie tak patrzyły, jakby mi spojrzeniem chciały głowę rozsadzić.

Lecz już wydobyło się z mej duszy słowo: „Boże!“ Trudno mi było wydobyć więcej. Powtarzałam: „Boże, Boże, Boże!“ i smutno mi było, bo ta myśl „Boże!“ tak mało dźwięczała i mało ogrzewała mego ducha, nie czyniąc go tak lekkim, jak zazwyczaj. A jednak po każdym wypowiedzeniu tego słowa czułam się lepiej, kilkunastokrotne zaś powtórzenie słowa „Bóg“ jakby otworzyło bramę wszystkim zatrzymanym myślom poza mną. I już napływać zaczęło więcej myśli, już zaczęłam się modlić za nich, za tych, co mnie osaczyli. Gdzieś poza nimi, w jakimś kotle coś wrzało, coś się gotowało; dolatywał mnie lekki zapach macierzanki. Jakaś gruba pięść, wylaniająca się z płomienia i dymu, trzymała długi żab, mieszając nim w kotle macierzankę.

Znów zapragnęłam zbudzić się. Już tylko jak we mgle dostrzegłam kobietę, biegającą w rozpacz i trwodze koło tego kotła, to znów jakieś duchy, które z ukrycia zamierzały się w nią siekierą, to znów udawały, że wiążą ją powrozami, kopia, biją, stwarzając przed oczami obraz człowieka, który to niby sam czynił.

Zbudziłam się zmęczona, myśląc: „Dlaczego to tak mnie uwięzili i poci co pokazywali mi takie jakieś różne historie?”

Było to po 11-tej w nocy. Za drzwiami ozwało się pukanie, potem powtórne pukanie w okno. Kiedy pukano do drzwi, miałam jeszcze takie uczucie, jakbym wyszła z bardzo gorącej wody. Brak mi było tchu i nie miałam jakoś najmniejszej ochoty odezwać się: „Kto tam?”

Za oknem ozwał się błagalny głos:
— Proszę pani, proszę pani!

Miałam górne skrzydło okna odchylone, więc głos wyraźnie do-
latywał do mieszkania.

— Przyjdźcie jutro — odpowiedziałam — ja też chcę spocząć
bodaj w nocy!

— O moja pani kochana — odezwał się głos. — Mam sześcioro
dzieci, wszystko to jeszcze drobiazg, nie mogę odejść od nich za
dnia! Od rana do wieczora praca, a mam godzinę drogi. Już od
kilku dni wybierałam się do pani, a tak mi pani pomocy, pani rady
potrzeba!

Zwykle gdy już kogoś wpuściłam i gdy mi powiedział, że przy-
szedł od chorego, nie potrzebował mi mówić nic więcej, jak tylko
jego imię i wiek, a to już wystarczyło, bym zbadała stan choroby
i udzieliła rady.

Kobieta ledwo weszła, mówi:

— Chciałabym dla siebie porady...

Poprosiłam ją, by usiadła, chcąc spojrzeć wzrokiem ducha co
jej brakuje i w czym jej pomóc. Ale kobieta ani chwilę nie ucichła,
a widząc, że zasłania sobie ręką oczy i czoło, zaraz mówi dalej:

— Proszę pani, spotkało mię wielkie nieszczęście. Nie potrze-
buje pani już patrzeć, ja wiem, że paniby to ujrzała, ale niech się
pani nie męczy, ja to już raczej pani sama powiem... Żyłam z mę-
żem bardzo szczęśliwie mimo, że co rok było dziecko. Zabrali go do
wojska, no a jako to kobieta sama... wzięłam sublokatora. Kawaler,
uprzejmy, dobry. Nieszczęście chciało, że zaszłam z nim w ciążę.
Mój nic nie pisał, myślałam, że nie żyje i już się za niego modliłam,
jak za umarłego, bo ostatnio pisał mi, że jest na froncie, a tam po-
dobno dużo ich pobili. Aż tu przed trzema dniami otrzymałam
kartkę, że przyjedzie na urlop. Nie mogę sobie znaleźć miejsca!
Pamiętam, gdy mu kiedyś opowiadałam, jak to jedna kobieta zro-
biła, że miała coś z innym, a męża okłamywała, to on powiedział:
„Gdybyś ty mi tak zrobiła, to zabiłbym ciebie i tego, co by się przy-
czynił do tego.“

Byłam oszołomiona potokiem jej słów i rozpaczą. Przypomnia-
łam sobie, co mi mówił opiekun, żebym nigdy nie dała się nakłonić
do pomocy przy spędzaniu płodu, choćby mi nie wiem jak o to
błagano, choćby zalewano się łzami, choćby mi obiecywano za to
największe sumy pieniężne, bo wejdą mi i tacy w drogę. Powiedział
mi więcej o tych sprawach, ale ja wśród opowiadania kobiety o jej
niedoli nie mogłam sobie wszystkiego przypomnieć. Pamiętałam
tylko jego słowa: „Nikt bez woli Bożej na świat nie przychodzi“.

Czułam napór myśli tej kobiety, czułam się niemi jak osaczona.
Chciała pomocy. Już w jakimś niepokoju i zmieszaniu, broniąc się
przed naporem jej próśb, rzekłam:

— Nikt bez woli Bożej na świat się nie rodzi...

— Ale pani, pani droga — zawołała kobieta, składając ręce
i podnosząc je aż do mej twarzy — niemożliwe, żeby tu działała
wola Boża! Popiliśmy trochę oboje i stało się... No i jakżby tu
była wola Boża? Więc gdy on przyjdzie na urlop, a ja już jestem
5 miesięcy w ciąży, na Boga, czyż on tego nie pozna? I pewnie zrobi

to, co powiedział: weźmie siekiere i zabije mnie! Dzieci zostaną sierotami, a to się przecie też nie narodzi. Jeśli mi pani nie pomoże, to już nikt, bo gdzież pójdę po radę? Nie chciałam, aby się kto dowiedział, co ze mną jest — a u pani to wiem, że będzie, jak kamień w wodę, bo pani nigdy podobno ludziom nie opowiada o tajemnicach tych, co pani prosili o radę; a niekiedy własna siostra pyta siostrę o radę, chcąc wiedzieć jej tajemnice.

I miała rację; żal mi było wówczas, że zdradziłam przed urzędnikiem tych, co w nocy napadli mię.

— Niech mi pani pomoże, niech mi pani pomoże! — błagała kobieta z płaczem.

— Nic pani nie poradzę — rzekłam — bo nie znam na to żadnych środków.

— Ale pani na wszystko umie poradzić, pani jest bardzo mądra, ja wiem, niech pani poradzi! Chorzy panią tak chwała!...

Itđ. itd. — wymowie jej nie było końca. Już z pewnem zdenerwowaniem powiedziałam:

— Tak, ja chorych leczę, ale zdrowych chorymi nie czynię — a wy jesteście zdrowi! Zostawcie mię w spokoju, nie kuście mnie!

Na to odezwała się kobieta:

— Więc dobrze, jak mi pani nie poradzi...

Przy tych słowach złapała nóż ze stołu i dokończyła:

— ...przetnę sobie gardło i żyły na rękach i padnę trupem u pani!

Struchlałam. Z jej dzikiego wyrazu twarzy i zdecydowanego ruchu, jakim porwała nóż, widziałam, że niewiele jej brakuje do urzeczywistnienia tego, o czem mówiła. Takbym pragnęła porozumieć się z opiekunem. Ale była taka dziwna, niesamowita aura, jakby się złe duchy puściły w tany naokoło nas i trudno mi było skupić myśli.

Kobieta tymczasem wciąż nalegała:

— No cóż, powie mi pani, czy mi pani nie powie? Niech mi pani powie choć to, czyby mi pomogła kąpiel z gorącej macierzanki? Ale gdyby miała też krew odchodzić i trzebaby było zrobić skrobankę, to taka rada na nic — bo o ile mój dostałby urlop w krótkim czasie, toby się i tak o wszystkim dowiedział.

— Byłam już tak oszołomiona, że powtórzyłam kilka razy:

— Albo ja wiem, czy macierzanka pomoże?... Nie wiem, nie wiem, nie znam żadnej rady na takie rzeczy... Nie wiem, co skutkuje, a co nie... — I nagle, sama nie wiem jak, wyleciało mi z ust, aby się już jej pozbyć:

— Jeśli myślicie, że wam macierzanka pomoże, to się kąpcie...

Ledwo to powiedziałam, wydało mi się, jakby ktoś zawiesił mi jakiś centnarowy kamień na plecach; trudno mi było wprost tchu złapać. Zaczęłam prosić kobietę:

— Idźcie już, idźcie, bo mi się robi mdło!

A nie chcąc zdradzić prawdziwego stanu mej udręki duchowej, bo wiedziałam, że mnie nie zrozumie, dodałam:

— Pewnie dlatego mdło mi się robi, żeście mnie ze snu zbudzili i tak lamentujecie, że aż człowiek zawrotu głowy dostaje.

— Idę już, idę — rzekła kobieta dziwnie jakoś uradowana, i we drzwiach jeszcze mówiła: — Wykąpię się w macierzance; dam dużo macierzanki i zrobię gorącą kąpiel. Jak już będzie po wszystkim, pošlę pani kartką wiadomość, że ten dokuczliwy ząb już jest wyrwany.

O, jak niemiłą była mi cała ta kobieta ze swoim dziękowaniem: „Niech Bóg pani zapłaci stokrotnie, a ja się pani też odwdzięczę“. A gdy się za nią drzwi zamknęły, powtórzyłam kilka razy z pewnym uporem, chcąc zdobyć się na silną wiarę, że nic nie będzie z jej planów:

— Nie, nie, jej już ta macierzanka nie pomoże! Niech ona zapomni o tem wogóle, że macierzanka mogłaby jej pomóc...

Z temi dość głośno wypowiedzianemi myślami weszłam do pokoju, trzymając w jednej ręce świecę; mimowoli spojrzałam do lustra. O zgrozo, ujrzałam w niem swoją zmęczoną twarz, usta wykrzywione dziwnie bolesnym uśmiechem i wystraszone oczy. Po ramie lustra przebiegł zygzakowaty napis, niby piorun:

— Macierzanka pomoże! Powiedziałaś, żeby się kąpała i kąpać się będzie, a ty będziesz za to odpowiedzialną. Ha, mamy cię ptaszku w klatce!

Nagle lustro jakby się rozszerzyło i ujrzałam w niej całą więzienną. Duchy gorączkowo znosiły tam po garści słomy i kładły ją na ziemi, podskakując, klaszcząc w dłonie i śmiejąc mi się w twarz.

Przemocą oderwałam się od lustra; spadłam na krzesło, świeczka wysunęła mi się z ręki. Zdawało mi się, że całe mieszkanie toczy się gdzieś wraz ze mną.

— Żle, źle — wyszeptalam. — Boże, zrobiłam źle! Daj mi siły, Boże, bym spokojnie przyjęła karę, o ile tak musi być.

Wtem odczułam, jak ręce mojego dobrego Opiekuna podnoszą moją ciężką głowę, a dłonie jego kładą mi się na czole.

— Tak, podeszli cię. Łatwiej im to przyszło, bo właśnie w tych miesiącach masz spłacać trochę własnego długu z przeszłości; nie jest tego wiele, ale oni zawsze chętnie dodają ciężaru już na własną rękę. Nie obawiaj się, w tym wypadku żaden sąd ziemski niema do ciebie prawa. Lecz nie powinnaś była skłonić się ku narzuconej ci za jej pośrednictwem myśli o kąpieli w macierzance. Odcierpisz sobie to, bo niepodobna, żebyś stwarzała sobie nową Karmę na przyszłe żywoty.

Upłynęły trzy dni wśród spokojnej pracy. Nadeszła kartka: „serdecznie pani dziękuję za pomoc, dokuczliwy ząb wczoraj wyszedł cały. Jeszcze mię boli głowa, ale cieszę się bardzo, że się pozbyłam tego złego zęba“.

Znów ten sam zawrót głowy przy przeczytaniu tych słów i przykre wspomnienie obrazu, widzianego w lustrze. Naturalnie nie odpowiedziałam kobiecie wcale. Gdy się wieczorem udałam na spoczynek, na dywaniku nad łóżkiem wyraźnie zabłysły słowa: „Za pięć miesięcy wyrównanie tego, co się stało“.

Po upływie 5 miesięcy chciałam raz szybko przejść przez pobliski tor na drugą stronę przed nadjeżdżającym pociągiem, który

zresztą był jeszcze daleko, a innej ścieżki od domu na szerszą drogę nie było, jak tylko przez ten tor. Śpieszyłam się, by nie denerwować maszynisty, gdyby się pociąg więcej zbliżył. Ledwo przeszłam tor, usunęły się kamienie, na których stałam, tworząc świeży nasyp toru, a ja błyskawicznie zesunęłam się w dół. Szarpnięcie w tył — i znalazłam się na dole pod torem.

Zebrawszy się na siłach, powróciłam po chwili do mieszkania; nogi pode mną drżały. Nie wiedziałam, że to właśnie upłynęło owych zapowiadanych 5 miesięcy od tego wypadku z tamtą kobietą.

Dostałam krwotoku. Byłam słaba przeszło 3 tygodnie, ale pomimo to ludzie, jak przedtem, przychodzili nadal do mnie i udzielałam im rad, leżąc w łóżku.

Krwotok i cierpienia z tem związane były wywołane przez Karmę jako kara za to, że przepuściłam przez swoje usta narzuconą mi zresztą skądinąd radę, by ta kobieta kąpała się w macierzance.

Trzy tygodnie słabości cielesnej, która przykuwała mnie do łóżka, pozbawiając mię wolności ruchu, a przedewszystkiem możności chodzenia w pola, gdzie tak lubiłam się modlić — to była właśnie moja Karma. Wychodzić mogłam wówczas w pola tylko duchem, po odłączeniu się od ciała; lecz zawsze trzeba mi było śpieszyć do niego po upływie najwyżej kwadransa, gdyż przychodzili wówczas na mnie dreszcze mimo, iż uprzednio ciało starannie przykryłam. Lecz przeszłam to zupełnie cicho, cierpliwie.

Przez ten czas jeszcze dwie kobiety zgłosiły się do mnie z podobną prośbą jak ta, która spowodowała u mnie ten krwotok. Usilnie prosiły o radę. Jedna obiecywała, że sprzeda krowę, jedyną żywicielkę jej i dzieci, a pieniądze odda mi w całości, byłem jej tylko udzieliła rady i pomocy. Druga przyszła już z gotówką za sprzedaną świnię i odchodząc, zostawiła pieniądze na stole ze słowami:

— Mam nadzieję, że pani się jeszcze namyśli! Przyjdę jutro lub pojutrze.

Gdy spostrzegłam, co robi, zawołałam:

— Zabierzcie natychmiast ze sobą swoje pieniądze!

— No, no — rzekła kobieta — niech się pani zbytnio nie krępuje! Pani teraz chora, to pieniądze się napewno przydadzą.

Nie mogłam jej zatrzymać i zmusić do odebrania pieniędzy. Zawołałam szybko dziewczynę i powiedziałam jej:

— Przyjrzyj się tej kobiecie, która właśnie idzie tam, obok domu. Pamiętaj, gdyby tu przyszła — a chce przyjść jutro lub pojutrze — to nie wpuść jej nawet do domu i oddaj jej w całości te pieniądze.

Tamtą kobietą, która chciała poświęcić krowę dla uzyskania podobnej rady, nie męczyła mnie tyle; gdy jej stanowczo odmówiłam, rzekła tylko ze smutkiem:

— No trudno, skoro mi pani nie chce pomóc, to ja pani nie zmuszę.

Ale ta druga kobieta, otrzymawszy z ręki dziewczyny pieniądze, krzyknęła podobno dość głośno:

— Ha, trudno, pewnie to dla niej za mała suma. Widocznie tamta, której ona pomogła, dała jej więcej. No, ale ja ostatniej koszuli z siebie nie zdejmę i nie dam takiemu faryzeuszowi, co niby tyle dobrego robi, a bez sumienia chciałaby z ludzi zdzierać! Wszakże ja i tak dam sobie radę i bez tej wielmożnej pani!

Dziewczyna powtórzyła mi te słowa, dodając od siebie:

— Jużech sama chciała ją zwymyślać, bo jak śmie coś podobnego mówić o pani, kiedy ja tu widzę, czy pani kiedy chce od ludzi jakich pieniędzy, czy jakiej innej zapłaty za pomoc!

Zatkałam uszy rękami, wciskając głowę w poduszki. Nie chciałam nic słyszeć, widzieć, ani wiedzieć. Było mi tak przykro dlatego, że ze słowami dziewczyny wpadły niedobre myśli tej kobiety i stworzyły naokoło mnie ciężką aurę. Lecz ledwo przytknęłam głowę do poduszki, ujrzałam, kto to skierował do mnie te dwie kobiety po radę. Była to znów sprawka złych duchów, którym chodziło przede wszystkim o to, by pierwszą sprawę uczynić głośną, aby mię wtrącono do więzienia, a przynajmniej abym miała jak najwięcej przykrości. Lecz przyjaciele moi z Górnych Sfer znów stłumili i unicestwili ich zakusy. Niskim mocom w ich zaślepieniu przyświecała zrazu jeszcze i ta nadzieja, że może przecież dam się skuścić przez te kobiety.

Śmiali się też, widząc, w jaką depresję duchową mnie wpędzili. Jeden z nich przybrał na siebie postać ducha, odpędzonego od ciała przez tamą kobietę przy pomocy macierzanki i zaczął głośno zawodzić, niby żałość, a w istocie zgryźliwość: Cóż on teraz zrobi?! Miał przeznaczone zrodzić się, a ja odpędziłam go od ciała. Gdzież on się teraz zrodzi, dokąd pójdzie?

Tak sprytnie umiał się urządzać, że znów popadłam w przygnębienie, uwierzywszy, że to rzeczywiście duch tego dziecka. Lecz ten hipnotyczny wpływ trwał tylko króciuchną chwilę.

Odłączyłam się i dobry duch wskazał mi miejsce, gdzie przebywał ów duch, który miał się zrodzić i tak z przerwaniem pasma mi życia, wiążącemi go z ciałem. Dobry przyjaciel rzekł mi:

— Patrz, duch ten jest całkiem nieświadomy stanu, w jakim się znajduje, nic nie wie, co się z nim stało. Widziałaś nieraz pijacznę, jak idzie drogą, zataczając się; upadnie do rowu, trochę się potłucze, lecz wypadek ten i chłodna woda trochę go orzeźwi z pijaństwa tak, że już potem równiej idzie po drodze, uważając na siebie. Tak i ten duch; w poprzednim swem życiu na ziemi trwał w tem przekonaniu, że człowiek niewiele różni się od zwierzęcia — musi jeść, spać, no i jako człowiek pracować, tak często zresztą tylko pod przymusem innych; tak sobie żyje, póki nie umrze, lub nie zostanie przez jaki wypadek zabity. Duch ten po swej tak zw. śmierci, nieświadomy swego stanu zatacza się jak pijak w astralnym świecie.

Z takich to duchów robią sobie nieraz duchy, świadomie źle czyniące, niesmaczne żarty. Wiedzą, że ci wcześniej, czy później pójdą na zrodzenie. Jeśli chcą komuś wyrządzić przykrość na świecie, mając go zapisanego według ich własnego prawa w ich czarnej księdze przewinień, szukają, najdogodniejszych dla siebie przyczyn,

by popchnąć doń takiego ducha na zrodzenie, używając przytem sami dowoli rozkoszy niskiego rodzaju. Takie duchy rzadko kiedy ujrzą światło dzienne jako dzieci. Kiedy już są przyłączone do małego ciała — a to nie z woli Bożej, tylko za sprawą niskich sił, — często płód przy lada karmicznym wstrząsie u matki odrywa się i następuje poronienie. I u tej kobiety nastąpiłby ten wypadek, choćby była nie przepuściła przez usta myśli o kąpeli w macierzance. Ta kobieta nie wiedziała o tem, ale oni już wiedzieli, że zbliża się chwila poronienia. Otoczyli ją niepokojącemi myślami, nasuwając jej we śnie straszne obrazy, że mąż, dowiedziawszy się o jej ciąży, zabije ją siekierą i t. p. — a potem podsuwali jej sprytnie myśli, że ty jej pomożesz wydobyć się z tego ciężkiego położenia.

Takie dzieci rzeczywiście nie z woli Bożej rodzą się na świecie — lecz i o takich wypadkach Bóg wie, bo On wszystko widzi i o wszystkim pamięta. Wszystkie wybryki trwają tylko do pewnego czasu, a Bóg na wieki — i **wszyscy** kiedyś **muszą odbyć nad sobą sąd ostateczny**, gdzie wyraźnie zdecydują się wejść na drogę dobrą, powrócić do Boga, wyrównać krzywdy bliźnim wyrządzone — bo zło nie może trwać wiecznie. Ujrzą, że bez końca grzeszyć nie można, bo sami sobie tem sprawiają cierpienia i coraz niżej tylko spadają w otchłań ciemności i piekło udręki duchowej.

Niejeden ze staczających się na dno tej przepaści, opamiętuje się — i nie myśli już o odwecie za cierpienia, jakich doznał przy upadku ducha, nie chce już tym drugim odpłacać złem za to, że go do tego upadku popchnęli, a potem wyśmiewają się jeszcze z jego strachu i udręki. Przebudziwszy w sobie dobrą wolę, uskrzydłony nią i miłością, która już zlewa się na niego ze Źródła prawdziwego Życia, z Boga, wspina się w górę, ucieka z tego piekła. I w cierpieniach, jakie napotyka, w cierpieniach stworzonych przez samego siebie, a zadawanych mu i jeszcze pomnażanych przez tych, od których ucieka, nie przeklina, lecz z wiarą i prawdziwą ufnością zbliża się do Boga. A choćby i w pocie czoła miał odsuwać ciężkie kamienie i ciernie, rzucające mu przez nich pod nogi w drodze powrotnej do Boga, odsuwa te kamienie i na ich miejscu zasadza róże dobrych myśli i modlitwy za tych nieszczęsnych, zaślepionych własną złą wolą, a częstokroć już nie zdających sobie sprawy, ile złego czynią dla swych bliźnich i dla siebie samych.

Duch ten, oderwany od swej słabej cielesnej powłoki, którego tu widzisz, nie ma żalu do ciebie, bo on nawet nie umie przenieść się myślą ku tobie i nie wie dokładnie, co to się z nim stało. Wyczuwa tylko, że ci, którzy kręcą się naokoło niego, zrobili mu krzywdę. A właśnie jeden z nich udawał przed tobą, że jest tym duchem, odpędzonym od ciała dzięki twojej radzie. Módl się za nich, módl się; wszak wiesz, jak na nich działa modlitwa, myśl o Bogu i jak pod jej wpływem ucinają im się zawsze złe myśli, jeśli cię chcą niemi straszyć lub w jakikolwiek sposób naruszać twój spokój ducha przykremleni snami, potworami i t. p. Kiedy tylko wyczujesz, że dzieje się coś niesamowitego, że cię otacza niepokój i nie możesz połączyć się z nami, gdy ujrzysz, że oni z ukrytymi zamiarami zbli-

zają się do ciebie, módl się, łącz się szybko z nami myślą, a temsamem zagrodzisz im drogę do siebie. A chociaż oni i w tym wypadku, wobec walczących z nimi bronią miłości, nie rezygnują ze zwycięstwa i starają się ich krzywdzić, choćby ich parzyły dobre ich słowa i myśli, to jednak wiedz, że zawsze dobre myśli, modlitwa, miłość może osłabić ich najcięższe zakusy i popsuć im plany.

I znów powróciłam do ciała.



Kuszenie, bym skoczyła ze skały.

Wkrótce wyjechałam z domu na krótki wypoczynek. Zapragnęłam wyrwać się trochę na wieś i odetchnąć świeżym powietrzem na łonie przyrody. Choć to była jeszcze wczesna wiosna, było już dość ciepło i miło. Wyjechałam do znajomych na dwa dni. O dłuższym pobycie poza domem trudno było pomyśleć, gdyż ludzie, którzy przychodzili o pomoc, a nie zastali mnie, narzekali zwykle, że nadarmo przyszli i to nieraz z daleka. Ich myśli, ich smutek dolatywał mnie i niepokój ich w wyczekiwaniu udzielał się i mnie. Mogłam się myśla odseparować od tych ludzi, czekających na mnie, ale takie odziesienie się nie przynosiło mi ulgi. Tak stało się i tym razem. Zamykając się dla tych ludzi stałam się temsamem dziwnie nieczułą dla wszystkich, jakby mi serce czegoś zaczęło kamienieć. Chłodna obojętność, zda się, na wszystko naokoło mnie rzucała szare cienie smutku. Niewysokie wzgórza wydały się jeszcze niższemi, śpiew ptasząt jakiś przytłumiony i wszystko dziwnie zgniecione, zwężone, nieruchome, a mnie samej zrobiło się tak ciasno na świecie! Uczucie to przeobrażało się we mnie w martwą ciszę, tamując nawet i wzlotne myśli, radosną świadomość tego, że się żyje wiecznie i że tyle jeszcze piękna jest poza obrębem tego świata.

Sama nie wiedziałam, jak nawiązałam znów kontakt z tymi chorymi, wysyłając im pocieszające myśli. Zaczęłam się modlić za wszystkich cierpiących na ziemi. Wstępowałam cicho na wzgórze, które było z jednej strony bardzo spadziste; oddychałam głęboko, rozkładając dłonie tak, jakbym głaskała świeżą trawkę i wydobywające się z ziemi roślinki; czerpałam w ten sposób siły z przyrody.

I stałam nad urwiskiem. Pod wzgórzem dość głęboka rozpadlina, a za nią dolina pięknie wijąca się zieloną wstęgą, z młodemi drzewkami i jałowcem. Konary drzew spowite mgłami, które zaczęły się posuwać mleczną smugą z dołu w górę. Powoli spory kawał ziemi u stóp wzgórza zasunął się mgłami. Miałam wrażenie, że zawisłam w białych obłokach.

Myśl modlitwy unosiła się gdzieś, tonąc w dali. Stałam chwilczkę bez wyraźnej myśli, zapatrzona w mgły. Wtem usłyszałam łagodny głos, mówiący z przymileniem:

— Siostró kochana, dziecino droga — prawda, jak to dobrze płynąć sobie tak swobodnie duchem w przestworzach? Czy wiesz, że ty i wraz z ciałem możesz płynąć nad powierzchnią ziemi? Trzeba

tylko mieć wiarę, a możesz swobodnie rozłożyć ręce jak skrzydła i skoczyć z tej skały, a noga twoja nie potknie się o kamień, nie spadniesz na ziemię. Możesz dowoli płynąć pięknie razem z temi mgłami, bo dobre duchy nieść będą twoje ciało na swoich rękach.

Głos ten był ludzaco podobny do głosu mego ducha ochronnego, tylko że nie przemawiał mi jakoś do wnętrza ducha, nie przynosił szczerzego uczucia miłości i opieki i nie wzbudzał we mnie bynajmniej przekonania, że tak może być istotnie.

Zaczęłam się sama zastanawiać: na cóżby mi się to przydało, by płynąć wraz z ciałem koło tego wzgórze i dla swojej wygody trudzić dobre duchy, aby zmieniały ciężar mojego ciała a może i same unosiły to ciało na swoich rękach.

— Skocz, skocz z góry, skocz, nie namyślaj się! — ozwał się ten głos już nagłaco — wszak duch twój sam swoje ciało uniesie.

I już odczuwałam, że ktoś wprost popycha mnie, bym z góry skoczyła w rozpadlinę skały. Przymknęłam powieki, chcąc spojrzeć, kto to mówi, gdyż zwątpiłam już do reszty, żeby to mógł być duch opiekuńczy. I ujrzałam ich — byli to niemal wszyscy ci sami, którzy owej pamiętnej nocy prowadzili i popychali przeciwko mnie napastników, żądających rzekomych stu tysięcy dukatów w złocie. Stali uporczywie i złośliwie na mnie patrzyli.

Lecz wtem-że nadszedł opiekun i rzekł:

— Odejdź trochę dalej od brzegu urwistej skały! Byli już przygotowani na to, że poznasz, kto to mówi do ciebie. Owszem, nawet chcą tego, byś popatrzyła za nimi; pragnęliby, byś jeszcze trochę dalej odeszła duchem od ciała, a wtedy oni straciliby twe ciało w przepaść. Musisz uważać na wszystkich miejscach niebezpiecznych dla ciała, bo oni chętnie spieszą w takie miejsca i to nietylko za tobą, ale za wielu, wielu ludźmi, szukając sposobności do działania.

Odeszłam z tego miejsca szybkim krokiem. A oni wołali za mną:

— Tchórz, tchórz! Widzicie, jaka to święta! Czyż mało świętych unosiło się nad ziemią?

Lecz opiekun polecił mi już nie wysyłać im wcale ani jednej myśli.



Prześladowania ze strony miejscowego księdza.

Po powrocie zastałam dzieci w gorączce, co zresztą często się zdarzało, kiedy bodaj na jeden dzień oddaliłam się z domu, a nie mogłam ich zabrać ze sobą. Zaraz skupili się koło nich „tamci“, którzy tylko czyhali, by mi czemś dokuczyć — i pomimo opieki wyższych duchów potrafili tak podziałać na służącą, że niby bez żadnej złej myśli kupiła kiełbasy i uraczyła nią także i dzieci. Te nieprzyzwyczajone do takiej stawy już nawet tego dnia lub następnego dostawały gorączki. A jeżeli już służąca oparła się temu pokuszeniu, to zastawałam je z porządneimi guzami na głowie lub t. p. Tak to kiedykolwiek wyjechałam z domu bodaj na krótki czas, zawsze podczas mej nieobecności przygotowali mi jakąś niemilą niespodziankę.

Starali mi się szkodzić na każdym kroku. Nietylko wysyłali do mnie ludzi, przez których usiłowali skusić mnie do złego, ale także pomagali innym, żyjącym na ziemi, walczyć przeciwko mnie, a właściwie przeciwko memu zadaniu.

Często ksiądz zwracał uwagę ludziom, by stronili ode mnie, by unikali mnie, jak zarazy, gdyż mam łączność z djabłem, jestem w jego mocy, więc muszę go słuchać i słucham go chętnie, chcąc także innych wciągnąć na dno piekła. Pewnego razu pouczał dzieci w szkole, że jeśliby ktoś nawet zabił takiego człowieka, mającego spółkę z djabłem, nie ma grzechu. Te nauki nie pozostały bez wpływu na niektórych parafjan, podobnie jak wiele innych jego argumentów i poglądów na tę sprawę.

Śmielsi z nich upierali się wprawdzie, że źle nie robię i że u mnie niema żadnego diabła — niektórzy jednak uwierzyli mu i zaczęli się domagać, by poszedł do mnie wypędzić tego diabła święconą wodą. Pod pewną presją ludzi ksiądz wybrał się do mnie.

Dobry mój duch opiekuńczy stawiał po największej części ścianę, żebym nawet nie widziała zacnego duszpasterza, ani nie słyszała jego wywodów. Toteż dopiero na krótki czas przed jego zjawieniem się u mnie ujrzałam, z jaką misją idzie. Wiedziały już o tem różne kumoszki, że przyjdzie, wiedzieli też i inni, którzy w mej pracy bynajmniej nie dostrzegali sprawek szatańskich; wiedziało o tem również sporo dzieci — tylko mnie wcale o tem nie mówił opiekun, że za niespełna pół godziny ksiądz się zjawi. Zasłonił mi widok jego i tych wszystkich ludzi, skierowanych w tej chwili do mnie myślami

i dyskutujących na ten temat, czy w mej pracy jest sprawka djabła, czy nie.

Byłam sama w domu. Nagle rozległ się za oknami zgiewk dzieci świadczący, że dzieje się coś niezwykłego. Wkrótce gwałtownie otworzyły się drzwi i do przedsionka i kuchni, posypały się kamienie, rzucone przez dzieci, wracające właśnie ze szkoły. Z pobliskiego śmietniska przed domem wyciągały skwapliwie papiery, szmaty i śmiecie i wszystko gorączkowo rzucały na kuchnię.

Stałam w pokoju bez słowa, przyglądając się ich gorączkowej pracy. Nic we mnie nie drgnęło, nie pojawiła się najmniejsza myśl niechęci, że zaśmiecają mi mieszkanie, patrzyłam na nie raczej ze zdziwieniem. Były to dzieci szkolne.

Nie wiem, kto podał im nową myśl, dość, że śmielsi zaczęli porywać szklanki i garnuszki i także niemi rzucać o ziemię. Lecz tylko kilka ich padło ofiarą odważnych napastników; widziałam w oczach tychże dziwny strach i przerażenie, kiedy ukradkiem spojrzeli na mnie.

W tym dniu miałam świeżo napieczone pączki i ciasto — jakby umyślnie dla nich. Kiedy już przestali rzucać kamieniami i wyszli z sieni, zebrałam do fartucha wszystkie pączki i poszłam do nich, mówiąc:

— Aleście się napracowali! No, abyście nie powiedzieli, żeście za pracę nic nie otrzymali, chodźcie, dostaniecie pączki.

Dzieci patrzyły na mnie wytrzeszczonymi oczyma. Niektóre z nich widząc, że wychodzę z sieni, schyliły się prędko po kamienie; myślały zapewne, że chcą je skarcić, albo może nawet, że niosę kamienie w fartuchu, aby niemi na nie rzucać. Kiedy ujrzały pączki, powypuszczały kamienie z rąk; wiele zaczęło łapczywie jeść pączki, inne odbiegły dalej, wołając:

— Nie jedzcie tego, tam może zapieczone duchy! To djabeł piekł te pączki, za pączki zapiszecie jemu swoją duszę!...

Nie słuchałam już ich. Ujrzałam, że z przeciwnej strony nadchodzi ksiądz, a za nim grupka kobiet. Wchodząc pozdrowił mię słowami:

— Pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków! — odpowiedziałam.

Widziałam, że ze zdumieniem spojrział na kamienie i śmiecie i na te różne gruzy na kuchni, podnosząc z kolei na mnie pytający wzrok.

— To szlachetny czyn wiernych waszych owieczek — wyjaśniłam. — Ale to nic — dodałam — nie przejmujemy się taką drobnostką, to się uprzatnie!

I ksiądz zaczął swoją litanję, pewnie umyślnie już przeznaczoną do tego celu wygnania djabła. Kropił wszędzie, szczególnie za piecem.

Trudno mi opisać, jakich uczuć wówczas doznawałam. Chwilami chciało mi się śmiać z jego głupoty, ale potem zrobiło mi się przykro, kiedy pomyślałam, jaki on jest nieszczęsny w swojej ciemności, tem smutniejszej, że mieni się sługą bożym i opiekunem duchowym bliźnich, no i pedagogiem, a w istocie jest takim małym,

nędznym duchem, nie wiedzącym nawet, co czyni, pod czyją inspiracją do mnie przyszedł. Przymknęłam na chwilę powieki, patrząc, co go sprowadziło w moje progi. I w tym momencie ujrzałam brzydkie duchy, pokazujące mi języki, a co gorsza wykonywujące nieprzyzwoite gesty. Inne zaś z nich za oknem sugerowały chłopcom, kończącym jeść pączki:

— Pociżesz to brał, pocóż to żresz? W tem jest trucizna, z której ciężko zachorujesz i umrzesz!

Kilku z nich rzeczywiście w przestraszu chwyciło się za brzuchy i jak szaleni zaczęli uciekać od domu.

Innym sugerowały niskie duchy:

— Mogłeś jej głowę rozbić kamieniem, a przynajmniej wybić okno.

Ksiądz zaś odmawiał swoje modlitwy. Nie kropił już, stał rozkroczony na środku mieszkania. Modlił się z książką, niespokojnie co chwila odrywając oczy od książki i obserwując mnie.

A w górze nad głową księdza ujrzałam długą, poszarpaną chmurę, ciągnącą się daleko ponad dach mego mieszkania. W tej chmurze w szalonym tempie tańczył żyd w trzech chałatach, które rozwiewały mu się, jak skrzydła nietoperza. W jednej ręce trzymał rozbite tablice dziesięciorga przykazań, w drugiej butelkę. Nie wiedziałam, czy w butelce jest wódka, czy święcona woda, bo jakoś i ta i ta myśl unosiła się koło tej butelki, lecz wreszcie pozostała przy butelce myśl, że tam jest wódka.*)

A żyd tańczył, śpiewając:

— Ludzie, ludzie, mesjasz się rodzi, mesjasz się rodzi...

Kobiety tymczasem koło domu, kryjąc się trwożnie jedna za drugą, cicho coś sobie mówiły, czekając pewnie, skoro djabeł kominem lub drzwiami wyleci.

Powtórzyła się tedy dokładnie scena, którą już niegdyś ujrzałam przy szkicowaniu się mej pracy. Nie pomyślałam o tem w tej chwili, że już to widziałam i słyszałam. Zapytałam księdza, czy mu przypadkiem nie zabrakło wody święconej? Jeśli tak, to mogę mu dostarczyć, gdyż jest w kubie niedawno przyniesiona, a mojem zdaniem, kiedy Bóg stworzył świat, to swoim świętem słowem: „Stać się!” poświęcił wszystko na niej, więc i wodę.

Ksiądz oburzony oddalił się.

*) Żyd ten był niezmiernie podobny do owego księdza. Zasympolizował mi się z butelką wódki w ręce, ponieważ ksiądz ten lubił bardzo popijać. (Uw. autor.)



Msza, odprawiona na intencję mej śmierci i jej skutki.

Widzenie symboliczne Baranka.

Wkrótce po tem wydarzeniu uradzono, by ksiądz odprawił mszę św. na intencję, bym zmarła. Ta myśl została znów zasuniętą przed moim wzrokiem przez mego ducha ochronnego.

I oto pewnego pięknego, pogodnego dnia znów byłam sama w domu. Dzieci spały. Jakże błogo czułam się w tej ciszy! W niej zwykle znajdowałam wypoczynek, pogrążając się w modlitwie.

Wtem jakaś niesamowita ciężkość zaczęła mnie ogarniać. Powietrze wydało mi się ciężkie i blask słońca przygasł jakoś w mieszkaniu. Pomyślałam ze zdumieniem:

— Cóż to, tak nagle chmury nadciągnęły?

Podeszłam do okna, patrzę na niebo, lecz widzę błękit czysty, jasny, bez chmurki. Westchnęłam; zrozumiałam, że to pewnie jakieś chmury astralne, duchowe. Nie przymykając nawet oczu, siadłam na krześle, wczuwając się w tę niesamowitą, ciężką atmosferę. Żadna myśl z niej nie błysnęła.

W rogu mieszkania zaczęło się już rzeczywiście ściemniać; z kłębiącej się chmury, zasuwającej już cały pokój, zaczęły w ciemnym rogu wyskakiwać ogniste języki, kształtu stołowej łyżki. Języki te gęstniały, a łącząc się wzajemnie, utworzyły ognistą lunę. Trudno było patrzeć w ten żar — o, jakież nieprzyjemne uczucie!

Chciałam wybiec z mieszkania na powietrze, lecz nie mogłam ruszyć się z miejsca. Chwyciłam głowę rękami i usilnie wydobywałam z siebie słowo: „Boże!“ Zrobiło mi się lżej. Nie potrafiłam przez dłuższą chwilę nic więcej wymówić, jak tę jedyną myśl: „Boże, Boże...“

Znikły chmury i dziwny ten płomień, siarką ziejący — lecz jeszcze niewesoło było w mej duszy. Koło okna ozwały się kroki męża. Może nigdy nie ucieszyłam się tak jego powrotem do domu, jak tego dnia.

— On wyrwie mię z tego dziwnego stanu odrętwienia — pomyślałam. — Trzeba się będzie koło niego zakrzętnąć, podać mu posiłek i myśli mi się odwrócą na inne tory.

Kiedy postawiłam przed nim jedzenie, nie tknął go wcale, patrząc chmurnie przed siebie. Położyłam mu rękę na ramię, pytając, czy może życzyłby sobie innej potrawy, to mu ją zaraz przygotowuję.

Lecz on wziął nóż i widelec do ręki i patrzył na mnie przez chwilę, jak nieprzytomny, wreszcie odezwał się:

— Jabym był zadowolony, gdybym tak miał nóż taki długi, żebym nim mógł przebić ciebie i przybić do ściany!

Odeszłam cicho do pokoju, nie zamykając nawet za sobą drzwi, by niczem nie pobudzić go do złości. Żal, ogromny żal ogarnął moją duszę. Zrobiło mi się niewymownie smutno. Uczułam się, jak nigdy dotąd, osamotnioną, poczułam tęsknotę za wiernym towarzyszem życia. Puściłam wodze myślom...

Miłość małżeńska, miłość piękna, dopełnianie się wzajemne, zupełne zrozumienie się — jeden wspólny cel, jedna idea, wiążąca dwoje ludzi... Nic, nic z tego niema dla mnie na świecie! Cierpię przy tym człowieku, cierpię za jakieś dawne grzechy — lecz czyż nie nie mogło go dotychczas przywieść do opamiętania? Ani trochę zrozumienia...

I słowa jego stanęły przede mną w całej swej zgrozie. Pomyślałam:

— Ach, jakie to straszne iść przez życie z człowiekiem, który mnie aż tak nienawidzi, że szczęściem dla siebie nazywa możliwość przybicia mnie do ściany!

Uczułam się nagle niezmiernie nieszczęśliwą i tak dotkliwie, jak nigdy, odczuwałam brak wiernego towarzysza na ziemi, któremu mogłabym skłonić głowę na piersi i zwierzać się ze swoich wędrowek w zaświecie, ze wszystkiego, z czego dusza ma się raduje, ku czemu duch łąnie.

Wtem przed oczyma memi, choć ich nie przymykałam, przesuwały się białe mgły, a w nich coś zaczęło świergotać jak koniki polne, zamieniając się w tysiączne delikatne dźwięki, niby śpiew ptasząt.

— Tak, tak — powiedziałam, jeszcze jakoś boleśnie rozżalona sama na siebie — przychodźcie mnie pocieszyć! Rozumiem, jesteście dobrzy, lecz przyznajcie sami, jak ciężkie jest to moje życie na ziemi, kiedy ten, z którym żyję pod jednym dachem, ani trochę mnie nie rozumie. Nie pocieszajcie mnie, bo pewnie na to nie zasługuję. Zostawcie mnie, niech się wypłaczę!

Chciałabym uciec, uciec gdzieś daleko i zapomnieć na chwilę, że żyję i to takim życiem! Wypłakać się, wykrzyczeć, wykrzyczeć strasznie!

Lecz w tejże chwili odczułam obie ręce Opiekuna na ramionach, a głowę jego przytuloną do mej głowy; poznałam, że pragnie odstąpić ode mnie wszelki napływ myśli. Objął moją głowę tak, jakby się obawiał, że na nią spadnie jakiś straszny ciężar.

— Cicho, cicho, kochanie — płynęły od niego myśli — to wszystko minie! Pociesz się tem, że wielkie rzesze dobrych duchów, wiernych Bogu, kochają cię, a czyż ludzie nie? I ludzie także! Przemienie dzień twojej ciężkiej udręki życiowej z nim, przemienie niebawem, wolną będziesz od swojej starej Karmy z nim, w którą zaplątali cię inni. Nie obawiaj się, nic złego ci się nie stanie. Ni krzyk, ni płacz ci nie pomoże. Krzyk i płacz w rozgoryczeniu, w dziwnym rozżaleniu ducha, że jest mu źle, to mogłoby tylko osłabić twego ducha i znie-

chęć go do pracy i do życia. Chodź, pójdź na chwilę do naszego grona, cichuteńko opuść swoje ciało.

I jeszcze chciałam coś odpowiedzieć na jego łaskawe słowa, jeszcze nie ucichł dziwny bunt mego ducha, kiedy krzesło pode mną poruszyło się i zostałam podniesioną wraz z niem w górę nad podłogę; zwróciło to moją uwagę, bo takie rzeczy się ze mną dotąd jeszcze nie działy. Potem znów zostało krzesło ze mną postawione na podłogę, przyczem lekko stuknęło. Odniosłam dziwne wrażenie, że wraz ze stuknięciem spadł jakiś ciężar z mego ciała i uwolnił też i ducha.

Jasne mgły znów zbliżyły się, ale patrzyłam na nie tym razem już wzrokiem ducha, bez pomocy cielesnych oczu. Utworzył się z nich daleki, szeroki, ruchliwy krąg — a w nim zjawił mi się baranek. Nie miałam nawet czasu pomyśleć, jaki to symbol, co on mi ma powiedzieć. Przyływ myśli ustał zupełnie — a jednak czucie ducha spotęgowało się.

Baranek zbliżał się, unoszony na puszystym, białym kobiercu obłoczków. Za nim sunęło olbrzymie słońce, rzucające daleko swoją piękną, złotą lunę, na której tle przebiegały w równych odstępach smugi jasnych promieni niby pęki złocistych strzał. Zdało mi się, jakby inny świat się przede mną odsłonił — inny, niż świat astralny — taki żywy, tak wiele, wiele mówiący!

Baranek zbliżał się...

W niemym zachwycie i w dziwnej, jakby świętej bojaźni patrzyłam na to zjawisko... i czegoś zaczęłam się wstydzić — wstydzić samej siebie, swojej słabości, w której chciałam się buntować, krzyczeć, płakać, że jestem sierotą na ziemi, sierotą ze swojemi zapatrywaniami i że brak mi miłości i zrozumienia ze strony męża. Spuściłam zawstydzone oczy.

Tymczasem baranek zbliżył się. Cós przemocą podnosiło moją pochyloną głowę i zmuszało ducha do spojrzenia. Trudno opisać to słodkie zmuszanie, tę boską radość i równocześnie taki spokojny rozkaz, by podnieść głowę i patrzeć.

Spojrzałam,, i zadrżałam do głębi. Zdało mi się, że się rozplynę w atomy. Zapragnęłam gdzieś uciec, schować się, bo nagle uczułam się takim małym, nędznym stworzeniem!

Znikła głowa baranka, na miejscu jej była głowa ludzka. Dwoje oczu, pięknych, niebieskich, pełnych miłości, rozumu, tkliwości — jasnych, czystych oczu, jaśniejszych ponad to słońce, na którego tle ukazał się baranek biały — patrzyło na mnie...

I nie mogłam oderwać od nich wzroku, zostałam niejako zniewolona tą siłą spojrzenia.

W tych oczach, niby w lustrze, ujrzałam samą siebie. W króciuchnej chwili spostrzegłam siebie w różnych żywotach w ciągu całych milionów lat i wszystkie moje czyny, w jakich oddalałam się od Boga i znów zbliżałam do Niego... Taka małeńka w tych wielkich, pięknych oczach — w jednym odzwierciedlona, jak oddalałam się od Boga, w drugim, jak zbliżałam się do Niego. W jajowatym, przezroczystym owalu tysiąc razy szybciej, niż żywe srebro, toczyłam się

w źrenicy oka. Z niewypowiedzianą szybkością powstawało życie i znowu umieranie, różne wypadki i różne, różne czyny. I każdy większy czyn, który zaważył na kroku wstecz, czy naprzód, był wyraźnie dostrzegalnym.

I mój ostatni bunt i rozpacz, wyrzucana z żalem z ducha, że tak mało szczęścia na ziemi, — i to było odbite w tem spojrzeniu. Ujrzałam tam i ochronnego ducha i myśli, jakie wysyłał, nim rękami przytulił moją głowę ku sobie:

— O Panie, Panie, Ojczy dobry nas wszystkich, daj nam siły, byśmy ją mogli pocieszyć i by nią nie zawładnęły niskie moce! O dobry Ojczy, wybaczyć jej nieufność w Twoją dobroć, tę nieufność, która ugrzęzła we wnętrzu jej ducha, rzuconą przez nieszczęsne duchy, oddalające się od Ciebie! Pomóż, o Panie, wyrzucić ten chwast z jej ducha! Spal go swoim miłości pełnym spojrzeniem!

Czytając tam te myśli, wzruszona do głębi, ujrzałam, że te oczy, te piękne oczy czegoś znikają. Nie było już postaci baranka, nie było już kształtu głowy człowieka... Oczy, te oczy gdzieś się rozplywały, znikają.

Odczułam cichy, ale za to aż przenikliwy ból w duchu i tęsknotę taką ogromną, że zrozumiałam, iż nawet miliony duchów nie są w stanie największą pieczołowitością i miłością wyrwać mi tej tęsknoty za niem, za tem spojrzeniem. O, utonąć, utonąć w tem oku, które odbijało te najlepsze czyny i tę największą radość z życia, to poznanie Boga! Ach, ukryć się w tem oku!

Poznałam, że nikogo nie potrafię już tak bardzo pokochać, jak te oczy, a raczej to oko — bo już też oba zamieniły się w jedno i jedno oko patrzyło na mnie. Dostrzegałam w niem już tylko miłość, miłość i wołanie:

— Chodź, chodź za mną, chodź do mnie!

* * *

Po tem przeżyciu trzy dni byłam jakoś dziwnie oderwaną od życia na ziemi, a także i jakoś oszołomiona po odłączeniu się od ciała.

Całe trzy dni otaczał mię większy spokój i miałam względną ciszę; nie przychodzili chorzy — a i tak raził mię najmniejszy zgrzyt myśli: Małe nieporozumienia dzieci — o, jakże groźnemi mi się one wydawały! Zdawało mi się, że każdy niedelikatny ruch, słowo, myśl, skrzypnięcie drzwi, płacz dzieci, ich grymaszenie — razią swoją grubością i złem to Dobro, to Dobro, co na nas otwartemi oczyma patrzy!

Przy tem wszystkiem chodziłam machinalnie i wykonywałam zwykłe codzienne prace. Po odłączeniu się w nocy duch mój tak jakoś zawisł spojrzeniem na wszystkich dobrych duchach po kolei i tak szukał, szukał w przestworzach poza niemi tych oczu, czy ich gdzie nie dostrzeże! Cisza panowała wśród grona dobrych duchów, cicho na mnie patrzyły, a ja na nie. A jednak wszyscy myśleli, a w tych myślach sami ze sobą rozmawiali, zajęci sami sobą, w jakimś głębokiem skupianiu się w sobie.

Za trzy dni spojrzalam na Opiekuna, nie będąc odłączoną od ciała.

Opiekun wytłumaczył mi wtedy, dlaczego to w ów pamiętny dzień mąż powiedział mi, że byłby zadowolony, gdyby miał wielki nóż i mógł mię nim przybić do ściany. Było to pod wpływem mszy, w której błąkała się myśl księdza, bym odeszła z tego świata. A dołączyła się też do tego i Karma, boć ja go kiedyś przebiłam nożem. Gdyby wówczas niska siła zdołała była ująć rękę męża i przebić nożem moje serce, utrwaliłoby to księdza w jego ciemnej wierze i byłby przekonany, że Pan Bóg tak zrządził na prośby jego, a zapewne i innych, iż mąż mnie zabił.

Również i chmury, które widziałam poprzednio, a w nich ogniste języki, pozostawały w związku z ową mszą; były to myśli, płynące na intencję mej zguby.

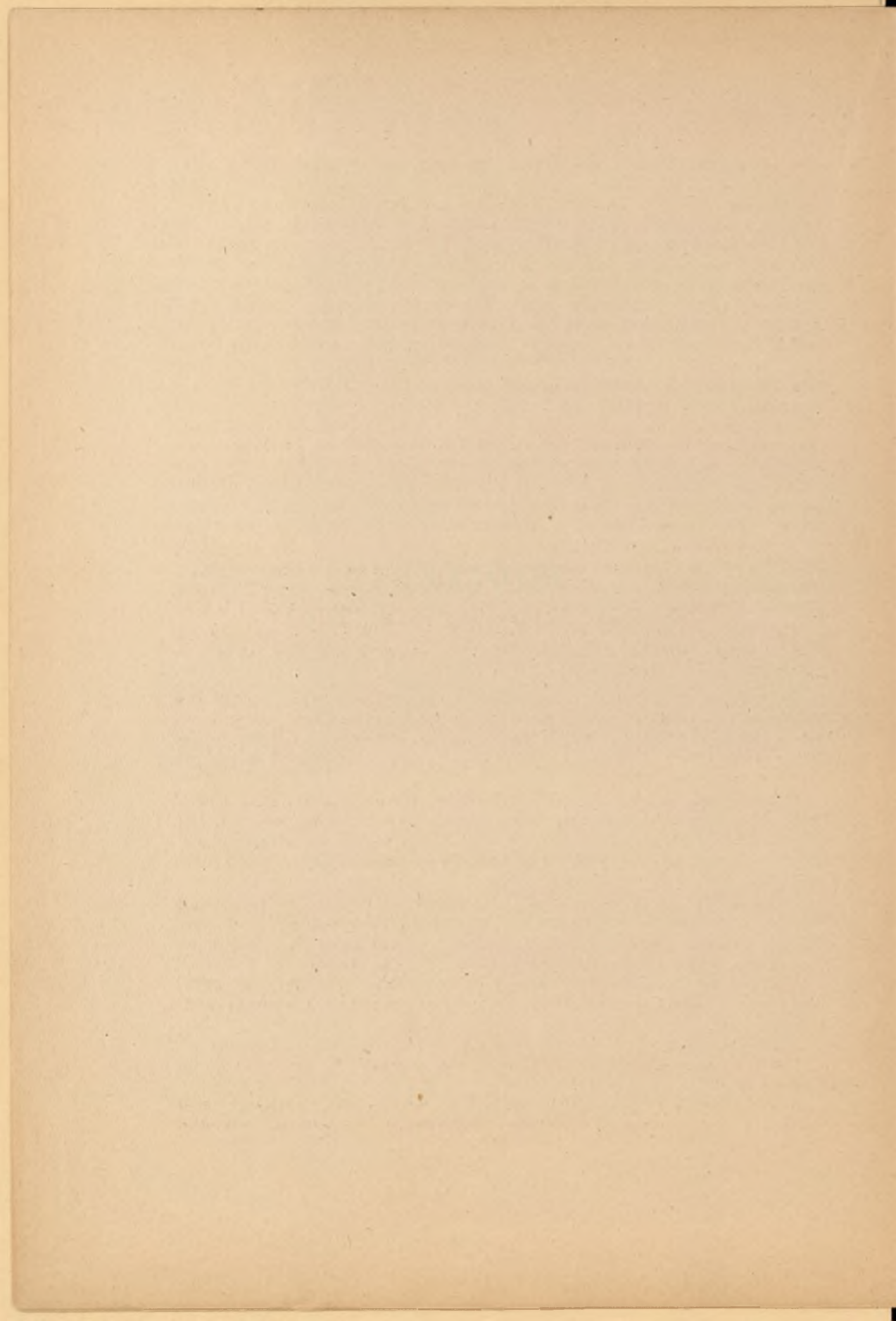
W pierwszej chwili, gdy ukazał mi się baranek, dostrzegłam też jeszcze była na króciuchną chwilę koronę cierniową pod jego lewą przednią nóżką. O tej powiedział mi opiekun, że oznacza symbol niewinnego cierpienia; było ono w tym wypadku już niewinne, bo za moją wiarę nienawidzono mnie i snuto przeciwko mnie przewrotne myśli.

Niskie moce myślały, że znajdą punkt zaczepny w przyczynie, która wywołała małżeństwo moje z mężem, to jest w fakcie, iż przebiłam go ongiś sztyletem i że użyć potrafią w danej chwili chmurnych myśli, wysyłanych na intencję mojej zguby, by zadać cios śmiertelny memu ciału. Chciały tem samem przeciąć moją pracę, przekreślając tak cały plan, stworzony przez dobre duchy. Te przeszkodziły temu jednak. Wróciwszy do pokoju, w którym zostawiłam męża przy jedzeniu, zastałam jedzenie nietknięte, a męża mocno chrapiącego z głową opartą na stole. Ten twardy sen wywołały dobre duchy, aby go opuściły złe myśli i żeby, zasnąwszy, nie przeszkadzał mi w tem, co miałam przeżyć w odłączeniu.

Koniec tomu pierwszego.

DODATEK

Przypiski do stronicy: 16, 24, 27 i 45



Kazimierz Olendzki.

Wyjątki z jego broszur.

Przytaczamy je jako jaskrawy, a bolesny przykład, do jakiego stopnia upadku mogą służyć piekiel popchnąć medjum początkującego jasnowidza (czy raczej ciemnowidza), o ile w duchu jego znajdują dostateczne podłoże pychy, a otaczające go chmury, jego dorobek z przeszłości, są dość silne, by przyémić mu zdrowy rozsądek duchowy.

„...Chciałbym widzieć Boga twarzą w twarz, oko w oko, by rozmawiać z Nim. Wszak jestem żołnierzem jego, musi(!) dać mi swoje cesarskie rozkazanie, co mam czynić według woli Jego. Bóg, Bóg, gdzie jest ten Bóg? Niech słyszę głos jego mówiący do mnie, niech mi da swoje Boże rozkazanie.

„Czytałem w piśmie: A gdy usłyszeli głos Pana Boga, przechadzającego się po rajcu na wiatyku z południa, skrył się Adam i żona jego od oblicza Pana Boga między drzewa rajske.

„Lecz ja nie skrywam się, ale mówię, gdzie jest ten Bóg? Czyżby Bóg odemnie żołnierza miał się skrywać? Uczyniłem tyle pielgrzymki lądem i morzem, a Boga na ziemi nie spotkałem. Czyżby on miał tam gdzieś w firmamencie niebieskim skrywać się hen wysoko u góry, że człowiek musi wpiérw umrzeć, a potem go widzieć?

„Wtedy niech ja zstąpię z ziemi do nieba, abym go ujrzał i rozmawiał z Nim. Albo niech On sam zstąpi z nieba na ziemię i rozmawia ze mną(!), wszak to dzieło jest Jego Boże, a nie moje! A ja jestem tylko służącym jego żołnierzem, który żądam(!) od niego rozkazania, bo chciałbym zasłużyć od niego rangę oficera w wojsku jego Bożem.

„Takie myśli tłoczyły się do głowy mojej. I zdawało mi się, że Bóg jest tuż koło mnie, który słucha mowy mojej i czyta myśli moje i bada się nerek serca mego(!) i sam szuka sposobności(!), by mówił ze mną.“ („W pogoni za prawdą“, tom I, Kazimierz Olendzki, Chicago, Illinois 1925, str. 19.)

„...Głos rzekł: „Szukałem człowieka po całej kuli ziemskiej, ale oprócz ciebie jednego nikogo nie znalazłem, dla mnogości grzechów ich nie mogę do nikogo przystąpić!“

„...Idź i nie bój się tych, którzy zabijają ciało, duszy zabić nie mogą, ale raczej bój się tego, który i duszę i ciało może zatracić do piekła: Jeśli nie usłuchasz mnie, ja cię zabiję.(!!!)

„Usłyszawszy te słowa, zląkłem się, padł na mnie strach, zacząłem biegnąć i uciekać z onego miejsca, a biegnąc oglądałem się za sobą na wszystkie

strony, myśląc, czy kto czasami nie pędzi za mną, aby mnie zabić. Lecz nikogo nie widziałem.

„Głos rzekł: „Nigdzie ty odemnie nie uciekniesz i nigdzie nie skryjesz się przedemną, wszędzie ja cię znajdę, choćbyś uciekł i za morze i tam cię znajdę i będę z tobą, abyś spełniał rozkazy moje, a spełniając je, wtedy abyś napisał świadectwo o mnie i podał do wiadomości wszystkim narodom, ludom, pokoleniom i językom na całej kuli ziemskiej...” (str. 21.)

W książce „Polski Papież Słowiański“ Chicago Illinois 1925, pisze:
„...Lecz ja wynalazłem nowy wynalazek nie biblijny, ale mój własny, ten wynalazek był ogłoszony w „Dzienniku Polskim“ dnia 15 listopada 1924 r. jak następuje:

„Miljonerzy, słuchajcie!

Jam jest posłaniec boży, widziałem Boga twarzą w twarz, rozmawiałem z Nim. Na Jego rozkazanie to spełniam wolę Jego, a nie moją. Spełniajcież i wy wolę Bożą. Kto z was da na kulturę 25.000 (dwadzieścia pięć tysięcy) dolarów? Napiszę w trzech tomach: „Jak i gdzie widziałem Boga i co z Nim rozmawiałem.“

W broszurze „W pogoni za prawdą“ podpisał się: Kaz. Olendzki, Posłaniec Boży, Syn Cesarski, Król. W broszurce „Żołnierz Chrystusowy“, Chicago Illinois 1926, występuje już i podpisuje się jako... Jezus Chrystus. Oto w dosłownem brzmieniu wyjątek z tej ostatniej książeczki, str. 13:

Moje oświadczenie.

Tom wam powiedział przez przypowieści: (alegorycznie). Przychodzi godzina, gdy już nie przez przypowieści mówić wam będę, ale jawnie o Ojcu oznajmię wam. Jana, 16, 25.

Oznajmionym posyłam broszurę pod tytułem: „Żołnierz Chrystusowy“. I bądźcie powiadomieni, Jestem Jezusem Chrystusem, tym samym, którego żydzi umęczyli za opowiadanie Ewangelji w Jerozolimie żydowskiej temu 19-cie stuleci wstecz.

Według obietnicy mej przyszedłem na świat powtórnie w czasie nawiedzenia.

A dla uniknięcia powtórnej omyłki, jaka stała się w Jerozolimie żydowskiej ze strony Rządu Żydowskiego, oraz kapłanów i narodu żydowskiego: Teraz zwracam się jawnie do narodu, i piszę otwarcie: Jam jest Jezus Chrystus, ten sam, który byłem ukrzyżowany, i proszę każdego Rządu dać mi swoje Rządowe pozwolenie ludzkie, za którym pozwoleniem ja bym mógł bez przeszkody ze strony Rządu opowiadać Ewangelję, jeżdżąc i podróżując z miasta do miasta, jako Jezus Chrystus, według uczynionego przymierza.

Z bratniem pozdrowieniem,

JEZUS CHRYSZTUS.

Przyślijcie, co wasza łaska, na budowę kościoła Chrystusowego! Mateusza, 16, 18. A imiona ofiarodawców będą zapisane w historii życiowej. Objawienie, 27, 28.

Uprasza się wszelkie listy adresować, Czeki i pieniądze wysyłać na poniższy adres:

Jesus Christ, King of peace

1342 Dickson Street, Chicago, Illinois, U. S. A.

Przypisek Wydawnictwa:

Staczając się w swej pysze i upadku duchowym po równi pochyłej, zawędrował wreszcie niedoszły Chrystus do — więzienia, skazany za popełnione oszustwa, jak o tem doniosły dzienniki amerykańskie w lecie 1930.



Franciszek z Assyżu.

(Przedruk z „Odrodzenia” 1926 — październik.)

Jak wiele duchów ludzkich zdradza się w ciągłym kołowrocie wcieleń na ziemi, póki nie wyrównają swoich grzechów, tak i Franciszek, zwany świętym, żył nie jeden raz na ziemi.

Zył już tu przedtem, nim Syn Boga Żywego na nią wstąpił; żył także i w owym czasie, kiedy Chrystus był sądzony za swoje dobre czyny, za swoją miłość ku Bogu i upadłym w grzech ludziom. Franciszek był pomiędzy tymi, którzy Go mieli sądzić. Był on wówczas Pilatem. Już wtenczas było mu nieprzyjemnie sądzić Jezusa, bronił się, ale nie zwyciężył w walce ze złem, w walce z niesprawiedliwością! Chciał z niej wyjść kryty, usprawiedliwiony wobec ziemskich nieprzyjaciół, myśląc przytem więcej o sobie i o swojej sławie, niż o niewinnym Chrystusie. A że był niewinnym, o tem rozlegał się głos nie tylko na ziemi, lecz i w zaświecie. Piłat, już wówczas człowiek trochę uczuciowy, nie mógł obojętnie patrzeć na znęcanie się nad Nim i na Jego rany. Jednak mimo pewności, że to duch niewinny i nadziemski, wydał Go na śmierć.

Poważna i smutna była to chwila. Wiemy, że nie chodziło tu tak bardzo o śmierć ciała, ale o to, że rozwydrzony tłum nie chciał światła, oświetlającego ich czarne czyny i ich duchy. To światło Prawdy paliło ich. Według słów Chrystusa było potrzeba zacząć na ziemi inne życie, by się móc podnieść z wielkiego upadku ducha i zbliżyć do Boga.

Chrystus dobrowolnie znosił wszelkie katusze ciała. Mógł znieczulić ciało swoje na owe cierpienia, ale On chciał wszystko odczuć, by ranami, zadawanymi w gniewie, móc palić w swej aurze złość ludzi i by im i przyszłym pokoleniom przypomnieć upadek duchowy na ziemi. Boleść ducha była większą od boleści ciała.

Piłat umył ręce na znak, że nie jest winien Jego śmierci. Zajadał smaczne potrawy i pił wino, bo był znużony długim sądem nad Chrystusem i wielkimi przygotowaniami do Jego śmierci. Rozwydrzony tłum wymyślał coraz to nowe oskarżenia i coraz to nowe katusze i tortury, chcąc się jak najdłużej pastwić nad Niewinnym. Piłat nie miał nawet czasu posilić się cieleśnie, gdyż lud szturmował i przychodził z coraz to nowszymi i ohydniejszymi oskarżeniami. Widział Piłat, jak brną we fałszywych zeznaniach, próbował stanąć w obronie Jezusa, ale groźba utraty zajmowanego stanowiska i kary za zdradę przeważły szalę i Piłat wydał Jezusa na dalszą pastwę ludu.

Wszystko to przewidział Chrystus już przed zrodzeniem i zstąpieniem na ziemię. Widział ogromną złość ludzką, ale wiedział także, że Jego słów i czynów nikt nie będzie w stanie rzucić w niepamięć!

Według tego, jak kto swego ducha zbudzi do poznania najwyższej Prawdy, zajaśnieje ona, t. j. słowa i czyny Chrystusa w całym Boskim Majestacie w myślach jego ducha i jego ludzkiego uczucia.

Dziś wiele ludzi wierzy, że Chrystus żył na ziemi, ale różnie tłumaczą cel Jego pobytu i różnie tłumaczą też Jego naukę.

Nadeszła chwila, iż Piłat, sędzia sprawiedliwy, za jakiego chciał uchodzić przed ludźmi, a przez umycie rąk i przed Bogiem, przyszedł w zaświaty. Dłuższy czas nie zradzał się na ziemi, aż dopiero w postaci Franciszka, zwanego później świętym. Nawet w zaświecie nie pozbył się chęci panowania — jako sędzia sprawiedliwy. Gdy go straszły obrazy powieszonych lub ukrzyżowanych, czepiał się prędko myślowych arkuszy i odczytywał im różne skargi ludzi, którzy przyczynili się do ich męki. Często skazańcy znikali mu na chwilę z ocz, a on puszczał wodze myślom, czując się w pięknej ziemskiej szacie pomiędzy różnymi możliwymi na ziemi i w zaświecie. Tam wyprawiał razem z nimi różne czyny, oszalamiające ducha. Lecz krzyże, służące dawniej jako szubienice, prześladowały go. Nie były to zwykłe obrazy astralne, ale żywe odbitki zamęczonych. Jedynie owe trzy krzyże ze sądu nad Panem nie zjawiały mu się; obrazy innych ukrzyżowanych, a było ich wielu, męczyły go, bo tu słyszał głosy, proszące żałośnie o zlitowanie, tam przeklinanie odłączających się duchów. Nie pomagało już odczytywanie skarg myślowych, oni wciąż stali przed jego oczyma i dręczyli wyrzutami jego ducha. Kiedy zaczął wołać: „Jakże wam pomogę?“ zasmucił się tym widokiem. Przyszła mu myśl z Góry od opiekuńczych duchów nieszczęśliwych grzeszników:

Módl się za nich! Módl się sam za siebie! Proś Boga o rozjaśnienie twego ducha, byś mógł poznać swoje grzechy! Odlóż zarozumiałość i pychę, broniące ci wolnego wlotu ducha do krainy spokoju i duchowego szczęścia, Boskiego życia.

Podobały się Piłatowi owe myśli, bo go już długo były męczyły obrazy ukrzyżowanych i chaos myśli ludzi skarżących i kłamstwa ukrzyżowanych. One nie zginęły razem z przestępcami, ale krążyły jak we śnie. Niejeden wpadnie pomiędzy nie duchem z tej ziemi i zablądzi, gdy ciało swe do snu ułoży. Tak też i Piłat czuł, że nie żyje życiem prawdziwym, że zjawiający się przestępcy, chociaż się poruszają na krzyżu i z ust ich wychodzą jęki, nie są rzeczywistymi istotami, ale tylko częstką ich ducha, ożywiającego myślą astralno-fluidarne ciało. Piłat sięgał i dotykał ręką gwoździ, którymi było przybite ich ciało; one tkwiły dalej w ich ciele. To też wołał rozpaczliwie: „No, jakże wam pomogę!“

Na owe słowa z Góry „módl się i t. d.“ uspokoił się nieco, próbował się nawet modlić, ale myśli mu się płatały i nie znajdował oparcia w potężnych bogach, których wyznawał na ziemi.

Wspomnienie Chrystusa zakolysało dziwną falą w jego duchu.

Chryste! — westchnął Piłat, — gdzież Twój krzyż? Jakiś Ty naprawdę dobry! Podziwiałem na ziemi Twą pokorę i cierpliwość! Ty jedyny nie złorzeczyłeś mi z krzyża, Ty jedyny nie wymyślałeś ludziom, przypatrującym się Tobie, gdyś wisiał na krzyżu! Nie patrzałeś na krzyż ze zgrozą, ale jak człowiek bardzo zmęczony patrzy na łożo, by na niem odpocząć! Przymrużyłeś tylko powieki z bolesnym uśmiechem na ustach, gdy szarpnięto za Twoje białe, delikatne dłonie, by Cię przybić na krzyż! Ty ucałowałeś ten krzyż,

zamiast go kopnąć, odepchnąć od siebie, jak to zwykle inni czynili! Chryste, jakiś Ty dziwny, święty!

Przy słowach „święty“ zdrztał cały i po kilku stuleciach spłynęły jego łzy jak jasny strumień poprzez głębię jego ducha. Piłat płakał w zaświecie nad niewinnem cierpieniem Chrystusa i czuł, że Go kocha. Odtąd modlił się do Niego, prosząc w myślach, by Go jeszcze mógł zobaczyć, a jeżeli Go spotka na krzyżu — że wyrwie gwoździe z krzyża, i przebije nimi swoje ciało, a nie wyjmie ich, póki ich sam Chrystus nie dotknie, by znikły.

Piłat tam jednak krzyża nie spotykał i poprostu tęsknił za nim. Nie przypominał sobie też wszystkiego, co to Chrystus na ziemi czynił, za co Go zasądzono i co oznaczały wszystkie Jego słowa, a przynajmniej te, które Piłat słyszał na własne uszy. Jego wielka pycha nie pozwalała mu na poznanie skromności, a w niej wielkości Boskiego Ducha. Kochał Jezusa, ale powracał jeszcze do dawnego trybu życia, jak w świecie myślowym, tak i pomiędzy możliwymi na ziemi! Duch jego płatał się w różnych gościnach, wciągając woń pokarmów i rozkoszując się nią. Duch jego gonił też na polowania za różnymi zwierzętami wraz z innymi, lubiącymi tę rozrywkę. W nocy zaś bywał najczęściej pomiędzy swymi ukrzyżowanymi ofiarami; tam się modlił dla odpędzenia tych wizyj. Żył niejako dwojakim życiem: pomiędzy żyjącymi na ziemi i pomiędzy duchami ukrzyżowanych, bawiących w zaświecie. Uczuł się znużonym i sprzykrzyło mu się to nierzeczywiste życie, jak je nazwał, w zaświecie. Zaprażył znów żyć na świecie jako człowiek. Widząc, że życzenie jego się nie spełnia, a wiedząc, że się już wielu ponownie zrodziło w ciągu tego czasu, kiedy on jest w zaświecie, badał tego przyczyny. Wewnętrzny głos odpowiadał mu, że o ile chciałby żyć na ziemi tylko dla zabawy, to zrodzenie jego na ziemi nie ma celu. Przychodził mu na myśl obraz Chrystusa i Jego niewinne cierpienia, a to wstrząsało jego duchem. Zapytywał sam siebie, o jakim to mówił Chrystus Królestwie, które nie jest z tego świata i gdzie się ono znajduje! I znów nowy blask padł na jego ducha, rozszerzając w jego myślach poznanie prawd wiekuiących. Poznał, że wszelka sława tego ziemskiego życia jest marnością, że wszystek dobrobyt, wszystkie bogactwa nie mogą się równać Królestwu Bożemu, dla którego Chrystus gardził dobrami doczesnymi.

Piłat chciał poznać owo Królestwo, lecz któż go tam miał zaprowadzić? Na to pytanie znów mu odpowiedział głos wewnętrzny i powtarzał: wiara, miłość i nieprzywiązywanie się do dóbr doczesnych. Tak, tak, Chrystus uczył, że trzeba być ubogim, nic nie posiadać oprócz łaski Bożej, kochać bliźnich i nie zabijać.

Piłat powtarzał sam do siebie: „Już nie będę zabijał, nie, nie chciałbym już też nikogo sądzić, tylko chcę Ciebie, Chryste, słuchać, chociaż Cię nie widzę. Pewnie jesteś u Boga, który wszystko może, pewnie jesteś w Jego Królestwie, którego i Ty jesteś Panem. Może Cię tam ujrzę, jeżeli się stanę lepszym. Będę wiernym Tobie, Bogu i wszystkim, którzy Ci byli miłymi. Pewnie tam są z Tobą, albo ich może spotkam na ziemi, jeżeli mi pozwolisz się zrodzić.“

Coraz bardziej tęsknił za ziemią, za zrodzeniem. I zrodził się — jako syn bogatego kupca, z którym go łączyły węzły sympatji w innym wcieleniu, kiedy to obaj marzyli o królestwie ziemskim. Nie walczyli wówczas mieczem o panowanie, ale przy pomocy swych zwolenników mieli zostać obaj królami

w dwu ościennych państewkach żydowskich jeszcze przed narodzeniem Chrystusa. Został celowo zaprowadzony na zrodzenie do owego kupca, by mogła być wypróbowaną jego wola, jego pragnienie dobrowolnego ubóstwa, by wiara w Boga i Królestwo Boże zdobywał sam dobremi uczynkami.

Miał także, jako syn, pociągnąć dawnego króla, a obecnie bogatego kupca, na dobrą drogę i wyrównać dobremi uczynkami swoje dawne zaległości wobec niego.

Rósł sobie mały chłopak, otoczony pieśzcotami bogatych rodziców, używał swobody i porastał w pychę. W młodzieńczym wieku wśród zamętu świata — moc i pycha otoczyły jego ducha. Stracił kontakt ze światem: ducha, zapomniał o obietnicy, uczynionej przed urodzeniem i zaczął wychylać kielich rozkoszy aż do dna. Czego nie wypił w poprzednich wcieleniach, dopił w owym zrodzeniu. Z owem oszalamiającem winem życia wypił i wiele kropli krwi, które wycodził ze swoich t. zw. przeciwników, kiedy z hucmem wojowników ojczystego miasta szedł na zdobycie potężnej Perugji. Tam położono kres jego wojennym orgjom, do których gnały go we wielkiej mierze niskie duchy tak z pośród otaczających go ludzi, jak i niewidzialnych duchów. Kielich rozkoszy został wychylony aż do dna, ale ściany jego zostały zabarwione krwią. Przysunął się do jego ust kielich goryczy, dostał się do niewoli, bo szczęście wojenne nie dopisało. Tam ciężko zachorował i miał czas do zastanawiania się nad tem, co zaszło. Już tam zaczął się buntować przeciw swemu postępowaniu; złamany i zniechęcony powrócił w ojczyste progi.

Ledwie trochę powrócił do zdrowia, znów go owładnęły stare chęci, które jego ojciec jeszcze rozpałał i zachwalał. Ubrał się w strój paradny, fantastyczny, jakiego szeroko i daleko nikt nie miał i poszedł — lecz dokąd? Wybrał się z wiernymi wojownikami do Apulji celem zdobycia łupów i sławy. Lecz duch Pilata — Franciszek z Asyżu — szedł już na tę wyprawę jako manekin myślowy, niesiony przez niskie duchy. Zbrodnie tam popełnione przez niego nie zostały w księdze karmicznej jemu zapisane, lecz tym, którzy go do tego popychali. Już wówczas Franciszek zniechęcony do życia uwalniał się niejako od ciała, szukał gdzieś wyżej duchowego wytchnienia i spotkał się w świecie astralnym ze swemi życzeniami, ze swoim postanowieniem. Czarne duchy, widząc że się im wymyka z pod opieki, zaczęły z nim kłótnie. Przypominając mu wszystkie poprzednie grzechy — groziły mu zupełnem zniszczeniem, jeżeli im na serjo wypowie swoje posłuszeństwo. Ich złe myśli znalazły oparcie najbardziej u jego ziemskiego ojca, który mu zagroził zaparciem się go i wydziedziczeniem. Franciszek przyjął to atoli już ze spokojem ducha. Odtąd datuje się jego prawdziwe nawrócenie, wiele jednak musiał walczyć z tem, co sobie był stworzył.

Mimo, że zaczął żyć świątobliwie, to jeszcze wracały mu na usta piosnki frywolne i erotyczne. Bronił się myślom, zawartym w owych piosnkach, tak, że wszystkie złe zwrotki zamieniał na wzniosłe słowa. Dziwne to były piosnki, pół erotyczne, pół pobożne, jakie najczęściej śpiewają opętani przez nieszczęśliwe duchy, t. j. warjaci.

Franciszek z Asyżu był otoczony przez niewidzialny świat; walczyły o niego złe duchy, ale czyste wspierały go z wielką siłą. Zaczął w czyn zamieniać swoje dobre postanowienia, powzięte przed zrodzeniem, ujarzmił ciało, a uwalniał ducha. Wzrokiem duchowym mógł się rozglądać naokoło siebie. Był otoczony ludźmi (zakonnikami), którzy już na niego nie wywierali

zgunnego wpływu, ale chętnie słuchali jego słów o Chrystusie. Nie mogli go wszyscy zadowolić, bo chociaż go nie kusili, to nie mogli się sami wzbąć w te wyżyny myśli, w jakich on trwał. Kochali jeszcze świat, stroje, majątek i pieniądze. Franciszek smucił się nad tem, że nie są wszyscy takich przekonani, jak on. Czynił im często z tego powodu zarzuty.

Pomimo, że sobie uświadamiał cel życia Chrystusa na ziemi, że uwalniał swego ducha z pęt materji, nie potrafił jeszcze spojrzeć dalej, jak w świat myślowy, w świat astralny. Tam ujrzał upragnionego Chrystusa na krzyżu. Wyciągając do Niego dłonie — otrzymał na ciele stygmaty. Otrzymał je, bo o nie prosił przed zrodzeniem i należały mu się za ukrzyżowanie Jezusa. Wszyscy, którzy go w tym czasie na ziemi otaczali, nazywali go drugim Chrystusem. On sam prosił ludzi, by tego nie czynili, a chociaż sobie dobrze nie przypominał związku stygmatów na swem ciele z ukrzyżowaniem Chrystusa, to czuł, że jest jeszcze wobec Boga grzesznym. Prosił o nie w zaświecie; ale one udzieliły mu się także niejako karmicznie, bo był obecny przy zasądzeniu Zbawiciela, a nie uronił łzy za Jego odejściem ze świata, lecz z ulgą sobie pomyślał: „Dobrze, że już wyzionął ducha, znów można rozpocząć normalny tryb życia.“

Tak więc za pomocą owych stygmatów otworzyło się mu niebo takie, o jakim uczy religja katolicka. Patrzył w świat astralny, gdzie się poruszały różne wytwory myślowe i różne duchy. Duch jego szczerze szukał Chrystusa i Jego Królestwa; znalazł tylko odbitki tegoż astralne, odpowiadające pojęciom, w jakich był wychowany, bo nie dorósł do tego, żeby mógł spojrzeć poza obręb astralnego świata.

Chrystus, odchodząc ze świata, rozłożył swe ciało w pierwiastki, a duchem spłynął z Bogiem; żyje w Nim, a ponieważ my zostaliśmy stworzeni tchnieniem Boga — Jego miłość i Jego siła jest i w nas.

Po krzyżu Chrystusa już niema śladu. Na ziemi jest wiele krzyżów, a na nich nawet wizerunki Chrystusa, rękami ludzkimi zrobione. I w astralnym świecie żyje wytworzony przez myśli ludzkie manekin, przedstawiający niejako Chrystusa. Kto ma zdolność spojrzenia w świat astralny, może tam ujrzeć owego Chrystusa. A jest tam nie jeden taki Chrystus, jest ich więcej. Według wytworu myśli ludzkich, jest tam na krzyżu, bez krzyża, z koroną na głowie i jako małeńkie dziecię na rękach Marji. Stosownie do tego, jak kto w ekstazie modlitwy o Nim myśli, tak o ile ma zdolności medialne, ujrzy Go w astralnym świecie.

Franciszek z Asyżu ujrzał Go na krzyżu, a będąc Karmą obciążony, odczuwał w swojej ekstazie męki, przeżyte przez Chrystusa. Odczuwał je tylko o tyle, o ile mógł odczuwać swem ciałem, zbrukanem przez grzechy. Wrażliwość jego ducha ogromnie się rozwijała, a ciało, przemęczone rozpustnem życiem, w młodości i chorobą, traciło magnetyczne siły niskiej namiętności. To też duch jego stawał się coraz wolniejszym. A z jaką siłą się poprzednio rzucał w wir i zamęt świata, z taką siłą przenosił się następnie do świata duchowego, chociaż ciałem był jeszcze na ziemi. Wierzył, że z owego Krzyża przemawiał do niego Syn Boży.

Widziałam sama, jak różne duchy, najczęściej zakonnicy, w astralnym niebie przemawiają przez usta owych wytworów. Czyż i tu na ziemi nie zna-

leżli się śmiałkowie, którzy biorą krzyż na swoje barki, przedstawiając mękę Pańską?*) Czyż podobnych scen nie można widzieć nawet w kinie!

Franciszek z Asyżu widział, jak naokoło owego krzyża skupiają się duchy, jak się modlą i śpiewają. Był pewny, że brama Niebios się mu otworzyła i że tylko jeden krok dzieli go od nieba, gdzie mógłby żyć razem z Chrystusem, czyli modlić się u Jego krzyża. Był przystępny dla dobrych myśli i czynów, lecz nie znalazł jeszcze prawdziwej drogi zbawienia. Myślał, że bezwarunkowo nikt inny, tylko Kościół katolicki może zbawić ludzkiego ducha; toteż nie wzbijając się duchem poza astralny świat, kazał pilnie przestrzegać dogmatów kościoła i wierzyć, że tylko przez nie grzeszny człowiek może być zbawiony. Lecz jeszcze nim opuścił ziemskie ciało swoje, przyszły przebłycki świadomości, że to, co on głosił, nie jest jeszcze ostatecznym celem i przychodziło zwątpienie, czy rzeczywiście widział samego Chrystusa na krzyżu. Zamykał się sam w sobie. Jak poprzednio przekształcał pieśni erotyczne na pobożne, tak później zaczął się wzbijać duchem jeszcze wyżej ponad świat astralny. Nie było jeszcze zupełnie jasno przed nim, był jak w zaraniu wschodzącego Słońca Prawdy. Ze zdumieniem i z nieufnością zaczęło na niego spoglądać otoczenie, sądząc, że pewnie traci przytomność umysłu, bo chce wywracać prawdy, które poprzednio podawał. Znaleźli się i tacy, którzy krzyż robili na piersiach swoich i z przestachem patrzyli na Franciszka, leżącego w znękanem i schorzałem ciele, nie chcieli słuchać słów jego o czemś innym, czego nie rozumieli, mówiąc półszepem, że go pewnie djabeł kusi, by ich wprowadzić na błędną drogę. On, widząc że go nie rozumieją, i nie chcąc ich ranić Prawdą, pragnął już tylko spokojnie odejść ze świata.

I odszedł. Dostał się do astralnego świata i przejrzał już każdy kątek astralnego nieba. Chętnie chciałby się wzbic jeszcze wyżej, lecz nie może, bo go ogłoszono świętym na ziemi. Wcale go to nie cieszy.

Nawrócenie jego na dobrą drogę nastąpiło już przed zrodzeniem u owego bogatego kupca. Stara fala porwała go w zamęt życia, lecz jego duch ponownie się ocknął. Po otrzymaniu stygmatów zmył częściowo Karwę, stworzoną zasądzeniem Chrystusa. Duch jego nie poznał jeszcze całej Jego wielkości, miłości i Jego Królestwa na ziemi, zaczął je poznawać tuż przed odejściem ze świata, lecz bał się mówić jawnie, bo nie chciał zniechęcać do siebie otoczenia. Jest tedy w astralnym niebie. Znow przyjdzie na świat, znow się zrodzi, by wyrównać stare winy i głosić bez obawy Prawdę. On to wszędzie i na każdym miejscu, gdzie tylko stanie jego noga, będzie powtarzał słowa Pańskie i wskaże zaraz na ich znaczenie, będzie tłumaczył, co wielu ludziom było niezrozumiałe i źle i dziś im jest tłumaczone.

Tak więc Franciszek z Asyżu jest sławny, ale z tej sławy nie cieszy się w zaświecie.

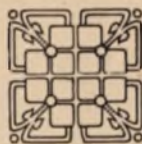
Przy ponownem zrodzeniu będzie prześiadowany za herezję i wyklęty z tego Kościoła, który jeszcze dziś w nim szuka oparcia.

Jak należy rozumieć jego zdolność rozmawiania ze zwierzętami?

Mając zdolności medjalne, pozwalające na odłączenie ducha od ciała, inaczej patrzył na wszystko naokoło siebie, aniżeli inni. Przez wzrok cielesny przebija się wzrok duchowy. Zapomocą tego widział duszę zwierząt, rozumiał je, rozmawiał z niemi. Rozmawiał z niemi duchowo, a ubierał swoje uczucia

*) Przypominamy Czytelnikom widowiska pasyjne, odbywane corocznie w Oberammergau. (Uw. wyd.)

w słowa, które już nie były potrzebne dla dusz zwierzęcych, bo one myśli jego znały i rozumiały. Słowa zostały niejako żywym obrazem dla tych, którzy przy jego porozumiewaniu się z duchami zwierząt byli obecni. Najczęściej rozmawiał z niemi, kiedy duch jego najwięcej wczuwał się w niewidzialny świat — dzieło Boga. Swoją wojowniczą siłę przekształcił rychło silną wolą na dobrą siłę, a tą promieniował szeroko naokoło siebie, zdobywając dzięki temu silny wpływ zarówno na zakonników, jak i na zwierzęta. Dopomagała mu do tego szczerą wiarą w Boga, głównie w Chrystusa ukrzyżowanego.



Teresa Neumann i święta Teresa.

(Przedruk z „Odrodzenia“ 1927, wrzesień, październik.)

W „Ill. Kurjerze Codz.“ z dnia 21 sierpnia 1927 r. czytamy:

Badacze zjawisk metapsychicznych, psychologowie, lekarze, duchowni mają nową, ciekawą zagadkę do rozwiązania. Zagadką tą jest zwyczajna chłopska dziewczyna z miejscowości Kennersreuth w Bawarii, nazwiskiem Teresa Neumann. Od szeregu miesięcy odbywają się do tej ubożuchnej, alpejskiej wsi, prawdziwe pielgrzymki wszystkich tych, którzy chcą to niezwykle dziwo zobaczyć i dotknąć jej stygmatów, prosić ją o wstawienie do wyższych sił w celu uzyskania jakichś łask. Cóż to za jedna, ta „Święta z Kennersreuth“? Oto krótka jej historia.

Urodziła się ona w 1898, jako córka tamtejszego krawca, w 14-tym roku życia poszła do służby i pracowała do r. 1918. Była zupełnie zdrowa, bardzo silna, wesoła. Charakterystyczną rzeczą, że nigdy nie przebywała w towarzystwie chłopców, nigdy nie chodziła na tańce. Podczas pewnego pożaru pomagała gasić ogień, przyczem do nitki przemokła. Był to początek marca, więc jeszcze dość chłodno. Nazajutrz zaczęła kuleć, postać jej się pokrzywiła, wystąpiły bóle w krzyżach i członkach. Nastąpiły potem kurcze żołądka. W szpitalu pobliskiego miasteczka leczono ją na „opadnięcie żołądka“. Powróciwszy do domu, leżała długo w łóżku, nie mogła ani siedzieć, ani stać, miała napady zemdleń, ciężkie kurcze, przy których wypadała z łóżka. Przy sposobności tych kurczów z taką siłą zaciskała zęby, iż górne siekacze jej się pokruszyły, a następnie skutek jątrzenia wypadły.

W marcu 1919 nastąpiło zupełne oślepienie na oba oczy. Badanie oczu powodowało natychmiast kurcze. Wkrótce potem nastąpił zupełny paraliż lewej części ciała, ogłuchnienie na lewe ucho, (niewrażliwość na ból i znak dotyku).

Trzy lata tak leżała pacjentka nieruchomo, z nogą założoną na nogę, przyczem miała pełno ran na nogach i plecach, jątrzących się i wydających przykry woń. Do tego wszystkiego dołączyła się, ażeby uzupełnić obraz jej cierpień, zupełna niemożliwość przyjmowania pokarmu. To ostatnie zjawisko, które zaczęło się w zeszłym roku około Bożego Narodzenia, trwa aż do dzisiaj, podczas gdy inne, „pod wpływem wyższych sił“, zostały bez śladu wyleczone.

Po 4-letniej ślepotcie, dnia 20 kwietnia 1923, chora obudziła się i przejrzała. Nie przyczyniło się do tego żadne zjawienie jakiegoś świętego, albo głos z nieba. Natomiast trzeba zauważyć, że jest to dzień uznania św. Teresy od Dzieciątka Jezus, która jest czczona w tej rodzinie od 1914 roku. Dnia 17 maja 1925 zjawili się Teresie Neumann białe światło i głos z tego światła zapytał się:

— Tereniu, chcesz być zdrowa?

Gdy ona oświadczyła, że „tak“, powiedział głos w dalszym ciągu, co następuje:

— Będiesz zdrowa, jednakowoż musisz jeszcze długo, długo cierpieć i w tem cierpieniu żaden lekarz ci nie pomoże. Natomiast cierpienie twoje więcej dusz uratuje, aniżeli najpiękniejsze kazanie. W ten sposób spełnisz swój obowiązek. A teraz wstań i chodź!

Na te słowa Terenia się podniosła i podpierana przez swoich rodziców, zaczęła chodzić. Był to dzień kanonizowania małej Tereni od Dzieciątka Jezus.

Dnia 30 września 1925 dał się jej słyszeć jeszcze raz ten sam silny głos, który oświadczył, że teraz może chodzić bez obcej pomocy, co też się stało. Nieco później zapadła ona na bardzo ciężkie zapalenie ślepej kiszki, które, jak to stwierdził tamtejszy lekarz dr. Seidel, wymagało natychmiastowej operacji. Z zapalenia tego została ona cudownie wyleczona przez dotknięcie relikwii św. Teresy. W parę miesięcy potem pojawiły się nowe zjawiska, znane już zresztą z historii rozmaitych świętych kościoła katolickiego. Oto pewnego piątku pojawiły się u niej na rękach i na nogach w tem miejscu, w którym wbijano gwoździe Chrystusowi, stygmaty.

Od tego czasu zaczęto dziewczę owe uważać za świętą, rozpoczęły się wędrówki z bliższych i dalszych okolic. Wedle niestwierdzonych zresztą informacji, wielu chrychych po krótkim pobycie w domu „Świętej z Kennersreuth“ powróciło w zdrowiu do domu.

Ciekawem tem pod każdym względem zjawiskiem zainteresował się lekarz wiedeński, dr. Weisel. Oto jego wrażenia i spostrzeżenia, ogłoszone w jednym z wiedeńskich pism:

„Siedzę przy jasnovidzącej Teresie Neumann. W półkolu stoją pełni czci, ale też i bardzo zakłopotani, pałnicy, którzy świętą z Kennersreuth oglądają i niedośćownie wypytyują. Patrzą na nią. W piątek, gdy się znajdowała w ekstazie, z policzkami, nabiegłymi krwią, wydawała się staruszką. Dzisiaj wygląda na swoich 29 lat, ale jak gdyby wstała po ciężkiej chorobie. Błada, bardzo blada, nieco zmęczona, nieco staropanieńska w swej czarnej sukience, wysoko pod szyją zapiętej, w czarnych rękawiczkach, dzierganych, które mają zakryć jej stygmaty, z białą chusteczką na głowie, zawiązaną pod szyją.

Ale w jej postawie i zachowaniu nie ma nic staropanieńskiego, nic sztucznego. Sposób, w jaki rozmawia z tymi, co ją odwiedzają, jest nie wymuszony, skromny, robiący dodatnie wrażenie. Prawie, że należałoby użyć tutaj w duchowym tego słowa znaczeniu: „pokorny“. Pytania obecnych są dziecinne, często głupie. Wszyscy pytają o to, co już wiedzą. Wreszcie jeden z nich odważa się zapytać, czy można zobaczyć stygmaty?

Ochoczo Terenia ściąga rękawiczki i pokazuje gościom ciemnoczerwone rany, podaje mi ręce, abym je jako lekarz zbadał. Widzę istotnie w środku no odwrotnej stronie dłoni cienkie krosteczki wielkości i kształtu paznokcia u dużego palca. Blizny są otwarte, otoczenie rany lekko zaróżowione, zapalone. Terenia wyjaśnia, że rany te jeszcze dzisiaj tylko (w sobotę) można zauważyć. Potem znikają, tak że pozostają tylko czerwono zabarwione plamy-stygmaty.

Na dłoni w odpowiednim miejscu widać ciemnoczerwoną plamę wielkości prosa, również pokrytą krostką.

Teresa opowiada teraz o swej ranie w sercu... Ma ona uczucie, jak gdyby ta rana coraz głębiej, głębiej wnikała.

Goście się rozeszli, pozostają z domownikami i proboszczem miejscowym. Podają obiad na stół, podczas którego Terenia nie rusza się ze swego miejsca. To mi daje sposobność do pytania się o tę największą zagadkę: niezdolność do przyjmowania pokarmów. Ona stwierdza, że od Bożego Narodzenia, oprócz Komunii św. nic do ust nie brała i nawet Komunię św. przyjmuje z największym trudem.

— Ale gdy pani widzi przed sobą jedzenie, czy czuje pani wstęt?

— Dlaczego? Jedzenie jest rzeczą dobrą. Dlaczego bym miała czuć wstęt?

Ani śladu.

— I nie ma pani ani odrobiny apetytu, panno Neumann?

— Nie, potrząsa głową. — Apetytu nie mam zupełnie. Jedzenie jest mi obojętne. Nie potrzebuję go.

Pytam się jej, jak to można wyjaśnić, że całymi miesiącami żyje bez napoju i pokarmu. Ona odpowiada, że jest to właśnie wola Boża i że nie uważa tego za nic cudownego. Bóg tak chce, więc tak się dzieje.

Mówimy potem o Palestynie. Dowiaduję się, że profesor ks. Wuts, katolicki duchowny i dobry orientalista, parę miesięcy przepędził przy pacjentce i wypytywał się o jej poglądy na pewne powiedzenia Chrystusa i na topografię Jerozolimy.

Tutaj wkraczamy w nową „specjalność“ Tereni, mianowicie jej jasnovidzenie. Co piątku ma ona wizje. W wizjach tych uwaga koncentruje się głównie na

Zbawicielu, na Jerozolimie, miejscu, w którym znajdowała się Golgota i t. p. Terenia rysuje doktorowi dosyć niezgrabnie plan Jerozolimy i pokazuje mu na tym planie ustalone przez siebie szczegóły topograficzne. Naturalnie nie można stwierdzić, ile w tem wszystkim jest ścisłości.

Doktor Weissl dodaje na końcu, że opuścił dom świętej, głęboko wzruszony i przekonany, że stoi wobec nieodgadnionej zagadki.

Tenże Kurjer z dnia 26 sierpnia podaje dalsze szczegóły:

Objawami temi zainteresował się też lekarz niemiecki, dr. Bogdanik, który na łamach „Vossische Zeitung“ zdał krótką relację o zauważonych przez siebie faktach. Stwierdził on również na podstawie wiarygodnych świadectw, że Teresa Neumann istotnie od grudnia 1926 r. nie przyjmuje stałego pokarmu, ani płynnego. Jedynym jej pożywieniem jest kawałek hostji świętej, który jej podaje codziennie na tyżce tamtejszy proboszcz. Od Wielkiego Piątku 1926 r. zaczęły się ukazywać na rękach, nogach, sercu i głowie Teresy Neumann stygmaty. Oto, co widział w pewien piątek (rany te bowiem najintensywniej występują w ów dzień) wymieniony lekarz: „Widziałem 29-letnią tę dziewczynę w ekstazie. Krew płynęła jej z oczu. Widziałem krew na szyji, widziałem na jej koszuli plamy krwi w okolicy środka piersi, a drugą nieco na lewo w okolicy serca. Poza tem widziałem trzy lub cztery inne krwawe plamy wielkości pięciomarkówki, zlewając się w jedną całość.“

Równocześnie z nasileniem się tych stygmatów dziewczę popada w ekstazę. Z niezwykłą plastycznością szczegółów opisuje mękę Pańską, którą widzi. Zdarza się jej też oglądać jak żywe męczeństwo św. Wawrzyńca, zesłanie Ducha Świętego i przemienienie Chrystusa na Górze Tabor. Odczytuje z wszelką łatwością i rozumie teksty aramejskie i łacińskie. Teresa dokonywa też cudownych wyleczeń modlitwą. „Jak zapewniał mnie proboszcz, wyleczyła ona pewną staruszkę z ciężkiego paraliżu nóg, oraz pewnego wieśniaka okolicznego, który spadłszy z drzewa, doznał bardzo silnych porażen wewnętrznych“.

Dr. Bogdanik w ten sposób streszcza swoje uwagi: „W oszustwo w tym wypadku nie wierzę. Nie tylko dlatego, że z ludzkiego stanowiska dziewczyna zrobiła na mnie jak najlepsze wrażenie, lecz przede wszystkim dlatego, że od dłuższego czasu znajduje się ona pod nadzorem duchowieństwa katolickiego. Ta okoliczność wyklucza świadome wprowadzenie w błąd kościoła katolickiego, który w tych wypadkach jest bardzo krytyczny i bardzo surowy. Jej nadzór nie wyklucza wprawdzie, by dochodzenie podobnych wypadków w szpitalu świeckim, a w odmiennym nastroju, nie dało innych wyników, lecz wyklucza myśl o oszustwie“ ...

Zachęcona przez swych przyjaciół ze świata Ducha, zajrzałam w te sprawy wzrokiem duchowym. Przed oczyma memi przesunął się szereg obrazów. Poznałam, iż św. Teresa od Dzieciątka Jezus — to Marja Magdalena. Czeka ją jeszcze jedno zrodzenie w Norwegji; podano mi nawet dokładną datę, lecz nie pozwolono tego ogłaszać, zapewne ze względu na ataki niskich sił, które, znając ów dzień, tem usilniej starałyby się przeszkodzić zrodzeniu takiego jasnego ducha. Jest to ciche, pokorne dziecko Boże; cześć i hołdy, okazywane jej na ziemi, nie wzbijają jej bynajmniej w dumę. Przyjmuje je z pokorą, odnosząc to do Boga, źródła wszelkich łask. Nie wiem, czy ma jeszcze jaką Karmę do odrobienia na ziemi, czy też żywot jej w Norwegji ma być już tylko ofiarą.

Św. Teresa połączona jest silnemi pasmami magnetycznemi z Teresą Neumann, t. j. z duchem, który obecnie w tem ciele gości. Jest to mianowicie duch żony Piłata. Nie przebywał on tam jednak od początku; ciało dziewczyny bowiem od chwili urodzenia służyło już trzem duchom.

Przypomnijmy sobie przypowieść Chrystusa o synu marnotrawnym. Opartą ona była na faktach prawdziwych. Ów bogaty ojciec żyje obecnie na

ziemi, jest kowalem. Oprócz dwóch synów miał wówczas zrodzić się u niego jeszcze i trzeci, mało rozwinięty duchowo. Ten, będąc z nimi związany karmicznie jeszcze z bardzo odległych czasów, płatał się wśród nich, choć jeszcze był bez ciała; stojąc zaś na bardzo niskim stopniu rozwoju, lgnął ku zwierzętom, a zwłaszcza ku owemu cielątku, jakie miało paść ofiarą na cześć marnotrawnego brata. Przyłączając się ściśle do niego, czerpał niejako życie z jego fluidów zwierzęcych. W domu owego bogacza służył pastuszek, który bardzo lubił owego marnotrawnego syna; i ta przyjaźń ciągnęła się z dawnych czasów. Gdy pan kazał zabić cielaka na cześć powrotu ukochanego syna, chwycił pastuszek zwierzątko z wielką radością i uderzeniem pałką w głowę ogłuszył je. Do cielęcia jednak był wówczas przyłączonym ściśle ów duch niedoszłego trzeciego syna jego gospodarza. Cios pałki roztrzaskał wraz z głową zwierzęcia i teleplazmę głowy astralnej owego ducha. Cierpienia cielęcia zwały się z cierpieniami ducha; obie istoty padły obok siebie, ściśle złączone i nadal. Ręce i nogi ducha przylegały mocno do odnóży zwierzęcia. Pastuszek, nie roztkliwiając się nad cielątkiem, choć dawało jeszcze znaki życia, związał mu na krzyż mocno wyprężone nogi przednie, tak samo tylne; nie wiedział, że wraz z biednym zwierzątkiem krzywdzi w ten sposób i owego ducha, którego teleplazma rąk i nóg została również mocno skrępowaną, w takiejże samej pozycji, jak u cielęcia. Zarzucił sobie następnie zwierzę na plecy i przeniósł je ochoczo z pastwiska do domu. Później, dając upust radości z powrotu marnotrawnego syna, zaczął skakać na kiju dokoła ciała zabitego już cielęcia. Rozbudziła się wówczas w jego duszy dzikość, drzemiąca w nim jeszcze od czasów pradawnych. Sam o tem nie wiedział, jak w uniesieniu zatoczył wśród skoków krąg magiczny dokoła zwierzęcia i owego ducha. Na dodatek w rozochoceniu napił się krwi cielęcia, a wraz z nią pochłonął i nieco teleplazmy tego ducha. To wszystko związało go ściśle z owym duchem na długie czasy; nie było to zresztą przypadkowem, obudziła się bowiem tylko i spotęgowała między nimi Karma z bardzo dawnych istnień, z okresów dzikości w zamierzonych czasach pobytu człowieka na ziemi.

Tę Karmę trzeba było wyrównać — i takie znaczenie ma pierwszy okres cierpien Teresy Neumann. W ciele bowiem tej dziewczyny przebywał ów pastuszek, o którym wyżej mowa. Trzy lata leżała nieruchomo, z nogą założoną na nogę, pokryta ranami; przypomina to cierpienia owego ducha, skrępowanego wraz z cielęciem, z nogami i rękami skrzyżowanymi.

I z synem marnotrawnym był pastuszek karmicznie związany. Spotykali się oni i w poprzednich i późniejszych żywotach wiele razy. W obecnem życiu pastuszka jako Teresy Neumann — nie był syn marnotrawny, wcielony na ziemi; pozostawał on jednak w ścisłej łączności magnetycznej z pastuszką, a od czasu pożaru zaczął się do ciała Teresy N. przyłączać, wypierając zeń ducha pastuszka. Wypędzony z ciała dziewczyny duch nie mógł już niem należycie władać, ciało się pokrzywiło, wystąpiły bóle w członkach. Biedny ba duch cierpiał, odrabiając sobie w ten sposób Karmę. Nie rozumiał, co się z nim dzieje. Wypierany przez innego ducha, rzucił się do walki z nim o ciało — co się objawiało jako kurcze i zemdlenia. Zęby zaciskały się wówczas aż do pokruszenia górnych siekaczy — bo ovladanie ciała przez drugiego ducha zaczynało się właśnie od mózgu. Duch syna marnotrawnego wyszedł z tej walki wreszcie zwycięsko. Nie umiał się jednak odrazu posługiwać oczami w przywłaszczonem ciele — stąd ślepotą Teresy N. Badanie oczu

powodowało kurcze — było bowiem wtargnięciem lekarza do teleplazmy, która jeszcze nie mieściła się należycie w ciele. Duch pastuszka znów usiłował wejść do ciała, a że tamten nie ustępował, pozostawali więc w niem jakiś czas obaj. Wynik był taki, że żaden nie zdołał niem należycie ovladnąć, stąd paraliż i znieczulenie. Z nogą założoną na nogę leżała tak Teresa nieruchomo przez trzy lata; oba duchy równocześnie przebywały wówczas w owem ciele, odrabiając we wspólnem cierpieniu dawną Karmę.

Z obu duchami, a przedewszystkiem z duchem syna marnotrawnego związany był duch żony Pilata, z którym znów w ścisłym związku pozostawał duch Marji Magdaleny! Z kolei zaczęła dawna żona Pilata wcielać się w Teresę Neumann; kierowała tem opiekunka jej, t. j. św. Teresa od Dzieciątka Jezus (Marja Magdalena). Tamte oba duchy, odcierpiawszy narazie swą Karmę, zaczęły odchodzić, wraz z tem znikwały i cierpienia, będące ich Karmą. Duch żony Pilata, czystszy od obu poprzednich, ovladać zaczął ciałem znów od mózgu — bez takich wstrząśnień jednak, jak poprzednio, bo działała tu ręka św. Teresy. Chora obudziła się i przejrzała — w dzień uznania św. Teresy od Dz. Jezus! Nie zaraz jeszcze uwolniło się ciało od obu duchów, pozostających w niem dotychczas. Św. Teresa usuwała ich niejako z ciała, a wraz z niemi i ich cierpienia. W dzień swego kanonizowania ukazała się w postaci białego światła i przemówiła do dziewczyny, uwalniając członki jej od obu poprzednich duchów. Pozostała w ciele żona Pilata mogła już więc wstać i chodzić — zrazu podpierana przez innych, następnie jednak, zasilana przez św. Teresę, odzyskała zupełną władzę w członkach. Nie tak łatwo było z przecięciem więzów magnetycznych między duchami pastuszka i syna marnotrawnego, a ciałem. Najdłużej utrzymał się związek ich w splocie słonecznym. Stąd powstało zapalenie ślepej kiszki — lecz i tu pomogła św. Teresa, odsuwając ich ostatecznie od ciała, a tem samem usuwając przyczynę choroby.

W parę miesięcy później pojawiły się u Teresy N. stygmaty męki Pańskiej. Odcierpiała sobie tem Karmę, zaciągniętą wobec Chrystusa jako żona Pilata — ale zarazem, jak jej opowiedziała jej Opiekunka, „cierpienie jej wiele dusz uratuje“, boć przypomina ludziom niewinne rany Chrystusa; to jest jej zadanie. Zrazu nie odczuwała zbyt wielkiego bólu z powodu owych stygmatów, ale cierpienia te będą wzrastać. Będzie się też pocić krwią, co się już poczyna dziać (krew płynie jej z oczu, krew pojawia się w różnych okolicach ciała). Poza tem cuda nadzwyczajne się przy niej nie dzieją.

Gdy spojrzałam na rany jej w rękach, uczułam w prawej ręce ból, przesywający ją na wylot. Zaczął mi cierpnąć średni palec; uczuwałam w miejscu, odpowiadajacem ranie, swędzenie skóry na dolnej powierzchni dłoni, wewnątrz palenie, a na górnej stronie dłoni ukłucia. Widziałam u Teresy blizny, otwarte nie głęboko — nieco ponad ćwierć centymetra. Otoczenie rany lekko zaróżowione, nie zapalone; jest to jakby obrzeżona krosta, która się rozciąga, ale nie pęka. Gdy chciałam popatrzeć na jej ranę w sercu, usłyszałam poważny, bolesny głos ze światła Ducha: „O nie patrz, nie!“ Przypuszczam, że chodzi tu nie tyle o zwyczajny fizyczny ból, jak raczej o cierpienia ducha; w owych chwilach skurczów serca, duch kurczy się, wije się niejako w bólu — może w nagłym, nieświadomem poczuciu win, zaciągniętych niegdyś wobec Chrystusa.

Co do faktu, iż żona Pilata może żyć w ciele Teresy N. bez pokarmu, otrzymałam następujące objaśnienie. Duchy pastuszka i syna marnotraw-

nego nie przerwały kontaktu z ciałem Teresy, a przez teleplazmę, którą są z niem połączone, przenoszą doń atomy odżywcze. W dodatku i sam duch żony Pilata, zanim wszedł do tego ciała, skoncentrował naokóło siebie dostateczną ilość sił odżywczych, które obecnie ciało to podtrzymują. Zjawisko to ma na celu otwieranie niewierzącym oczu na sprawy ducha, na wyższość ducha nad materją.

Jasnowidzenie Teresy N. obraca się głównie dokoła działalności Chrystusa, Jerozolimy i t. d. Prof. ks. Wuts, którego te sprawy tak zainteresowały, był niegdyś jednym z faryzeuszów. Zawinił ciężko wobec Chrystusa i ma od tego czasu zakłócony spokój sumienia. Jeszcze dziś stare przesady odżywają, choć już Chrystusa miłuje. Duch jego pragnie podświadomie poznać stopień swej winy, stąd zainteresowanie dla owych spraw. Nie najlepszy był kontakt duchowy między nim a Teresą. Większą miłością i wiarą, i to taką cichą, mocną, Ignie ona ku niemu; natomiast ks. profesor nie uważa za stosowne wierzyć we wszystkie proste powiedzenia niby to wiejskiej dziewczyny. Wiele rzeczy wydaje mu się nieprawdopodobne, jako sprzeczne z dotychczasowymi pojęciami, z wszczepionemi mu na ławie uniwersyteckiej przesadami; chwilami całowałby te ręce z widzialnemi stygmatami, lecz niewidzialny antychryst mocno mu patrzy w twarz. A jednak ks. Wuts wyzwala się z pod wpływu antychrysta; i on przejrzy kiedyś w dziedzinie spraw ducha.

Gdy duch żony Pilata będzie opuszczał ciało Teresy, będą się wewnątrz niej napowrót wcielać poprzednie dwie istności. Gdy wyschłe wargi będą w ekstazie szeptać imię Chrystusa i z westchnieniem wzywać ducho opiekuńczego, t. j. św. Teresę, uskarżając się jej na duchowe cierpienia — będzie się wtedy duch żony Pilata odłączał od ciała. Lecz równocześnie z tem zaczną się doń przyłączać dwaj poprzednicy, nie tak wysoko rozwinięci duchowo, jak ona. Czyhać będzie na tę chwilę duch nieczysty, który obecnie hypnotyzuje niejako ks. prof. Wutsa podczas jego rozmowy z Neumannówną, stara się przerywać rozmowę, a nawet jakikolwiek kontakt z nią. Będzie on chciał znieświęcić przeżyte cierpienia Teresy; pod jego wpływem zjawi się pragnienie, a nawet i częściowy głód, z ust dziewczyny padać będą słowa, nie wiele mające wspólnego z wyższemi tajemnicami ducha.

Lecz nim ta chwila nadejdzie, przeżyje jeszcze żona Pilata niejedno cierpienie w ciele Teresy. Spotęguje się ból w sercu, a raczej w głębi ducha; pojawią się bolesne, duchowe skurcze, które odbiją się na jej ciele.

Na zakończenie dodam, iż wydała mi się nieco dziwną przedstawiona tu rola żony Pilata, która, jak wiadomo, wstawiała się u męża za Chrystusem. Udzielono mi tylko ogólnikowych objaśnień, iż pobudki jej nie były czyste; cielesna piękność Chrystusa zrobiła na niej wrażenie, a ratując Go, chciała Go tem samem pozyskać dla siebie. Dokładniejszych danych co do jej roli w sprawie Chrystusa nie otrzymałam, gdyż w tymże momencie zbliżył się do mnie duch św. Teresy od Dziec. Jezus, która wydała mi się rozżaloną za zamiar ogłoszenia drukiem powyższych wiadomości o jej pupilce.

— Ach — mówi, spoglądając na mnie z wyrzutem — nie podawaj tego w świat! Pocóż tej wzmianki o żonie Pilata! Ty nie wiesz, jakie morze cierpień przeszła ona od tego czasu... Gdyby odzyskała świadomość dawnych win, ten nagły blask podziałałby na nią, jak porażenie piorunem! Lecz skąd ty jesteś, dziwna istoto — ni z tego, ni z owego świata?

Chciałam odpowiedzieć na jej pytanie; spojrzałam w głąb swej własnej duszy, w zawrotną otchłań zagadki prabytu człowieka. Skąd jestem?... I nagle zamroczyło mi się w głowie pod wpływem jakichś oślepiających prawd, których znieść nie może świadomość ludzka. Skąd jestem? skąd jestem? — pytałam sama siebie zmieszana. Ogarnęło mię dziwnie wyraźne poczucie, że nie należę do tego świata — a do tamtego także jeszcze nie. Otrząsałam się jednak z tego kołowrotu myśli, mówiąc sobie krótko: od Boga wyszłam, jak wszyscy inni — lecz życiem ziemskim, życiem w ciele zatracalam prawdziwe podobieństwo do Ojca.

— Tereniu — mówię po chwili — chodź do mnie, porozmawiamy.

— Nie, nie mogę, boję się...

— Dlaczego?

— Mówisz o Bogu — a czy ty wierzysz w Tego? (Wskazuje ręką na krzyż, zwisający jej na piersiach, na tle szarego habitu klasztornego, w który jest przyodziana). Ty nie uznajesz tego, co jest mi świętem — nie uznajesz zasad Kościoła katolickiego.

W odpowiedzi wskazałam na wydaną ostatnio książkę: „Życie na ziemi i w zaświecie“.

— Spójrz, Tereniu, czy głoszę zasady, niezgodne z wiarą w Boga?

Terenia, rzuciwszy okiem na fale myślowe owej książki, wydała się nieco uspokojoną. Mówi jednak:

— Przez miłość Chrystusa — nie przystępuj do mnie, póki cię lepiej nie poznam!

Pod wpływem owych słów wyrósł jasny, złocisty próg między nami. Gdybym była duchem dla niej niebezpiecznym, kuszącym ją do złego, jak się tego widocznie obawiała, powstałaby z naszych wspólnych fluidów ściana, któraby nas oddzieliła od siebie. Widocznie jednak nie było powodu do takiego odgraniczania, kiedy skończyło się na niewysokim progu, z ponad którego mogliśmy w dalszym ciągu spoglądać na siebie i rozmawiać.

— Tereniu — mówię — czy robisz te wszystkie cuda, które ci przypisują?

— Nie wiem, o co pytasz. Jeśli robię co złego, będzie mię za to sądził Bóg.

— Nie rozumiesz mnie; nie miałam zamiaru czynić ci jakichś zarzutów.

— To ty mnie nie rozumiesz. Te cuda sprawia łaska Boża.

— Ale ona się ucieleśnia przez duchy ludzkie, by się stać widzialną między ludźmi.

— No tak, a zapewne przez te, które Go miłują.

— Co powiesz na to, Tereniu — mówię po chwili. Wszak i ty i ja jesteśmy dziećmi Boga. Gdy staniemy kiedyś przed Jego obliczem, a On otworzy miłośnie ramiona i powie: „Chodźcie do mnie, dzieci!“ — czy i wtedy zawołasz: „Przez miłość Chrystusa, nie przystępuj do mnie!“

— Jesteś miła, rozbijająca — rzecze Terenia — ale równocześnie straszna swem rozumowaniem!

Po tych słowach znów odsuwa się ode mnie. Skłania głowę na dłoń, złożone na piersiach; skupia się w sobie, zamyka, jak kwiat o zachodniej porze. Jak zrozumiałam później, wzywała w tej chwili swego Anioła-Stróża, obawiając się, czy jej nie kuszą do złego. Zostawiłam ją na chwilę w spokoju; po pewnym czasie znów podjęłam rozmowę.

— Tu na ziemi wiele się pisze obecnie o Teresie Neumann; czy jesteś z tego niezadowolona?

— Wiem, wiem, że z nią coś zaszło. Fale myślowe ludzi, piszących i mówiących o niej, odrzuciły mię nawet chwilowo od niej, stawiając niejako zapórę między nami.

— Czy też piszą ci ludzie rzeczy, zgodne z prawdą? — pytam.

— Nie wiem — a może ty to wiesz?

— Czy znasz dobrze dotyczące tej sprawy myśli, przeniesione na papier?

— Tak — odzywa się jakiś głos za Terenią.

Patrzę w tę stronę i widzę jej Ducha Opiekunczego, który nadszedł widocznie, przywołany jej modlitwą.

— Tak — mówi — i ty je masz ludziom wytłumaczyć, a Terenia musi się z tem pogodzić.

Przy tych słowach obejmuje ją serdecznie, jak matka dziecko i przyciska do piersi.

— Nie czas teraz, kochane — mówi dalej — na bliższe poznanie się. Ani ona, ani ty nie spełniłyście jeszcze swej roli.

Terenia odeszła — a mnie zrobiło się jakoś dziwnie. Kim ona jest? To Marja Magdalena — wiem o tem — lecz skąd ja ją znam? Boć przecie... przecie ja ją znam!.. Jakieś niejasne wspomnienia zaczęły się błąkać w mej duszy. Kimże ja jestem? ! Jak dziwnie rwą mi się myśli... Otrząsam się z tego wrażenia; widzę, że Opiekun Tereni jeszcze został. Zwracam się do niego z zapytaniem:

— Więc ja to mam tłumaczyć? Lecz dlaczegóż właśnie mnie przypada taka rola? Czy ty mnie dobrze znasz? Wszak żyję takim codziennem, szarem życiem; wiem, że nieraz nie umiem się oprzeć falom otaczającego mię zła i brudzę sobie szatę ducha. Czy jestem godna zabierać głos w takich ważnych sprawach?

— Wiem, jaką jesteś; zło, które się do ciebie przylepia, to tylko skorupa zewnętrzna — ale głębię ducha zachowałeś czystą i wierną Bogu. Łatwo pozostać świętym za murami klasztoru; lecz nie uciekać od świata, żyć wśród jego zła — to znacznie cięższe zadanie. Tyś wśród tego wszystkiego zachowała świadomość swego jestestwa.

Po tych słowach odszedł prędko, jakby pragnąc przeciąć dalszą rozmowę na ten temat.

* * *

— Dnia 1 października znów zbliżyła się do mnie św. Terenia. Zwróciłam się do niej z zapytaniem:

— Tereniu, czy przykro ci, że patrzę na Terenię Neumann i wglądam w tajemnice jej cierpień?

— Tak, bo to nie tylko ona cierpi, lecz i ja także. Ona cierpi w ekstazie, a ja zawsze, gdy na nią popatrzę, a zwłaszcza gdy patrzę na tych różnych ludzi, żadnych sensacji. Nikogo pomiędzy nimi, ktoby znał istotny stan rzeczy. A twego dziwnego sprawozdania też się boję — boć ono przecież nie przyniesie korzyści wierze katolickiej. Ja zaś jestem wierną córką Kościoła Katolickiego, a Terenia Neumann także. Poco ludziom tych wiadomości, które podajesz o Tereni N.? Mój Boże — ja się ciebie tak boję — ty tajemnicza istoto!.. — a jednak mnie coś ku tobie dziwnie przykuwa!.. Modlę się, by Bóg na zawsze odsunął mi ciebie z oczu.

— Tereniu, — mówię — ucisz swój smutek duszy. Wiedz, że i dla mnie, podobnie jak dla ciebie, najdroższym, najmilszym jest Bóg — Ojciec, Stwórca wszystkiego dobrego. On moim celem — według Jego woli chcę żyć i Jego wolę spełniać wiecznie!

— A Chrystus, Syn Boga, a Marja, Matka Jego — Ci już nie mają miejsca w twym sercu?

— Tereniu! Proś Boga, byś mogła zajrzeć aż na dno mej duszy. Nie noszę coprawda na piersiach krzyża, widzialnego symbolu wiary, jak ty. Lecz któż mi może być po Bogu najdroższym, jak nie Oni, którzy czystość ducha zachowali wśród piekła, zgotowanego przez ludzi na ziemi, cierpiąc niewinnie katusze srogie za swoją miłość ku upadłej ludzkości?! Tereniu, smuczysz mnie naprawdę takim zapytaniem.

— Przysięgnij na krew Zbawiciela, że mówisz prawdę, że chcesz być zbawioną i miłujesz prawdziwie Boga Ojca, Chrystusa i Marję!

— Tereniu, przysięgać nie będę — ale będę się modliła, by Bóg dał ci zajrzeć do mej duszy, abyś się przekonała o prawdziwości mych słów.

— Dziwne, dziwne; słyszę ustawicznie modły, płynące do mnie z ziemi, abym się modliła za nieszczęśliwych, abym prosiła Boga za nimi — a ty się chcesz modlić za mnie, abym lepiej ciebie poznała? Nie znam cię! i jakże cię poznać, gdy się ciebie boję? Wiem tyle, że nie jesteś córką naszego Kościoła — i to już wstrzymuje mię od większego zbliżenia się ku tobie.

— Wiem, Tereniu, że jeszcze trwasz w częściowem uśpieniu duchowem, co ci zresztą nie przeszkadza czynić cudów na ziemi, bo bardzo miłujesz Najczystsze Istoty i wierzysz w Boga!

— O jakich cudach mówisz? To nie ja je sprawiam. Proszę Boga za nieszczęśliwymi i On im pomaga, nie ja!

— Wiem, wiem, rozumiem cię — ale użyłam tu powiedzenia, wziętego z ziemi, że św. Teresa czyni cuda. Co zaś do Kościoła, to, Tereniu droga, moja wiara nie da się zamknąć w ciasnych ramach żadnego Kościoła; kościołem mi cały wszechświat, a ołtarzem serce moje, wewnątrz mego ducha! Moja wiara unosi się ponad różne dogmaty kościelne. Bo i zastanów się, Tereniu; ty widzisz mnie, ja widzę ciebie, rozmawiamy ze sobą; a przecież ty jesteś duchem, ja zaś jeszcze człowiekiem. Czyż ten fakt już nie jest sprzecznym z dogmatami, które Kościół głosi, mianowicie, że po śmierci śpimy snem wiecznym i że stąd już niema drogi powrotnej na świat? A jednak widzisz, że to nie jest prawda, boć fakt naszej rozmowy temu oczywiście zaprzecza.

— Właśnie, właśnie — dlatego się ciebie boję! Bo ja z nikim z tej ziemi nie rozmawiam. Słyszę ich, słyszę — ale przez granice śmierci nie wolno tak śmiało patrzeć!

— Tereniu — mówię jej — śmierci niema!

Ale ona nie słucha już tych słów; zmieszana znika. Wiem jednak, że sama kiedyś przyjdzie, bo, odchodząc, nie widzi w swem wzruszeniu swego Ducha Opiekunczego, który mówi do mnie:

— Miej nadzieję, że Terenia się całkiem ocknie. Żyj tylko zawsze we wierze w Wszechmocnego, a On z tobą będzie...

Tegoż dnia w nocy, po odłączeniu się od ciała, napotkałam ostatnie swe słowa: „Śmierci niema”, których Terenia już nie chciała słuchać! Odrzuciła

je tem zpowrotem ku mnie, toteż teraz ujrzałam je przed sobą niejako zawieszony w astralu. Zbliżyły się ku mej duszy. Nie zastanawiając się nad ich treścią, posuwałam je przed sobą — a raczej one same szły ze mną, dźwięcząc i tworząc naokoło mej duszy leciuchny wiaterek. „Niema śmierci, niema śmierci!“ — zadźwięczały po kilkakroć. Wpatrując się w te myśli, przypominałam sobie rozmowę z Terenią. I w tejże chwili ujrzałam Terenię — lecz ona mnie nie widziała. Stałam za nią w pewnym duchowym oddaleniu. Ujrzałam różaniec, zwisający jej z rąk; ręce miała złożone i szybko odmawiała mechanicznie jakąś modlitwę. Momentalnie zrozumiałam, że modlitwę tę umie na pamięć z modlitewnika. Naokoło niej falowały znów różne modły, prośby i tu i ówdzie dochodziły nawet jęki cierpiących na ziemi. Te ostatnie niepokoiły ją w modlitwie. Widziałam u niej pośpiech w odmawianiu tejże. Modlitwa, wychodząc z jej ust, zataczała przed nią coraz większe kręgi, tworząc w ten sposób jakby lejek; przy słowie „Amen“, przywartą została niejako do książki, modlitewnika, włożoną, że tak powiem, w odpowiednie jego miejsce.

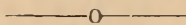
Gdy skończyła się modlić, westchnęła, rozglądając się naokoło siebie. Ujrzała i mnie — i widać było, że przypomina sobie rozmowę ze mną. Zaniepokoila się trochę i wysłała myśl w moją stronę z zapytaniem: „Ty tu?“ W tem pytaniu kryło się pewne zdziwienie, skądże znowu biorę się tak blisko niej i to mając w dodatku jeszcze ciało na ziemi? Nie wiem, co się zaczęło budzić w jej duszy, że wskazując na szerokie zastępy swoich wiernych, zapytywała, gdzie są moje szeregi, cóż ja robię dobrego na ziemi i poca przysłałam do świata duchów? W tem zapytaniu jej było trochę chłodu. Nastąpiła potem jeszcze jakaś myśl, której nie zauważyłam — i znów padło kilka myśli o żonie Piłata, Tereni Neumann. Wtem usłyszałam przepiękne, duchowe dźwięki liry i pogodna twarz ducha opiekuńczego Tereni spojrzała na mnie. Spojrzeniem swem ocieplił niejako duchową atmosferę pomiędzy mną i św. Terenią — ale niem równocześnie oddzielał nas od siebie.

Po przyłączeniu się do ciała opowiadałam o swoim spotkaniu w zaświecie z św. Terenią — i podczas tego przyszedł znów ów duch pogodny. Oznajmiłam o jego zbliżeniu się i prosiłam, by spisano, co będzie mówił przez moje usta — bo już poczułam, że owłada mem ciałem. Podaję niżej dosłownie jego przemówienie:

— „Tak, jestem opiekuńczym duchem tej, o której była mowa. Tu na ziemi i w świecie Ducha — głównie w świecie astralnym — rozlega się: „Święta, święta!“ Z niejednego ducha, z niejednego człowieka wyrывa się magnetyczna siła wiary, że ona, święta, pomoże. I zanoszone są do niej modły, które wytwarzają naokoło niej świat nowy — nie można powiedzieć, że świat, podobny do rajy ducha. Boć różne są modły różnych ludzi, prośby ich błahe, nierzadko straszne, ciężkie. To wszystko tworzy niejako stopnie ku Tereni; ściągają ją swoją prośbą ku ziemi! Lecz tam, gdzie niema bodaj trochę dobrych myśli, Terenia się nie skłania. Według siły wiary duchów i ludzi mnożą się cuda na ziemi i w zaświecie. Proszą Terenię o wstawiennictwo, żeby ich modlitwy zanosila Bogu i przemówiła za nimi. Terenia zaś nie modli się za każdego osobno, lecz kiedy poprostu dławią ją modły ich, sama woła: „Boże, pomóż!“ Największe centrum jej siły płynie do niej od tych, którzy wolają jej imię, wpatrując się w jej wizerunek na papierze, lub przedstawiającą ją figurkę, czy też jej relikwje. Za życia na ziemi nie odznaczała się niczem nadzwyczajnem, t. j. nie mnożyły się cuda naokoło niej. Prze-

chodziła jeszcze po krawędzi czyścica swego ciała — cierpiała karmicznie. W wolności ducha wezbrała siła szczerzej, dziecięcej modlitwy i ta siła, zlaną z wiarą ludzi, przy pomocy jeszcze wyższych sił tworzy cuda. Lecz Terenia razem z tą wielką siłą, ze wszystkimi modłami, nie jest jeszcze tak wolnym duchem, by mogła się oderwać na dłuższą chwilę od widoku tego świata i życia astralnego. Nie pozwalają jej także na to dogmaty kościelne. W astralu jest wiele kościołów i tam znajdują się jej wizerunki także; stwarzają je myślowo duchy, szukające u niej pomocy. Gdy spełni swe zadanie, jakie sama wzięła na siebie, rozejrzy się pewnie lepiej we wiecznej przestrzeni. Niegdyś pomagała sama do stworzenia różnych dogmatów Kościoła katolickiego i w to, co niegdyś z innymi wytworzyła, sama wierzy; jako w zba-wienne, więc trudno z nią rozmawiać na ten temat, podobnie jak trudno byłoby także tak zwanej Tereni Neumann objaśniać wielki zakon Karmy, wieczny zakon odpłaty. Żona Piłata w ciele Tereni N. oczyszcza się tem samem, że budzi wspomnienia i wiarę w niewinne ukrzyżowanie Chrystusa. Lecz żona Piłata razem ze św. Terenią pracowały nad wielu dogmatami kościoła rzymsko-katolickiego. Żona Piłata i dziś chciałaby, żeby jedynie czyż katolickie patrzyły na jej stygmaty i pragnęłyby swojemi stygmatami utrwalić mocną wiarę w jedyny zbawczy Kościół katolicki, w czem Terenia w dobrej wierze jeszcze jej dopomaga.*) O żonie Piłata, a Tereni N! pisze się już wiele. Terenia i żona Piłata nie są z tego zadowolone; widzą w tem niejako szataństwo, profanację świętych ran. Żona Piłata tak chętnie powróciłaby do uśpienia, do wiary, którą z innymi tworzyła. Lecz już wybiła godzina jej opamiętania się i zrozumienia praw wyższych, niezmiennych, praw Boskich, a nie ludzkich. W chwilach ekstazy jest niejako blisko dobrego Chrystusa i blisko owej Prawdy. Wówczas to myśl jaśniejsza owłada jej ducha i cierpienia nie wydają jej się strasznymi, przynoszą jej bolesną ulgę — lecz boleść ta zamienia się w radosną, kiedy płomień cierpienia spala zarodki przewinienia przeciw Niewinnemu.

Gdy będziesz w odlączeniu w świetle Ducha, chociaż ujrzysz gdzie świętą Terenię, nie dotykaj jej nawet myślą; ujrawszy ją, rzuć tylko w przestworza myśl, jako pozdrowienie dla niej. Światło wiecznej prawdy rozświetli twoją duszę. Przykro mi było słuchać, gdy żądała od ciebie przysięgi; lepiej niech nie powtarzają się takie rozmowy pomiędzy wami. Mam ją pod swoją opieką i mem zadaniem rozbudzić jej duszę, co już się stopniowo dzieje! Miała już kilka spotkań po swoim odejściu od ciała, kilka rozmów podobnych, jak z tobą. Duchy, które już dawno zapomniały, do jakiego kościoła należały na ziemi, zbliżały się do niej, jak do siostrzanej duszy. Lecz ona biedna, kiedy spostrzegła u nich dziwną wszechstronność myśli i to, że nie przykładają wielkiej wagi do uznawanych przez nią świętości, brała do swej białej, drżącej ręki krzyż, zwisający na szarym habicie jej ducha i prędko się nim zasłaniała przed odwiedzającymi ją. Ale chociażby chciała zapamiętać o rozmowie z tobą i z tamtymi, nie potrafi zapamiętać.



*) Przep. Red.: Jak wierną pragnie być Teresa N. Kościołowi katolickiemu i jak bardzo zależy jej na uznaniu ze strony tegoż Kościoła, widać z następnego, podanego przez dzienniki faktu: Gdy przedłożono jej napisaną o niej książkę, zwróciła się z żalem do obecnego przytem przedstawiciela duchowieństwa: „I znowu niema tu aprobaty cenzury kościelnej!”

Sztuczki Antychrysta.

(Przedruk z „Odrodzenia“ 1927, październik.)

Z Berlina donosi „Der Tag“ o niezwykłych własnościach pewnego śląskiego górnika nazwiskiem Diebel. Posiada on tę ciekawą zdolność, że przybity na drewnianym krzyżu za ręce i nogi może wytrzymać przez 10 godzin, nie odczuwając żadnego bólu i bez żadnych śladów krwawienia. Obecnie jest on poddany szczegółowemu badaniu przez lekarzy wrocławskich. Stwierdzono, że częściowe stygmaty, jakie występują u Teresy Neumann, może on wywołać stosownie do swej woli. M. in. zademonstrował Diebel następujący eksperyment: Przybił sobie lewą dłoń gwoździem do stołu, przyczem nie odczuwał żadnego bólu. Następnie oświadczył, że uczucie bólu „włączył“ znowu w siebie i będzie próbował wywołać wypływ krwi z prawej strony ciała. Po upływie około 10 minut nastąpiło zupełnie wyraźne zaczerwienienie skóry ponad prawem kolanem, a po dalszych 3—4 minutach na miejscu tem wystąpiła kropla krwi.

Diebel, który popisuje się publicznie pod pseudonimem „Sindolor“ twierdzi, że po kilkutygodniowym treningu będzie w stanie w dowolnym miejscu swego ciała wywołać wystąpienia krwi, jak u Teresy Neumann. Diebel pod kontrolą licznych powag naukowych wrocławskich potrafi w dowolnym miejscu swego ciała wywoływać znaki, litery i liczby w formie zaczerwienionych linii. Na żądanie potrafił także wywołać w dowolnym miejscu napuchnięcia, które trwały przez pewien czas, a następnie zanikały.

Sztuczki owego robotnika noszą inny charakter, i płyną z innego źródła, niż cierpienia i stygmaty żony Pilata, żyjącej obecnie pod nazwiskiem Teresy Neumann. Jest to jeden z duchów, lekceważących sprawy Boże, a działa pod wpływem istności gorszych jeszcze od siebie, które mu dopomagają usuwać uczucie bólu z ciała, to znów dowolnie włączać je z powrotem. Magnetyczną siłą rozszerzają arterje w jego ciełe, przykładają niewidzialne sito magiczne na powierzchnię skóry, ciągnąc niem krew przez otwarte komórki ciała pod powierzchnię skóry, a nawet częściowo i na powierzchnię. Te niby nadprzyrodzone zjawiska nie są związane z niewinnem cierpieniem Chrystusa — są to sztuczki antychrysta. Ów robotnik wcale nie wygląda na tak złego człowieka — jest jednak dobrem medjum antychrysta. Działający przezeń duch nieczysty ma na celu otworzyć niby ludziom oczy, że nie trzeba przekładać zbytnej wagi do dziwnych stygmatów Teresy N., ani łączyć tego z czemś nadprzyrodzonym, wyższym, gdyż każdy potrafi to wywołać, jeśli tylko wytresuje odpowiednio swoją wolę i ujarzmi nią siły cielesne. Chce w ten sposób podrywać znaczenie wszelkich nadprzyrodzonych zjawisk, któremi teraz coraz więcej zaczyna się interesować świat uczoney i które wpływają na rozbudzenie subtelniejszych duchem.

Robotnik ów nie pokazał światu nic nowego. Wielu jest w różnych krajach podobnych sztukmistrzów, czarowników i fakirów, którzy potrafią znieszczyć ciało do tego stopnia, że nie tak dziesięć godzin wisieć na krzyżu, ale miesiącami leżeć mogą zagrzebani w ziemi. lub też wisieć do góry nogami. Doprawdy ciężkiem jest zadanie uczonych, którzy przystępują do badania owych spraw. Muszą zdobyć się na wielkie skupienie ducha, szczerze zwrócić się do Boga, żeby im pomógł rozwiązać owe zagadnienia, tak ważne w życiu ludzkim i duchowem, oraz rozróżnić siły wyższe — czyste od demonicznych, ciemnych, przeszkadzających prawdziwemu rozwojowi duchowemu i zrzuceniu pęt nieświadomości.

A. P.



Stygmaty Heleny Ajello.

(Przedruk z „Odrodzenia“, rocznik 1926, maj.)

Krakowski „Ilustrowany Kuryer Codzienny“ z dnia 16 kwietnia 1926 r. nr. 104 podaje następujące zdarzenie:

Prasa włoska podaje sensacyjne wiadomości o Helenie Ajello, dziewczynie z ludu, zamieszkałej w miejscowości Montalto, niedaleko miasteczka Cosenzy, która już od czterech lat w każdy Wielki Piątek rzekomo przeżywa mękę Chrystusa i poci się krwią. Dziewczyna ta, odznaczająca się wielką religijnością, wpada co rok we wspomniany dzień w pewnego rodzaju „trans“, a ciało jej pokrywa się plamami i ranami, broczącemi krwią, a z głowy wypadają włosy.

W tym roku, jak i poprzednich, przybyło mnóstwo pielgrzymów z różnych miejscowości i w wielkiem skupieniu asystowali „cudowi“.

Na ulicach tego spokojnego miasteczka panował taki ruch i ożywienie, że specjalna straż karabinierów musiała pilnować spokoju i porządku. Straż ta nie dopuszczała tłumów do Heleny Ajello, gdzie znajdowała się tylko najbliższa rodzina chorej, kilku lekarzy, oraz dziennikarzy, wysłanych przez dzienniki włoskie.

Oto szczegóły przebiegu „cudu“:

Nagle robi się cicho, a po chwili słychać jakiś pełen religijnej ekstazy głos: „La santa suda sangue!“ (Święta poci się krwią).

A nieco dalej, w domu krawca Ajello, dzieje się rzecz niezwykła.

Na białem łóżku leży bardzo blada młoda dziewczyna. Z oczu jej spływają dwie wielkie, krwawe łzy i ściekają po twarzy, na której maluje się wielkie cierpienie.

Dziewczyna woła: — Jezu, jakaż bolesna korona cierniowa! — a ciałem jej wstrząsają dreszcze.

Po chwili mówi dalej: — Ile krwi, jakaż to męka.

A na pytania dra De Marko odpowiada, że czuje gorycz w ustach, że doznaje wrażenia, jak gdyby miała cierniową koronę na czole i że dłonie, jakoteż stopy, ma przebite gwoździemi.

Regularnie co kwadrans z oczu Heleny Ajello płyną krwawe łzy, a następnie twarz jej przybiera taki wyraz, jakby miała piękną wizję, która zdaje się łagodzić jej fizyczne cierpienia.

Z czoła dziewczyny spływają krople krwi, sączące się z jakichś niewidzialnych ranek, krew sączy się też z stóp i z dłoni chorej.

Ten „cud“ powtarza się już czwarty raz.

Dodajemy jeszcze, że w tym roku na ciele Heleny Ajello, w okolicy serca, pojawiła się jakaś krwawa plama, z której obficie sączyła się krew.

Oczywiście ten „cud“ budzi wielkie zainteresowanie i gorącą polemikę w kołach lekarskich Włoch. Na miejsce tego niezwykłego zjawiska udało się kilku profesorów, którzy starają się zbadać ten ciekawy objaw. Dr. Turano widzi przyczynę tej zagadki psychologicznej w nadmiernej, wprost chorobliwej egzaltacji religijnej Heleny Ajello. Prof. Fabrizio mówi, że jest to histeryczka, z nadmiernie rozwiniętą manją „świętości“.

Charakterystycznym jest, że Helena Ajello była niegdyś w klasztorze, lecz wydalono ją stamtąd właśnie z powodu tej „choroby”. Helena Ajello uważa się wciąż za mniszkę, pomimo, że ślubów nigdy nie składała. Z natury jest słabowita, szczególnie źle czuje się w piątek każdego tygodnia, a w Wielki Piątek wielkanocny powtarza się z nią od czterech lat ta sama historia. Dziewczyna czuje się potem bardzo osłabiona i długo nie może przyjść do siebie.

Prowadzi spokojny tryb życia i mówi, że chciałaby połączyć się jak najprędzej ze swoją patronką, św. Ritą. Helena Ajello cieszy się wielkim kultem ze strony ludu. W miasteczkach i wsiach okolicznych uważają ją za „świętą”.

Po przeczytaniu powyższego artykułu nie mogłam pozbyć się myśli o owej „świętej”. Nagle wśród zwyczajnych zajęć złożyły mi się ręce, jak do modlitwy. Równocześnie odczułam, iż jakiś dobry duch wzywa mię, bym się uspokoiła i spojrzała wzrokiem duchowym. Uczyniłam tak i oczom moim przedstawił się obraz owej dziewczyny, pocącej się krwią. Następnie zostałam przeniesioną w daleką przeszłość z przed blisko 2000 lat. Ujrzałam górę Golgotę a na niej trzy krzyże. Na środkowym krzyżu Człowiek, od którego biła ogromna jasność tak, że w tej jasności znikało mi chwilami z oczu Jego ciało! Z ową jasnością płynęła wielka miłość i słodycz, lecz drżała w niej także i boleść. Miałam wrażenie, że tylko niewiele z obecnych przy tej scenie ludzi widzi tę jasność. Uczułam zarazem, jak gdyby w tych promieniach drżała tkliwa obawa o tych, którzy nie widzieli tej jasności.

Z kolei został wzrok mój skierowany na dwóch grzeszników, ukrzyżowanych razem z Nim. Ich ciała nie promieniowały. Po pewnej chwili jednak grzesznik po prawicy, patrząc na mękę Chrystusa i przysłuchując się Jego głębokim i łagodnym słowom, nabrał poniekąd Jego jasnych promieni w głąb swego ducha! Tymczasem złoczyńca po lewicy wciąż urągał jak Bogu, tak ludziom, a nawet wyśmiewał się z cierpień Jezusa. Wówczas to grzesznik po prawicy nawoływał go do opamiętania i upokorzenia się przed majestatem Boskiej miłości Chrystusa i Jego niewinnych cierpień.

(W tym momencie przypomniano mi, że grzesznik, urągający Jezusowi i dziewczynka, opisana wyżej, to jeden i ten sam duch.)

Twardy łotr jednak nie chciał słuchać słów ostrzegawczych i w tym stanie nieświadomości odszedł z tego świata. Otoczyła go zaraz wielka ciemność. Nie widział nic, nawet samego siebie. Skądś z dala dochodził go łoskot, zgiełk i krzyk, jaki panował w smętnym dniu ukrzyżowania. Ciągłe się wzdrygał i czegoś lękał i szamotał sam z sobą długi czas bezsilnie. Chwilami tylko, lecz na bardzo krótko rozdzierała ciemność jasna błyskawica. W tym czasie widywał szerokie przestworza, wtenczas odczuwał w sobie prąd nowego życia. Zrazu gniewał się na to światło. Z czasem przyzwyczaił się do niego i zaczął nawet po niem tęsknić. Wtedy zjawiało się rzadziej, ale trwało dłużej. Nie mógł go znieść, czuł, że się coś na nim pali, coś topnieje, ale potem odczuwał ulgę. Zwalczał swój upór powoli i tęsknił za wydobyciem się z ciemnej otchłani. W myślach zaczął szukać jakiejś pomocy. Wtedy zbliżyły się do niego jasne duchy, trzymając w ręce księgę jego życia, a gdy czytał w niej, ożyły przed nim wszystkie jego przewinienia za życia na ziemi. Gdy z westchnieniem zwrócił ku nim twarz swoją, w której malowało się zapytanie, co czynić dalej, by to z księgi zostało zmyte, jak naprawić wszystkie krzywdy — odczuł, że największą z nich wyrządził samemu Bogu, gdyż On jeszcze z krzyża nawoływał go do opamiętania, a on

swym śmiechem i przekleństwami naigrawał się z Jego słów. Wskazały mu wówczas dobre duchy na ten świat, że tylko tam może zmyć swoje stare winy. Gdy już wiedział, jak ma żyć na ziemi, że w potoku cierpień oczyści swego ducha, zaczął naraz wołać głosem strasznym, że przyjmuje owe wyjście z otchłani i że chce cierpieć strasznie na ziemi. Lecz wyższe duchy, widząc, że nie jest jeszcze zdolnym do wielkich cierpień, odprowadziły go cicho na zrodzenie jako dziecko. Był smutnem dzieckiem, kobietą. Oczy jej spoglądały często na rozsiane gwiazdy nad swoją głową, bała się świata, pragnęła spokoju, aż zamknęła za sobą drzwi klasztorne. Lecz i tam, pomimo umartwiania ciała, nie zdobyła spokoju ducha! W modlitwie miała twarz surową, dziwnie twardą i niesympatyczną. To też jej otoczenie nie miało do niej zaufania i często nazywało ją faryzeuszką. W tem smutnem odosobnieniu i niezrozumieniu odszedł duch mniszki znów w zaświaty, gdzie otoczyła go znów dawna ciemność, w której teraz trwał na modlitwach. Wydobywał myśli z głębi swego ducha, a najlepsze wysyłał do Boga. One wracały z powrotem do niego i ciemność rozdzierały, grzejąc jasnymi płomykami jego głowę. Po powrocie takich myśli czuł się lżejszym i lepszym, to też wysyłał ich coraz więcej, aż niemi został na tyle opromieniony, że mógł się swobodniej poruszać, oświetlając przestrzeń swoją własną aurą. Udręka ducha nie ustępowała; gdy pomyślał o swoich przewinieniach, zjawiających się znów przed wzrokiem jego duchowym, wołał wtenczas głosem wielkim, żalonym, by mu Bóg pozwolił na ponowne zrodzenie. Dobre duchy znów się do niego zbliżyły, oznajmiając mu, że jego prośba zostaje wysłuchaną i że to, co było w jego życiu najgorszem, może odpokutować na ziemi w nowem zrodzeniu.

Potem znów został sam. Gdy się wmyślał w mękę Chrystusa, drzał z litości, jak zeschnięty liść i wołał rozpaczliwie: „Dwanaście razy upadłeś pod krzyżem, pozwól, bym przynajmniej 12 razy w roku pocił się krwią i odczuł twoją koronę cierniową! Nie oszczędzaj mi bólu, nie odbieraj mi gorczy! Gdy będę słabł na duchu, pošlij mi tę jasną błyskawicę z nieba, bym nie upadł i nie zwątpił w cierpieniach!”

Znów zrobiło się jasno naokoło niego. Dobre duchy otoczyły przyjaźnie jego ducha. Otwarły znów jego księgę życia, czytając w niej dalej: „Będzie znów żył na ziemi w postaci kobiecej, będziesz miał wątłe ciało, lecz ciało twoje astralne będzie przewyższało energją życiową ciało fizyczne. Przyjmiesz na siebie owe cierpienia, o które prosisz Boga. Gdy wybije godzina przeznaczenia, odczujesz je. Nie będziesz jednak zdawał sobie sprawy z tego, skąd i jak powstały, gdyż nie jesteś dosyć silnym, byś mógł na ziemi wiedzieć o tem. Dowiesz się dopiero, gdy tego będzie potrzeba. Uczucie gorczy odczujesz tylko w ustach, gdyż duch twój słaby nie jest w stanie odczuć ogromu tego cierpienia, jakiego doświadczył Syn Boga żywego. W miejscach, gdzie święte Jego ciało twardemi gwoździemi było przebite, będzie się z twego ciała sączyć krew. Dostaniesz i ową cierniową koronę, o którą tak prosisz, lecz odczujesz tylko jej ostre kolce w ciele fizycznym i astralnym. Duchem niestety nie potrafisz jeszcze pojąć ogromu cierpienia, jakie jeszcze dziś zadają niewierne i w grzechach błędzące duchy wcielone i niewcielone Jego świętej głowie! Strzeż się popaść w pychę, gdy w swej ślepotcie nazwią cię świętą! Strzeż się przyjmować cokolwiek w darze jako „świętą” lub „żywy obraz Chrystusa”, za jaką cię zechcą uważać! Masz później przed

sobą jeszcze szereg zrodzeń, w których się oczyścisz z przewinień na ziemi z przed 2000 lat.

Dopiero potem możesz zrodzić się na świat w jaśniejszej szacie duchowej i wskazywać świadomie przy pomocy przyjaciół nieba drogę do Boga. Teraz masz jeszcze dosyć ciemną aurę, która trochę odrażająco będzie działała na twoje otoczenie. Kilka słabszych, ale spokojniejszych od ciebie duchów nie zechce uznać twej pokory i cierpień i będą ci zarzucać w twarz „faryzeuszostwo“ jak w poprzednim życiu. A chociaż opuścisz chłodne mury klasztorne, nie będziesz mógł zatrzeć świadomości mniszki z poprzedniego życia. Te słabsze duchy, to otoczenie w klasztorze, nie uznające twej skruchy, były niegdyć także świadkami twego urągania wobec Boga i walczyły z sobą, ze złem, z kłamstwem w sobie, a twoje słowa odbierały im siłę, aby poznały prawdę. Opiekunem Twoim duchowym był i jest duch dawnego złoczyńcy po prawicy, lecz ty nie zdajesz sobie z tego jasno sprawy, dla ciebie będzie on ukryty w postaci św. Rity. Mniejsze cierpienia będą cię także nachodziły w piątki, by ci przypominać, że nie masz z tego świata brać wielkiej rozkoszy. Spotkasz wiele ludzi na ziemi, z którymi żyłeś przed 2000 lat. Niektórzy z pośród nich są mężami wiedzy, lecz niestety, jak dawniej tak i w obecnym i następnym twojem zrodzeniu nie będą chcieli otwierać swego serca dla prawdy i badać prawdziwej przyczyny twoich tajemniczych cierpień! Z niechęcią otwierać będą drzwi swego ducha dla ożywczych prądów z wiekiściego życia. Ty nie zapieraj się przed nimi swej cierniowej korony, lecz gdy z nieufnością będą patrzeć na ciebie, wskaż im na swoje krwią zroszone czoło, a temsamem nie będą już mogli tak spokojnie ze starymi myślami żyć na ziemi. Tak samem już swoim cierpieniem, nie wiedząc na ziemi dokładnie o tem, wielu zmusisz poprostu do badania tajemniczej wiedzy duchowej.

Gdy się zapytałam, dlaczego ten duch musiał właśnie przyjąć ciało kobiece, jeden z nich wskazał mi z żalem i słabym uśmiechem na twarzy cały zastęp ludzi, uznających ją obecnie za świętą i rzekł:

— A cóżby to było dopiero, gdyby on był otrzymał ciało mężczyzny! Napewno wielu z nich wzięłoby go za Syna Bożego, Chrystusa, patrząc na niego we Wielkie Piątki.

Chwilę jeszcze zastanawiałam się nad tem, że splanca swą Karmę nie w tych stronach, gdzie ją zaciągnął, bo wiem, że najczęściej wielkie sceny karmiczne rozgrywają się w miejscowościach, gdzie dane duchy poprzednio żyły i karmę ową stworzyły. Wówczas odezwał się ów duch:

— To Wyższa Siła tak pokierowała karmą, bo tu chodzi o cierpienie samego Boga. W samej stolicy Piotra tam mało wiedzą o prawdziwym życiu ducha, o jego cierpieniach i w mylnem świetle przedstawiają czyściec, piekło i niebo!

W mej duszy po tych słowach zrobiło się boleśnie smutno, bo wiedziałam, iż mówią prawdę.

Po chwili wysłałam znów zapytanie w przestworza, czy duchom nie jest wiadome, jak długo w obecnej karmie pozostanie na ziemi ów duch w dziewczynie. Odpowiedziano mi, że większą część swego zadania ma już za sobą, lecz że przychodzą chwile pokuszenia, by ją wzbąć w pychę, że to ją sobie obrał Bóg na obraz i podobieństwo Swoje i że cierpi niewinnie za ludzkie grzechy. Już teraz rozmawiają ludzie pomiędzy sobą, że gdy umrze, wystawią jej kaplicę i czcić ją będą jako świętą. Dlatego zostanie odwołana z tego

świata jeszcze jako młoda istota. Następne zrodzenia czekają ją już w męskim ciele w Palestynie. Tam ma odzyskać większą świadomość ducha, a naśmiewającym się z Chrystusa i Jego życia na ziemi świadomie ma wskazywać na Jego Boskość, na Jego niewinne katusze i w różnych cierpieniach oczyszczać się z dawnych win.

Po tem objaśnieniu zapytałam, czy mogę spojrzeć, jaką drogą odbywa się to pocenie krwią. W tej chwili ujrzałam chorą w owym dniu. Jej ciało astralne razem z fluidami ciała fizycznego wirowało ogromnie. Blisko ciała astralnego był duch t. zw. św. Rity, który magnetycznymi ruchami ściągał fluidy razem z krwią do astralnego ciała. Stamtąd regularnie co pewną chwilę pędził ją, jak przez sito, przez jej ciało fizyczne do miejsc zgóry oznaczonych. Duch dziewczyny nie wiedział dokładnie o tem, gdyż wzrok jego jeszcze jest przyćmiony. Chwilami tylko, gdy cierpienia wydawały jej się zbyt wielkie i dreszcze trwogi nią wstrząsały, ujrzała owe błyskawice z przestworza, po których zlewał się prąd magnetycznej siły, niosąc jej ulgę dla ciała i posilenie na duchu.

A. P.



Dobry i zły łotr.

(Rewelacje podane przez ks. Zbyszka za pośrednictwem A. P.)

(Przedruk z „Hejnału”, 1929.)

O, jak tajemniczem wydaje się niejednemu na ziemi życie Jezusa, tego czystego Ducha w postaci człowieka. O, jak nie rozumieją Jego symbolicznych powiedzeń, Jego wielkich czynów! Jak mylnie sobie niejedni tłumaczy Jego postępowanie, Jego słowa. — — —

Dwóch łotrów zawisło obok Niego na krzyżu: jeden do ostatniej chwili, aż do momentu opuszczenia zawieszzonego ciała, urągał mocy Boga, a drugi, także w boleściach się wijący na krzyżu, wołał: „Panie, gdy przyjdiesz do królestwa Swego, wspomnij na mnie!” Chrystus mu odpowiedział: „Zaprawdę powiadam tobie, dziś jeszcze będziesz ze mną w raju.”

A przecież Chrystus wszystkich jednako miłuje, i tych, co Mu urągają, i tych, którzy już do Niego śpieszą. Jakże zrozumieć wobec wielkiej miłości i sprawiedliwości Bożej fakt, że On obiecał raj tylko jednemu łotrowi? Wszakże jedna i ta sama miłość łączyła Go z wszystkimi, zarówno dobrymi, jak i złymi. I On przyszedł dać świadectwo o Ojcu wszystkich, o Tym, który dał wieczne życie, wolność ducha i tyle, tyle świadomości tworzenia, piękna! Jakże zrozumieć?

A o to, by to było niezrozumianem, postarały się już niskie moce, które wołały: „Ukrzyżuj!”, nie chcąc widzieć na ziemi Tego, który jawnie przyznawał się, że królestwo Jego nie z tego świata, że ojczyzna Jego jest tam u Boga, Ojca wszystkich. Nie chciały Go tu mieć na świecie, bo miały opracowany swój szeroki plan, a niejedno już w czyn zamienione na ziemi.

Dwóch łotrów, jak podaje historia, zawisło na krzyżu. Wiele z tego, co On podał na ziemi, trudno zrozumieć ludziom, jak uznającym Karmę i reinkarnację, tak i niewierzącym w nią, boć zapomnieli, że sami sobie stworzyli piekło życia i innych jeszcze do tego piekła wciągali! Jeden z łotrów, ten, który prosił, by Chrystus nie zapomniał o nim — to duch budzący się i gardzący nieprawościami świata, lepiej już rozumiejący jego niesprawiedliwe rządy i przyczyny cierpień. Chciał powrócić do Boga, do spokojnej ojczyzny ducha. Ujrzały to moce piekła. O, za jednym takim powracającym do Ojca iluż ich sunie! I rzucają mu w drogę ciernie i kamienie, żeby na nich ranil sobie nogi swoje, by zmęczył się i stracił nadzieję, że dojdzie do Niego!

Ten t. zw. łotr oczyma dziecka spoglądał w błękitną dal, podziwiał piękne kwiaty na ziemi, marzył o jeszcze piękniejszych w tej czystej sferze duchowej, dokąd nie dolatują już plwociny przekleństw i nie stwarzają nic sprzecz-

nego z pięknem. I w tych chwilach rozmarzeń, ekstazy błogosławionej, przystępowały ciemne duchy do niego, do jego ciała — bo w takich chwilach duch zapomina o ciele, bóstwo w duchu łączy się z Bogiem. Przyszły, odrzuciły go od ciała; jeden z nich zawładnął nim, a inne z radosnym okrzykiem pędziły za swym towarzyszem, popełniając za jego pośrednictwem wiele złych czynów. Lecz któż z ludzi widział owego ducha w przywłaszczonem sobie ciele, tego istotnego sprawcę popełnianych zbrodni?!

Ale kiedy sąd ziemski zaczął mu się wpatrywać w oczy, spisując skwapliwie wszystkie ohydne czyny, odskoczył od ciała, a duch odpędzony poprzednio od swego własnego ciała, powrócił do niego, bo musiał jeszcze powrócić na ziemię, nie miał bowiem wyrównanych wszystkich wobec niej długów. Nie wiedział jednak nic o strasznych czynach, popełnionych niby przez siebie. Lecz kiedy skarga została odczytana, wszystkie duchy, które były dopomagały do tych czynów, z radością szatańską hypnotyzując go, zwały odpowiedzialność za wszystkie czyny na jego barki, wołając: „Ukrzyżować go, winien jest śmierci!“

A waga biednego „lotra“ jeszcze, jeszcze drżała, bo było na niej trochę cieni jego Karmy. Wyrównać ją było trzeba, choć cienie te już mu nie przeszkadzały, by mógł dojrzeć sprawiedliwość Bożą. Lecz oni i na tych niewielu cieniach zawążyli — bo było wówczas źle na ziemi, gorzej, kochani, niż dziś i nie chcieli nikogo puścić z tego świata, by nie mógł złączyć się z Tym, którego uznać nie chcieli, głosząc, że na ziemi jest ich królestwo.

A kiedy biedny „lotr“, powróciwszy do swego ciała, stał tak przed sądem ziemskim, zagłuszony krzykiem: „Jest winien!“ — zmieszał się; wiedział bowiem poprzednio, gdy duch jego odłączony był od ciała, że jeszcze jest coś winien temu światu. I teraz, gdy podsunięto mu te wszystkie straszne nie jego zbrodnie, zmieszał się, bo wróciwszy do ciała, zagłuszony krzykiem, nie zdawał sobie jasno sprawy, ile na nim winy ciąży naprawdę. I zaliczono na jego karb i wyznaczono mu karę za czyny nie jego.

Dlatego powiedział dobry Chrystus do medjum-lotra, gdy go ten prosił, by wspomniał na niego, gdy będzie u Ojca: „Jeszcze dziś będziesz ze mną w raj.“ Resztę długu wobec świata odcierpiał w mękach na krzyżu, malejących przy spojrzeniu na pogodną twarz Chrystusa, który co chwilę z krzyża wysyłał przez usta wiele pogodnych myśli: „Panie, daruj im, bo nie wiedzą, co czynią.“

O, nie wiedzieli, co czynią — bo zagłuszoną w ludziach była świadomość życia, świadomość tego, że przed wieki sami upletli na siebie bat — Karmę, wołając w przestworza: „Zostaw nas naszej własnej woli! Jeżeli coś źle sobie stworzymy, to sami to potem naprawimy, albo sobie odcierpimy!“ Stwarzając ongiś prawo Karmy, mieli jeszcze wówczas większą świadomość, niż wtedy, gdy Chrystus przyszedł na świat, by przypomnieć im, że błądzą i że Bóg jeden i ten sam od wieków na wieki przyjmie ich w każdej chwili i zasili w dobrem, gdy tylko zechcą zaniechać błędnego życia i tworzenia.

„Nie wyjdiesz stąd, póki nie oddasz ostatniego szeląga“ — znów w innym miejscu powiedział Chrystus do słuchaczy. O, nie ojedziesz, póki nie wyrównasz ostatniego swego czynu złego dobrym; potem możesz być wolnym od więzów tego świata i cierpień śmierci — wtedy otworzy się dla ciebie życie na wieki. Tak, bo wiele było Judaszów, tak jak wiele jest ich jeszcze i dziś na ziemi; wszelka wiara bez prawdziwej pokory, bez wprowadzania

pięknych myśli w czyn, bez tej siły w duchu, płynącej ze złączenia się z wolą Boga, nie otwiera bram niebios.

Łotr drugi, urągający do ostatniej chwili, to duch, przez którego nie musiały już działać inne siły, który sam był doradcą złego i urągał, jak wielu innych z pośród żyjących na ziemi: „Zstąp z krzyża, a uwierzymy, że jesteś Synem Bożym!“ O, i tę tajemnicę podam wam w przyszłości w jaśniejszym świetle.



Zbudzenie Łazarza.

(Rewelacje podane przez ks. Zbyszka za pośrednictwem A. P.)

(Przedruk z „Hejnału”, 1929.)

Wiele duchów wzgardziło własnym prawem ponownego zradzania się, a odbierało ciała innym, którzy wedle raz ustanowionego porządku zrodzili się byli jako niemowlęta i dorastali, lub już dorosli. Odpędzały ich od ciał — i było wielu opętanych na ziemi! A Chrystus tych opętujących oddalał od ciał, zabranych innym i przywoływał do nich znękanie duchy. Nieszczęśliwi, proszący Jezusa o pomoc, wołali zwykle: „Córka“ czy „syn jest opętany przez djabła“. Bo iście djabelskie czyny były przez nich popełniane. Wiele duchów niskich umiejętnie prawem t. zw. czarnej magji zawładnęło ciałem czyjś, by je w każdej chwili móc porzucić i zmusić odpędzonego ducha do ponownego powrotu do ciała. A kiedy przy brutalnych czynach już mieli być złapani i ciała porzucić nie zdołali, dematerializowali po części jego ciężar i szybciej od małp wspinali się na wysokie drzewa dla uniknięcia kary w tym ciełe.

Historja nie podaje liczby trędowatych. Trąd, trąd... to dorobek duchowy. Swojem życiem ściągnęli na siebie trąd — i dlatego nie chcieli się zradzać, by Karma ich i w ciełe fizycznym trądem nie smagnęła. Ich ciała astralne toczył trąd, trądem dotknięty także ich duch. Chcąc się ukryć w zdrowszem astralnym ciełe, odpędzali spokojniejsze duchy i kryli się w ich ciałach, zarażając je trądem.

I wyleczeni zostali wszyscy trędowaci, którzy nie własnym trądem byli dotknięci; wszyscy, którzy z wiarą przystępowali do Chrystusa, lub z wiarą w Niego z daleka ku Niemu wołali, zostali uzdrowieni. „Wiara twoja cię uzdrowiła“ — przypomnienie sobie sprawiedliwego Boga, przypomnienie sobie Jego nigdy nie gasnącej miłości do zbłąkanych dzieci.

Zbudził Łazarza do życia, bo inni odpędzili go od ciała dlatego, że umiłowal Chrystusa i uwierzył weń, w Jego posłannictwo. Napadli na niego, odegnali od ciała, ale już nie mogli zawładnąć niem, bo już na nim spoczęło oko Chrystusa. O, w miłości oko Łazarza spojrzalo na Mistrza, zrozumiało Jego posłannictwo! Złączył się z wolą Boga; toteż choć ciemne moce pojmaly jego ducha i ciałem też chciały zawładnąć, — nie potrafiły tego dokonać.

Ciało złożono w grobie. Trwoga rodziny, smutek, że odszedł ten, który dodawał im siły...

Nie przyszedł Chrystus zaraz budzić do życia Łazarza; zostawił nieszczęśliwych, by wzbudzili w sobie wiarę w samego Boga Ojca. Uwolnił ducha Łazarza z niewoli złej woli, by żył, a dał świadectwo prawdzie.

Widział Łazarz nieczyste duchy naokoło siebie i uradował się, ujrawszy łaski pełnego Mistra i tych, których miał prowadzić na ziemi. Bo siostry jego były w wierze słabe i skrzydła miłości załamywały im się w locie, opadając ku ziemi, a taką chwilową niewiarą i w innych wiarę załamywały.

Łazarz był szeroko znanym dobrym doradcą w różnych sprawach. Godził powaśnionych, dając jednym i drugim dobrą radę, tak, że w gniewie próg do niego przekraczali, a odchodząc, zapominali o gniewie i sporach pomiędzy sobą. Nie podobało się to tym, którzy dążą ciągle do powaśnienia ludzi. Po odpędzeniu go od ciała na żalosne wołania sióstr i tych, co go znali i byli mu wdzięczni, na ich wołania, żeby stał się cud, a on otworzył oczy i żył — odpowiadali: „Nikt go do życia nie zbudzi!“ Znaleźli posłuch u niektórych, wmawiając w nich, że choćby i Chrystus zjawił się, nie dokaże tego cudu. — Zapóźno przyszedłeś, Mistrzu! — rzucono Mu z żalem takie słowa na powitanie.

Łazarz-duch skrępowany był magicznymi łańcuchami za dobre czyny, a ciało leżało w grobie. Pękły kajdany pod siłą myśli Jezusa, przywołującego Łazarza do nowego życia na ziemi. Oglądał duchem rąbek królestwa szatana. Miał dać świadectwo prawdzie, że i poza tym światem, widzialnym dla ludzi, jest życie; miał ostrzegać innych, by nie pomnażali swojemi czynami królestwa szatana, który w ciągłym niepokoju twórczym nikomu trwałego spokoju dać nie może. Na chwilę, na rok, dwa i więcej uszczęśliwiał dostatkami ziemskimi, nie wahając się przelamywać Karmy, która i tak w dwojnasób potem się mści, byle tylko za te dary miał wierne służki. Niewiernych sobie ściga i karze, zadając im więcej cierpienia, niż ta niby sprawiedliwa karma. Przyjaciele niebios, wiecznego spokoju życia, prawdziwego piękna duchowego, mogą łagodzić karmiczne ciosy — i biorą na siebie przewinienia innych, by ci lżejszym krokiem mogli iść ku Bogu. A źli dodają sobie otuchy, że jeżeli ci ze swej własnej woli mogą odbierać ciężary, wymierzone sprawiedliwą Karmą, to i oni mogą przyczyniać ciężaru ze swej strony dowolnie, gdzie im się tylko da.

Tej prawdzie Łazarz spojrział duchem w twarz — i do tych, w których wiara w wielką moc Boską była zachwiana, miał powiedzieć, że umarł na chwilę i żyje. Dla nich niby umarł i duchem leżał w grobie, gdyż nie widzieli, gdzie się znajduje. A z tej niewiedzy i niewiary w pośmiertne życie korzystają skrzętnie moce piekiel, które chętnie uważają wszystkie miliony ludzi, żyjących na ziemi, za swoich poddanych — boć każdy bodaj drobnymi czynami i złemi myślami im służy.

Miał dać świadectwo prawdzie, że chociażby kogo skuli najcięższymi kajdanami i zaklęciami, jeżeli ma się wiarę w Boga, to gdy się złączy z tem źródłem wiekuistej czystej siły, za Jego wolą wszystko mogącą — pękną kajdany.





Treść tomu I.

Część I.

O JASNOWIDZENIU SŁÓW KILKA.

ŻYCIE I ŚMIERĆ Str. 3

Śmierć — narodzinami do prawdziwego życia, rodzenie się — umieraniem dla ducha. Pajęczce sieci, nastawiane przez Niskie Moce na wędrowców świata. Zwierciadło Sprawiedliwości. Dla każdego nadejdzie chwila przebudzenia się duchowego.

O RÓŻNYCH STOPNIACH I RODZAJACH JASNOWIDZENIA Str. 7

Jasnowidzenie to przebudzenie się ducha — różnorodność tego stanu. Procy, wpatrzeni w klisze astralne Niższych Mocy — i jasnowidze, czerpiący natchnienie z Wyższych Sfer duchowych. Człowiek — jego ciała, to ciężar dla nieśmiertelnej iskry ducha. Własne ciemności, otaczające wiele duchów w zaświecie. Złudne światło, podawane przez niskie duchy. Oświecony niem „jasnowidz-cudotwórca”. Napój miłosny i jego straszne skutki. Powstawanie wampirów. Nie-normalny rozwój władz duchowych — wielu „wtajemniczonych” hinduskich za bawką w rękach niskich duchów. Niskie duchy przybierają na siebie chętnie wobec początkujących jasnowidzów rolę świętych, a nawet samego Boga. Wynikłe z takich objawień błędne pojmowanie Boga. Żaden prorok przez całe miliony lat nie rozmawiał wprost z Bogiem, jedynie Chrystus rozumiał, widział i słyszał Boga. Wielu z nauk Jego ludzkość dotąd źle pojmuje, bo Moce piekieł usiłują celowo znaczenie Jego słów przekręcać. Widzenia t. zw. świętych, wychowanych w błędnej wierze w Boga, niezawsze sięgają wyżyn Boskiej Prawdy. Niebo astralne. Sąd ostateczny, obrazy kary na grzeszników. Anioły skrzydlate i Matka Boska z Dzieciątkiem, odwiedzający „świętych”. Anna Katarzyna Emmerich, jej przeszłość i wytłumaczenie jej widzeń oraz stygmatów. Przeszkody piętrzone przed duchem, który pragnie spłacić stare długi temu światu. Dobry lotr. Zły lotr.

NOWA ERA Str. 52

Nastąpiła pora, że ludzkość łatwiej może zrozumieć Chrystusa: każdy może myśli Jego pojąć we własnym duchu. Niskie Moce postarały się o to, by w niejasnym świetle stanęła w świętych księgach postać Chrystusa. Bóg-Ojciec, ni Chrystus, nie skazuje nikogo na wieczne zatracenie. Nie karze On, tylko broni swoje dzieci przed zgubą. Ponure obrazy upadku człowieka na dno zwierzęcości. W zamroczeniu swem nie może dojrzeć ludzkość swojego Zbawcy. Nie usuwają tego stanu religie urzędowe, dając ciasne pojęcie o Bogu. **Zaświeciła Gwiazda Betleemska wśród nocy upadku człowieka; teraz zbliża się brzask dnia świadomości duchowej. Przyjdzie Zbawiciel, lecz nie w postaci człowieka — On ma się zrodzić w sercach ludzkich.** Z promieniami Wiecznego Słońca idzie ku ziemi wiele jasných duchów. Wzmógł się napór także ze strony duchów piekieł — lecz już wyczerpuje się ich energia i pomysły. Niszczycielskie plany piekieł: trujące gazy. Chcąc odwieść ludzi od prawdziwego poznania, podsuwa im piekło zabawkę poznania siebie i dziwów przyrody. Niskie duchy chciałyby zniwieczyć

na ziemi to życie, jakie obecnie istnieje, oraz niewygodne dla nich prawo Karmy, przez nie same stworzone, a pozostawiające jeszcze najbardziej upadłemu duchowi wolną drogę powrotu do Ojca. Badacze materjaliści wobec zjawisk duchowych. Podobni są do niektórych dawnych wtajemniczonych, którzy tłukli się w kłatkach swojej ciasnoty myślenia. Chrystus szedł z pomocą tamtym i dziś droga do Niego otwarta każdemu, tylko trzeba szczerzej pokory. Duszpasterze, wpatrzeni w martwą literę. Różne sposoby odwodzenia szukających od prawdziwej drogi. Poznanie praw reinkarnacji i Karmy, poznanie woli Boga i Jego nieskończonej Miłości i zdawanie się na Jego wolę może każdego wybawić z niebezpiecznej otchłani udreki życia na ziemi. Środki poznania Prawdy znajdują się w każdym — to tchnienie Boga, płomień sumienia. W chwilach rozterki duchowej zdać się spokojnie na wolę Bożą — a światło niewątpliwie zabłyśnie. Symboliczna mowa duszy Przyrody, która budzi swego króla człowieka i chce mu pomóc do uzyskania lekkości ducha i ciała. Życie to ciężka szkoła, w której każdy sam sobie może być nauczycielem. Nastąpił okres ukrócenia Złej Woli.

JASNOWIDZENIE AGNI JEJ PRZESZŁOŚĆ Z CZASÓW CHRYSZTUSA Str. 28

Wzrok duchowy Agni rozświetlony został spojrzeniem Chrystusa przed dwoma tysiącami lat. — Tancerka Surya. Uczeń Nazarejczyka przynosi jej wieść o swym Mistrzu. Spotkanie z Chrystusem — spojrzenie Chrystusa wywołuje nagłe ocknięcie się uśpionego jej lepszego „ja”. Ta krótka chwila boskiego cudu staje się jej gwiazdą przewodnią na dalsze żywoty. — Różnorodność Życia we wszechświecie. Zapadanie wielu duchów w materję, a ofiarna miłość innych, śpieszących im z pomocą. Pastuszkowie, śpiewający zbłąkanym braciom pieśń o Wiecznej Ojczyźnie. Surya i jej odwieczny towarzysz to też taka para pastuszków — posłów z Krainy Prawdy. — Powrót Suryi do domu po spotkaniu się z Nazarejczykiem. Skatowana przez ojca porzuca na zawsze progi rodzinne i odtąd nie ma gdzie głowy skłonić. Prześladowania, jakie ją spotykają ze strony Niskich Mocy. Niespełnione zadanie zbudzenia Łazarza. Odwieczny przyjaciel Suryi; jego stan duchowy za czasów Chrystusa i w życiu obecnym. Cierpienia Suryi po ukrzyżowaniu Chrystusa. Jej śmierć samobójcza. Głuchoniemy przyjaciel u jej zwłok — jego rola w obecnym życiu. Kuzyn i ciotka Suryi. Jaki wpływ na stan duchowy t. zw. zmarłego wywierają myśli o nim obecnych przy jego zwłokach. Scena z kwiatami — przykład, jak drobne nawet zdarzenia znajdują odzwierciedlenie w następnych żywotach. Młody Rzymianin i kuzyn; ich niechęć wzajemna z owych czasów odbija się echem w życiu obecnym. — Duch Opiekuńczy Agni wyjaśnia, dlaczego wyręcza ją w opisie przeszłości z owych czasów. Walka, jaką staczają z nią ustawicznie słudzy piekiel, by uniemożliwić jej podnoszenie kamienia na grobie Prawdy. Żyją jeszcze inni na ziemi, a także zrodzi się jeszcze wielu z dawnych uczniów Chrystusa i Jego wiernych. Uczeń Chrystusa, znalazłszy papyrus z ostatnią spowiedzią Suryi, pojął naraz krzywdę, jaką jej wyrządzano. Spotkanie się jego z nią w obecnym życiu.

Część II.

PAMIĘTNIKI JASNOWIDZĄCEJ.

MOJE PRZEBUDZENIE DUCHOWE W ŻYCIU OBECNEM Str. 73

Kilka uwag wstępnych o moich zdolnościach jasnowidzenia. Widzenia duchów i widzenia na odległość w latach dzieciństwa. Letarg. Moja wędrówka z opiekunem duchowym w czasie letargu. Przesunięcie się przed memi oczyma całej mej przeszłości. Tęsknota za lepszym światem po zbudzeniu się z letargu. Wejście w grono spirytystów i nawiązanie świadomego kontaktu z duchem opiekuńczym. Moja miłość do niego. Boska chwila spłynięcia dwojga duchów w ekstazie miłości, w dziękczynnym uwielbieniu dla Boga. Atak niskich duchów na moje ciało w czasie, gdy ja w odłączeniu przebywałam z moim opiekunem w górnych krainach. Tylko miłością należy walczyć ze złem.

PIERWSZE ETAPY MEJ PRACY NA POLU JASNOWIDZENIA I PRZE-
ŚLADOWANIA ZA NIĄ Str. 88

Zapadanie w stan omdlenia w początkach świadomego patrzenia wzrokiem duchowym. Przykrości, wynikające dla mnie z gwałtownego budzenia mnie z tego stanu. Prześladowania ze strony ojczyzna. Wstręt do błota. Pierwsze owdładnięcie ciałem mem przez mego ducha opiekuńczego. Objawy, towarzyszące początkowo mem patrzeniu w świat duchowy: ziewanie i „wydłużanie głowy“; obręcz świetlista naokoło głowy. Opiekun wyjaśnia mi, że to nie są istotne warunki, ni objawy jasnowidzenia. Zarzuty, jakie na mnie spadły w gronie spirytystów z ust ich medjów. Niskie duchy skwapliwie zwiły oszczercze myśli o mnie w magiczny kłębek, by wykorzystać je w parę lat później. Ostrzegawcze widzenie cierniowej korony. Ponowna krzywda, zadana mi przez braci spirytystów. Duch opiekuńczy znów zaleca mi nie dochodzić swych krzywd.

NI ŚWIAT NI KOŚCIÓŁ NIE MOGLY MI DAĆ UKOJENIA Str. 97

Shukając zapomnienia krzywd, doznanych ze strony spirytystów, dałam się na krótko wciągnąć w wir zabaw, lecz wnet się do nich zraziłam. Kościół nie mógł mi dać upragnionego ukojenia. Błędne kazania w kościele. Wspomnienia z lekcji religji w dzieciństwie. Przykre wspomnienia pierwszych spowiedzi. Pragnąc mnie rozerwać, dobre duchy wyświeiliły mi przepiękne obrazy. Niefortunny odpust. Drugi nieudany odpust. Moje nabożeństwo do Matki Bożej.

MOJE PIERWSZE MAŁŻEŃSTWO Str. 107

Smutne przecucia zbliżającej się ciężkiej Karmy. Proroczy sen. Przymusowe zamążpójście. Opiekun pociesza mnie, że małżeństwo moje zostanie po pewnym czasie rozwiązane. Przed światem ukrywam istotny stan rzeczy. Zapartywania mego męża na sprawy duchowe i na życie. Karma, jaka mnie z nim związała. Pokrzepienie w modlitwie. Aura w domu zaczyna się stawać nieznośną; szukam winy po swojej stronie. Daremna ofiara w celu naklonienia męża do lepszego życia. Dlaczego nie zmuszałam go siłą sugestji do zmiany na lepsze. Brak miłości na ziemi wynagradzała mi tkliwa miłość i opieka dobrych duchów.

WOJNA ŚWIATOWA Str. 122

Wybuch wojny światowej. Chorągwie zwycięstwa, a jęki rannych i konających. Moje wędrówki po polach bitew w odłączeniu od ciała. Potworne sceny w świecie astralnym, wampiry. Bohaterzy walki — nędzarze duchowi. Moje widzenia śmierci przy rozmowie z osobami, idącymi na front. Jak uratowałam dwukrotnie życie żołnierzowi w odłączeniu od ciała. W jaki sposób nauczone mnie rozpoznawać i leczyć choroby: Opiekun mój przyprowadza mi ducha-lekarza. Codzienne lekcje z lekarzem w ciągu trzech miesięcy; poznanie organizmu ludzkiego, jego chorób, oraz sposobów ich leczenia. Łącząc się magnetycznie z chorymi, przejmowałam na siebie poniekąd ich cierpienia, a nawet ich aurę i ich sposób myślenia. Udzielanie mi się cierpień konania. Symboliczne widzenie na temat czasu trwania wojny. Zjawiska, towarzyszące menstruacji. Atak niskich duchów i zsymbolizowany przez nie obraz wojny i jej sprawców. Pomoc dobrych duchów. Opiekun objaśnia mi, dlaczego w okresie menstruacji nie powinnam się łączyć z chorymi, ni wdawać się w walkę z niskimi duchami. Duch-lekarz „ceruje“ mi nadszarpniętą powłokę magnetyczną.

JAK NAUCZONO MNIE ROZPOZNAWAĆ I LECZYĆ CHOROBY Str. 126

PRZYGOTOWANIE MNIE DO PRZYSZŁEJ PRACY I WALK ZE ZŁEM 135

Kilkudniowy wypoczynek po skończeniu trzymiesięcznego kursu wykładów. Narada w Górze co do mojej przyszłej pracy dla dobra bliźnich. Pytania, postawione mi przez dobre duchy. Widzenie tych wszystkich, którym miałam w przyszłości iść z pomocą. Dwanaście jasnych duchów przychodzi mi zasilić do spełnienia podjętych zadań. Przeszkody w przyłączeniu się do ciała, nasunięte przez niskie duchy. Niszczenie zła. Potworny elementa. Atak ciemnych hufców. Zniszczenie elementa smoka. Rozpacz niewolników piekła po stracie cennego



okazu z powierzonego ich opiece zwierzyńca. Czeka ją ich kara ścięcia głowy astralnej. Opiekun odstania mi rąbek dawnej przeszłości: przypomina mi moje walki z czarną magią od sześciu tysięcy lat. Tłumaczy, dlaczego w obecnym życiu żyłam tak długo niejako poza nawiasem właściwego swego życia duchowego. Przypomina, iż związek mój małżeński rychło zostanie unieważniony. Zapowiada spotkanie się z przyjacielem, z którym mam pójść odtąd razem drogą życia, a także spotkanie z mym „odwiecznym małżonkiem“. Przygotowuje mię i zasila do czekających mię w przyszłości coraz cięższych walk ze złem.

WIDZENIE PRZYSZŁEJ PRACY I PRZEŚLADOWAŃ Str. 151

Opiekun daje mi ściślejsze wskazówki w sprawie zaczynającej się mej pracy na ziemi. Ostrzega przed kusicielami i wyjaśnia, skąd wynikną w takich wypadkach moje ewentualne omyłki w widzeniu. Niebezpieczeństwa loterii. Widzenie rzesz ludzi, którzy mieli się u mnie zjawiać po radę, widzenie przyszłych prześladowań.

MOI PIERWSI PACJENCI Str. 156

WYLECZENIE KOBIETY, KTÓREJ MIANO ODJAĆ RĘKĘ „ 158

WYLECZENIE RODZINY, CHOREJ NA ZASTARZAŁY ŚWIERZB „ 165

PUŁAPKI NASTAWIANE NA MNIE „ 167

BOGATY FABRYKANT W PRZEBRANIU CHCE WYPRÓBOWAĆ
MOJE JASNOWIDZENIE „ 171

KOBIETA W POZORNEJ CIAŻY „ 173

Dlaczego niektórych chorych nie pozwolono mi brać pod opiekę.

POMOC NAJBIEDNIEJSZYM „ 177

Smutne obrazki nędzy z czasów wojennych, z której korzystały niskie duchy, by popychać ludzi do upadku

ZASADKI WŚRÓD PRACY W CELU ODBIERANIA MI SPOKOJU
DUCHA Str. 181

POSZUKIWACZE SKARBÓW, OPĘTYWANI PRZEZ NISKIE DUCHY „ 184

WIDMO GŁODU „ 192

Kobiety z zaboru rosyjskiego, przemycające się przez granicę dla zdobycia trochę żywności. Dobre duchy posilają mnie astralnie ożywczemi molekułami przyrody. Oszuści, nadużywający mojej dobroci. Pokrzepienie w świecie ducha i atak przy przyłączaniu się do ciała.

NOWE ZASADKI Str. 197

KUSZENIE, BYM SKOCZYŁA ZE SKAŁY „ 205

PRZEŚLADOWANIA ZE STRONY MIEJSCOWEGO KSIĘDZA „ 207

MSZA ODPRAWIONA NA INTENCJĘ MEJ ŚMIERCI I JEJ SKUTKI „ 210

DODATEK.

Kazimierz Olendzki Str. 217

Franciszek z Assyżu „ 220

Teresa Neumann i św. Teresa „ 227

Sztuczki Antychrysta „ 238

Stygmaty Heleny Ajello „ 240

Dobry i zły łotr „ 245

Zbudzenie Łazarza „ 248





Tejże autorki

Życie na Ziemi i w Zaświecie

czyli

Wędrówka Dusz

Cena zł 5.20, dla czytelników „Hejnału“ zł 4.—

Nabywać można pod adresem: „Hejnał“, Wisła na Śląsku Cieszyńskim

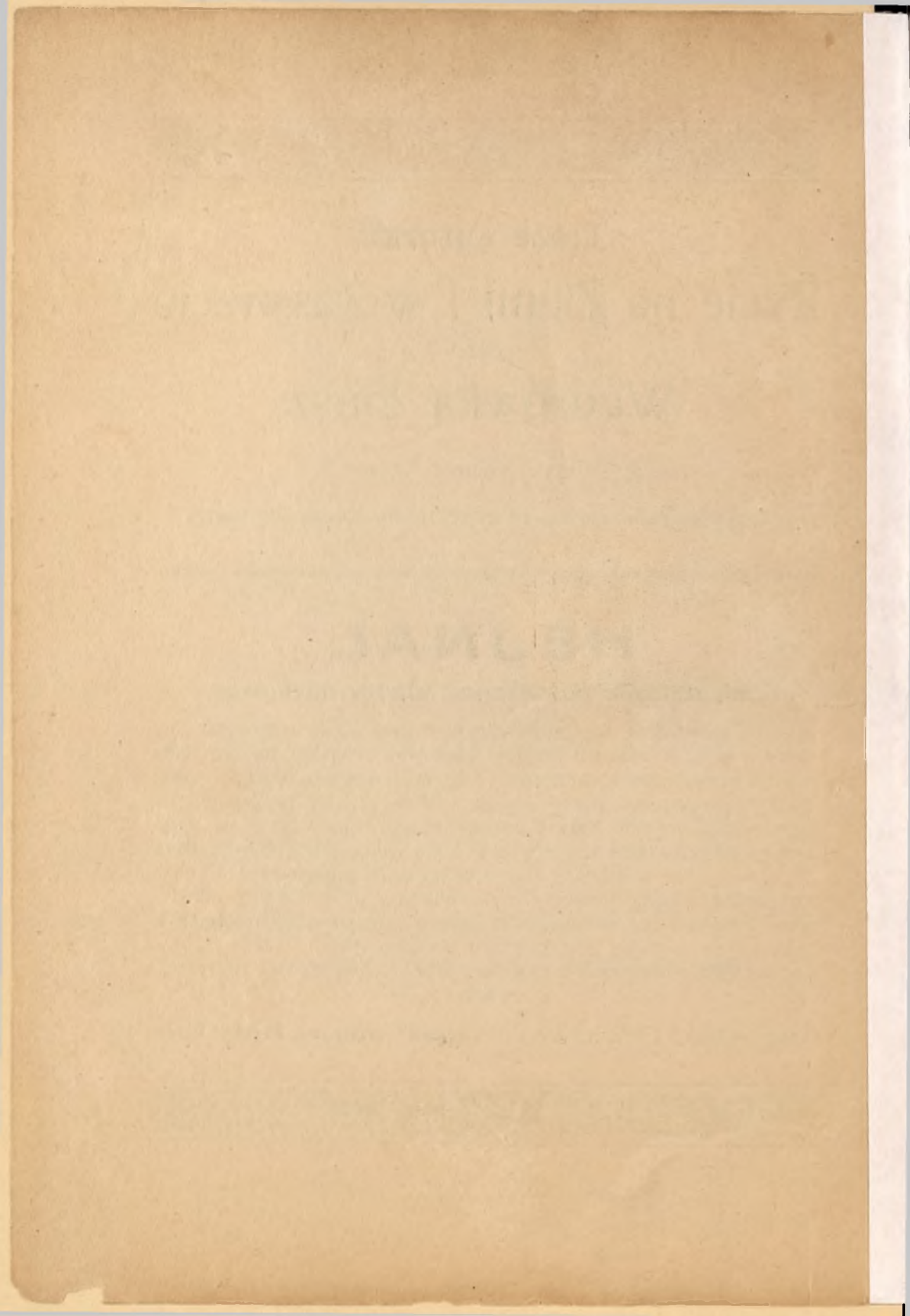
HEJNAŁ

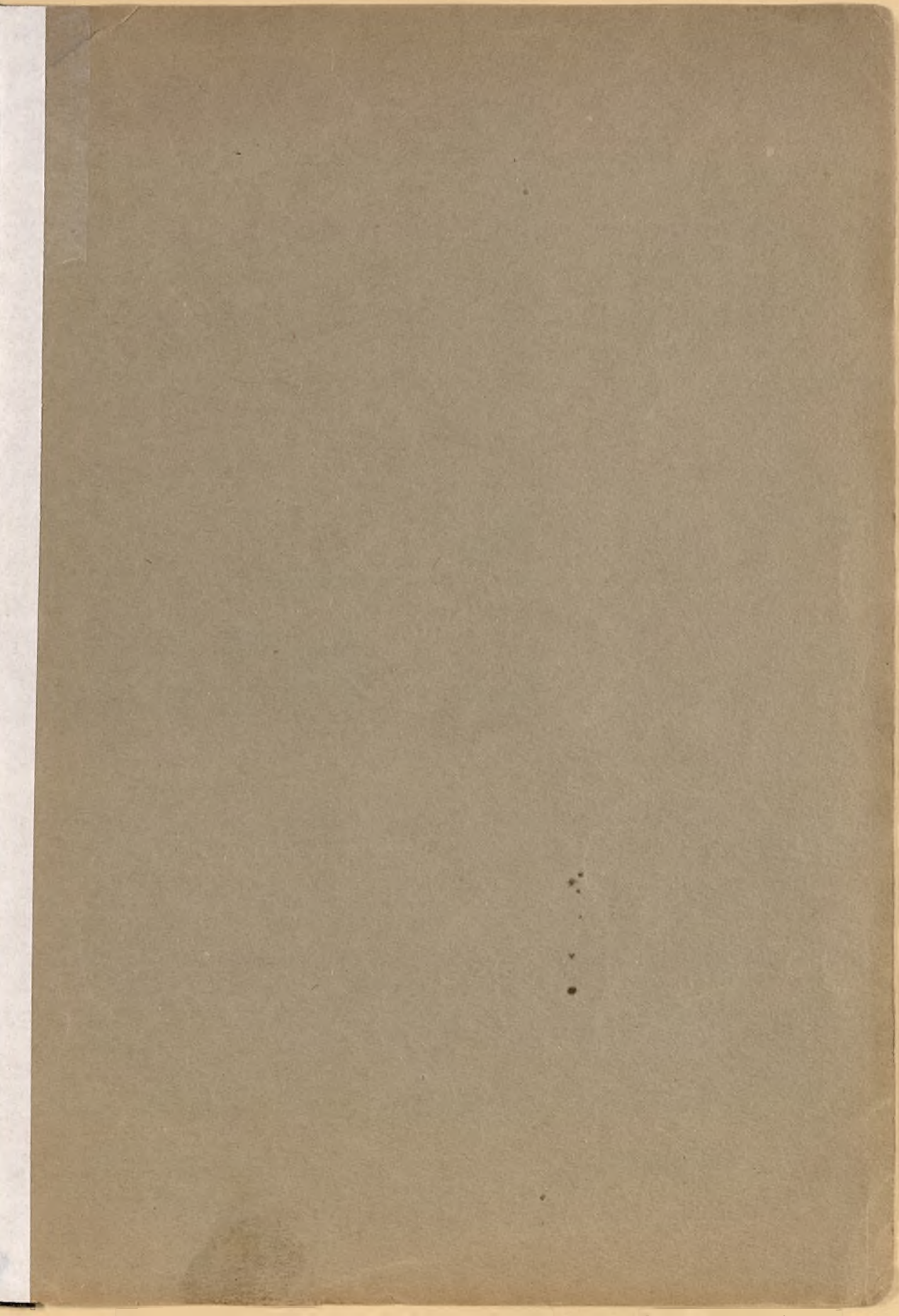
miesięcznik poświęcony wiedzy duchowej

porusza zasadnicze zagadnienia bytu i celu życia człowieka na ziemi, rozjaśnia zagadki wiedzy duchowej, rzucając na nią snop światła czystej nauki Chrystusa. Z tegoż stanowiska oświetla różne dogmaty teologiczne, pewne ustępy z Pisma św. i t. p. Zaznajamia czytelnika z prawem Karmy i Reinkarnacji, tłumacząc je na przytoczonych przykładach, branych z życia jednostek przebudzonych duchowo, które pamiętają swoje poprzednie inkarnacje. Porusza różnorodne tematy z zakresu: psychologii, medjumizmu, spirytyzmu, jasnowidzenia, astrologii i z innych dziedzin t. zw. okultyzmu. Informuje o różnych wydarzeniach nadnormalnych i „dziwach życia“ z kraju i zagranicy i tłumaczy istotę i przyczyny ich powstawania.

Adres redakcji i administracji: „Hejnał“ Wisła na Śląsku Ciesz.







Książnica Cieszyńska

KD II 47/1



Drukarnia Pawła Mitreği w Cieszynie.